

Matthew Reilly

Stacja Lodowa

(Ice Stadion)

Przekład Piotr Roman

Dla Natalie

Podziękowania

Szczególne podziękowania należą się Natalie Freer – najwspanialszej, najwięcej dającej z siebie osobie, jaką znam. Dziękuję Stephenowi Reilly’emu, mojemu bratu, przyjacielowi i lojalnemu pomocnikowi – nawet na odległość tysięcy kilometrów. Dziękuję Mamie za komentarze do tekstu i Tacie za niefortunne propozycje dotyczące tytułu, a obojgu za miłość i wsparcie. Na koniec dziękuję wszystkim w wydawnictwie Pan (szczególnie redaktorkom Cate Paterson i Madonnie Duffy – po pierwsze za „odkrycie” mnie, po drugie – za wyrozumiałość dla wszystkich moich zwariowanych pomysłów). Chcę wam wszystkim powiedzieć: docenie siłę waszych zachęt.

WSTĘP

Autor: Jonathan Kendrick

Wykłady na Uniwersytecie Cambridge: Antarktyda – żyjący kontynent (wykład wygłoszony 17 marca 1995 roku w Trinity College)

Jeżeli potraficie, wyobraźcie sobie kontynent, który na jedną czwartą roku podwaja swoją wielkość. Kontynent w stałym ruchu, który – choć niewidoczny dla ludzkiego oka – jest jednak niszczycielski.

Wyobraźcie sobie, że patrzycie na wielką, pokrytą śniegiem płaszczyznę. Widać na niej świadectwa ruchu: pofałdowania na powierzchni lodowców i zakrzywione linie wokół gór, opadające w dół zboczy niczym zatrzymane w kadrze kaskady wodospadów.

To właśnie jest „budząca respekt inercja”, o której mówił Eugene Linden. Gdybyśmy, tak jak Linden, wyobrazili sobie, że obserwujemy to wszystko z zastosowaniem fotografii poklatkowej, polegającej narobieniu zdjęć w znacznych odstępach czasu, ujrzelibyśmy ruch.

Trzydzieści centymetrów przesunięcia na rok to niewiele w czasie realnym, ale rozpatrując dłuższy odcinek czasu, można traktować lodowce jak rzeki płynącego lodu, poruszającego się ze swobodną gracją i budzącą respekt, potężną siłą.

Już słyszę wasze prychnięcia: „Budząca respekt siła? Trzydzieści centymetrów na rok? Jakie szkody może to spowodować?”.

No cóż, z pewnością wiele może zaszkodzić waszym podatkowym dolarom. Czy wiecie, że rząd brytyjski musiał cztery razy budować na nowo stację badawczą Halley? Podobnie jak wiele innych arktycznych stacji badawczych, Halley zbudowano pod powierzchnią lodu – a trzydzieści centymetrów ruchu na rok powoduje pęknięcie ścian i skrzywienia sufitów.

Ściany tej stacji są nieustannie poddawane ogromnym naciskom – bardzo dużym ciśnieniom. Poruszający się od bieguna ku krańcom kontynentu lód, dążący nieprzerwanie ku morzu, bardzo chce się do niego dostać – można powiedzieć, że najwyraźniej mocno zależy mu na przemianie w górę lodową – i nie zamierza pozwolić, by zatrzymało go coś tak nieistotnego jak stacja badawcza.

Trzeba jednak powiedzieć, że jeśli chodzi o ruchy lodu, Brytyjczycy nie mieli aż takiego pecha.

W 1986 roku Lodowiec Szelfowy Filchnera „ocielił się”, wysyłając na Morze Weddella górę lodową wielkości połowy Luksemburga. Trzyście tysięcy kilometrów kwadratowych lodu oderwało się od lodowca, zabierając ze sobą opuszczoną argentyńską stację Belgrano I, oraz sowiecką stację letnią Drużnaja. Wszystko

wskazywało na to, że Rosjanie zamierzali zamieszkać w lecie tamtego roku na stacji. Zamiast tego spędzili trzy miesiące na szukaniu zguby na trzech olbrzymich górach lodowych, w które zamienił się pierwotny masyw. Po jakimś czasie udało im się znaleźć swoją stację.

Stany Zjednoczone miały mniej szczęścia. W latach sześćdziesiątych pięć ich stacji o nazwie Little America wypłynęło na morze na górach lodowych.

Panie i panowie, wniosek z tego jest prosty. To, co wydaje się jałowe, wcale takie być nie musi. To, co wydaje się nieruchome, wcale takie być nie musi. To, co wydaje się pozbawione życia, wcale takie być nie musi.

Wcale. Patrząc na Antarktydę, nie dajcie się zmylić. Nie patrzycie na pokrytą lodem skałę. Patrzycie na żywy, oddychający kontynent.

Autor: William Goldridge Watergate (Nowy Jork: Wylie, 1980)

„Rozdział 6: PENTAGON (...) Prasa i inne media milczą o silnym związku, jaki Richard Nixon stworzył ze swoimi doradcami wojskowymi, przede wszystkim z pułkownikiem Sił Powietrznych Otto Niemeyerem (...) [str. 80], (...) Nikt nie ma pewności, co się stało z Niemeyerem po Watergate. Był łącznikiem Nixona z Połączonym Komitetem Szefów Sztabów, jego »człowiekiem od wewnątrz«. Awansowany do rangi pułkownika tuż przed rezygnacją Nixona, cieszył się przywilejem, jaki miało niewielu ludzi: dostępem do ucha Richarda Nixona.

Zaskakujące jest, jak niewiele można znaleźć na temat Otto Niemeyera w dokumentach dotyczących okresu po rezygnacji Nixona w 1974 roku. Pozostawał członkiem Połączonego Komitetu Szefów Sztabów za Forda i Cartera jako cichy i bardzo dyskretny uczestnik prowadzonych gier – i nagle, w 1979 roku, jego stanowisko okazało się wolne.

Administracja Cartera nie złożyła oświadczenia o usunięciu Niemeyera. Nie był żonaty (niektórzy sugerowali, że był homoseksualistą), mieszkał sam w Akademii Wojskowej w Arlington. Miał bardzo niewielu przyjaciół. Często podróżował, wielokrotnie do miejsc określanych hasłem: »cel nieznany« – i jego koledzy z Pentagonu niczego złego nie podejrzewali, kiedy w grudniu 1979 roku zniknął na kilka dni z pracy.

Problem polegał na tym, że Otto Niemeyer nie wrócił...” [str. 86].

PROLOG

*Ziemia Wilkesa,
Antarktyda 13 czerwca*

Trzy godziny temu stracili kontakt radiowy z obydwoma nurkami.

Podczas ich schodzenia pod wodę nic się nie działo, niezwykła była jedynie głębokość, na jaką schodzili. Ale Price i Davis byli najbardziej doświadczonymi nurkami na stacji i przez całą drogę w dół rozmawiali przez interkom.

Po zatrzymaniu się w połowie drogi dla wyrównania ciśnienia kontynuowali zejście, aż znaleźli się na głębokości tysiąca metrów, gdzie zostawili dzwon, po czym wpłynęli w tunel i ruszyli skosem w górę, ku niewielkiej grocie o ścianach z lodu.

Temperatura wody była stabilna, utrzymywała się na poziomie 1,9° Celsjusza. Jeszcze dwa lata wcześniej nurkowanie na Antarktyce było ograniczane przez zimno do niezwykle krótkich i z naukowego punktu widzenia bardzo niezadowolających dziesięciominutowych wypadów. Dzięki nowym, zaprojektowanym przez marynarke wojenną skafandrom z ogrzewaniem elektrycznym, amator nurkowania w antarktycznych wodach mógł obecnie oczekiwać, że przez przynajmniej trzy godziny zachowa w bliskich zamarznięcia wodach wokół kontynentu zapewniającą komfort temperaturę ciała.

Płynąc w górę stromego, podwodnego lodowego tunelu, nurkowie utrzymywali stałą komunikację przez interkom:

Mijali spękane, chropowate lodowe ściany, komentowali ich intensywny, przypominający barwę nieba błękit.

Nagle przestali rozmawiać.

Dostrzegli powierzchnię.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się od dołu w taflę wody.

Otoczała ich ciemność, lustro wody było spokojne. Nienaturalnie spokojne. Szklistej, gładkiej jak szyba płaszczyzny nie mąciła nawet najmniejsza zmarszczka. W blasku wojskowych, halogenowych reflektorów otaczające nurków lodowe ściany migotały jak kryształ. Popłynęli w górę.

W pewnej chwili usłyszeli jakiś dziwny dźwięk.

Zatrzymali się.

Z początku w czystej, lodowatej wodzie odbijał się echem jedynie pojedynczy, niepokojący gwizd. Uznali, że to śpiew wieloryba.

Prawdopodobnie były to orki. Ostatnio zauważono krążące wokół stacji stado. Dwa z tych drapieżnych delfinów – młode samce – nabrały nawyku wpływania pod Stację Lodową Wilkes i wypływania dla nabrania powietrza w „basenie”, czyli

najniższej, zalanej wodą części szybu głównego.

Bardziej prawdopodobne jednak, że był to pływający osiem, może dziesięć kilometrów od brzegu płetwal błękitny, próbujący przywabić partnera. Z wielorybimi śpiewami jest problem – woda tak dobrze przewodzi dźwięki, że nie da się powiedzieć, czy zwierzę jest oddalone o kilometr, czy o piętnaście.

Uspokoiwszy się, nurkowie ruszyli ponownie w górę.

W tym momencie nadeszła odpowiedź na pierwszy gwizd.

Ze wszystkich stron dało się słyszeć kilkanaście podobnych gwizdów, otaczając nurków ciasnym kokonem. Były znacznie głośniejsze od pierwszego. BLIŻSZE.

Nurkowie zawirowali w czystej, granatowej wodzie, próbując zlokalizować źródło niepokojących dźwięków. Jeden zdjął z ramienia harpun – kiedy go naciągnął, wysokie pogwizdywania gwałtownie zmieniły się w urażone zawodzenia i poszczekiwanie.

Nagle rozległo się głośne WUMMM! Nurkowie wyprysnęli nad powierzchnię i zdążyli ujrzeć, jak coś wielkiego wpada z góry do wody, a szklista tafla pęka z hukiem.

Potężny dzwon nurkowy przebił powierzchnię z głośnym pluskiem.

Benjamin K. Austin szedł powoli wzdłuż brzegu, wywarkując rozkazy. Jego szeroką, wysklepioną jak baryłka, potężną klatkę piersiową opinała ciasno czarna kurtka termoizolowanego skafandra mokrego.*

* [Skafander mokry – używane do nurkowania, ściśle opinające ciało ubranie z gumy piankowej, skonstruowane tak, żeby między skórę a materiał skafandra dostawała się cienka warstewka wody, która ogrzewa się do temperatury ciała, nie dopuszczając do zbyt dużych strat ciepła.]

Austin był oceanobiologiem z Uniwersytetu Stanforda, a także kierownikiem Stacji Lodowej Wilkes.

– W porządku! Zatrzymaj! – zawołał do młodego technika, obsługującego wyciągarkę na poziomie C. – Do roboty, panie i panowie, nie marnujmy czasu! Do środka!

Sześć ubranych w skafandry mokre postaci, zgromadzonych na brzegu basenu, zanurkowało jedna po drugiej do lodowatej wody. Kilka sekund później wypłynęli wewnątrz wielkiego kopulastego dzwonu, zanurzonego do połowy pośrodku okrągłej płaszczyzny wody.

Austin stał na skraju basenu – najniższego miejsca Stacji Lodowej Wilkes. Pięciopoziomowa stacja badawcza była po prostu gigantycznym podziemnym cylindrem, wykutym pionowo w mieszczącym się na końcu świata lodowcu szelfowym, tuż przy brzegu polarnego morza. Przez całą jego wysokość biegł szeroki szyb, opleciony od wewnątrz siecią wąskich podwieszonych pomostów i drabin.

Z pomostów wchodziło się – prosto w głąb lodu – do pomieszczeń, tworzących pięć poziomów stacji. Tak jak wielu przed nimi, budowniczo wie stacji Wilkes odkryli, że najlepszym sposobem na przetrwanie w surowym polarnym klimacie jest mieszkanie pod powierzchnią lodu.

Austin zarzucił na ramię sprzęt do nurkowania i po raz setny wykonał w pamięci to samo obliczenie.

Trzy godziny od chwili, gdy połączenie radiowe z nurkami zostało przerwane. Przedtem przez godzinę płynęli w górę lodowym tunelem. Przez następną godzinę schodzili na dół w dzwonie...

W dzwonie najprawdopodobniej oddychali „wolnym” powietrzem – mieszanką helowo-tlenową, więc czas przebywania w nim się nie liczył. Zegar ruszył dopiero wtedy, gdy wypłynęli z dzwonu i zaczęli oddychać powietrzem z butli.

Cztery godziny.

Obaj nurkowie od czterech godzin korzystali ze swoich butli.

Problem polegał na tym, że było w nich powietrza tylko na trzy godziny oddychania – a to oznaczało balansowanie na krawędzi.

Ostatnimi słowami, jakie Austin usłyszał wraz z innymi mieszkańcami stacji – zanim sygnał radiowy nurków gwałtownie zmienił się w szum i trzaski – były przepełnione lękiem uwagi o dziwnych, gwizdzących odgłosach.

Pogwizdywać mogło wszystko: płetwale błękitne, minkwale, każdy gatunek z podrzędu niegroźnych waleni fiszbinowych. Przerwanie kontaktu radiowego mogła spowodować dzieląca ich prawie pięćsetmetrowa warstwa lodu i wody. Zdaniem Austina nurkowie natychmiast zawrócili i rozpoczęli godzinny powrót do dzwonu nurkowego. Przedwczesne wyciągnięcie go oznaczałoby więc pozostawienie ich na dnie – bez powietrza i jakichkolwiek szans.

Ale z drugiej strony, jeśli wpadli w tarapaty – jeśli natknęli się na orki albo lwy morskie – powinno się jak najszybciej wyciągnąć dzwon i posłać na dół ludzi do pomocy.

Koniec końców Austin uznał, że wszelka pomoc, jaką mógłby posłać na dół – po wyciągnięciu dzwonu i ponownym opuszczeniu go – i tak byłaby spóźniona. Jeżeli Price i Davis mieli przeżyć, największe szanse dawało im pozostawienie dzwonu nurkowego na dole.

Od chwili podjęcia tej decyzji minęły jednak trzy godziny i kierownik stacji nie zamierzał dłużej czekać. Kazał podnieść dzwon i przygotować się do zejścia na dół grupie ratunkowej.

– Cześć!

Austin odwrócił się. Była to Sarah Hensleigh, jedna z paleontolożek.

Lubił ją. Była inteligentna i równocześnie praktyczna i twarda, nie stroniła także od ciężkiej, brudnej roboty. Nie był zaskoczony, kiedy się dowiedział, że ma dziecko. Kirsty, jej dwunastoletnia córka, przyjechała tydzień temu i mieszkała od tej pory w stacji.

– Co jest? – spytał.

– Zewnętrzna antena dostaje lanie. Sygnał nie może się przebić – odparła Hensleigh. – Wygląda też na to, że szykują się rozbłyski na Słońcu.

– A niech to cholera...

– Choć nie wiem, czy to się na cokolwiek przyda, namówiłam Abby, by skanowała wszystkie częstotliwości wojskowe. Nie traciłabym jednak nadziei...

– Jak sytuacja na zewnątrz?

– Dość niewesoła. W klify wałą fale wysokie na dwadzieścia pięć metrów, a wiatr osiąga szybkość stu osiemdziesięciu kilometrów. Jeśli będą ofiary, nie damy rady ich stąd wywieźć.

Austin odwrócił się i popatrzył na dzwon nurkowy.

– Co z Renshawem?

– Ciągle siedzi zamknięty w swoim pokoju. – Hensleigh nerwowo popatrzyła w kierunku poziomu C.

– Nie możemy dłużej czekać. Musimy zejść na dół. Paleontolożka obserwowała go przez chwilę w milczeniu.

– Ben... – zaczęła.

– Nawet o tym nie myśl, Sarah – mruknął Austin i ruszył w kierunku krawędzi. – Potrzebuję cię na górze. Tak samo twój dzieciak. Dopilnuj nadania sygnału, a my zajmiemy się ich wyciągnięciem.

– Dochodzimy do tysiąca metrów – zaskrzeczał z zamontowanych na ścianie głośników głos Austina.

Sarah Hensleigh siedziała w zaciemnionym pomieszczeniu radiowym Stacji Lodowej Wilkes.

– Zrozumiałam, Mawson – powiedziała do stojącego przed nią mikrofonu.

– Centrala, na zewnątrz nie widać żadnego ruchu. Brzeg czysty. W porządku, panie i panowie, zatrzymujemy wyciągarke. Przygotować się do opuszczenia dzwonu. Kilometr pod powierzchnią morza dzwon ratunkowy zatrzymał się z szarpnięciem. Siedzący w środku Austin wcisnął klawisz interkomu.

– Centrala, potwierdź czas. Dwudziesta pierwsza trzydzieści dwa.

Siedmiu nurków, tłoczących się w ciasnej przestrzeni „Douglassa Mawsona”, patrzyło na siebie w napięciu. Z głośnika rozległ się głos Hensleigh:

– Zapisuję, Mawson. Potwierdzam czas: dwudziesta pierwsza trzydzieści dwa.

– Centrala, zapisz, że od dwudziestej pierwszej trzydzieści dwa przechodzimy na

powietrze własne.

– Zapisałam.

Siedmiu nurków sięgnęło po ciężkie maski, pozdejmoowało je z haczyków i przymocowało do zatrzasków przy obojczykach.

– Centrala, wychodzimy z dzwonu.

Austin ruszył do przodu i zatrzymał się na moment, by popatrzeć na krąg czarnej wody, chlapiącej o wewnętrzne ścianki dzwonu. Potem zszedł z podestu i z pluskiem zniknął w ciemności.

– Nurkowie, godzina dwudziesta druga dwadzieścia, czas zanurzenia czterdzieści osiem minut. Proszę o raport – rzuciła Hensleigh do mikrofonu.

W pomieszczeniu radiowym za jej plecami siedziała Abby Sinclair, etatowa meteorolog stacji. Od dwóch godzin obsługiwała konsolę radia satelitarnego, bezskutecznie próbując złapać jakąś częstotliwość.

Zaskrzeczał interkom. Rozległ się głos Austina:

– Centrala, posuwamy się ciągle w górę tunelu. Jak na razie nic nie ma.

– Zrozumiałam, nurkowie – odpowiedziała Hensleigh. – Informujcie na bieżąco.

Za jej plecami Abby ponownie wcisnęła klawisz nadawania.

– Wzywam wszystkie częstotliwości, tu stacja cztery-zero-dziewięć, powtarzam: tu stacja cztery-zero-dziewięć, potrzebujemy natychmiastowej pomocy. Mamy dwie ofiary, prawdopodobnie śmiertelne, i potrzebujemy wsparcia. Proszę potwierdzić przyjęcie komunikatu. – Puściła klawisz i mruknęła pod nosem: – Niech ktoś... byle kto...

Lodowy tunel zaczął się poszerzać.

Płynąc powoli w górę, Austin i reszta zauważyli dziwne otwory znajdujące się w regularnych odstępach w ścianach podwodnego tunelu.

Każdy był idealnie okrągły, miał przynajmniej trzy metry średnicy i dochodził do ścian lodowego tunelu, opadając z góry. Jeden z nurków skierował w któryś z nich snop światła z latarki, ale zobaczyli tylko nieprzeniknioną, atramentową ciemność.

Nagle w słuchawkach interkomów wszystkich nurków rozległ się głos Austina:

– W porządku, zatrzymajcie się. Chyba widzę powierzchnię.

Słyszając głos kierownika stacji, Sarah Hensleigh pochyliła się do przodu w fotelu radiooperatora.

– Powierzchnia wygląda na spokojną. Nie ma śladu Price'a ani Davisa.

Hensleigh i Abby wymieniły się spojrzeniami. Paleontolożka wcisnęła klawisz nadawania.

– Nurkowie, tutaj Centrala. Co z odgłosami, o których wspominali? Słyszycie coś? Jakież wielorybie pieśni?

– Centrala, jak na razie nic nie ma. Zostańcie na miejscu, wychodzę na powierzchnię.

Hełm Austina przebił szklaną tafłę.

Lodowata woda zaczęła spływać z maski na twarzy oceanobiologa. Uniósł nad powierzchnię latarkę podwodną marki Princeton-Tec. Halogenowa żarówka ukazała szeroką tafłę i oświetliła ją po najdalsze krańce.

Austin powoli zaczął uświadamiać sobie, gdzie się znajduje. Wynurzył się na środku dużego jeziora, wypełniającego dno gigantycznej groty, skrytej głęboko we wnętrzu lodowca szelfowego.

Zatoczył latarką krąg, spoglądając na pionowe ściany.

Kiedy jego wzrok padł w głąb jaskini, znieruchomiał.

– Centrala, nie uwierzysz – usłyszała Hensleigh zaskoczony głos Austina.

– Co się stało, Ben? – zapytała przez interkom.

– Jestem w tej chwili w czymś w rodzaju groty lub jaskini. Jej ściany są wyłącznie z lodu, jest to prawdopodobnie formacja powstała wskutek działalności tektonicznej. Nie umiem dokładnie określić wielkości tej groty, ale przypuszczam, że ma średnicę rzędu kilkuset metrów.

– Ho, ho!

– Jest tu... jeszcze coś, Sarah.

Hensleigh spojrzała na Abby i zmarszczyła czoło. Wcisnęła klawisz nadawania.

– Co, Ben?

– Sarah... – Przez chwilę panowała cisza. – Wydaje mi się, że patrzę na statek kosmiczny.

Był do połowy wbity w lodową ścianę.

Austin wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany.

Całkowicie czarny obiekt miał skrzydła o rozpiętości mniej więcej trzydziestu metrów. Dwa smukłe pionowe stateczniki wznosiły się wysoko ponad tylną część pojazdu, ale nie było ich wyraźnie widać, były bowiem zagłębione w lodzie i tworzyły jedynie dwa rozmazane cienie, złapane w pułapkę przejrzystej, zamarznętej ściany. Pojazd stał na trzech masywnie wyglądających podporach i wyglądał wspaniale: był smukły, aerodynamiczny i promieniował potężną siłą.

Za plecami Austina rozległ się głośny plusk i naukowiec odwrócił się gwałtownie.

Pozostali członkowie ekipy kopali energicznie wodę i wpatrywali się w statek kosmiczny. Woda za nimi marszczyła się, jakby przed chwilą coś do niej wpadło.

– Co to było, Hanson? – spytał oceanolog jednego z nurków.

– Nie wiem, co... przed chwilą coś przeleciało obok... – zaczął tamten.

Austin czekał na koniec zdania, nagle jednak, bez najmniejszego ostrzeżenia, nurek został wciągnięty pod powierzchnię.

– Hanson!

Ktoś jeszcze krzyknął. Harry Cox.

Kierownik stacji odwrócił się i ujrzał wznoszący się nad wodą gładki grzbiet. Jakieś wielkie zwierzę z niesamowitą prędkością staranowało Coxa uderzeniem w klatkę piersiową i wepchnęło go w głębinę.

Austin rzucił się ku brzegowi i zaczął płynąć, gwałtownie machając ramionami. Kiedy zanurzył głowę pod wodę, jego uszy natychmiast wypełniła dzika kakofonia dźwięków – głośnych, piskliwych gwizdów i chrapliwych, zdesperowanych szczęknięć.

Gdy ponownie wynurzył głowę, dostrzegł przed sobą lodową ścianę. Tuż nad powierzchnią wody znajdowały się w niej duże otwory. Wyglądały tak samo jak te, które widzieli w lodowym tunelu...

Z jednego z nich coś się wysuwało.

– Jasna cholera... – wydyszał Austin.

Z interkomu buchnęły straszliwe wrzaski.

W pomieszczeniu radiowym Hensleigh spoglądała w milczeniu na migające na konsolce światełka. Stojąca obok Abby zasłoniła usta dłonią. Z głośników na ścianach dolatywały przerażone krzyki.

– Raymonds!

– Zniknął!

– A niech to cholera...

– Boże, ściany! Wychodzą z pieprzonych ścian! Nagle do tych krzyków dołączył głos Austina:

– Wyłazić z wody! Natychmiast z wody! Rozległ się kolejny wrzask. Potem jeszcze jeden. Sarah Hensleigh złapała za mikrofon.

– Ben! Ben! Zgłoś się!

W głośnikach zaskrzeczał głos Austina. Mówił szybko, wyrzucając z siebie słowa pomiędzy krótkimi, płytkimi oddechami:

– Sarah... cholera, nie... nie widzę – nikogo. Nie wi... nie widzę nikogo...

Wszyscy... zniknęli. – Na chwilę zapadła cisza, po czym Austin znów się odezwał: – Dobry Boże... Sarah! Wezwij pomoc! Wezwij kogokolwiek ci się...

W głośniku zazgrzytało – zabrzmiało to jak miażdżenie szkła – i głos Benjamin Austina zanikł.

Abby siedziała przy radiu i wrzeszczała histerycznie do mikrofonu:

– Na Boga, niech ktoś odpowie! Tu stacja czterysta dziewięć, powtarzam, stacja cztery-zero-dziewięć. Właśnie ponieśliśmy poważne straty w ludziach w podziemnej grocie i wzywamy natychmiastowej pomocy! Czy ktoś mnie słyszy? Niech ktoś odpowie! Nasi nurkowie... Jezus, Maria... nasi nurkowie przekazali, że widzieli

w grocie coś przypominającego statek kosmiczny, i zaraz potem straciliśmy z nimi kontakt! Zdążyli tylko powiedzieć jeszcze, że są atakowani, atakowani w wodzie...

Stacja Lodowa Wilkes nie otrzymała odpowiedzi na wezwanie ratunku.

Nie odpowiedziano, choć prośbę o pomoc odebrały przynajmniej trzy stacje.

PIERWSZE WTARGNIĘCIE

16 CZERWCA, GODZINA 6.30

Poduszkowiec mknął po lodowej płaszczyźnie.

Był biały – nietypowy. Większość poruszających się po Antarktydzie pojazdów maluje się na jaskrawo-pomarańczowo, by ułatwić ich dostrzeżenie. Poza tym gnał nad ogromną połącią śniegu z zaskakującym pośpiechem. Na Antarktydzie nikt nigdy się nie spieszy.

Przez jego wzmocnione fiberglasowe okna wyglądał porucznik Shane Schofield. Patrzył na drugi poduszkowiec – także biały – pędzący po płaskim, zaśnieżonym pustkowiu jakieś trzydzieści metrów po prawej, na wysokości ich rufy.

Trzydziestodwuletni porucznik był młody jak na dowódcę oddziału rozpoznania, miał jednak większe doświadczenie niż wielu starszych oficerów. Mając metr siedemdziesiąt osiem wzrostu był szczupły, ale dobrze umięśniony, miał przystojną, choć pociętą zmarszczkami twarz i przystrzyżone tuż przy skórze kruczoczarne włosy. Jego głowę chronił kevlarowy hełm kamuflażowej barwy, barki opancerzone naramienniki, a szyję szary golf. Między warstwami materiału kołnierza również miał lekką płytkę z kevlaru – dla ochrony przed snajperami.

Krażyła plotka, że Shane Schofield ma ciemnobłękitne oczy, nie została ona jednak nigdy potwierdzona. Na wyspie Parris – siedzibie legendarnego obozu treningowego Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych – nikt poniżej generała nie widział oczu porucznika. Zawsze ukrywał je za srebrnymi, lustrzanymi okularami.

Intrygujący był też jego pseudonim operacyjny. Wszyscy wiedzieli, że nadał mu go osobiście generał brygady Norman W.

McLean, i wielu uważało, że ma on związek z ukrywanymi za lustrzanymi okularami oczami młodego porucznika.

– Świstak Jeden, słyszysz mnie? Schofield wziął do ręki radio.

– Świstak Dwa, tu Świstak Jeden. Co jest?

– Sir... – Basowy głos plutonowego Bucka „Booka” Riley’a został nagle zagłuszony falą szumów. W ciągu minionej doby gwałtownie pogorszyły się warunki w jonosferze nad Antarktydą i w dodatku na poziomie ziemi nastąpił zbieg niekorzystnych zjawisk, spowodowanych rozbłyskami na Słońcu – ich efektem było między innymi zakłócenie całego pasma elektromagnetycznego, co ograniczało komunikację radiową do fal ultrakrótkich. Nawet kontakt między oddalonymi od siebie zaledwie o trzydzieści metrów poduszkowcami był utrudniony. Przebicie się do Stacji Lodowej Wilkes – celu ich podróży – było niemożliwe.

Szumy zakłóceń ucichły i z głośnika ponownie doleciał głos Riley’a:

– Sir, pamięta pan kontakt z poruszającym się celem, jaki nawiązaliśmy godzinę

temu?

– Tak... – odparł Schofield. – Co z nim?

Przez minioną godzinę Świstak Dwa odbierał sygnały elektroniczne emitowane z pokładu pojazdu, poruszającego się w przeciwnym kierunku – w dół wybrzeża, ku francuskiej stacji badawczej Dumont d'Urville.

– Przestałem go namierzać. Porucznik spojrział na radio.

– Jesteś pewien?

– Nie mamy sygnału na oscyloskopach. Albo wyłączyli urządzenia, albo zniknęli.

Schofield zmarszczył czoło i popatrzył w kierunku maleńkiego przedziału pasażerskiego w tylnej części poduszki. Siedziało tam – po dwóch z każdej strony – czterech marines w zimowych strojach kamuflujących. Na kolanach żołnierzy leżały białoszare kevlarowe hełmy, a ich ciała chroniły białoszare pancerze. Obok każdego z nich stał białoszary pistolet maszynowy.

Dwa dni temu, podczas postoju w Sydney, okręt desantowy Marynarki Wojennej USA „Shreveport” przejął wezwanie o ratunek, nadane ze Stacji Lodowej Wilkes. Traf chciał, że tydzień wcześniej „Shreveport” – szybki okręt strategiczny, wykorzystywany do przewożenia Oddziałów Rozpoznania Korpusu Piechoty Morskiej – dostał rozkaz pozostania w Sydney w celu przeprowadzenia pilnych napraw, natomiast reszcie grupy kazano wrócić do Pearl Harbor. Dzięki temu w ciągu godziny od przejścia nadanego przez Abby Sinclair sygnału SOS „Shreveport”, gotowy do akcji, mógł popłynąć na południe, wioząc w kierunku Morza Rossa oddział marines.

Teraz Schofield i jego ludzie zbliżali się do Stacji Lodowej Wilkes od strony McMurdo – większego amerykańskiego ośrodka badawczego, położonego mniej więcej 1500 kilometrów od Wilkes. Zbudowana na brzegu Morza Rossa stacja McMurdo jest obsadzona cały rok przez załogę liczącą 104 osoby. Mimo katastrofalnej w skutkach próby jądrowej, przeprowadzonej tu w 1972 roku przez Marynarkę Wojenną USA, punkt ten nadal pozostaje amerykańską bramą do bieguna południowego.

Wilkes jest chyba najbardziej odludną stacją antarktyczną. Umieszczoną na lodowcu szelfowym niedaleko Lodowca Daltona niewielką „daleką placówkę” dzieli od najbliższego sąsiada niemal 1000 kilometrów. Od lądu stację oddzielają setki kilometrów nagiego, smaganego wiatrami płaskowyżu, a od strony morza – sięgające stu metrów klify, cały rok atakowane przez wielkie jak góra, dwudziestometrowe fale.

Dotarcie tam drogą powietrzną nie wchodziło w rachubę. Była wczesna zima i nad stacją od trzech tygodni szalała burza, a temperatura osiągnęła minus trzydzieści stopni Celsjusza. W takich warunkach zamrzłyby zarówno wirniki helikoptera, jak i samolotowe silniki odrzutowe.

Jakakolwiek próba dostania się na stację od strony morza oznaczałaby wejście na

klify. Marynarka wojenna USA miała jednoznaczne określenie tego rodzaju misji: samobójstwo.

Pozostawało więc jedynie dotarcie do stacji lądem. Poduszkowcami. Dwunastoosobowy Oddział Rozpoznania Piechoty Morskiej miał odbyć jedenastogodzinną podróż z McMurdo do Wilkes dwoma wojskowymi poduszkowcami o konstrukcji zabezpieczającej dmuchawy przed zimnem.

Schofield znów zaczął zastanawiać się nad poruszającym się sygnałem. McMurdo, d'Urville i Wilkes tworzyły na mapie coś w rodzaju trójkąta równoramiennego. D'Urville i Wilkes leżały na brzegu masy lodowej i tworzyły podstawę tego trójkąta, McMurdo była położona głębiej na kontynencie, na brzegu zatoki, utworzonej przez Morze Rossa, i stanowiła jego wierzchołek.

Poruszający się wzdłuż brzegu, w kierunku Dumont d'Urville sygnał, przejęty przez Świstaka Dwa, przez cały czas miał prędkość sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, prawdopodobnie był to więc konwencjonalny poduszkowiec. Może Francuzi z d'Urville odebrali z Wilkes wezwanie pomocy, wysłali ekipę ratunkową i właśnie wracali do siebie...

Porucznik znów wcisnął klawisz radia.

– Book, kiedy ostatni raz złapałeś sygnał? W radiu zaskrzeczało.

– Ostatni raz pojawił się osiem minut temu. Kontakt przy użyciu dalmierza. Jak poprzednio, wszystkie jego cechy świadczą o pochodzeniu elektronicznym. Poruszał się ze stałą prędkością i zachowaniem wektora. To ten sam sygnał, sir, i osiem minut temu znajdował się w miejscu, w którym powinien.

Przy panującej obecnie pogodzie – wyjąłym z prędkością prawie stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę wicherze, który sprawiał, że śnieg padał niemal poziomo – regularna obserwacja radarowa była beznadziejnym przedsięwzięciem. Rozbłysk na Słońcu sparaliżował komunikację radiową, a niż atmosferyczny całkiem uniemożliwił pracę radarów.

Aby być przygotowanym na taki zbieg okoliczności, każdy poduszkowiec ma na dachu urządzenie zwane dalmierzem, zainstalowane w obrotowej wieżyczce, powoli zataczającej półkole w tę i z powrotem, które nieustannie wysyła silnie skupioną wiązkę promieni, zwaną „igłą”, omiatającą przestrzeń w polu stu osiemdziesięciu stopni. W odróżnieniu od radaru, którego sygnał biegnie po prostej i ma zasięg ograniczony zakrzywieniem Ziemi, „igły” mogą się zakrzywiać i sięgać do 80 kilometrów poza horyzont. Jeżeli ich drogę przetnie jakkolwiek „żywy” obiekt – dowolny ruchomy przedmiot o cechach chemicznych, organicznych albo elektronicznych – jest to rejestrowane. „Jeśli coś się gotuje, oddycha albo piszczy, dalmierz przyskrzyni skurwiela”, jak zwykł mawiać operator dalmierza oddziału Schofielda, szeregowiec Jose „Santa” Cruz.

Porucznik wcisnął klawisz radia.

– Book, gdzie jest to miejsce, w którym zniknął sygnał? Jak daleko?

– Jakies sto czterdzieści pięć kilometrów od nas, sir – odpowiedział głos Riley'a.

Porucznik przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jednolitą powierzchnię bieli, rozciągającej się aż po horyzont, a potem powiedział do mikrofonu:

– W porządku. Sprawdź to.

– Zrozumiałem – odparł natychmiast Riley.

Schofield spędzał z „Bookiem” Rileyem wiele czasu, przyjaźnili się od kilku lat. Riley miał twarz boksera – zbyt wiele razy łamany płaski nos i zapadnięte oczy, a nad nimi gęste, czarne brwi. Był w oddziale lubiany – kiedy sytuacja tego wymagała, zachowywał się poważnie, ale gdy napięcie zniknęło, potrafił być rozluźniony i zabawny. Kiedy Schofield był młodym i głupim podporucznikiem, Riley mu matkował. A gdy po awansie dostał dowództwo oddziału rozpoznania, plutonowy Book – mający wówczas czterdzieści lat – choć mógłby próbować dostać stanowisko w establishmencie Korpusu Piechoty Morskiej, został z nim w tym samym oddziale.

– Jedziemy dalej do Wilkes – powiedział porucznik. – Dowiedz się, co z sygnałem, i spotkamy się w Wilkes.

– Zrozumiałem.

– Kontakt za dwie godziny. Nie spóźnij się. I nastaw dalmierz ogonowy... jeśli mamy kogoś za plecami, chcę o tym wiedzieć.

– Tak jest, sir.

– Aha, i jeszcze jedno...

– Tak?

– Bądź grzeczny i delikatny, dobrze?

– Tak jest, sir.

– Jedyńka koniec – oświadczył Schofield.

– Świstak Dwa koniec.

Drugi poduszkowiec natychmiast skręcił w prawo i popędził w burzę.

Godzinę później mieli przed sobą linię brzegową i przez wysokiej klasy polową lornetkę Schofield po raz pierwszy ujrzał Stację Lodową Wilkes.

Na pierwszy rzut oka wcale nie wyglądała na stację – raczej na chaotyczną zbieraninę do połowy zakopanych w śniegu przysadzistych, kopulastych tworów.

W środku kompleksu stał główny budynek – wielka, kulista kopuła na kwadratowej podstawie. Miała na powierzchni lodu jakies trzydzieści metrów średnicy i nie więcej jak trzy wysokości.

Na szczycie jednego z mniejszych budynków, skupionych wokół głównej budowli, tkwiły resztki anteny radiowej. Była złamana w połowie – górna część zwisała w dół, dolną utrzymywały w pionie nieliczne pozostałe linki. Wszędzie wisiały lodowe sople.

Okolicę rozświetlała jedynie łagodna biała poświata, płynąca z głównego budynku.

Schofield kazał zatrzymać pojazd osiemset metrów od stacji. Zaraz potem odsunęły się lewe drzwi poduszkowca i szóstka marines zaczęła zeskakiwać z nadmuchanej burty. Przy zetknięciu ich butów z twardym podłożem słychać było jedynie ciche tąpnięcia.

Kiedy biegli po śniegu, dochodził do nich przebijający się przez wycie wichru łoskot fal, uderzających o klify po drugiej stronie stacji.

– Wiecie panowie, co robić – powiedział Schofield do mikrofonu w hełmie. Więcej nie musiał mówić.

Otulony prześcieradłem śnieżnej burzy, ubrany na białą oddział rozsypał się i ruszył ku kompleksowi budynków.

Buck Riley ujrzał dziurę w lodzie i zaraz potem poduszkowiec.

Pęknięcie lodowca wyglądało jak blizna – głęboka wyrwa o pionowych ścianach, szerokości mniej więcej czterdziestu metrów.

Poduszkowiec zatrzymał się jakieś trzydzieści metrów od skraju rozpadliny. Sześciu marines wyszło na zewnątrz, ostrożnie opuściło się na lód i zaczęło podchodzić do krawędzi.

Starszy szeregowiec Robert „Rebound” Simmons, najlepszy wspinacz oddziału, założył uprząż jako pierwszy. Był niewysoki, zwinny jak kot i ważył niewiele więcej. Był także młody – właśnie skończył dwadzieścia trzy lata – i jak większość młodych mężczyzn, był łasy na pochwały. Mało nie pękł z dumy, gdy przypadkiem usłyszał rozmowę swojego porucznika z dowódcą innego plutonu, z której wynikało, iż jest tak dobry, że mógłby bez liny wspiać się w środku Kapitolu pod sam sufit. Natomiast jego przydomek był dobrotliwym docinkiem, nadanym mu przez oddział z powodu nieszczęśliwych sukcesów u kobiet *.

* [Rebound – termin koszykarski, oznaczający przejęcie źle rzuconej do kosza piłki.]

Kiedy do uprząży zamocowano linę, Simmons położył się na brzuchu i zaczął pełznąć w kierunku rozpadliny.

Po chwili dotarł do krawędzi i zajrzał w otchłań.

– A niech to cholera... – zaklął w mikrofon.

– Co jest, Rebound? – zapytał znajdujący się dziesięć metrów za nim Buck Riley.

– Są tutaj, sir. – Głos Simmons'a był pełen rezygnacji. – To konwencjonalna maszyna. Ma na boku jakiś napis po francusku. Dookoła spękany cienki lód... jakby chcieli przejechać po lodowym mostku, który nie wytrzymał. – Odwrócił się do Riley'a. Miał ponurą twarz, a bliskość między nadajnikami nadawała jego głosowi blaszany pogłos. – Wszystko jest nieźle rozpieprzone.

Poduszkowiec utknął czterdzieści metrów poniżej krawędzi, siła uderzenia wgniotła jego zaokrąglony przód, część szyb powypadała, a reszta – popękana – wyglądała niczym siateczka pajęczyn. Cały pojazd pokryła już cienka warstwa śniegu – wkrótce zniknie pod nim i zostanie wymazany z historii.

Dwóch pasażerów poduszkowca zostało wyrzuconych przez przednią szybę. Obu rozpląszczyło na ścianie rozpadliny, mieli nienormalnie poskręcane szyje, a ich ciała otaczały wielkie plamy zamrożonej krwi.

Rebound Simmons przez dłuższą chwilę wpatrywał się w tę makabryczną scenę.

W poduszkowcu były jeszcze inne ciała. Simmons widział cienie w środku, widział plamy krwi po wewnętrznej stronie szyb.

– Rebound? – rozległ się w głośniku hełmu Simmons’a głos Riley’a. – Czy ktoś na dole żyje?

– Raczej nie, sir.

– Zbadaj podczerwienią. Mamy dwadzieścia minut do odjazdu i nie chciałbym się potem dowiedzieć, że ktoś przeżył.

Rebound zsunął z czoła wizjer podczerwieni.

Widział rozbity poduszkowiec jak przez niebieską wodę. Z powodu zimna wszędzie, gdzie patrzył, widział jedynie granatowe kontury na czarnym tle. Nawet silnik się nie żółcił, choć barwę tę emitowały także niezbyt ciepłe przedmioty.

Nie było również plam żółci ani pomarańcza wewnątrz obrysu statku. Ciała w poduszkowcu były zimne jak lód. Wszyscy jego pasażerowie byli martwi.

– Sir, odczyt w podczerwieni nega...

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo nagle ustąpił pod nim lód. Bez ostrzeżenia. Bez trzasku. Bez jakiegokolwiek sygnału, że pęka. Rebound Simmons spadł jak kamień w przepaść.

Wydarzyło się to tak szybko, że Buck Riley prawie tego nie zauważył. W jednej sekundzie widział wyglądającego przez krawędź Simmons’a, w następnej już go nie było.

Za spadającym pomknęła czarna lina i zwój zaczął się błyskawicznie rozwijać.

– Trzymać! – wrzasnął Riley do dwóch marines, ubezpieczających Simmons’a.

Trzymali mocno i napinali mięśnie, czekając na szarpnięcie.

Lina wylatywała za krawędź, aż w końcu rozległ się głośny trzask i natychmiast się napięła.

Riley ostrożnie zrobił kilka kroków w prawo. Chciał oddalić się od przepaści i jednocześnie znaleźć miejsce, z którego mógłby w nią zajrzeć.

Zobaczył leżący w dziurze zniszczony poduszkowiec i dwa poskręcane ciała, przyciśnięte dziobem pojazdu do lodowej ściany. Widział także zwisającego na linie Rebounda – pół metra nad szeroko otwartymi prawymi drzwiami poduszkowca.

- Nic ci nie jest? – zapytał go, mówiąc do mikrofonu w hełmie.
- Nie wątpiłem w pana nawet przez sekundę, sir.
- Wytrzymaj jeszcze chwilę. Za minutę będziemy cię mieli na górze.
- Jasne.

Rebound wisiał nad zniszczonym poduszkiowcem. Ale z miejsca, w którym się znalazł, mógł zajrzeć przez otwarte drzwi do środka pojazdu.

- O Jezu... – wymamrotał.

Schofield zapukał głośno w wielkie, drewniane drzwi.

Były osadzone w sześciokątnej podstawie, wspierającej największą kopułę Stacji Lodowej Wilkes, i znajdowały się na dole wąskiej rampy zjazdowej, schodzącej jakieś dwa i pół metra pod górny poziom lodu.

Porucznik ponownie zadudnił pięścią w drewnianą płytę.

Leżał płasko na występie prostopadłościennej podstawy budynku i aby załomotać w drzwi, musiał zwiesić ramię w dół.

Trzy metry dalej, w pokrywającym szczyt rampy śniegu, leżał na brzuchu, z szeroko rozłożonymi nogami, sierżant zbrojmistrz Scott „Wąż” Kapłan i z karabinku szturmowego M-16E celował w zamknięte drzwi.

Po chwili rozległo się głośne skrzypnięcie i porucznik wstrzymał oddech, bo na śnieg obok niego padł wąski pasek światła i drzwi stacji zaczęły się powoli otwierać.

Na zaśnieżoną rampę tuż pod nim wyszedł jakiś mężczyzna, grubo ubrany i nieuzbrojony – i nagle zeszytywniał na widok leżącego tuż przed nim „Węża”, który celował z M-16E prosto w nasadę jego nosa.

– Zatrzymaj się dokładnie tam, gdzie stoisz! – zawołał porucznik z góry, zza pleców tamtego. – Piechota Morska Stanów Zjednoczonych.

Mężczyzna stał jak zamurowany.

– Grupa druga w środku. Zabezpieczamy – odezwał się w słuchawce Schofielda kobiecy głos.

– Grupa trzecia. Jesteśmy w środku i zabezpieczamy.

– W porządku. Wchodzimy przez główne drzwi. Porucznik ześlizgnął się ze swojej grzędy, wylądował na śniegu tuż obok mężczyzny i zaczął go obszukiwać.

„Wąż” powoli zszedł do nich rampą, jednak lufę karabinka nadal trzymał skierowaną na drzwi.

– Jest pan Amerykaninem? – spytał Schofield nieznajomego. – Jak się pan nazywa?
Mężczyzna odpowiedział:

– Non. Je suis Francais. – Po chwili dodał po angielsku: – Mam na imię Luc.

Akademicy mają skłonność do traktowania Antarktyki jako ostatniego neutralnego terytorium na Ziemi. Mówi się, że nie ma tu miejsc świętych ani uświęconych tradycją,

o które trzeba walczyć, ani historycznych granic, nad którymi można by dyskutować. Według nich jest to terra communis – kraina należąca do ogółu.

Układ w sprawie Antarktyki, który wszedł w życie w 1961 roku, podzielił cały ten kontynent na trójkątne wycinki (dzięki czemu wygląda jak pokrojony tort), a potem uczestnicy konferencji porozdzielali między siebie jego fragmenty, zwane sektorami. Niektóre z nich zachodzą na siebie – na przykład te, którymi zarządza Chile, Argentyna i Wielka Brytania. Inne obejmują ogromne połacie – sektor, którym zarządza Australia, stanowi niemal jedną czwartą kontynentu. Jest nawet sektor – z Morzem Amundsena i Ziemią Marii Byrd – nienależący do nikogo.

Ogólnie uważa się, że Antarktyka to międzynarodowa masa lądowa, jest to jednak błędne i upraszczające.

Zwolennicy „politycznie neutralnej Antarktyki” nie dostrzegają animozji między Argentyną a Wielką Brytanią, wynikających z aspiracji owych państw do tych samych terenów, ani zdecydowanej niechęci wszystkich sygnatariuszy układu w sprawie Antarktyki do głosowania za rezolucją ONZ z 1985 roku, która miała poświęcić kontynent Antarktydy całej międzynarodowej społeczności. Nie dostrzegają również dziwnego spisku milczenia państw-sygnatariuszy układu, jaki zawiązał się po opublikowaniu mało znanego raportu Greenpeace, w którym oskarżono rząd Francji o prowadzenie u wybrzeży Ziemi Wiktorii tajnych podziemnych prób z bronią jądrową.

Co ważniejsze, nie dostrzegają także faktu, że kraj bez wyraźnie określonych granic nie ma możliwości radzenia sobie z wrogimi ingerencjami.

Stacje badawcze często są odległe od siebie o tysiące kilometrów. Czasami odkrywa się na ich terenie surowce o ogromnej wartości – uran, pluton, złoto – i z pewnością jakiś rozpaczliwie potrzebujący surowców kraj chętnie by sobie te skarby przywłaszczył, zanim świat w ogóle by się dowiedział o ich odkryciu.

Jak na razie taki incydent jeszcze nigdy nie miał miejsca.

Kiedyś jednak zawsze jest ten pierwszy raz, pomyślał Schofield, gdy Francuz o imieniu Luc prowadził go do Stacji Lodowej Wilkes.

Porucznik słyszał nagranie wezwania pomocy, które nadała Abby Sinclair, słyszał też, jak mówiła o odkryciu tkwiącego w lodzie pod stacją statku kosmicznego. Jeżeli naukowcy z Wilkes naprawdę odkryli pozaziemski obiekt latający, z pewnością zainteresowałyby się nim strony trzecie. Inną sprawą było oczywiście, czy ktoś będzie na tyle zdeterminowany, by przysłać oddział uderzeniowy.

W każdym razie fakt, iż w drzwiach amerykańskiej stacji badawczej powitał Schofielda francuski naukowiec, sprawił, że porucznik czuł się dość nieswojo i kiedy szedł za Lukiem ciemnym, oblodzonym tunelem, mocno ścisnął swój samopowtarzalny pistolet.

Obaj mężczyźni wyszli z zaciemnionego tunelu na jasno oświetloną, rozległą

otwartą przestrzeń. Schofield zobaczył, że stoi na filigranowym pomoście, podwieszonym u góry pionowego cylindra, wyżłobionego w lodowcu.

Miał przed sobą Stację Lodową Wilkes – gigantyczny podziemny twór. Wąskie, czarne pomosty biegły wokół wewnętrznych ścian ogromnego cylindra, otaczając szeroki szyb główny. Na dole Schofield dostrzegł okrągłą płaszczyznę wody – pośrodku niej unosił się dzwon ratunkowy.

– Tędy – powiedział Luc i poprowadził go w prawo. – Wszyscy są w jadalni.

Kiedy weszli – Francuz pierwszy – Schofield poczuł się jak wchodzący do przedszkola nieznanemu maluchom dorosły mężczyzna: „obcy”, który nie pasuje do otoczenia z powodu swojego wzrostu i postury.

Wokół stołu siedziała ciasnym kołem pięcioosobowa grupka.

Mężczyźni byli nieogoleni, kobiety nieuczesane. Wszyscy sprawiali wrażenie wycieńczonych. Kiedy Schofield wszedł, ledwie podnieśli głowy.

Za stołem stało jeszcze dwóch mężczyzn. W odróżnieniu od siedzących osób – podobnie jak Luc – byli czysti, ogoleni i wypoczęci. Jeden z nich trzymał tacę z parującymi napojami. Kiedy ujrzał Schofielda, wyraźnie zeszywniał.

Francuscy naukowcy z d’Urville, pomyślał porucznik. Zjawili się w odpowiedzi na wezwanie pomocy.

Prawdopodobnie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

Wszyscy patrzyli na Schofielda, na jego hełm i lustrzane okulary, na kamuflujący strój śniegowy porucznika, zwisający z jego ramienia MP5 i samopowtarzalną czterdziestkęczwórkę w dłoni.

Kilka sekund po Schofieldzie do środka wszedł Wąż i wszystkie oczy skierowały się na niego: był podobnie umundurowany, podobnie uzbrojony. Klon.

– Wszystko w porządku – oświadczył Luc, przerywając milczenie. – To piechota morska. Przyszli was uratować.

Jedna z kobiet głośno wypuściła powietrze.

– Boże... – wymamrotała i rozplakała się. – Dzięki Bogu... Amerykański akcent, stwierdził Schofield. Kobieta pchnęła krzesło do tyłu i podeszła bliżej, zalewając się łzami.

– Wiedziałam, że przyjdziecie! – zawołała. – Wiedziałam... Złapała naramiennik porucznika i zaczęła lkać na jego ramieniu.

Nie okazywał emocji i trzymał pistolet w bezpiecznej odległości od rąk kobiety, tak jak go wyszkolono.

– Wszystko będzie dobrze, proszę pani – powiedział i odprowadził ją do najbliższego krzesła. – Już wszystko w porządku. Nic wam nie grozi.

Kiedy usiadła, popatrzył na pozostałych.

– Panie i panowie, jesteśmy Szesnastym Oddziałem Rozpoznania Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Jestem porucznik Shane Schofield, a to sierżant Scott Kapłan. Przybyliśmy w odpowiedzi na waszą prośbę o pomoc. Mamy rozkaz zabezpieczyć stację i zadbać o to, by nikomu nie stała się krzywda.

Jeden z mężczyzn za stołem wydał z siebie głośne westchnienie ulgi. Schofield mówił dalej:

– Jak już mówiłem, jesteśmy tylko oddziałem rozpoznania. Nie będziemy was ewakuować. Jesteśmy jednostką pierwszej linii, musimy się szybko poruszać i podróżujemy z minimalnym bagażem. Naszym zadaniem było szybkie dotarcie na stację i zadbanie o to, by nikomu nie stała się krzywda. Jeżeli grozi wam niebezpieczeństwo, ewakuujemy was, jeśli nie, mamy rozkaz zabezpieczyć stację i czekać na przybycie oddziału ewakuacyjnego. Odwrócił się do Luca i dwójki stojących za stołem mężczyzn.

– Zakładam, że jesteście z d’Urville. Zgadza się? Mężczyzna z tacą w dłoniach głośno przełknął.

– Tak – odparł Luc. – Zgadza się. Usłyszeliśmy przez radio wezwanie pomocy i przybyliśmy tu najwcześniej, jak tylko się dało.

Kiedy Francuz mówił, w słuchawce Schofielda odezwał się trzeszczący kobiecy głos:

– Grupa druga. Przeszukanie zakończone.

– Grupa trzecia. Nawiązaliśmy trzy – nie, teraz już cztery – kontakty w pomieszczeniu wiertniczym. Idziemy na górę.

Schofield zwrócił się do Luca:

– Panów nazwiska?

– Jestem profesor Luc Champion – przedstawił się Luc. – A to profesor Jean-Pierre Cuvier i doktor Henri Rae.

Porucznik powoli pokiwał głową i porównał w pamięci usłyszane nazwiska z listą, którą widział dwa dni wcześniej na pokładzie „Shreveport”. Były na niej nazwiska i dane wszystkich francuskich naukowców, stacjonujących w d’Urville. Champion, Cuvier i Rae też na niej figurowali.

W tym momencie zapukano do drzwi i Schofield odwrócił się.

W otwartych drzwiach jadalni stał sierżant Morgan „Montana” Lee. Mówiono o nim, że jako żołnierz jest wart tyle złota, ile sam waży. Miał czterdzieści sześć lat i był najstarszy w oddziale. Był krępy, miał zadarty nos i grubościstą, ogorzałą twarz. Dziesięć metrów za nim stał jego partner, kapral Oliver „Hollywood” Todd. Wysoki, czarny i szczupły Hollywood Todd liczył sobie dwadzieścia jeden lat.

Między obydwojema żołnierzami stały ich „znaleziska”.

Kobieta.

Mężczyzna.

Dziewczynka.

Foka.

– Przyjechali jakieś cztery godziny temu – poinformowała porucznika Sarah Hensleigh.

Oboje stali na poziomie A, na pomoście z widokiem na całą stację.

Jak zdążyła wyjaśnić Hensleigh, Stacja Lodowa Wilkes była wielkim pionowym cylindrem, wywierconym w lodowcu szelfowym. Schodziła z powierzchni pięć „pięter” w dół, do poziomu morza.

Na ścianach w regularnych odstępach zamontowano podwieszane pomosty, opasujące cały wewnętrzny obwód cylindra. Każdy z nich był połączony stromymi, wąskimi drabinami z pomostem biegnącym powyżej, w efekcie czego cała struktura przypominała nieco system schodów przeciwpożarowych.

Od pomostów odchodziły promieniście wykute w lodzie korytarze, tworząc poszczególne poziomy stacji. Każdy poziom składał się z czterech odchodzących od szybu głównego prostych tuneli, łączących się z tunelem zewnętrznym, biegnącym kółkiem wokół centralnej studni. Kierunki, w jakich biegły proste tunele, odpowiadały z grubsza stronom świata, nazwano je więc po prostu „Północ”, „Południe”, „Wschód” i „Zachód”.

Każdy poziom Stacji Lodowej Wilkes oznakowano literowo, od A do E – poziom A był najwyżej, a poziom E stanowił szeroką metalową platformę, otaczającą basen u podstawy potężnej, znajdującej się w całości pod lodem konstrukcji. Na jednym z dwóch środkowych poziomów – C – zamontowano wąską, wysuwaną kładkę, która w razie potrzeby mogła połączyć brzegi głównego szybu.

– Ilu? – spytał Schofield.

– Na początku było pięciu – odparła Sarah. – Czterech zostało, a piąty zabrał kilka osób do d’Urville poduszki.

– Zna ich pani?

– Znam Luca i Henriego... na wasz widok chyba się zsiąkał... i słyszałam też o Jacquesie Latissierze.

Kiedy Montana kilka minut wcześniej wprowadził Hensleigh do jadalni, Schofield doszedł do wniosku, że właśnie z nią powinien porozmawiać o wydarzeniach minionego tygodnia w Stacji Lodowej Wilkes.

Podczas gdy pozostali wyglądali na przybitych albo przemęczonych, Sarah sprawiała wrażenie pozbieranej i opanowanej. Montana i Hollywood powiedzieli, że natknęli się na nią, kiedy pokazywała jednemu z francuskich naukowców znajdujące się na poziomie E pomieszczenie do dokonywania odwiertów w lodzie. Francuz nazywał się Jacques Latissier i był wysokim mężczyzną z gęstą czarną brodą, a jego nazwisko

także znajdowało się na pamięciowej liście porucznika.

Sarah Hensleigh przez długą chwilę wpatrywała się w głęb szybu głównego. Schofield przyjrzał się jej dokładniej. Była atrakcyjną kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat, miała ciemnobrązowe oczy, czarne włosy do ramion i wysoko wysklepione kości policzkowe. Zauważył na jej szyi łańcuszek z migoczącym medalionem.

Na pomost wyszła dziewczynka. Porucznik uznał, że może mieć jakieś dziesięć lat. Miała krótkie blond włosy i mały guziczkowaty nosek, na którym tkwiły duże okulary z grubymi szklami, dziwacznie wiszące nad policzkami. Ubrana w grubą różową kurtkę, wyglądała niemal komicznie – kurtka miała wielki kaptur z wełnianym podbiciem, który spadał na twarz małej, niemal całkiem ją zakrywając.

Za dziewczynką, podrygując, pełzła foka.

– A to kto? – spytał Schofield.

– Moja córka, Kirsty – odparła Sarah, kładąc dłoń na ramieniu małej. – Kochanie, to jest porucznik Schofield.

– Cześć – powiedział porucznik.

Kirsty Hensleigh przez chwilę po prostu stała i wpatrywała się w niego, oglądając jego opancerzony mundur, hełm i broń.

– Ekstra okulary – oświadczyła w końcu.

– He? Ach, tak... – mruknął Schofield i dotknął swoich przeciwodblaskowych szkieł. Wiedział, że w połączeniu z kamuflującym białym strojem i bladoszarym opancerzeniem lustrzane okulary sprawiają, że wygląda dość intrygująco. Dzieciakowi mogło się to podobać. Nie zamierzał jednak zdejmować okularów. – Tak, też uważam, że są ekstra. Ile masz lat?

– Dwanaście, prawie trzynaście.

– Naprawdę?

– Jestem jak na mój wiek trochę mała – wyjaśniła Kirsty.

– Ja też – stwierdził porucznik i kiwnął głową. Popatrzył na fokę, która podpełzła do niego i zaczęła mu obwąchiwać kolano. – A twój przyjaciel jak ma na imię?

– To dziewczynka. Nazywa się Wendy.

Schofield wyciągnął rękę i pozwolił, by foka ją obwąchała. Zwierzę nie było duże, miało mniej więcej wielkość średniego psa i z wyraźnym upodobaniem nosiło śmieszny czerwony kołnierz.

– Wendy... Jaki to gatunek? – spytał porucznik i poklepał fokę po łbie.

– *Arctocephalus gazella* – poinformowała go Kirsty. – Płaskogłów.

Wendy zaczęła kręcić łbem pod dłonią Schofielda, zmuszając go do podrapania jej za uchem. Kiedy to zrobił, nagle padła mu pod nogi i obróciła się na grzbiet.

– Chce, by podrapał ją pan po brzuchu – poinformowała go Kirsty z uśmiechem. –

Bardzo to lubi.

Foczka leżała na pomoście brzuchem do góry, z rozłożonymi na boki płetwami, i czekała na dalsze pieszczoty. Porucznik schylił się i podrapał ją po brzuchu.

– Właśnie zdobył pan przyjaciela na całe życie – stwierdziła Sarah Hensleigh, która przez cały czas uważnie obserwowała Schofielda.

– To wspaniale – odparł porucznik i wyprostował się.

– Nie wiedziałam, że marines umieją być tacy mili – dodała nieoczekiwanie Sarah.

– Nie wszyscy jesteśmy nieokrzesanymi twardzielami, potrafimy być też uprzejmi.

– Zwłaszcza jeśli tam, gdzie się znajdziecie, jest coś, czego potrzebujecie...

Schofield zatrzymał się w pół ruchu i przez długą chwilę patrzył na Sarah. Nie była głupia.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chętnie wróciłbym do poprzedniego tematu – powiedział w końcu. – Zna pani dwóch z nich, a o trzecim słyszała. Zgadza się?

– Tak.

– A co z czwartym? Cuvierem?

– Nigdy go przedtem nie widziałam.

– Ile osób zabrali do d'Urville?

– Ich poduszki miał sześć miejsc, więc jeden z ich ludzi zabrał pięciu naszych.

– Pozostałych czterech Francuzów zostało tutaj, czy tak?

– Zgadza się.

Porucznik kiwnął głową i znów spojrzał na Sarah Hensleigh.

– Jest jeszcze kilka spraw, o których musimy porozmawiać. Na przykład o tym, co znaleźliście w lodzie na dole i o... incydencie z Renshawem.

Sarah doskonale rozumiała, co porucznik ma na myśli. Takich tematów nie należało omawiać w obecności dwunastolatki. Skinęła głową.

– Żaden problem.

Schofield rozejrzał się po stacji: popatrzył na krąg wody w dole, na podwieszane do ścian cylindra pomosty i wyjścia znikających w głębi lodu korytarzy. Coś mu w tym wszystkim nie pasowało, nie umiał jednak stwierdzić, o co właściwie chodzi.

Kiedy wreszcie zapaliło mu się w głowie zielone światelko, odwrócił się do Sarah i spojrzał jej prosto w oczy.

– Proszę mi przerwać, jeżeli to głupie pytanie, ale skoro stacja jest wydrążona w lodowcu szelfowym, a jej ściany są z lodu, jak to się dzieje, że nie topnieje? Maszyny i ludzie z pewnością wytwarzają sporo ciepła. Ze ścian powinna chyba kapać woda?

– To wcale nie jest głupie pytanie. To bardzo dobre pytanie. Kiedy tu przyjechaliśmy, stwierdziliśmy, że gorące spaliny, wyrzucane przez silnik maszyny do

odwiertów, powodują topnienie kilku ścian, zainstalowaliśmy więc na poziomie C urządzenie chłodzące. Jest sterowane termostatem, tak ustawionym, by niezależnie od ilości wytwarzanego na stacji ciepła, stale utrzymywała się tu temperatura minus jeden stopień Celsjusza. A ponieważ na zewnątrz temperatura wynosi prawie minus trzydzieści stopni, system chłodzący jednocześnie ogrzewa nam powietrze.

– Bardzo sprytnie – mruknął Schofield, nie przestając się rozglądać wokół siebie.

Jego wzrok zatrzymał się na jadalni. Za stołem, razem z członkami personelu Wilkes, siedzieli Luc Champion i trzej pozostali francuscy naukowcy. Porucznik przez chwilę obserwował ich uważnie, głęboko się nad czymś zastanawiając.

– Zabierzcie nas do domu? – odezwała się nagle zza jego pleców Kirsty.

Schofield jeszcze spoglądał na Francuzów w jadalni, a potem odwrócił się i popatrzył na dziewczynkę.

– Nie możemy. Ale wkrótce przybędą ludzie, którzy się tym zajmą. My jesteśmy tu po to, by się wami zaopiekować do ich przybycia.

Schofield i Hensleigh szli szybko szerokim lodowym tunelem. Tuż za nimi maszerowali Montana i Hollywood.

Byli na poziomie B, głównym poziomie mieszkalnym. Lodowy tunel skręcał tu szerokim łukiem. Po obu stronach w ścianach osadzone były drzwi, za którymi znajdowały się sypialnie, pomieszczenia socjalne, laboratoria i gabinety naukowe. Porucznik zauważył, że jedno z drzwi oznakowano charakterystycznym znakiem – składającym się z trzech koncentrycznych kręgów ostrzeżeniem przed niebezpiecznymi biologicznymi materiałami. Prostokątna plakietka pod rysunkiem informowała: LABORATORIUM BIOTOKSYN.

– Kiedy przyjechaliśmy na McMurdo, powiedzieli nam, że Renshaw to zrobił, ponieważ uważał, że ten drugi gość kradł mu wyniki badań czy coś w tym stylu – oświadczył porucznik.

– Rzeczywiście tak było – przyznała Hensleigh, nie zwalniając kroku. Popatrzyła na Schofielda. – To kompletne wariactwo.

Doszli do końca tunelu, gdzie znajdowały się kolejne osadzone w lodzie drzwi. Były zamknięte i zablokowane umieszczoną w połowie wysokości grubą drewnianą belką.

– James Renshaw... – mruknął porucznik. – To on znalazł statek kosmiczny?

– Tak. Ale sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana.

Po przybyciu na stację McMurdo Schofield otrzymał krótki raport, z którego wcale nie wynikało, by Stacja Lodowa Wilkes była czymś szczególnym. Przebywał tu zwykły zespół naukowców: studiujący faunę oceaniczną oceanobiolodzy, badający zamrożone w lodzie skamieliny paleontolodzy, szukający zasobów naturalnych, geolodzy oraz geofizycy – był nim także James Renshaw – za pomocą głębokich

odwiertów próbujący zdobyć próbki uwięzionych w lodzie przed tysiącleciami gazów.

Obiektem szczególnym uczyniło Stację Lodową Wilkes to, że dwa dni przed nadaniem przez Abby Sinclair wezwania pomocy wysłano z niej również inny sygnał o wysokim priorytecie. Było to żądanie przysłania na Wilkes oddziału żandarmerii wojskowej.

Dokładniej nic nie było wiadomo, ale wyglądało na to, że jeden ze stacjonujących na Wilkes naukowców zabił kolegę po fachu.

Porucznik spojrzął na zablokowane drzwi i pokręcił głową. Naprawdę nie miał czasu na takie rzeczy. Jego rozkazy były jednoznaczne:

ZABEZPIECZYĆ STACJĘ. ZBADAĆ STATEK KOSMICZNY.
ZWERYFIKOWAĆ JEGO POCHODZENIE. CHRONIĆ GO PRZED STRONAMI
TRZECIMI DO CHWILI PRZYBYCIA WSPARCIA.

Schofield doskonale pamiętał ciasne pomieszczenie odpraw na pokładzie „Shreveport” i dolatujący z głośnika głos podsekretarza obrony:

– Poruczniku, strony trzecie z pewnością również odebrały wezwanie pomocy. Jeżeli naprawdę tam na dole jest pozaziemski statek kosmiczny, można się spodziewać, że ktoś zechce go przejąć. Rząd Stanów Zjednoczonych chciałby uniknąć takiej sytuacji. Pańskim zadaniem jest ochrona tego statku, nic więcej. Powtarzam: pańskim zadaniem jest ochrona statku kosmicznego. Wszystkie inne względy mają drugorzędne znaczenie. Chcemy mieć ten statek.

Ani razu nie wspomniano o bezpieczeństwie znajdujących się na stacji amerykańskich naukowców, co oczywiście nie uszło uwagi Schofielda. Sarah Hensleigh najwyraźniej także się tego domyślała.

WSZYSTKIE INNE WZGLĘDY MAJĄ DRUGORZĘDNE ZNACZENIE.

Niezależnie jednak od wszystkiego – dopóki istniało ryzyko, że któryś z rezydentów stacji może być powodem kłopotów – Schofield nie mógł sobie pozwolić na wysłanie kogokolwiek na dół w celu zbadania statku.

– No dobrze – mruknął w końcu. Nadal patrzył na drzwi, ale zwracał się do Hensleigh. – Co tu jest grane?

Odpowiedziała natychmiast i bez wahania:

– Renshaw to geofizyk ze Stanfordu. Bada głębokie warstwy lodu w ramach studium doktoranckiego. Jego promotorem jest... był... Bernie Olson. Badania, które prowadził Renshaw, były bardzo nowatorskie: pobierał próbki ze znacznie większych głębokości niż ktokolwiek dotychczas, czasem docierał nawet kilometr pod powierzchnię.

Schofield słyszał co nieco o tej metodzie badań. Polegała ona na wykonywaniu w lodowcu szelfowym odwiertu o średnicy mniej więcej trzydziestu centymetrów i wyciąganiu z jego dna cylindra lodu zwanego rdzeniem. W rdzeniach pobranych

z dużych głębokości zamknięte są pęcherzyki gazów, pochodzących sprzed tysiącleci.

– W każdym razie – mówiła dalej Sarah – kilka tygodni temu Renshaw dotarł do warstwy wypiętrzonego lodu o pochodzeniu prehistorycznym, który kiedyś w przeszłości przemieścił się w wyniku trzęsienia ziemi i został wypchnięty ku powierzchni. Okazało się, że pobrany rdzeń zawiera pęcherzyki powietrza mającego ponad trzysta milionów lat. Coś takiego to życiowe odkrycie. Renshaw miał możliwość zbadania atmosfery, z którą jeszcze nikt się nie zetknął, możliwość dowiedzenia się, jaki był skład powietrza ziemskiego przed pojawieniem się dinozaurów. – Sarah Hensleigh wzruszyła ramionami. – Dla naukowca to jak garnek złota na końcu tęczy. Same honoraria za tournée z wykładami oznaczałyby fortunę.

– Tyle że efekt tych badań okazał się jeszcze bardziej zaskakujący.

– No właśnie... Kilka dni temu Renshaw zmienił nieco kąt wiercenia i na głębokości pięciuset metrów, pośrodku warstwy lodu sprzed czterystu milionów lat, natrafił na metal... – Sarah przerwała, by to, co powiedziała, dotarło do Schofielda. Porucznik nie odzywał się, więc po chwili znów zaczęła mówić: – Opuściliśmy na dół dzwon, porobiliśmy badania lodu echosondą i stwierdziliśmy, że w miejscu, w którym powinien tkwić ten prehistoryczny metal, znajduje się coś w rodzaju grotu. Dalsze badania wykazały, że na głębokości tysiąca metrów jest wyjście tunelu, wznoszącego się stromo w górę i dochodzącego do grotu. Posłaliśmy więc na dół nurków i wtedy Austin zobaczył statek kosmiczny. Zaraz potem wszyscy nurkowie zniknęli.

– Jaki to ma związek ze śmiercią Bernarda Olsona?

– Olson był promotorem Renshawa i cały czas patrzył mu przez ramię. W końcu Renshaw zaczął dostawać paranoi. Stwierdził, że Bernie kradnie mu wyniki badań i zamierza je opublikować jako własne odkrycie. Musi pan wiedzieć, że Bernie miał kontakty z naukowymi czasopismami, znał paru wydawców. Mógł załatwić sobie wydanie artykułu w miesiąc, a James Renshaw, nieznany doktorant, na pewno potrzebowałby na to więcej czasu. Tak więc James uznał, że Bernie chce mu ukraść jego garnek złota. Kiedy natknął się na dole na metal i zorientował się, że Bernie to także zamierza opisać w swoim artykule, odbiło mu.

– I wtedy zabił Olsona?

– Tak. W ubiegły piątek wieczorem. Poszedł do kwatery Berniego i zaczął się na niego drzeć. Wszyscy to słyszeliśmy. Był wściekły i zupełnie nad sobą nie panował, ale ponieważ już nieraz byliśmy świadkami podobnego przedstawienia, nie przejęliśmy się zbyt. Tym razem jednak zabił Olsona.

– Jak? – zapytał Schofield, wciąż nie odrywając oczu od zamkniętych drzwi.

– Wbił... – Sarah zawahała się – ...wbił mu w szyję igłę i wstrzyknął zawartość strzykawki.

– Co było w strzykawce?

– Przemysłowy płyn do czyszczenia rur kanalizacyjnych.
– Urocze... – Porucznik skinął głową w kierunku drzwi. – Jest w środku?
– Tak. Zamknął się zaraz po zabójstwie. Nabrał jedzenia na tydzień i powiedział, że jeżeli ktokolwiek spróbuje do niego wejść, też go zabije. Uznaliśmy, że oszalał, więc pewnego wieczoru – dzień przed wysłaniem na dół nurków – zablokowaliśmy drzwi od zewnątrz. Ben Austin umocował po obu stronach prowadnice, w które wsunęliśmy belkę. Potem Austin dodatkowo zablokował jeszcze drzwi pistoletem do nitowania.

– Żyje? – spytał Schofield.

– Żyje. Teraz go nie słyhać, co oznacza, że prawdopodobnie śpi, ale kiedy się obudzi, z pewnością zorientuje się pan natychmiast, że tam jest.

– No, no... – mruknął porucznik, badając ościeżnicę i przyglądając się nitom. – Pani kolega wykonał kawał dobrej roboty. – Odwrócił się od drzwi. – Jeżeli ten człowiek jest zamknięty w środku... ma pani pewność, że nie ma stąd innego wyjścia?

– Nie, jest tylko jedno.

– Na pewno nie ma innej możliwości wydostania się z tego pomieszczenia? Nie mógłby się jakoś przekopać? Przez ściany albo przez sufit?

– Sufity i podłogi są wzmocnione stalą, więc nic z tego. W dodatku ten pokój znajduje się na końcu korytarza, po bokach nie ma innych kwater i ściany są tu bardzo grube. – Sarah Hensleigh uśmiechnęła się krzywo. – Nie sądzę, by mógł się stąd wydostać.

– Wobec tego zostawmy go w środku – mruknął Schofield i ruszył z powrotem lodowym korytarzem. – Mamy inne zmartwienia. Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, co się stało z waszymi nurkami w grocie na dole.

Nad Waszyngtonem jasno świeciło słońce. Kapitol jarzył się biało na tle wspaniałego błękitnego nieba.

Właśnie zarządzono przerwę w spotkaniu i w wyłożonej czerwonym dywanem sali w rogu budynku zaczęto zamykać teczki z dokumentami. Odsuwano fotele. Kilku delegatów zdjęło okulary i przetarło oczy. Kiedy ogłoszono przerwę, ku uczestnikom narady natychmiast ruszyły grupki asystentów – z telefonami komórkowymi, teczkami na akta, faksami.

– O co im chodzi? – spytał swojego asystenta stały reprezentant USA George Holmes, obserwując dwunastoosobową francuską delegację, opuszczającą salę, w której prowadzono negocjacje. – Już po raz czwarty poprosili o przerwę.

Szczególnie uważnie przyglądał się Pierre'owi Dufresne, szefowi misji francuskiej – pompatycznemu, snobistycznemu mężczyźnie, który opuszczał salę na czele swojej

grupy.

George Holmes był dyplomata przez całe życie. Skończył właśnie pięćdziesiąt pięć lat, był niski i choć nie lubił się do tego przyznawać – miał lekką nadwagę. Jego okrągłą twarz otaczała podkowa siwiejących włosów, a okulary w grubych rogowych oprawkach sprawiały, że oczy wydawały się większe.

Wstał, by rozprostować nogi, i rozejrzał się po ogromnej sali konferencyjnej. Wokół stojącego pośrodku ogromnego okrągłego stołu rozstawiono szesnaście wygodnych, obitych skórą foteli.

Celem spotkania było potwierdzenie sojuszu.

Sojusze międzynarodowe bynajmniej nie są zawierane w tak przyjaznej atmosferze, jak to przedstawia telewizja. Kiedy prezydenci i premierzy wychodzą z Białego Domu i przed flagami swoich krajów ściskają sobie ręce, wcale nie oznacza to, że puszczono w niepamięć wcześniejsze łamanie obietnic i podstępne rozgrywki, odbywające się w salach podobnych do tej, w jakiej znajdował się obecnie George Holmes. Uśmiechy i uściski rąk przeznaczone dla kamer to lukier na wieloskładnikowych ciastach, wypiekanych przez zawodowych dyplomatów pokroju Holmesa.

Sojusze międzynarodowe nie są wyrazem przyjaźni. Ich celem jest uzyskanie przewagi. Jeżeli przyjaźń daje przewagę – jest pożądana. Jeżeli nie – może się okazać, że wystarczą jedynie uprzejme kontakty. Międzynarodowa przyjaźń – pomoc zagraniczna, lojalność wojskowa i porozumienia handlowe – może okazać się bardzo kosztownym interesem, nie zawiera się jej więc lekkomyślnie.

Właśnie dlatego George Holmes tkwił tego upalnego, letniego dnia w Waszyngtonie. Był negocjatorem. I to negocjatorem doskonale wyszkolonym we wszystkich subtelnościach protokołu dyplomatycznego.

Ponieważ nie było to zwyczajne potwierdzenie sojuszu, potrzebował wszystkich umiejętności, wymaganych w dyplomatycznym fechtunku.

Chodziło o potwierdzenie najważniejszego sojuszu dwudziestego wieku.

Paktu Północnoatlantyckiego.

NATO.

– Phil, czy wiedziałeś, że przez ostatnie czterdzieści lat jedynym celem francuskiej polityki zagranicznej było unicestwienie amerykańskiej dominacji nad Zachodem? – zapytał Holmes, kiedy czekali na powrót francuskiej delegacji.

Jego asystent, Phillip Munro, dwudziestopięcioletni absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Harvarda, przez chwilę wahał się, zanim odpowiedział. Nie był pewien, czy to jedynie retoryczne pytanie. Holmes obrócił się w fotelu i popatrzył na niego przez grube szkła.

– Nie, sir, nie wiedziałem. Dyplomata w zamyśleniu pokiwał głową.

– Uważają nas za prostaków i głupców. Według nich jesteśmy trąbiącymi piwsko wieśniakami, którzy dziwnym trafem dostali w łapska najpotężniejszą na świecie broń i dzięki temu stali się przywódcami. Czują się przez to urażeni, a ponieważ uważają, że NATO służy zachowaniu wpływów Stanów Zjednoczonych w Europie, Francja nie jest nawet pełnym członkiem.

Holmes prychnął pogardliwie. Pamiętał, jak w 1966 roku Francja wystąpiła ze struktur wojskowych, ponieważ nie chciała, by francuską broń atomową kontrolowało NATO – a więc i USA. Prezydent Francji, Charles de Gaulle, powiedział wtedy wprost, że Pakt Północnoatlantycki to „organizacja amerykańska”. Obecnie Francja miała jedynie miejsce w Radzie NATO – zachowała je, by mieć oko na to, co się dzieje.

– Wielu ludzi podziela ich stanowisko – stwierdził Munro. – Naukowcy, ekonomiści. Wszyscy oni uważają, że NATO istnieje właśnie po to, aby zachować nasze wpływy w Europie.

Holmes uśmiechnął się. Munro okazał się dobrym nabytkiem. Był żarliwym liberałem – „porozmawiajmy o filozofii przy kawie” – i typem człowieka walczącego o lepszy świat, choć prawdopodobnie sam nie bardzo wiedział, jak ten świat miałby wyglądać. Holmesowi to nie przeszkadzało, uważał to nawet za interesujące.

– A jakie jest twoje zdanie, Phil? – spytał. Munro milczał przez kilka sekund.

– NATO sprawia, że w zakresie obrony kraje europejskie są ekonomicznie i technologicznie zależne od Stanów Zjednoczonych – odparł w końcu. – Nawet wysoko rozwinięte kraje, takie jak Francja i Anglia, wiedzą, że jeśli chcą mieć dostęp do najlepszych systemów broni, nie mogą się izolować. Pozostawia im to dwie opcje: albo muszą przyjść do naszych drzwi z kapeluszem w rękach, albo wstąpić do NATO. O ile wiem, Stany Zjednoczone nie sprzedały ani jednej rakiety Patriot żadnemu krajowi niebędącemu członkiem NATO... Tak, uważam, że NATO służy zachowaniu naszych wpływów w Europie.

– Niezła analiza, Phil. Pozwól jednak, że coś ci powiem... Oczywiście prawdą jest, iż Biały Dom dąży do utrwalenia powszechnego przekonania, że narodowe bezpieczeństwo USA zależy od utrzymania naszych wpływów w Europie. Chcemy zachować nasze wpływy w Europie – tak w sektorze ekonomicznym, jak i technologicznym. Francja natomiast chce, żebyśmy je utracili, i od dziesięciu lat kolejne francuskie rządy konsekwentnie realizują politykę podkopywania amerykańskich wpływów w Europie.

– Przykład?

– Wiedziałeś, że to Francja była główną siłą stojącą za utworzeniem Unii Europejskiej?

– Hm... nie. Sądziłem, że...

– Wiedziałeś, że to Francja stała za utworzeniem Unii Zachodnioeuropejskiej?
Przez chwilę panowała cisza.

– Wiedziałeś, że to właśnie Francja subsydiuje Europejską Agencję Kosmiczną ESA, kontrolującą wysokość opłat za wynoszenie na orbitę satelitów komercyjnych?

– Nie, nie wiedziałem.

– Synu, przez ostatnie dziesięć lat Francja próbowała zjednoczyć Europę bardziej usilnie niż kiedykolwiek przedtem. Określają to mianem dumy regionalnej. My nazywamy to „próbą powiedzenia narodom europejskim, że nie potrzebują Ameryki”.

– A czy Europa rzeczywiście ciągle jeszcze potrzebuje Ameryki? – zapytał Munro. Było to podchwytliwe pytanie.

Holmes obdarzył swojego młodego asystenta krzywym uśmiechem.

– Dopóki Europa nie dorówna nam uzbrojeniem, będzie nas potrzebować. Tym, co najbardziej frustruje Francuzów, są nasze technologie obronne. Nie umieją im dorównać. Pozostali zbyt daleko w tyle, i to doprowadza ich do wściekłości. Wiedzą, że dopóki będziemy ich wyprzedzać, są od nas zależni. Jeżeli jednak – Holmes podniósł w górę palec – udałoby im się zdobyć coś nowego, skonstruować coś, co przewyższyłoby naszą technologię, sytuacja mogłaby się zmienić. Nie żyjemy w roku sześćdziesiątym szóstym, świat się zmienił. Gdyby Francja wystąpiła teraz z NATO, sądzę, że razem z nią odmaszerowałaby połowa innych europejskich krajów...

W tym momencie otworzyły się drzwi i do sali wróciła prowadzona przez Pierre’a Dufresne delegacja Francji.

Kiedy francuscy delegaci usiedli wokół stołu konferencyjnego, Holmes przysunął się do Munro.

– Najbardziej martwi mnie to, że Francuzi mogą być bliżej odkrycia tej nowej technologii, niż nam się wydaje. Popatrz na nich. Już cztery razy przerywali posiedzenie. Cztery razy. Wiesz, co to oznacza?

– Co?

– Przeciągają spotkanie. Przedłużają je. Robi się tak jedynie wtedy, gdy czeka się na jakąś informację. Dlatego wciąż żądają przerw – żeby móc porozumieć się ze swoim wywiadem i uaktualnić cel, do którego dążą. Być może gra idzie o dalsze istnienie NATO...

Smukły czarny łeb bezgłośnie przebił powierzchnię. Po obu stronach błyszczącego, tępego pyska tkwiły czarne, groźnie wyglądające ślepia.

Kilka sekund później obok pierwszego łba pojawił się taki sam drugi i zwierzęta z zaciekawieniem zaczęły obserwować krzątaninę na poziomie E.

Obie orki w basenie na dole Stacji Lodowej Wilkes były dość niewielkimi przedstawicielami swojego gatunku – choć każda ważyła blisko pięć ton. Od czubka

nosa do końca ogona miały przynajmniej po pięć metrów.

Po chwili, ignorując panującą wokół aktywność – na metalowym brzegu porucznik Schofield pomagał właśnie dwóm nurkom zakładać skafandry – oba drapieżne delfiny zaczęły krążyć po basenie, prześlizgując się raz za razem tuż obok dzwonu ratunkowego, zanurzonego mniej więcej do połowy na środku tafli wody.

Schemat ruchów orzek był przedziwny, choć wyglądało na to, że jest przemyślany i celowy – kiedy jeden delfin-zabójca na coś patrzył, drugi spoglądał w przeciwnym kierunku. Mogło się wręcz wydawać, że czegoś szukają, czegoś bardzo określonego...

– Rozglądają się za Wendy – oświadczyła Kirsty, która spoglądała na wodę z pomostu poziomu C. Miała głuchy i pozbawiony emocji głos, nieoczekiwanie chropawy jak na dwunastolatkę.

Minęły niemal dwie godziny od przybycia Schofielda i jego ludzi na stację. Porucznik stał na poziomie E, przygotowując dwóch ludzi do zejścia w „Douglasie Mawsonie”. Mieli się dowiedzieć, co z Austinem i resztą.

Zanim orki się wynurzyły, mała z zaciekawieniem obserwowała Schofielda i dwóch szykujących się marines. Tuż obok niej było jeszcze dwoje ludzi – obsługujących wyciągarke.

Kirsty od razu polubiła tę dwójkę. W odróżnieniu od innych, starszych marines, którzy na jej przyjazne powitanie reagowali jedynie mruknięciem, ci byli młodzi i przyjacielscy. Dziewczynka z radością zauważyła, że jeden z żołnierzy to kobieta.

Starszy kapral Elizabeth Gant była niewysoka, ale bardzo sprawna fizycznie, a trzymane przez nią MP5 wyglądało, jakby stanowiło przedłużenie jej ramienia. Pod hełmem i za lustrzanymi, przeciwodblaskowymi okularami kryła się twarz inteligentnej i atrakcyjnej dwudziestosześcioletki. Jej przydomek operacyjny „Lis” był komplementem, a nadali go jej pełni podziwu koledy. Libby Gant również przyglądała się krążącym powoli po basenie drapieżnikom.

– Rozglądają się za Wendy? – powtórzyła i spojrzała na leżącą obok na pomoście foczkę, która w tym momencie nerwowo odsunęła się od krawędzi, jakby nie chciała, by krążące kilkanaście metrów niżej ją dostrzegły.

– Niezbyt ją lubią – wyjaśniła Kirsty.

– Dlaczego?

– To młodzież. Chłopcy. Nie lubią nikogo. Zachowują się, jakby musieli coś udowodnić... że są więksi i silniejsi od wszystkich innych zwierząt. Typowe dla chłopaków. Większość orzek w okolicy żywi się małymi krabojadami, ale te dwie zauważyły kilka dni temu, jak Wendy pływa w basenie, i od tego czasu ciągle się tu zjawiają.

– Co to jest krabojad? – spytał obsługujący wyciągarke Hollywood Todd.

– Rodzaj foki – odparła dziewczynka. – Dużej, tłustej foki. Orki pożerają je trzema ugryzieniami.

– Żrą foki? – spytał zaskoczony Hollywood.

– Właśnie – potwierdziła Kirsty.

– Coś takiego! – Hollywood z trudem ukończył szkołę średnią i niezbyt kochał uczone księgi. Szkoła była dla niego trudnym okresem życia. Dwa tygodnie po jej skończeniu wstąpił do piechoty morskiej i do dziś uważał, że była to najlepsza decyzja, jaką podjął w życiu.

Popatrzył na Kirsty, próbując ocenić jej wzrost i wiek.

– Skąd to wszystko wiesz? Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Dużo czytam.

– O!

Stojąca obok Libby Gant zaczęła się cicho śmiać.

– Z czego się śmiejesz? – spytał Hollywood.

– Z ciebie – odparła Libby. – Zastanawiałam się, ile ty czytasz. Hollywood przekrzywił głowę.

– Czytam.

– Oczywiście...

– Naprawdę.

– Komiksy się nie liczą, Hollywood.

– Czytam nie tylko komiksy.

– No tak, zapomniałam o prenumeracie „Hustlera”. Tym razem Kirsty również zachichotała. Hollywood zmarszczył czoło.

– Ha, ha. Jasne, oczywiście. Ale przynajmniej wiem, że nie zostanę profesorem uniwersytetu, i nie próbuję stać się kimś, kim nie jestem. – Uniósł brwi i popatrzył na Gant. – A co z tobą, Dorothy? Próbowałaś kiedyś być kimś, kim nie jesteś?

Libby Gant opuściła lekko okulary, ukazując błękitne jak niebo oczy. Popatrzyła smutno na swojego kolegę.

– Nie bądź złośliwy, Hollywood.

Kirsty popatrzyła na nich zdezorientowana. Kiedy przedstawiano ją Gant, powiedziano, że kobieta-żołnierz ma na imię Libby i nosi przydomek Lis. Po chwili zapytała niepewnie:

– Dlaczego on nazwał cię Dorothy?

Gant nie odpowiedziała, pokręciła jedynie głową. Dziewczynka odwróciła się do Hollywooda. Uśmiechnął się do niej tajemniczo i wzruszył ramionami.

– Wszyscy wiedzą, że Dorothy najbardziej lubi stracha na wróble*.

* [Aluzja do bohaterki Czarodzieja z Oz, Dorothy, zaprzyjaźnionej ze strachem na wróble Hunkiem.]

Hollywood uśmiechnął się, jakby to wszystko wyjaśniało, i wrócił do pracy. Kirsty nic nie rozumiała.

Gant opierała się o barierkę i obserwowała basen, kompletnie ignorując Hollywooda. Oba delfiny w dalszym ciągu rozglądały się wokół, szukając Wendy. Gdy jeden z nich zauważył Gant, przekrzywił łeb i popatrzył na nią.

– Może mnie dojrzeć z takiej odległości? – spytała Gant, zwracając się do Kirsty. – Sądziłam, że na powierzchni wody orki słabo widzą.

– Mają większe oczy od innych delfinów i waleni, więc mają lepszy wzrok także poza wodą – odparła dziewczynka. Popatrzyła na Gant i zapytała: – Znasz się trochę na nich?

– Też dużo czytam – odparła Gant, rzuciła z ukosa spojrzenie Hollywoodowi i dalej obserwowała orki.

Potężne zwierzęta powoli krążyły wokół basenu. Sunąc przez gładką wodę, sprawiały wrażenie cierpliwych i bardzo spokojnych. Czekwały na moment, kiedy pojawi się ich ofiara. Gant widziała, że Schofield i dwójka marines również obserwują krwiożercze orki.

– Jak one się tu dostają? – spytała dziewczynkę. – Wpływają pod lodowiec szelfowy?

Kirsty skinęła głową.

– Właśnie. Stacja znajduje się jakieś sto metrów od otwartego oceanu, a lodowiec szelfowy nie sięga głęboko, może na sto pięćdziesiąt metrów. Orki wpływają pod lód i wynurzają się tutaj.

Zwierzęta przepływały w tej chwili przez najbardziej oddalony punkt basenu. Gant nie mogła się nadziwić, jak spokojnie i zarazem złowieszczo wyglądają – niczym para głodnych krokodyli, szukających następnego posiłku.

Skończywszy badanie okolicy, zaczęły się powoli zanurzać. Po chwili zniknęły, pozostawiając po sobie jedynie dwa szeregi zmarszczek na wodzie. Kiedy się zanurzały, przez cały czas miały otwarte oczy.

– No, no... to było dość niesamowite – mruknęła Gant.

Jej wzrok przesunął się z pustej wody na brzeg. U wylotu południowego tunelu pojawił się Montana – z kilkoma przewieszonymi przez ramiona butlami z powietrzem. Sarah Hensleigh poradziła im, by do zwiezenia sprzętu nurkowego na pokład E użyli znajdującej się w południowym tunelu niewielkiej windy towarowej, zwanej „niemym kelnerem”, i Montana właśnie z niej skorzystał.

Spojrzenie Gant powędrowało na drugą stronę obramowania brzegu, gdzie stał Schofield. Porucznik miał spuszczone głowę i trzymał rękę przy uchu, jakby słuchał czegoś, co przekazywano mu przez interkom w hełmie. Nagle ruszył do najbliższej

drabiny, równocześnie mówiąc do mikrofonu w swoim hełmie.

Gant obserwowała, jak podchodzi do drabinki, po czym odwraca się, by popatrzeć na nią. Po chwili usłyszała w interkomie jego głos:

– Lis, Hollywood. Poziom A. Natychmiast.

Ruszyła szybko w kierunku najbliższej drabinki. Po kilku krokach powiedziała do mikrofonu:

– Co jest, sir?

Głos Schofielda był poważny, kiedy mówił:

– Coś zaktywizowało pułapkę na zewnątrz. Wąż jest na górze. Mówi, że to francuski poduszkowiec.

Wąż Kapłan skierował okular na poduszkowiec.

Napis na boku pojazdu jarzył się jasnozielono w lunetce noktowizyjnej. DUMONT D'URVILLE – 02.

Kapłan leżał w śniegu na obrzeżu stacji, walczył ze smagającym go śniegiem i uderzeniami wiatru i śledził nowo przybyły poduszkowiec przez lunetkę karabinu strzelca wyborowego typu Barrett M82A1A.

Sierżant Scott „Wąż” Kapłan był wysoki, miał czterdzieści pięć lat i ciemne, poważne oczy. Jak większość ludzi z oddziału Schofielda, „zindywidualizował” swój mundur. Na jego prawym naramienniku widniał – mocno już wyblakły – rysunek przedstawiający kobrę z szeroko rozdziawioną paszczą. Pod węzem znajdował się napis: POCAŁUJ GO.

Kapłan był zawodowym żołnierzem i służył w Korpusie Piechoty Morskiej od dwudziestu siedmiu lat. Przez ten czas doszedł do magicznego stopnia sierżanta zbrojmistrza, czyli najwyższego stopnia, jaki może osiągnąć marines, który robi wszystko, czego od niego oczekują przełożeni. Choć mógł dostać awans, postanowił pozostać sierżantem, by zachować pozycję starszego członka Oddziału Rozpoznania Piechoty Morskiej.

Członkowie oddziałów rozpoznania nie przykładają zbyt wielkiej wagi do stopni, ponieważ już sama przynależność do Oddziału Rozpoznania Piechoty Morskiej daje im przywileje, o których nie śmie marzyć wielu oficerów. Nie jest na przykład tajemnicą, że czterogwiazdkowym generałom zdarza się konsultować ze starszymi członkami oddziałów rozpoznania w sprawach dotyczących technik walki i uzbrojenia. Wąż również był kilka razy proszony o taką poradę. Ponieważ większość żołnierzy wytypowanych do oddziałów rozpoznania to sierżanci i kaprale, nie jest istotne, kto jaki stopień posiada. Jeśli służy się w zwiadzie, elicie Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, już sam ten fakt nadaje rangę.

Przed dotarciem marines do Stacji Lodowej Wilkes Wąż otrzymał polecenie

ustawienia jakieś dwieście metrów od stacji, od strony ładu, pułapki z promieniem laserowym. W rzeczywistości urządzenie to niewiele się różniło od zamontowanych na poduszkowcach dalmierzy. Składało się z kilku niewielkich pudełek, przez które przechodził cienki laserowy promień. Gdyby cokolwiek go przecięło, wyzwoliłoby migotanie czerwonej lampki na opancerzeniu prawego przedramienia Kapłana.

Kilkanaście sekund temu coś przecięło promień.

Z posterunku na poziomie A Kapłan natychmiast poinformował o tym Schofielda, który polecił mu prowadzić obserwację wzrokową. W końcu mógł to być Buck Riley, wracający po sprawdzeniu, co się stało z sygnałem, który zniknął, gdy dojeżdżali do stacji. Porucznik polecił mu zgłosić się po dwóch godzinach, a tyle mijało właśnie od przybycia pierwszej grupy na Wilkes. Buck Riley i jego ludzie powinni zjawić się lada chwila.

Nie był to jednak Buck Riley.

– Gdzie, Wąż? – rozległ się w słuchawkach sierżanta głos Schofielda.

– Południowo-wschodni róg. Przejeżdżają między budynkami na zewnętrznym obwodzie – odparł Wąż, obserwując poruszający się powoli pojazd śniegowy, ostrożnie wybierający drogę między zasypanymi śniegiem bryłami budynków. – Gdzie jesteście? – spytał po chwili.

– Przy głównym wejściu – odparł porucznik. – W środku, tuż za drzwiami. Chciałbym, abyś osłonił mnie od tyłu.

– Robi się – mruknął Kapłan, po czym podniósł karabin i truchtem ruszył w kierunku głównej kopuły.

Pędzący z wiatrem śnieg ograniczał widoczność, poduszkowiec poruszał się więc bardzo powoli. Sierżant biegł równoległe do toru poruszania się pojazdu, w odległości mniej więcej stu metrów. Wkrótce poduszkowiec zatrzymał się przed głównym wejściem do stacji. Kiedy Wąż rzucił się w śnieg w odległości czterdziestu metrów i zaczął ustawiać karabin, pojazd powoli opadł na lód.

Ledwie sierżant przytknął oko do wizjera lunetki, drzwi poduszkowca się odsunęły i w burzę śnieżną wyszły cztery postacie.

– Dobry wieczór – powiedział Schofield z krzywym uśmiechem.

Czwórka francuskich naukowców zatrzymała się nieruchomo w wejściu. Byli kompletnie zaskoczeni. Stali dwójkami i każda z nich niosła duży, biały kontener.

Porucznik podszedł do nich i swobodnie opuścił swoje MP5. Za plecami miał Hollywooda i Montanę – z uniesionymi i wycelowanymi we Francuzów MP5.

– Dlaczego panowie nie wchodzi? – spytał Schofield.

– Pozostali są bezpieczni w d'Urville – powiedział przywódca przybyszy, kiedy usiedli przy stole w jadalni. Wcześniej zostali przeszukani, tak jak inni.

Przywódca miał szczupłą twarz, zapadnięte policzki i oczy oraz wysokie kości

policzkowe. Oświadczył, że nazywa się Jean Petard – także i to nazwisko znajdowało się na pamięciowej liście Schofielda. Porucznik pamiętał zamieszczoną przy nim krótką biografię: Petard był geologiem i badał naturalne zasoby gazu na szelfie kontynentalnym. Również nazwiska pozostałych Francuzów figurowały na liście.

Pierwsza czwórka francuskich naukowców także siedziała w jadalni: Champion, Latissier, Cuvier i Rae. Inni rezydenci Wilkes wrócili do swoich kwater. Schofield rozkazał, by pozostali tam, aż jego ludzie sprawdzą pasażerów nowo przybyłego poduszkowca. Montana i starszy kapral Augustine „Samuraj” Lau, szósty i ostatni członek grupy porucznika, stali na warcie przy drzwiach.

– Przyjechaliśmy najszybciej, jak mogliśmy – dodał Jean Petard. – Przywieźliśmy świeże jedzenie i kilka elektrycznych koców na drogę powrotną.

Porucznik popatrzył na Libby Gant, która w głębi jadalni sprawdzała przyniesione przez Francuzów kontenery.

– Dziękuję – powiedział, odwracając się do Petarda. – Dziękuję za wszystko, co zrobiliście. Przybyliśmy niewiele godzin po was i ludzie ze stacji opowiedzieli nam, co dla nich zrobiliście.

– Trzeba dbać o sąsiadów – odparł Petard doskonałą angielszczyzną i uśmiechnął się krzywo. – Nigdy nie wiadomo, kiedy samemu będzie się potrzebować pomocy.

– To prawda – przyznał Schofield.

W tym momencie w jego słuchawkach zaskrzeczał głos Węża:

– Poruczniku, kolejny obiekt przecina pułapkę.

Schofield zmarszczył czoło. Sprawy zaczynały się toczyć w nieco zbyt szybkim tempie. Z czterema francuskimi naukowcami mógł sobie poradzić, kolejnych czterech oznaczało, że Francuzi dość intensywnie interesują się Stacją Lodową Wilkes. Jeśli miało być ich jeszcze więcej...

– Poruczniku, chwileczkę. To nasi. To poduszkowiec Rileya. Schofield odetchnął z ulgą, mając cichą nadzieję, że nikt tego nie zauważył, i wyszedł z jadalni.

Pod ścianą jadalni Libby Gant grzebała w dużych kontenerach, które przynieśli ze sobą francuscy naukowcy. Odsunęła na bok kilka koców i parę bochenków chleba. Na dno kontenera włożono trochę puszek mięsa – mielonkę, szynkę i inne konserwy. Każda miała z boku kluczyk, którym odwijało się pasek metalu, by zdjąć wierzchnie denko.

Kiedy Gant odsunęła kilka puszek na bok, by zajrzeć na spód kontenera, jedna z nich zwróciła jej uwagę.

Coś z nią było nie tak.

Była trójkątna w przekroju i nieco większa od pozostałych. Z początku Gant nie umiała powiedzieć, co w tej puszcze przyciągnęło jej uwagę. Po prostu coś było nie tak, jak należy...

Nagle zrozumiała, co to takiego.

ZAMKNIĘCIE ZOSTAŁO NARUSZONE.

Służący do otwierania pasek blachy wyglądał, jakby go oderwano, po czym z powrotem włożono na miejsce. Zmiana była ledwie widoczna – wokół blaszki powstała jedynie cienka czarna kreska. Przy pobieżnych oględzinach puszkę nie dałoby się tego zauważyć.

Gant odwróciła się, szukając wzrokiem Schofielda, ale już go nie było. Szybko popatrzyła na Francuzów i zauważyła, że Petard wymienia ukradkowe spojrzenie z Latissierem.

Porucznik spotkał się z Buckiem Rileyem przy głównym wejściu, na pomoście poziomu A, jakieś dziesięć metrów od jadalni.

– Jak było? – spytał.

– Niedobrze.

– Co masz na myśli?

– Sygnał, który straciliśmy, pochodził z poduszki z francuskimi oznakowaniami. Z d'Urville. Wpakował się w pęknięcie w lodzie.

Schofield spojrział na Rileyę.

– Wpakował się w pęknięcie w lodzie? – Szybko rzucił okiem na siedzących w jadalni Francuzów. Przed chwilą Jean Petard oświadczył, że ich drugi poduszkiwiec dotarł bezpiecznie do d'Urville. – Co się stało? Cienki lód?

– Nie. Tak sądziliśmy z początku, potem jednak Rebound przyjrzał się temu z bliska.

Schofield odwrócił się do Rileyę.

– I...?

Riley pokręcił głową.

– Pięć trupów, sir. Wszystkich zabito strzałem w tył głowy. W hełmie porucznika wybuchł nagle głos Gant:

– Sir, tu Lis. Coś jest nie tak. Dokonano manipulacji przy pojemnikach z jedzeniem, które przywieźli. Schofield odwrócił się gwałtownie i zobaczył wychodzącą z jadalni Libby Gant. Szła szybko w jego kierunku, w rękę trzymała puszkę i zdejmowała z niej denko.

Siedzący w jadalni za jej plecami Petard wstał, popatrzył na Gant, a potem skierował wzrok na Schofielda.

Ich oczy się spotkały.

Kontakt wzrokowy trwał jedynie ułamek sekundy, ale więcej nie było potrzeba. Obaj natychmiast zrozumieli.

Gant weszła pomiędzy nich, wyciągając coś z otwartej puszkę. Przedmiot, który

wyjęła, był mały, czarny i przypominał kruszę – tyle że jego krótsza, pozioma poprzeczka była łukowato wygięta.

Kiedy Schofield ujrzał ten przedmiot, jego oczy rozszerzyły się. Otworzył usta, by krzyknąć, ale było już za późno.

Petard rzucił się w kierunku kontenerów, a Latissier – którego nie przeszukano, ponieważ był na stacji w chwili, gdy marines na nią przybyli – odrzucił połę kurtki i wyciągnął francuski karabinek szturmowy FA-MAS o krótkiej lufie. Równocześnie ten, który przedstawił się jako Cuvier, wyciągnął ręce z kieszeni, trzymając w każdej dłoni taką samą broń, jaką Libby Gant wyjęła z puszki. Kiedy kobieta zaczęła się do niego odwracać, Cuvier strzelił i jej głowa gwałtownie odskoczyła do tyłu. Gant zwała się na podłogę.

Latissier pociągnął za spust swojego karabinka szturmowego i ciszę przerwała ogłuszająca kanonada. Jadalnię zasypał grad pocisków. Łuk ołowiu przeciął powietrze jak kosa i rozerwał Augustine'a Laua na pół.

Francuz nie puszczał cyngla przez dziesięć sekund. Wszyscy padli na podłogę pod lawiną maszynowego ognia.

Stacja Lodowa Wilkes zamieniła się w pole bitwy.

Rozszalało się piekło.

DRUGIE WTARGNIĘCIE

16 CZERWCA, GODZINA 9.30

– Tu Strach na Wróble! Tu Strach na Wróble! – wrzeszczał do mikrofonu w hełmie porucznik, chowając się we wnęce. – Osiem wrogich celów! Powtarzam: osiem wrogich celów! Sześć wojskowych, dwa cywilne. Cywile prawdopodobnie ukryli broń dla komandosów, więc ich nie oszczędzajcie.

Pociski z broni Latissiera waliły w ścianę nad nim i Schofielda obsypywały kawałki lodu.

Wszystko zaczęło się od kuszy.

Każdy elitarny oddział wojskowy świata ma swoją własną, charakterystyczną broń. Dla jednostek SEAL Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, których żołnierze specjalizują się w bezpośrednich starciach, jest to Ruger pump-action, samopowtarzalna strzelba gładkolufowa kaliber 12. Dla British Special Air Service – sławnego SAS – ładunki azotowe. Dla Oddziałów Rozpoznania Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, elity piechoty morskiej USA – Armalite MH-12 Maghook, ręczna wyrzutnia specjalnej główicy, mogącej służyć jako kotwica albo silny magnes, przyklejający się do pionowych metalowych powierzchni.

Ale tylko jedna formacja tego rodzaju używa kuszy.

Jest nią Premier Regiment Parachutiste d'Infanterie de Marine, elitarna francuska jednostka, znana w Ameryce pod nazwą Pierwszego Regimentu Spadochroniarzy Marynarki. Jest to francuski odpowiednik angielskiego SAS albo amerykańskiego SEAL.

Trzeba dodać, że nie jest to jednostka regularna, jak na przykład amerykańska piechota morska. Zajmuje jakby jedno miejsce wyżej w hierarchii. Jest to oddział ofensywny, elitarna tajna siła, istniejąca tylko i wyłącznie w jednym celu: ma zaatakować i opanować wyznaczony obiekt oraz zabić wszystkich, którzy stają na drodze.

Kiedy więc Schofield zobaczył, jak Gant unosi wyjętą z puszeki małą, ręczną kuszę, natychmiast domyślił się, że Francuzi nie są naukowcami z d'Urville. Byli żołnierzami. I to żołnierzami najwyższej klasy.

Oczywiście spodziewali się, że będzie znał nazwiska wszystkich naukowców z d'Urville, przyjęli więc ich nazwiska. Aby jeszcze bardziej to wszystko urealnić, przywieźli ze sobą dwóch prawdziwych naukowców – Luca Championa i Henriego Rae, których mieszkańcy Wilkes znali osobiście.

Majstersztykiem okazał się również pomysł Francuzów, by pozwolić dowodzić sobą cywilowi, Lucowi Championowi, co ugruntowało wrażenie, że są naukowcami i spełniają polecenia swojego kierownika.

Schofield był wściekły, że pod pozorem przewiezienia w bezpieczne miejsce Francuzom udało się zabrać na pokład swojego poduszkowca pięciu rezydentów Stacji Lodowej Wilkes – Bogu ducha winnych cywili – po czym dokonali na nich regularnej egzekucji. Niemal widział, co się wtedy działo: amerykańscy naukowcy, kobiety i mężczyźni, przerażeni, błagający o życie, a francuscy żołnierze chodzą między nimi, przystawiają im lufy do karków i rozpryskują ich mózgi po wnętrzu poduszkowca...

Jeszcze bardziej złościł Schofielda fakt, że dwóch francuskich naukowców – Champion i Rae – poszło na współpracę z komandosami. Co takiego im obiecano, że zgodzili się uczestniczyć w masowym mordzie?

Odpowiedź na to pytanie była prosta.

Gdyby Francuzom udało się dostać w swoje ręce statek kosmiczny, mogliby zbadać go jako pierwsi, a to otwierało ogromne możliwości.

W słuchawkach hełmu Schofielda szalała burza głosów.

– ...odpowiedz ogniem!

– Czysto!

– Samuraj wyeliminowany! Lis wyeliminowana!

– ...nie mogę... kurwa... strzelać...

Porucznik ostrożnie wyrzwał ze swojej kryjówki i dostrzegł Gant. Leżała na plecach na pomoście, mniej więcej w połowie drogi między jadalnią a korytarzem prowadzącym do głównego wejścia. Nie poruszała się.

Przesunął wzrok na Augustine'a Laua, leżącego z rozrzuconymi na bok rękami i nogami niemal w drzwiach jadalni. Jego oczy były szeroko otwarte, twarz zalana krwią, która trysnęła mu z brzucha, kiedy trafiła go seria z pistoletu maszynowego Latissiera.

Z tunelu prowadzącego do głównego wejścia wychylił się Buck Riley i zaczął strzelać ze swojego MP5. Basowy, przypominający uderzenia werbla odgłos wystrzałów produkowanego w Niemczech pistoletu maszynowego zagłuszył blaszane rat-tat-tat francuskiego FA-MAS. Stojący obok Rileya Hollywood również zaczął strzelać.

Schofield szybko rozejrzał się wokół i zobaczył Montanę, czającego się w wejściu do zachodniego tunelu.

– Montana, wszystko w porządku? – zapytał.

Kiedy Latissier otworzył ogień, właśnie Montana i Lau znajdowali się najbliżej – obaj stali w drzwiach do jadalni. Ale zanim z automatu Francuza poleciały pociski, Montana zdołał schować się za ościeżnicą. Lau nie zdążył. Kiedy dostał serię i w agonii wykonał swój ostatni taniec – danse macabre * – Montana popęzł pomostem do najbliższego bezpiecznego miejsca – do zachodniego tunelu.

* [Taniec śmierci.]

Schofield widział, jak znajdujący się piętnaście metrów od niego Montana zaczyna mówić do mikrofonu w hełmie. Po chwili w słuchawkach rozległ się jego ponury głos:

– Potwierdzam, wszystko w porządku, Strach na Wróble. Jestem trochę przetrzepany, ale nic mi nie jest.

– Cieszę się – odparł porucznik.

Nad jego głową załomotały kolejne pociski, schował się więc za węglem. Po dwóch sekundach znów wyrzwał i w tym momencie usłyszał charakterystyczny, świszczący odgłos.

W łód, niecałe pięć centymetrów od jego prawego oka – z głośnym DUMP! – wbił się dziesięciocentymetrowy bełt.

Podniósł głowę i ujrzał Petarda – stał w jadalni z uniesioną po strzale kuszą. Ledwie strzelił, Luc Champion rzucił mu pistolet maszynowy z krótką lufą i Petard ponownie dołączył do walki, przeszywając powietrze długą serią.

Wyglądając ostrożnie zza węgła, porucznik ponownie rzucił okiem na Gant. W dalszym ciągu leżała nieruchomo na pomoście – w połowie drogi między jadalnią a tunelem prowadzącym do głównego wejścia.

Nagle poruszyła ramieniem.

Kiedy Schofield to zauważył, zaczął szybko mówić do mikrofonu:

– Tu Strach na Wróble, tu Strach na Wróble! Lis żyje. Powtarzam: Lis żyje! Jest na otwartym terenie. Potrzebuję osłony, by po nią iść. Potwierdzić!

Natychmiast po kolei odezwały się głosy wszystkich członków grupy, jakby odczytywano listę obecności.

– Hollywood, potwierdzam!

– Rebound, potwierdzam!

– Montana, potwierdzam!

– Book, potwierdzam! – zgłosił się jako ostatni Buck Riley. – Strach na Wróble, jesteś czysty. Ruszaj!

– W porządku... teraz! – krzyknął Schofield, po czym wyskoczył z kryjówki i pobiegł na pomost.

W jednej sekundzie wszyscy pochowani wokół marines wyskoczyli z ukrycia i odpowiedzieli ogniem w kierunku jadalni. Hałas był ogłuszający. Lodowe ściany pokryły się pajęczynami pęknięć, jakby nagle chciały z nich wyskoczyć tysiące bąbli. Zmasowany ogień marines sprawił, że Latissier i Petard musieli przerwać ostrzał i poszukać osłony.

Porucznik dotarł do pomostu i padł obok Gant na kolana.

Popatrzył na jej głowę. Bełt z kuszy wbił się w przód kevlarowego hełmu Libby, a z jej czoła ciekła wąska strużka krwi, spływająca wzdłuż nosa.

Schofield pochylił się niżej i zobaczył, że strzała przebiła hełm. Niemal trzy centymetry błyszczącego ostrza przeszły przez kevlar, a jego czubek tkwił w środku czoła Gant.

Hełm zatrzymał bełt milimetry przed czaszką. Ostry jak brzytwa szpic przeciął skórę, powodując krwawienie.

– Rusz się, idziemy – powiedział porucznik, choć był pewien, że Libby go nie słyszy. Gdy ciągnął ją po pomoście w kierunku tunelu głównego wejścia, ogień osłonowy marines nie milkł nawet na sekundę.

Wciąż ciągnąc nieprzytomną Gant, Schofield błyskawicznym ruchem podniósł pistolet, wycelował i dwa razy strzelił. Jeżeli FA-MAS wydawał blaszany odgłos, a MP5 brzmiał, jakby wbijane gwoździe, to samopowtarzalny pistolet Schofielda, I.M.I. „Desert U Eagle”, huczał jak armata. Kiedy oba pociski trafiły w nasadę nosa francuskiego komandosa, jego głowa zamieniła się w krwawy rozbryzg i natychmiast zniknęła z pola widzenia.

– Spadaj stamtąd, Strach na Wróble! Ruszaj się! – zaryczał w słuchawkach porucznika głos Riley'a.

– Jestem prawie na miejscu! – krzyknął Schofield, próbując przekrzyczeć kanonadę.

Nagle w słuchawkach rozległ się inny głos – spokojny i chłodny. W tle nie było słychać strzelaniny.

– Piechota morska, tu Wąż. W dalszym ciągu jestem na posterunku na zewnątrz. Mam kontakt wzrokowy z sześcioma kolejnymi wrogimi obiektami, wysiadają z drugiego francuskiego poduszkiowca. Powtarzam: patrzę na sześciu uzbrojonych ludzi, którzy wysiadają z francuskiego poduszkiowca i idą w kierunku głównego wejścia do stacji.

Ze słuchawek doleciał odgłos strzału. To Wąż Kapłan pociągnął za spust swojego karabinu strzelca wyborowego.

– Piechota morska, tu Wąż – Zawiadamiam, że do głównego wejścia zbliża się pięć wrogich celów.

Schofield spojrzął za siebie, na prowadzący do głównego wejścia tunel. Tam właśnie zamierzał ukryć się z Gant. Riley i Hollywood już siedzieli w środku tunelu i ostrzeliwali jadalnię. Obok nich przykucnął sierżant Mitch „Szcurołap” Healy.

Nagle, bez ostrzeżenia, klatka piersiowa Healy’ego eksplodowała. Strzelono do niego z tyłu, z broni o dużej sile rażenia.

Z piersi sierżanta wytrysnęła fontanna krwi i całe ciało konwulsyjnie drgnęło. Siła uderzenia sprawiła, że tułów Mitcha zgiął się pod dziwnym kątem i Schofield usłyszał głośny trzask. To pękł kręgosłup młodego żołnierza.

Riley i Hollywood natychmiast wyskoczyli z korytarza. Strzelając w głąb tunelu do

niewidocznego wroga, szybko wycofywali się w kierunku najbliższej drabiny, którą mogliby zejść na poziom B.

Ludzie Riley, którzy badali poduszkowiec w szczelinie, dopiero w tej chwili dotarli na stację i gdy rozpoczęła się walka, znajdowali się w pobliżu głównego wejścia. Oznaczało to, że szóstka marines została uwięziona między dwoma wrogimi oddziałami: między grupą w jadalni przed nimi i oddziałem wchodzącym przez główne wejście.

Porucznik natychmiast to sobie uświadomił.

– Book! – zawołał, – Na dół! Bierz swoich chłopaków na dół!

– Właśnie się robi, Strach na Wróble.

Ale sytuacja Schofielda i Gant była jeszcze gorsza.

Zostali unieruchomieni na pomoście między jadalnią a korytarzem prowadzącym do głównego wejścia i nie mieli dokąd uciekać – nie mieli za sobą drzwi, więc nie mogli się schować w jakimś pomieszczeniu, nie było też w pobliżu żadnej wnęki, w której dałoby się przykucnąć. Mieli do dyspozycji jedynie metrowej szerokości ażurowy pomost – z jednej strony zamknięty pionową ścianą lodu, z drugiej dwudziestopięciometrową przepaścią.

Lada chwila z korytarza prowadzącego do głównego wejścia wypadnie drugi oddział Francuzów i natychmiast ich zobaczy.

Tuż obok głowy Schofielda eksplodował kawał lodu i porucznik gwałtownie się odwrócił. Petard znów puszczał z jadalni długą serię z karabinka szturmowego. Porucznik oddał w jego kierunku sześć szybkich strzałów, a potem ponownie spojrzął w kierunku głównego wejścia.

Mamy jeszcze najwyżej dziesięć sekund, pomyślał.

– Cholera... – zaklął i popatrzył na nieprzytomną Gant. – Jasna cholera...

Wychylił się przez barierkę pomostu i spojrzął na krąg wody w dole stacji. Nie mogła być dalej jak dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów. Mogliby przeżyć...

NIE, TO NIEMOŻLIWE.

Popatrzył na pomost, na którym się znajdowali, a potem na lodową ścianę powyżej.

– Strach na Wróble, spadaj stamtąd! – wrzasnął Montana, który także był na pomoście, ale od południowej strony, i mógł zaglądać w głąb znajdującego się po drugiej stronie szybu głównego tunelu, prowadzącego do głównego wejścia.

Cokolwiek tam widział, z pewnością nie napawało go optymizmem.

– Właśnie próbuję – odparł Schofield.

Strzelił jeszcze dwa razy w kierunku Petarda, po czym włożył pistolet do kabury.

Szybko sięgnął przez ramię i wyciągnął z pochwy na plecach maghooka. Armalite MH-12 jest z wyglądu nieco podobny do starego thompsona – ma dwa uchwyty

pistoletowe – jeden normalny, ze spustem, i drugi dodatkowy, umieszczony z przodu, tuż pod lufą. Tak więc w rzeczywistości maghook jest krótką, dwuręczną wyrzutnią, wystrzeliwującą z niesamowitą prędkością głowicę.

Leżąca u stóp porucznika Libby zaczęła jęczeć.

Schofield wycelował w lodową ścianę i strzelił. Głowica wyprysnęła z lufy i gdy uderzyła w lód, rozległo się głośnie, metaliczne tąpnięcie. Kiedy przebiła ścianę jadalni i znalazła się po drugiej stronie, na boki natychmiast rozsunęły się „pazury”, tworząc kotwicę.

– Strach na Wróble! Ruszaj się!

Porucznik odwrócił się i zobaczył, że Gant podnosi się niepewnie na nogi.

– Obejmij mnie – polecił jej.

– Co...?

– Nieważne. Trzymaj się! – Zarzucił jej ręce wokół swojej szyi. Stali bardzo blisko siebie, niemal nos w nos. W każdych innych okolicznościach wyglądałoby to na miłosny uścisk, sprawiałoby wrażenie zamierzających pocałować się kochanków, nie teraz jednak. Trzymając mocno Libby, porucznik odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i oparł pośladki o barierkę pomostu.

Spojrzał w głąb tunelu prowadzącego do głównego wejścia i ujrzał cienie, poruszające się szybko w mroku pod ścianami. Z tunelu poleciały pociski.

– Trzymaj się mocno – powiedział do Gant, a potem chwycił oburącz znajdującego się za plecami dziewczyny maghooka i ciasno opleciony jej ramionami, przeniósł ciężar do tyłu. Wypadli za barierkę i polecili w pustkę.

Ledwie Schofield i Gant odpadli od barierki, w metal załomotał grad pocisków. Tuż nad ich głowami wystrzeliła kaskada jaskrawych iskier.

Lecieli pionowo w dół.

Linka maghooka rozwijała się nad nimi. Śmignęli, mijając poziom B i znajdujących się na nim Rileya i Hollywooda, który na widok przelatujących tuż obok niego dwóch ciał gwałtownie się odwrócił.

Porucznik wcisnął czarny guzik na przednim uchwycie miotacza i w linkę wgryzł się mechanizm blokujący.

Zatrzymali się z gwałtownym szarpnięciem tuż pod poziomem B, a siła rozpędu sprawiła, że zniosło ich ostrym bujnięciem w kierunku pomostu i błyskawicznie znaleźli się nad pomostem poziomu C. Skoczyli.

Kiedy stopy Schofielda dotknęły pomostu, dwukrotnie wcisnął guzik na uchwycie. Pazury wbitej w ścianę kotwicy natychmiast schowały się z głośnym szcękaniem i złożony hak wysunął się z dziury, którą wybił. Kotwica pomknęła w dół, ściągana przez nawijarkę w maghooku. Po kilku sekundach sprzęt został złożony, a porucznik i Gant wskoczyli w najbliższe otwarte drzwi.

– Granat! – wrzasnął głos w słuchawkach.

Riley i Hollywood wyprysnęli z północnego tunelu na poziomie B i zanurkowali za róg.

Ledwie schowali się za węglem, tunelem, w którym jeszcze przed chwilą byli, wstrząsnęła głośnie eksplozja. Za odgłosem wybuchu nadeszła fala uderzeniowa, a za nią...

Obaj marines skulili się za rogiem, zza którego wyleciała chmara nieprawdopodobnie szybko lecących małych strzałek, które wbiły się w ścianę.

Riley i Hollywood popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

Pocisk rozpryskowy.

Pocisk tego rodzaju to w zasadzie zwykły granat, tyle że napełniony setkami kawałków metalu o ostrych kantach i spiczastych końcach, uformowanych tak, by jak najtrudniej było je wyciągnąć z ludzkiego ciała. Kiedy taki pocisk wybuchła, we wszystkich kierunkach rozpryskuje się z wielką prędkością fala śmiertelnych odłamków.

– Zawsze mówiłem, że nie należy ufać Francuzom... – powiedział drwiąco Riley, wyrzucając pusty magazynek i wkładając nowy do MP5. – Coś z nimi jest nie tak. Może te małe oczka. A podobno ci skurwiele są naszymi pieprzonymi sojusznikami.

– Jebani Francuzi – przytaknął Hollywood, wyglądając ostrożnie zza węgła. – A niech to jasna...

– Co? – Riley odwrócił się gwałtownie i ujrzał, jak zza rogu wytacza się drugi granat i zatrzymuje półtora metra od nich.

PÓLTORA METRA.

Na otwartym terenie.

Nie było gdzie uciec. Nie mogli pobiec korytarzem i zdać...

Riley skoczył w kierunku granatu. Jego ciało pomknęło po lodzie stopami do przodu, jak ciało robiącego wślizg piłkarskiego obrońcy. Gdy znalazł się w odpowiedniej odległości, jego noga wystrzeliła do przodu i potężnym kopniakiem posłała granat w głąb północnego tunelu, z powrotem do szybu głównego.

Kiedy Riley kopnął, Hollywood złapał go za opancerzone naramienniki i szarpnął do tyłu, wciągając za róg.

Granat eksplodował.

Powietrze rozerwała kolejna ogłuszająca detonacja.

Z korytarza wystrzeliła nowa fala metalowych odłamków, śmignęła obok Riley'a i Hollywooda i załomotała o ścianę po przeciwnej stronie korytarza.

Hollywood odwrócił się i popatrzył na swojego towarzysza.

– Pieprzę ten seks grupowy. To cholerny burdel – wymamrotał. Riley już stał na nogach.

– Chodź, nie możemy tu zostać – powiedział.

Popatrzył w drugą stronę północnego tunelu i ujrzał wychodzącego zza rogu Rebounda. Byli z nim kapral Georgio „Legs” Lane i sierżant Gena „Matka” Newman. Musieli przyjść z zachodniej części poziomu B.

– Dobry wieczór wszystkim – przywitał ich Riley. – Słuchajcie, chyba powinniśmy przejść do operacji indywidualnej. Jeśli zbiją nas w kupę i zapędzą w róg, przerobią nas na pączki z truskawkowym nadzieniem. Musimy się rozdzielić. Rebound, Legs, Matka – wracacie na zachód, zewnętrznym tunelem. Hollywood i ja idziemy na wschód. Kiedy się zorientujemy, na czym stoimy i co możemy zrobić w naszej sytuacji, ustalimy, jak się przegrupować i przydybać tych skurwieli. Zgoda?

Nie było protestów. Rebound i pozostała dwójka marines natychmiast pospieszyli w nakazanym kierunku.

Riley i Hollywood ruszyli na wschód, ostrożnie biegnąc wzdłuż zakrzywienia zewnętrznego tunelu.

– Gdzie jesteśmy? To poziom B, tak? – zapytał Riley, wciąż biegnąc. – Co tu jest?

– Nie... – zaczął Hollywood, ale kiedy wybiegli zza zakrętu i ujrzeli, co się przed nimi znajduje, urwał.

Natychmiast się zatrzymali i poczuli, jak krew zastyga im w żyłach.

Schofield strzelał ze swojego desert eagle’a w górę szybu głównego Stacji Lodowej Wilkes.

Był z Gant na poziomie C, w pomieszczeniu z wyjściem na centralny pomost. Stał w otwartych drzwiach z pistoletem w rękę i patrzył w górę, przez szyb główny, na pokład A.

Za jego plecami, wewnątrz pomieszczenia, którego przeznaczenia nie znał, siedziała na podłodze Gant i otrząsała się z resztek oszołomienia. Zdjęła hełm, ukazując krótko ostrzyżone włosy – tak jasne, że niemal białe.

Popatrzyła z zaciekawieniem na hełm i wbiła w niego krótką strzałę. Pokręciła głową, po czym, nie wyjmując beltu, założyła hełm z powrotem na głowę. Poprawiła okulary i starła cienką strużkę zaschniętej krwi, biegnącą od czoła do podbródka. Potem chwyciła MP5 i dołączyła do Schofielda.

– Nic ci nie jest? – spytał przez ramię, kierując pistolet ku poziomowi A.

– Nie. Straciłam coś?

– Widziałas ten kawałek, kiedy ta banda francuskich kutasów, udających naukowców, skierowała na nas broń? – zapytał Schofield i ponownie strzelił.

– Tak, to jeszcze załapałam.

– A ten, kiedy się dowiedzieliśmy, że nasi nowi przyjaciele ukrywają w swoim poduszkowcu następnych sześciu?

– Nie, to straciłam.

– To jak na razie... – porucznik oddał kolejny strzał – ...wszystko.

Popatrzyła na niego uważnie. Mimo zakrywających część twarzy Schofielda opalizujących, srebrnych szkieł widziała, że jest wściekły.

W rzeczywistości porucznik nie był zły na francuskich żołnierzy. Oczywiście, początkowo był zły – ale raczej na siebie – za to, że nie zauważył od razu, iż „naukowcy” to żołnierze. Dotarli jednak na Wilkes pierwsi i przywieźli ze sobą dwóch prawdziwych naukowców, co okazało się szczególnie sprytnym kamuflażem.

Ale tak naprawdę najbardziej złościło go to, że Francuzi przejęli inicjatywę.

Zaskoczyli ich i teraz dyktowali warunki walki. I to najbardziej wkurzało Schofielda.

Rozpaczliwie próbował opanować złość. Nie mógł sobie na nią pozwolić.

Zawsze gdy zaczynał odczuwać złość albo zdenerwowanie, przypominał sobie szkolenie, w którym uczestniczył pod koniec 1996 roku, prowadzone przez legendarnego brytyjskiego dowódcę, generała brygady Trevora J. Barnaby’ego.

Generał miał świdrujące ciemne oczy, ogoloną na łyso czaszkę i małą spiczastą bródkę. Od 1979 roku dowodził SAS i był powszechnie uważany za najbardziej błyskotliwego frontowego taktyka. Jego wiedza z zakresu działań inwazyjnych była ogromna. Kiedy jego zalecenia wykonywała najlepsza na świecie jednostka sił specjalnych – SAS – byli nie do pokonania. Stanowił dumę i chlubę brytyjskiego establishmentu wojskowego i nie miał na swoim koncie ani jednej nieudanej akcji.

W listopadzie 1996 roku w ramach „porozumienia o wymianie doświadczeń” między USA i Wielką Brytanią postanowiono, że Barnaby poprowadzi dla najbardziej obiecujących amerykańskich oficerów dwudniowe szkolenie dotyczące prowadzenia „ukrytych” działań inwazyjnych. Stany Zjednoczone miały się zrewanżować nauczaniem brytyjskich artylerzystów obsługi ruchomych baterii rakiet Patriot II. Jednym z oficerów, wytypowanych do udziału w prowadzonym przez Barnaby’ego szkoleniu, był porucznik Shane M. Schofield z Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych.

Barnaby miał dość arogancki, ostry styl prowadzenia wykładów, który podobał się Schofieldowi – właściwie nie wykladał, a błyskawicznie wyrzucał z siebie serię pytań i odpowiedzi, tworzących prosty, logiczny łańcuch.

„W każdym starciu bojowym – mówił – niezależnie od tego, czy jest to wojna światowa, czy potyczka dwóch jednostek, pierwsze pytanie, jakie należy sobie zadać, brzmi: »Jaki jest cel przeciwnika? Czego chce?«. Dopóki nie poznacie odpowiedzi na to pytanie, nigdy nie zadacie sobie następnego: »Jak zamierza ten cel osiągnąć?«. Panie i panowie, drugie pytanie ma dużo większe znaczenie od pierwszego. Dlaczego? Ponieważ ze strategicznego punktu widzenia nieistotne jest, czego chce przeciwnik. Może to być rozprzestrzenienie się komunizmu na całym świecie, aneksja wrogiego

terytorium lub zdobycie Arki Przymierza. Ale kogo to obchodzi? Znajomość celu sama w sobie nic nie znaczy. Natomiast wiedza, jak przeciwnik zamierza ten cel osiągnąć, oznacza wszystko. Zamiar działania to akcja, a akcję można powstrzymać. Jeśli więc odpowiedzieliście sobie na drugie pytanie, możecie przejść do trzeciego: »Jak go powstrzymać?«

Mówiąc o dowodzeniu ludźmi i prowadzeniu ich, Barnaby wielokrotnie podkreślał wielkie znaczenie umiejętności chłodnego działania: dowódca, działający pod wpływem wściekłości albo rozczarowania, z niemal stuprocentową pewnością sprawi, że jego oddział zginie.

„Człowiek będący dowódcą nie może sobie pozwolić na złość albo zdenerwowanie”.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że żaden dowodzący oficer nie jest całkowicie odporny na złość albo rozpacz, zaproponował więc, by do oderwania się od tych uczuć używać trzystopniowej analizy taktycznej.

„Gdy poczujesz, że zaczynasz ulegać złości, przeprowadź trzystopniową analizę. Oderwij swój umysł od złości i skieruj jego energię na to, co masz do wykonania. Wkrótce zapomnisz o tym, co cię zdenerwowało, i zaczniesz robić to, za co ci się płaci”.

Stojąc w drzwiach pomieszczenia na poziomie C, w lodowatej, zaśnieżonej Stacji Lodowej Wilkes, Schofield niemal usłyszał głos Trevora Barnaby’ego.

„Jaki mają cel?”.

Chcą przejąć statek kosmiczny.

„Jak zamierzają ten cel osiągnąć?”.

Zabiją wszystkich na stacji, capną statek i w jakiś sposób wywiozą go z kontynentu, zanim ktokolwiek się dowie o jego istnieniu.

No dobrze. Ale w tej analizie coś było nie tak. Co?

Przez chwilę się zastanawiał. Nagle zapaliła mu się w głowie zielona lampka.

Francuzi przybyli bardzo szybko.

Dotarli do stacji, zanim udało się to oddziałowi Stanów Zjednoczonych.

Oznaczało to, że w chwili nadania wezwania o pomoc byli bardzo blisko.

Schofield znowu utknął w martwym punkcie.

Kiedy Abby Sinclair nadawała sygnał, francuscy żołnierze byli w stacji d’Urville.

Ale przecież wezwania o pomoc nie można było przewidzieć. Zostało nadane w wyniku nagłego, nieoczekiwanego zdarzenia.

Na tym właśnie polegał problem z analizą taktyczną – była zbyt ogólnikowa.

Schofield zaczął szukać wyjaśnienia.

Najprawdopodobniej Francuzi dostrzegli okazję i postanowili ją wykorzystać...

Mieli w d’Urville komandosów, przeprowadzających ćwiczenia z zakresu walki

w warunkach arktycznych albo coś w tym rodzaju.

Przejęli SOS z Wilkes i nagle uświadomili sobie, że mają oddział specjalny w odległości tysiąca kilometrów od miejsca, w którym odkryto pozaziemski statek kosmiczny.

Ewentualne zyski były oczywiste: korzyści technologiczne z poznania nowego rodzaju napędu albo konstrukcji kadłuba. Poza tym na pokładzie statku mogła znajdować się broń.

Okazja była zbyt dobra, by pozwolić jej uciec.

Nie bez znaczenia było też to, że gdyby Francuzom rzeczywiście udało się wywieźć statek ze Stacji Lodowej Wilkes, Amerykanie raczej nie mogliby poskarżyć się ONZ albo francuskiemu rządowi, że Francja ukradła im statek kosmiczny obcych... Trudno się skarżyć, że ukradziono nam coś, co do nas nie należało.

Oddziały francuskie miały jednak do rozwiązania dwa problemy.

Pierwszym byli amerykańscy naukowcy z Wilkes. Należało ich wyeliminować. Nie wolno było zostawiać świadków.

Drugi problem był znacznie poważniejszy: Francuzi musieli się spodziewać, że Stany Zjednoczone wyślą na stację jednostkę ochronno-zwiadowczą, więc zegar tykał. Musieli brać pod uwagę, że oddziały amerykańskie przybędą, zanim uda im się wywieźć statek z kontynentu.

A to oznaczało, że musieli być przygotowani do walki.

Jednak z pewnością nie mieli czasu ani wystarczających sił do przygotowania pełnego ataku na Wilkes. Dysponowali jedynie małym oddziałkiem, na dodatek było jasne, że zaraz po ich wtargnięciu, zanim zdążą zwiać ze statkiem, na scenie pojawią się Amerykanie – w znacznie większej sile.

Zaczęli więc udawać naukowców, zatroskanych sąsiadów. Prawdopodobnie liczyli na to, że uda im się zdobyć zaufanie marines, a potem pozabijają ich strzałami ze swoich miniaturowych kusz. Jak dla niedużej, zaimprovizowanej jednostki, strategia była dobra.

Powstawało jednak następujące pytanie: jak zamierzają wywieźć statek z Antarktyki?

Schofield uznał, że to pytanie może poczekać. Ważniejsza była tocząca się potyczka. Powracało więc pierwsze pytanie z trzystopniowej analizy generała Barnaby'ego:

Jaki jest ich cel?

Zamierzają wyeliminować marines i naukowców.

Jak zamierzają osiągnąć ten cel?

Nie miał pojęcia.

Jak ty byś się do tego zabrał?

Zastanawiał się przez chwilę.

Prawdopodobnie spróbowałbym zapędzić wszystkich w jedno miejsce. Byłoby to skuteczniejsze od przeszukiwania całej stacji i eliminowania przeciwników po kolei...

– Granat! – wrzasnęła nagle Gant.

Na widok małego, czarnego pocisku, który wyfrunął zza barierki pomostu pokładu A i zaczął spadać łukiem w ich kierunku, porucznik natychmiast powrócił do rzeczywistości. Za pierwszym z poziomu A wyleciało pięć identycznych granatów i popadało do trzech tuneli na poziomie B.

– Ruszaj się! – rzucił Schofield do Libby, skoczył do środka pomieszczenia i zatrzęsął za sobą drzwi.

Pobiegli w głąb, a jeden z granatów uderzył w grube drewniane drzwi.

KLAK KLAK.

Granat eksplodował. Gdy setki poszarpanych metalowych igieł jednocześnie wbiły się w drzwi, z wewnętrznej strony wystrzeliły białe drzazgi.

Porucznik ze zdumieniem popatrzył na drzwi.

Cała ich powierzchnia – od podłogi do sufitu – pokryła się drobnymi wybrzuszeniami. To, co jeszcze przed chwilą było gładką płaszczyzną, wyglądało teraz jak ponure średniowieczne narzędzie tortur. Wszędzie sterczały ostre igielki, którym niemal udało się przebić przez grube drewno.

Z poziomu nad nimi doleciały kolejne eksplozje. Schofield i Gant podnieśli głowy.

Poziom B, pomyślał porucznik.

Prawdopodobnie spróbowałbym zapędzić wszystkich w jedno miejsce.

– O, nie... – jęknął głośno.

– Co jest? – spytała Gant.

Schofield nie odpowiedział. Szarpnął zniszczone drzwi i wyrzwał na zewnątrz.

Natychmiast tuż obok jego głowy w oblodzoną ościeżnicę walnął pocisk. Nie przeszkodziło to jednak porucznikowi dostrzec przeciwnika.

Na poziomie A stało pięciu Francuzów i zasypywało stację ogniem.

Był to ogień osłonowy.

Oslaniali pozostałych, którzy spuszczaali się na linach na poziom B. Ich jazda była krótka, perfekcyjna, i po sekundzie kolejna piątka francuskich komandosów stała na pomoście poziomu B. Unieśli broń i ruszyli w kierunku tuneli.

Schofield pojął nagle straszliwą prawdę. Większość marines znajdowała się na poziomie B, gdzie wycofali się, kiedy druga grupa Francuzów weszła na stację głównym wejściem.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Poziom B był głównym poziomem mieszkalnym Stacji Lodowej Wilkes i Schofield sam posłał naukowców do ich kwater, by zająć się nowo przybyłym francuskim

poduszkowcem.

Popatrzył z przerażeniem na poziom B.

Francuzi właśnie zapędzili ich w jedno miejsce.

Na poziomie B świat nagle oszalał.

Kiedy Riley i Hollywood wyszli zza zakrętu lodowego tunelu, stanęli twarzą w twarz z przerażonymi rezydentami Stacji Lodowej Wilkes.

Riley natychmiast uświadomił sobie, że na poziomie B znajdują się niemal wszystkie pomieszczenia mieszkalne stacji.

Nagle ścianę nad jego plecami przeorała seria z broni maszynowej.

Równocześnie w słuchawkach hełmu odezwał się głos Schofielda:

– Tu Strach na Wróble. Mam kontakt wzrokowy z pięcioma wrogimi obiektami, które lądują właśnie na pomoście poziomu B. Powtarzam: pięć wrogich obiektów. Jeśli jesteście na poziomie B, uważnie się rozglądajcie.

Rileyowi zawirowało w głowie. Próbował jak najszybciej odtworzyć w głowie plan poziomu B.

Po chwili przypomniał sobie, że poziom ten różni się nieco od pozostałych pięter, które składały się z czterech tworzących krzyż prostych tuneli, odchodzących od szybu głównego i docierających do kolistego tunelu zewnętrznego. Z powodu tkwiącej w lodzie na wysokości poziomu B skały, zewnętrzny, kolisty tunel na tym piętrze nie miał południowej części.

Były tu także tylko trzy promieniste tunele, co oznaczało, że tunel zewnętrzny – w odróżnieniu od innych pięter – nie tworzył na tym poziomie zamkniętego okręgu. Na południowym krańcu tunel ten stanowił ślepą uliczkę, którą Riley już widział – to właśnie tam znajdował się pokój, w którym zabarykadowany był James Renshaw.

Riley i Hollywood znajdowali się w tunelu zewnętrznym, tkwiąc na zakręcie między tunelami wschodnim i północnym. Byli tu także naukowcy stacji, którzy najwyraźniej usłyszeli, że coś się dzieje na zewnątrz, ale nie mieli odwagi oddalić się zbyt daleko od swoich kwater. Wśród przerażonych twarzy przed sobą Riley ujrzał buzię małej dziewczynki i zmartwił.

– Weź tył – powiedział do Hollywooda, co oznaczało fragment zewnętrznego tunelu w miejscu, gdzie łączył się on z północnym prostym tunelem.

Sam ruszył w stronę naukowców, zamierzając ich minąć i zająć pozycję, pozwalającą obserwować wschodni prosty tunel.

– Panie i panowie! – powiedział. – Proszę o powrót do pokoi!

– Co się dzieje? – spytał z irytacją któryś z mężczyzn.

– Okazało się, że wasi przyjaciele z góry tak naprawdę wcale nie są przyjaciółmi – wyjaśnił Riley. – Na terenie stacji znajduje się oddział francuskich komandosów, którzy zabijają każdego, kogo zobaczą. Proszę o powrót do swoich pokoi.

– Book! Granat! – zadudnił w korytarzu głos Hollywooda. Riley obejrzał się i ujrzał wypadającego zza zakrętu Hollywooda.

Równocześnie dostrzegł granat rozpryskowy, wtaczający się podskokami do tunelu. Był już sześć metrów od niego.

– O, kurwa... – zaklął i natychmiast się odwrócił, szukając wzrokiem kryjówki naprzeciwko – w znajdującym się dziesięć metrów dalej wschodnim tunelu. W tym momencie zobaczył dwa kolejne granaty, które wytoczyły się ze wschodniego tunelu i zatrzymały na ścianie zewnętrznego tunelu. – Cholerna kurwa... – Granaty leżały na obu końcach tunelu. – Do środka! Natychmiast! – wrzasnął na naukowców i jednym szarpnięciem otworzył najbliższe drzwi. – Natychmiast wracać!

W pierwszej chwili nie pojęli, o co chodzi, kiedy jednak załapali, rzucili się ku swoim pokojom.

Riley skulił się w najbliższej wnęce drzwiowej, ale zaraz wyrzwał ostrożnie, by zobaczyć, co robi Hollywood. Kapral biegł co sił w jego stronę.

Nagle poślizgnął się i stracił równowagę.

Wylądował niezdarnie – rozrzucając ręce na boki, głową naprzód – na pokrytej lodem podłodze tunelu.

Riley bezradnie patrzył, jak młody żołnierz rozpaczliwie próbuje się podnieść, oglądając się jednocześnie ze strachem na granat rozpryskowy za swoimi plecami.

Pozostały mu może dwie sekundy.

Riley czuł, że żołądek zawiązuje mu się w supeł.

Hollywood nie miał szans...

W drzwiach na wysokości kaprala – prowadzących do jedyne go pomieszczenia, w którym Hollywood mógłby się schować – przepychało się dwóch naukowców. Jeden pchał drugiego w plecy, starając się wcisnąć go do środka.

Buck Riley z przerażeniem patrzył, jak Hollywood podnosi głowę i wbija wzrok w naukowców – kiedy do niego dotarło, że nie zdąży schować się w pokoju, odwrócił głowę i spojrzął na leżący dziesięć metrów za nim granat.

Kolejny rozpaczliwy obrót głowy i wzrok Hollywooda spotkał się ze wzrokiem Riley'a. Jego oczy wypełniał strach. Były to oczy człowieka, który wie, że zaraz zginie.

Nie miał gdzie uciec. Nie miał...

W tym momencie trzy granaty – jeden z północnego tunelu i dwa ze wschodniego – wyzwoliły swoją wściekłość. Riley błyskawicznie schował się za węglem, a w obie strony pomknęły tysiące migoczących metalowych odłamków.

Grubymi drewnianymi drzwiami zatrzęsa kolejna eksplozja i wbiła się w nie następna fala metalowych odłamków.

Schofield i Gant siedzieli w głębi pomieszczenia na poziomie C, schowani za przewróconym aluminiowym stołem.

– Marines, zgłaszać się – rzucił porucznik do mikrofonu.

W jego słuchawkach zaczęły odzywać się głosy marines, każdemu towarzyszyła strzelanina w tle.

– Rebound! Jestem z Legsem i Matką! Jesteśmy pod ciężkim ostrzałem w północno-zachodnim kwadrancie poziomu B!

Nagle ze słuchawek porucznika buchnęły skrzeki zakłóceń.

– ...Book...wood wyeliminowany. Jestem w kwadrancie... – Głos Booka nagle zanikł, sygnał został przerwany.

– Montana. Jest ze mną Santa Cruz. Jesteśmy na poziomie A, ale przygwożdżeni ogniem.

– Poruczniku, tu Wąż. Jestem na zewnątrz, zbliżam się do głównego wejścia.

Nie było meldunku od Hollywooda. Mitch Healy i Samuraj Lau nie żyli. Schofield nawet nie musiał liczyć. Jeżeli Hollywood także nie żył, zostało ich dziewięcioro.

Pomyślał o Francuzach. Zaczęli mając dwunastu komandosów, do tego dochodziło dwóch cywili, naukowców. Wąż zgłosił na początku, że jednego żołnierza zabił, Schofield sam wyeliminował drugiego na górze. Francuzów pozostało więc dziesięciu – plus dwaj naukowcy czy kimkolwiek do jasnej cholery byli.

Szybko powrócił do teraźniejszości. Popatrzył na drewniane drzwi przed nimi, najeżone setkami wystających srebrnych kolców.

Odwrócił się w kierunku Gant.

– Nie możemy tu zostać – stwierdził.

– Też na to wpadłam – odparła Libby.

Porucznik popatrzył na nią, zdezorientowany tą odpowiedzią. Ale ona nic już nie dodała, pokazała jedynie palcem przez ramię.

Schofield po raz pierwszy dokładniej przyjrzał się pomieszczeniu, w którym tkwili.

Przypominało bojlerownię. Sufit pokrywały anodowane rury. Ścianę po prawej zajmowały dwa wielkie białe cylindry – leżały na boku, jeden na drugim. Każdy miał jakieś cztery metry długości i dwa średnicy.

Na środku każdego cylindra była wielka naklejka z rysunkiem płomienia i wykonanym dużymi, grubymi literami napisem:

NIEBEZPIECZEŃSTWO SPRĘŻONY GAZ L-5

ŁATWOPALNE CHŁODZIWO

Porucznik przyjrzał się potężnym białym cylindrom. Wyglądało na to, że są sprężone z komputerem, stojącym w kącie pomieszczenia. Komputer był włączony, teraz jednak ekran monitora wypełniał wygaszacz ekranu rodem ze „Sports Illustrated”: na tropikalnej plaży w prowokacyjnej pozie leżała cycata blondyna w niemożliwie skąpym bikini.

Schofield szybko podszedł do komputera. Seksbomba spoglądała na niego

i zachęcająco wydymała wargi.

– Może potem – powiedział do ekranu i wcisnął klawisz. Blondyna zniknęła.

Zastąpił ją kolorowy diagram, ukazujący pięć pięter Stacji Lodowej Wilkes. Ekran wypełniało pięć kół – trzy po lewej, dwa po prawej – a każde składało się z centralnej studni, otoczonej przez większy, zewnętrzny okrąg. Kręgi zewnętrzne łączyły się z kołem w środku czterema prostymi tunelami.

Pomieszczenia techniczne znajdowały się zarówno między szybem głównym i zewnętrznymi kolistymi tunelami, jak i na zewnątrz kolistych tuneli. Oznakowano je różnymi kolorami, a kolorowy słupek na skraju ekranu informował, że każda barwa oznacza inną temperaturę – od minus 5,4°C do minus 1,2°C.

– To klimatyzatornia – oświadczyła Gant, zajmując pozycję przy drzwiach. – L-5 oznacza, że jako medium chłodnicze stosują chlorofluorokarbon. Urządzenie klimatyzacyjne musi być stare.

– Ciekawe, dlaczego wcale mnie to nie dziwi – mruknął Schofield, idąc do wyjścia.

Złapał za klamkę.

Uchylił odrobinę drzwi...

...i w tym momencie ujrzał lecącą w jego kierunku czarną kulę, nieco mniejszą od piłki tenisowej.

Za pociskiem ciągnęła się cienka smuga białego dymu, dzięki czemu można było bez trudu zobaczyć, skąd został wystrzelony – z granatnika zamontowanego na karabinku szturmowym FA-MAS Petarda, stojącego na podeście poziomym A.

Porucznik schylił się gwałtownie, a napędzany gazem granat śmignął przez szparę w drzwiach tuż nad jego głową, lekko zakręcił w górę i walnął w tylną ścianę klimatyzatorni.

– Wynocha! Natychmiast! – wrzasnął Schofield do Gant. Nie musiał jej tego powtarzać. Błyskawicznie ruszyła w kierunku drzwi, wypadła przez nie z uniesionym MP5 i zaczęła strzelać.

Schofield wyprysnął za nią i w tym samym momencie granat wybuchł. Fala uderzeniowa wypchnęła ciężkie drzwi na zewnątrz i mało brakowało, by masywna, naszpikowana kolcami decha została wyrwana z futryny. Zawiasy wytrzymały jednak i drzwi zakreśliły półkole, waląc w lodową ścianę tuż obok porucznika.

Z pomieszczenia wystrzeliła gigantyczna kula ognia, śmignęła obok Schofielda i pomknęła w otwartą przestrzeń pośrodku Stacji Lodowej Wilkes.

– Strach na Wróble! Rusz się! – wrzeszczała Gant, strzelając równocześnie w kierunku poziomu A.

Porucznik skoczył na równe nogi i puścił długą serię z MP5 w miejsce, gdzie przed chwilą stał Petard.

Pognali pomostem – całkowicie odkryci – Schofield strzelał w prawo, Gant

w lewo. Z luf ich MP5 wystrzeliwały długie, żółte jęzory ognia. Ogień odpowiadających im Francuzów orał ściany wokół nich.

Schofield dostrzegł dziesięć metrów przed nimi niedużą wnękę.

– Lis! Tam!

– Widzę!

Wskoczyli do wnęki w momencie, gdy w klimatyzatorni zadudniła druga, znacznie silniejsza eksplozja. Porucznik od razu wyczuł różnicę. Nie była to krótka, dość słaba eksplozja granatu. Była dźwięczniejsza, jakby bardziej treściwa. Musiało wybuchnąć coś wielkiego...

Zbiorniki chłodziwa do klimatyzacji.

Ściany klimatyzatorni popękały i ze środka, niczym wyskakujący z butelki szampana korek, wyprysnął kawał czarnej rury, przefrunął z ogromną prędkością trzydzieści metrów pustej przestrzeni szybu głównego i wbił się w lodową ścianę po przeciwległej stronie.

Schofield przyciskał się do ściany, przeczekując grad pocisków, łomoczących w lód wokół niego. Obejrzał wnękę, w której się ukryli.

Była to nieduża nisza, wykuta w lodzie najwyraźniej po to, by ustawić w niej konsolę, sterującą potężną wyciągarką dzwonu ratunkowego. Znajdowało się na niej kilka dźwigni, zegarów i przycisków.

Przed konsolą stał ogromny, obłożony stalowymi płytami fotel. Porucznik natychmiast rozpoznał wyrzucany fotel pilota, instalowany na myśliwcach F-14. Czarne plamy spalenizny po bokach i spore wgłębienie w zagłówku informowały, że wcześniej fotel został wykorzystany zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Ktoś z Wilkes zamontował gigantyczne siedzisko na obrotowej podstawie, po czym przybił to wszystko do podłogi, zamieniając dwustukilowy wojskowy złom w masywny mebel.

Z północno-zachodniego rogu poziomu A rozległa się kolejna salwa ognia z broni maszynowej. Gant skoczyła na fotel i schowała się za jego oparciem, zwiijając drobne ciało w kulkę. Stalowy tył doskonale ją osłaniał.

Strzelanina trwała dziesięć sekund i pociski solidnie poobijały tył fotela. Gant przyciskała głowę do oparcia, chroniąc oczy przed szturmem rykoszetujących pocisków, zauważyła jednak pewien ruch.

Po lewej stronie. Po lewej na dole.

W basenie na samym dole stacji.

Pod powierzchnią wody.

Pod powierzchnią przesuwiał się powoli błyszczący, czarno-biały kontur, niezwykle wielki. Ponieważ płetwa grzbietowa nie wystawała, orka musiała być głębiej, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka.

Po chwili dołączyła do niej druga, a potem trzecia i czwarta orka. Pierwsze

zwierzę musiało mieć przynajmniej dwanaście metrów długości, pozostałe były mniejsze.

Samice, pomyślała Gant. Czytała kiedyś, że na jednego samca przypada osiem albo dziewięć samic.

Woda była lekko wzburzona, co sprawiało, że rozmazane czarno-białe kontury wydawały się jeszcze bardziej złowrogie. Przywódca stada przewrócił się na bok i Gant zobaczyła biały brzuch i szeroko otwartą paszczę z dwoma szeregami przerażających zębów.

Za ogromnym samcem płynęły również dwie młode orki, które widziała przedtem, przed wybuchem walki z Francuzami. Orki, które szukały Wendy.

Wróciły... i przyprowadziły resztę sfory.

Stado delfinów-zabójców zaczęło leniwie krążyć po basenie u podstawy Stacji Lodowej Wilkes, a Gant, choć była schowana za oparciem opancerzonego fotela, poczuła nagle, jak w górę jej kręgosłupa pełźnie zimny dreszcz przerażenia...

Hollywood nie miał najmniejszej szansy.

Odlamki z granatów rozpryskowych spadły na niego z przerażającą siłą – od przodu i od tyłu.

Book mógł jedynie bezradnie patrzeć, jak jego młodszy partner – kłęcząc na kolanach – zakrywa dłonią twarz, a potem pada pod huraganem metalowych kawałków.

Naukowiec, który próbował wepchnąć do pokoju kolegę, również okazał się zbyt wolny. Tak jak Hollywood, był nie do rozpoznania. Fala odłamków dosięgła go w miejscu, w którym stał, ale o ile opancerzenie Hollywooda skutecznie ochroniło jego klatkę piersiową i ramiona, ciało naukowca – niczym niechronione – całe zamieniło się w jedną wielką, krwawą masę.

Żadna żywa tkanka nie byłaby w stanie wytrzymać takiego uderzenia. Każde odsłonięte miejsce na ciele obu mężczyzn zostało poszarpane na strzępy.

Przez chwilę, krótką chwilę, Buck Riley stał jak sparaliżowany – mógł jedynie z przerażeniem wbijać wzrok w martwe ciało przyjaciela.

Po drugiej stronie poziomu B Rebound biegł zewnętrznym, zakrzywionym tunelem.

Za nim biegli Legs Lane i Matka Newman, rozpaczliwie strzelając do tyłu, w kierunku goniących ich trzech cieni.

Kapral Legs Lane miał trzydzieści jeden lat, oliwkową skórę i kwadratową szczękę i był typowym Włochem zarówno z wyglądu, jak i ze sposobu bycia. Matka Newman była drugą kobietą w oddziale Schofielda, ale bardzo różniła się od Libby Gant.

Gant miała dwadzieścia sześć lat, była mała i szczupła, a swoje proste blond włosy strzygła króciutko, Matka natomiast miała trzydzieści cztery lata, sto osiemdziesiąt

osiem centymetrów wzrostu i ogoloną na łyso głowę. Ważyła niemal dziewięćdziesiąt kilo. Jej przydomek operacyjny „Matka” nie miał związku z rodzinnymi koneksjami – był skrótem od „matkojebca”.

– Strach na Wróble, tu Matka – mówiła właśnie do mikrofonu w hełmie. – Jesteśmy pod silnym ostrzałem na poziomie B. Powtarzam: jesteśmy pod silnym ostrzałem na poziomie B. Mamy za plecami oddział wroga, a po całym tym pieprzonym miejscu latają granaty rozpryskowe. Zbliżamy się do zachodniego tunelu, będziemy się kierować na szyb główny. Jeżeli ktokolwiek ma kontakt wzrokowy z szybem głównym, z radością byśmy się o tym dowiedzieli.

W jej słuchawkach natychmiast rozległ się głos Schofielda:

– Matka, tu Strach na Wróble. Mam kontakt wzrokowy z szybem głównym. Na pomoście nie ma wrogich obiektów. Widzieliśmy przedtem pięciu Francuzów na waszym poziomie, ale teraz są w tunelach. Potwierdzam obecność pięciu wrogich obiektów na poziomie A, jeden z nich ma granatnik. Jeśli musicie wyskoczyć na pomost, będziemy was osłaniać z dołu. Montana, Santa Cruz? Jesteście tam?

– Jesteśmy – odpowiedział głos Montany.

– W dalszym ciągu na poziomie A?

– Potwierdzam.

– Nadal jesteście przygwozdzeni?

– Pracujemy nad tym.

– Róbcie dalej swoje. Ściągajcie na siebie ich ogień. Za dziesięć sekund będziemy mieli trzech naszych ludzi, wychodzących na otwartą przestrzeń na poziomie B.

– Żaden problem, Strach na Wróble – odpowiedziała Matka. – Wchodzimy teraz do północnego tunelu. Kierujemy się na szyb główny.

We wnętrzu na poziomie C Schofield ponownie włączył mikrofon w hełmie.

– Book! Book! Zgłoś się! Nie było odpowiedzi, – Jezu, Book! Gdzie jesteś?

Sarah Hensleigh, która znajdowała się w damskim prysznicu na poziomie B, odwróciła się gwałtownie na odgłos otwieranych kopniakiem drzwi.

Przez pełną przerażenia chwilę wydawało jej się, że francuscy żołnierze zamierzają wziąć szturmem pomieszczenie, w którym się ukryła. Ale dźwięk doleciał z boku, z prysznicu dla mężczyzn.

Francuzi byli obok!

Razem z Sarah w damskim prysznicu siedziała Kirsty, Abby Sinclair oraz geolog Warren Conlon. Kiedy Buck Riley kazał im wracać do kwater, cała czwórka natychmiast wbiegła do prysznicu. Ledwie się tu znaleźli i Conlon, jako ostatni, zatrzaskał za sobą drzwi, na zewnątrz eksplodowały granaty rozpryskowe.

Prysznic damski mieścił się między szybem głównym a zewnętrznym kolistym

tunelem, w północno-wschodniej ćwiartce poziomu B. Miał troje drzwi: jedno wychodziły na prosty tunel północny, drugie na tunel zewnętrzny, trzecie łączyły go z sąsiednim prysznicem męskim.

Stamtąd właśnie dolatywały hałasy.

Francuscy żołnierze otwierali kopniakami kabiny i sprawdzali, czy nikt się w nich nie ukrył.

Sarah pociągnęła Kirsty w kierunku drzwi wychodzących na północny tunel.

– Chodź, skarbie, zabieramy się stąd – szepnęła. Spojrzała przez ramię.

Nad szeregiem sześciu kabin prysznicowych widziała górną ćwiartkę drzwi do męskiego prysznica.

Wciąż jeszcze były zamknięte.

Ale Francuzi otworzą je za kilka sekund.

Sarah wyciągnęła rękę i chwyciła gałkę drzwi wychodzących na północny tunel.

Nie otworzyła ich jednak. Nie wiadomo było, co się za nimi dzieje.

– Sarah! Co ty wyprawiasz? Pospiesz się... – wysyczał Warren Conlon zdesperowanym szeptem. Był wysokim, nieśmiałym chudzielcem, nawet w normalnych okolicznościach zachowującym się dość nerwowo. Teraz był nie tylko zdenerwowany, ale i przerażony.

– Dobrze, dobrze – mruknęła Sarah i powoli zaczęła przekręcać gałkę.

Nagle rozległ się głośny łomot i drzwi do męskiego prysznica otworzyły się gwałtownie.

– Rusz się! – wrzasnął Conlon.

Sarah pchnęła drzwi z całej siły, pociągnęła za sobą Kirsty i wyprysnęła do północnego tunelu.

Zrobiła kilka kroków i gwałtownie się zatrzymała.

Zobaczyła przed sobą mężczyznę, celującego jej w czoło z pistoletu maszynowego.

Buck Riley przekrzywił głowę, a potem nią pokręcił.

– Jezu... Opuścił broń.

– W porządku, spokojnie – powiedział, podchodząc do Sarah. – Wystraszyłyście mnie na śmierć, ale teraz wszystko jest już w porządku.

Z prysznica wyskoczyli Abby Sinclair i Warren Conlon, zatraskując za sobą drzwi.

– Są tam? – spytał Riley, wskazując głową na męski prysznic.

– Tak – odparła Sarah.

– Czy wszyscy moi koledzy są cali? – spytał głupkowato Conlon.

– Nie sądzę, by im się spieszyło wychodzić ze swoich kwater – odparł Riley, spoglądając w tunel za swoimi plecami. Z zewnętrznego tunelu dolatywało echo

strzelaniny z broni automatycznej. Sarah zauważyła strużkę krwi, spływającej z dużego rozcięcia na prawym uchu Riley. Wyglądało na to, że nie zdaje sobie z niego sprawy. W słuchawce, którą miał w rozciętym uchu, tkwił kolec z błyszczącego metalu o poszarpanych brzegach. – Możemy mieć pewien problem – powiedział po dokładnym obejrzeniu tunelu. – Straciłem kontakt z resztą oddziału. Moje radio zostało trafione jakimiś rykoszetującymi odłamkami, więc wypadłem z obiegu. Nie słyszę swoich i oni nie słyszą mnie. – Odwrócił się w przeciwnym kierunku i popatrzył w drugi koniec tunelu, nad głową Sarah, ku pomostom i szybowi głównemu w środku stacji. – Chodźcie ze mną – powiedział i mijając Sarah, ruszył w kierunku centrum Stacji Lodowej Wilkes.

– Book! – szepnął Schofield do mikrofonu, nie spuszczać wzroku z zachodniego tunelu poziomu B. – Book! Gdzie jesteś? Niech to cholera...

– Nie ma Booka? – spytała Gant.

– Jeszcze nie.

Schofield i Gant w dalszym ciągu kulili się we wnęce na poziomie C, w części wschodniej. Czekali z napięciem, aż z zachodniego tunelu poziomu B wyjdą Rebound, Matka i Legs.

Rebound ukazał się pierwszy. Poruszał się szybko, ale ostrożnie, broń miał uniesioną i ani na chwilę nie odrywał wzroku od celownika MP5, którym zataczał energiczne półkola po sto osiemdziesiąt stopni, szukając sygnałów kłopotów.

Kiedy się pojawił, Schofield otworzył ogień w kierunku poziomu A, zmuszając do ukrycia się każdego, kto mógłby się tam znajdować. Gant wstała pięć sekund później i także zaczęła strzelać.

Po chwili Schofield schował się we wnęce, by zmienić magazynek. Patrzył, jak Gant wystrzeliwuje trzy krótkie serie.

Przy trzeciej zauważył, że dzieje się coś dziwnego.

Wylatujący z końca jej lufy złoty płomyk nagle wyprysnął do przodu na dwa metry. Choć po sekundzie zniknął, wyglądało to niesamowicie. Przez krótką chwilę niewielki karabinek szturmowy Gant wyglądał jak miotacz ognia.

Schofield znieruchomiał. Co, do jasnej cholery, mogło być powodem? Nagle zrozumiał i okręcił się gwałtownie wokół własnej osi, by spojrzeć za siebie, na klimatyzatornię.

Gant wrzasnęła: „Jestem sucha!” – i porucznik natychmiast powrócił do rzeczywistości. Podczas gdy zmieniała magazynki, otworzył ogień w kierunku pomostu na poziomie A.

Kładąc ogień zaporowy, patrzył, jak tuż za Reboundem na pomost poziomu B wybiegają Legs i Matka. Walili w tunel, z którego właśnie wyskoczyli.

Po chwili Legsowi skończyła się amunicja. Schofield patrzył, jak kapral wyrzuca pusty magazynek i chwytą w dłoń nowy. Ledwie jednak zdążył wsunąć go w leżę, siedzący w głębi tunelu niewidoczny przeciwnik trafił go w szyję.

Jego ciałem rzuciło do tyłu, na sekundę stracił równowagę, ale natychmiast uniósł broń i posłał do tunelu długą serię, która w ciągu dwóch sekund opróżniła nowy magazynek. Matka szybko złapała Legsa za bluzę i wciągnęła go na pomost, poza wylot tunelu.

Ranny zaczął się szarpać z następnym magazynkiem, ale wyslizgnął mu się z zalanych krwią palców i wypadł za barierkę pomostu, przeleciał piętnaście metrów i z pluskiem wpadł do basenu na poziomie E. Legs odrzucił na bok MP5 i wyciągnął colta.45. Teraz jednak mógł strzelać tylko pojedynczo.

Schofield i Gant nie przestawali zasypywać ogniem najwyższego poziomu. Gant widziała, jak magazynek Legsa leci w dół i wpada do wody i jak zaraz potem jedna z orek pod pływa ku powierzchni, by sprawdzić, co wpadło do basenu.

Matce skończyła się amunicja. Wyrzuciła pusty magazynek i błyskawicznie ponownie załadowała broń.

Schofield w napięciu obserwował, jak cała trójka – Matka, Rebound i Legs – sunie pomostem, łączącym tunele zachodni i północny poziomu B, w kierunku północnego.

Niemal dotarli do celu, gdy z północnego tunelu wyprysnął Buck Riley, wlokąc za sobą czwórkę cywili.

Tuż przed Matką, Reboundem i Legsem!

Widząc, co się dzieje, Schofield znieruchomiał.

– Jezus, Maria... – wymamrotał.

To była katastrofa. Czwórka jego ludzi znajdowała się na otwartym terenie – w dodatku z czterema Bogu ducha winnymi cywilami! Za chwilę pojawią się Francuzi i przerobią ich na sieczkę!

– Book! Book! – wrzasnął do mikrofonu. – Wynoś się stamtąd! Spadaj z porno...

W tym momencie stało się.

Na pomost poziomu B wyskoczyło jednocześnie pięciu francuskich komandosów. Trzech z zachodniego tunelu. Dwóch ze wschodniego. Natychmiast otworzyli ogień.

To, co wydarzyło się potem, odbyło się niemal za szybko, by ktokolwiek mógł się we wszystkim zorientować.

Piątka francuskich komandosów przeprowadziła perfekcyjny manewr kleszczowy na poziomie B. Zapędzili Matkę, Rebounda i Legsa na pomost i przygotowali się do zlikwidowania ich ogniem z obu flank.

Pojawienie się Bucka Rileya i cywili było dla nich dodatkową nagrodą. Najwyraźniej Francuzi się tego nie spodziewali, bo kiedy wyszli na pomost, cała piątka celowała w Matkę, Rebounda i Legsa.

Nie udało im się jednak skierować ognia na Riley'a i cywili.

Najpierw zaczęła strzelać trójka komandosów, która wyszła z zachodniego tunelu. Z luf ich karabinów wystrzeliły białe jęzory ognia.

Wszyscy odsłonięci Amerykanie zostali trafieni. Matka dostała postrzał w nogę, Rebound w ramię. Legs ucierpiał najbardziej – dostał dwa postrzały w głowę i cztery w klatkę piersiową i całe jego ciało zamieniło się w rozedrganą eksplozję krwi. Jeszcze zanim upadł na pomost, już nie żył.

Więcej Schofield nie zdołał zobaczyć, bo w tym momencie rozpętało się piekło.

W chwili gdy francuscy komandosi po zachodniej stronie otworzyli ogień, z miejsca, w którym stali, wystrzeliły na boki potężne kule ognia, ciągnąc za sobą jęzory płomieni.

Wyglądały jak bliźniacze komety. Wyprysnęły na prawo i na lewo i pomknęły po metalowej ścieżce pomostu na poziomie B, zostawiając za sobą ścianę szalejących płomieni.

W jednej chwili cały pomost zniknął za zasłoną ognia, razem ze znajdującymi się na nim ludźmi.

Przez całą długą sekundę Schofield stał oszołomiony i jedynie patrzył. Wszystko stało się tak szybko... jakby ktoś polał pomost benzyną i przyłożył zapalnik.

Zaraz jednak zrozumiał, co się stało, i odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć...
...na klimatyzatornię.

Cylindry z gazem musiały zostać uszkodzone przez wybuch granatu, który kilka minut temu wpadł do klimatyzatorni. Podziurawione, natychmiast zaczęły wypływać z siebie chlorofluorokarbon.

Łatwopalne chłodziwo.

Gaz musiał zostać zapalony kilkanaście sekund wcześniej, kiedy z lufy pistoletu maszynowego Gant wystrzelił dwumetrowy jęzor ognia. To było ostrzeżenie. Ale wtedy stacja nie była jeszcze wypełniona CFC. Stąd jedynie niewielki, dwumetrowy płomień.

Teraz jednak... teraz zawartość łatwopalnego gazu w atmosferze stacji wyraźnie się zwiększyła. Na tyle, że kiedy Francuzi zaczęli strzelać do marines na poziomie B, całe piętro poszło z ogniem.

Oczy Schofielda rozszerzyły się z przerażenia.

Cylindry klimatyzacyjne w dalszym ciągu wypływały CFC. Wkrótce cała stacja wypełni się łatwopalnym gazem...

Świadomość tego faktu trafiła Schofielda niczym uderzenie obuchem.

Za chwilę Stacja Lodowa Wilkes zamieni się w piecyk gazowy, a wtedy wystarczy jedna iskra, jeden płomyk – albo strzał – i wszystko wyleci w powietrze.

Na poziomie B nity zaczęły wyskakiwać ze swoich miejsc.

Palily się fragmenty pomostu. Otwartą przestrzeń stacji przesywały pełne cierpienia wrzaski wijących się na pomoście, płonących jak pochodnie żołnierzy i cywili.

Sceneria przypominała piekło.

Trzej francuscy żołnierze po zachodniej stronie stacji – ci, którzy zaczęli strzelać do Matki, Rebounda i Legsa – pierwsi znaleźli się w płomieniach, bo przesycone gazem powietrze zostało zapalone ognikami z ich broni.

Z ich luf natychmiast wystrzeliły bliźniacze kule ognia, jedna pomknęła do przodu, druga odbiła się od pierwszej i buchnęła im prosto w twarz.

Dwóch Francuzów upadło na pomost, wrzeszcząc przeraźliwie. Trzeci gwałtownie walił ciałem o lód, rozpaczliwie, próbując zadusić płonące ubranie.

Matka i Rebound również się palili. Legs leżał obok – zabity. Nieruchome ciało powoli pożerały pomarańczowa głownia i trzaskające płomienie.

Po drugiej stronie, przy północnym tunelu, Buck Riley próbował ugasić płomienie na spodniach Abby Sinclair, turlając ją pośpiesznie. Sarah Hensleigh gorączkowo oklepywała plecy Abby, by stłumić ogień, trawiący różową kurtkę dziewczynki. Warren Conlon jedynie wrzeszczał. Palily mu się włosy.

Nagle rozległ się przyprawiający o mdłości zgrzyt. Taki szczęk wydaje z siebie szarpana, skręcana stal.

Riley podniósł głowę.

– O, nie... – jęknął.

Schofield także podniósł głowę.

Rozejrzył się po pomoście nad sobą – pod jego spodem znajdowały się trójkątne podpórki, mocujące metalowe podpory do lodowej ściany.

Powoli, niemal niezauważalnie, podpory zaczęły wysuwać się ze ścian.

Pod wpływem gorąca, buchającego od rozpalonego pomostu poziomu B, rozgrzewały się długie bolce, którymi podpory były przytwierdzone do ścian. Rozgrzane, rozpuszczały lód wokół siebie i zaczynały wyslizgiwać się ze ścian.

Jeden za drugim pęczniały od ciepła – TRAK! TRAK! TRAK! – i rozrywały lodowato zimne gniazda w stalowych podporach, a potem spadały na pomost poziom niżej.

Kiedy po kolei spadały na pomost poziomu C, za każdym razem rozlegało się głośnie, metaliczne szczęknięcie.

Jeden.

Dwa. Trzy naraz.

Pięć. Dziesięć.

Spadały na poziom C niczym stalowy deszcz.

Nagle Stację Lodową Wilkes wypełnił nowy odgłos.

Charakterystyczny, piskliwy zgrzyt dartego metalu. – Jasna cholera... – zaklął Schofield. – Odrywa się.

Pomost poziomemu B zaczął opadać. Bez ostrzeżenia.

Po chwili cały pomost – pełny, płonący okrąg – z gwałtownym szarpnięciem ruszył w dół, zabierając ze sobą wszystkich, którzy się na nim znajdowali.

Jednak kilku fragmentom udało się utrzymać przy lodowych ścianach – ich ruch skończył się tak samo gwałtownie, jak się zaczął. Elementy pomostu zamaryły pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Pozostałe części wyslizgnęły się z lodowych ścian i zaczęły spadać do szybu głównego.

Wszyscy, którzy znajdowali się na nich, polecili w dół – w sumie jedenaście osób.

Płatanina cywili, żołnierzy i metalu pozęgłowała w dół szybu głównego Stacji Lodowej Wilkes.

Spadali piętnaście metrów.

Wylądowali w wodzie.

W basenie na dole stacji.

Sarah Hensleigh znalazła się pod wodą.

Tuż obok jej głowy przemknął łańcuszek pęcherzy powietrza i świat stał się niemy.

A także niesamowicie zimny. Bezlitosne zimno zaatakowało wszystkie jej zmysły.

Zimno bolało.

Po chwili upiorną podwodną ciszę przerwała seria stłumionych tapnięć.

Do wody wpadali pozostali ludzie.

Powoli zasłona pęcherzy powietrza zaczęła znikać i po paru sekundach Sarah dostrzegła poruszające się wokół czarne kształty.

Ogromne, złowieszcze kształty.

Zdawały się płynąć bez wysiłku w cichej, lodowatej wodzie, a każdy z nich był długi i szeroki jak samochód. Nagle pole widzenia Sarah zasłoniła biel i tuż przed jej oczami szeroko otworzyła się potężna, pełna ostrych zębów paszcza.

Ogarnął ją potworny strach.

ORKI.

Wyprysnęła nad powierzchnię i otworzyła usta, spazmatycznie łapiąc powietrze. Zimno przestało się liczyć. Nad sfalowaną powierzchnię wody zaczęły się jedna po drugiej wynurzać wielkie płetwy grzbietowe.

Zanim Sarah się zorientowała, w którym dokładnie miejscu basenu się znajduje, coś wyskoczyło tuż obok niej z wody. Odwróciła się gwałtownie.

Nie była to jednak orka, lecz Abby Sinclair.

Sarah poczuła, jak jej serce ponownie rusza. Po chwili tuż przy niej wypłynął Warren Conlon.

Okręciła się wokół własnej osi, rozglądając się wokół. Piątkę francuskich żołnierzy, stojących w chwili eksplozji na pomoście poziomu B, rozrzuciło po całym basenie. W wodzie pływało także trzech marines. Jeden unosił się na wodzie twarzą w dół.

W tym momencie szyb centralny przeszył głośny krzyk.

Przenikliwy, wwiercający się w uszy pisk.

Wrzask dziewczynki.

Sarah poderwała głowę i spojrzała w górę. Wysoko nad nią, trzymając się jedną ręką barierek odwróconego do góry nogami pomostu pokładu B, wisiała Kirsty. Żołnierz, który był z nimi, kiedy pomost się zarwał, leżał na brzuchu na połamanej metalowej platformie i rozpaczliwie wyciągał rękę, próbując chwycić małą.

Sarah nie odwracała wzroku od Kirsty, nagle jednak poczuła, że między nią a Conlonem przesuwają się gigantyczne cielsko jednej z orkek. Potężne zwierzę otarło się o jej nogę.

Rozległ się kolejny krzyk.

Doleciał z przeciwległej strony basenu i kiedy Sarah odwróciła się szybko, ujrzała, jak jeden z francuskich komandosów – o pokrytej pęcherzami i popalonej twarzy – machając szaleńczo rękami i nogami, płynie do brzegu. Jego pełne przerażenia wrzaski przerywały tylko krótkie, rozpaczliwe oddechy.

Był to jedyny ruch w basenie. Pozostali nie odważyli się nawet drgnąć.

Niemal natychmiast obok zdesperowanego pływaka pojawiła się wielka, czarna płetwa grzbietowa. Po chwili zatrzymała się i zanurzyła pod wodę tuż za nim.

Ciało francuskiego komandosa zostało gwałtownie szarpnięte do tyłu. Towarzyszyło temu głośnie trzaśnięcie. Żołnierz odwrócił się i otworzył usta, ale z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Musiał widzieć, jak orka chwytając zębami dolną część jego ciała, i czuć, jak zgniata ją potężnymi szczękami.

Drugie szarpnięcie było jeszcze gwałtowniejsze. Orka pociągnęła Francuza pod wodę z taką siłą, że jego głowa zabujała się jak bokserska gruszka. Uderzył potylicą o wodę, po czym zniknął pod powierzchnią.

– Jezu... – jęknęła Sarah Hensleigh.

Część pomostu, na której stał Buck Riley, jeszcze się trzymała. Ledwo ledwo. Zwisiała pod ostrym kątem w dół, odsunięta od ściany na środek szybu.

Wszyscy trzej naukowcy – Riley nie znał ich nazwisk – okazali się zbyt powolni. Nagłe zarwanie się pomostu zaskoczyło ich kompletnie. Nie zdążyli się niczego złapać i pospadali w dół szybu.

Riley miał szybszy refleks. Kiedy pomost zaczął usuwać mu się spod nóg, padł płasko na brzuch i natychmiast zaczął palcami o szczeliny metalowej kratki, po której

zwykle się chodziło.

Dziewczynka także okazała się szybka.

Gdy pomost się zarwał, upadła i zaczęła zsuwać się ku oderwanemu końcowi. Najpierw zjechała w pustkę nogami, zaraz potem za krawędzią znalazła się jej talia, ułamek sekundy potem tułów. Kiedy jednak zsunąć się miała głowa, Kirsty rozpaczliwie wyrzuciła rękę do przodu i jakimś cudem zdołała chwycić poręcz.

Barierka przez chwilę wytrzymała, ale zaraz potem, osłabiona wybuchem gazu, nagle trzasnęła i podpórki wygięły się o sto osiemdziesiąt stopni – teraz, zamiast pionowo w górę, były skierowane pionowo w dół.

Dziewczynka wisiała na jednej ręce na barierce, piętnaście metrów nad pełnym orek basenem, i darła się wniebogłosy.

– Nie patrz na dół! – krzyknął do niej Riley, wyciągając dłoń. Widział krążące w dole krwiożercze bestie, widział też, jak jedna z nich wciągnęła pod wodę Francuza. Nie chciał, by dziewczynka zobaczyła, co się dzieje w basenie.

Kirsty krzyczała:

– Nie pozwól mi spaść!

– Nie pozwolę ci spaść – zapewnił ją Riley. Leżał na brzuchu i wyciągał rękę najdalej jak mógł, próbując złapać nadgarstek małej. Wszędzie wokół niego, na resztkach pomostu, paliły się niewielkie ognie.

Pozostało mu jeszcze jakieś trzydzieści centymetrów, kiedy zauważył, że oczy dziewczynki zaczynają gwałtownie skakać na bok.

– Jak masz na imię? – spytał niespodziewanie, by odwrócić jej uwagę.

– Moja ręka jest gorąca – jęknęła w odpowiedzi.

Riley popatrzył wzdłuż poręczy. Jakies pięć metrów po jego lewej stronie niewielki ogień lizał miejsce, w którym zwisająca pionowo w dół barierka dotykała pomostu.

– Wiem, że jest gorąco, skarbie. Wiem. Wytrzymaj jeszcze trochę. Więc jak masz na imię?

– Kirsty.

– Cześć, Kirsty. Ja nazywam się Buck, ale możesz jak wszyscy mówić mi Book.

– Dlaczego nazywają cię „książką”?

Riley co chwila rzucał niespokojne spojrzenie na ogień przy poręczy.

Niedobrze.

Pod wpływem wysokiej temperatury wybuchu czarna farba na poręczy zwęgliła się, tworząc suche, podobne do papieru płatki. Jeśli płomień ich dotknie, pomknie wzdłuż barierki.

Riley wyciągał rękę coraz bardziej. Jeszcze tylko piętnaście centymetrów i dosięgnie dłoni dziewczynki. Prawie ją miał.

– Czy zawsze... – wysapał, próbując udawać, że się śmieje – zadajesz tyle pytań? – Skrzywił się i wyciągnął rękę jeszcze kawałek. – Jeśli... – świszczący oddech – ...naprawdę chcesz wiedzieć... – kolejny oddech – to dlatego, że... – oddech – jeden z kolegów odkrył, że piszę książkę.

Oczy małej znów zaczęły wędrować w bok.

– Kirsty, posłuchaj, skarbie. Chcę, żebyś patrzyła prosto na mnie, dobrze? Prosto na mnie.

– Dd... obrze. Spojrzała w dół. Riley zaklął.

Kiedy francuski komandos został wciągnięty pod wodę, Rebound był nie dalej jak trzy metry od niego. Gwałtowność śmierci Francuza przeraziła go nie na żarty.

Teraz basen był całkowicie spokojny.

Rebound obracał się w wodzie i rozpaczliwie rozglądał wokół. Woda była zimna, a rana postrzałowa w ramieniu piekła, ledwie to jednak zauważał.

Unosząca się tuż obok niego Matka poruszała nogami w wodzie, by utrzymać się na powierzchni, i z napięciem czekała na dalszy rozwój wypadków. Ciało Lane'a pływało nieopodal – twarzą do dołu – a sącząca się z głowy krew tworzyła w zimnej, granatowej wodzie powoli rozszerzającą się aureolę.

Pozostała przy życiu czwórka Francuzów także była jeszcze w basenie. Kompletnie ignorowali Matkę i Rebounda – walka została zapomniana, przynajmniej na chwilę.

Po chwili Rebound ujrzał naukowców – dwie kobiety i mężczyznę.

W basenie było dziesięć osób, ale żadna z nich się nie poruszała.

Nikt nie odważył się nawet drgnąć.

Przed paroma sekundami wszyscy widzieli wciąganego pod wodę Francuza.

Lekcja brzmiała: jeżeli się nie ruszasz, może orki się za ciebie nie wezmą.

Kiedy trzy potężne cienie powoli przesunęły się w wodzie pod Reboundem, wstrzymał oddech.

Nagle usłyszał trzask i odwrócił się w kierunku dźwięku. Zobaczył, że Matka trzyma nad powierzchnią wody gotowy do strzału MP5.

– Jezu... – westchnął z podziwem. Jeżeli istniał na świecie ktoś, kto miałby odwagę spróbować załatwić orkę z ręcznej broni palnej, mogła to być tylko Matka.

Wokół panowała cisza.

Nie ruszaj się...

Ni stąd, ni zowąd rozległ się ogłuszający huk – to jedna z ork wystrzeliła w górę, tuż obok sierżant Matki Newman.

Zwierzę wyrzuciło połowę potężnego cielska nad wodę, odwróciło się w powietrzu i spadło jak grom na nieruchome ciało Lane'a. Kiedy złapało zębami martwe ciało i zaczęło je zgniatać, łamiąc trupowi niemal każdą kość, rozległa się seria

przyprawiających o mdłości chrupnięć. Po kilku chwilach łeb orki zanurzył się w wodzie, a jego miejsce zajął ogon, który też zaraz zniknął i pozostała jedynie spieniona woda.

Ciało Lane'a również zniknęło.

Rebound nie poruszał się, zawisł w wodzie jak korek. Jego szeroko otwarte usta przypominały wrota stodoły. Powoli zaczęło do niego docierać, co się stało.

Legs się nie poruszał.

Natychmiast dotarło to również do pozostałej dziewiątki w basenie.

Orkom jest obojętne, czy ktoś się porusza, czy nie...

Cała dziewiątka natychmiast ruszyła do brzegu, gorączkowo młócąc wodę, a orki wynurzyły się na powierzchnię, by rozpocząć szaleńcze żarcie.

Leżący na resztkach pomostu poziomu B Buck Riley ponownie zaklął.

Kirsty popatrzyła na basen i ujrzała ogromne białe-czarne cielska, a jej dolna szczęka zaczęła drżeć. Gdy zobaczyła, jak pierwsza orka wyskakuje z wody i pożera martwe ciało Lane'a, zaczęła hiperwentylować.

– Omójboże... omójboże... – zachlipała.

Riley pomyślał, że musi się spieszyć. Wychylił tułów za odwrócony do góry nogami pomost, zwieszając się głową w dół. Trzymał się nogami i jedną ręką metalowej kratki, a wolne ramię wyciągnął jeszcze dalej.

Już tylko pięć centymetrów dzieliło go od ręki dziewczynki.

Prawie ją miał.

Nagle, gdzieś z jego lewej, rozległo się ciche WWWSSS...

Szarpnął głową w tym kierunku.

– O, nie...

Tak jak się obawiał, ogień zapalił płatki farby na poręczy. Niewielki pomarańczowy płomień gnał wzdłuż barierki, zapalając wyschniętą farbę i zostawiając za sobą smugę dymu.

Oczy Rileya rozszerzyły się z przerażenia.

Płomień gnał po barierce prosto ku dłoni Kirsty.

Dziewczynka ciągle jeszcze patrzyła na szalejące w basenie orki. Kiedy w końcu podniosła wzrok na Rileya, ich spojrzenia się spotkały i zobaczył w oczach małej paniczny strach.

Jeszcze bardziej się wyciągnął – teraz niemal cały jego tułów zwisał w dół.

Pomarańczowy płomień pędził po czarnej poręczy, a ognisty ślad, który za sobą zostawiał, rozgrzewał powietrze.

Dłoń Rileya dzieliły od dłoni Kirsty dwa centymetry.

Po chwili poczuł, jak czubki jej palców muskają mu dłoń.

Jeszcze centymetr. Jeszcze tylko centymetr...

– Panie Book! Niech mi pan nie pozwoli spaść!

Nagle pomarańczowa ścieżka ognia przemknęła przed oczami Riley'a.

– Nie! – wrzasnął z rozpaczą.

Ogień pomknął dalej, tuż pod dłoń Kirsty.

Riley z bezradnym przerażeniem usłyszał krzyk bólu, po czym dziewczynka zrobiła to, co nakazywało jej ciało przy kontakcie z ogniem.

Puściła poręcz, zaczęła spadać.

Nie przeleciała jednak nawet ćwierci metra, gdy Buck Riley puścił barierkę i podążył za nią. Opadł metr – pionowo jak kamień, jedno jego ramię wskazywało prosto w górę, drugie prosto w dół. Dolna ręka chwyciła kaptur kurtki Kirsty, górna płonąca poręcz barierki.

Oba ciała zatrzymały się z nagłym szarpnięciem i Riley'a tak gwałtownie obróciło o sto osiemdziesiąt stopni, że o mało nie wyrwało mu ręki z barku. Zwisał na prawej ręce, trzymając się tej samej płonącej poręczy, której temperatura dwie sekundy wcześniej zmusiła Kirsty do puszczenia chwytu.

Dziwne, ale choć żar wciskał mu się pod rękawicę, udało mu się z ulgą uśmiechnąć.

– Mam cię, mała – wydyszał niemal ze śmiechem. – Mam cię. Kirsty wisiała pod nim, z rękami szeroko rozłożonymi na boki i nie spadała w dół tylko dlatego, że kurczowo ścisnął czubek kaptura jej kurtki.

– No dobra... – mruknął pod nosem – tylko jak się, do cholery, stąd...

Nagle rozległ się głośny trzask i ciałem Kirsty szarpnęło. Choć opadła jedynie dwa centymetry, Riley natychmiast zrozumiał, co się stało.

Nawet zobaczył.

Jego wzrok zatrzymał się w miejscu, gdzie różowy kaptur łączył się z różową kurtką, i ogarnęło go przerażenie.

Kaptur nie był tak naprawdę częścią kurtki.

Można go było przypinać i odpinać od kołnierza w zależności od pogody. Łączyło go z kurtką jedynie sześć zatrzasków.

Trzask, który Riley usłyszał, wydał rozpinający się zatrzask. Zrobiło mu się niedobrze.

– Nie, to nie fair... – wysapał. – To naprawdę nie fair, kurwa... TRZASK!

Rozpiął się kolejny zatrzask.

Kirsty opadła kolejne dwa centymetry.

Riley czuł, że przegrywa. Nie miał pojęcia, co robić. Nie mógł nic zrobić. Wisiał już w najniższym punkcie poręczy i nie mógł się dalej opuścić. A Kirsty nie miała jak sięgnąć ku górze.

TRZASK! TRZASK!

Puściły dwa kolejne zatrzaski. Kirsty za każdym ruchem w dół i szarpnięciem darła się przeraźliwie.

Różowy kaptur zaczął się wyciągać. Przy kołnierzu trzymały go już tylko dwa zatrzaski.

Riley zastanowił się, czy nie machnąć małą w kierunku znajdującego się mniej więcej cztery metry w dole pomostu poziomemu C, natychmiast jednak porzucił myśl. Kaptur ledwie trzymał się kurtki i każdy ruch z pewnością spowodowałby odpięcie się ostatnich zatrzasków.

– Niech to jasna cholera! – wrzasnął Riley. – Nikt mi nie może pomóc?!

– Trzymaj się! – krzyknął ktoś z niewielkiej odległości. – Idę do was!

Riley odwrócił głowę i w niewielkiej wnęce, tuż przy pomoście poziomemu C, zobaczył Schofielda. Obok kucała Lis. Wyglądało na to, że porucznik kazał jej zejść najbliższą drabinką i skierować się na poziom z basenem, a sam zamierza zająć się nim i Kirsty.

TRZASK!

Oderwał się przedostatni zatrzask i Riley znów skierował całą swoją uwagę na dziewczynkę. Krzywił się z bólu, ale trzymał gorącą poręcz i patrzył na Kirsty. Mała była półprzytomna ze strachu. Miała czerwone, wypełnione łzami oczy, wpatrywała się w niego i między kolejnymi chlipnięciami powtarzała:

– Nie chcę... umierać. Boże... nie chcę... umierać... Został jeszcze tylko jeden zatrzask.

Kaptur był naciągnięty, ledwie wytrzymał ciężar dziewczynki. Nie utrzyma jej...

Sekundę przedtem, zanim to się stało, Buck Riley poczuł, jak ciało małej odrywa się od kaptura i wymamrotał ze skruchą:

– Przepraszam...

Ostatni zatrzask puścił z głośnym trzaskiem i Riley mógł już tylko bezradnie patrzeć, jak Kirsty odpada od jego ręki jak na koszmarnym, puszczonej w zwolnionym tempie filmie. Jej rozszerzone oczy patrzyły prosto w jego oczy, a buzię wykrzywił strach. Jej sylwetka robiła się coraz mniejsza i Riley o mało nie zwymiotował, kiedy dziewczynka z głośnym pluskiem wpadła do lodowatej wody piętnaście metrów niżej.

Basen u podstawy Stacji Lodowej Wilkes zamienił się w rzeźnię. Skulony we wnęce na poziomie C Schofield z przerażeniem patrzył na to, co się tam dzieje.

Krew tak zmąciła lodowatą wodę, że przynajmniej pół wielkiego basenu zasnuła bordowa mgła. W nieprzejrzystych plamach znikwały nawet przepływające pod powierzchnią potężne orki.

Porucznik siedział nieruchomo, próbując ocenić sytuację.

Z jednej strony basenu byli Francuzi. Ucierpieli bardziej – orki powiększyły ich

straty o kolejnych dwóch ludzi.

Po drugiej stronie znajdowali się dwaj pozostali przy życiu marines – Rebound i Matka – oraz trójka naukowców z Wilkes, którzy byli razem z Bookiem, kiedy pomost puścił. Cała piątka płynęła w kierunku otaczającej basen metalowej platformy.

W to wszystko z głośnym chlapnięciem wpadła drobna figurka ubranej na różowo Kirsty. Wylądowała na plecach i natychmiast poszła pod wodę. Jej całemu lotowi w dół towarzyszył przenikliwy pisk.

Schofield odwrócił się, by spojrzeć na Bucka Rileya, nadal zwisającego z odwróconego do góry nogami pomostu poziomemu B.

Ich wzrok spotkał się na moment. Book sprawiał wrażenie pokonanego, przygnębianego i wyczerpanego. Jego oczy mówiły wszystko. Nie mógł zrobić więcej. Naprawdę nie mógł.

Ale Schofield mógł.

Jeszcze przez chwilę analizował oglądany obraz.

Kirsty znajdowała się po drugiej stronie dzwonu nurkowego, na otwartej przestrzeni. Pozostali docierali już do brzegów basenu i zaczęli się wydostawać. W panicznej ucieczce przed orkami nikt nie zauważył wpadnięcia dziewczynki do wody.

Patrząc w dół, porucznik słyszał w słuchawkach głos Montany, który wrzeszczał na Węża i Santa Cruza. Cała trójka prowadziła walkę bez użycia broni na poziomie A.

– ...pchaj ich dalej wokół południowego...

– Też nie mogą użyć broni...

Schofield odwrócił się, szukając czegoś, co mogłoby mu pomóc dostać się do małej.

Był nadal ukryty we wnęce, tyle że już bez Gant. Parę minut temu posłał ją na dół, a sam został, by pomóc Buckowi Rileyowi. Zanim jednak zdążył ruszyć na pomoc, Kirsty spadła. Teraz unosiła się na wodzie za dzwonem.

Wzrok porucznika padł na szereg przycisków na konsolcie stojącej za jego plecami – pod nimi znajdował się napis: DZWON NURKOWY – WYCIĄGARKA.

Nie, to nie mogło w niczym pomóc.

Zaraz jednak dostrzegł inny przycisk – duży, kwadratowy, z jednowyrazowym napisem: MOST.

Zdezorientowany, przez chwilę wpatrywał się w ten przycisk. Nagle przypomniał sobie. Wsuwana kładka. To musiał być klawisz sterowania wysuwaną kładką, o której opowiadała mu Hensleigh – mostem, wysuwającym się ze ściany na poziomie C i mogącym w razie potrzeby przeciąć w poprzek pustą przestrzeń w centrum stacji.

Natychmiast walnął pięścią w przycisk i po chwili usłyszał głośne szczekanie, dochodzące gdzieś spod swoich stóp.

Znajdująca się tuż obok w ścianie maszyna ożyła z buczeniem i w pustą przestrzeń szybu głównego zaczęła się wysuwać wąska, długa kładka.

Z drugiej strony szybu, spod pomostu, wysuwała się taka sama kładka. Należało się spodziewać, że obie spotkają się w środku i utworzą przejście nad basenem.

Porucznik nie czekał nawet sekundy, bez namysłu skoczył na wysuwającą się kładkę. Wydłużała się jak teleskop: z każdej części wysuwała się nieco mniejsza, do tego w takim tempie, że choć Schofield biegł, kładka ciągle sunęła przed nim. Nie była szeroka, miała może sześćdziesiąt centymetrów, nie zaopatrzonej jej też w żadną barierkę, ale porucznik biegł dalej. Kiedy jego połówka miała się spotkać z bliźniaczką z naprzeciwka, wziął głęboki wdech, przyspieszył i zeskoczył w bok, w pustą przestrzeń nad basenem.

Ul Riley ze zdumieniem patrzył, jak Schofield wylatuje w powietrze, mija wielki dzwon ratunkowy i szerokim łukiem opada ku lodowatej wodzie.

Spadał bardzo szybko, zdążył jednak zrobić w locie coś dziwnego: uniósł prawą rękę i sięgnął za plecy.

Uderzył w wodę szeroko rozkraczonymi nogami, by nie zanurzyć się za głęboko. W rękach trzymał podłużny przedmiot, który wyciągnął zza pleców.

Gdy woda tuż obok wybuchła, Kirsty odwróciła się odruchowo.

Z początku sądziła, że to jedna z orek wyskakuje nad powierzchnię, by porwać ją w głębinę, kiedy jednak woda spłynęła, ujrzała unoszącego się obok mężczyznę.

Był to jeden z marines. Spotkała go już przedtem, był bardzo miły i dowodził innymi żołnierzami. I miał odjazdowe lustrzane okulary. Spróbowała przypomnieć sobie, jak się nazywa. Seinfeld * czy coś w tym rodzaju...

* [Nazwisko bohatera bardzo popularnego amerykańskiego serialu telewizyjnego o tym samym tytule.]

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Niepewnie pokręciła głową.

Srebrne okulary zwisały mu krzywo z nosa, przesunięte impetem uderzenia o wodę. Szybko je poprawił, ale dziewczynka zdążyła zobaczyć jego oczy i aż jęknęła.

Nagle obok nich śmignęła jedna z orek i Kirsty przestała myśleć o oczach Schofielda.

Ogromna, czarna płetwa grzbietowa przemknęła tuż-tuż, po czym powoli, bardzo powoli zaczęła się zanurzać, aż w końcu jej czubek zanurkował pod powierzchnię i zniknął.

Kirsty zaczęła bardzo szybko oddychać.

Porucznik wbił wzrok w wodę pod nimi. Znajdowali się w części basenu, której

jeszcze nie zmaciła krew. Woda była kryształowo przejrzysta.

Kirsty podążyła za jego spojrzeniem i...

...zobaczyła szeroko rozwartą paszczę orki, zbliżającą się do jej stóp.

Wrzasnęła w panice, ale Schofield pozostał spokojny. Błyskawicznie wsadził lufę maghooka do wody i przez przerażające pół sekundy czekał, aż krwiożercza bestia znajdzie się odpowiednio blisko.

Kiedy orka podpłynęła, wystrzelił.

Zaopatrzona w pękaty magnes głowica trzasnęła orkę w nos i bestia natychmiast się zatrzymała.

Głowica maghooka uderza z impetem prawie trzystu kilogramów na centymetr kwadratowy, porucznik nie był jednak pewien, czy nawet taka siła wystarczy do zatrzymania ogromnej, ważącej siedem ton orki. Prawdopodobnie zwierzę było po prostu zdziwione, że coś śmiało je zaatakować.

Schofield szybko dwa razy wcisnął guzik na uchwycie maghooka i linka natychmiast zaczęła się zwijać.

Spojrzał na Kirsty.

– Ciągłe jeszcze jesteś w jednym kawałku? Masz wszystkie palce u rąk i nóg?

Dziewczynka wpatrywała się w niego bez słowa. Znów widziała przed sobą jego oczy. Po chwili tępo kiwnęła głową.

– No to ruszamy – powiedział porucznik i zaczął ciągnąć ją przez wodę.

Sarah Hensleigh dotarła do brzegu i najszybciej, jak umiała, wspięła się na niego. Zaraz potem odwróciła się – kilka metrów od brzegu płynęli Conlon i Abby.

– Prędej! – krzyknęła. – Pospieszcie się!

Abby dopłynęła pierwsza. Sarah chwyciła ją za rękę i mocnym szarpnięciem pomogła wydostać się na brzeg.

Conlonowi brakowało jeszcze dwóch metrów, płynął jednak wytrwale.

– Pospiesz się, Warren! Geolog z całych sił młócił wodę. Jeszcze metr.

Popatrzył na Sarah, która opadła na kolana na skraju platformy.

Wreszcie dotarł do celu. Huknął pięścią w metalowe obramowanie niczym kończący wyścig zawodnik na igrzyskach olimpijskich, a potem wyciągnął rękę w górę i złapał dłoń Sarah. Zaczęła wywlekać go na brzeg, gdy nagle woda tuż za jego plecami rozstała się i jedna z ork wystrzeliła nad powierzchnię. Wielkie zwierzę rozwarło szeroko paszczę i połowa ciała Conlona – po klatkę piersiową – znalazła się w jej wnętrzu.

Kiedy delfin-zabójca zacisnął szczęki, geolog wybałuszył oczy z przerażenia i bólu. Sarah rozpaczliwie próbowała go wyciągnąć, ale zwierzę było zbyt silne. Gdy zaczęło opadać w wodę, z taką mocą pociągnęło Conlona do tyłu, że Sarah poczuła, jak paznokcie przerażonego naukowca rozdzierają jej skórę, i nagle jego dłoń została

wyrwana z jej uchwytu. Sarah poleciała do tyłu i mogła jedynie w przerażeniu patrzeć, jak Warren Conlon znika tuż przed nią pod wodą.

Kilka metrów dalej w bok dopływali do brzegu Matka i Rebound.

Rebound młócił wodę rękami i nogami, a Matka odwróciła się i puściła pod wodą serię z MP5. Jedną z pierwszych rzeczy, o jakich się mówi żołnierzom na wyspie Parris, na której mieści się legendarny obóz szkoleniowy Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, jest to, że woda stawia opór wystrzeliwanym pociskom. Zwykły pocisk po przebyciu mniej więcej dwóch metrów wody traci niemal cały rozpęd, a potem zatrzymuje się i opada na dno.

Ale żadne prawa fizyki nie obchodziły w tej chwili Matki Newman. Zaczekała, aż orki podpłyną odpowiednio blisko, i puściła długą serię. Wyglądało jednak na to, że pociski wbijające się w skórę orki nie powodują większych szkód. Matka strzelała i trafiała, a orki odpływały na bok i po chwili wracały – nawet nie przestraszone.

Rebound uderzył w pomost, ale zanim wciągnął się na brzeg, rzucił okiem za siebie, na Matkę Newman.

Patrzyła w lewo, w głąb wody, jej ręka trzymająca broń podskakiwała raz za razem w rytmie strzałów. Nagle znieruchomiała i na twarzy Matki pojawiło się zdziwienie. Jej pistolet maszynowy przestał strzelać.

W komorze MP5 zaciął się nabój.

Matka gwałtownie potrząsnęła bronią, jakby mogło to jej przywrócić sprawność.

Spod wody, z prawej strony Newman, zaczął wypływać groźny ciemny cień, kierując się powoli ku jej nogom.

– Matka! Uważaj z prawej! – wrzasnął Rebound.

Newman natychmiast odwróciła się i ujrzała tuż obok siebie orkę. Ponieważ jej broń była bezużyteczna, mogła jedynie okręcić się w wodzie, podnosząc szybko nogi ku górze – i delfin-zabójca przemknął tuż obok, mijając jej stopy o centymetry.

Kiedy Rebound sądził już, że zwierzę zostawi swoją ofiarę w spokoju, krwiożerczy delfin błyskawicznie zmienił kurs, przebił powierzchnię i złapał w paszczę rękę, w której Newman trzymała broń.

Matka krzyknęła i puściła MP5, ale zdążyła wyszarpnąć rękę. Zęby orki zacisnęły się jedynie na pistolecie maszynowym.

Nad nadgarstkiem Newman natychmiast pojawiła się krew i rozlała się po całym przedramieniu.

Na szczęście dłoń była cała.

Matka nie przejęła się raną. Pozbawiono ją broni, nie pozostało jej więc nic innego, jak płynąć co sił do brzegu.

Rebound wciągnął się na pomost, odwrócił i zaczął dopingować Newman:

– Ruszaj się, Matka! Szybciej, mała!

Matka płynęła najszybciej, jak tylko mogła.
Rebound ukląkł na skraju pomostu.
Wodę za desperacko młócając ramionami Newman przecinały z lewej i prawej czarne cienie.
Było ich zbyt wiele.
W końcu do Rebounda dotarło, co się za chwilę stanie.
Matka nie zdąży dopłynąć do brzegu.
W tej samej chwili w wodzie tuż za gwałtownie bijącymi wodę nogami Matki pojawiła się potężna czarna sylwetka.
Kiedy się powoli zbliżała, Rebound przez pomarszczoną, przezroczystą wodę widział różowy pasek, przecinający w poprzek czarno-biały obrys szczęki.
Orka miała otwartą paszczę.
Rebound ujrzał zęby potwora i poczuł, że krew zastyga mu w żyłach.
Widział poprzez krystalicznie czystą wodę, jak czarny kontur powoli unosi się za Matką – aż wreszcie jej kopiające wodę nogi znalazły się wewnątrz wielkiej paszczy.
Po chwili wielkie szczęki orki zaczęły się powoli zamykać wokół kolan sierżant Newman.
W następnej sekundzie ciało Matki zostało brutalnie szarpnięte i wciągnięte pod powierzchnię.
Rebound z przerażeniem patrzył, jak woda wokół zabarwia się na czerwono. Ale choć krwisty wachlarz z każdą chwilą się powiększał, Newman nadal walczyła, stawiała opór.
Nagle wyskoczyła nad powierzchnię – i to samo zrobiła orka. Jakimś sposobem Matce musiało udać się wyrwać jedną nogę z paszczy zwierzęcia, bo teraz kopała nią z całej siły w tępy pysk orki.
– Ty matkojebco! – wyła. – Zaraz cię zabiję, jebańcu! Jednak orka trzymała zębami jej drugą nogę i nie zamierzała puścić.
Nieoczekiwanie Matka pomknęła do przodu. Orka pchała ją przed sobą prosto na stojącego na brzegu Rebounda.
BANG!
Matka z głośnym hukiem uderzyła o brzeg i jakimś cudem udało jej się złapać za metalową krawędź.
– Zajebię cię, pierdolcu! Ty matkojebco! – syczała przez zaciśnięte zęby.
Rebound wyciągnął się do przodu, złapał trzymającą się brzegu Newman i zaczął przeciągać się nią z orką.
Matka wyciągnęła z kabury wielki samopowtarzalny pistolet i wycelowała go w łeb orki.
– A niech mnie jasna... – wymamrotał Rebound.

– Chcesz coś zjeść, mała? – zapytała Newman, zwracając się do zwierzęcia. – Spróbuj tego...

Nacisnęła spust.

Wystrzał zapalił przesycone gazem powietrze i z lufy pistoletu Matki wyprysnęła błyskawica żółtego światła. Fala uderzeniowa wybuchu była tak silna, że Matka została wepchnięta na brzeg i poleciała razem z Reboundem pięć metrów od skraju wody.

Orka nie miała tyle szczęścia. Kiedy pocisk wbił się w mózg zwierzęcia, jego potężne cielsko zostało rzucone gwałtowną konwulsją do tyłu i w górę. Po chwili orka opadła bezwładnie na wodę, w której zaczęła rozlewać się chmura jej własnej krwi. Trzymała jednak w paszczy swoją ostatnią nagrodę – zdobytą ułamek sekundy przed śmiercią – połowę lewej nogi sierżant Matki Newman. Od kolana w dół.

Schofield i Kirsty tkwili na środku basenu, między dzwonem nurkowym i oddalonym o jakieś osiem metrów brzegiem.

Przyciskali się do siebie plecami i rozglądali wokół z niepokojem. Woda była złowrogo spokojna. Cicha. Nieruchoma.

– Proszę pana... – zaczęła Kirsty głosem niewiele głośniejszym od szeptu. Drżała jej szczeka, co było prawdopodobnie efektem połączenia strachu i zimna.

– Co jest? – zapytał porucznik, nie przestając obserwować wody.

– Boję się.

– Boisz się? – powtórzył Schofield, który nie bardzo umiał ukryć własny strach. – Zdawało mi się, że dzisiejsze dzieciaki nie boją się niczego. Nie pokazują niczego podobnego w Podmorskim Świecie...

Zanim dokończył zdanie, z wody, tuż przed nim, wyskoczyła jedna z orek. Uniosła się wysoko nad powierzchnię, zakreśliła łuk i potężny łeb zaczął opadać – prosto na porucznika i Kirsty.

– Pod wodę! – wrzasnął Schofield na widok szczerzących się tuż przed nim dwóch rzędów śnieżnobiałych zębów.

Wstrzymał oddech i zanurkował, pociągając Kirsty za sobą.

Świat nagle oniemiał, a potężny, biały brzuch orki przemknął nad nimi z niesamowitą prędkością. Kiedy zwierzę opadało do wody tuż nad ich głowami, jego twarda skóra przejechała po hełmie Schofielda.

Wyskoczyli nad wodę i zaczęli łapczywie chwytać powietrze.

Porucznik szybko spojrział w lewo i zobaczył na brzegu Rebounda i Matkę. Popatrzył w prawo: Sarah i Abby, też już bezpieczne, odsuwały się jak najdalej od metalowej krawędzi.

Odwrócił się za siebie: właśnie kolejny Francuz był wciągany pod powierzchnię. Pozostali dwaj francuscy komandosi dopływali wreszcie do brzegu. Ponieważ wpadli do wody najbliższej środka basenu, musieli pokonać dłuższy dystans niż pozostali.

Dobrze im tak, pomyślał Schofield.

Spojrzał do góry – nad głową miał wysuwany most, przecinający szyb główny na wysokości poziomu C.

W tym momencie we wnęce przy pomoście na poziomie C rozległ się ogłuszający wybuch i do szybu głównego wystrzelił wielki jęzor ognia.

Porucznik natychmiast odgadł, co się stało: zatrzymani na poziomie A Francuzi, pozbawieni możliwości używania karabinków szturmowych, zaczęli rzucać do szybu głównego granaty. Było to sprytnie posunięcie, bo granat, wybuchający w przepelnionej łatwopalnym gazem atmosferze, mógł spowodować dwa razy większe szkody. Celem Francuzów była wnęka, w której jeszcze niedawno Schofield ukrywał się razem z Gant.

Nagle od kuli ognia, która zniszczyła wnękę, coś się oddzieliło.

Było wielkie, szare, kanciaste i spadało do szybu głównego koziółkując. Spadało bardzo szybko, rozrywając z hukiem powietrze. Po chwili o ograniczające basen obramowanie załomotał dwustukilowy fotel lotniczy, który jeszcze przed paroma sekundami stał na poziomie C. Impet uderzenia był tak wielki, że ciężki mebel wgniótł gruby metal pomostu.

Choć wokół szalał chaos, porucznik przyglądał się kładce nad swoją głową. Oceniał odległość.

Dziesięć metrów. Może dwanaście.

Podniósł maghooka, kciukiem przerzucił dźwignię z oznakowaniem „M”, a gdy na głowicy zapaliło się czerwone światelko, sygnalizujące, że wyrzutnia jest gotowa do działania – wycelował i wystrzelił.

Głowica wyprysnęła do góry. Tym razem jednak pazury się nie rozłożyły, bo głowica została nastawiona na „magnes”.

Pękaty, magnetyczny łeb zadudnił w spód wysuwanego mostu i przywarł do niego.

Schofield wykonał w pamięci szybkie obliczenie. Kiedy skończył, podał miotacz Kirsty i powiedział:

– Trzy słowa, skarbie: TYLKO... NIE... PUŚĆ.

Dziewczynka chwyciła maghooka obiema rękami i popatrzyła na porucznika, nic nie rozumiejąc.

Porucznik dodał jej otuchy uśmiechem i przykazał:

– Trzymaj się mocno.

Powiedziawszy to, wcisnął zdecydowanym ruchem niewielki czarny przycisk na uchwycie maghooka.

Kiedy mechanizm ukryty we wnętrzu wyrzutni zaczął zwijać linkę, Kirsty pomknęła do góry jak wielka ryba wciągana na wędce.

Była lekka, więc maghook bez trudu podciągnął ją do mostu. Schofield wiedział,

że odbyłoby się to znacznie wolniej, gdyby także i on...

Nagle z wody wyskoczyła orka i pomknęła w górę za Kirsty.

Na widok potężnego zwierzęcia, wyciągającego cielsko z wody w niesamowitym, pionowym skoku, porucznikowi włosy zjeżyły się na głowie.

Unoszona przez maghooka Kirsty wciąż jeszcze była w powietrzu. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła pod sobą orkę, wynurzającą się z wody niczym diabeł z piekła. Potężne cielsko gnało ku niej jak lokomotywa, a wznosząc się, wirowało wokół własnej osi.

Nagle maghook zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem.

Orka unosila się w dalszym ciągu.

Przestraszona Kirsty pisnęła, spojrzała w górę i stwierdziła, że jest przyklejona do mostu od spodu.

Nie miała jednak możliwości podciągnąć się wyżej.

Orka, docierając do najwyższego punktu lotu, szeroko rozwarła paszczę...

Kirsty złapała mocniej maghooka i błyskawicznym ruchem podciągnęła nogi do klatki piersiowej. Niemal w tej samej chwili szczęki orki z głośnym chrupnięciem zacisnęły się jakieś dwadzieścia pięć centymetrów od pupy dziewczynki, najniższego w tym momencie punktu jej ciała.

Kirsty zobaczyła, jak potężna czarno-biała orka opada, maleje i w końcu znika w basenie w dole. Zwierzę musiało mieć przynajmniej dziesięć metrów długości.

Przed twarzą dziewczynki pojawiła się czyjaś dłoń i mało brakowało, by mała ze strachu puściła maghooka.

– Nie bój się – powiedział jakiś głos. – To ja.

Kirsty podniosła głowę i okazało się, że patrzy w przyjazne oczy żołnierza, którego poznała jako Pana Książkę. Złapała go za rękę i wyciągnęła ją na kładkę.

Nagle zaczęła ciężko dyszeć, niemal się dusiła. Buck Riley przyglądał jej się ze zdumieniem. Dziewczynka sięgnęła do kieszeni i wyjęła inhalator z lekarstwem na astmę.

Wzięła dwa głębokie wdechy i przestała dyszeć. Kiedy wreszcie była w stanie cokolwiek powiedzieć, popatrzyła na Riley'a, pokręciła głową i stwierdziła:

– Tego na pewno nie mają w Podmorskim Świecie.

Schofield w dalszym ciągu był w basenie. Wokół niego krążyły dwie orki. Były wyraźnie mniejsze od pozostałych. Może to młode okazy, pomyślał porucznik.

Podniósł wzrok ku górze i krzyknął:

– Book! Potrzebuję maghooka!

Riley natychmiast położył się na brzuchu na moście i wychylił za krawędź wąskiej metalowej kładki. Sięgnął pod nią, próbując wyłączyć magnes.

– Natychmiast, Book! – ponaglił go głos porucznika.

– Próbuję! Próbuję!

– Próbuj szybciej!

Riley macał pod spodem mostu, usiłując wymacać klawisz na uchwycie, który uruchamiał i wyłączał magnes.

W tym momencie stało się coś dziwnego.

Riley gotów byłby przysiąc, że siedząca tuż nad jego głową Kirsty powiedziała: „Pomóż nurkowi, Wendy. Pomóż nurkowi!”.

Zamrugał gwałtownie. Pewnie mu się zdawało.

Schofield był pewien, że już po nim. Krażące z obu stron orki zacieśniały kręgi, odcinając mu drogę ucieczki.

Nagle jedna z nich wyłamała się z kolistego ruchu i zawróciła. Porucznik przełknął ślinę. Pewnie przyjmuje pozycję do ataku, pomyślał.

Orka zawracała powolnym, szerokim łukiem, aż znalazła się na wprost Schofielda. Jej cielsko znajdowało się trzydzieści centymetrów, może pół metra pod powierzchnią, potężna płetwa grzbietowa bezszelestnie rozcinała sfalowaną wodę. Zwierzę poruszało się z taką prędkością, że przed jego zanurzonym czarno-białym łbem powstawała fala, która pędziła prosto na porucznika.

Schofield rozejrzał się wokół. Tym razem nie było gdzie uciec, nie miał też żadnej porządnej broni.

Z rozpaczą wyrwał z kabury pistolet i unióś go nad wodę.

Jeśli tak musi być, pomyślał, to widać tak być musi.

Orka pędziła w jego kierunku.

Nagle, z prawej strony, tuż przy głowie porucznika, w wodę wbiło się coś czarnego – dokładnie między nim i krwiożerczą bestią.

To „coś” było tak smukłe, że wślizgnęło się do wody niemal bezgłośnie, a gdy tylko się w niej znalazło, zaczęło odpywać z niesamowitą prędkością.

Orki natychmiast dostrzegły intruza i w tej samej sekundzie przestały interesować się Schofieldem – nawet ta, która przed chwilą przeprowadzała atak, gwałtownie zmieniła tor i odskoczyła w pogoni za nową ofiarą.

Porucznik nic nie rozumiał. Co to było? Przypominało z wyglądu... fokę.

W tym momencie, jak na skinienie czarodziejskiej różdżki, tuż przed nim wpadł do wody maghook.

Schofield błyskawicznie złapał miotacz i spojrzał w górę. Buck Riley leżał na mostku na brzuchu, jedną ręką sięgając pod metalową kładkę.

Porucznik popatrzył na maghooka i poczuł, jak przez jego ciało przepływa nowa fala energii.

Nagle tuż przed nim wynurzył się z wody mały, czarny łebek i zaskoczony Schofield rzucił ciałem do tyłu.

Była to Wendy. Płaskogłów Kirsty.

Jej śliczny czerwony kołnierz błyszczał od wody, a łagodne czarne ślepia wpatrywały się prosto w oczy człowieka. Porucznik mógłby przysiąc, że foczka się uśmiecha – pewnie miała pyszną zabawę, pływając po basenie i uciekając przed powolniejszymi orkami.

To właśnie ona musiała być tym „czymś”, co zanurkowało przed chwilą między nim i atakującymi orkami.

Nagle foczka szarpnęła łebkiem w lewo.

Musiała coś usłyszeć albo wyczuć.

Wykonała łebkiem ruch, jakby żegnała się z Schofieldem, po czym zanurkowała i pomknęła na drugi koniec basenu.

Płynęła naprawdę bardzo szybko. Jej ciało pędziło pod powierzchnią wody jak mała czarna torpeda. Skręciła lekko w lewo, zrobiła unik w prawo i błyskawicznie zniknęła, nurkując stromo w dół. Tuż za nią pojawiły się trzy czarne płetwy grzbietowe i orki natychmiast rozpoczęły pogoń. Po chwili płetwy orek także zniknęły pod wodą.

Porucznik wykorzystał okazję i ruszył do brzegu. Zostały mu do krawędzi trzy metry, gdy zakotłowała nim gwałtowna fala i zawirował w wodzie – właśnie minęło go cielsko jednej z orek. Wstrzymał oddech, przygotowując się do walki, ale orka popłynęła dalej, zainteresowana wyłącznie Wendy.

Schofield znów zaczął płynąć i po chwili złapał metal platformy. Kiedy wspiął się na brzeg, jego wzrok padł na poobijany fotel lotniczy, który leżał tuż przed nim. Odwrócił się i spojrzał na basen.

Sarah i Abby już dawno wydostały się z wody i biegły teraz w kierunku tuneli poziomu E. Niedaleko od nich znajdowali się Rebound i Matka. Rebound klęczał nad Newman, próbując powstrzymać upływ krwi z oderwanej przez orkę nogi.

Po drugiej stronie basenu porucznik zobaczył dwóch francuskich komandosów, którzy także wydostali się bezpiecznie z wody. Kiedy jeden z nich ujrzał Schofielda, natychmiast sięgnął po kuszę.

W tym momencie uwagę porucznika zwrócił jakiś nagły ruch, odwrócił się więc i dostrzegł mknący tuż pod wodą znajomy czarny cień.

Wendy.

Zaraz za nią przez wodę pędziły trzy znacznie większe, czarno-białe kształty. Orki nie odpuszczały.

Foczka płynęła z niesamowitą prędkością – tuż pod wodą. Od czasu do czasu rozkładała płetwy, by silnym uderzeniem dodać sobie prędkości, po czym znów układała je wzdłuż korpusu. Wyglądała jak wystrzelony w wodę pocisk, to znikający w czerwonych, mętnych plamach, to pojawiający się w czystych fragmentach lodowatej wody.

Podążała w kierunku tej części pomostu, gdzie stali Francuzi, nie zwalniając ani na chwilę.

Schofield miał nawet wrażenie, że zbliżając się do brzegu, Wendy przyspiesza.

Po chwili ze zdumieniem zobaczył, jak metr przed krawędzią brzegu foczka nagle wyskakuje z wody. Był to płaski, elegancki skok. Wendy zgrabnie wylądowała na brzuchu i ślizgając się pokonała trzy metry, mijając obu zamarłych ze zdumienia francuskich komandosów.

Kiedy znalazła się za nimi, stanęła na płetwach i zaczęła galopować, najwyraźniej zamierzając jak najbardziej oddalić się od brzegu.

Przez sekundę porucznik nie mógł zrozumieć, po co to robi. Po wyjściu z wody była przecież bezpieczna.

Zaraz jednak pojął, dlaczego Wendy ucieka.

Niczym wznoszący się z głębin demon, jedna z orzek wypadła z łoskotem z wody i rzuciła cielskiem o podest, lądując na grubej metalowej kratownicy z potężnym tapnięciem. Niesione siłą bezwładu, potężne zwierzę zaczęło sunąć po pomoście. Sunąc, przewróciło się na bok i otworzyło paszczę – po czym capnęło jednego z Francuzów i zacisnęło szczęki.

Trzymając mocno w paszczy drącego się jak szalenciec i plującego krwią komandosa, orka zaczęła rzucać cielskiem do tyłu, ku skrajowi pomostu. Po chwili dotarła do krawędzi i wpadła z powrotem do wody, zabierając ze sobą wrzeszczącego Francuza.

Foczka zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Nikt nie był bezpieczny przed orkami, dopóki nie znalazł się daleko od brzegu.

Szóstka ludzi na pomoście natychmiast to zrozumiała.

Trzeba uciekać jak najdalej od wody.

Schofield ujrzał, jak Rebound i Gant złapali Matkę Newman pod ramiona i zaczęli ją odciągać od brzegu. Porucznik zobaczył dolną połowę jej ciała. Brakowało jednej nogi od kolana w dół.

W tym momencie tuż za jego plecami rozległo się głośne tapnięcie i Schofield poczuł, że pokład pod nim gwałtownie drży. Natychmiast się odwrócił, popatrzył w kierunku wody i dostrzegł sunący w jego kierunku po pomoście, „uśmiechnięty” pysk jednej z orzek.

Zwierzę zbliżało się bardzo szybko.

A on wciąż jeszcze nie podniósł się z kłęczek.

Orka przewróciła się na bok i szeroko rozwarła paszczę.

Schofield skoczył w bok i kątem oka dostrzegł leżący za sobą fotel lotniczy. Gdyby udało mu się za nim schować, byłby bezpieczny. Szybko popęzł na czworaka do ogromnego mebla.

Ale orka też się zbliżała. Bardzo szybko.

Porucznik wbijał zakrzywione w szpony palce w pomost i pełził tak prędko, jak jeszcze nigdy w życiu. Za wolno. Nie miał szans. Nie uda mu się schować na czas za fotelem.

Wokół rozpryskiwała się woda, niesiona przez atakującą orkę.

Zwierzę było tuż-tuż.

Schofield poczuł gwałtowny przypływ adrenaliny i skoczył do przodu jak dźgnięty. Wiedząc, że nie zdąży schować się za fotelem, skoczył plecami do tyłu, by na nim usiąść.

Był teraz skierowany twarzą w kierunku wody i „siedział” w przewróconym na bok, poobijanym fotelu. Kiedy podniósł głowę, całe jego pole widzenia wypełniło cielsko orki.

Znajdowała się prawie nad nim, oddalona o niecały metr!

Nie było szansy, by się zatrzymała.

Nie było szansy, by go minęła.

Kiedy szczęki orki zaczęły się zamykać wokół jego głowy, Shane Schofield zamknął oczy.

Usłyszał zgrzytliwy szcęk zębów i zamarł w oczekiwaniu bólu w chwili, gdy zęby orki wbiją mu się w głowę – ale nie poczuł go.

Zdziwiony, otworzył oczy...

...i ujrzał w ciemności ostre jak brzytwa zęby, ciągnące się dwoma szeregami w prawo i lewo. Między nimi leżał tłusty, różowy jęzor.

Jego głowa znajdowała się w paszczy orki!

Z jakiegoś jednak powodu – niepojętego, niesamowitego powodu – jeszcze żył.

Rozejrzał się i stwierdził, że jego głowa jest z trzech stron chroniona przez stalowy zagłówek poobijanego fotela lotniczego.

Zęby orki wbiły się w oparcie fotela po obu stronach, ale stalowe płyty okazały się na tyle mocne, że wytrzymały siłę nacisku szczęk bestii – i zatrzymały jej zęby nie więcej jak dziesięć milimetrów od głowy porucznika. Jednak w metalu zagłówek powstały po obu stronach spore zagłębienia. Ostre, poszarpane brzegi jednego z nich przecięły Schofieldowi płatek ucha, z którego zaczął sączyć się strumyk krwi.

Cały tułów porucznika – od pasa po głowę – tkwił w paszczy orki.

Nagle fotel zazgrzytał głośno o metalowy pomost i cała konstrukcja została gwałtownie pociągnięta do przodu. Schofielda wbiło w oparcie jak przy starcie samolotu.

Kiedy ruch nagle zamarł, rzuciło go do przodu i wtedy pojął, co się dzieje.

Orka ciągnęła go razem z fotelem ku wodzie.

Fotel znów zadygotał i porucznik poczuł, że znów przesunął się po pomoście.

Widział niemal ruchy orki. Zwierzę konwulsyjnymi ruchami szarpało się do tyłu – tak samo jak jego towarzysz, który niedawno ściągnął do wody Francuza – wlokąc dwustukilowy ciężar ku krawędzi pomostu.

Fotel znów się przesunął i Schofield poczuł na twarzy falę gorącego powietrza z płuc orki.

Orka dyszała ciężko, próbując nie wypuścić ze szczęk swojej nagrody, i wlokła ją ku wodzie. Kiedy w twarz porucznika buchnęła kolejna fala gorącego powietrza i fotelem znów szarpnęło, Schofield zaczął się przesuwać, próbując wydostać się z potężnego mebla.

Jego nogi wystawały poza fotel, poza niedomkniętą paszczę, i doszedł do wniosku, że gdyby udało mu się ześlizgnąć niżej, miałby szansę zsunąć się z fotela – i uciec, zanim znajdzie się w wodzie.

Poruszał się bardzo powoli, ostrożnie, by zwierzę nie domyśliło się, co zamierza zrobić.

Nagle fotel został szarpnięty w bok. Sunąc po metalowym pomoście, znowu paskudnie zazgrzytał. Porucznik błyskawicznie złapał się podłokietników, by nie rzuciło go na wielkie zęby orki.

Opuścił się jeszcze kawałek. Teraz już połowa jego ciała znajdowała się poza fotelem, a oczy miał na poziomie ostrych, spiczastych zębów.

Powolutku wysunął się kolejne dwa centymetry.

Okazało się jednak, że ma problem.

Siedział tak nisko, że nie mógł się już przytrzymywać podłokietników, a potrzebował czegoś do odepchnięcia. Zaczął się rozpaczliwie rozglądać, zastanawiając się, co mógłby do tego celu wykorzystać.

Nic takiego nie znalazł.

Nagle jego wzrok padł na rząd zębów, które miał tuż przed twarzą.

Nie do wiary... – pomyślał, wyciągając do góry ręce i łapiąc dwa wielkie, białe zęby.

Fotelem znów gwałtownie szarpnęło i przesunął się metr dalej. Schofield poczuł, że unosi się lekko nad pomostem, i ogarnęło go przerażenie.

Dotarliśmy do krawędzi, pomyślał.

Orka zsuwa się do wody.

Jasna cholera...

Złapał mocno zęby orki, odepchnął się z całej siły i wyskoczył z fotela. Kiedy padał ciężko na pomost, uwolniony z wielkiej paszczy, ogon orki dotykał właśnie wody. Potężne cielsko uniosło się pionowo, a łeb poszedł w górę razem z ogromnym fotelem. Orka natychmiast zaczęła zapadać w głębinę, zabierając swoją nagrodę do podwodnego grobowca.

Schofield szybko podniósł się na nogi i pobiegł w kierunku Rebounda, Matki i Gant.

Biegając, mówił do mikrofonu w hełmie:

– Montana, tu Strach na Wróble, raportuj.

– Jestem jeszcze na poziomie A. Są ze mną Wąż i Santa Cruz.

– Ilu ich macie na górze?

– Doliczyłem się pięciu wojskowych i dwóch cywili – odpowiedział Montana. –

Dwóch wojskowych dostało się do drabinki i zeszedł poziom niżej. Co? O, kurwa...

Połączenie zostało nagle przerwane. Do uszu porucznika doleciał odgłos szamotaniny.

– Montana...

Nagle tuż przed Schofieldem wszedł na pomost francuski komandos.

Był ostatnim z piątki Francuzów, którzy wpadli do basenu – jedynym, który wyszedł z niego żywy. Cały ociekał wodą, paskudnie się krzywił i był wściekły jak cholera. Wbił wzrok w porucznika, a potem uniósł kuszę.

Schofield błyskawicznie wyciągnął z pochwy na kolanie nóż komandoski i rzucił nim spod dłoni. Nóż śmignął w powietrzu i utkwił w piersi Francuza, który natychmiast się przewrócił. Cała akcja zajęła dwie sekundy, porucznik nawet na chwilę nie przestał mówić do mikrofonu w swoim hełmie. Przeszedł nad zwalonym na pomoście ciałem, wyjął nóż i zabrał martwemu Francuzowi kuszę, po czym poszedł dalej.

– Montana, pytam ponownie: nic ci nie jest?

– Nic mi nie jest. Strach na Wróble. Koryguję poprzedni meldunek: teraz jest tu czterech wojskowych i dwóch cywili. Zapisz mi kolejnego zabojada.

– Ty mnie też jednego – odparł Schofield.

Tymczasem doszedł już do południowego tunelu, u którego wylotu znajdowali się Gant i Rebound. Ciągnęli w głąb tunelu raną Matkę.

Natychmiast zauważył, co się stało z jej nogą. Z miejsca, gdzie powinno się znajdować lewe kolano, wystawał kawałek poszarpanej kości.

– Zanieście ją w jakieś bezpieczne miejsce, powstrzymajcie krwawienie i dajcie zastrzyk metadonu – polecił szybko.

– Oczywiście, spróbujemy... – Gant urwała w pół zdania, kiedy podniosła na niego wzrok.

Podczas walki z orką Schofield zgubił okulary i Gant po raz pierwszy ujrzała jego oczy.

Przez oba oczodoły biegły pionowo wyraźne blizny. Nie dało się ich nie zauważyć, były naprawdę paskudne. Biegły idealnie prostą linią od brwi do kości policzkowych – przecinając także powiekę każdego oka.

Na widok bliźni Gant jęknęła. Miała nadzieję, że porucznik nie zauważył jej reakcji.
– Jak się czujesz, Matka? – spytał Schofield, gdy ciągnęli Newman do tunelu.
– Nie stało mi się nic, czego nie mógłby naprawić buziak od takiego faceta jak ty –
wycharczała Matka przez zaciśnięte zęby. Mimo bólu również zauważyła jego oczy.
– Może potem – mruknął. Tuż przed sobą zobaczyli drzwi. – Wchodzimy! –
rozkazał.

Otworzyli drzwi i wciągnęli Matkę do środka. Znaleźli się w jakimś magazynie.
Rebound natychmiast zajął się nogą Matki.

– Marines, zgłaszać się – rzucił do mikrofonu Schofield.

W słuchawkach rozległy się przydomki zgłaszających się żołnierzy.

Montana, Wąż, Santa Cruz. Wszyscy byli na poziomie A.

Rebound i Gant – na poziomie E. Zgłosili się także, choć stali obok dowódcy.

Pozostali musieli usłyszeć ich głosy, by wiedzieli, że żyją. Nawet Matka się zgłosiła –
taki był formalny wymóg.

Zabrakło zgłoszeń Booka, Hollywooda, Legsa, Samuraja i Szczurołapa.

– W porządku, teraz wszyscy słuchać – powiedział porucznik. – Według moich
obliczeń zostało ich czterech, plus dwóch cywili, których przywieźli ze sobą, żeby
zrobić mnie w wała. Posunęli się trochę za daleko i należy z tym skończyć. Mamy
przewagę liczebną – siedmioro na czterech. Wykorzystajmy to. Chcę, by przeczesano
cały ten pieprznik – od góry do dołu. Te kutasy muszą zostać wyeliminowane. Chcę...

Gdzieś nad jego głową rozległ się w tym momencie głośny trzask i Schofield
natychmiast spojrzał w górę.

Do sufitu przymocowany był nitami szereg świetlówek. Ciągnęły się w równych
odstępach w głąb południowego tunelu.

Nagle wszystkie zgasły.

Świat jarzył się na zielono.

Tak widzi się świat przez noktowizor.

Zasłoniwszy pocięte bliźniami oczy goglami noktowizyjnymi, Shane Schofield
wspinał się po drabince z poziomu E na D. Poruszał się powoli i ostrożnie. Pamiętał,
jak Buck powiedział kiedyś, że chodzenie w goglach noktowizyjnych to jak chodzenie
z przymocowaną do głowy słabą lornetką – widzisz coś, ale kiedy chcesz wyciągnąć
po to rękę, okazuje się, że jest znacznie bliżej, niż ci się wydawało, i wpadasz na
przeszkodę.

Cała stacja była spowita ciemnością.

Wokół panowała cisza.

Upiorna cisza.

Kiedy zorientowano się, że wszędzie jest łatwopalny gaz z klimatyzacji, przestano
strzelać. W kompletnych ciemnościach słychać było jedynie od czasu do czasu

szurnięcie ostrożnego ruchu albo cichy szept kogoś mówiącego do mikrofonu w hełmie.

Schofield obserwował przez gogle rozświetloną zielenią stację.

Rozgrywka z Francuzami weszła w kolejną fazę.

Któremuś z komandosów udało się jakimś sposobem dostać do skrzynki z bezpiecznikami i wyłączyć światło. Był to rozpaczliwy ruch – ale doskonały.

Ciemność zawsze jest sprzymierzeńcem słabszych liczebnie sił. Nawet stworzenie elektronicznych wzmacniaczy obrazu – gogli i celowniczych instrumentów noktowizyjnych – nie zmieniło powszechnej opinii taktyków o zaletach akcji prowadzonej małymi grupami w ciemności.

– Marines, bądźcie czujni. Uważajcie na błyskacze – szepnął do mikrofonu porucznik.

Jednym z zagrożeń dla żołnierzy, korzystających w ciemności z noktowizorów, są granaty rozbłyskowe, czyli „błyskacze” – granaty gwałtownie emitujące silne światło, mające zdezorientować przeciwnika. Ponieważ noktowizory wzmacniają światło, każdy, kto spojrzy przez nie na wybuchający błyskacz, zostanie oślepiiony. Nie chwilowo – trwale.

Schofield spojrział w górę szybu głównego. Przez zwieńczającą stację wielką, pokrytą lodem kopułę nie wpadało do środka żadne światło. Był czerwiec, który na Antarktydzie jest zimą. Jeszcze przez następne trzy miesiące na dworze miał całą dobę panować mrok.

Czerń. Całkowita ciemność.

Porucznik czuł na drabince pod sobą ciężar Gant. Pięli się w górę szybu.

Kiedy tylko zgasło światło, Schofield kazał oddziałowi „przejsć na zieleń”. Potem przedstawił swój plan.

W ciemnościach nie było sensu bawić się w manewry obronne. Musieli atakować. MUSIELI. Było jasne, że potyczkę wygra ta grupa, która wykorzysta ciemność na swoją korzyść – a najlepszym sposobem było zachowanie inicjatywy. Pod tym względem plan porucznika był prosty.

Należało zmusić Francuzów, by stale uciekali.

Było ich mniej – z początkowych dwunastu komandosów żyło tylko czterech, a Montana widział właśnie, że dwóch ewakuowało się z pokładu A. Byli więc podzieleni na dwie dwójki.

I co ważniejsze – uciekali.

Co prawda oddział Schofielda również był podzielony, ale w znacznie korzystniejszy sposób.

Porucznik miał trzech ludzi na poziomie A – Montanę, Węża i Santa Cruza – i trzech na poziomie E – Gant, Rebounda i siebie samego.

Gdyby marines z poziomu A udało się zepchnąć Francuzów w dół stacji, komandosi wkrótce wpadliby w ręce Amerykanów na dole. Wtedy marines – atakując w przewadze liczebnej z obu flank – wyeliminowaliby przeciwnika.

Porucznik nie mógł jednak dać się ponieść fantazji, bo nie miała to być zwykła walka.

Wszystko musi się rozstrzygnąć inaczej.

Z powodu nasycenia powietrza gazem żadna ze stron nie mogła używać broni palnej.

Zapowiadało się na staromodną walkę wręcz.

Bark w bark.

W niemal kompletnych ciemnościach.

Innymi słowy, w ruch pójdą noże.

Był jednak pewien problem.

Francuscy komandosi mieli kusze.

Schofield przyjrzał się kuszy, którą zabrał na poziomie E zabitemu Francuzowi. Ponieważ broń tego rodzaju nie iskrzy, można było się nią bezpiecznie posługiwać w nasyconej gazem atmosferze stacji. Porucznik próbował sobie przypomnieć pierwsze zajęcia w Szkole Treningu Podstawowego w Quantico i parametry takiej kuszy. Kołatało mu po głowie, że celność takiej broni nie jest duża i wynosi mniej więcej tyle samo, co w przypadku zwykłego sześciopalcowego rewolweru – około sześciu metrów.

Sześć metrów.

Cholera. Jeżeli Francuzi będą mieli wokół siebie sześciometrową barierę bezpieczeństwa, noże na nic się nie przydadzą. Marines będą bez szans, nie posiadając równorzędnej broni. A przecież nie mieli takiej broni.

Nagle w jego głowie zapaliło się zielone światełko.

A może jednak mieli...

Schofield wszedł na poziom D, trzymając maghooka na wysokości barków, gotów w każdej chwili wystrzelić głowicę. W drugim ręku trzymał kuszę Francuza.

Choć miotacz nie nadaje się do precyzyjnego strzelania, Armalite MH-12 Maghook może wystrzeliwać swój kotwicomagnes na znaczne odległości – ponad trzydzieści metrów.

Używa się go najczęściej w walkach ulicznych oraz podczas akcji antyterrorystycznych – jego głównym zadaniem jest wystrzeliwanie w górę ścian zaopatrzonej w kotwicę linki, by się po niej wspiąć, oraz przenoszenie mocniejszych lin, po których oddział antyterrorystyczny mógłby zjechać w dół i dokonać błyskawicznego wkroczenia.

Ponieważ miotacz miał wystrzeliwać głowicę na duże wysokości, musiał być

odpowiednio silny. Rozwiązanie przyniósł system hydrauliczny, umożliwiający pionowy wyrzut w górę o sile niemal trzystu kilogramów na centymetr kwadratowy. Schofield sądził więc, że jeżeli wystrzeli z maghooka do oddalonego o sześć metrów wroga, ma szansę zrobić mu krzywdę.

Kiedy był w basenie, odkrył, że na krótki dystans – także pod wodą – głowica maghooka może zatrzymać nawet siedmionową orkę. Wystrzelona na podobną odległość w powietrzu, do mężczyzny o wadze osiemdziesięciu kilo, prawdopodobnie rozłupie mu czaszkę.

Mając tego świadomość, porucznik uznał, że marines poradzą sobie z kuszami Francuzów.

Teraz tylko należało zabrać się do realizacji planu.

Montana, Wąż i Santa Cruz mieli zacząć schodzić z poziomu A, spychając Francuzów na dół, podczas gdy Schofield, Gant i Rebound mieli wchodzić w górę z poziomu E. Należało jedynie mieć nadzieję, że spotkają się w połowie, a reszta załatwi się sama.

Porucznik i Gant właśnie wyruszyli.

Rebound miał do nich dołączyć, kiedy uda mu się zatamować krwotok z nogi Matki i podłączy ją do kroplówki z metadonem.

Trójka marines na pokładzie A zaczęła realizować plan Schofielda.

Poruszali się szybko, stosując metodę, znaną z podręcznika jako „żabie skoki”. Jeden z żołnierzy miał wyprzedzić partnerów i w przypadku kontaktu z wrogiem użyć maghooka. Kiedy będzie związał linkę, by ponownie załadować broń, drugi z żołnierzy wyjdzie przed niego – „przeskoczy go żabim skokiem” – i w razie potrzeby użyje swojego miotacza. W chwili gdy do przodu wyjdzie trzeci członek zespołu, pierwszy będzie już gotów do ponownego strzału i cały cykl rozpocznie się od nowa.

Obaj francuscy komandosi na poziomie A zachowali się tak, jak marines się spodziewali: wycofali się, uciekli przed zmasowanym ogniem maghooków. Popędzili w kierunku drabinek i zaczęli schodzić niżej.

Przyjmując od Montany raporty na temat ruchów francuskich komandosów, Schofield dostrzegł w nich coś niepokojącego.

Francuzi poruszali się zbyt szybko.

Schodząc w dół szybu głównego, minęli zniszczony pomost na poziomie B i od razu zaczęli opuszczać się na poziom C.

Poruszali się płynnie, w skoordynowanej formacji dwa na dwa: pierwsza para zabezpieczała przednią flankę, druga chroniła tyły.

Obie dwójki zachowywały między sobą stałą odległość – nie mniej niż dziesięć metrów.

Montana poinformował porucznika na początku akcji, że cała czwórka Francuzów

ma gogle noktowizyjne. Oznaczało to, że byli przygotowani do poruszania się w ciemnościach.

Szybko schodzili szybem.

Schofield spodziewał się, że spróbują zająć pozycje obronne w tunelach, wszystko wskazywało jednak na to, że mają inne zamiary. Wskoczyli w tunele na poziomie C tylko na tak długo, by dołączyli do nich ścigający ich Amerykanie. Potem znów wybiegli na pomost i zaczęli schodzić na poziom D.

Porucznik znowu przypomniał sobie coś, co mówił Trevor Barnaby: „Dobra strategia jest jak magia. Spraw, by przeciwnik patrzył ci na jedną rękę, podczas gdy robisz coś drugą”.

– Idą w kierunku południowo-zachodniej drabinki – rozległ się w słuchawkach Schofielda głos Montany. – Strach na Wróble, jesteś tam?

Schofield przeszedł kilka metrów pomostem poziomym D. Świat zieleńił mu się przed oczami.

– Właśnie dochodzimy – odpowiedział Montanie. Podeszedł razem z Gant do południowo-zachodniego rogu poziomu D i popatrzył na drabinę prowadzącą na poziom C.

– Rebound, gdzie jesteś? – rzucił do mikrofonu.

– Już kończę, sir – odpowiedział głos Rebounda, znajdującego się w magazynku na poziomie E.

– Flankuję z zachodu, sir – zameldował głos Santa Cruza.

– Pozwól im jeszcze podejść, Cruz – włączył się głos Montany. – Potem zepchnij ich na dół, do Stracha na Wróble.

Schofield i Gant dotarli do drabinki na poziomie D, przykucnęli u jej podstawy i skierowali broń do góry. Nad ich głowami załomotały o metal pomostu energiczne kroki i usłyszeli charakterystyczny gwizd wystrzeliwanego z kuszy bełtu.

– Dochodzą do drabinki – powiedział w słuchawkach porucznika głos Santa Cruza.

O metalową kratownicę zadudniły kolejne kroki.

W każdej chwili powinni...

W każdej chwili...

Nagle rozległo się metaliczne KLINK! KLINK!

– Marines! Zamykać oczy! Błyskacze na ziemi – usłyszał głos Santa Cruza.

Schofield usłyszał nad sobą metaliczne szczęknięcie odbijającego się od kratownicy pomostu granatu oślepiającego i natychmiast zacisnął powieki.

Granat eksplodował i na ułamek sekundy cała Stacja Lodowa Wilkes rozjarzyła się białym światłem, jakby błysnął gigantyczny flesz.

Porucznik właśnie zamierzał otworzyć oczy, gdy z prawej strony usłyszał

zgrzytliwe szuranie, jakby ktoś szybko, bardzo szybko zasuwał zamek błyskawiczny.

Odwrócił się w kierunku tego odgłosu, ale kiedy otworzył oczy, oślepiła go zieleń. Próbował coś zobaczyć, nie udało mu się jednak.

– Jasna cholera! – powiedział głos Santa Cruza. – Sir, jeden z nich właśnie skoczył przez barierkę!

Schofield zrozumiał, co oznaczał dźwięk, który przed chwilą słyszał. Ktoś zsuwał się na linie w dół szybu głównego.

To nie było defensywne posunięcie.

To było w pełni skoordynowane, zaplanowane działanie.

Francuzi wcale nie uciekali.

Realizowali własny plan.

„Spraw, by przeciwnik patrzył ci na jedną rękę, podczas gdy robisz coś drugą”.

Porucznik poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

Co ci przekłęci Francuzi zamierzali?

Jaki mieli plan?

Nie miał czasu się nad tym zastanowić, bo zaraz po komunikacie od Santa Cruza w ścianę wokół niego zastukały bełty z kusz. Skulił się i szybko obejrzał za siebie, ale zdążył jedynie dostrzec, jak Gant pada na pomost w poszukiwaniu osłony.

Natychmiast odwrócił się i jeszcze zanim pojął, co się dzieje, po drabince przed nim zjechała jakaś postać. Znalazł się twarzą w twarz z Francuzem, który przedstawił mu się wcześniej jako Jacques Latissier.

Rebound kuczał nad Matką na pokładzie E.

Mało, że miała twarde żyły, to jeszcze na dodatek Rebound musiał patrzeć przez gogle noktowizyjne. Cztery razy minął żyłę i dopiero za piątym udało mu się założyć kroplówkę.

Wstał i właśnie zamierzał zostawić koleżankę, gdy nagle usłyszał ciche odgłosy kroków przebiegających za drzwiami ludzi.

Zamarł.

Zaczął nasłuchiwać.

Odgłosy ucichły – biegnący oddalili się południowym tunelem.

Rebound podszedł do drzwi i powoli przekręcił gałkę. Kiedy drzwi się otworzyły, ostrożnie wyrzał na korytarz.

Popatrzył w lewo – na basen. O jego brzeg uderzały drobne fale.

Popatrzył w prawo i ujrzał ciągnący się w ciemność długi, prosty tunel.

Zorientował się natychmiast, że to przedłużony tunel południowy, prowadzący do pomieszczenia wiertniczego.

Ponieważ był to najniższy poziom stacji, tu właśnie znajdowało się pomieszczenie, w którym przeprowadzano wiercenia, mające dostarczyć naukowcom rdzeni –

cylindrycznych próbek przewiercanych warstw lodu. Pomieszczenie wiertnicze było położone dość daleko od brzegu morza, na południe od stacji, bo tu właśnie lód sięgał najgłębiej. Ze stacją łączył je długi, wąski tunel, mający przynajmniej czterdzieści metrów.

Ciche kroki, które słyszał Rebound, kierowały się w prawy koniec tunelu.

Wziął miotacz i ruszył w tamtą stronę.

Schofield strzelił do Latissiera z maghooka, ale Francuz błyskawicznie się uchylił. Głowica pomknęła nad jego głową i przeleciała między stopniami drabinki, a linka owinęła się wokół jednego z nich i zaplątała.

Porucznik rzucił miotacz i podniósł kuszę – w tej samej chwili, gdy Latissier wycelował do niego ze swojej.

Obaj mężczyźni strzelili równocześnie.

Bełty śmignęły i minęły się w powietrzu.

Strzała Latissiera uderzyła w opancerzony naramiennik Schofielda. Strzała porucznika wbiła się w dłoń Francuza, którą zasłonił twarz. Latissier wrzasnął z bólu i gorączkowo zaczął ładować kuszę na nowo.

Porucznik błyskawicznie spojrzał na swoją.

Francuskie kusze mają z boku pięć ułożonych koliście gumowych leży, w których znajdują się zapasowe bełty. Wszystkie leże w kuszy porucznika były puste.

Schofield nie wahał się nawet przez chwilę.

Zrobił kilka szybkich kroków do przodu i rzucił się na Latissiera. Uderzył w niego całym ciałem i obaj upadli na pomost tuż za drabinką.

Kiedy porucznik zaatakował Francuza, Gant leżała twarzą w dół na pomoście, jakieś pięć metrów dalej. Natychmiast skoczyła na nogi i właśnie zamierzała iść na pomoc Schofieldowi, gdy nagle po drabince ześlizgnął się kolejny francuski komandos i spojrzał jej prosto w oczy przez czarne gogle noktowizyjne.

Rebound powoli szedł długim, wąskim tunelem.

Na samym końcu znajdowały się drzwi, prowadzące do pomieszczenia wiertniczego. Były uchylone.

Podchodząc do nich, Rebound wyteżył słuch. Ze środka dolatywały ciche, szurające odgłosy, jakby coś przesuwano. Ktokolwiek przebiegał przed chwilą obok magazynu, był teraz tutaj.

W środku rozległ się czyjś głos. Ktoś powiedział cicho do mikrofonu: *Le piege est tendu.*

Rebound zamarł.

Francuski komandos.

Amerikanin przywarł do ściany tuż przy drzwiach i – nie zdejmując gogli

noktowizyjnych – ostrożnie zajrzał do środka. Obraz, jaki mu się ukazał, przypominał film, robiony kamerą wideo. Najpierw ujrzał framugę drzwi, która odsunęła się w prawo, poza pole widzenia, a potem zaczęło pojawiać się wewnątrz pomieszczenia.

W tym momencie ujrzał mężczyznę, którego ścigał – Francuz także miał gogle noktowizyjne i kierował mu kuszę prosto w twarz.

Choć stojący przed nią francuski komandos miał twarz zasłoniętą częściowo goglami noktowizyjnymi, Gant bez trudu rozpoznała w nim tego, który przedstawił się jako Cuvier.

Jean-Pierre Cuvier. Ten, który strzelił jej prosto w głowę na samym początku całego zamieszania. Bełt, którym ją trafił, nadal sterczał z przodu jej hełmu. Kiedy Francuz zrozumiał, że stoi naprzeciwko tej samej amerykańskiej baby, którą już raz postrzelił, uśmiechnął się.

W jej goglach mignęła nagle zielona smuga – to Cuvier podniósł kuszę i strzelił.

Gant stała w odległości mniej więcej sześciu metrów od Francuza i wyraźnie widziała, jak bełt leci na nią. Szybko odsunęła się na bok i nieznacznie przesunęła do tyłu rękę, w której trzymała maghooka. Kiedy jednak zaczęła wysuwać wyrzutnię przed siebie, rozległo się głośne DUGD! – i broń w jej dłoni gwałtownie zadrżała. Bełt trafił prosto w maghooka i wytrącił go Gant z ręki.

Zanim zdążyła się zorientować, Cuvier był już tylko półtora metra od niej – z wyciągniętym nożem komandoskim. Spadał na nią jak sęp, długie ostrze kierowało się prosto w jej gardło...

...i nagle zatrzymało się z głośnym metalicznym szczęknięciem.

Gant zablokowała uderzenie swoim nożem.

Odkoczyli od siebie i zaczęli się okrężać. Cuvier trzymał ostrze noża pod dłonią, Gant miała chwyt w stylu SEAL, z grzbietem dłoni skierowanym ku przeciwnikowi. Oboje byli w goglach noktowizyjnych.

Nagle Cuvier skoczył do przodu i Gant znowu musiała sparować cios jego noża. Francuz miał jednak większy zasięg rąk i kiedy oboje odskakiwali od siebie, uderzył w gogle Gant i zsunął je z jej głowy.

Przez krótki, przerażający moment nic nie widziała.

Wokół była jedynie ciemność.

Całkowita ciemność.

Bez noktowizora była ślepa.

Poczuła, że pomost pod jej stopami drży. Cuvier atakował.

Nic nie widząc, odruchowo przykucnęła, nie mając pojęcia, czy to dobry, czy zły ruch.

Był to dobry ruch.

Kiedy nóż Cuviera przecinał ciemność nad jej głową, usłyszała świst.

Wykonała w ciemności salto do tyłu, by oddalić się od Cuviera, podniosła się szybko i wcisnęła guzik z boku hełmu – wizjer podczerwieni natychmiast opadł jej na oczy.

Nie był to noktowizor, ale obraz był niewiele gorszy, choć teraz Gant widziała pomost przed sobą jako granatowy kontur na czarnym tle.

Drabinka również była ciemnoniebieskim konturem – martwym i zimnym. Za nią kotłowały się na pomoście dwie wielokolorowe postacie – Schofield i Latissier.

Gant odwróciła się i ujrzała rozedrganą, czerwono-zielono-żółtą, szybko zbliżającą się plamę.

Cuvier.

A dokładniej mówiąc, graficzna reprezentacja rozkładu temperatur w jego ciele.

Kiedy Francuz zamachnął się nożem, Gant sparowała cios swoim, po czym z całej siły kopnęła przeciwnika w splot słoneczny. Cuvier stracił równowagę, jednak zanim upadł, zdążył wyrzucić w przód rękę, złapać dłoń, w której Gant trzymała nóż, i pociągnąć ją za sobą.

Oboje z łomotem zwalili się na metalowy pomost.

Gant upadła na Cuviera, odtoczyła się i z całej siły walnęła plecami o ograniczającą pomost lodową ścianę. Wyciągnęła rękę w bok, próbując się czegoś złapać, i jej dłoń dotknęła leżącego na kratownicy przedmiotu.

Mag...

Nagle reprezentująca Cuviera kolorowa plama znów znalazła się w jej polu widzenia.

Francuz spadł na nią jak żbik i przysunął nóż do jej gardła. Gant wyrzuciła w górę rękę i puściła swój nóż, by móc oburącz złapać atakującą rękę Francuza.

Próbowała nie dopuścić ostrza noża do swojej szyi.

Przeciwnik był jednak zbyt silny.

Nóż coraz bardziej się zbliżał.

Miała twarz Cuviera tuż przed oczami, a jej wizjer podczerwieni sprawiał, że widziała to, co znajdowało się pod skórą – kontury czaszki i zębów, obramowane pulsującymi kolorami. Jakby atakował ją jakiś obłąkany szkielet.

Czuła na wizjerze dotyk gogli noktowizyjnych Francuza.

Noktowizor...

Nie zastanawiając się, puściła jego rękę i gwałtownie zerwała mu z głowy gogle.

Cuvier wrzasnął. Gant wyrzuciła jego gogle za krawędź pomostu.

Teraz on był ślepy.

Nie przestawał jednak walczyć, w dalszym ciągu starał się zadać Gant cios nożem, ale udało jej się wyslizgnąć spod niego – i jej hełm znalazł się dokładnie na wysokości jego oczu.

– Pamiętasz, jak mnie tym poczęstowałeś? – zapytała, patrząc na niebieską linię hełmu, wystającego z przodu hełmu. – Teraz możesz go sobie wziąć z powrotem.

Rzuciła głową do przodu.

Wystający z hełmu metalowy pręt wbił się w prawe oko Cuviera i Francuz przeraźliwie zawył, a Gant poczuła, jak na jej twarz tryska struga ciepłej krwi.

Odepchnęła Cuviera kopniakiem na bok i patrzyła przez wizjer podczerwieni, jak z jego prawego oczodołu sika żółtoczerwona fontanna.

Francuz wył i trzymał się za oko.

Po chwili zaczął wściekle młócić wokół rękami, próbując złapać swojego przeciwnika, choć był całkowicie ślepy.

Gant podniosła leżący obok miotacz. Cuvier rzucał się na wszystkie strony, miała jednak do dyspozycji tyle czasu, ile zapragnie.

Wycelowała starannie w wyjąca, wielokolorową plamę, będącą elektroniczną reprezentacją człowieka.

Wystrzeliła.

Głowica maghooka trafiła wrzeszczącego Cuviera prosto w twarz i zanim padł na pomost, Gant usłyszała odgłos pękającej czaszki.

Podczas gdy Gant walczyła z Cuvierem, Schofield i Latissier kotłowali się po pomoście.

Porucznik nawet w czasie walki był atakowany przez słuchawki w hełmie kanonadą głosów.

– Obchodzą zakręt z tamtej strony!

– Idą do tamtej drabinki!

Na pomoście nad ich głowami zadudniły kroki.

Schofield usłyszał metaliczny trzask, kiedy Latissierowi udało się włożyć do kuszy kolejną strzałę. W odpowiedzi z całej siły uderzył Francuza łokciem w twarz – tuż pod goglami noktowizyjnymi – i złamał mu nos. Bryznęła krew – na rękę porucznika, na gogle Latissiera.

Francuz jęknął z bólu, ale odrzucił rękę Schofielda na bok. Mężczyźni rozdzielili się i Latissier – leżąc na pomoście, niemal zupełnie oślepiiony plamami krwi na goglach – skierował kuszę ku głowie przeciwnika.

Porucznik znajdował się na skraju pomostu, przy samej barierce. Bez namysłu złapał Francuza za rękę z kuszą, przeturlał się i stoczył za pomost.

Latissier zupełnie się tego nie spodziewał.

Spadając, Schofield przez cały czas trzymał Francuza za rękę i zawisł na niej tuż nad pomostem niższego poziomu. Zeskoczył jak kot i natychmiast skierował w górę kuszę, którą wyrwał Francuzowi. Nacisnął spust.

Kiedy hełm wyprysnął z kuszy, Latissier leżał na pomoście poziomu D twarzą

w dół, z jedną ręką wyciągniętą daleko za krawędź. Wystrzelony z bliskiej odległości pocisk przeleciał przez dziurę w stalowej kratownicy, przebił gogle noktowizyjne Francuza i utkwił pośrodku jego czoła.

W pomieszczeniu wiertniczym Rebound stał twarzą w twarz z celującym do niego z kuszy Francuzem.

Francuski komandos był pewien, że ma przewagę, sądził, że ma Rebounda na widelcu. Zapomniał tylko o jednym drobiazgu.

Gogle noktowizyjne zmieniają perspektywę na obrzeżach pola widzenia.

Stał za blisko.

Nie widział miotacza, który Amerykanin trzymał przy biodrze.

Rebound strzelił. Głowica maghooka trafiła komandosa w pierś z odległości trzech metrów. Rebound usłyszał, jak łamią się zębra Francuza. Nie żył, zanim upadł na podłogę.

Rebound wziął głęboki wdech, odetchnął z ulgą i rozejrzał się po pomieszczeniu wiertniczym.

Kiedy zobaczył, co Francuz robił, znieruchomiał. Przypomniał sobie, co tamten powiedział do mikrofonu. *Le piege est tendu*. Znow się rozejrzał. Uśmiechnął się.

– Południowy tunel – rozległ się w słuchawkach Schofielda głos Montany.

Porucznik znajdował się teraz na poziomie E, na który się spuścił, wykorzystując do tego celu rękę Latissiera. Spojrzał na drugą stronę basenu i zauważył wbiegającą do południowy tunel czarną postać. Był to ostatni francuski komandos.

– Widzę go – powiedział Schofield i rozpoczął pogoń.

– Sir, tu Rebound – włączył się nagle głos Rebounda. – Montana powiedział: południowy tunel?

– Zgadza się.

– Proszę pozwolić mi przejść i ostrożnie za nim iść. Porucznik zmarszczył czoło.

– Co masz na myśli, Rebound?

– Niech pan idzie za nim – wyszeptał Rebound. – On tak chce. Schofield milczał przez chwilę.

– Wiesz coś, czego ja nie wiem? – zapytał w końcu.

– Zgadza się, sir.

Montana, Wąż i Gant dołączyli do porucznika na poziomie E, przy wejściu do południowego tunelu. Wszyscy słyszeli komunikat Rebounda.

Schofield popatrzył na swoich ludzi.

– W porządku, Rebound – powiedział. – To twoja działka.

Montana, Wąż i Gant szli z porucznikiem południowym korytarzem poziomu E. Wkrótce dostrzegli drzwi na jego końcu i znikającą za nimi w zielonkawym mroku

sylwetkę ostatniego francuskiego żołnierza.

Rebound miał rację. Komandos posuwał się dość powoli – jakby rzeczywiście chciał, by zauważyli, że wchodzi do pomieszczenia wiertniczego.

Kiedy Schofield i reszta mieli do drzwi jeszcze jakieś 15 metrów, z cienia wysunęła się ręka i złapała porucznika za ramię.

Odwrócił się błyskawicznie – we wbudowanej w ścianie szafie ukrywał się Rebound. Leżało tam chyba jeszcze jakieś ciało. Rebound przyłożył palec do ust i poprowadził swojego dowódcę i kolegów do drzwi pomieszczenia wiertniczego.

– To pułapka – powiedział bezgłośnie.

Pchnął drzwi. Kiedy się otwierały, zaskrzypiały głośno.

Zobaczyli stojącego w głębi pomieszczenia ostatniego francuskiego komandosa.

Był to Jean Petard. Popatrzył na nich ponuro. Został zapędzony w pułapkę i wiedział o tym.

– Chcę się... poddać – oświadczył.

Schofield spojrzał na niego, po czym odwrócił się do Rebounda i reszty swoich ludzi, jakby prosił o radę.

Po chwili zrobił krok, zamierzając wejść do pomieszczenia.

Petard uśmiechnął się z ulgą.

Rebound, który ani na moment nie odwracał wzroku od Francuza, szybko wyciągnął rękę i zatrzymał porucznika.

Petard zmarszczył czoło.

Rebound, nadal patrząc na niego, powiedział:

– Le piege est tendu.

Petard, zaskoczony, przekrzywił głowę.

– Pułapka zastawiona – powiedział po angielsku Rebound. Petard opuścił wzrok i popatrzył na coś na podłodze, przed swoimi stopami. Jego uśmiech zniknął. Spojrzał z przerażeniem na młodego marine.

Rebound wiedział, co Petard tam zobaczył.

Zobaczył pięć słów po francusku i w tym momencie pojął, że walka się skończyła.

Słowa te brzmiały: BRAQUEZ CE COTE SUR L'ENNEMI.

Amerikanin zrobił krok do przodu i Petard wrzasnął: No! – było już jednak za późno. Przesuwając się, Rebound poruszył stopą drut przed drzwiami i dwie umieszczone w pomieszczeniu wiertniczym miny eksplodowały ze straszliwą siłą.

TRZECIE WTARGNIĘCIE

16 CZERWCA, GODZINA 11.30

Autostrada ciągnęła się po pustyni aż po horyzont.

Cienki, nieprzerwany pasek czerni przecinał złotobrazowy krajobraz Nowego Meksyku. Na niebie nie było ani jednej chmurki.

Pustą autostradą pędził samotny samochód.

Peter Cameron okropnie się pocił. Klimatyzacja w wynajętej toyocie z 1977 roku już dawno temu wyzionęła ducha i samochód przypominał piecyk na kółkach.

W środku było prawdopodobnie dziesięć stopni więcej niż na zewnątrz.

Cameron był reporterem „The Washington Post” – pracował tam od trzech lat. Przedtem wyrobił sobie nazwisko, pisząc dla czasopisma „Mother Jones”.

Doskonale do niego pasował. Głównym celem pisma było ujawnianie wprowadzających w błąd raportów rządowych. Materiałów dezinformacyjnych, mających ukryć prawdę. Zazwyczaj jego reporterom to się udawało i Peter Cameron uwielbiał swoją pracę. Wykonując ją, był w swoim żywiole. W ostatnim roku pracy w „Mother Jones” zdobył nagrodę za artykuł o zaginięciu pięciu głowic jądrowych z bombowca typu Stealth, który się rozbił. Bombowiec wpadł do Oceanu Atlantyckiego u wybrzeży Brazylii i rząd amerykański złożył oświadczenie dla prasy, że wszystkie głowice zostały odzyskane – całe i nienaruszone. Cameron zbadał tę sprawę i zakwestionował skuteczność metod, które jakoby zastosowano przy szukaniu bomb.

Prawda wkrótce wyszła na jaw. Zadaniem misji ratunkowej nie było odzyskanie głowic. Chodziło o usunięcie wszelkich dowodów istnienia bombowca. Głowice z ładunkiem atomowym miały znaczenie drugorzędne i wcale ich nie szukano.

Artykułem tym i nagrodą Cameron zwrócił na siebie uwagę kierownictwa „Washington Post”. Zaproponowano mu pracę i oczywiście przyjął ją.

Miał trzydzieści lat i był wysoki – naprawdę wysoki: miał metr dziewięćdziesiąt sześć wzrostu. Nad czołem sterczały mu potargane, jasnobrązowe włosy i nosił okulary w drucianych oprawkach. Jego samochód wyglądał jak po przejściu huraganu – wszędzie walały się puste puszkę po coca-coli i pogniecione opakowania cheeseburgerów, z każdego schowka wystawały podkładki do pisania, długopisy i kawałki papieru. W popielniczce leżał pliczek samoprzylepnych kartek, a kilkanaście zapisanych było przyklejonych do deski rozdzielczej.

Dziś Cameron próbował pokonać pustynię.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. Dzwoniła żona, Alison.

Peter i Alison, bardzo popularni w waszyngtońskim świątku prasowym, byli powszechnie znani jako „małżeństwo z »Washington Post«,”. Kiedy Peter Cameron

przeszedł tu trzy lata temu z „Mother Jones”, przydzielono go młodej reporterce gazety, Alison Greenberg. Między nimi natychmiast zaiskrzyło. Niesamowicie zaiskrzyło. W ciągu tygodnia wylądowali w łóżku, po roku byli małżeństwem. Nie mieli jeszcze dzieci, ale pracowali nad tym.

– Jesteś już na miejscu? – spytała Alison.

Miała dwadzieścia dziewięć lat i długie do ramion, ciemnobrązowe włosy, ogromne, błękitne jak niebo oczy i promienny uśmiech, który sprawiał, że rozjaśniała się cała jej twarz. Peter uwielbiał ten uśmiech. Nie była piękną w konwencjonalnym tego słowa znaczeniu, ale swoim uśmiechem mogła zatrzymać ruch uliczny. Pracowała w waszyngtońskim biurze gazety.

– Prawie dojeżdżam – odparł Cameron.

Jechał do obserwatorium, znajdującego się na samym środku pustyni Nowego Meksyku. Jakiś technik z SETI zadzwonił rano do redakcji, twierdząc, że przechwyił rozmowę, prowadzoną za pośrednictwem starej szpiegowskiej sieci satelitarnej. Do zbadania tej sprawy wydelegowano Camerona.

Nie było to nic nowego. Search for Extraterrestrial Intelligence Institute *, czyli SETI, wciąż przechwytywał różne przekazy. Ich antena satelitarna miała dużą moc i była niezwykle czuła.

* [Instytut Poszukiwań Inteligencji Pozaziemskiej.]

Dla poszukujących komunikatów spoza Ziemi techników instytutu nie było niczym niezwykłym „przeciąć się promieniem” z zabłąkanym satelitą szpiegowskim i przechwytać kilka słów z zastrzeżonego przekazu wojskowego.

Dziennikarze „Washington Post” nazywali tego typu przejęcia „kontaktami SETI z UFO”. Zwykle nic z nich nie wynikało – najczęściej były to pojedyncze, niepowiązane ze sobą słowa – miano jednak nadzieję, że może któregoś dnia któryś z komunikatów okaże się początkiem artykułu. Historii, na końcu której znajdzie się słowo: „Pulitzer”.

– Zadzwoni, kiedy skończysz – powiedziała Alison erotycznym tonem. – Kontakty SETI z UFO bardzo mnie podniecają...

– Brzmi to prowokująco – odparł Peter. – Dzwoni pani też do domów?

– W wielkim mieście nigdy nie wiadomo, co człowieka spotka.

– Wie pani, że w niektórych stanach uważano by to za molestowanie seksualne?

– Skarbie, już samo małżeństwo z tobą jest jednym wielkim molestowaniem seksualnym.

Cameron roześmiał się.

– Zadzwonię, kiedy skończę.

Godzinę później toyota Camerona wjechała na zapyłony parking SETI. Stały tam

trzy inne samochody.

Do parkingu przylegał piętrowy budynek, kryjący się w cieniu stumetrowego radioteleskopu. Cameron naliczył dwadzieścia siedem kolejnych identycznych talerzy, ciągnących się w kierunku pustyni.

W środku czekał na niego niski, wyglądający na ekscentryka mężczyzna w laboratoryjnym kitlu, z przyczepioną do kieszonki plastikową plakietką. Przedstawił się jako Emmett Somerville i powiedział, że to on przejął sygnał.

Sprowadził Camerona na dół, do dużego, podziemnego pomieszczenia. Kiedy szli przez labirynt elektronicznego sprzętu, dziennikarz się nie odzywał. Jedną ze ścian olbrzymiego pomieszczenia zajmowały dwa wielkie superkomputery typu Cray XMP.

Somerville idąc, mówił:

– Złapałem ten przekaz mniej więcej o wpół do trzeciej rano. Był po angielsku, od razu więc było jasne, że to nie kosmici.

– Logiczny wywód – mruknął Cameron.

– Akcent był jednak zdecydowanie amerykański, a treść dość niepokojąca, więc natychmiast zadzwoniłem do Pentagonu. – Somerville odwrócił się do dziennikarza i dodał: – Mamy bezpośrednie połączenie.

W jego głosie brzmiała wyraźna duma, jakby chciał powiedzieć: rząd uważa nas za tak ważnych, że dał nam bezpośrednią linię. Według Camerona numer, który miał technik, prawdopodobnie łączył z biurem rzecznika prasowego Pentagonu i można go było bez trudu znaleźć w książce telefonicznej pod hasłem „Ministerstwo Obrony”. On sam miał ten numer zakodowany w swojej komórce.

– W każdym razie – mówił Somerville – kiedy stwierdzili, że to nie ich przekaz, uznałem, że nie będzie nic złego w poinformowaniu o nim was, chłopaków z prasy.

– Doceniamy to.

Doszli do konsoli w rogu. Były na niej zamontowane dwa monitory, pod spodem znajdowała się klawiatura. Obok ekranów umieszczono profesjonalny magnetofon szpulowy.

– Chce pan posłuchać? – spytał Somerville, zawieszając palec nad klawiszem PLAY magnetofonu.

– Proszę strzelać.

Emmett Somerville wcisnął klawisz i szpule zaczęły się obracać. Z początku Cameron nic nie słyszał, potem pojawił się szum zakłóceń radiowych. Popatrzył na Emmetta Ekscentryka.

– Zaraz będzie – uspokoił go Somerville.

Zaszumiała kolejna fala zakłóceń i nagle rozległy się głosy:

...zrozumiałem, jeden-trzy-cztery-sześć-dwa-pięć...

..kontakt utracony z powodu zakłóceń w jonosferze...

...oddział szturmowy...

...Strach na Wróble...

...minus sześćdziesiąt sześć przecinek pięć...

...rozbłysk na Słońcu zakłócił...

...jeden-piętnaście, dwadzieścia minut, dwanaście sekund długości wschodniej...

...w jaki sposób... – szum – ...tam się tak...

...drugi oddział w drodze...

Peter Cameron zamknął oczy. Kolejny strzał kulą w płot. Niezrozumiały wojskowy bełkot.

Nagranie się skończyło i kiedy Cameron otworzył oczy, zobaczył, że Somerville przygląda mu się z napięciem. Oczywiście technik SETI bardzo chciał, by coś wyniknęło z jego odkrycia. Był nikim. Gorzej – nikim na końcu świata. Facetem, który chciał po prostu ujrzyć swoje nazwisko w „Washington Post” w innym miejscu niż dział nekrologów. Cameronowi zrobiło się go żal. Westchnął.

– Mógłby pan to jeszcze raz puścić? – spytał, wyjmując notes.

Somerville niemal się rzucił na klawisz przewijania.

Taśma ruszyła ponownie i Cameron zaczął robić notatki.

Cóż za ironia, myślał Schofield, że Petard, ostatni z francuskich komandosów, musiał zginąć od własnej broni. W dodatku tę broń Francja dostała od USA w ramach współpracy państw-członków Paktu Północnoatlantyckiego.

Mina M1 8A1 znana jest na całym świecie pod nazwą „Claymore”. Jej obudowa jest wykonana z wklęsłej porcelanowej płyty, pod którą mieści się 600 gramów materiału wybuchowego C-4 oraz kilkaset stalowych kulek. Inaczej mówiąc, claymore to nic innego jak granat rozpryskowy z określonym kierunkiem rażenia. Jeżeli stanie się za nią, wybuch nic człowiekowi nie zrobi. Ale ten, kto znajdzie się w chwili detonacji przed nią, zostanie rozerwany na strzępy.

Na przodzie claymore’a umieszczona jest etykieta z instrukcją. Napis na niej brzmi: TA STRONĄ W KIERUNKU WROGA.

Albo po francusku: BRAQUEZ CE COTE SUR L’ENNEMI.

Jeżeli ktoś widzi ten napis, wie, że znajduje się nie po tej stronie miny, co należy.

Umieszczenie dwóch min w pomieszczeniu wiertniczym miało pomóc francuskim komandosom ostatecznie pokonać marines. Kiedy już było po wszystkim, porucznik zrekonstruował ich plan.

Posłali kogoś na dół, do pomieszczenia wiertniczego, by umieścił tam dwa claymore’y i połączył je ze sobą drutem wyzwalającym wybuch.

Potem Francuzi zaczęli udawać, że wycofują się do pomieszczenia wiertniczego, pozwalając Amerykanom iść za sobą.

Marines wiedzieli, że pomieszczenie wiertnicze to ślepy zaułek, uznaliby więc, że komandosi w rozpaczliwej próbie ucieczki sami zapędzili się w pułapkę.

Wchodząc do pomieszczenia za Francuzami, potraćiliby drut i zdetonowali miny, które rozszarpałyby ich na strzępy.

Plan był zuchwały i bardzo przebiegły. Zamieniał odwrót francuskich komandosów – ba, całkowitą przegraną – w zdecydowany kontratak.

Petard i reszta Francuzów nie wzięli jednak pod uwagę tego, że któryś z Amerykanów może domyślić się, co zamierzają zrobić.

Schofield był dumny z Rebounda. Młody żołnierz doskonale poradził sobie z sytuacją.

Zamiast zlikwidować pułapkę, co spowodowałoby dalszą – nieprzewidywalną w skutkach – walkę wręcz, pozwolił Francuzom wierzyć, że ich plan zadziała.

Zmienił jednak pewną rzecz.

Odwrócił claymore'y.

Właśnie to zobaczył Petard, kiedy Rebound odezwał się do niego w pomieszczeniu wiertniczym. Ujrzał mrozące krew w żyłach słowa:

TA STRONĄ W KIERUNKU WROGA – skierowane ku niemu.

Rebound przechytrzył go.

Kiedy Amerykanin zrobił krok do przodu i potracił drut, napisy były ostatnią rzeczą, jaką Petard widział na tym świecie.

Potyczka została zakończona.

Godzinę później zebrano i policzono wszystkie ciała – francuskie i amerykańskie. Te, które dało się odnaleźć.

Czterech Francuzów zginęło w paszczach orek, po stronie amerykańskiej – jedna osoba. Ciała kolejnych czterech Francuzów oraz dwóch Amerykanów – Hollywooda i Szczurołapa – znaleziono w różnych punktach stacji.

Amerykanie mieli także dwóch rannych – poważnie rannych. Matkę, która w walce z orką straciła nogę, oraz Augustine'a „Samuraja” Laua, który został postrzelony przez Francuzów jako pierwszy i uważano go za zabitego.

Stan Matki był znacznie lepszy niż stan Samuraja. Choć straciła nogę, była przytomna. Zatrzymano krwawienie, a metadon zlikwidował ból. Najgorszym wrogiem był teraz wstrząs, więc postanowiono, że Matka zostanie w magazynie na poziomie E i ktoś będzie jej stale pilnował. Przenoszenie mogłoby jej tylko zaszkodzić.

Natomiast Samuraj, trafiony w brzuch serią, oddaną na samym początku potyczki przez Latissiera, zapadł w śpiączkę. Ciało młodego żołnierza zareagowało na nagły uraz w klasyczny sposób: wyłączyło się. Kiedy stwierdzono, że Lau żyje, porucznik nie mógł się nadziwić, jak wielkie możliwości ma ludzki organizm. Bólu spowodowanego tyloma postrzałami nie usunęłyby nawet największe dawki morfiny ani metadonu, więc

ciało Samuraja zrobiło to, co najlepsze: wyłączyło końcówki nerwów i czekało na pomoc.

Problem polegał jedynie na tym, czy uda się sprowadzić pomoc.

W jednostkach frontowych lekarza zastępuje sanitariusz, zazwyczaj kapral. Sanitariuszem oddziału Schofielda był Legs Lane, niestety już nie żył.

Porucznik szybko obszedł po pomoście poziom A. Właśnie wrócił z poziomem E, gdzie przyszedł, żeby rzucić okiem na Matkę. Miał na nosie nowe srebrne okulary. Dostał je od niej. Stwierdziła, że jej nie będą już nigdy potrzebne.

Po chwili wetknął głowę do jadalni.

– No i co, Rebound? – zapytał.

W środku młody żołnierz pochylał się nad nieruchomym ciałem Samuraja. Ranny leżał płasko na plecach na stojącym pośrodku jadalni stole. Z jego krawędzi skapywała na ziemię krew, tworząc na białych kafelkach podłogi czerwoną kałużę.

Rebound podniósł głowę i pokręcił nią z rozpaczą.

– Nie mogę zrekompensować upływu krwi – stwierdził. – Poza tym ma za dużo obrażeń wewnętrznych. Rozwaliło mu brzuch na kawałki. – Otarł czoło i nad jego brwiami pojawiła się czerwona smuga. Wbił wzrok w Schofielda. – To nie moja liga, sir. Tu potrzebny jest lekarz.

Porucznik przez kilka sekund przyglądał się nieruchomemu Samurajowi.

– Rób, co możesz – powiedział i wyszedł.

– Ludzie, słuchajcie! – zawołał Schofield. – Nie mam wiele czasu, więc będę się skracał.

Pozostała szóstka marines stała na brzegu basenu na poziomie E. Otaczali szerokim kręgiem znajdującego się w środku porucznika.

Jego głos odbijał się echem w górę głównego szybu.

– Ta stacja jest najwyraźniej znacznie bardziej gorąca, niż nam się początkowo wydawało. Sądzę, że jeżeli Francuzi próbowali dostać to, co tu jest, inni też mogą spróbować. Ktokolwiek to będzie, miał do tej pory dość czasu, by zebrać potrzebny sprzęt i przygotować się do pełnego ataku. Nie łudźcie się – jeżeli ktokolwiek zdecyduje się zaatakować tę stację, będzie znacznie lepiej przygotowany i ciężiej uzbrojony od tych francuskich kutasów, których właśnie zlikwidowaliśmy. Ktoś ma coś do powiedzenia?

– Zgadzam się z panem, sir – powiedział Buck Riley.

– Ja też – oświadczył Wąż. Buck Riley i Wąż Kapłan byli po Schofieldzie najstarszymi stopniem żołnierzami w oddziale. To, że obaj zgadzali się z opinią dowódcy, wiele znaczyło.

– No to doskonale – stwierdził porucznik. – Chciałbym teraz, żebyście zrobili następujące rzeczy... Montana!

– Tak, sir?

– Idź na samą górę i ustaw nasze poduszki tak, by dalmierze były skierowane na zewnątrz i obejmowały zasięgiem cały teren dojścia do stacji od lądu. Niech pilnują całego terenu, bez martwych pól. Pułapki w pobliżu stacji nie nam nie dadzą – jeżeli ktoś zbliży się na sto kilometrów, chcę o tym wiedzieć.

– Tak jest, sir – mruknął Montana.

– Kiedy będziesz na górze, sprawdź, czy uda ci się dostać do radia i złapać McMurdo. Dowiedz się, kiedy nadejdzie wsparcie. Powinni lada chwila tu być.

– Załatwione – odparł Montana i odszedł szybkim krokiem.

– Santa Cruz...

– Tak, sir?

– Usuwacze. Chcę, żebyś sprawdził całą stację od góry do dołu... czy nie ma tu żadnego usuwacza. Nie wiadomo, jakie niespodzianki mogli nam zostawić nasi francuscy przyjaciele. Jasne?

– Tak jest, sir – powiedział Santa Cruz, po czym oderwał się od kręgu i ruszył do najbliższej drabinki.

– Wąż...

– Sir?

– Wyciągarka dzwonu. Panel sterujący jest we wnęce na poziomie C i został zniszczony przez wybuch granatu. Chcę, by wyciągarka działała. Poradzisz sobie?

– Tak jest, sir – odparł Wąż i odszedł.

Po odejściu Węża na pomoście zostali Riley i Gant. Schofield odwrócił się do nich.

– Book, Lis... Chcę, żebyście przygotowali sprzęt do nurkowania. Trzech nurków, cztery godziny nurkowania, cichy sprzęt i parę gadżetów na potem.

– Jaka mieszanka oddechowa? – spytał Riley.

– Nasycony heloks. Dziewięćdziesiąt osiem do dwóch. Riley i Gant popatrzyli na siebie. Mieszankę składającą się z dziewięćdziesięciu ośmiu procent helu i dwóch procent tlenu stosowano raczej rzadko. Minimalna ilość tlenu wskazywała na to, że chodzi o nurkowanie na bardzo dużą głębokość.

Porucznik podał Gant garść niebieskich kapsułek. Były to antyazotowe kapsułki N-67D, regulujące ciśnienie krwi, używane przez marynarkę wojenną podczas misji przeprowadzanych na dużych głębokościach. Nurkowie nazywali je czule „piguleczkami”. Spowalniając rozpuszczanie się podczas głębokiego zanurzenia azotu we krwi, zapobiegały chorobie ciśnieniowej, zwanej też chorobą kesonową. Ponieważ N-67D neutralizuje działanie azotu we krwi, nurkowie marynarki i Korpusu Piechoty Morskiej mogą zanurzać się tak szybko, jak chcą, i wynurzać się bez konieczności dokonywania długich przystanków dekompresyjnych. Pigułki antyazotowe zrewolucjonizowały wojskowe nurkowanie głębinowe.

– Planuje pan głębokie nurkowanie, sir? – spytała Gant, patrząc na kapsułki w swojej dłoni.

Schofield spojrział na nią.

– Chcę się dowiedzieć, co jest w tej jaskini.

Głęboko zamyślony Schofield szedł szybkim krokiem kolistym, zewnętrznym tunelem poziomym B.

Wszystko toczyło się tak szybko...

Francuski atak na Stację Lodową Wilkes wiele go nauczył. Stacja – a raczej to, co się pod nią znajdowało – było według Francuzów warte zabijania.

Świadomość implikacji tego faktu przyprawiała porucznika o zimny dreszcz. Jeżeli Francja zdecydowała się przysłać zaimprovizowaną ekipę, która miała capnąć to, co kryło się pod lodem, było bardzo prawdopodobne, że inne kraje zechcą zrobić to samo.

Perspektywa kolejnych ataków na stację mogła być bardzo bliska, co szczególnie martwiło Schofielda: jeśli ktokolwiek planował atak na Wilkes, będzie musiał go przeprowadzić, zanim na stację dotrze główny oddział Amerykanów.

Najbliższe godziny będą bardzo denerwujące.

Wyścig – kto pierwszy dotrze na stację – zapowiadał się ostro.

Amerykańskie wsparcie czy w pełni wyposażone wrogie siły?

Porucznik wolał o tym nie myśleć. Miał sporo do zrobienia, przede wszystkim jednak musiał zatroszczyć się o ciężko rannego Laua.

Kiedy walka z Francuzami się skończyła, pozostali przy życiu naukowcy – trzy kobiety i dwóch mężczyzn – wycofali się do swoich kwater na poziomie B. Schofield właśnie do nich szedł. Miał nadzieję znaleźć wśród nich lekarza, który mógłby pomóc Samurajowi.

Jego mundur był w dalszym ciągu wilgotny, ale nie przejmował się tym. Jak wszyscy żołnierze jego jednostki, miał pod spodem skafander mokry. Dla działających w rejonach arktycznych oddziałów rozpoznania stanowi on niemal podstawowe wyposażenie. Skafander mokry jest cieplejszy od kalesonów i po zamoczeniu nie robi się taki ciężki. A noszenie skafandrów na sobie zamiast w plecakach powoduje, że bagaż oddziału rozpoznania znacznie mniej waży – co jest bardzo istotne, jeżeli chce się szybko działać.

Gdy porucznik mijał kolejne drzwi, otworzyły się nagle i na korytarz buchnął kłęb pary. Po chwili wychynął z niej smukły kształt i zaczął sunąć korytarzem w stronę porucznika.

Wendy.

Kapała z niej woda. Foczek popatrzyła na Schofielda i zatrzymała się.

Z chmury pary wyszła Kirsty. Przed chwilą brała prysznic. Ujrzała porucznika i natychmiast się uśmiechnęła.

– Cześć! – powiedziała.

Miała na sobie nowe, suche ubranie, a jej włosy były mokre i zmierzwione. Schofield podejrzewał, że właśnie wzięła najgorętszą kąpiel w swoim życiu.

– Cześć – odparł.

– Wendy uwielbia brać prysznic – oświadczyła Kirsty, wskazując skinieniem głowy foke. – Uwielbia ślizgać się przez parę.

Porucznik pohamował śmiech i spojrzał na małą foczkę u swoich stóp. Była śliczna i naprawdę milutka. Poza tym uratowała mu życie. Brązowe ślepka błyszczały inteligentnie.

Popatrzył na Kirsty.

– A jak ty się czujesz?

– Teraz już mi ciepło.

Sądząc po wyglądzie, mała całkowicie otrząsnęła się z gehenny w basenie. Dzieci szybko się regenerują. Ciekawe, jakiej terapii potrzebowałyby dorośli po wpadnięciu do basenu pełnego rozszalałych orek-morderców.

Porucznik wiedział, że Kirsty bardzo wiele zawdzięcza Buckowi Rileyowi, który ją przejął, kiedy została wciągnięta w górę przez maghooka, i był z nią do końca, dając jej poczucie bezpieczeństwa.

– To dobrze – powiedział. – Jesteś twardym dzieciakiem, wiesz? Powinnaś zostać marine.

Kirsty rozpromieniła się. Schofield kiwnął głową w kierunku tunelu.

– Idziesz w tę stronę?

– Aha – odparła i kiedy ruszył, podreptała u jego boku. Wendy podążała za nimi, podskakując.

– Dokąd pan idzie?

– Szukam twojej mamy.

– O... – powiedziała cicho Kirsty.

Była to dziwna odpowiedź i porucznik spojrzał na dziewczynkę kątem oka.

Wpatrywała się w podłogę i Schofield zastanawiał się, co to może znaczyć.

Ponieważ zapadła niezręczna cisza, spróbował ją przerwać.

– Powiedziałaś, że ile masz lat? Dwanaście?

– Mmm...

– Siódma klasa, tak? *

* [w niektórych stanach naukę w szkole podstawowej rozpoczynano w wieku 6 lat.]

– Mmm...

– Siódma klasa... – Nie miał pomysłu, co mówić dalej, rzucił więc: – Wobec tego chyba musisz zacząć myśleć o przyszłej karierze.

Kirsty jakby się ożywiła. Popatrzyła na Schofielda.

– Nnno tak... – powiedziała z namysłem, jakby myśli o karierze zawodowej ostatnio bardzo mocno absorbowały jej dwunastoletni umysł.

– Kim chcesz zostać, kiedy skończysz szkołę?

– Nauczycielem. Jak tata.

– A czego on uczy?

– Geologii w wielkim college’u w Bostonie. Na Harvardzie.

– A czego ty chcesz uczyć?

– Matmy.

– Matematyki?

– Jestem dobra z matmy – odparła Kirsty i wzruszyła ramionami, równocześnie zażenowana i dumna. – Tata zawsze pomagał mi w lekcjach – dodała. – Mówił, że jestem lepsza z matematyki od większości dzieci w moim wieku, i czasem uczył mnie czegoś, czego inni nie znali. Czegoś, czego można się dowiedzieć dopiero w ostatnich klasach. Czasem uczył mnie rzeczy, o których w ogóle nie mówią w szkole.

– Tak? – Schofield był naprawdę zaciekawiony. – Na przykład jakich?

– No wie pan... wielomiany... szeregi nieskończone... trochę rachunku różniczkowego.

– Rachunek różniczkowy... szeregi nieskończone... – powtórzył ze zdumieniem porucznik.

– Wie pan, takie jak liczby trójkątne czy ciąg Fibonacciego. Tego typu rzeczy.

Porucznik pokręcił głową. To robiło wrażenie. Dwunastoletnia Kirsty Hensleigh, nieco zbyt mało wyrośnięta jak na swój wiek, była najwyraźniej bardzo inteligentną młodą damą. Ponownie na nią popatrzył. Co chwila podbiegała na palcach, próbując dorównać mu kroku. Wyglądała jak całkiem zwyczajny dzieciak.

– Robiliśmy razem dużo różnych rzeczy – dodała Kirsty. – Softball, marsze, raz nawet, chociaż nie zrobiłam kursu, wziął mnie ze sobą i nurkowaliśmy.

– Mówisz to tak, jakby tata już tego nie robił. Na chwilę zapadła cisza.

– Nie robi – wyszeptała w końcu Kirsty.

– Co się stało? – spytał łagodnie Schofield, spodziewając się opowieści o kłótniach rodziców i rozwodzie. Tak często się to obecnie zdarzało...

– Zginął w zeszłym roku w wypadku samochodowym. Porucznik odwrócił się i popatrzył na małą. Dziewczynka wpatrywała się w swoje sznurowadła.

– Bardzo mi przykro – powiedział. Kirsty przekrzywiła głowę.

– Nie ma sprawy – odparła i znów ruszyła przed siebie. Doszli do osadzonych

w lodowej ścianie drzwi i Schofield zatrzymał się przed nimi.

– Cóż, to mój cel – oświadczył.

– Mój też.

Porucznik otworzył drzwi i wpuścił przed sobą Kirsty i Wendy.

Było to coś w rodzaju pomieszczenia socjalnego. Stały tu brzydkie pomarańczowe kanapy, sprzęt muzyczny, telewizor, magnetowid. Prawdopodobnie na stację nie docierały transmisje telewizyjne, oglądano więc programy z kaset.

Na jednej z kanap siedziały Abby Sinclair i Sarah Hensleigh. Również przebrały się już w suche rzeczy. Byli z nimi trzej naukowcy – Llewellyn, Harris i Robinson. Po tym, jak zobaczyli, co granat rozpryskowy zrobił z Hollywoodem i jednym z ich kolegów, do końca potyczki z Francuzami nie wychodzili ze swoich pokoi. Wyglądali na zmęczonych i przejętych.

Kirsty podeszła do matki i usiadła obok niej. Nie odzywała się.

Schofield przypomniał sobie, że kiedy po raz pierwszy ujrzał je razem – przed przybyciem francuskich komandosów na stację – mała też zbyt wiele nie mówiła. Wtedy nie zauważył napięcia między matką i córką, czuł je jednak teraz. Podchodząc do Sarah, próbował o tym nie myśleć.

– Czy na stacji jest lekarz? – spytał. Sarah pokręciła głową.

– Nie. Był nim Ken Wishart, ale...

– Ale co? Sarah westchnęła.

– Francuzi zabrali go na pokład poduszkowca, który jakoby poleciał do d'Urville.

Porucznik zamknął oczy i jeszcze raz wyobraził sobie, co się działo z piątką naukowców na pokładzie skazanego na zagładę poduszkowca.

Nagle w jego słuchawkach zaskrzeczał głos:

– Strach na Wróble, tu Montana.

– Co jest?

– Ustawiłem dalmierze tak, jak chciałeś. Chcesz wejść i sprawdzić?

– Tak. Będę na górze za minutę. Gdzie jesteś?

– Południowo-zachodni róg.

– Czekaj na mnie. Udało ci się przebić do McMurdo?

– Jeszcze nie. Na każdej częstotliwości są zakłócenia.

– Próbuj dalej. Strach na Wróble koniec – powiedział porucznik. Odwrócił się i właśnie miał wyjść, kiedy klepnięto go delikatnie w ramię. Obejrzał się. Sarah Hensleigh. Uśmiechała się.

– Właśnie sobie przypomniałam – oświadczyła. – Na stacji jest jednak lekarz.

Po zakończeniu potyczki marines znaleźli obu francuskich naukowców – Luca Championa i Henriego Rae – ukrytych w szafie w jadalni na poziomie A.

Nie bronili się. Kiedy ich bezceremonialnie wyciągnięto z szafy i stanęli

naprzeciwko zwycięzców, byli wyraźnie przerażeni. Wiedzieli, że stanęli nie po tej stronie, co należało. Ludzie, których oszukali, byli teraz panami ich losu. Cena za zdradę będzie z pewnością wielka. Zabrano ich na poziom E i przykuto kajdankami do stojącego na otwartej przestrzeni pała. Ludzie Schofielda mieli do wykonania szereg zadań i porucznik nie zamierzał marnować ich czasu na pilnowanie dwójki francuskich naukowców. Można było równie dobrze mieć na nich oko, kiedy byli przykuci do pała.

Porucznik stał na pomoście poziomu B. Właśnie zamierzał coś powiedzieć do mikrofonu w hełmie, kiedy na pomost tuż obok niego wyszła Sarah Hensleigh.

– Muszę pana o coś zapytać. Nie mogłam tego zrobić przy innych.

Porucznik podniósł dłoń i rzucił do mikrofonu:

– Rebound, tu Strach na Wróble. Jak Samuraj? W słuchawce rozległ się głos Rebounda:

– Chyba udało mi się zatrzymać krwawienie, sir, ale w dalszym ciągu kiepsko z nim.

– Jest stabilny?

– Na tyle, na ile mi się udało.

– Posłuchaj... chcę, żebyś zszedł na poziom E i zabrał stamtąd Francuza, który nazywa się Champion, Luc Champion. – Mówiąc to, Schofield popatrzył na Sarah. – Właśnie dostałem informację, że ten facet jest chirurgiem.

– Tak jest, sir – odparł Rebound. W jego głosie słychać było ulgę, że ktoś bardziej kompetentny przejmie opiekę nad jego kolegą. Zaraz jednak jakby się zreflektował. – Ale... sir...

– Co jest?

– Możemy mu ufać?

– Nie – przyznał Schofield i zaczął się wspinać po drabince. Dał Sarah znak, by szła za nim. – Nawet na milimetr. Ale powiedz mu, że jeżeli Samuraj umrze, to on też.

– Jasne.

Porucznik dotarł do szczytu drabinki i wszedł na pomost poziomu A. Pomógł wspiąć się na górę idącej za nim Sarah. Niemal w tej samej chwili w drzwiach niedalekiej jadalni pojawił się Rebound i ruszył truchtem do drabinki po przeciwległej stronie szybu głównego, by zejść po Championa na poziom E.

Schofield i Sarah poszli biegnącym po ścianie szybu głównego pomostem w kierunku głównego wejścia. Porucznik patrzył w dół na stację i myślał o swoich ludziach.

Byli rozrzućeni po całym terenie.

Montana działał na zewnątrz. Riley i Gant przygotowywali na poziomie E sprzęt do nurkowania. Wąż tkwił pośrodku – we wnęce na poziomie C, gdzie naprawiał panel do sterowania wyciągarką. Santa Cruza, który szukał usuwaczy, nie było widać.

Jezu... niedobrze – pomyślał porucznik. Zostali rozrzućeni po całej stacji. Zaskrzeczały słuchawki w jego hełmie.

Zgłaszał się Santa Cruz.

– Co jest? – spytał Schofield.

– Sir, przeszukałem całą stację i nie znalazłem żadnego usuwacza.

– Nie ma nic? – Porucznik zmarszczył czoło. – Ani jednego?

– Ani jednego, sir. Być może nie spodziewali się, że wszystko tak szybko się rozegra, i nie zdążyli ich zamontować.

Schofield pomyślał, że Cruz prawdopodobnie miał rację. Plan Francuzów został bez wątpienia zniweczony przez przybycie na stację Bucka Rileya i odkrycie, co naprawdę stało się z francuskim poduszkiowcem, który „się rozbił”. Francuzi zamierzali zdobyć zaufanie Amerykanów i wyeliminować ich potem strzałami w plecy. Ponieważ jednak ten plan zawiódł, nie mogli zamontować usuwaczy.

– Ale za to znalazłem coś innego, sir – powiedział Santa Cruz.

– Co?

– Radio, sir.

– Radio? – mruknął bez specjalnego zainteresowania porucznik. Nie było to jakieś epokowe odkrycie.

– Sir, to nie jest normalne radio. Wygląda jak przenośny nadajnik VLF.

Tym razem Schofield natychmiast się zainteresował. Nadajnik VLF, czyli fal o bardzo niskiej częstotliwości, jest rzadko stosowanym urządzeniem. Nadaje on na częstotliwości od 3 do 30 kHz, co oznacza, że wysyła fale o niewiarygodnej długości. Fala jest tak długa – w terminologii radiowej mówi się: „ciężka” – że sygnał rozchodzi się jako fala przyziemna, zaginająca się zgodnie z krzywizną Ziemi.

Do niedawna emisja rozchodzących się z taką częstotliwością fal wymagała bardzo silnych, a więc bardzo ciężkich i nieporęcznych nadajników i dlatego urządzeń tego rodzaju używały jedynie wojska lądowe. Jednak dzięki postępowi techniki w ostatnich latach powstały nowe nadajniki – co prawda również ciężkie, ale możliwe do przenoszenia przez jednego człowieka. Wyglądają mniej więcej jak standardowy plecak i tyle też ważą.

To, że Francuzi przywieźli ze sobą na Stację Lodową Wilkes tego typu sprzęt, zaniepokoiło porucznika. Mógł być tylko jeden powód stosowania sygnałów radiowych na paśmie VLF, a było to...

Nie, to absurdalne, pomyślał Schofield. Nie mogli czegoś takiego zrobić.

– Cruz, gdzie go znalazłeś?

– Na dole, w pomieszczeniu wiertniczym.

– Jesteś tam teraz?

– Tak, sir.

– Wynieś nadajnik na brzeg basenu. Zejdę, kiedy sprawdzę, co u Montany.

– Tak jest, sir.

Porucznik wyłączył interkom. Doszli właśnie do korytarza prowadzącego do głównego wejścia.

– Co to są usuwacze? – spytała Sarah.

– Co? Ach, tak... – Przypomniał sobie, że Sarah nie jest żołnierzem. – „Usuwacz” to pojęcie określające urządzenie wybuchowe, umieszczane na polu walki przez działającą w ukryciu grupę szturmową na wypadek fiaska misji. Zazwyczaj jest on detonowany przez wyłącznik z opóźnieniem, czyli normalny zapalnik czasowy.

– Sekundę, momencik... Niech pan tak nie pędzi. Schofield westchnął i zwołał kroku.

– Niewielkie elitarne oddziały, takie jak ten francuski, z którym mieliśmy przyjemność dziś się spotkać, często wkraczają tam, gdzie nie powinno ich być. Gdyby udowodniono, że francuscy komandosi weszli na teren amerykańskiej stacji badawczej i próbowali pozabijać jej rezydentów, prawdopodobnie doszłoby do międzynarodowego incydentu dyplomatycznego. Racja?

– Nno... tak.

– Nie ma gwarancji, że takiemu oddziałowi szturmowemu uda się dostać to, po co przyszedł, prawda? Na przykład może się natknąć na ekipę twardych gości takich jak my i wszyscy zginą. – Schofield zdjął z haczyka długą kurtkę i zaczął ją wkładać. – W każdym razie niemal każdy oddział specjalny – francuscy spadochroniarze, SAS, Navy SEAL – ma przygotowany na wypadek fiaska misji plan. Urządzenia do realizacji takiego planu nazywamy usuwaczami, ponieważ dokładnie do tego służą: do usunięcia śladów istnienia oddziału... i to w taki sposób, by nikomu nawet nie przyszło do głowy, że jakkolwiek oddział tego typu w danym miejscu był. Czasem nazywa się je „kapsułkarzykiem”, ponieważ jeżeli ktoś z takiego oddziału zostaje, usuwacz zadziała jak środek sprowadzający pewną śmierć.

– Mówi pan o materiałach wybuchowych?

– Mówię o szczególnego rodzaju materiałach wybuchowych. Większość usuwaczy z zapalnikiem czasowym to albo gazy na bazie chloru, albo płyny spalające się w wysokich temperaturach. Są przeznaczone do zacierania rysów twarzy, odparowywania i niszczenia mundurów i blaszek identyfikacyjnych – By nic nie sugerowało, że w danym miejscu był ktoś niepożądany. Usuwacze zaczęto stosować dopiero od niedawna. Po raz pierwszy usłyszano o nich kilka lat temu, kiedy przydybano niemiecki oddział sabotażowy w podziemnym silosie raketowym w montanie. Zapędzono ich w kozi róg, wyciągnęli więc zawleczki granatów z płynnym chlorem. Wszyscy żołnierze zniknęli, znikł też silos. Sądzymy, że przybyli, by uszkodzić nasze tajne rakiety nuklearne.

– Niemiecki oddział sabotażowy... w Montanie... – mruknęła niedowierzająco Sarah. – Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę ale czy Niemcy nie są naszymi sojusznikami?

– A czy Francuzi też nie są naszymi sojusznikami? – Rzekł Schofield, unosząc brwi. – Coś takiego się zdarza. Częściej niż pani sądzi. Wtargnięcia jednostek specjalnych „zaprzyjaźnionych krajów”. W Pentagonie mają nawet na to określenie – „Operacja Kasjusz”. Od imienia jednego z przywódców spisku przeciwko Cezarowi i sprawcy jego śmierci.

– Mają na to określenie...? Porucznik wzruszył ramionami.

– Proszę spojrzeć na to tak: Ameryka jest supermocarstwem Kiedy istniały dwa supermocarstwa, istniała równowaga. Jak jedna strona zrobiła, druga natychmiast kontrowała. Jednak Sowieci to historia i Ameryka została jedynym prawdziwym supermocarstwem na świecie. Mamy więcej broni niż jakikolwiek inny kraj. Mamy więcej pieniędzy na broń niż rząd jakiegokolwiek innego kraju. Każdy kraj, który spróbowałby nam dorównać w wydatkach militarnych, natychmiast załamałby się gospodarczo. Jak stało się z Rosją Sowiecką. Istnieje jednak wiele krajów. Wiele z nich to podobno nasi „przyjaciele” – które uważają, że Ameryka jest za silna i nie miałyby nic przeciwko temu, by upadła. Kilka z nich – Francja. Niemcy i w nieco mniejszym stopniu Wielka Brytania – nie boją się nawet czasem trochę nas poszturchać.

– Nie miałam o tym pojęcia.

– Niewiele osób o tym wie, ale to jeden z głównych powodów przysłania tu mojej jednostki. Aby obronić stację przed każdym z naszych „sojuszników”, który zdecydowałby się ją opanować.

Schofield otulił się kurtką i chwycił klamkę prowadzących na zewnątrz drzwi.

– Powiedziała pani, że chciała mnie o coś zapytać. Możemy rozmawiać, idąc?

– Hm... chyba tak – odparła Sarah i szybko zdjęła z haczyka kurtkę dla siebie.

– Wobec tego ruszajmy.

Na poziomie E Libby Gant sprawdzała kalibrację głębokościomierza.

Razem z Rileyem pracowali na zewnętrznym skraju otaczającej wodę platformy. Co prawda ostatni raz widzieli orkę czterdzieści pięć minut temu, ale woleli nie ryzykować. Trzymali się daleko od wody.

Sprawdzali sprzęt dla grupy, która miała zejść pod wodę w dzwonie nurkowym.

Byli sami i pracowali w milczeniu. Riley od czasu do czasu zaglądał do magazynku w południowym tunelu i sprawdzał, jak się czuje Matka.

Gant odłożyła sprawdzony głębokościomierz i wzięła następny.

– Co się stało z jego oczami? – spytała cicho, nie podnosząc wzroku.

Riley przestał pracować i popatrzył na koleżankę. Ponieważ nie odpowiedział od razu, Gant podniosła głowę i przyjrzała mu się uważnie.

Riley jeszcze przez chwilę milczał, a potem odwrócił głowę.

– Niewielu ludzi to wie – mruknął. – I do dziś niewielu widziało jego oczy...

Zapadła cisza.

– Dlatego ma przydomek Strach na Wróble? – spytała w końcu Gant. – Z powodu oczu?

Riley skinął głową.

– Dał mu go Norman McLean.

– Ten generał?

– Tak. Kiedy zobaczył oczy Schofielda stwierdził, że wygląda jak strach na wróble, który kiedyś pilnował mu pola kukurydzy w Kansas. Prawdopodobnie był to taki strach na wróble, który miał nacięcia w krzyżyk zamiast oczu.

– Wiesz, jak to się stało?

Riley skinął głową, nic jednak nie powiedział.

– Co się stało?

Riley wziął głęboki wdech, odstawił trzymaną w rękach sprężarkę helu i popatrzył na Gant.

– Shane Schofield nie zawsze był dowódcą oddziału rozpoznania – zaczął. – Przedtem był pilotem, stacjonował na „Waspie”.

USS „Wasp” to okręt flagowy Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Jest jedną z siedmiu pływających baz helikopterowych, jakie posiada korpus, i służy jako centrum bojowe każdej większej ekspedycji prowadzonej przez piechotę morską. Większość niewtajemniczonych uważa, że „Wasp” to lotniskowiec.

Większość ludzi nie wie także, że Korpus Piechoty Morskiej posiada sporo samolotów i helikopterów. Choć są one używane głównie do transportowania oddziałów, wykorzystuje się je także do wspierania ataków naziemnych. Do tego celu służą przede wszystkim helikoptery AH-1W Super Cobra o charakterystycznej, smukłej sylwetce przydatne do zwalczania broni pancernej i natychmiast rozpoznawalne – oraz brytyjskiej produkcji (ale zmodyfikowane przez Amerykanów) myśliwce AV-8B Harrier II, bardziej znane pod nazwą „skaczących odrzutowców”. Są to jedyne na świecie samoloty bliskiego wsparcia, mające możliwość pionowego startu i lądowania.

– Schofield był pilotem harriera na „Waspie”. Jak mi mówiono, jednym z najlepszych – mówił Riley. – W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, w czasie najgorszych walk, trafił do Bośni. Uczestniczył w misjach patrolowych nad strefą zakazu lotów.

Gant uważnie obserwowała Riley'a. Przypominając sobie tę historię, patrzył gdzieś

w przestrzeń.

– Pewnego dnia, pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, został zestrzelony przez przenośną serbską baterię rakiet, która według wywiadu nie istniała. Ustalili chyba potem, że było to dwóch ludzi w jeepie, wożących na tylnym siedzeniu sześć amerykańskich stingerów. W każdym razie Schofieldowi udało się katapultować, zanim nastąpił wybuch zbiorników paliwa. Wylądował na środku terytorium kontrolowanego przez Serbów.

Riley odwrócił się i popatrzył na Gant.

– Ukrywał się przez dziewiętnaście dni w serbskich lasach, podczas gdy okolicę przeszukiwało sto serbskich oddziałów. Kiedy go znaleźli, nie jadł od dziesięciu dni. Zabrali go do opuszczonego gospodarstwa i przywiązali do krzesła, a potem zaczęli bić deską nabitą gwoździami i zadawać pytania. Dlaczego leciał nad tym terenem? Czy pilotował samolot szpiegowski? Chcieli się dowiedzieć, co wie o ich pozycji, ponieważ uważali, że jego zadaniem było prowadzenie wsparcia z powietrza dla znajdujących się na terenie serbskim oddziałów amerykańskich.

– Oddziałów amerykańskich... znajdujących się na... serbskim terenie?

Riley bez słowa skinął głową.

– Były tam dwa oddziały SEAL. Przeprowadzali tajne uderzenia na pozycje serbskiego dowództwa. Nocne. Bardzo skuteczne. Powodowali wśród Serbów chaos, kompletne zamieszanie. Wpadali i znikali, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować. Podrzynali wrogom gardła i znikali w ciemnościach nocy. Byli tak nieuchwytni, że miejscowi mieszkańcy zaczęli przebąkiwać, że to duchy, mające ukarać dowództwo wojskowe za to, co robią własnej ludności cywilnej.

– Strach na Wróble wiedział o tym? O działających na serbskim terenie oddziałach SEAL?

Book przez chwilę milczał.

– Tak. Wiedział. Oficjalnie patrolował strefę zakazu przelotów, a nieoficjalnie – przekazywał naziemnym oddziałom SEAL współrzędne gospodarstw wiejskich, w których ukrywali się serbscy przywódcy. Zresztą to nieważne. Nie powiedział im ani słowa.

Riley wziął głęboki wdech i po chwili milczenia znów zaczął mówić:

– W każdym razie Serbowie uznali, że Schofield prowadził misję zwiadowczą dla SEAL, widział z powietrza cele strategiczne i przekazał ich współrzędne swoim ludziom na ziemi. Oświadczyli, że ponieważ widział coś, czego nie powinien, wytną mu oczy.

– Co?!

– Wyjęli z szuflady brzytwę, przytrzymali go, a jeden z nich podszedł i powoli przeciągnął brzytwą z góry na dół po oczach Schofielda. Podobno gdy to robił,

cytował coś z Biblii. Coś o tym, że jeżeli Swoja ręka zgrzeszy, należy ją obciąć, a jeżeli oczy zgrzeszą – wyciąć je.

Gant zrobiło się niedobrze. Oślepił Schofielda.

– Co było dalej?

– Zamknęli go w szafie, by się wykrwawił. Gant była zszokowana.

– Jak się wydostał?

– Jack Walsh posłał po niego oddział rozpoznania. Oczywiście Gant znała to nazwisko. Każdy żołnierz piechoty morskiej słyszał o kapitanie Jacku T. Walshu. Był dowódcą „Waspa” i najbardziej szanowanym oficerem w całym korpusie.

Wielu uważało, że Walsh powinien zostać komendantem Korpusu Piechoty Morskiej, ale uniemożliwiła to pogarda kapitana wobec wszelkiego autoramentu polityków. Dowódca korpusu musi się spotykać z członkami Kongresu, a każdy wiedział, że Jack Walsh by tego nie strawił – najlepiej wiedział to on sam. Poza tym stwierdził, że woli dowodzić „Waspem” i mieć do czynienia ze zwykłymi żołnierzami. Jego ludzie uwielbiali go za to.

Riley mówił dalej:

– Kiedy ósmego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku wyciągnięto z Bośni Scotta O’Grady’ego, trafił na okładkę „Time’a”, spotkał się z prezydentem i dziennikarze narobili wokół niego szumu jak cholera. Gdy pięć miesięcy później wyciągnięto z Bośni Shane’a Schofielda, nikt się o tym nie dowiedział. Na pokładzie „Waspa” nie czekała ekipa telewizyjna, by go sfilmować, kiedy wychodził z helikoptera. Nie było ani jednego dziennikarza, nikt nie opisał jego gehenny. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Ponieważ kiedy Shane Schofield wylądował na pokładzie „Waspa”, odbity Serbom przez oddział piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych, wyglądał makabrycznie. Akcja była bardzo krwawa. Serbowie nie chcieli oddać cennego amerykańskiego jeńca i walczyli zaciekle. Kiedy helikopter dotknął kołami pokładu „Waspa”, wiózł czterech ciężko rannych marines. Ale wiózł także Shane’a Schofielda. Wyskoczyli sanitariusze, lekarze i członkowie oddziałów pomocniczych i jak najszybciej wyciągnęli wszystkich z helikoptera. Wszędzie było pełno krwi, ranni wyli. Zabrano Schofielda na noszach. Z oczu lała mu się strumieniami krew. Cała operacja była tak szybka, że nikt nie miał możliwości zakrycia mu oczu gazą...

Riley przerwał. Gant wpatrywała się w niego bez słowa.

– Co było potem? – spytała w końcu.

– Jack Walsh dostał opierdół z Białego Domu i Pentagonu. Nie chcieli, by posyłał kogoś po Schofielda, bo przecież wcale nie było go tam, gdzie był. Biały Dom nie życzył sobie „konsekwencji politycznych” amerykańskiej misji wojskowej, mającej na

celu uratowanie pilota zestrzelonej maszyny szpiegowskiej. Walsh powiedział im wtedy, że ma ich wszystkich gdzieś, i jeśli mają ochotę, niech go wywalą.

– A co ze Strachem na Wróble?

– Był ślepy. Zniszczyli mu oczy. Zabrano go do szpitala Uniwersytetu Johna Hopkinsa w Marylandzie, gdzie jest najlepszy w kraju oddział chirurgii oka.

Przynajmniej tak mi mówiono.

– I...?

– I naprawili mu oczy. Nie pytaj, w jaki sposób, bo nie wiem. Najwyraźniej brzytwa cięła dość płytko i nie doszło do uszkodzeń siatkówki... poważnie uszkodzone zostały tylko zewnętrzne części oczu, tęczówka i źrenice. Zdaniem lekarzy były to uszkodzenia czysto mechaniczne. Naprawialne. – Riley pokręcił głową. – Nie mam pojęcia, co zrobili – ktoś mi mówił, że zastosowano jakąś nową technikę laserową – ale zrobili, co trzeba: naprawili mu oczy. Cholera, wiem, że jeśli kogoś stać na taką operację – a w przypadku Stracha na Wróble stać było korpus – na pewno nie musiałby nosić szkieł. Oczywiście blizny na skórze zostały, ale oczy działały. Schofield znów widział. Był tylko ten jeden problem...

– Jaki?

– Korpus nie mógł mu pozwolić dalej latać. W całej armii obowiązuje zasada, że po przejściu jakiegokolwiek urazu oczu nie wolno latać samolotem wojskowym. Jeśli nosisz okulary, nie wolno ci dotknąć nawet wojskowego latawca!

– Co wtedy zrobił Strach na Wróble? Riley uśmiechnął się.

– Postanowił zostać zwierzęciem na smyczy, naziemnym marine. Ponieważ latał jako oficer, zachował stopień, ale to wszystko. Musiał zaczynać od początku. W jednej chwili stracił status pilota, komandora porucznika, i stał się żołnierzem służby zasadniczej, podporucznikiem. Wrócił do szkoły wojskowej w Quantico i przeszedł wszystkie kursy, jakie tam prowadzą. Szkolenie z broni taktycznej. Planowanie strategiczne. Broń ręczna dla zwiadowców-snajperów. Wymień kurs, jaki chcesz. Zrobił wszystkie. Podobno powiedział, że chce być taki jak ci, którzy przyszli po niego w Bośni. Chciał umieć robić to, co oni zrobili dla niego. – Riley wzruszył ramionami. – Jak się pewnie domyślasz, wkrótce zwrócono na niego uwagę. Był za mądry, by długo pozostać podporucznikiem. Po kilku miesiącach awansowali go na porucznika i niedługo potem zaproponowali mu dowództwo oddziału rozpoznania. Zgodził się. To było jakieś dwa lata temu.

Gant nic o tym nie wiedziała. Została wybrana do oddziału Schofielda rok wcześniej i nigdy się nie zastanawiała nad tym, w jaki sposób został dowódcą. Tego typu sprawy należały do oficerów, a Gant nie była oficerem. Była żołnierzem, a żołnierze robią tylko to, co im się mówi. Takie rzeczy jak wybór dowódcy należą do innych.

– Jestem od tego czasu w jego oddziale – dodał z dumą Riley. Gant wiedziała, że Riley szanował Schofielda, ufał jego ocenie sytuacji i podziwiał sumienność, z jaką porucznik podchodził do każdego zadania. Schofield był jego dowódcą i Riley poszedłby za nim do piekła.

Gant podzielała uczucia kolegi. Polubiła porucznika od początku. Szanowała go jako przywódcę. Był twardy, ale sprawiedliwy, i nie miał ozorem. Nigdy nie potraktował jej inaczej jak pozostałych członków oddziału.

– Lubisz go, prawda? – spytała cicho.

– Ufam mu. Znów zapadła cisza. Gant westchnęła.

– Mam dwadzieścia sześć lat, Book. Wiedziałeś o tym?

– Nie.

– Dwadzieścia sześć lat. Boże... – powiedziała zamyślona. – Wiedziałeś, że byłam kiedyś mężatką?

– Nie.

– Wyszłam za mąż w wieku dziewiętnastu lat. Za najwspanialszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek spotkałam, marzenie dziewczyn z całego miasteczka. Był nowym nauczycielem w szkole średniej, właśnie przyjechał z Nowego Jorku i uczył angielskiego. Łagodny, spokojny, mądry. Zanim skończyłam dwadzieścia lat, byłam już w ciąży.

Book patrzył na Gant w milczeniu.

– Pewnego dnia, kiedy byłam w trzecim miesiącu ciąży, wróciłam wcześniej do domu i przyłapałam go, jak robi to „na pieska”, na podłodze w salonie, z siedemnastoletnią cheerfeaderką, która przyszła na korepetycje.

Book jęknął w duchu.

– Trzy tygodnie później poroniłam. Nie wiem dlaczego. Z powodu stresu, ze strachu, kto wie? Po tym, co mąż mi zrobił, znienawidziłam mężczyzn. Nienawidziłam każdego. Wtedy zgłosiłam się do korpusu. Sam wiesz, że nienawiść robi z człowieka dobrego żołnierza. Sprawia, że każdy oddany strzał trafia prosto w głowę przeciwnika. Po tym, co mąż mi zrobił, nie potrafiłam zaufać żadnemu facetowi. Wtedy poznałam jego. – Gant przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń. Jej oczy wypełniły się łzami. – Wiesz, kiedy zostałam przydzielona do tego oddziału, komisja selekcyjna zaprosiła wszystkich na uroczysty obiad w Pearl. Było wspaniale – Hawaje, grill, plaża, słońce. On też tam był. Miał okropną błękitną hawajską koszulę i oczywiście swoje srebrne okulary. Podczas obiadu każdy przemawiał – oprócz niego. Obserwowałam go. Wyglądało na to, że zupełnie zamknął się w swoim wewnętrznym świecie. Sprawiał wrażenie takiego samotnego, opuszczonego... Przyłapał mnie na tym, że mu się przyglądam, i zaczęliśmy rozmawiać o jakichś bzdurach... o tym, jak piękne jest Pearl Harbor i gdzie najchętniej pojechalibyśmy na wakacje. Ale ja go od razu wyczułam.

Nie wiem, o czym tamtego dnia myślał, jednak cokolwiek to było, pochłaniało go to bez reszty. Podejrzewam, że chodziło o kobietę – kobietę, której nie udało mu się zdobyć. Book, gdyby jakikolwiek mężczyzna myślał kiedyś o mnie tak, jak on myślał o niej... – Gant pokręciła głową. – Po prostu bym... nie wiem. To było tak intensywne. Takie... jeszcze nigdy czegoś takiego nie czułam.

Book nie odzywał się. Patrzył bez słowa na Gant. Poczula na sobie jego wzrok i mrugnęła dwa razy. Łzy w jej oczach zniknęły.

– Przepraszam – mruknęła. – Nie mogę sobie pozwolić na okazywanie emocji. Znow zaczna mnie nazywać Dorothy.

– Powinien wiedzieć, co do niego czujesz – mruknął Book.

– Jasne, pewnie. Wywaliliby mnie z oddziału, zanim zdążyłabym powiedzieć: „To właśnie dlatego nie może być kobiet w oddziałach frontowych”. Book, wolę być blisko niego i nie móc go dotknąć, niż być daleko i też nie móc go dotknąć.

Book przez chwilę patrzył na Gant ostro, jakby ją oceniał, jednak po chwili uśmiechnął się ciepło.

– Jesteś w porządku... Dorothy. Jesteś naprawdę w porządku. Gant zaśmiała się cicho, choć bardziej przypominało to chlipnięcie.

– Dzięki.

Pochyliła głowę i pokręciła nią, a potem popatrzyła na Booka.

– Mam jeszcze jedno pytanie...

– Jakie? Przekrzywiła głowę.

– Skąd ty to wszystko o nim wiesz? O Bośni, o tym gospodarstwie, jego oczach i tak dalej?

Riley uśmiechnął się smutno.

– Byłem w oddziale, który go stamtąd wyciągnął.

Laleontologia to głównie czekanie – powiedziała Sarah Hensleigk idąc razem z Schofieldem w kierunku obrzeża stacji. – Ale dzięki nowej technologii można włączyć komputer i zająć się czymś innym. Po jakimś czasie człowiek wraca i sprawdza, co komputer odkrył.

Sarah wyjaśniła, że tą nową technologią jest fala dźwiękowa niskiej częstotliwości, którą paleontolodzy z Wilkes wysyłali w głąb lodu, by odkryć skamieniałe kości. W odróżnieniu od kopania, metoda ta pozwala lokalizować znaleziska bez ich niszczenia.

– I co pani robi, czekając, aż impuls dźwiękowy znajdzie następną skamieniałość?

– Jestem nie tylko paleontologiem – odparła Sarah z uśmiechem. – Zanim zajęłam się paleontologią, byłam oceanobiologiem – Pracowałam z Benem Austinem na pokładzie B w laboratorium biologicznym. Prowadził badania nad nowym antydotum

przeciwno ukąszeniu *Enhydra schistosa*.

Schofield kiwnął głową.

– Wąż morski.

Sarah popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

– Bardzo dobrze, poruczniku!

– Hm... umiem nie tylko wymachiwać bronią – odparł Schofield z uśmiechem.

Doszli do obrzeża stacji. Montana stał na występie progu jednego z poduszkowców, skierowanego przodem na zewnątrz.

Było ciemno – wokół panował upiorny półmrok podbiegunowej zimy – i przez gnany wiatrem śnieg widać było niezbyt rozległą, płaską przestrzeń, rozciągającą się za stacją. Horyzont jarzył się ciemnopomarańczowo.

Nad głową Montany, na dachu poduszkowca, porucznik dostrzegł dalmierz. Wyglądał jak zamontowane na wieżycze długolufę działko, obracające się powoli i zataczające pełne półkole. Zatoczenie stu osiemdziesięciu stopni zajmowało dalmierzowi mniej więcej trzydzieści sekund, po czym rozpoczynał powolny ruch z powrotem.

– Ustawiłem je, jak kazałeś – powiedział Montana i zszedł z poduszkowca. – Drugi LCAC stoi na południowo-wschodnim rogu. – LCAC było oficjalną nazwą poduszkowca piechoty morskiej i stanowiło skrót od Landing Craft – Air Cushioned *.

* [Pojazd Desantowy na Poduszce Powietrznej.]

Montana był pedantem, jeśli chodziło o nazewnictwo.

– Doskonale – skinął głową Schofield.

Przy tym ustawieniu poduszkowców ich dalmierze obejmowały całą strefę podejścia do Stacji Lodowej Wilkes od lądu. Zasięg ponad osiemdziesięciu kilometrów umożliwiał wystarczająco wczesne ostrzeżenie, gdyby ktoś zbliżał się do stacji.

– Masz przenośny ekran? – spytał porucznik swojego podwładnego.

– Tak. – Montana podał mu urządzenie, wyświetlające wyniki przeszukiwania terenu przez dalmierze.

Wyglądało ono jak niewielki telewizorek z rączką po lewej stronie. Po ekranie przesuwaly się powoli dwie zielone linie, poruszające się w taki sam sposób, jak wycieraczki na przedniej szybie samochodu. Gdyby promienie dalmierzy przecięły jakiegokolwiek obiekt, na ekranie pojawiłby się czerwony punkt, a w kwadracie na dole zostałyby wyświetlone parametry odkrytego obiektu.

– Doskonale – stwierdził Schofield. – Chyba jesteśmy przygotowani. Najwyższy czas sprawdzić, co jest w tej grocie.

Powrót do stacji zajął im mniej więcej pięć minut. Porucznik, Sarah i Montana szli szybko przez śnieg. Po drodze Schofield zapoznał swoich towarzyszy z planem dotyczącym podwodnej groty.

Po pierwsze, chciał potwierdzić fakt istnienia statku kosmicznego. Jak na razie nie zostało udowodnione, że pod lodem cokolwiek jest. Jedynym źródłem tej informacji był raport naukowca, który prawdopodobnie nie żył. Kto wie, co naprawdę widział? Kolejnym pytaniem, na które porucznik chciał poznać odpowiedź, było to, czy rzeczywiście – tuż po odkryciu statku kosmicznego – naukowcy zostali zaatakowani przez nieznanego przeciwnika.

Był jeszcze trzeci powód wysłania nurków do groty, jednak Schofield nie wspomniał o nim.

Chodziło o to, że gdyby ktoś zaatakował stację – zwłaszcza w najbliższych godzinach, kiedy marines będą najsłabsi – i udało mu się pokonać resztki oddziału, ostatnią linią obrony mogłaby się okazać grupa znajdująca się w grocie.

Jeżeli jedyną drogą wejścia do groty był lodowy podwodny tunel, każdy, kto chciałby się do niej dostać, musiałby nim przepłynąć. Tajne oddziały szturmowe niechętnie przeprowadzają podwodne akcje, ponieważ nigdy nie wiadomo, co czeka nad powierzchnią. Zdaniem porucznika niewielka, stacjonująca w grocie grupa mogłaby pokonać każdy oddział – po kolei eliminując wrogów podczas wynurzania się z wody.

Schofield, Sarah i Montana dotarli do głównego wejścia, zeszli rampą i wmaszerowali do stacji.

Porucznik natychmiast skierował się do jadalni. Powinien tam być Rebound z Championem – i Schofield chciał sprawdzić, co francuski lekarz ma do powiedzenia na temat stanu Samuraja.

Po chwili był na miejscu. Rebound i Champion stali nad leżącym na stole Samurajem.

Kiedy porucznik wszedł, obaj mężczyźni gwałtownie podnieśli głowy. Wyglądali jak złodzieje, przyłapani na wyciąganiu forszy z kasy sklepowej.

Przez chwilę panowała cisza.

Pierwszy odezwał się Rebound:

– Sir, Samuraj nie żyje.

Schofield zmarszczył czoło. Co prawda stan Samuraja był krytyczny i w każdej chwili mógł umrzeć, ale sposób, w jaki Rebound to powiedział...

Młody żołnierz podszedł do porucznika i dodał:

– Nie żył już, kiedy przyszliśmy, sir. Doktor mówi, że nie zmarł od ran. Mówi że... wygląda na to... że... został uduszony.

Peter Cameron siedział w samochodzie na parkingu SETI. Żar pustynnego słońca zwał z nóg. Dziennikarz wyjął telefon i zadzwonił do Alison.

– Jak było? – spytała.

- Fascynująco... – odparł, przeglądając swoje notatki.
- Jest coś, co dałoby się jakoś wykorzystać?
- Właściwie nie. Wygląda na to, że przechwycili kilka słów z satelity szpiegowskiego, ale to dla mnie chińszczyzna.
- Zapisalesz ten przekaz? Cameron popatrzył na notatki.
- Tak, skarbie. Ale nie jestem pewien, czy to cokolwiek warte.
- Mimo wszystko chcę to usłyszeć.
- Jak chcesz – mruknął Peter i popatrzył w notatki.

ZROZUMIAŁEM 134625

KONTAKT STRACONY – ZAKŁÓCENIA W JONOSFERZE ODDZIAŁ
SZTURMOWY STRACH NA WRÓBLE -66,5

ROZBŁYSK NA SŁOŃCU ZAKŁÓCIŁ RADIO 115, 20 MIN, 12 SEK DŁUG.
WSCH.

W JAKI SPOSÓB SIĘ TAM – DRUGI ODDZIAŁ W DRODZE

Przeczytał notatki na głos – słowo w słowo, przekładając skróty na pełne zdania.

- To wszystko? – spytała Alison, kiedy skończył. – Tylko tyle?
- Tyle.
- Niewiele da się z tym zrobić.
- Też tak sędzę.
- Daj mi się zastanowić. Dokąd teraz jedziesz?

Cameron wziął z pokrytej samoprzylepnymi karteczkami deski rozdzielczej mały, biały prostokącik. Była to wizytówka.

ANDREW WILCOX

Rusznikarz 14 Newbury Street, Lake Arthur, NM

- Pomyślałem sobie, że jeśli już tu jestem, sprawdzę tajemniczego pana Wilcoxa.
- Tego od skrytki pocztowej?
- Właśnie.

Przed dwoma tygodniami ktoś zostawił w skrytce pocztowej Camerona wizytówkę. Samą wizytówkę, nic więcej. Nie dołączono do niej żadnej wiadomości, na wizytówce również nie było nic napisane. Z początku dziennikarz myślał, że to zagubiona przesyłka bez adresu – naprawdę zagubiona, jeżeli dotarła do niego aż z Nowego Meksyku.

Potem jednak zadzwonił telefon.

W słuchawce odezwał się chrapliwy męski głos i zapytał, czy Cameron dostał

wizytówkę.

Peter potwierdził.

Wtedy mężczyzna powiedział, że ma coś, co Cameron z pewnością chciałby zobaczyć. Jasne, odparł Peter i zaproponował mu spotkanie w Waszyngtonie.

Nie. To nie wchodziło w rachubę. Cameron będzie musiał przyjechać do niego. Gość był jak z filmu „płaszcz i szpady”, nieźle zakręcony. Powiedział, że jest byłym marynarzem albo coś w tym stylu.

– Jesteś pewien, że to nie kolejny twój wielbiciel? – spytała Alison.

Sława Peter’a Camerona z czasów, kiedy był reporterem śledczym w „Mother Jones”, nieustannie go ścigała. Lubili do niego dzwonić zwolennicy teorii spiskowych, twierdzący, że mają informacje o kolejnym Watergate albo haka na skorumpowanego polityka. Zazwyczaj chcieli za swoje informacje pieniędzy.

Wilcox nie żądał jednak pieniędzy. Nawet o nich nie wspomniał. A ponieważ Cameron i tak był w pobliżu...

– Być może – odparł. – Ale skoro i tak tu jestem, mogę się dowiedzieć, o co chodzi.

– Jak chcesz, ale żebyś potem nie mówił, że cię nie ostrzegałam. Cameron rozłączył się i trzasnął drzwiczkami samochodu.

Alison Cameron odłożyła słuchawkę i przez chwilę wpatrywała się w głąb wielkiej sali waszyngtońskiej redakcji „Post”.

Było wczesne przedpołudnie i wokół panowało zwykłe zamieszanie. Szerokie, niskie pomieszczenie podzielono na setki boksów niespełna półtorametrowymi przepierzeniami i w każdym z nich ktoś intensywnie pracował. Dzwoniły telefony, klekotały klawiatury, wszędzie biegali ludzie.

Alison miała na sobie kremowe spodnie, białą koszulę i luźno zawiązany krawat. Kasztanowe, długie do ramion włosy związała w koński ogon.

W zamyśleniu popatrzyła na kawałek papieru, na którym zapisała to, co mąż przekazał jej przez telefon.

Jeszcze raz starannie przeczytała każdą linijkę. Większość tekstu była niezrozumiałym bełkotem o strachach na wróble, zakłóceniach w jonosferze, oddziale szturmowym i drugim oddziale.

Zainteresowały ją jednak trzy linijki:

66,5

ROZBŁYSK NA SŁOŃCU ZAKŁÓCIŁ RADIO

115, 20 MIN, 12 SEK DŁUG. WSCH.

Kiedy czytała je po raz kolejny, wpadł jej do głowy pewien pomysł.

Szybko sięgnęła nad biurko i z wiszącej nad nim półki zdjęła grube tomiszcze w brązowej okładce. Wielki Atlas Geograficzny Świata Bartholomewa. Przerzuciła

kilka kartek i szybko znalazła stronę, której szukała.

Przesunęła palcem po kresce na kartce.

– No, no... – powiedziała głośno.

Kolega dziennikarz w sąsiednim boksie podniósł głowę.

Alison nie zwróciła na niego uwagi. Przyglądała się kartce przed sobą.

Jej palec tkwił w punkcie, wyznaczanym przez współrzędne 66 i pół stopnia szerokości geograficznej południowej oraz 115 stopni, 20 minut i 12 sekund długości wschodniej.

Zmarszczyła czoło.

Jej palec dotykał wybrzeża Antarktydy.

Marines w milczeniu zebrali się wokół basenu na poziomie E.

Montana, Gant i Santa Cruz zarzucili na plecy butle. Cała trójka miała na sobie czarne, elektrycznie ogrzewane skafandry.

Schofield i Wąż patrzyli, jak się ubierają. Rebound stał za nimi. Buck Riley odszedł do magazynka na poziomie E, by rzucić okiem na Matkę.

Na brzegu, tuż przy poruczniku, stał wielki czarny plecak: francuski nadajnik VLF, który Santa Cruz znalazł podczas przeszukiwania stacji.

Wiadomość o śmierci Samuraja wstrząsnęła całym oddziałem.

Luc Champion poinformował porucznika, że znalazł w tchawicy Samuraja kwas mlekowy, co było jego zdaniem niemal stuprocentowym dowodem na to, iż marine nie zmarł z powodu ran.

Francuski doktor wyjaśnił, że kwas mlekowy świadczy o nagłym zablokowaniu dopływu tlenu do płuc – kiedy próbują skompensować jego brak spalaniem cukru, dochodzi do kwasicy mleczanowej. Inaczej mówiąc, obecność kwasu mlekowego w tchawicy wskazuje na śmierć z powodu uduszenia.

Samuraj nie zmarł od ran. Zmarł, ponieważ jego płuca nie otrzymały wystarczającej ilości tlenu. Zmarł, ponieważ ktoś odciął mu dopływ powietrza.

Ktoś go zamordował.

Porucznik nie ujawnił tego swoim ludziom. Przekazał im tylko, że Samuraj nie żyje. Nie powiedział, jak umarł. Uznał, że jeżeli ktoś z nich jest mordercą, lepiej, żeby nie wiedział, iż jego działalność została odkryta. Rebound i Champion musieli przysiąc, że będą milczeć.

Patrząc, jak trójka jego ludzi przygotowuje się do zejścia pod wodę, Schofield myślał o tym, co się stało.

Kimkolwiek był morderca, z pewnością zakładał, że śmierć Samuraja zostanie przypisana ranom, jakie odniósł. Było to uzasadnione założenie. Porucznik podejrzewał, że gdyby nie odkrycie Championa, natychmiast przyjąłby wersję, że ciało

Samuraja po prostu zrezygnowało z walki o przetrwanie i poddało się ranom. Dlatego zabójca udusił nieprzytomnego marine. Uduszenie nie pozostawia krwi, charakterystycznych śladów ani dodatkowych ran. A bez nich wersja, że Samuraj przegrał walkę z ranami postrzałowymi, była całkowicie do przyjęcia.

Zabójca nie wiedział jednak, że uduszenie pozostawia charakterystyczny ślad: kwas mlekowy w tchawicy.

Schofield nie miał wątpliwości, że bez lekarza nie zauważono by obecności kwasu mlekowego i śmierć Samuraja poszłaby na konto ran postrzałowych. Traf jednak chciał, że na stacji znalazł się lekarz i odkrył ślady kwasu.

Implikacje tego faktu były przerażające i trudno było oszacować ich zasięg.

Czy w stacji mogli się jeszcze kryć francuscy żołnierze? Może kogoś przeoczono. Samotnego komandosa, który postanowił eliminować marines jednego po drugim – wewnątrz i na zewnątrz Stacji Lodowej Wilkes.

Szybko odrzucił tę myśl. Cała stacja i jej otoczenie, a nawet francuski poduszkowiec na zewnątrz zostały dokładnie przeszukane. Ani w środku, ani poza Stacją Lodową Wilkes nie było na pewno żadnego francuskiego żołnierza.

To jednak jeszcze bardziej komplikowało sytuację – oznaczało bowiem, że zabójcy Samuraja należy szukać wśród ludzi, których porucznik obdarzał zaufaniem.

Nie mógł to być żaden z dwójki francuskich naukowców, ponieważ od chwili zakończenia potyczki zarówno Rae, jak i Champion tkwili przykuci do pała na poziomie E.

Mógł to być jednak któryś z naukowców stacji, bo kiedy Schofield był na zewnątrz z Montaną i Hensleigh, siedzieli przez nikogo nie pilnowani w sali rekreacyjnej na pokładzie B. Ale dlaczego? Dlaczego któryś z nich miałby chcieć zabić ранego amerykańskiego żołnierza? Marines przybyli przecież, by im pomóc.

Pozostawała tylko jedna możliwość.

Samuraja zabił któryś z ludzi porucznika.

Sama myśl o tym sprawiła, że po kręgosłupie Schofielda przeszedł zimny dreszcz. Jeszcze bardziej mroziło go, że w ogóle o tym pomyślał. Musiał jednak rozważyć także i tę ewentualność, ponieważ poza rezydentami Wilkes możliwość zabicia Samuraja mieli wyłącznie marines.

Kiedy doszło do morderstwa, Sarah i Montana byli z nim na zewnątrz, więc przynajmniej im mógł ufać.

W przypadku pozostałych nie było to takie oczywiste.

W chwili morderstwa wszyscy pracowali w różnych miejscach stacji. Każdy z nich mógł je popełnić, nie narażając się na odkrycie.

Schofield zastanowił się nad każdym po kolei.

WAŻ. Był na poziomie C, we wnęce, i pracował nad zniszczonym pulpitem

sterowniczym wyciągarki, opuszczającej i wyciągającej dzwon nurkowy stacji. Był sam.

SANTA CRUZ. Przeszukiwał stację, sprawdzając, czy nie ma na niej zainstalowanych francuskich urządzeń wybuchowych. Nie znalazł nic poza nadajnikiem VLF, który stał teraz u stóp porucznika. Także był sam.

REBOUND. Był głównym podejrzanym. Wiedzieli o tym zarówno Schofield, jak i sam Rebound. To on powiedział porucznikowi, że stan rannego jest stabilny i może go na chwilę zostawić, by zejść na poziom E po Championa. Był także jedyną osobą, która od końca potyczki przebywała z Samurajem w jednym pomieszczeniu. Według Schofielda Samuraj nie żył od godziny, przypuszczalnie został zabity przez Rebounda dawno temu.

Tylko dlaczego? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Rebound miał dwadzieścia jeden lat, był prostoduszny, ufny i palił się do wszystkiego. Rozkazy wypełniał natychmiast i był zbyt młody, by okazywać znudzenie albo cynizm. Uwielbiał służbę w marines i tryskał taką szczerością, z jaką Schofield jeszcze nigdy się nie spotkał. Porucznikowi zawsze się zdawało, że właściwie ocenia jego charakter. Może jednak się mylił...

Myśl o tym, że Rebound prawdopodobnie jest mordercą, przypomiała Schofieldowi pewne zdarzenie sprzed lat. Wspomnienie o nim, bardzo bolesne, próbował kryć głęboko w duszy.

ANDREW TRENT.

Porucznik Andrew X. Trent, Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych.
Peru. Marzec 1997.

Schofield i Andrew Trent razem ukończyli szkołę oficerską. Byli dobrymi kumplami, a po szkole obaj zostali awansowani na poruczników. Błyskotliwy strateg Trent dostał dowództwo najbardziej prestiżowego oddziału rozpoznania – Atlantyckiego. Schofield, który ukończył szkołę z nieco gorszym wynikiem – dowództwo Pacyficznego Oddziału Rozpoznania.

W marcu 1997 roku, niecały miesiąc po objęciu przez Schofielda dowództwa, jego oddział został skierowany do udziału w akcji w górach Peru. Podobno wysoko w Andach odkryto coś niezwykłego w starożytnej świątyni Inków i prezydent Peru poprosił Stany Zjednoczone o pomoc. Powodem tej prośby było to, że w peruwiańskich górach krążyły bandy poszukiwaczy antycznych skarbów i znane były przypadki, że mordowały całe ekspedycje naukowe, by zrabować odkryte przez nie bezcenne artefakty.

Kiedy oddział porucznika dotarł na szczyt góry, na miejscu byli już inni

amerykańscy żołnierze – pluton rangersów armii USA – którzy utworzyli wokół pokrytej lasem deszczowym góry kordon o średnicy ponad trzech kilometrów. Na szczycie góry znajdowały się zakopane do połowy w zboczu ruiny świątyni Inków w kształcie piramidy.

Kapitan rangersów poinformował Schofielda, że wewnątrz świątyni znajduje się Oddział Rozpoznania Piechoty Morskiej.

Oddział Andy'ego Trenta.

Najwyraźniej pierwsi przybyli na miejsce. Kiedy ogłoszono alarm, Trent i jego ludzie prowadzili ćwiczenia w brazylijskiej dżungli, mogli więc przybyć najszybciej.

Kapitan rangersów nie miał pojęcia, co dzieje się w zrujnowanej świątyni, wiedział tylko, że każda przybywająca jednostka ma pomóc zabezpieczać trzykilometrowy kordon i POD ŻADNYM POZOREM nie wchodzić do świątyni.

Oddział Schofielda zajął się tym, co im kazano – wzmacnianiem kordonu ochronnego.

Wtedy pojawił się nowy oddział, któremu pozwolono przejść przez kordon. Ktoś twierdził, że to oddział SEAL – saperzy, mający rozbroić miny, podłożone przez tych, którzy byli w środku razem z marines Trenta. Najwyraźniej w świątyni odbyła się ciężka walka i porucznik z przyjemnością dowiedział się, że oddział jego kolegi ze szkoły wziął górę.

Oddział SEAL wszedł do środka. Czas mijał powoli.

Nagle słuchawka Schofielda eksplodowała krzykiem. Przez fale zakłóceń przebijał się zniekształcony głos który mówił:

– Tu porucznik Andrew Trent, dowódca Oddziału Rozpoznania Numer Cztery Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Powtarzam: tu Andrew Trent z Czwartego Oddziału Rozpoznania Piechoty Morskiej USA. Jeżeli na zewnątrz są jacyś marines, proszę o odpowiedź.

Schofield odpowiedział, ale Trent zdawał się go nie słyszeć. Mógł nadawać, jednak najwyraźniej nic nie odbierał.

– Jeżeli pod świątynią są jacyś marines, mają natychmiast wejść! Powtarzam: wejść natychmiast! Wstawili swoich ludzi do mojej jednostki! Wsadzili do mojego cholernego oddziału swoich ludzi! Marines! Żołnierze SEAL, którzy przed chwilą przyjechali, powiedzieli, że są tu, aby mi pomóc. Że są specjalną jednostką, przysłaną przez Waszyngton, by pomóc mi zabezpieczać teren. Potem wyciągnęli broń i jednemu z moich kaprali strzelili prosto w głowę! A teraz chcą zabić także mnie! Kurwa! Na Boga, pomaga im paru moich ludzi! Wsadzili mi do oddziału własnych jebanych ludzi! Podstawili mi swoich ludzi! Atakują mnie własni...

Sygnal nagle został przerwany.

Porucznik rozejrzał się wokół szybko. Wyglądało na to, że nikt poza nim nie

usłyszał tej wiadomości. Trent musiał nadawać na paśmie dla oficerów, co oznaczało, że tylko on mógł go słyszeć.

Schofield natychmiast zebrał swoich ludzi, kiedy jednak ruszyli w kierunku świątyni, rangersi zastąpili im drogę. Było ich pięćdziesięciu, a Schofield miał tylko dwunastu ludzi.

Kapitan rangersów oświadczył:

– Poruczniku, moje rozkazy są jasne. Nikt tam nie wejdzie. Nikt. Jeżeli ktokolwiek spróbuje, mam rozkaz strzelać. Jeżeli spróbuje pan wejść do tej świątyni, poruczniku, będę zmuszony otworzyć do was ogień. – Jego głos był lodowaty. – Niech pan nie wątpi, że to zrobię. Nie będę się dwa razy zastanawiał nad skasowaniem dwunastki pedalskich marines.

Schofield wpatrywał się w niego bez słowa.

Kapitan był wysoki, miał jakieś czterdzieści lat i gęste, ostrzyżone tuż przy skórze siwe włosy. Służył jako zawodowy żołnierz i miał spore doświadczenie w walce na pierwszej linii, a choć jego klatka piersiowa nie była zbyt szeroka, widać było, że jest bardzo sprawny fizycznie. Miał też zimne, jakby martwe oczy i ogorzałą, szyderczo wykrzywioną twarz. Porucznik zapamiętał jego nagabywanie – nigdy go nie zapomni – i sposób, w jaki drań je wyszczekał.

Kiedy porucznik kazał je sobie podać: kapitan Arlin F. Brookes, Armia Stanów Zjednoczonych.

Tak więc Schofield wraz ze swoimi ludźmi został zatrzymany, a Andrew Trent w dalszym ciągu rozpaczliwie wrzeszczał w jego słuchawkach.

Im głośniejsze Trent krzyczał, tym większa wściekłość ogarniała porucznika.

Oddział SEAL, który wszedł do środka, zabił kolejnych ludzi Trenta. Dołączyło do niego kilku jego własnych żołnierzy, którzy zwrócili się przeciwko swojemu dowódcy i zabili paru kolegów. Trent nie miał pojęcia, co się dzieje.

Ostatnią rzeczą, jaką Schofield usłyszał w słuchawkach, było stwierdzenie Trenta, że został sam.

Andrew Trent nigdy nie wyszedł ze świątyni.

Mniej więcej rok później, po przeprowadzeniu śledztwa, poinformowano porucznika, że jednostka Trenta nie zastała nikogo w świątyni. Nie było żadnej potyczki, nikt z nikim nie walczył. Nie było też żadnego „tajemniczego odkrycia”. Po wejściu do świątyni i stwierdzeniu, że nikogo nie ma w środku, oddział Trenta zaczął badać wnętrza ciemnych, pustych ruin. W trakcie poszukiwań kilku ludzi – w tym także i sam dowódca – wpadło w ukrytą dziurę. Miała przynajmniej trzydzieści metrów głębokości i gładkie skalne ściany. Nikt nie przeżył upadku. Wydobyto zwłoki, ale ciała Trenta wśród nich nie było.

Ciała Andrew Trenta nigdy nie znaleziono.

Schofield był wściekły. Oficjalnie w świątyni nic się nie wydarzyło. Jedynie nieszczęśliwy wypadek, który kosztował życie dwunastu marines Stanów Zjednoczonych.

Porucznik wiedział, że tylko on słyszał wezwania Trenta i nikt mu nie uwierzy, jeżeli zakwestionuje oficjalną wersję przebiegu wydarzeń. Zresztą gdyby to zrobił, czekałby go prawdopodobnie cichy proces przed sądem wojskowym i jeszcze cichsze, haniebne wydalenie ze służby.

Tak więc nigdy nikomu nie wspomniał o tym incydencie.

Teraz jednak, w zimnych zakamarkach podziemnej stacji lodowej na Antarktydzie, wspomnienie tych wydarzeń nawiedziło go ponownie. „Wstawili swoich ludzi do mojej jednostki!... Wsadzili mi do oddziału własnych jebanych ludzi!”.

Kiedy rozmyślał nad tym, dlaczego Rebound zabił Samuraja, słowa Trenta odbijały się echem w jego głowie.

Czy wstawili też ludzi do jego jednostki?

A tak w ogóle, to kim są ci „oni”? Rządem USA? Armią?

Brzmiało to jak historia rodem ze Związku Radzieckiego: „niedobry” rząd, umieszczający „specjalnych” ludzi w elitarnych oddziałach wojskowych. Jednak Schofield dobrze wiedział, że Stany Zjednoczone i ZSRR w wielu sprawach wcale aż tak bardzo się od siebie nie różniły. USA zawsze oskarżały Rosjan o indoktrynację, choć przecież w każdej amerykańskiej szkole codziennie rano gra się indoktrynacyjny Gwiazdzisty Sztandar*.

* [Hymn amerykański.]

Myśl o zdrajcach we własnym oddziale sprawiała, że Schofield dostawał gęsiej skórki.

Nawet Riley i Gant – zajęci na poziomie E przygotowaniem sprzętu do nurkowania – nie byli przez cały czas razem, bo Riley od czasu do czasu zaglądał do Matki.

Porucznikowi nie mieściło się w głowie, że Buck Riley mógłby być zdrajcą. Znał go zbyt długo.

Ale Gant? Schofieldowi wydawało się, że dobrze zna Libby Gant i właściwie ją ocenia. Sam ją wybrał do oddziału. Czy ktoś mógł to przewidzieć? Ktoś, kto chciał, by znalazła się w jego oddziale? Nie...

Jedynym żyjącym marine na terenie stacji była poza tym Matka. Sama myśl, że mogła zabić Samuraja, była absurdalna.

Ale Samuraj Lau nie żył i zabił go któryś z żołnierzy porucznika. Problem polegał na tym, że mógł to zrobić każdy.

Montana, Gant i Santa Cruz byli gotowi do nurkowania.

Mieli poprzyczepiane do pleców wykonane na zamówienie marynarki wojennej

butle tlenowe o zmniejszonej głośności pracy, zwane przez członków Korpusu Piechoty „niesłyszalnymi” *.

* [W oryginale: stealth, co oznacza ukradkiem, potajemnie. Określa się tak samoloty o specjalnej konstrukcji, „niewidzialne” dla radaru.]

Woda jest doskonałym przewodnikiem dźwięku, a przy normalnej butli nurkowej przepływ sprężonego powietrza prowadzonymi do ustnika węzami powoduje sporo hałasu. Każdy profesjonalny mikrofon podwodny może wykryć obecność nurka z powodu głośnego syku, jaki wytwarza sprzęt do oddychania.

Aby się przed tym zabezpieczyć, Marynarka Wojenna USA wydała miliony na wynalezienie cichego aparatu nurkowego. Efektem pracy konstruktorów jest system znany pod nazwą LABA *. * [Audibility Breathing Apparatus – Aparat Oddechowy Niskiej Głośności.]

Różne rzeczy można powiedzieć o zamontowanych w nich butlach, ale na pewno nie to, że je słycać. Butle LABA są niewykrywalne przez zwykłe urządzenia nasłuchowe, stąd porównanie z „niewidzialnym” samolotem.

Schofield patrzył, jak trójka jego ludzi sięga po maski i przygotowuje się do skoku w głąb mrocznego basenu. Odwrócił się i spojrzał na pustą taflę wody – na jej powierzchni unosił się jedynie dzwon nurkowy. Stado orek opuściło basen jakieś czterdzieści minut temu i od tego czasu nikt ich nie widział. Nagle ktoś klepnął go w ramię i porucznik odwrócił się.

Ujrzał przed sobą Sarah Hensleigh. Była ubrana w podkreślający figurę czarno-niebieski skafander mokry z ogrzewaniem elektrycznym. Schofield przez chwilę wpatrywał się w nią zaskoczony. Po raz pierwszy zauważył, jak kształtną ma figurę. Ta kobieta miała naprawdę piękne ciało!

Uniósł brwi.

– O to właśnie chciałam przedtem spytać... kiedy byliśmy na zewnątrz – powiedziała Sarah. – Chcę zejść z nimi na dół.

– Widzę.

– Straciliśmy w jaskini na dole dziewięciu ludzi. Chciałabym się dowiedzieć dlaczego.

Porucznik przeniósł wzrok na stojącą po jego lewej ręce trójkę nurków marines i zmarszczył czoło. Nie podobał mu się ten pomysł.

– Mogę pomóc – dodała szybko Sarah. – Na przykład w sprawie groty.

– W jaki sposób?

– Ben Austin – jeden z nurków, który zszedł na dół na samym początku – powiedział, że to coś w rodzaju podwodnej groty, prawda? Powiedział, że ma niemal pionowe ściany i rozciąga się po kilkadziesiąt metrów w każdą stronę. – Sarah

popatrzyła na Schofielda. – Uważam, że jeżeli ściany groty są strome, istnieje duże prawdopodobieństwo, że powstała w wyniku jakiegoś zjawiska sejsmicznego, trzęsienia ziemi albo wybuchu podwodnego wulkanu. Niemal pionowe ściany powstają w wyniku nagłej erupcji skał, a nie powolnego, stopniowego ruchu.

– Jestem pewien, że moim ludziom nie grozi nagła erupcja skał, doktor Hensleigh.

– Wiem, ale mogę powiedzieć, co jest na dole.

To zainteresowało porucznika. Odwrócił się do stojących na skraju wody nurków.

– Montana, Gant, Cruz... zaczekajcie sekundę. – Odwrócił się ponownie do Sarah Hensleigh i popatrzył na nią uważnie. – Doskonale, doktor Hensleigh. Co jest na dole?

– No więc... – zaczęła Sarah, zbierając myśli. Nie była przygotowana na taką rozmowę, ale Schofield nie pozostawił jej wyboru. – Teoria numer jeden: obiekt pozaziemski. Statek kosmiczny z innej planety, z innej cywilizacji. Nie jest to co prawda moja dziedzina, ale tak naprawdę nie jest to niczyja dziedzina. Jeśli jednak to „coś” jest wytworem cywilizacji pozaziemskiej, oddałabym prawą rękę, by móc to zobaczyć.

– Matka oddała już swoją lewą nogę. Co dalej?

– Teoria numer dwa: obiekt nie jest pozaziemski.

– Nie pozaziemski? – zdumiał się porucznik.

– Właśnie. Nie pochodzi spoza Ziemi. A to już jest moja dziedzina. Paleontologia. Żeby nie było niedomówień: moja teoria nie jest nowatorska, tyle że jak na razie nikomu nie udało się znaleźć jakiegokolwiek dowodu, że jest prawdziwa.

– Jaka teoria?

Sarah wzięła głęboki wdech.

– Według niej kiedyś, bardzo dawno temu, na Ziemi istniała cywilizacja...

Przerwała, nie mając pewności, jak Schofield zareaguje. Porucznik milczał przez chwilę, zastanawiając się nad czymś, a potem powiedział tylko:

– Proszę mówić dalej.

– Chodzi o bardzo dawne czasy – podjęła Sarah. – O okres przed pojawieniem się dinozaurów. Czteryście milionów lat temu. Kiedy się nad tym zastanowić... jest to możliwe. Życie ludzkie – takie, jakie znamy – istnieje na Ziemi od niespełna miliona lat, prawda? W kategoriach historycznych to niedługo. Gdyby historię Ziemi przedstawić na tarczy zegara, zobaczylibyśmy, że człowiek pojawił się na niej dopiero trzy sekundy „przed dwunastą”. A człowiek cywilizowany – Homo sapiens – jeszcze później. Niespełna dwadzieścia tysięcy lat obecności Homo sapiens na Ziemi to na „cyferblacie wszechczasów” niecała sekunda.

Porucznik uważnie obserwował Sarah Hensleigh. Mówiła szybko, z zapalem. Była w swoim żywiole.

– Paleontologowie są przekonani – ciągnęła – że pojawienie się ssaków na Ziemi,

a zatem i człowieka, to efekt zbiegu wielu najróżniejszych czynników. Odpowiednia odległość od Słońca, odpowiednia temperatura, odpowiednia atmosfera, odpowiedni poziom tlenu w atmosferze i oczywiście – wyginięcie dinozaurów. Wszyscy znają teorię Alvareza, według której w Ziemię uderzyła z ogromną siłą asteroida, powodując śmierć dinozaurów, dzięki czemu ssaki mogły zająć ich miejsce jako władcy świata. Co pan na to, gdybym powiedziała, że istnieją dowody, iż w ciągu ostatnich siedmiuset milionów lat miały miejsce aż cztery takie uderzenia?

– Uderzenia asteroid?

– Tak. Sir Edmund Halley zasugerował kiedyś, że Morze Kaspjskie powstało kilkaset milionów lat temu w wyniku zderzenia Ziemi z asteroidą. Alexander Bickerton, sławny nowozelandzki fizyk i nauczyciel Rutherforda, wysunął hipotezę, że całe dno południowej części Oceanu Atlantyckiego – od Afryki Południowej po Amerykę Południową – było jednym wielkim kraterem, powstałym w wyniku potężnego uderzenia asteroidy mniej więcej trzysta milionów lat temu. Jeśli więc założymy, że za każdym razem, gdy w Ziemię uderzała kolejna asteroida, ginęła jakaś cywilizacja, możemy zadać sobie pytanie, jakiego rodzaju cywilizacje zostały zniszczone. W ostatnich latach wielu naukowców zasugerowało – najbardziej znanym z nich jest Joseph Sorenson ze Stanfordu – że jedna z tych cywilizacji mogła być dziełem ludzi. Schofield rozejrzył się po stojących wokół marines. Wszyscy z zapartym tchem słuchali Sarah, jej opowieść pochłonęła ich bez reszty.

– Mniej więcej co dwadzieścia dwa tysiące lat Ziemia zwiększa swe pochylenie w osi pionowej o pół stopnia. Sorenson zasugerował, że czterysta milionów lat temu Ziemia była pochylona podobnie jak teraz. Ponieważ znajdowała się także w podobnej odległości od Słońca jak dziś, panowały na niej zbliżone średnie temperatury. Rdzenie lodowe, w tym również te, które zostały pobrane na tej stacji, wykazały, że powietrze było wtedy mieszaniną tlenu, azotu i wodoru, w dodatku w proporcjach bardzo zbliżonych do dzisiejszych. Nie rozumie pan? Zestaw warunków był taki sam jak teraz!

Porucznik powoli zaczynał wierzyć w to, co mówiła Sarah.

– Grota na dole znajduje się pięćset metrów pod poziomem morza, czyli prawie osiemset metrów pod średnim poziomem lądu. Lód na tej głębokości może mieć czterysta milionów lat. A jeśli został wyrzucony w górę z głębszych warstw poprzez trzęsienie ziemi albo inny kataklizm – może mieć znacznie, znacznie więcej. Uważam, że niezależnie od tego, co znajduje się na dole, zostało to zamrożone dawno temu. Bardzo dawno temu. Może być zarówno wytworem pozaziemskim, jak i ludzkim – ale jeżeli jest dziełem człowieka, jest to dzieło ludzi, którzy zamieszkiwali tę planetę przed milionami lat. Tak czy owak, poruczniku, będzie to największe odkrycie paleontologiczne wszechczasów i chcę przy tym być...

Schofield nadal stał bez ruchu.

– Poruczniku, to treść mojego życia – powiedziała Sarah. – A to, co jest na dole, może okazać się największym odkryciem w historii ludzkości.

Porucznik z ciekawością jej się przyglądał, więc przerwała, czując, że zamierza coś powiedzieć.

– A co z pani córką? – zapytał.

Sarah przekrzywiła głowę. Nie spodziewała się takiego pytania.

– Chce ją pani zostawić samą?

– Nic jej nie grozi – odparła beznamiętnie Sarah. Potem uśmiechnęła się i dodała: – Będzie z panem.

Schofield dotychczas jeszcze nie widział, jak Sarah Hensleigh się uśmiecha. Ten uśmiech sprawił, że cała jej twarz się rozpromieniła, a wszystko wokół jakby się rozświetliło.

– Będę także mogła zidentyfikować naszych nurków, którzy zeszli do groty, i może...

Porucznik uniósł dłoń.

– W porządku, przekonała mnie pani. Może pani zejść na dół, ale w naszym sprzeczcie. Nie wiem, co się stało na dole z waszymi ludźmi, podejrzewam jednak, że to, co kryje się w głębi, usłyszało hałas wytwarzany przez ich sprzęt i nie mam ochoty, by to samo przydarzyło się tym razem.

– Dziękuję – powiedziała Sarah, a potem sięgnęła do szyi, zdjęła łańcuszek z błyszczącym srebrnym medalionem i podała go Schofieldowi. – Lepiej, jeśli nie będę z tym nurkować. Przechowa mi go pan do powrotu?

Porucznik wziął medalion i włożył go do kieszeni.

– Pewnie.

W tym momencie z basenu doleciał jakiś dziwny odgłos.

Schofield odwrócił się błyskawicznie i zobaczył ogromny czarny cień, wznoszący się ku powierzchni w obłoku bąbelków spienionej wody.

Pomyślał, że to któraś z orzek wróciła do basenu w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Ale czarny kontur nie poruszał się – jedynie wypływał ku górze, unosząc się coraz bliżej i bliżej powierzchni.

Po chwili potężny czarny kształt z głośnym sykiem przebił lustro wody. Na boki wystrzeliło kłębowisko bąbli. We wszystkie strony rozchodziły się kłęby białej piany, z której wypływały cienkie strumyki krwi. Wielki czarny kształt podskakiwał na powierzchni. Wszyscy zrobili krok w jego kierunku.

Porucznik także patrzył na ogromną, czarną bryłę, która wynurzyła się z wody.

Była to rzeczywiście orka, tyle że martwa. Stuprocentowo martwa. Potężne czarno-białe truchło unosiło się bezwładnie na wodzie i powoli podpływało do brzegu. Miało co najmniej dziesięć metrów długości i przypuszczalnie ważyło jakieś siedem

ton.

Z początku Schofield pomyślał, że to orka, której Matka strzeliła w łeb – to zwierzę na pewno zginęło. Ale martwy delfin nie miał rany na łbie, a ten, do którego wypaliła Matka, musiał mieć w czaszce dziurę wielkości piłki do koszykówki.

Było w tym jeszcze coś zastanawiającego.

Ciało martwej orki wypłynęło na powierzchnię.

Zabite w wodzie zwierzę początkowo wypływa – dopóki jego ciało nie wypełni się wodą. Wtedy tonie. Orka, którą zabiła Matka, musiała już od dawna leżeć na dnie. Oznaczało to, że ta, która wypłynęła teraz, musiała zostać zabita całkiem niedawno.

Truchło powoli obracało się w wodzie i w końcu obróciło się brzuchem do góry. Kiedy Schofield je ujrzał, zmarszczył brwi.

Wzdłuż wielkiego, białego brzucha orki biegły dwa równoległe krwawe rozdarcia.

Miały poszarpane, nierówne brzegi, zaczynały się mniej więcej na środku korpusu i kończyły przy gardle. Przez rozerwaną skórę częściowo powypadały wnętrzności – długie, kremowożółte zwoje grubości ramienia mężczyzny.

Porucznik widział, że nie są to cięcia, a rozerwania – rany szarpane. Coś wbiło się w ciało orki i rozpruło je, rozdzierając skórę i powłoki brzuszne.

Marines stojący na pomoście nie odrywali wzroku od krwawego truchła, a ich miny świadczyły, że do każdego dotarła przerażająca prawda.

W wodzie coś było.

Coś, co zabiło orkę.

Schofield wziął głęboki wdech i odwrócił się do Sarah.

– Chce pani zmienić decyzję?

Sarah jeszcze przez kilka sekund patrzyła na martwą orkę, a potem spojrzała na porucznika.

– Nie – odparła. – Mowy nie ma.

Porucznik nerwowo chodził po brzegu basenu. Sam.

Obserwował zanurzającą się w wodę linę. Na jej końcu wisiał dzwon nurkowy, w którym znajdowali się trójka marines i Sarah Hensleigh. Lina zanurzała się ze stałą prędkością – najwyższą możliwą.

Wyciągarka już prawie od godziny zanurzała dzwon. Tysiąc metrów to kawał drogi i Schofield wiedział, że dotarcie na tę głębokość musi potrwać.

Od jakiegoś czasu poza nim na pomoście wokół basenu nie było nikogo. Dwadzieścia minut wcześniej wysłał Booka, Węza i Rebounda na górę, by jeszcze raz spróbowali połączyć się za pomocą przenośnego radia ze stacją McMurdo. Musiał wiedzieć, kiedy do Wilkes dotrze amerykański oddział zabezpieczający.

Pomijając rytmiczne, mechaniczne postukiwania wyciągarki, dobiegające

z poziomu C, cała stacja była cicha. Powtarzające się raz za razem tapnięcia miały na Schofielda niemal uspokajający wpływ.

Wyjął z kieszeni srebrny medalion Sarah Hensleigh, który zamigotał w jaskrawym, jarzeniowym świetle. Obrócił go w dłoni. Z tyłu coś było wygrawerowane...

Nagle usłyszał jakiś nowy dźwięk i odruchowo poderwał głowę. Słyszał go jedynie przez krótką chwilę, ale na pewno nie było to złudzenie.

Głos. Męski głos. Tyle że mówił po...

...francusku.

Schofield natychmiast spojrzał na stojący dwa metry od niego nadajnik VLF.

Radiostacja wydała z siebie przenikliwy świst i ponownie rozległ się głos.

– La hyene, c'est moi, le requin – powiedział ktoś. – La hyene, c'est moi, le requin. Presentez votre rapport. Je renouvele. Presentez votre rapport.

Rebound, pomyślał porucznik. Cholera, potrzebuję go. Rebound był jednak na zewnątrz razem z pozostałymi, a ktoś mówiący po francusku był Schofieldowi potrzebny natychmiast.

– Rebound – powiedział do mikrofonu w hełmie. Odpowiedź nadeszła natychmiast:

– Tak, sir?

Schofield wyraźnie słyszał wyjący w tle wiatr.

– Nic nie mów, Rebound, tylko słuchaj... – powiedział porucznik i nacisnął na swoim pasie guzik, uruchamiający mikrofon. Przysunął się do nadajnika VLF tak, by jego hełm znalazł się blisko głośnika.

Po chwili znów ktoś zaczął mówić po francusku:

– La hyene. Vous avez trois heures pour presenter votre rapport. Je renouvele. Vous avez trois heures pour presenter votre rapport. Si vous ne le presentez pas lorsau e l'heure nous serons contraint de lancer l'engine d'efface. Je renouvele. Si vous ne le presentez pas lorsau e l'heure nous serons contraint de lancer l'engine d'efface. Cest moi, le requin. Finis.

Sygnal zanikł i zapadła cisza. Schofield, mając pewność, że przekaz zakończono, spytał:

– Usłyszałeś wszystko, Rebound?

– Większość, sir.

– Co powiedzieli?

– Powiedzieli: Hiena. Masz trzy godziny na złożenie raportu. Jeżeli nie złożysz raportu na czas, będziemy musieli wystrzelić l'engine d'efface, urządzenie likwidujące.

– Urządzenie likwidujące... – powtórzył beznamiętnie porucznik. – Trzy godziny. Jesteś pewien, Rebound?

Nie przerywając rozmowy, włączył stoper swojego cyfrowego casio na trzy

godziny i migające cyferki zaczęły odliczać czas „do tyłu”.

- Stuprocentowo, sir. Powtórzyli to dwa razy.
- Doskonale. Teraz musimy się tylko dowiedzieć, gdzie oni...
- Hm, przepraszam, sir... – przerwał mu Rebound.
- Co jest?
- Mam chyba pomysł, gdzie mogą być.
- Gdzie?

– Na końcu komunikatu, który właśnie słyszeliśmy, powiedzieli: c'est moi le requin. Niestety nie usłyszałem samego początku komunikatu. Czy powiedzieli to samo na początku? Cest moi le requin?

Schofield nie znał francuskiego, nie umiał więc odpowiedzieć na to pytanie. Dla niego jedno słowo nie różniło się od drugiego, spróbował jednak przypomnieć sobie brzmienie przekazu.

– Możliwe – odparł w końcu. – Nie, zaczekaj! Tak. Wydaje mi się, że właśnie tak powiedzieli. Dlaczego pytasz?

– Sir, le requin to po francusku rekin. Cest moi le requin oznacza: Tu rekin. To może być kryptonim wojskowy. Francuski oddział w stacji nazwano Hieną, a ten, który właśnie słyszeliśmy, to Rekin. Wie pan, o czym myślę, sir...

– A niech to cholera... – mruknął porucznik.

– Właśnie. Moim zdaniem są na morzu, gdzieś niedaleko. Założę się o milion dolarów, że Rekin to okręt wojenny albo coś innego, płynącego wzdłuż wybrzeża Antarktydy.

– Niech to JASNA cholera! – zaklął Schofield.

Było logiczne, że przejęty komunikat wysłano z jednostki pływającej. Nie tylko z powodu kryptonimu. Z powodu bardzo dużej długości fal, na jakich pracują nadajniki VLF, są one powszechnie stosowane do porozumiewania się między okrętami nawodnymi i podwodnymi, rozrzuconymi po oceanie. Właśnie dlatego francuski oddział przywiózł ze sobą ten sprzęt – aby być w kontakcie ze znajdującym się w pobliżu okrętem wojennym.

Porucznik poczuł, że robi mu się niedobrze.

Wizja fregaty albo niszczyciela, patrolującego ocean niedaleko od brzegu, była dość nieprzyjemna. Zwłaszcza jeżeli wrogi okręt kierował na Stację Lodową Wilkes jakąś broń – najprawdopodobniej pociski samosterujące dalekiego zasięgu z głowicami nuklearnymi.

Do tej pory nie przyszło mu do głowy, że Francuzi, zamiast zabierać likwidatory ze sobą, mogli umieścić je na zewnątrz – na przykład na stojącym u wybrzeża niszczycielu – z instrukcją odpalenia w przypadku braku raportu w ustalonym czasie.

Cholera! Cholera! Cholera! Jasna cholera!

Tylko dwie rzeczy na świecie mogły powstrzymać wystrzelenie likwidatorów. Pierwszą był raport, który któryś z dwunastu martwych francuskich komandosów miał złożyć w ciągu trzech godzin. Było oczywiste, że taki cud nie nastąpi, co oznaczało, że pozostaje jedynie druga możliwość.

Schofield natychmiast musiał skontaktować się z amerykańskimi siłami w stacji McMurdo, ale już nie tylko po to, żeby się dowiedzieć, kiedy przybędzie wsparcie. Musiał poinformować marines z McMurdo o francuskim okręcie wojennym, płynącym niedaleko wybrzeża Antarktydy i kierującym na Stację Lodową Wilkes baterię rakiet z głowicami atomowymi. Ludzie z McMurdo będą musieli zlikwidować okręt – i to w ciągu najbliższych trzech godzin.

Ponownie wcisnął klawisz mikrofonu.

– Book, słyszałeś wszystko?

– Aha – odpowiedział głos Bucka Rileya.

– Udało wam się przebić do McMurdo?

– Jeszcze nie.

– Próbuje dalej. Bez przerwy. Dopóki nie będziecie ich mieli na linii. Panowie, stawka właśnie została podniesiona. Jeżeli w ciągu trzech godzin nie porozumiemy się z McMurdo, wyparujemy.

– Strach na Wróble, tu Lis – rozległ się głos Gant. – Powtarzam: Strach na Wróble, tu Lis. Hej, Strach na Wróble! Jesteś tam gdzieś?

Schofield stał na brzegu basenu na poziomie E, patrzył na zanurzającą się linę dzwonu nurkowego i myślał o pociskach samosterujących dalekiego zasięgu. Minęło dziesięć minut od chwili, kiedy przejął komunikat z francuskiego okrętu „Rekin”. Book, Rebound i Wąż w dalszym ciągu byli na zewnątrz i próbowali połączyć się z McMurdo.

Wcisnął przycisk mikrofonu.

– Lis, co u was?

– Dochodzimy do tysiąca metrów. Przygotowujemy się do zatrzymania liny.

– Doskonale. Zatrzymujemy linę... teraz.

Opadająca w wodę lina zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem. Gant zahamowała dzwon z wnętrza.

– Strach na Wróble, mój czas czternasta dziesięć. Proszę o potwierdzenie.

– Lis, potwierdzam czas: czternasta dziesięć – odparł porucznik. Przy nurkowaniu głębinowym do standardowych działań należy potwierdzenie czasu rozpoczęcia nurkowania, więc wykonywał dokładnie tę samą procedurę, co dwa i pół dnia temu nurkowie z Wilkes.

– Zrozumiałam: czas czternasta dziesięć. Przechodzimy na powietrze własne. Przygotowujemy się do opuszczenia dzwonu nurkowego.

Gant przez cały czas informowała Schofielda o przebiegu nurkowania.

Czwórka nurków – Gant, Montana, Santa Cruz i Sarah Hensleigh – przeszła na oddychanie powietrzem z butli i opuściła dzwon. Kilka minut później Gant przekazała, że znaleźli wejście do podwodnego tunelu i ruszają w górę.

Porucznik, głęboko zamyślony, chodził w tę i z powrotem po obramowaniu basenu.

Myślał o nurkach z Wilkes, którzy zniknęli w podwodnej grocie, myślał o grocie i o tym, co się tam znajduje, o Francuzach i ich próbie przechwycenia tego, co może być na dole, o likwidatorach, wystrzeliwanych z pływającego w pobliżu okrętu, o tym, że Samuraja mógł zabić jeden z jego własnych ludzi, i o uśmiechu Sarah Hensleigh. Było tego nieco zbyt wiele naraz.

W jego słuchawkach zaskrzeczało.

– Sir, tu Book.

– Udało ci się?

– Ni cholery, sir.

Przez ostatni kwadrans Book, Wąż i Rebound próbowali połączyć się ze stacją McMurdo przez przenośną radiostację oddziału. Robili to tuż przed wejściem do stacji, jakby wyjście na zewnątrz mogło w jakikolwiek sposób pomóc sygnałowi przebić się do adresata.

– Interferencja?

– Całe góry – ponuro odparł Book. Schofield przez chwilę się zastanawiał.

– Daj sobie spokój i wracaj do środka – powiedział w końcu. – Chcę, żebyś znalazł naukowców, którzy są na stacji. Powinni być w pomieszczeniu socjalnym na poziomie B. Dowiedz się, czy któryś zna się na tutejszych urządzeniach radiowych.

– Zrozumiałem, sir.

Book wyłączył się i interkom porucznika zamilkł. Schofield wbił wzrok w taflę wody i znów zaczął rozmyślać.

Myślał o śmierci Samuraja i jej sprawcy. W tej chwili ufał tylko dwóm ludziom: Montanie i Sarah Hensleigh, bo w chwili, gdy mordowano rannego marine, byli razem z nim. Tylko co do nich mógł mieć pewność, że nie odpowiadają za śmierć Samuraja. Wszyscy inni byli podejrzani.

Z tego właśnie powodu postanowił trzymać Booka, Węża i Rebounda razem. Jeżeli któryś z nich był zabójcą, nie zabije ponownie, mając obok siebie dwóch ludzi...

Nagle przyszła mu do głowy nowa myśl i wcisnął klawisz mikrofonu.

– Book, jesteś jeszcze na zewnątrz?

– Tak, sir.

– Kiedy zejdiesz na poziom B, zapytaj naukowców o jeszcze jedno: dowiedz się, czy któryś zna się na meteorologii.

Pomieszczenie radiowe Stacji Lodowej Wilkes znajdowało się w południowo-wschodnim rogu poziomu A, natomiast dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie szybu głównego, mieściła się jadalnia. Był tu nadajnik satelitarny oraz radiostacje do komunikacji na krótkie odległości. Przy ścianach stały cztery konsole, ustawione po dwie – każda miała mikrofon, monitor komputerowy, klawiaturę i kilka wskaźników częstotliwości.

Kiedy porucznik wszedł do środka, przy jednej z konsol siedziała Abby Sinclair.

Natychmiast zauważył, że Abby niezbyt dobrze zniosła ostatnie wydarzenia. Była ładną kobietą przed czterdziestką, miała długie, kręcone brązowe włosy i duże brązowe oczy, teraz jednak po jej policzkach spływały długie smugi rozmytego łzami czarnego tuszu do rzęs. Przypomniały Schofieldowi blizny, które miał na oczach – znów schowane za odblaskowymi okularami.

Obok Abby stała trójka marines – Riley, Rebound i Wąż. Abby Sinclair była jedynym naukowcem w pomieszczeniu.

Porucznik zwrócił się do Booka.

– Nikt nic nie wie o meteorologii?

– Wręcz przeciwnie – odparł Book. – Masz szczęście. Chciałbym przedstawić ci pannę Abby Sinclair. Jest na tej stacji zarówno ekspertem od radia, jak i rezydentem-meteorologiem.

– To niezupełnie prawda... nie jestem specjalistką od radia... – zaprotestowała Abby. – Był nim Carl Price, ale... zniknął w jaskini na dole. Pomagałam mu jednak obsługiwać sprzęt, więc chyba jestem teraz za niego odpowiedzialna.

Schofield uśmiechnął się, by dodać jej otuchy.

– Mnie to wystarczy, panno Sinclair. Mogę do pani mówić po imieniu?

Kiwnęła głową.

– Świetnie, Abby. Mam dwa problemy i nadzieję, że pomożesz mi obydwa rozwiązać. Chcę się jak najszybciej skontaktować z moimi przełożonymi w McMurdo. Chcę im powiedzieć, co się tu dzieje, i chcę, żeby wysłali kawalerię – jeżeli jeszcze tego nie zrobili. Próbowaliśmy przebić się do McMurdo, używając naszej przenośnej radiostacji, ale nic z tego nie wyszło. Pytanie numer jeden: czy tutejszy sprzęt radiowy działa? Abby uśmiechnęła się słabo.

– Działał, zanim zaczęło się całe to zamieszanie, jednak kiedy nastąpił rozbłysk na Słońcu, wszelka komunikacja została przerwana. Ale nie ma to w sumie większego znaczenia, bo burza złamała naszą antenę i nie mieliśmy czasu jej naprawić.

– To żaden problem – powiedział porucznik. – Naprawimy ją. Zaniepokoilo go jednak coś w jej słowach. Kiedy jechali do Wilkes, poinformowano go o „nasilonej aktywności słonecznej”, ale nie bardzo się orientował, o co chodzi. Wiedział jedynie, że czasem zjawisko to przerywa widmo elektromagnetyczne i uniemożliwia

komunikację radiową.

– Proszę mi opowiedzieć o tych rozbłyskach na Słońcu.

– Nie ma za bardzo co opowiadać – odparła Abby. – Tak naprawdę niewiele o nich wiadomo. „Rozbłysk na Słońcu” to pojęcie mające określać krótkotrwały, silny wybuch na powierzchni Słońca. Kiedy coś takiego nastąpi, dochodzi do emisji dużej ilości promieniowania ultrafioletowego. Bardzo dużej ilości. Tak jak emitowane przez Słońce ciepło, również i to promieniowanie dociera do Ziemi. Gdy do nas dotrze, zanieczyszcza jonosferę, zamieniając ją w grubą warstwę izolacyjną. Satelity stają się bezużyteczne, ponieważ sygnały radiowe z Ziemi nie mogą się przebić. Tak samo nie mogą się przebić sygnały nadawane przez satelity na Ziemię. Komunikacja radiowa zostaje zablokowana... – Abby przerwała i rozejrzała się. Jej spojrzenie zatrzymało się na sąsiednim monitorze. – Ale mamy tu trochę sprzętu do obserwacji meteorologicznych. Jeżeli da mi pan minutę, pokażę, o co chodzi.

– Nie ma sprawy – odparł Schofield.

Abby włączyła komputer przy stoliku obok. Obudził się z cichym buczeniem, a kiedy się załadował, meteorolożka przerzuciła kilka ekranów, aż znalazła ten, który chciała. Była to satelitarna mapa południowo-wschodniej Antarktydy, pokryta kolorowymi plamami. Barometryczna mapa pogodowa – bardzo podobna do tej, jaką pokazuje się w telewizyjnych komunikatach meteorologicznych.

– To zdjęcie wschodnio-antarktycznego układu pogodowego... – Abby spojrzała na datę w rogu ekranu – ...zrobione dwa dni temu. – Popatrzyła na porucznika. – Prawdopodobnie jedno z ostatnich, jakie udało nam się zrobić przed rozbłyskiem na Słońcu i odcięciem nas od satelity. – Kliknęła myszą i pojawił się następny ekran. – Nie, chwileczkę... jest jeszcze coś. Proszę bardzo.

Pół ekranu wypełniała zamazana plama.

Ogromna biało-żółta plama zakłócenia atmosferycznego pokrywała całą lewą część mapy, zasłaniając niemal połowę linii brzegowej Antarktydy. Schofield pomyślał, że ten rozbłysk musiał być naprawdę duży.

– Oto nasz rozbłysk na Słońcu, poruczniku – powiedziała Abby i odwróciła się do niego. – Po zrobieniu tego zdjęcia musiał przesunąć się na wschód i zakryć także nas.

Schofield wpatrywał się w nałożoną na linię brzegową Antarktydy biało-żółtą plamę. Gdzieś tam były na niej czerwone i pomarańczowe plamy, było też kilka czarnych.

– Ponieważ rozbłyski występują zazwyczaj tylko w jednej części Słońca, mają wpływ jedynie na określone tereny. Jedna stacja może być całkowicie odcięta od świata, podczas gdy na innej, trzysta kilometrów dalej, wszystkie urządzenia działają bez zarzutu.

– Jak długo trwa taki rozbłysk? Meteorolożka wzruszyła ramionami.

– Dzień. Czasem dwa. Tyle, ile cała porcja promieniowania potrzebuje na przebycie drogi od Słońca do Ziemi. A to zależy od wielkości rozbłysku.

– Ile będzie trwał ten?

Abby odwróciła się do komputera. Popatrzyła na białą-żółtą plamę rozbłysku na ekranie i wydeła wargi.

– Nie wiem. Jest duży... Być może pięć dni.

Kiedy to, co powiedziała, dotarło do obecnych, zapadła głucha cisza.

– Pięć dni... – jęknął Rebound.

Schofield przez chwilę milczał, zastanawiając się nad czymś intensywnie.

– Powiedziałaś, że rozbłysk powoduje zakłócenia w jonosferze, tak? – zapytał w końcu.

– Tak.

– A jonosfera to...

– Warstwa atmosfery od mniej więcej pięćdziesięciu do ośmiuset kilometrów nad powierzchnią Ziemi – odparła Abby. – Nazywa się tak, bo powietrze w tej warstwie jest wypełnione zjonizowanymi molekułami.

– Rozumiem... To znaczy, że kiedy dochodzi do wybuchu na powierzchni Słońca, emitowana przez niego energia kieruje się ku Ziemi i powoduje zakłócenia w jonosferze, zamieniając ją w tarczę, której nie mogą przebić fale radiowe. Zgadza się?

– Tak.

Schofield znów popatrzył na ekran, koncentrując uwagę na czarnych plamkach. W środku białą-żółtej powierzchni była większa czarna „dziura”.

– Czy ta warstwa jest jednorodna? – spytał.

– Jednorodna...? – Abby nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

– Czy tarcza jest wszędzie tak samo mocna? Może ma jakieś słabe punkty, pęknięcia, przez które mógłby się przebić sygnał radiowy?

– Teoretycznie można by takie miejsca znaleźć, ale byłoby to bardzo trudne. Dziura w rozbłysku musiałaby znaleźć się dokładnie nad stacją.

– Hm... a czy jest jakiś sposób, by się dowiedzieć, czy któreś z pęknięć znajdzie się nad nami? Takie jak na przykład to? – zapytał porucznik, wskazując czarną plamę w środku białą-żółtej płaszczyzny.

Abby przez chwilę wpatrywała się w ekran.

– Może tak się stanie... – powiedziała w końcu. – Jeżeli będę mogła odtworzyć poprzednie ujęcia rozbłysku, spróbuję określić prędkość, z jaką się porusza, i jaką drogą. Jeśli mi się to uda, będę mogła naszkicować dalszą trasę.

– Zrób, co się da, i jeżeli czegoś się dowiesz, natychmiast mnie zawiadom. Chcę wiedzieć, kiedy któreś z tych pęknięć będzie przechodzić nad stacją, żebyśmy mogli

spróbować wysłać sygnał do McMurdo.

– Musicie najpierw naprawić antenę na zewnątrz...

– Już się do tego zabieramy. Ty znajdź mi tylko pęknięcie w tarczy zakłóceń.

Antenę będziesz miała na czas.

W Waszyngtonie Alison Cameron siedziała przed komputerem w redakcji „Post”. W rogu pokoju stała przeglądarka mikrofilmów. Dwie ściany wypełniały szafy na akta. Resztę przestrzeni zajmowało sześć komputerów.

W końcu Alison znalazła ekran, którego szukała. Biblioteczną Bazę Danych.

Krążyła legenda, że FBI ma założony podgląd do każdego amerykańskiego komputera w wypożyczalniach bibliotecznych i używa tego systemu do śledzenia seryjnych zabójców. Jeżeli zabójca cytuje na miejscu zbrodni Lowella, FBI sprawdza, kto pożyczał książki Lowella. Tak jak każda współczesna legenda, także i ta jest prawdziwa jedynie w połowie. Faktem jest, że istnieje system (opierający się na stale aktualizowanych płytach CD-ROM), łączący wszystkie komputery biblioteczne w USA i informujący użytkownika, gdzie można znaleźć określoną książkę. Ale system ten nie notuje nazwisk wypożyczających książki osób – służy jedynie do lokalizowania książek. Żądanej książki można szukać na kilka sposobów – według nazwiska autora, według tytułu publikacji albo według jakiegoś hasła kluczowego, znajdującego się w tekście książki (oczywiście warunkiem jest, by hasło kluczowe nie było popularnym słowem). Świadczący tego rodzaju usługi system nazywa się Wszechbiblioteczną Bazą Danych.

Alison przez parę sekund wpatrywała się w ekran przed sobą, a potem wcisnęła klawisz WYSZUKIWANIE ZA POMOCĄ HASŁA i wpisała:

ANTARKTYDA.

Komputer poszumiał przez dziesięć sekund i przedstawił na ekranie wyniki dokonanego wyszukiwania.

ZNALEZIONO 1 856 157 WPISÓW. CHCESZ ZOBACZYĆ LISTĘ?

Wspaniale. Milion osiemset pięćdziesiąt tysięcy książek zawierało słowo „Antarktyda”. To nic nie da.

Zastanawiała się przez chwilę. Potrzebowała hasła zawężającego, znacznie bardziej szczegółowego. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Był to strzał w ciemno, uznała jednak, że warto spróbować. Wpisała:

SZEROKOŚĆ – 66,5° DŁUGOŚĆ – 115° 20' 12”

Komputer znów zaszumiał. Tym razem poszukiwania potwały znacznie krócej. Po kilkunastu sekundach wyniki zostały wyświetlone.

ZNALEZIONO 6 WPISÓW. CHCESZ ZOBACZYĆ LISTĘ?

– Możesz się założyć o własne dupsko, że chcę – mruknęła Alison. Wcisnęła klawisz YES i pojawił się nowy ekran. Zawierał listę książek i podawał miejsca, w których się znajdowały.

WSZECHBIBLIOTECZNA BAZA DANYCH WYSZUKIWANIE ZA POMOCĄ
HASŁA UŻYTE HASŁO: SZEROKOŚĆ – 66,5°

DŁUGOŚĆ -115° 20' 12"

LICZBA ZNALEZIONYCH WPISÓW: 6

TYTUŁ AUTOR LOKALIZACJA ROK PRACA DOKTORSKA LLEWELYN,
D.K. STANFORD, CT 1998

PRACA DOKTORSKA AUSTIN, B.E.

STANFORD, CT 1997

PRACA HABILITACYJNA HENSLEIGH, S.T. USC, CA 1997

BADANIE W RAMACH STYPENDIUM GRANTA HENSLEIGH, S.T.
HARVARD, MA 1996

KRUCJATA LODOWA – REFLEKSJE Z ROKU SPĘDZONEGO NA
ANTARKTYDZIE HENSLEIGH, B.M. HARVARD, MA 1995

DOST.: WWB RAPORT GEODEZYJNY WAITZKIN, C.M. BIBL. KONG. 1978

W każdej z wymienionych publikacji w jakimś kontekście wymieniano punkt geograficzny o współrzędnych 66,5 stopnia szerokości południowej i 115 stopni, 20 minut i 12 sekund długości wschodniej.

Głównie były to publikacje uniwersyteckie, żadne nazwisko nic nie mówiło Alison: ani Llewellyn, ani Austin, ani Hensleighowie – S.T. i B.M.

Wyglądało na to, że drugi z Hensleighów – B.M. – napisał książkę o Antarktydzie. Alison spojrzała na odnośnik, informujący o miejscu wydania książki i o tym, gdzie ją można znaleźć. Została wydrukowana w Harvardzie, ale była dostępna w „WWB” – wszystkich większych bibliotekach.

W odróżnieniu od pozostałych wpisów – dotyczących manuskryptów prac naukowych – książka Hensleigha była powszechnie dostępna. Alison postanowiła ją obejrzeć.

Jeszcze jeden wpis zwrócił na siebie jej uwagę.

Ostatni.

RAPORT GEODEZYJNY WAITZKIN, C.M. BIBL. KONG. 1978

Zmarszczyła czoło i spojrzała na przymocowaną z boku monitora listę. Wymienione były na niej wszystkie używane w bazie danych skróty. Znalazła „Bibl.Kong.”.

– Aha! – powiedziała głośno.

„Bibl.Kong.” oznaczało Bibliotekę Kongresu Stanów Zjednoczonych. Mieściła się ona naprzeciwko Kapitolu – bardzo blisko redakcji Alison.

Jeszcze raz przyjrzała się końcowemu wpisowi. Nie bardzo rozumiała, co to za „raport geodezyjny”. Zastanawiała ją też data.

1978 rok.

Cóż – cokolwiek by to było, miało dwadzieścia lat, należało więc to sprawdzić.

Alison uśmiechnęła się do siebie i wcisnęła klawisz DRUKUJ EKRAŃ.

– W porządku! Podnoście ją! – zawołał Book.

Rebound i Wąż pociągnęli za liny i połamana antena radiowa Stacji Lodowej Wilkes – dziesięciometrowy czarny pał z migającym na szczycie zielonym światełkiem – zaczęła się powoli podnosić. Zielone rozbłyski radiolatarni rozjaśniały twarze marines.

– Jak sądzisz, ile czasu to zajmie? – wrzasnął do Booka Schofield, przekrzykując burzę.

– Podniesienie niewiele, to najłatwiejsza część roboty. Gorzej będzie z podłączeniem przewodów. Mamy już zasilanie, ale trzeba jeszcze zlutować przynajmniej piętnaście drutów.

– Jak długo to będzie trwało?

– Około pół godziny.

– No to do roboty.

Schofield zszedł powoli prowadzącą do głównego wejścia rampą i wszedł do stacji. Musiał sprawdzić, co z dwoma paniami: Abby Sinclair i Matką.

Abby wyszła mu naprzeciwko na pomost wokół szybu głównego poziomu A. Kiedy porucznik i pozostali działali na zewnątrz, siedziała w pomieszczeniu radiowym i oglądała mapy pogodowe, próbując znaleźć dziurę w tarczy elektromagnetycznej spowodowanej rozbłyskiem na Słońcu.

– Poszczyście ci się? – spytał Schofield.

– To zależy od pańskiej definicji szczęścia – odparła Abby. – Jak bardzo się panu spieszy?

– Bardzo.

– W takim razie obawiam się, że nie mam zbyt dobrych wieści. Według moich obliczeń dziura w zakłóceniach elektromagnetycznych znajdzie się nad naszą stacją za sześćdziesiąt pięć minut.

– Sześćdziesiąt pięć minut... A jak długo będzie nad nami? Abby wzruszyła ramionami.

– Dziesięć minut. Może piętnaście. Wystarczająco długo, by wysłać sygnał.

Porucznik przygryzł wargę. Miał nadzieję, że dziura pojawi się znacznie szybciej. Rozpaczliwie potrzebował kontaktu z McMurdo, by przekazać wiadomość o krążącym gdzieś u wybrzeży francuskim okręcie z wycelowaną w Stację Lodową

Wilkes baterią rakiet z głowicami jądrowymi.

– Czy nad stacją będą przechodzić jeszcze inne dziury? – spytał. Abby uśmiechnęła się.

– Wiedziałam, że pan o to zapyta, więc sprawdziłam. Po tej dziurze, o której mówiłam, będą jeszcze dwie, ale trzeba będzie na nie długo czekać. Mamy teraz drugą czterdzieści sześć i pierwsze okienko pojawi się za sześćdziesiąt pięć minut, o trzeciej pięćdziesiąt jeden. Następne dwa pojawią się znacznie później: o dziewiętnastej trzydzieści i o dwudziestej drugiej.

Schofield westchnął. Nie wyglądało to najlepiej.

– Dobra robota, Abby – powiedział jednak. – Bardzo dobra. Dziękuję. Jeżeli masz ochotę coś jeszcze zrobić... może kiedy moi ludzie będą zajmować się naprawianiem masztu, miałabyś ochotę posiedzieć przy radiostacji? Tak na wszelki wypadek, gdyby coś do nas dotarło.

Abby skinęła głową.

– Oczywiście.

– To wspaniale. – Porucznik widział, że Abby chce coś zrobić, musi coś zrobić.

Wydarzenia minionych godzin mocno ją wytrąciły z równowagi, jednak wyglądało na to, że kiedy ma zajęcie, wraca do normy.

Uśmiechnął się do niej i ruszył w kierunku najbliższej drabinki.

Kiedy wszedł do magazynka na poziomie E, Matka siedziała na podłodze, oparta plecami o lodową ścianę. Miała zamknięte oczy i wyglądało, jakby spała.

– Cześć – powiedziała, nie otwierając oczu.

Porucznik uśmiechnął się, podszedł do niej i uklęknął.

– Jak się czujesz?

Matka w dalszym ciągu nie otwierała oczu.

– Metadon jest wspaniały.

Schofield popatrzył na to, co zostało z lewej nogi Matki. Book zabandażował poszarpany kikut, ale opatrunek dawno przesiąkł krwią.

– Chyba już sobie nie pogram w futbol – mruknęła Matka. Porucznik popatrzył na nią. Newman otworzyła oczy.

– Ta jebana ryba zeżarła mi nogę – powiedziała z urazą.

– Zauważyłem. Ale mogło być gorzej.

– Myślisz, że nie wiem? – prychnęła Matka. Schofield roześmiał się.

Newman przyglądała mu się przez chwilę.

– Strachu na Wróble, czy mówiłam ci już kiedyś, że jesteś cholernie przystojnym facetem?

– Chyba dostałaś zbyt dużo metadonu.

– Wiem, kiedy widzę przed sobą fajnego faceta – burknęła Matka, a potem oparła

się o ścianę i zamknęła oczy.

– Niewielu rzeczy jestem pewien, ale jedno wiem na pewno: nie jestem niczym pięknym do oglądania – powiedział porucznik.

Myślał o przecinających jego oczy pionowych bliznach i o tym, jak paskudnie wyglądają. Ludzie na ich widok odruchowo odwracali wzrok. Nawet w domu nosił okulary przeciwsłoneczne.

Myśląc o swoich oczach, na chwilę opuścił głowę, a kiedy znów spojrział na Matkę, zobaczył, że sierżant Newman uważnie się w niego wpatruje. Miała twarde i ostre spojrzenie – niezmacone narkotykiem.

– Każda kobieta, która nie chciałaby cię z powodu twoich oczu, nie zasługuje na ciebie, Strachu na Wróble – oświadczyła.

Schofield nie odpowiedział.

– Doskonale – burknęła Matka. – Jeśli mamy już za sobą wszystkie uprzejmości, to może powiesz, co cię tu sprowadza? Mam nadzieję, że nie tylko troska o moje zdrowie.

– Nie tylko.

– Więc?

– Samuraj nie żyje.

– Co? – zdumiała się Matka, – Mówiono mi, że jest stabilny.

– Został zamordowany.

– Przez Francuzów?

– Później. Znacznie później. Kiedy go zabito, Francuzi już nie żyli.

– Któryś z ich naukowców?

– Mają alibi.

– To może któryś z naszych naukowców?

– Jeżeli tak, nie mam pojęcia dlaczego. Zapadła krótka cisza.

– A co z tym, który był zamknięty w swoim pokoju, kiedy tu przybyliśmy? – zapytała po chwili Matka. – Jak on się nazywa... Renshaw.

Porucznik podniósł głowę. Zupełnie zapomniał o Jamesie Renshawie – człowieku, który według Sarah Hensleigh kilka dni przed przybyciem marines na stację zabił swojego kolegę i został zamknięty w pokoju na poziomie B. Po śmierci Samuraja Schofield nawet nie sprawdził, czy Renshaw jest w swoim pokoju. Jeżeli udało mu się uciec, może to on...

– Cholera jasna, całkiem o nim zapomniałem! – Porucznik szybko wcisnął klawisz mikrofonu. – Book, Rebound, Wąż, jesteście tam?

– Słyszę cię, Strach na Wróble – odpowiedział głos Węża.

– Wąż, potrzebuję kogoś, kto natychmiast zejdzie na poziom B i sprawdzi, czy gość, którego zamknięto w swoim pokoju, jeszcze tam jest.

– Idę – odpowiedział natychmiast Wąż.
Schofield wyłączył interkom. Matka uśmiechnęła się i szeroko rozłożyła ramiona.
– Co ty byś zrobił beze mnie?
– Pogubiłbym się.
– Sam to powiedziałeś, sam to powiedziałeś... – Newman popatrzyła na porucznika, wpatrującego się w podłogę. – Co jest? – spytała łagodnie.
Schofield pokręcił głową.
– Powinienem być się domyślić, że to żołnierze. Powinienem to przewidzieć.
– O czym ty gadasz?
– Powinienem ich zamknąć od razu, kiedy się zjawili...
– Nie mogłeś tego zrobić.
– Straciliśmy trzech ludzi.
– Skarbie, wygraliśmy.
– Mieliśmy szczęście – odparł porucznik. – Bardzo duże szczęście. Zanim powpadali do basenu, zapędzili pięciu moich ludzi na pomost w szybie i lada chwila by ich wyrznęli. Zobacz, co się stało w pomieszczeniu wiertniczym! Mieli wszystko dokładnie zaplanowane! Gdyby Rebound przypadkiem nie odkrył, co knują, wzięliby nas za tyłki. Cały czas byliśmy krok za nimi.
– Poruczniku, posłuchaj mnie... Chcesz się czegoś dowiedzieć?
– Czego?
– Wiedziałaś, że pół roku temu zaproponowano mi miejsce w Atlantyckim Oddziale Rozpoznania?
Schofield podniósł głowę. Nie wiedział o tym.
– Jeśli mi nie wierzysz, mam w domu list w tej sprawie. Jest podpisany osobiście przez komendanta. Wiesz, co zrobiłam po otrzymaniu tego listu?
– Co?
– Odpisałam komendantowi Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, że bardzo dziękuję za propozycję, ale chciałabym pozostać w swojej jednostce, pod dowództwem porucznika Shane’a Schofielda. Napisałam, że nie ma lepszego oddziału, dowodzonego przez lepszego dowódcę.
Porucznik przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. To, co zrobiła Matka, było niesamowite. Odrzucenie propozycji wstąpienia do Atlantyckiego Oddziału Rozpoznania to jedno, ale odrzucenie zaproszenia komendanta Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych to coś zupełnie innego.
Matka popatrzyła Schofieldowi w oczy.
– Jesteś wspaniałym oficerem, Strachu na Wróble. Jesteś bystry, odważny i w dodatku jesteś po prostu – co jest na tym świecie wielką rzadkością – dobrym człowiekiem. Dlatego z tobą zostałam. Dbasz o swoich ludzi i stawia cię to ponad

wszystkich dowódców, z jakimi się zetknęłam. Jestem gotowa ryzykować życie w planowanych przez ciebie akcjach, bo wiem, że niezależnie od tego, jaki będzie ich przebieg, będziesz się o mnie troszczył i nigdy niepotrzebnie nie narazisz mnie na niebezpieczeństwo. Wielu dowódców szuka jedynie chwały i awansu. Nie interesuje ich, czy taka głupia, stara dziwka jak ja da się zabić czy nie. Ciebie to jednak interesuje. Cholera jasna, popatrz na siebie. Gryziesz się, bo mało brakowało, a dalibyśmy dupy. Jesteś inteligentny, Strachu na Wróble, i jesteś wspaniałym dowódcą. Nigdy w to nie wątp. Nigdy. Musisz w siebie wierzyć.

Porucznik skinął głową.

– Spróbuję.

– To świetnie – odparła Matka. – Chciałeś coś jeszcze usłyszeć? Schofield zaśmiał się.

– Nie. Na razie starczy. Chyba już pójdę, zobaczę, co z tym Renshawem. – Wstał i ruszył ku drzwiom. Kiedy był już przy nich, nagle zatrzymał się i odwrócił. – Matka, słyszałaś coś kiedyś o umieszczanych w oddziałach wtykach?

– Co masz na myśli?

– Kiedy się dowiedziałem, że Samuraj został zamordowany, przypomniało mi się coś, co kilka lat temu przydarzyło się mojemu przyjacielowi. Mówił wtedy o podstawionych ludziach, których umieszczono w jego jednostce.

Matka wbiła w niego spojrzenie i oblizła wargi, jednak przez długi czas się nie odzywała.

– Niechętnie o tym mówię... – powiedziała w końcu cicho – ale tak, słyszałam o tym.

– Co słyszałaś? – zapytał porucznik, wchodząc kilka kroków w głąb magazynu.

– Jedynie plotki. Plotki, które za każdym powtórzeniem obrastają w coraz więcej szczegółów. Jako oficer z pewnością nie słuchasz tego typu bzdur, ale uwierz mi – poborowi plotkują jak stare baby.

– I co mówią?

– Najchętniej opowiadają sobie o infiltrujących wojsko agentach. To ich ulubiona legenda. Opowiastka do powtarzania przy ognisku, wymyślona przez stare wygi, by nastraszyć żółtodziobów i sprawić, by sobie nawzajem ufali. No wiesz: jeżeli nie będziemy mogli ufać sobie, to komu mamy ufać? Różne rzeczy opowiada się o tym, skąd biorą się ci agenci. Niektórzy uważają, że to ludzie CIA, działający w głębokim ukryciu agencji, infiltrujący elitarne oddziały – aby mieć na nas oko i pilnować, czy robimy to, co należy. Inni mówią, że to robota Pentagonu. Są też tacy, którzy uważają, że to sprawka CIA i Pentagonu. Słyszałam kiedyś, jak pewien gość – cwaniaczek jak cholera, niejaki Hugo Boddington – twierdził, że Narodowe Biuro Rozpoznania i Połączony Komitet Szefów Sztabów mają wspólny podkomitet, Intelligence

Convergence Group, którego zadaniem jest infiltrowanie amerykańskich oddziałów specjalnych. Według niego ICG to supertajny komitet, odpowiedzialny za zbieranie informacji wywiadowczych i mający zagwarantować, by o pewnych sprawach wiedzieli jedynie określone osoby na określonych stanowiskach. Dlatego infiltrują takie oddziały jak nasz. Jeżeli w trakcie akcji natkniemy się na coś, na co nie powinniśmy się natknąć – nie wiem, może chodzi o obiekty z kosmosu – goście z ICG mają nas zlikwidować, żebyśmy nie mogli nikomu powiedzieć o naszym odkryciu.

Schofield pokręcił głową. Brzmiało to jak bajka o duchach. Podwójni agenci w oddziałach wojskowych...

A jednak głęboko w jego głowie tkwiła drzazga. Było to wspomnienie głosu Andrew Trenta, wrzeszczącego z wnętrza świątyni Inków w Peru: „Wsadzili mi do oddziału własnych jebanych ludzi!”. Andrew Trent nie był postacią z opowieści o duchach.

– Dzięki, Matka – powiedział porucznik i znów ruszył do wyjścia. – Chyba lepiej już sobie pójdę.

– Jasne... musisz dowodzić oddziałem, pilnować ludzi, planować akcje... No i za wszystko ponosisz odpowiedzialność. Za żadne pieniądze tego świata nie zostałabym oficerem.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego dziesięć lat temu.

– Wtedy nie mielibyśmy tyle zabawy. Uważaj na siebie i rób, co powiedziałam, Strachu na Wróble. Aha, i jeszcze jedno: masz fajne okulary.

Schofield przez chwilę stał w drzwiach. Uświadomił sobie, że ma na nosie odbłaskowe okulary Matki. Uśmiechnął się.

– Dzięki, Matka.

– Nie masz za co dziękować – odparła. – Strach na Wróble bez okularów to jak Zorro bez maski albo Superman bez peleryny.

– Wołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Matka uśmiechnęła się szelmowsko.

– Oj, wiedziałabym, co mi najbardziej potrzebne... mały. Porucznik przekrzywił głowę.

– Nigdy nie rezygnujesz, co? Matka znowu się uśmiechnęła.

– Wiesz co, skarbie? – powiedziała. – Mam wrażenie, że gdyby ktoś miał na ciebie oko, wcale byś tego nie zauważył.

Schofield uniósł brew.

– A ktoś ma na mnie oko?

– Oczywiście, Strachu na Wróble. Oczywiście... Porucznik pokręcił głową.

– Do zobaczenia, Matka.

– Do zobaczenia, Strachu na Wróble.

Kiedy Schofield wyszedł, Matka znów opadła na ścianę, zamknęła oczy i mruknęła

pod nosem:

– Czy ktoś ma na ciebie oko? Och, Strachu na Wróble, gdybyś widział, jak ona na ciebie patrzy...

Schofield wyszedł na otaczający basen pomost.

Stacja była jak wymarła. W szybie głównym panowała całkowita cisza. Porucznik wpatrywał się w wodę basenu, w zanurzającą się w niej linę.

– Strach na Wróble, tu Lis – rozległ się w jego słuchawkach głos Gant. – Jesteś jeszcze na górze?

– Jeszcze jestem. A gdzie wy jesteście?

– Czas nurkowania pięćdziesiąt pięć minut. Przesuwamy się w górę lodowego tunelu.

– Jakież kłopoty?

– Jak na razie nie... hej, sekundę, a to co?

– Co jest, Lis? – spytał zaniepokojony porucznik.

– Nic się nie stało – odparł głos Gant. – Wszystko w porządku, Strach na Wróble. Jeżeli obok ciebie kręci się ta mała dziewczynka, powiedz jej, że jej przyjaciółka jest z nami.

– Co masz na myśli?

– Ta foka, Wendy. Właśnie dołączyła do nas. Musiała popłynąć za nami na dół.

Schofield spróbował wyobrazić sobie Gant i pozostałych, płynących w górę lodowego tunelu z aparatami do oddychania na plecach i obok nich małą foczkę – niepotrzebującą żadnego sprzętu.

– Ile wam jeszcze zostało?

– Trudno powiedzieć. Poruszaliśmy się bardzo powoli. Mamy może jeszcze pięć minut albo coś w tym rodzaju.

– Informujcie mnie na bieżąco. I jeszcze jedno, Lis: bądźcie ostrożni.

– Możesz, być pewien, Strach na Wróble. Lis koniec.

Połączenie zostało przerwane. Porucznik ponownie zapatrzył się w wodę basenu. W dalszym ciągu unosiły się w niej plamy czerwieni, ale tafla wody była spokojna. Zrobił krok w jej kierunku.

Coś zachrząściło pod jego stopą.

Spojrzał na swoje buty i pochylił się.

Na metalowym pomoście, tuż pod stopą, zobaczył drobne kawałki szkła. Białego, zmrożonego szkła.

Zmarszczył ze zdziwieniem czoło.

W tym momencie w jego słuchawkach rozległ się głos:

– Strach na Wróble, tu Wąż. Jestem na poziomie B. Właśnie sprawdziłem pokój Renshawa. Kiedy walnąłem w drzwi, nikt nie odpowiedział, więc je wyważyłem. Sir,

w środku nie ma nikogo. Renshaw zniknął. Powtarzam: Renshaw zniknął.

Schofield poczuł, jak po jego kręgosłupie wędruje zimny dreszcz.

Renshawa nie było w pokoju.

Był gdzieś na terenie stacji.

Porucznik właśnie zamierzał ruszyć, by poszukać pozostałych, kiedy usłyszał cichy dźwięk – jakby nakłuto coś – a potem ledwie słyszalny świst. Po chwili doszło do tego ciche plaśnięcie i poczuł ukłucie oraz pieczenie w karku. Z przerażeniem uświadomił sobie, że to plaśnięcie było odgłosem uderzenia w jego kark czegoś poruszającego się z bardzo dużą prędkością.

Nagle ugięły się pod nim kolana i poczuł ogromną słabość.

Sięgnął do karku, a potem przeniósł dłoń do przodu, na wysokość oczu.

Dłoń była mokra od krwi.

Powoli zaczęła ogarniać go ciemność i opadł na kolana. Świat wokół poczerniał, a kiedy policzek porucznika załomotał o zimny jak lód stalowy pomost, jego umysł przeszła przerażająca myśl.

Właśnie strzelono do niego – i trafiono go w szyję.

Nagle myśl zniknęła i świat spowila zasłona nieprzeniknionej czerni.

Serce Shane'a Schofielda...

...zatrzymało się.

CZWARTE WTARGNIĘCIE

16 CZERWCA, GODZINA 15.10

Libby Gant płynęła w górę stromego lodowego tunelu.

Jak tu cicho i spokojnie, myślała. Wszystko wokół było skąpane w jasnym błękicie.

Nie słyszała nic poza cichutkim, rytmicznym posykiwaniem własnego aparatu oddechowego. Nie było żadnych innych odgłosów – pogwizdywań, śpiewów waleni, niczego.

Uważnie rozglądała się wokół przez wizjer zakrywającej całą twarz maski. W blasku halogenowego reflektora lodowe ściany tunelu jarzyły się upiornym błękitem, pod którym migotało białe tło. Pozostali nurkowie – Montana, Santa Cruz i Sarah Hensleigh – płynęli obok w całkowitej ciszy.

Nagle tunel zaczął się gwałtownie rozszerzać i Gant ujrzała w jego ścianach szereg dużych, okrągłych otworów.

Były większe, niż się spodziewała – miały przynajmniej po trzy metry średnicy – i były idealnie okrągłe. Naliczyła osiem dziur i zaczęła się zastanawiać, jakie zwierzę mogło coś takiego zrobić.

Po chwili jednak zapomniała o dziurach. Jej uwagę przyciągnęło coś innego.

Powierzchnia wody.

Wcisnęła klawisz interkomu.

– Strach na Wróble, tu Lis – powiedziała. – Strach na Wróble, tu Lis. Strachu na Wróble, jesteś tam?

Nie było odpowiedzi.

– Strach na Wróble, powtarzam, tu Lis. Zgłoś się. W dalszym ciągu nie było odpowiedzi.

Dziwne, pomyślała Gant. Dlaczego Strach na Wróble nie odpowiada? Rozmawiała z nim jeszcze kilka minut temu. Nagle w słuchawkach Gant zaskrzeczał głos. Nie był to jednak głos Schofielda.

– Lis, tu Rebound. – Jego głos brzmiał, jakby młody żołnierz przekrzykiwał silny wiatr. Musiał być na zewnątrz stacji. – Usłyszałem twoje wezwanie. Co się dzieje?

– Podpływamy pod powierzchnię – odparła Gant. – Gdzie Strach na Wróble? – zapytała.

– Jest gdzieś w stacji. Myślę, że na dole z Matką... musiał chyba zdjąć hełm.

– Może warto iść go poszukać i powiedzieć mu, co się dzieje u nas na dole. Zaraz przebijemy powierzchnię wody w grocie.

– Zrozumiałem, Lis.

Gant wyłączyła radio i popłynęła dalej w górę.

Z dołu powierzchnia wody wyglądała jak szkło – ale szkło wypaczone,

wykrzywiające obraz wszystkiego, co znajduje się po drugiej stronie.

Gant podpłynęła jeszcze kawałek wyżej. Pozostali nurkowie podążyli za nią.

Przebili powierzchnię w tym samym momencie.

W ułamku sekundy świat wokół nich zmienił się całkowicie. Gant stwierdziła, że unosi się na środku wielkiej płaszczyzny wody, zalewającej ogromną grootę. Montana i Santa Cruz unosili się tuż obok, za ich plecami była Sarah Hensleigh.

Grota była gigantyczna. Miała minimum trzydzieści metrów wysokości i rozciągała się tak daleko na boki, że najdalsze zakątki znikwały w ciemności, której nie było w stanie przebić nawet światło silnych halogenowych reflektorów marines.

Po chwili Gant zauważyła TO.

– A niech mnie jasna cholera... – stęknął Santa Cruz.

Przez całą długą minutę Gant mogła się jedynie gapić, jak w transie. Potem zaczęła powoli płynąć do brzegu. Kiedy stanęła na twardym gruncie, znów się zagapiła w to, co tkwiło w grocie. Nie mogła odwrócić wzroku.

Nie przypominało to niczego, co dotychczas w życiu widziała. Wyglądało jak wyjęte z filmu science fiction. Sam widok zapierał dech w piersi.

Był to na pewno obiekt latający.

Był czarny – całkowicie czarny, od czubka po koniec ogona – i miał rozmiary samolotu myśliwskiego. Dwa wielkie stateczniki pionowe tkwiły głęboko w lodzie. Maszyna wyglądała, jakby pożerała ją lód, przesuwający się powoli przez setki lat.

Wielki czarny statek kosmiczny stał – kontrastując swoją barwą z zimnymi, białymi ścianami jaskini – na trzech potężnych hydraulicznych podporach.

Wyglądał fantastycznie i... niebezpiecznie.

Czarny i spiczasty, smukły i pełen ostrych kątów statek kojarzył się Gant z czyhającą na ofiarę modliszką. Jego skrzydła opadały po bokach nisko w dół i statek wyglądał jak lecący ptak, ze skrzydłami w najniższym położeniu.

Najbardziej zadziwiającym elementem był jednak dziób, zakrzywiony i skierowany ostro do dołu – jak u concorde'a. Kokpit, przykryty prostokątną owiewką z przyciemnianego, wzmocnianego tworzywa, umieszczono tuż nad złamanym ku dołowi dziobem.

Ogromna, czyhająca na ofiarę modliszka, pomyślała Gant. Najsmuklejsza, najszybsza i największa modliszka, jaką kiedykolwiek widziano.

Zauważyła, że pozostali też wyszli z wody i stali obok na oblodzonym dnie groty, tak samo jak ona wpatrując się we wspaniałą pojazd.

Popatrzyła po twarzach swoich towarzyszy.

Santa Cruz miał szeroko rozdziawione usta.

Montana wytrzeszczał oczy.

Zaskoczyła ją reakcja Sarah Hensleigh, która zmrużyła oczy i wpatrywała się

w statek w bardzo dziwny sposób. Gant poczuła zimny dreszcz – oczy paleontolożki błyszcząły chorobliwą ambicją.

Zaraz jednak odrzuciła tę myśl – nie, to niemożliwe... Po chwili udało jej się przełamać paraliż spowodowany zachwytem statkiem i zaczęła rozglądać się wokół.

Minęło dziesięć sekund, zanim je dostrzegła.

– Boże... – jęknęła cicho. – Dobry Boże...

Było ich dziewięć.

Dziewięć ciał udrapowano na głazach. Wszędzie była krew. Zebrała się w kałużach, porozpryskiwała po ścianach groty, pokrywała zwłoki.

Odbyła się tu jakaś straszliwa rzeź.

Kończyny powyrywano ze stawów, głowy pooddzielano od tułowi. Z klatek piersiowych kilku trupów powyrywane były kawały ciała. Wszędzie wokół leżały nagie kości – część z nich była porozgniatana na drzazgi, z innych zwisały poszarpane kawały mięsa.

Gant przełknęła ślinę, z całych sił próbując powstrzymać wymioty.

Nurkowie ze stacji, pomyślała.

Santa Cruz podszedł do niej i również zaczął przyglądać się zmasakrowanym zwłokom.

– Co tu się do cholery działo? – spytał w oszołomieniu.

Schofield śnił.

Z początku nie było niczego. Tylko czerń. Jakby unosił się w dalekim kosmosie.

Nagle, jak wypadająca z ciemności błyskawica – oślepiło go jaskrawobiałe światło, wstrząsnęło nim jak uderzenie prądem i porucznik poczuł piekący ból.

Po chwili przestał odczuwać ból – który zniknął tak samo nagle, jak się pojawił – i stwierdził, że leży na podłodze – przemarznięty i pozostawiony sam sobie, śpiąc i zarazem czuwając.

Było ciemno. Wokół nie było ścian.

Poczuł na policzku wilgoć.

Pies. Wielki pies. Nie umiał powiedzieć, jakiej rasy był ten pies – tylko tyle, że był duży. Bardzo, bardzo duży.

Pies ocierał się delikatnie o jego policzek i obwąchiwał go z zainteresowaniem. Mokry, zimny nos przesuwiał się po twarzy porucznika. Wąsy psa łaskotały go w nos.

Zwierzę sprawiało wrażenie zaciekawionego, nie było w nim nic groźnego...

Nagle pies zaczął szczekać. Głośno jak diabli.

Porucznik aż podskoczył. Pies ujadł jak szalony. Był okropnie rozjuszony – szczekał i szczyrzył kły na niewidzialnego przeciwnika.

Schofield ciągle leżał na zimnej podłodze pomieszczenia bez ścian, niezdolny do

wykonania jakiegokolwiek ruchu – a może nie chciało mu się ruszać. Powoli wszystko wokół zaczęło nabierać kształtów i po chwili zorientował się, że leży na metalowym pomoście okalającym basen, na poziomie E.

Wielki pies ciągle stał obok, czekał i warczał. Zachowywał się, jakby go bronił.

Przed czym? Co takiego widział?

Nagle pies odwrócił się i odbiegł, a porucznik został sam na stalowym pomoście.

Mając wrażenie, że śpi i zarazem czuwa i nie jest w stanie wykonać najmniejszego ruchu, poczuł się całkowicie bezbronny.

Coś się do niego zbliżało.

Nadchodziło od strony stóp. Nie widział, co to takiego, ale słyszał kroki – powolne, pojedyncze kroki, wybijające metaliczny takt na zimnym, stalowym pomoście.

Po chwili Schofield ujrzał nad swoją głową złośliwą, uśmiechniętą twarz.

Był to Jacques Latissier.

Miał zakrwawioną twarz, wykrzywioną w paskudnym grymasie. Z otwartej rany na czole zwisały strzępy skóry. Oczy francuskiego komandosa płonęły nienawiścią. Uniósł nóż i zatrzymał klingę na wysokości oczu porucznika, a potem gwałtownym ruchem opuścił ostrze...

– Hej, hej... – powiedział jakiś łagodny głos.

Powieki Schofielda natychmiast otworzyły się. Obudził się wreszcie.

Leżał na plecach, na czymś w rodzaju łóżka. W pomieszczeniu oświetlonym rażącym oczu, jarzeniowym światłem. Ściany pokoju też były białe – z lodu.

Nad nim stał mężczyzna.

Był niski, miał najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu. Porucznik widział go po raz pierwszy w życiu.

Mężczyzna był krępy i żyłasty, a jego błękitne oczy wydawały się o wiele za duże. Pod oczami miał czarne wory. Jego potargane brązowe włosy wyglądały, jakby nie czesał ich od miesięcy, a dwa wielkie przednie zęby sterczały wykrzywione w przedziwnych kierunkach. Miał na sobie niewymagającą prasowania koszulę z supermarketu i niebieskie spodnie ze sztucznego włókna. Był zdecydowanie za cienko ubrany jak na zbliżoną do zera temperaturę Stacji Lodowej Wilkes.

Rozczochrany dziwołag trzymał coś w ręku.

Skalpel z długim ostrzem.

Schofield wbił wzrok w skalpel.

Na ostrzu była krew.

Mężczyzna powiedział bezbarwnym, nosowym głosem:

– Hej! Obudził się pan.

Porucznik, mrużąc oczy, próbował się unieść, ale nie udało mu się. Coś go

powstrzymywało. Po chwili zobaczył, co go hamuje.

Jego ręce były przywiązane do łóżka dwoma skórzanymi pasami. Kolejne dwa pasy kępowały mu nogi. Kiedy spróbował unieść głowę, również mu się to nie udało. Jego głowa także była przywiązana do łóżka.

Krew zastygła mu w żyłach.

Był całkowicie unieruchomiony.

– Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości – powiedział niski mężczyzna irytującym, nosowym głosem. – To zajmie... jeszcze tylko... sekundę.

Podniósł zakrwawiony skalpel i nagle zniknął Schofieldowi z oczu.

– Czekaj! – zawołał porucznik.

Niski mężczyzna natychmiast znów się pojawił w polu widzenia. Uniósł pytająco brwi.

– Tak?

– Gdzie... gdzie jestem? – Mówienie sprawiało porucznikowi ból. Jego gardło było wyschnięte, spieczone.

Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując powykrzywiane przednie zęby.

– Proszę się niczym nie przejmować, poruczniku – odparł. – Jest pan w dalszym ciągu w Stacji Lodowej Wilkes.

Schofield przełknął ślinę.

– Kim pan jest?

– Ależ poruczniku... jestem James Renshaw. – Witam przybysza z zaświatów – powiedział Renshaw, odpinając pas unieruchamiający głowę Schofielda. Właśnie za pomocą skalpela skończył usuwać z karku porucznika trzy ostatnie fragmenty pocisku. – Miał pan szczęście, że nosi pan w kołnierzu tę kevlarową osłonę. Nie zatrzymała kuli, ale wyhamowała jej główny impet.

Renshaw uniósł wyżej zwinięty w okrąg pasek kevlaru, który jeszcze niedawno był w kołnierzu szarego golfa porucznika. Schofield prawie o nim zapomniał – był to tylko jeden z elementów jego wyposażenia. Kevlarowe osłony szyi noszą jedynie oficerowie Piechoty Morskiej, jako dodatkową ochronę przed snajperami. Ponieważ snajperzy rzadko interesują się kapralami i sierżantami, zwykli żołnierze nie mają tego typu osłon.

Mając swobodną głowę, porucznik uniósł ją nieco i popatrzył na kevlarową osłonę w dłoniach Renshawa.

Wyglądała trochę jak koloratka – cienki pasek tworzywa tak wyprofilowano, by otaczał szyję i dał się schować w kołnierzu golfa. Z boku ochraniacza ziała duża dziura o poszarpanych brzegach.

Było to miejsce, gdzie kevlar został przestrelony.

– Gdyby nie ta wkładka, na sto procent by pan zginął – powiedział Renshaw. –

Kula przeleciałaby prosto przez tętnicę szyjną i wtedy nikt na świecie nie byłby w stanie nic dla pana zrobić. Ale pocisk, przebijając kevlar, rozpadł się na kawałki i w szyi znalazły się tylko drobne fragmenty. Co prawda te kawałki też mogły pana zabić i muszę przyznać, że byłem przekonany, iż tak się stało...

Schofield nie słuchał go. Rozglądał się po pomieszczeniu. Wyglądało jak kwatery mieszkalna. Było tu łóżko, biurko, komputer i – dziwne – dwa czarno-białe telewizory, ustawione na dwóch magnetowidach.

Odwrócił się do Renshawa.

– Słucham...?

– Kilka fragmentów pocisku utkwilo panu w karku, poruczniku. Jestem przekonany – nie, jestem absolutnie pewny – że przynajmniej na pół minuty pańskie serce przestało bić. Był pan w stanie śmierci klinicznej.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Schofield i odruchowo chciał się pomacać po karku, nie mógł jednak poruszyć ręką. Jego ręce i nogi były w dalszym ciągu unieruchomione pasami.

– Proszę się nie martwić, wszystko jest w porządku – uspokoił go Renshaw. – Wyjąłem kawałki pocisku i oczyściłem ranę. Były w niej także drobiny kevlaru, ale wydłubałem je jakoś. Właśnie je wyjmowałem, kiedy się pan obudził. – Renshaw wskazał na leżący na srebrnej tacy zakrwawiony skalpel. Obok niego leżało siedem kawałeczków metalu. – I proszę się nie martwić o moje kwalifikacje – dodał z uśmiechem. – Zanim przerzuciłem się na geofizykę, studiowałem przez dwa lata medycynę.

– Zamierza mnie pan rozwiązać? – spytał Schofield.

– Oczywiście... Jest mi bardzo przykro z tego powodu... – Renshaw był wyraźnie zdenerwowany. – Musiałem unieruchomić panu głowę, by usunąć kawałki pocisku z szyi. Wie pan, że bardzo się pan rusza przez sen? Prawdopodobnie nie. Cóż, w każdym razie tak jest. Poza tym uznałem, że przy tym, co muszę panu powiedzieć, lepiej będzie, jeżeli sprawię, by... miał pan możliwość skoncentrowania się na moich słowach.

Porucznik przez chwilę wpatrywał się w Jamesa Renshawa. Nie wiedział, co o nim sądzić. W końcu tydzień temu ten człowiek zabił swojego kolegę. Ale jedno było pewne: nie miał najmniejszej ochoty leżeć przywiązany w tym pokoju, zdany na łaskę tego mężczyzny.

– Co musi mi pan powiedzieć? – spytał, rozglądając się wokół. Drzwi wejściowe były dokładnie zamknięte, w pozostałych ścianach nie było żadnego otworu.

– Poruczniku, muszę panu powiedzieć, że nie jestem mordercą. Nie zabiłem Berniego Olsona. Schofield nie odpowiedział. Próbował sobie przypomnieć, co mówiła mu Sarah Hensleigh – zaraz po przybyciu na stację – o śmierci Bernarda Olsona.

Powiedziała, że tego wieczoru, kiedy go zabito, słyszano, jak Renshaw głośno się z nim kłóci. Po kłótni wbił Olsonowi w gardło igłę strzykawki, wypełnionej płynem do czyszczenia rur kanalizacyjnych, po czym wstrzyknął mu jej zawartość. Mieszkańcy stacji wkrótce potem znaleźli go martwego, ze zwisającą z szyi strzykawką.

– Wierzy mi pan? – spytał cicho Renshaw, podejrzliwie obserwując porucznika. Schofield w dalszym ciągu się nie odzywał.

– Poruczniku, musi mi pan uwierzyć. Mogę sobie tylko wyobrażać, co panu powiedziano, i wiem, że musiało to źle brzmieć, ale musi mnie pan wysłuchać. Nie zrobiłem tego. Przysięgam, że tego nie zrobiłem. Nigdy nie byłbym do czegoś podobnego zdolny. – Renshaw zaczerpnął powietrza i powoli mówił dalej: – Poruczniku, ta stacja nie jest tym, czym miała być... Działy się tu różne rzeczy – bardzo dziwne rzeczy – już na długo przed waszym przybyciem. Nikomu nie można tu ufać.

– Ale pan chce, żebym ja panu zaufała?

– Tak, właśnie – powiedział w zamyśleniu Renshaw. – Więc mamy problem, prawda? W końcu, pańskim zdaniem, cztery dni temu zabiłem człowieka za pomocą strzykawki wypełnionej płynem do czyszczenia kanalizacji. Zgadza się? Hmm... – Naukowiec zrobił krok w kierunku Schofielda. – Zamierzam jednak wyjaśnić tę sytuację, poruczniku. Dlatego zrobię to...

Stał tuż przy łóżku, wysoko nad Schofieldem, i twardo na niego patrzył.

Porucznik napiął mięśnie. Był kompletnie bezbronny. Nie miał pojęcia, co tamten zamierza zro...

TRZASK! Skórzany pas wokół lewej ręki leżącego zwiotczał i spadł na podłogę. Sekundę później to samo stało się z prawym.

Schofield miał wolne ręce. Renshaw odpiął krępujące je pasy.

Porucznik usiadł, a naukowiec podszedł do końca łóżka i rozpiął sprzączki rzemieni, które krępowały nogi.

Przez chwilę Schofield bez słowa przyglądał się małemu naukowcowi.

– Dziękuję – powiedział w końcu.

– Proszę mi nie dziękować, poruczniku. Proszę mi za to uwierzyć. I obiecać, że kiedy to wszystko się skończy, obejrzy pan ciało Berniego Olsona. Proszę się przyjrzeć jego językowi i oczom. To wyjaśni wszystko. Jest pan moją jedyną nadzieją, poruczniku. Jediną osobą, która może udowodnić moją niewinność.

Mogąc się znów poruszać, Schofield usiadł na łóżku. Dotknął karku. Pulsował bólem. Popatrzył w lusterku wiszącym na ścianie przy łóżku na swoją szyję. Renshaw dobrze zszył ranę. Eleganckimi, drobnymi szwami.

Naukowiec podał mu prostokąt samoprzylepnej gazy.

– Proszę. Niech pan tym zakryje szwy. To jak plaster z opatrunkiem, rana będzie

dobrze osłonięta.

Porucznik wziął opatrunek i przymocował go do rany na szyi. Popatrzył po sobie – Renshaw zdjął mu większość opancerzenia, był więc teraz ubrany tylko w szary golf i kamuflujący kombinezon. Miał oczywiście także buty i poobijane ochraniacze kostek oraz kolan. Broń – pistolet, nóż, MP5 i maghook – leżała razem ze srebrnymi okularami na stole, stojącym w głębi pokoju.

Znów przyjrzał się zamkniętym drzwiom i coś mu się przypomniało. Pamiętał, że mówiono mu, iż drzwi do pokoju Renshawa zostały zaryglowane, przybite do ościeżnicy przez jego kolegów. Przypomniało mu się jednak także coś innego, coś, co usłyszał kilka chwil przedtem, zanim do niego strzelono. Powiedziano mu, że drzwi pokoju naukowca zostały wyważone...

– Jak tu się dostałem? – spytał, gwałtownie odwracając się do naukowca.

– Wsadziłem pana do „niemego kelnera” i posłałem na górę.

– Nie, chodzi mi o to, że był pan podobno zamknięty w tym pokoju. Jak się pan wydostał?

Renshaw uśmiechnął się chytrze.

– Cóż... jestem Harry Houdini. – Geofizyk podszedł do magnetowidów w głębi pokoju. – Proszę się nie martwić, poruczniku. Zaraz panu pokażę, jak się stąd wydostałem. Przedtem jednak pokażę panu coś, co na pewno chętnie pan obejrzy.

– Co?

Geofizyk znów chytrze się uśmiechnął, tak samo jak przed chwilą.

– Ma pan ochotę zobaczyć człowieka, który do pana strzelał?

Schofield przez długą chwilę wpatrywał się w Renshawa, a potem powoli spuścił nogi z łóżka. Kłuło go w karku i pękała mu głowa. Ostrożnie podszedł do geofizyka i stanął przez telewizorami.

– Nie jest panu zimno? – spytał, patrząc na dość niedbały strój naukowca.

Renshaw – niczym Superman – rozsunał koszulę na boki i pod spodem ukazała się niebieska bielizna z jakiejś grubej, syntetycznej tkaniny.

– To skafander neoprenowy – powiedział z dumą. – Używa się takich w wahadłowcach, do wychodzenia w przestrzeń kosmiczną. Mogłoby tu być nawet minus siedemdziesiąt stopni i nic bym nie czuł.

Wcisnął klawisz jednego z telewizorów, na którym po chwili pojawił się czarno-biały obraz.

Był ziarnisty, ale po kilku sekundach porucznik zrozumiał, na co patrzy.

Na ekranie był basen w dole stacji, ukazany wysoko umieszczoną kamerą, skierowaną pionowo w dół, na część wody i brzegu.

– Obraz idzie na żywo – wyjaśnił Renshaw. – Kamera jest zamontowana pod spodem mostu, łączącego brzegi szybu głównego na poziomie C. Filmuje dokładnie

w pionie.

Chcąc lepiej widzieć, Schofield mocno zmrużył oczy.

– Pracujący na stacji naukowcy zmieniają się co pół roku, więc przejmujemy po sobie pokoje. Przede mną mieszkał tu stary, zwariowany nowozelandzki oceanobiolog. Straszny dziwak. Uwielbiał orki i nigdy nie miał dość ich oglądania. Obserwował je godzinami, lubił patrzeć, jak wypływają w naszym basenie, by nabrać powietrza. Nadawał im nawet imiona. Jak on się nazywał... Carmine coś tam. W każdym razie stary Carmine zamocował na spodzie mostu kamerę i dzięki temu mógł obserwować basen z pokoju. Kiedy zobaczył na ekranie orki, pędził na poziom E i przyglądał im się z bliska. Czasami, by być jeszcze bliżej, przyglądał im się z wnętrza dzwonu nurkowego! – Renshaw popatrzył na porucznika i zaśmiał się. – Ale pan jest chyba ostatnią osobą na świecie, której powinienem opowiadać o oglądaniu orki z bliska...

Schofield odwrócił się do geofizyka. Jego słowa przypomniały mu straszliwą walkę z orkami.

– Widział pan wszystko?

– Czy widziałem? Żartuje pan. Mam wszystko na taśmie. Przyjrzał się pan tym ogromnym draniom?! Widział pan, jak polują? Zauważył pan ich zachowanie w trakcie polowania? Na przykład to, że zanim nadpłyną, by zabić, zawsze przepływają wcześniej tuż obok namierzonej ofiary?

– Musiało mi to umknąć.

– Naprawdę tak robią. Zawsze. Za każdym razem. Czytałem o tym przedtem i wie pan, dlaczego moim zdaniem tak robią? Dają w ten sposób do zrozumienia innym orkom, że namierzony człowiek to ich zdobycz, przekazują im, że należy do nich. Jeśli ma pan ochotę, mógłbym to pokazać...

– Powiedział pan, że powinienem obejrzeć coś innego. Człowieka, który do mnie strzelał.

– No tak, zgadza się. Jak najbardziej. Przepraszam. Schofield patrzył bez słowa, jak mały człowieczek bierze kasetę wideo i wkładają do drugiego magnetowidu. Był naprawdę dziwny – i bardzo nerwowy – ale bez wątpienia inteligentny. Do tego bez przerwy gadał, sprawiał wrażenie, jakby nie mógł powstrzymać wypływających z jego ust słów. Trudno było określić, ile ma lat. Mógł mieć od dwudziestu dziewięciu do czterdziestu.

– O... mam! – wykrzyknął nagle Renshaw.

– Co? Co pan ma?

– Yaeger. Carmine Yaeger. Tak się nazywał.

– Mógłby pan włączyć taśmę?

– Tak, oczywiście – odparł geofizyk i pośpiesznie wcisnął klawisz PLAY.

Na drugim monitorze pojawił się obraz. Był identyczny jak ten na pierwszym

ekranie, został zrobiony tą samą, zamontowaną wysoko kamerą, spoglądającą na znajdującą się daleko w dole wodę.

Obrazy różniły się tylko jednym drobiazgiem.

Na drugim ekranie widać było stojącą na brzegu postać.

Porucznik wbił wzrok w czarno-białą sylwetkę.

Był to mężczyzna, marine. Stał sam.

Schofield nie umiał powiedzieć, kto to, ponieważ kamera dawała obraz dokładnie znad jego głowy. Widać było jedynie górę hełmu i opancerzenie barków.

Nagle mężczyzna podniósł głowę i kiedy powoli zaczął wodzić wzrokiem po ścianach szybu głównego, porucznik ujrzał jego twarz.

Zmarszczył czoło.

Spoglądał na samego siebie.

Natychmiast odwrócił się do Renshawa.

– Kiedy pan to nagrał?

– Proszę patrzeć.

Porucznik odwrócił się do ekranu.

Zobaczył siebie, podchodzącego do skraju wody i mówiącego coś do mikrofonu w hełmie. Nie było dźwięku, widać było jednak ruch ust. Po chwili Shane Schofield na ekranie przestał mówić i zrobił krok w bok.

Stanął.

Nadepnął na coś.

Pochylił się i zaczął oglądać leżące na pomoście kawałki pokruszonego szkła. Poruszył głową, jakby zamierzał się rozejrzeć, potem przechylił ją na bok. Słuchał czegoś. Słuchał głosu, który odezwał się w jego słuchawkach.

Po chwili wyprostował się i zaczął odwracać, ale nagle całym jego ciałem gwałtownie targnęło, a z szyi bryznęła chmurka krwi. Zatoczył się lekko, pomacał dłonią kark i przeniósł dłoń do przodu, by na nią popatrzeć. Cała była umazana we krwi.

W tym momencie ugięły się pod nim kolana i zwałił się na pomost.

Porucznik w oszołomieniu wpatrywał się w swoją postać na ekranie.

Właśnie zobaczył, jak go postrzelono...

Odwrócił się do Renshawa. Naukowiec kiwnął głową w kierunku ekranu.

– Będzie więcej – powiedział. – Znacznie więcej.

Schofield znowu spojrział na monitor.

Ujrzał leżące na pomoście własne nieruchome ciało. Przez jakiś czas nic się nie działo.

Nagle na ekranie pojawiła się kolejna osoba.

Porucznik poczuł, jak do żył napływa mu adrenalina. Za chwilę miał zobaczyć

tego, kto do niego strzelał.

Najpierw zobaczył hełm.

Żołnierz piechoty morskiej.

Mężczyzna. Można to było stwierdzić tylko po chodzie, bo twarzy nie było widać.

Żołnierz powoli podszedł do nieruchomego ciała, wyjął z kabury samopowtarzalny pistolet i załadował go.

Schofield w napięciu wpatrywał się w ekran.

Marine, którego twarz w dalszym ciągu skrywał hełm, pochylił się nad leżącym i przyłożył dwa palce do jego zakrwawionej szyi.

– Sprawdza panu puls – szepnął Renshaw.

Mężczyzna przez kilka sekund trzymał palec na szyi Schofielda. Po chwili wstał, zadowolony, że nie wyczuł pulsu. Wsunął pistolet z powrotem do kabury.

– Widzi pan? – zapytał geofizyk. – Nie znalazł. – Odwrócił się do porucznika. – Moim zdaniem przestało panu bić serce.

Schofield nawet nie drgnął. Jego wzrok był przyklejony do ekranu.

– Teraz proszę popatrzeć, co robi – powiedział Renshaw. – Popelnia błąd... gruby błąd...

Marine, którego twarz w dalszym ciągu skrywał hełm, zaczął nogą przesuwając ciało Schofielda po pomoście.

Pchnął je w kierunku wody.

Po dwóch mocnych kopniakach ciało porucznika znalazło się na krawędzi, tuż przy wodzie. Żołnierz pchnął je po raz ostatni i wpadło bezwładnie do lodowatej toni.

– Nie wiedząc o tym, właśnie uruchomił pana serce.

– W jaki sposób?

– Woda jest tak zimna, że zadziałała jak defibrylator... no wie pan, to urządzenie do uruchamiania serca dwoma trzymanymi w rękach elektrodami. Wstrząs, jakiego doznało pańskie ciało w momencie zetknięcia z wodą – a niech mi pan wierzy, że dla nieprzygotowanego organizmu musiał to być cholerny wstrząs – wystarczył, by uruchomić pańskie serce.

Schofield w dalszym ciągu obserwował ekran.

Marine przez chwilę stał na skraju wody i patrzył na koliste fale, rozchodzące się z miejsca, gdzie ciało porucznika wpadło do atramentowej wody. Po mniej więcej trzydziestu sekundach odwrócił się i rozejrzał.

Kiedy się odwracał, Schofield zastygł w oczekiwaniu.

O, nie... – jęknął w duchu.

Żołnierz odwrócił się na pięcie i szybko odszedł, znikając z ekranu.

Porucznik popatrzył na Renshawa.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział naukowiec, zanim Schofield zdążył się

odezwać. – Niech pan patrzy dalej.

Schofield odwrócił się znów do ekranu.

Widział pomost i basen. Poza tym nie było niczego.

Nic się nie działo.

Absolutnie nic.

Na pomoście nie było nikogo. W wodzie nic się nie poruszało.

Minęła minuta.

Wreszcie coś się poruszyło.

– Co to, do chole... – wymamrotał porucznik.

Tafla basenu pękła i nagle – w kłębowisku bąbli i piany – z wody wypłynęło bezwładne, martwe ciało.

Schofield patrzył na nie w osłupieniu.

Ale największym wstrząsem było to, co wydarzyło się potem.

W ślad za ciałem z wody wyłoniło się potężne zwierzę – miało co najmniej rozmiary orki.

Tyle że nie była to orka.

Zwierzę podniosło bezwładne ciało nad wodę i położyło je delikatnie na brzegu. Kiedy wskoczyło na pomost, nieruchome ciało oblała woda. Pomost zatrzęsł się pod ogromnym ciężarem.

Stwór był gigantyczny. Ciało Schofielda wydawało się przy nim maleńkie.

Porucznik przyglądał się zwierzęciu zafascynowany.

Było to coś w rodzaju słonia morskiego – ale o niespotykanej wielkości.

Potężny korpus falował, co świadczyło o grubej warstwie podskórnego tłuszczu. Zwierzę podpierało się dwoma wielkimi przednimi płetwami. Stwór musiał mieć potężne mięśnie – podniesienie takiego cielska wymagało ogromnej siły. Musiał ważyć jakieś osiem ton.

Najdziwniejsze były jednak jego zęby. Miał dwa wielkie kły, wyrastające z dolnej szczęki i wznoszące się do góry tuż przed jego nosem.

– Co to do pioruna jest? – spytał cicho Schofield.

– Nie mam pojęcia – odparł Renshaw. – Nos, oczy, kształt łba... Wygląda jak słoń morski, ale jeszcze nigdy nie widziałem takiego wielkiego. Ani z takimi kłami. Słonie morskie miewają duże dolne kły, jednak jeszcze nigdy nie widziałem okazu z tak wielkimi.

Zwierzę na ekranie rozpierało się na pomoście. Pochyliło łeb ku Schofieldowi – jakby go obwąchiwało. Powoli przesunęło nos wzdłuż nieruchomego ciała, aż w końcu jego wąsy podrapały leżące po nosie, ale nawet nie drgnął.

Potem zwierzę powoli zaczęło otwierać paszczę.

Przy samej głowie Schofielda!

Szczęki rozwarły się w szkaradnym, szerokim ziewnięciu, ukazując nasadę potężnych dolnych kłów. Zwierzę pochyliło się w przód i opuściło łeb. Jego paszcza zaczęła się zamykać wokół głowy porucznika...

Schofield wpatrywał się w ekran jak zahipnotyzowany.

Ten stwór najwyraźniej zamierzał odgryźć mu głowę.

Zamierzał go pożreć!

Nagle gigant odwrócił się błyskawicznie. Schofield był zdumiony, jak szybko tak wielkie cielsko potrafi się poruszać. Przy każdej zmianie pozycji olbrzyma pomost dygotał.

Zwierzę zobaczyło coś, czego nie obejmowała kamera.

Zaczęło szczekać.

Taśma nie była udźwiękowiona, ale widać było ruchy paszczy. Wielka foka obnażyła kły. Szczekała i ujadła jak szalona. Rozdrażniona, kołysała cielskiem na boki, przyjmując agresywną pozycję. Przy każdym ruchu mięśnie potężnych płetw wybrzuszały się pod skórą.

Po chwili potężny stwór odwrócił się i zanurkował do wody. Fale rozbryzgu wpadły na pomost i popłynęły daleko na brzeg, zalewając nieruchome ciało.

– Jeszcze moment – powiedział geofizyk. – Teraz będzie moje wielkie wejście.

Na ekranie pojawił się mężczyzna. Ponieważ nie miał hełmu, wyraźnie było widać twarz. Rzeczywiście był to Renshaw.

Naukowiec na ekranie podbiegł do Schofielda, złapał go pod pachy i szybko odciągnął od wody, poza pole widzenia kamery.

Geofizyk wcisnął STOP.

– To by było na tyle – powiedział.

Porucznik przez chwilę się nie odzywał. To, co ujrzał, niemal zważyło go z nóg.

Najpierw żołnierz, który strzela do niego i bada mu puls – by się upewnić, że nie żyje! – a potem wrzuca go kopniakiem do wody, by nie zostawić śladów.

Potem słoń morski.

Potężny stwór, który wyjął go z wody, delikatnie położył na pomoście i zniknął w mętnej wodzie.

– Rozumie pan teraz, co miałem na myśli, mówiąc, że był pan w stanie śmierci klinicznej? – spytał Renshaw. – Gość, którego przed chwilą widzieliśmy, był przekonany, że pan nie żyje.

– Gdyby nie miał tej pewności, strzeliłby mi w łeb... – Schofield pokręcił głową. Wyglądało na to, że śmierć uratowała go przed śmiercią. – Niech to cholera... – jęknął. Przez długą chwilę wpatrywał się tępo w przestrzeń i przetrawiał ujrzone sceny. Potem zamrugał oczami i wrócił do rzeczywistości. – Mógłby pan cofnąć taśmę? – poprosił geofizyka. Przypomniało mu się coś, co zauważył w postaci żołnierza, i to na chwilę

wyparło z jego myśli słonia morskiego.

Renshaw cofnął taśmę, po czym puścił ją od nowa. Porucznik ujrzał samego siebie, wychodzącego na pomost.

– Niech pan to przewinie na szybkim podglądzie. Renshaw zrobił, jak mu kazano. Schofield na ekranie nerwowo chodził po brzegu i po chwili padł postrzelony.

Zjawił się żołnierz. Sprawdził mu puls, wstał i zaczął pchać ciało stopą ku wodzie.

– Dobrze, teraz proszę zwolnić.

Obraz wrócił do normalnej prędkości w momencie, gdy żołnierz ostatni raz kopnął ciało i porucznik wpadł do wody.

– Proszę przygotować się do zatrzymania – powiedział Schofield, uważnie obserwując ekran.

Żołnierz na ekranie stał na skraju basenu i obserwował miejsce, w którym ciało porucznika wpadło do wody. Potem odwrócił się i rozejrzył.

– Teraz! Niech pan teraz zatrzyma!

Renshaw szybko wcisnął klawisz i ruch na ekranie zamarł. Widać było kawałek góry hełmu – wraz z obrotem głowy żołnierz uniósł nieco ramiona.

– Nie rozumiem... – mruknął naukowiec. – W dalszym ciągu nie widać twarzy.

– Nie patrzę na twarz.

Patrzył na ramiona mężczyzny. Na ochraniacz prawego barku.

Obraz na ekranie był co prawda bardzo ziarnisty, ale wyraźnie było widać ochraniacz.

A także znajdujący się na nim rysunek.

Wpatrując się w ten rysunek, Schofield poczuł, jak po kręgosłupie spływa mu lodowata fala.

Patrzył na kobrę z szeroko rozdziawioną paszczą.

W ciemnym magazynie na poziomie E Matka ostrożnie oparła głowę o zimną, lodową ścianę.

Zamknęła oczy. Minęło pół godziny, odkąd po raz ostatni ktoś u niej był, i spodziewała się, że wkrótce odwiedzi ją Buck Riley. Zaczynała ją boleć noga i miała ochotę na kolejny zastrzyk metadonu.

Wzięła głęboki wdech, by wyłączyć ból.

Po chwili poczuła, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze...

Powoli otworzyła oczy.

Ktoś stał w otwartych drzwiach.

Mężczyzna. W mundurze piechoty morskiej.

Stał nieruchomo jak pomnik, na jaśniejszym tle widać było jedynie czarny kontur. Jego twarz skrywał cień. Nie odzywał się.

– Book? – spytała Matka i usiadła. Zmrużyła oczy i pochyliła się w przód, by zobaczyć, kto przyszedł.

Opadła do tyłu, zaskoczona.

To nie był Book.

Book był niższy od przybysza, bardziej zaokrąglony. Ten był wysoki i szczupły.

Mężczyzna w dalszym ciągu się nie odzywał. Stał i wpatrywał się w Matkę, nie ukazując twarzy. Domyśliła się, kto to może być.

– Wąż... – powiedziała. – Co się stało? Kot zjadł ci język? Wąż nie poruszył się. W dalszym ciągu jedynie przyglądał się Matce.

Kiedy się w końcu odezwał, nie widziała ruchu ust. Miał niski, chrapliwy głos.

– Przyszedłem zamiast Booka. Zajmę się tobą, Matka.

– To świetnie – Matka usiadła prosto i przygotowała się na kolejny zastrzyk metadonu. – Przyda mi się kolejna szpryca tego uszczęśliwiającego płynu.

Wąż w dalszym ciągu stał nieruchomo. Matka zmarszczyła czoło.

– Co jest? Na co czekasz? Na specjalne zaproszenie?

– Nie – odparł Wąż. Jego głos był lodowaty.

Wszedł głębiej do magazynu i oczy Matki rozszerzyły się z przerażenia, gdy padające z korytarza światło odbiło się od ostrza jego noża.

Kiedy szedł ku niej, machając długim nożem Bowie, przycisnęła się mocno plecami do lodowej ściany.

– Wąż, co ty, kurwa, wyprawiasz? – krzyknęła.

– Przykro mi, Matka – powiedział zimno. – Jesteś dobrym żołnierzem, ale za dużo wiesz.

– Co to ma do cholery znaczyć? Wąż podszedł jeszcze bliżej.

Oczy Matki wpatrywały się nieruchomo w błyszczący nóż.

– Względy bezpieczeństwa narodowego – odparł.

– Względy bezpieczeństwa narodowego? Kim ty, kurwa, jesteś? Wąż wykrzywił zaciśnięte wargi w złym uśmiechu.

– Daj spokój, Matka. Bywałaś tu i tam, słyszałaś różne rzeczy. A jak myślisz, kim jestem?

– Jebanym świrem – warknęła Newman, spoglądając jednocześnie na podłogę w połowie drogi między nimi, gdzie leżał jej hełm. Był odwrócony do góry i mikrofon również był skierowany ku górze.

Matka powoli zaczęła przesuwając lewą dłoń ku swojej talii.

– Robię tylko to, co trzeba – stwierdził Wąż.

– Komu trzeba? – zapytała Newman i wcisnęła klawisz na pasie. Ten, który włącza mikrofon.

Znajdujący się ciągle jeszcze w pokoju Renshawa na poziomie B Schofield był już

z powrotem ubrany w ochraniacze.

Zaraz potem zajął się bronią. Pistolet powędrował do kabury pod pachą, nóż do pochwy na ochraniaczu goleni. Zarzucił na ramię MP5 i założył maghooka na plecy. Kiedy był już w pełnym rynsztunku, sięgnął po hełm i założył go na głowę.

Natychmiast usłyszał rozmowę.

– ...interes narodowy.

– Wąż, weź ten jebany...

Nagle sygnał został zagłuszony przez szum.

Ale to, co porucznik usłyszał, wystarczyło mu.

Matka.

Wąż był u niej na dole.

– Jezus... – stęknął Schofield. Odwrócił się szybko do geofizyka. – W porządku, Harry Houdini, masz pięć sekund na pokazanie mi, jak się wychodzi z tego pokoju.

Renshaw bez wahania rzucił się do drzwi.

– Dlaczego? Co się stało? – spytał. Schofield biegł obok niego.

– Ktoś zaraz może zginąć.

Wąż uniósł nogę nad tym, co pozostało z hełmu Matki.

– Daj spokój, Matka – powiedział karcącym tonem. – Więcej się po tobie spodziewałem. Zapomniałaś, że ja też odbieram twoje komunikaty?

– To ty zabiłeś Samuraja?! – wrzasnęła Matka.

– Ja.

– Ty zasańcu!

Wąż był już przy niej. Matka przesuwała się wzdłuż ściany.

– Czas umierać, Matka...

– Wąż, muszę się dowiedzieć... Co z ciebie za chory, pokręcony, dwulicowy skurwiel?

Wąż uśmiechnął się.

– Cóż, jest tylko jedna możliwość, Matka. Jestem ICG.

Schofield w napięciu patrzył, jak Renshaw podchodzi do grubych, drewnianych drzwi.

Zauważył, że są zrobione z mniej więcej dziesięciu pionowych belek. Geofizyk przyłożył dłonie do jednej z nich.

– Na zewnątrz są poziome belki – wyjaśnił. – Co oznacza, że z korytarza nie widać nacięć, jakie porobiłem na pionowych.

Oczy Schofielda rozszerzyły się na widok nacięć.

Przez całą szerokość masywnych drzwi ciągnęły się dwie cienkie linie – jak przecinające całą szerokość grubego drewna blizny.

Biegły równolegle, w odległości mniej więcej metra od siebie – takiej samej, w jakiej biegły brzegi poziomych belek zewnętrznych.

Pomysłowość naukowca była zadziwiająca.

Człowiek znajdujący się po tamtej stronie drzwi nigdy by się nie domyślił, że Renshawowi udało się przepiłować pionowe belki.

– Używałem do piłowania noży do steków – powiedział geofizyk. – Zużyłem trzy. Drewno dość szybko je tępi. – Sięgnął na prawo od drzwi i wziął do ręki nóż ze spiłowanymi ząbkami. Wsadził ostrze w wąską szparę między belkami, po czym nacisnął, robiąc dźwignię, i wycięty kawał drewna wyskoczył z obramowania.

Renshaw wyjął fragment belki i w drzwiach pojawiła się podłużna dziura. Widać było przez nią odchodzący w bok zewnętrzny tunel poziomemu B.

Naukowiec pracował szybko. Złapał gołymi rękami następny kawał drewna i szybko go pociągnął.

Dziura w drzwiach poszerzyła się.

Po chwili w środku drzwi powstał prostokątny otwór. Porucznik zaczął pomagać i wkrótce otwór był wystarczająco duży, by zmieścić się w nim człowiek.

– Proszę się cofnąć – powiedział Schofield.

Renshaw cofnął się i porucznik zanurkował w dziurę, głową do przodu. Po drugiej stronie zrobił przewrót i natychmiast ruszył biegiem.

– Niech pan zaczeka! – wrzasnął geofizyk. – Dokąd pan biegnie?!

– Poziom E!

Schofield zniknął i Renshaw został sam, zapatrzony w dziurę w drzwiach. Wyjrzał za porucznikiem.

– Tak jeszcze nigdy stąd nie wyskakiwałem... – mruknął do siebie.

Schofield biegł.

Ściany zakrzywionego tunelu śmigały po jego bokach. Ciężko oddychał, puls walił mu w głowie jak pneumatyczny młot. Skręcił w lewo, w stronę szybu głównego.

Kiedy biegł tunelami poziomemu B, przez głowę przemykały mu tysiące myśli.

Myślał o rysunku na naramienniku człowieka, który do niego strzelał. Kobra. Wąż. WĄŻ.

Sama myśl o tym była zbyt absurdalna, by się z nią pogodzić. Węża odznaczano najwyższymi orderami. Był jednym z najdłużej służących w korpusie ludzi – od samego początku służył też w oddziale porucznika. Dlaczego miałby zrezygnować z tego wszystkiego? Dlaczego miałby zabijać swoich?

Schofield pomyślał o Matce.

Wąż był z nią na poziomie E.

To by do siebie pasowało. Zabił Samuraja, najslabszego człowieka w oddziale, i Matka – bez nogi i mocno otumaniona metadonem – stanowiła kolejny łatwy cel.

Porucznik wpadł na pomost szybu poziomym B, dobiegł do najbliższej drabinki i zsunął się błyskawicznie niżej. Poziom C. Zsunął się po następnej drabince – poziom D – a potem po jeszcze jednej.

Był teraz na poziomie E. Przebiegł wokół wody, nie zwracając uwagi na rozbijane fale, i skierował się ku południowemu tunelowi.

Wbiegł do niego i ujrzał drzwi do magazynu.

Ostrożnie podszedł do nich. Zdjął z pleców maghooka – z powodu unoszącego się w stacji gazu ciągle jeszcze wolał nie korzystać z pistoletu – i wyciągnął go przed siebie jak karabin.

Doszedł do drzwi.

Wziął ostatni, głęboki wdech, stanął w drzwiach i...

...wycelował przed siebie maghooka.

Ujrzał wewnątrz magazynu.

– Jasna cholera... – wymamrotał.

Oboje leżeli bez ruchu.

Matka i Wąż.

Schofield przez chwilę stał jak sparaliżowany i próbował zrozumieć, co się dzieje.

Newman leżała rozkraczona na podłodze, plecy opierała o ścianę. Zdrową nogę wyciągnęła daleko przed siebie i stopą przyciskała gardło Węża do drewnianego regału, na którym znajdowały się butle do nurkowania. Musiała naciskać bardzo mocno, bo miał wysoko podciągniętą brodę, a drewno wciskało mu się w potylicę.

Najwyraźniej nie obchodziło jej wcale, że powietrze jest wypełnione gazem.

Z dwóch głębokich cięć nad jej lewym okiem kapłała krew, spadała z brwi i ściekała na policzek. Newman nie zwracała na nią uwagi – przez cały czas wbijała spojrzenie w mężczyznę, który próbował ją zabić.

Wąż był przyszpilony do regału. Raz za razem próbował się uwolnić, ale Matka mocno naciskała mu wielkim bucioem jabłko Adama, niemal go dusząc.

Pokój wyglądał, jakby wrzucono do niego granat.

Na podłodze leżały połamane drewniane regały i butle do nurkowania. Nóż Węża również leżał na podłodze. Z jego ostrza kapłała krew.

Matka powoli odwróciła głowę i popatrzyła na Schofielda, który stał nieruchomo w drzwiach.

Ciężko oddychała. Walka z Wężem mocno ją zmęczyła.

– No co, Strach na Wróble – powiedziała i wzięła kolejny wdech. – Będziesz tak, kurwa, stał czy co?

Peter Cameron zatrzymał swoją toyotę pod domem stojącym przy Newbury Street 14 w Lakę Arthur, w stanie Nowy Meksyk.

Był to przyjemnie wyglądający biały domek w wiejskim stylu, z idealnie utrzymanym skalnym ogródkiem, starannie przyszyzonym trawnikiem i niedużym stawem. Dom sprawiał wrażenie, jakby mieszkał w nim emeryt – ktoś, kto miał czas i ochotę go dopieszczać.

Cameron po raz kolejny popatrzył na wizytówkę.

– Świetnie, panie Wilcox. Zobaczmy, co ma pan do powiedzenia.

Wszedł na werandę i zapukał do drzwi.

Pół minuty później otworzyły się wewnętrzne drzwi i za siatką pojawił się mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna o wysportowanej sylwetce i gładko ogolonej twarzy. Przyjaźnie się uśmiechał.

– Dzień dobry – powiedział. – W czym mogę pomóc? – Mówił z wyraźnym południowym akcentem. „Mogę” brzmiało jak „mouge”, „pomóc” jak „poumóc”.

– Hm... dzień dobry – zaczął dziennikarz. – Szukam pana Andrew Wilcoxa. – Podniósł wizytówkę. – Nazywam się Peter Cameron i pracuję dla „Washington Post”. Pan Wilcox przysłał mi wizytówkę.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy mieszkańca domu. Zlustrował dziennikarza od stóp do głów, a potem rozejrzał się po ulicy – jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie obserwuje jego domu.

Po chwili znów skoncentrował się na gościu.

– Panie Cameron, zapraszam do środka – powiedział i otworzył zewnętrzne drzwi.

– Miałem nadzieję, że pan przyjedzie, nie spodziewałem się jednak, że tak szybko. Proszę wejść.

Dziennikarz wszedł.

Dopiero kiedy już stał na środku pokoju, dotarło do niego, że południowy akcent gospodarza zniknął.

– Panie Cameron, w rzeczywistości nie nazywam się Andrew Wilcox – powiedział siedzący naprzeciwko niego mężczyzna.

Akcent zniknął, mężczyzna mówił teraz wyraźnie i starannie artykułował słowa. Wschodnie Wybrzeże, pomyślał Peter. Wyciągnął notes i długopis.

– Może mi pan zdradzić swoje prawdziwe nazwisko? – spytał.

Gospodarz przez chwilę się zastanawiał. Dziennikarz obserwował go. Mężczyzna był wysoki, przystojny, miał blond włosy i kwadratową szczękę. Dzięki szerokim ramionom sprawiał wrażenie sprawnego fizycznie, jednak coś z nim było nie tak...

Cameron po chwili zrozumiał: oczy.

Białka były czerwone jak u królika, pod oczami wisiały duże czarne wory.

Nadawało to mężczyźnie wygląd osoby, która od wielu dni nie śpi.

W końcu gospodarz powiedział:

– Moje prawdziwe nazwisko brzmi Andrew Trent. Kiedyś byłem porucznikiem

Korpusu Piechoty Morskiej i dowodziłem Atlantyckim Oddziałem Rozpoznania. Jeżeli sprawdzi pan oficjalne raporty korpusu, dowie się pan, że zginąłem w wypadku w Peru, w marcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Mówił cichym, beznamiętnym głosem.

– Czyli jest pan martwy – mruknął Peter Cameron. – Miłe, bardzo miłe. Świetnie, pierwsze pytanie: dlaczego ja? Dlaczego skontaktował się pan ze mną?

– Czytałem pańskie artykuły i podobały mi się. W „Mother Jones”. W „Post”. Wali pan prosto z mostu i nie pisze byle czego. Weryfikuje pan fakty i dlatego ludzie panu wierzą. A ja chciałbym, żeby uwierzono w to, co mam do powiedzenia. I chciałbym, żeby pan o tym napisał...

– Oczywiście... pod warunkiem, że będzie warto o tym napisać – powiedział Cameron. – No dobrze, jak to się stało, że według oficjalnych dokumentów rządu Stanów Zjednoczonych pan nie żyje?

Trent skrzywił usta w półuśmiechu, ale jego twarz była ponura.

– Pod warunkiem, że będzie warto o tym napisać... – powtórzył. – Panie Cameron, a jeżeli powiem panu, że rząd Stanów Zjednoczonych wydał rozkaz wymordowania ludzi z mojego oddziału?

Dziennikarz milczał.

– A jeżeli powiem panu, że nasz rząd – pański i mój – umieścił w moim oddziale wtyki, których zadaniem było zabicie mnie i moich ludzi, gdybyśmy podczas akcji znaleźli coś o niezwykłej wartości? A jeżeli powiem panu, że dokładnie coś takiego wydarzyło się podczas akcji w marcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku w Peru? Co by pan na to powiedział, panie Cameron? Gdybym coś takiego panu powiedział, uznałby pan, że warto o tym napisać?

Trent opowiedział Cameronowi o tym, co się wydarzyło w ruinach świątyni Inków w górach Peru.

Pracująca w świątyni ekipa badaczy uniwersyteckich odkryła serię wykutych w ścianach rysunków. Były pokryte wspaniałymi barwami i przedstawiały sceny z historii Inków.

Szczególnością ich uwagę zwrócił jeden z rysunków.

Przypominał sławne malowidło, przedstawiające spotkanie władcy Inków, Atahualpy, z hiszpańskimi konkwistadorami.

Z lewej strony stał władca Inków – w pełnym rytualnym stroju, otoczony przez swoich ludzi. W wyciągniętych dłoniach trzymał złoty kielich. Dar.

Po prawej stronie stały cztery osobliwie wyglądające postacie. W porównaniu z oliwkową skórą Inków ich skóra wydawała się śnieżnobiała. Byli też chudzi, nienaturalnie chudzi – i bardzo wysocy. Mieli wielkie czarne oczy i wypukłe, duże czoła, spiczaste, wąskie podbródki i – co było najdziwniejsze – nie mieli ust.

Przywódca czteroosobowej delegacji wysokich białych „ludzi” trzymał w wyciągniętych rękach srebrne pudełko – odwzajemniając gest stojącego przed nim władcy Inków.

Wymieniano dary.

– Długo szukali? – spytał Cameron.

– Niedługo – odparł Trent i wyjaśnił, że naukowcy znaleźli to, czego szukali, na znajdującej się niedaleko rysunku podstawce – kamiennym występie, umieszczonym we wnęce w ścianie.

Stało sobie jakby nigdy nic. Miało wielkość pudełka na buty i matowo-srebrzystą, jakby chromowaną powierzchnię. Srebrne pudełko z rysunku na ścianie.

– Nie mogli uwierzyć w swoje szczęście – powiedział Trent. – Natychmiast zadzwonili na swój uniwersytet i przekazali informację o znalezisku. Zawiadomili, że być może znaleźli dar od obcej cywilizacji. Głupi debile... – gospodarz pokręcił głową. – Dzwonili ze zwykłego telefonu. Cholerne normalnego telefonu. Cały świat mógł ich słyszeć. Mój oddział miał ich chronić przed kimkolwiek, kto mógł podsłuchać rozmowę. – Trent pochylił się do przodu. – Problem polegał na tym, że tak naprawdę ten oddział wcale nie był mój.

Zaczął opowiadać o tym, co się stało po przybyciu na miejsce – o tym, jak część ludzi z jego jednostki po przybyciu SEAL zwróciła się przeciwko niemu.

– Panie Cameron, rozkaz umieszczenia agentów w moim oddziale został wydany przez komitet rządowy o nazwie Intelligence Convergence Group. To komitet, składający się z członków Połączonego Komitetu Szefów Sztabów i Narodowego Biura Rozpoznania. Mówiąc najprościej, ich głównym celem jest zagwarantowanie Ameryce przewagi technologicznej nad resztą świata. Wyrznęli moich ludzi, panie Cameron. Wszystkich. Potem zaczęli polować na mnie. Przez dwanaście dni przeczesywali świątynię, próbując mnie znaleźć. Polowali na mnie amerykańscy żołnierze! Stałem wciśnięty w małe zagłębienie w murze, leciała na mnie śmierdząca woda – przez dwanaście dni, aż w końcu zrezygnowali i poszli sobie.

– Co się stało z naukowcami? – spytał dziennikarz. Trent pokręcił głową.

– Ci z SEAL zabrali ich ze sobą. Nigdy więcej o nich nie słyszano.

Cameron milczał. Gospodarz mówił dalej:

– W końcu wydostałem się ze świątyni i udało mi się wrócić do Stanów. Trochę to potrwało, ale jakoś dotarłem. Najpierw poszedłem do domu moich rodziców, okazało się jednak, że po drugiej stronie ulicy siedzi w furgonetce dwóch kolesiów i obserwuje dom. Porozstawiali ludzi, by czekali na mój powrót. – Twarz Trenta sposepniała. – Wtedy postanowiłem się dowiedzieć, kto za tym stoi. Znalezienie pierwszego tropu nie zajęło mi wiele czasu, a na końcu nitki było ICG.

Dziennikarz przyłapał się na tym, że wbija w niego wzrok. Zamrugał.

– No dobrze – powiedział. – ICG to komitet, składający się z członków Połączonego Komitetu Szefów Sztabów i Narodowego Biura Rozpoznania, prawda?

– Zgadza się.

– Świetnie. – Cameron wiedział, czym jest Połączony Komitet Szefów Sztabów, niewiele jednak wiedział o Narodowym Biurze Rozpoznania – jedynie tyle, że jest to agencja wywiadowcza, do której zadań należy zajmowanie się amerykańskimi satelitami szpiegowskimi. Była utajniona i należała do nielicznych jednostek, mających prawo korzystać z „czarnego budżetu” – budżetu, którego z powodu szczególnego charakteru prowadzonych akcji nie ujawnia się senackiej komisji finansów. W czasie zimnej wojny rząd USA nieustannie zaprzeczał istnieniu Narodowego Biura Rozpoznania – dopiero w 1991 roku, wobec zgromadzonych dowodów, musiał wreszcie przyznać, że taka agencja istnieje.

– ICG to małżeństwo dwóch najpotężniejszych instytucji w tym kraju: najwyższego szczebla dowodzenia wszystkimi wojskami i najtajniejszego ramienia wspólnoty wywiadowczej – powiedział Trent.

– A jego zadaniem jest... jak pan to określił? „Zagwarantowanie Ameryce przewagi technologicznej nad resztą świata”, tak?

– Jego zadaniem jest zagwarantowanie, by każde ważne osiągnięcie technologiczne – czy jest to płyta kompaktowa, procesor komputerowy czy technologia pozwalająca ukryć samolot przed okiem radaru – stało się własnością Stanów Zjednoczonych Ameryki. – Trent wziął głęboki wdech. – Panie Cameron, chyba nie wyjaśniam tego zbyt dobrze. Może ujmę to inaczej: zadaniem ICG jest zbieranie informacji o wartości wywiadowczej lub – jak się to określa w biurokratycznym belkocie – „zbieżność wywiadowcza”. Ich robota polega na gromadzeniu ważnych informacji. A także zagwarantowaniu, że poza nami nikt o pewnych sprawach się nie dowie. Dla osiągnięcia tego celu ICG nie waha się zabijać. Zadaniem ICG – i powodem jego powstania – jest zapewnienie dostępu do określonych informacji wyłącznie Ameryce. Summa summarum, ICG ma tylko jedną ambicję: zachować przywództwo Stanów Zjednoczonych nad resztą świata.

– Ho, ho... i twierdzi pan, że osiąga to poprzez umieszczanie swoich ludzi w oddziałach wojskowych?

– To tylko jeden z elementów strategii ICG, panie Cameron. Najłatwiejszy. Proszę się zastanowić: Połączony Komitet Szefów Sztabów jest częścią ICG, jego członkowie mogą więc zadbać o to, by ich ludzie – absolutnie lojalni, zazwyczaj starsi stażem zawodowi żołnierze – starsi sierżanci, plutonowi – byli umieszczani w odpowiednich jednostkach. Oczywiście „odpowiednie jednostki” to oddziały szybkiego reagowania, które pierwsze przybywają na miejsce akcji: rozpoznanie piechoty morskiej, SEAL, rangersi.

– Ale przecież umieszczanie własnych ludzi w najbardziej wysuniętych jednostkach ma sens tylko w przypadku takich wydarzeń jak spadnięcie na Ziemię satelity szpiegowskiego przeciwnika czy uderzenie meteorytu.

– Proszę spojrzeć na to tak: na środek brazylijskiej dżungli spada meteoryt. Posyłamy piechotę morską. Żołnierze zabezpieczają teren i przejmują meteoryt. Jeżeli okaże się, że w meteorycie jest coś cennego, eliminuje się wszystkich, którzy cośkolwiek o tym wiedzą. Żołnierzy również.

– Eliminuje się?

– Nie można przecież pozwolić, aby banda uniwersyteckich półgłówków biegała po kraju i opowiadała ludziom o największych tajemnicach... tajemnicach, które mogłyby wysunąć Stany Zjednoczone o dwadzieścia lat przed resztą świata – powiedział gorzko Trent. – Nie mam racji? A wydobycie tego typu informacji od niskiego rangą żołnierza nie wymaga używania azotanu sodu. Wystarczy postawić mu parę piw i dać ładną dziewczynę, która obieca, że zrobi mu dobrze, i każdy kapral piechoty morskiej opowie Pannie Wielkie Cycki wszystko, co wie na temat jarzącego się zielono meteorytu, który znalazł podczas akcji w brazylijskiej dżungli. Proszę nie zapominać o wartości tych tajemnic, panie Cameron. Utraty kilku zwykłych żołnierzy nie da się porównać z wartością technologicznego odskoczenia o dwadzieścia lat od reszty świata.

Dziennikarz przerwał mu:

– No dobrze, a jak często coś takiego ma miejsce? Eliminacja całej jednostki... chyba zdarza się to raczej rzadko?

Trent skinął głową.

– Zgadza się. Wiem o czterech takich przypadkach w ciągu minionych piętnastu lat.

– Oho... – Cameron z powątpiewaniem przekrzywił głowę. – Panie Trent, rozumiem, o czym pan mówi, ale coś takiego wymagałoby całej sieci odpowiednio porozmieszczanych ludzi. Żołnierzy na wysokich stanowiskach, którzy nie tylko są członkami Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, ale zajmują także stanowiska w aparacie biurowym...

– Panie Cameron, wie pan, kto to jest Chuck Kozłowski?

– Słyszałem kiedyś to nazwisko.

– Starszy sierżant sztabowy Charles R. Kozłowski jest starszym sierżantem sztabowym w Korpusie Piechoty Morskiej. Wie pan, co to jest starszy sierżant sztabowy piechoty morskiej, panie Cameron?

– Co?

– Jest to najwyższa ranga podoficerska w korpusie. Najwyższy stopień żołnierski, panie Cameron. Chuck Kozłowski służy w piechocie morskiej trzydzieści trzy lata i jest

jednym z najczęściej odznaczanych żołnierzy w tym kraju. – Trent przez chwilę milczał, po czym dodał: – Jest ICG.

Dziennikarz popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale zapisał nazwisko.

Chuck Kozłowski.

– Jest stróżem każdego żołnierza w korpusie. Mówiono mi, że po incydencie w Peru zjawił się tam i osobiście odeskortował zdradzieckich marines – wszyscy byli żołnierzami wyższych stopni – do domu. Potem bez mrugnięcia okiem poprzydzielał ich do nowych jednostek, a jednego zaproponował nawet do odznaczenia.

– Jezu...

– Ma pan swoją sieć, panie Cameron. Siatkę, która obejmuje najwyższe stopnie żołnierskie w Korpusie Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych, i może decydować, do których jednostek chce przydzielać swoich ludzi. Na tym jednak nie koniec. Jak mówiłem, jest to tylko część programu ICG. Infiltrują nie tylko wojsko.

– To znaczy?

– Mają pod kontrolą także inne dziedziny życia... inne źródła nowatorskich technologii.

– Czyli?

– Na przykład biznes.

– Biznes? Chce pan powiedzieć: prywatne firmy? Trent skinął głową.

– Mówi pan, że rząd Stanów Zjednoczonych umieszcza swoich ludzi w prywatnych korporacjach, aby móc je kontrolować?

– Właśnie. Microsoft. IBM. Boeing Lockheed – powiedział sucho Trent. – A także najważniejsi dostawcy marynarki wojennej, wojsk lądowych i sił powietrznych, zwłaszcza jeżeli mają kontrakty zagraniczne.

– Jasna cholera...

– Infiltrują też jeszcze inne instytucje.

– Na przykład?

– Na przykład uniwersytety. Klonowanie owcy – ICG wiedziało o tym już w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, Klonowanie człowieka – ICG wiedziało o tym w zeszłym roku. – Trent wzruszył ramionami. – Uniwersytety to najważniejszy przyczółek postępu. Jeśli chcesz wiedzieć, co się dzieje w rurociągu, musisz wsadzić swoich ludzi do rury.

Dziennikarz przez minutę się nie odzywał.

Sama myśl o ogólno-amerykańskim spisku wywiadowczym sprawiała, że czuł łaskotanie na kręgosłupie. Przypominająca ośmiornicę sieć, której macki rozchodzą się z Pentagonu we wszystkie zakątki kraju i penetrują najważniejsze firmy oraz uniwersytety... Warto w tym pogrzebać.

– Panie Cameron – powiedział z powagą Andrew Trent, przerywając

dziennikarzowi rozmyślania. – ICG to niebezpieczna organizacja. Bardzo niebezpieczna. Jest lojalna tylko wobec Stanów Zjednoczonych Ameryki. Dopóki Ameryka będzie wygrywać, reszta ICG nie interesuje. Dla osiągnięcia tego celu będzie nawet zabijać. Zabiłaby pana i zabiłaby mnie. Panie Cameron, patriotyzm to cnota okrutnych. Z organizacją, która infiltruje własne siły zbrojne i nie cofa się przed zabijaniem dla utrzymania tajemnic, nie można żartować.

Cameron kiwnął głową.

– Panie Trent, czy ma pan cokolwiek z nazwiskami, co mógłbym...

Gospodarz wziął ze stołu za swoimi plecami kartkę papieru.

– Proszę, to dotychczasowe wyniki moich poszukiwań – oświadczył. – Nazwiska, zajmowane pozycje i stopnie wojskowe. – Podał kartkę dziennikarzowi.

Cameron przejrzał szybko listę. Wyglądała następująco:

TRANSMIT NO. 767-9808-09001

REF NO. KOS-4622

TEMAT: ALFABETYCZNA LISTA OSÓB UPRAWNIONYCH DO
OTRZYMYWANIA ZABEZPIECZANYCH KOMUNIKATÓW.

NAZWISKO	LOKALIZACJA	DZIEDZINA
----------	-------------	-----------

ADAMS, WALTER K.	LAB. LVRMRE	FIZ. NUKL.
ATKINS, SAMANTHA E.	GSTETNR	PROG. KOMP.
BAILEY, KEITH H.	BRKLY	INŻ. AERO.
BARNES, SEAN M.	SEALS	KOM. POR.
BROOKES, ARLIN F.	RNGERS	KPT.
CARVER, ELIZABETH R.	CLMBIA	INFORM.
CHRISTIE, MARGARET V.	HRVRD	CHEM. PRZEM.
DAWSON, RICHARD K.	MCRSOFT IBM	PROG. KOMP.
DELANEY, MARK M.	CRAY	KOMP.
DOUGLAS, KENNETH A.	KPMUSA	KOMP.
DOWD, ROGER F.	BOEING UN.	KAPR.
EDWARDS, STEPHEN R.	PD. KAL.	INŻ. AERO.
FROST, KAREN S.	LAB. ODRZ. NASA	INŻ. GEN.
FAULKNER, DAVID G.	LCKHEED	INŻ. AERO.
GIANNI, ENRICO R.	RANGERS	INŻ. AERO.
GRANGER, RAYMOND K.	YALE ARIZ	ST. SIERŻ.
HARRIS, TERENCE X.	KPM USA	FIZ. NUKL.
JOHNSON, NORMA E.U.	3M	BIOTOKS.
KAPŁAN, SCOTT M.	JHNS	SIERŻ. ZBROJM.
KASCYNSKI, THERESA E.	HPKS	FOSF.
KEMPER, PAULENE J.	KPM USA	DERMAT.
KOZŁOWSKI, CHARLES R.	ARMALTE	ST. SIERŻ. SZT.
LAMB, MARK I.	UN. TEX.	BALIST.
LAWSON, JANE R.	KPM USA	INSEKTCDY
LEE, MORGAN T.	UN. CLRDO	SIERŻ.
MAKIN, DENISE E.	LAB. LVMRE	ŚR. CHEM.
McDONALD, SIMON K.	PRNCTN	FIZ. NUKL.
NORTON, PAUL G.	SLCN	ŁAŃC. AMINOKW.
OLIVER, JENNIFER F.	STRS	PROG. KOMP.
PARKES, SARAH T.	UN. PD. KAL.	PALEONT.
RIGGS, WAYLON J.	SEALS	KMDR.
REICHART, JOHN R.	KPM USA	SIERŻ.
SHORT, GREGORY J.	UN. ST. KAL.	TEOR. PŁYN.
TURNER, JENNIFER C.	UN. KAL/LA	INŻ. GENET.
WILLIAMS, VICTORIA D.	UN. WASZ.	GEOFIZ.
YATES, JOHN F.	SI. POW. USA.	KPT.

Popatrzył na Trenta.

– Skąd pan to ma?

Mężczyzna uśmiechnął się. Był to pierwszy uśmiech, jaki Cameron ujrzał na twarzy swojego gospodarza od chwili, gdy wszedł do jego domu godzinę temu.

– Pamięta pan, że mówiłem o kolesiach, którzy czatowali w furgonetce pod domem moich rodziców?

– Tak...

– Poszedłem za jednym z nich do domu. Zatrzymałem go w drzwiach i zadałem kilka pytań. Był bardzo chętny do współpracy... po odpowiednim zmotywowaniu...

– Co się z nim stało?

Kiedy Trent odpowiadał, jego głos był twardy, zimny i całkowicie pozbawiony emocji:

– Nie żyje.

Waż stał przykuty do pała na poziomie E razem z Henrim Rae i Lukiem Championem. Zabrano mu broń i opancerzenie. Był ubrany jedynie w kamuflujący kombinezon.

Schofield, Riley i Rebound stali przed nim i przyglądali mu się. Matka też była na pomoście, siedziała na fotelu i wyglądała jak Kleopatra na tronie. Porucznik poprosił Booka i Rebounda, by ją wynieśli na zewnątrz.

Ostatnim obecnym był James Renshaw, który stał za Schofieldem. Był jedynym cywilem.

Atmosfera była napięta. Nikt się nie odzywał.

Porucznik popatrzył na zegarek.

Była 15.42.

Pamiętał, co Abby Sinclair mówiła o spowodowanej rozbłyskiem na Słońcu burzy magnetycznej, szalejącej nad Stacją Lodową Wilkes. Dziura w burzy będzie przechodzić nad stacją o 15.51.

Dziewięć minut.

Będzie musiał się spieszyć. Gant i reszta byli w dalszym ciągu w grocie, a przed porozumieniem się z McMurdo chciał skontaktować się z nimi i dowiedzieć, co na dole.

Wcisnął przycisk z boku zegarka i na cyferblacie pojawił się stoper. Cyfry wskazujące czas zmieniały się rytmicznie.

1:52:58

1:52:59

1:53:00

Cholera!

Będzie ciasno z czasem. Kiedy przekaże wieści ludziom z McMurdo o 15.51, będą mieli niecałą godzinę na zlokalizowanie UH i zniszczenie francuskiego okrętu,

czającego się u wybrzeży Antarktydy, by wystrzelić rakiety na Stację Lodową Wilkes.

– No dobrze – powiedział, zwracając się do stojącej wokół niego grupki. – Book Rebound. Wy pierwsi.

Obaj byli na zewnątrz, naprawiali antenę przy jednym z budynków na obrzeżu stacji.

– Wtedy się zgłosiłeś i kazałeś któremuś z nas sprawdzić, co z Renshawem – relacjonował Book. – Wąż odebrał wezwanie, więc poszedł. Wrócił po piętnastu minutach i powiedział, że wszystko gra, że Renshaw siedzi w swoim pokoju i że to fałszywy alarm.

Schofield skinął głową – wtedy właśnie został postrzelony.

– Nieco później postanowiłem iść sprawdzić, co z Matką, ale Wąż mnie powstrzymał, mówiąc, że sam pójdzie – dodał Book. – Niczego nie podejrzewałem, więc odparłem, że jeśli ma ochotę, niech idzie.

Porucznik znów skinął głową – wtedy została zaatakowana Matka. Zrobił krok do przodu i stanął przed Wężem.

– Sierzancie, moglibyście się wytłumaczyć? Wąż nie odpowiedział.

– Sierzancie, spytałem, czy bylibyście łaskawi powiedzieć mi, co tu się, do kurwy nędzy, dzieje?!

Wąż nadal milczał, wyszczerzył tylko złośliwie zęby.

Schofield nienawidził tego człowieka, już sam jego widok przyprawiał go o mdłości.

To on do niego strzelił – właściwie go zabił – a potem sprawdził puls, by się upewnić, że nie żyje.

Porucznik długo zastanawiał się nad tym strzałem.

Wszystko wyjaśniało zamrożone szkło na pomoście. Białe, zamrożone szkło, na którym Schofield stanął kilka sekund przed dostaniem kuli.

Wyjaśniało, dlaczego Wężowi udało się bezpiecznie wystrzelić z karabinu, choć stacja była wypełniona gazem.

Odpowiedź na to pytanie była bardzo prosta.

Wąż nie strzelał z wnętrza stacji. Strzelał z zewnątrz. Wybił dziurę w pokrytej lodem kopule nad szybem głównym i przez nią strzelił. Szkło, które rozbił, spadło na sam dół stacji, na pokład E. Właśnie na nim Schofield stanął chwilę przed postrzeleniem.

Porucznik bez słowa wpatrywał się w Węża.

– Powiedział, że jest ICG – wtrąciła cicho Matka.

Book i Rebound odwrócili się do niej gwałtownie.

– No i co, sierzancie? – spytał Schofield. Wąż nadal się nie odzywał.

– Jesteś niezbyt rozmowny, co? – zauważył porucznik.

– Był dość rozmowny, kiedy zamierzał mnie wyfiletować – oświadczyła Matka. – Uważam, że powinniśmy mu obciąć jaja i nakarmić nimi te jebane orki.

– Dobry pomysł – uznał Schofield. Wąż nadal hardo się do niego szczyrzył.

Porucznik poczuł, jak wzbiera w nim złość. Najchętniej huknąłby Wężem o ścianę i starł mu z ust ten uśmieszek...

„Jako dowódca nie możesz sobie pozwolić na złość albo zdenerwowanie” – zabrzmiały mu znów w głowie słowa Trevora Barnaby’ego.

Zastanawiał się, czy Barnaby miał kiedyś w swoim oddziale wtykę. Był ciekaw, co sławny dowódca SAS zrobiłby w takiej sytuacji.

– Book... co o tym myślisz? – spytał.

Buck Riley ze smutkiem popatrzył na Węża i pokręcił głową. Był wyraźnie wstrząśnięty, że Wąż okazał się agentem ICG.

– Nie sądziłem, że jesteś zdrajcą – powiedział, po czym odwrócił się do Schofielda. – Nie do ciebie należy wymierzanie kary. Nie tutaj. Nie teraz. Weź go do domu. Poślij go do więzienia.

Zapadła długa cisza. Przerwał ją Schofield, mówiąc:

– Opowiedz mi o ICG, Wężu.

– Ładna rana – wycedził Wąż, patrząc na opatrzone skaleczenie na szyi porucznika. Skaleczenie, które sam spowodował. – Powinieneś już nie żyć.

– Śmierć mi się nie podobała. Opowiedz o ICG.

Wąż uśmiechnął się lodowato, a potem zaczął się śmiać.

– Jesteś już martwy – powiedział cicho, po czym odwrócił się do pozostałych. – Wy też wszyscy zginiecie – dodał.

– Co masz na myśli? – spytał Schofield.

– Chciałeś coś wiedzieć o ICG i właśnie ci o nim opowiedziałem.

– ICG nas zabije?

– ICG nigdy nie pozwoli na to, byście przeżyli. Nie ma takiej możliwości. Nie po tym, co tu widzieliście. Jeżeli rząd Stanów Zjednoczonych położy łapę na statku kosmicznym, nie może dopuścić, by taka garstka gnoi jak wy o tym wiedziała. Wszyscy zginiecie. Bądźcie tego pewni.

Słowa Węża zawisły w powietrzu. Wszyscy na pomoście milczeli.

Ich nagrodą za przybycie na Stację Lodową Wilkes i obronienie jej przed Francuzami miał być wyrok śmierci.

– Wspaniale – mruknął porucznik. – Po prostu wspaniale. Założę się, że jesteś z siebie dumny.

– Lojalność wobec mojego kraju jest ważniejsza od lojalności wobec ciebie, Strachu na Wróble – oświadczył buntowniczo Wąż.

Porucznik zazgrzytał zębami i zrobił krok naprzód, ale Book go powstrzymał.

– Nie teraz – powiedział. – Nie tutaj.

– Poruczniku! – zawołał gdzieś z wysoka kobiecy głos. Schofield spojrział w górę. Zza poręczy pomostu na poziomie A wychylała się Abby Sinclair.

– Poruczniku! Już czas!

Schofield wszedł do pomieszczenia radiowego na poziomie A. Za nim weszli Book i James Renshaw. Rebound został na dole, by pilnować Węża.

Abby siedziała przy konsoli. Widok geofizyka wyraźnie ją zdziwił.

– Cześć, Abby – powiedział Renshaw.

– Cześć, James – odparła ostrożnie Abby i zwróciła się do porucznika: – Dziura powinna lada chwila być nad nami. – Przełączyła jakąś dźwignię i z dwóch zamontowanych na ścianie głośników rozległ się szum zakłóceń atmosferycznych.

SZSZSZSZSZSZSZ.

– To odgłos burzy elektromagnetycznej – wyjaśniła. – Ale jeśli zaczeka pan... jeszcze kilka sekund...

Nagle szum ucichł i zapadła całkowita cisza.

– Oto i ona – powiedziała Abby. – Pańska przerwa, poruczniku. Proszę ją wykorzystać.

Schofield usiadł za konsolą i chwycił mikrofon.

Wcisnął klawisz nadawania, kiedy jednak zamierzał zacząć mówić, z głośników na ścianie wystrzelił wysoki pisk. Brzmiało to jak sprzężenie zwrotne albo interferencja.

Porucznik natychmiast puścił mikrofon i popatrzył na Abby.

– Co zrobiłem? Nacisnąłem coś, czego nie powinienem naciskać?

Abby zmarszczyła czoło i poprzelączała kilka klawiszy.

– Nie. Nic pan nie zrobił.

– Dobrze obliczyłaś rozbłysk? Może pomyliłaś czas?

– Nie – odparła Abby i przełączyła kilka kolejnych klawiszy. Ale system nie reagował. Przenikliwy pisk nadal wypełniał pomieszczenie.

– Coś jest nie tak – stwierdziła Abby. – To nie jest interferencja z rozbłysku. Dzieje się coś innego. Ten sygnał jest... elektroniczny. Jakby ktoś nas zagłuszał...

Schofield poczuł, jak po kręgosłupie przebiega mu lodowaty dreszcz.

– Zagłuszał nas?

– Jakby między nami a McMurdo ktoś był i zatrzymywał nasz sygnał.

– Strachu na Wróble... – odezwał się nagle jakiś głos za plecami Schofielda.

Porucznik odwrócił się gwałtownie.

W drzwiach pomieszczenia radiowego ujrzał Rebounda.

– Zdawało mi się, że miałeś zostać z...

– Sir, chyba powinien pan to zobaczyć. – Rebound uniósł lewą rękę.

W dłoni trzymał przenośny monitor, który Schofield przyniósł z poduszki.

Ekran wskazywał wyniki poszukiwań zamontowanych na dachach poduszkowców dalmierzy.

Młody żołnierz podszedł szybko i podał monitor porucznikowi.

Porucznik popatrzył na ekran i jego oczy rozszerzyły się z przerażenia.

– Boże drogi...

Ekran wypełniały czerwone plamki.

Wyglądały jak rój pszczół, zmierzających do jednego, określonego punktu:

wszystkie plamki sunęły ku środkowi ekranu. Schofield naliczył dwadzieścia plamek.

Dwadzieścia... Wszystkie zbliżały się do Stacji Lodowej Wilkes.

– Dobry Boże... – wymamrotał porucznik.

Nagle rozległ się głos, który zmroził mu krew w żyłach. Dolatywał z głośników na ścianach pomieszczenia radiowego.

Był donośny i twardy – jakby sam Bóg chciał przekazać im wiadomość.

– Uwaga, Stacja Lodowa Wilkes. Uwaga! Rzeczowo, lakonicznie i kulturalnie.

– Uwaga, oddział amerykański w Stacji Lodowej Wilkes. Jak z pewnością się domyśliliście, wasze łącza zostały zerwane. Nie ma sensu próbować łączyć się ze stacją McMurdo – nie przedostaniecie się. Radzę, abyście natychmiast złożyli broń. Jeżeli nie zrezygnujecie z obrony przed naszym przybyciem, będziemy zmuszeni wtargnąć siłą. Takie wejście, panie i panowie, będzie bolesne.

Słyszac ten głos, Schofield znieruchomiał. Angielski akcent... Dobrze znał ten głos. Był to głos z jego przeszłości. Głos Trevora Barnaby'ego. Generała brygady Trevora Barnaby'ego z formacji SAS Jej Królewskiej Mości.

PIĄTE WTARGNIĘCIE

16 CZERWCA, GODZINA 15.51

Jezus, Maria... – stęknął Rebound.

– Kiedy tu będą? – spytał Book.

Schofield wpatrywał się w ekranik. Patrzył na okienko na dole: znajdował się w nim szkic poduszki. Rysunek obracał się, a pod nim widniały słowa: BELL TEXTRON SR.N7-S – POJAZD DESANTOWY NA PODUSZCE POWIETRZNEJ (GB).

– To SAS – stwierdził z niedowierzaniem Rebound. – Jebany SAS.

– Spokojnie, Rebound – powiedział porucznik. – Jeszcze żyjemy. – Odwrócił się do Booka. – Są pięćdziesiąt pięć kilometrów od nas, lecą sto trzydzieści na godzinę.

– Zdecydowanie nie jest to przyjacielska wizyta.

– Pięćdziesiąt pięć kilometrów przy stu trzydziestu na godzinę. To daje nam... – zaczął liczyć Schofield.

– Dwadzieścia sześć minut – wtrąciła szybko Abby.

– Dwadzieścia sześć minut. – Porucznik nerwowo przełknął ślinę. – Cholera jasna.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

Porucznik słyszał, jak Rebound oddycha. Robił to bardzo szybko, prawie hiperwentylował.

Wszyscy patrzyli na Schofielda. Czekali, co rozkaże.

Porucznik wziął głęboki wdech i spróbował szybko ocenić sytuację. SAS – brytyjski Special Air Service, najgroźniejszy oddział specjalny świata, zbliżał się właśnie do Stacji Lodowej Wilkes.

Dowodził nim Trevor Barnaby, człowiek, który nauczył Shanea Schofielda wszystkiego, co porucznik wiedział o prowadzeniu tajnych akcji, polegających na nagłym wtargnięciu na teren wroga. Człowiek, który w ciągu osiemnastu lat od objęcia pierwszego dowództwa nie poniósł porażki w ani jednej misji.

Na dodatek Barnaby blokował radio Schofielda, broniąc mu dostępu do McMurdo. Powstrzymał go przed nawiązaniem kontaktu z jedyymi ludźmi na świecie, którzy mogliby wyeliminować francuski okręt wojenny, płynący u wybrzeży Antarktydy i zamierzający wystrzelić ku Stacji Lodowej Wilkes rakiety z głowicami nuklearnymi.

Porucznik popatrzył na stoper.

2:02:31

2:02:32

2:02:33

Jasna cholera!

Niecała godzina do odpalenia przez Francuzów rakiet.
Cholera. Wszystko działo się zbyt szybko.
Popatrzył ponownie na ekran dalmierzy i rój zbliżających się do stacji plamek.
Dwadzieścia poduszkowców. W każdym prawdopodobnie dwóch albo trzech ludzi. Czyli minimum pięćdziesięciu ludzi.
Pięćdziesięciu ludzi.
A ilu on sam miał?
Trzech sprawnych ludzi w stacji. Trzech kolejnych w grocie. Matkę w magazynie i Węża, przykutego do pała na poziomie E.
Sytuacja wyglądała nie tylko źle.
Wyglądała beznadziejnie.
Mogą jedynie zostać, gdzie są, i rozpocząć samobójczą walkę z SAS – albo uciec: spróbować dostać się do McMurdo poduszkowcami i sprowadzić pomoc.
Schofield rozejrzał się po twarzach grupki ludzi wokół niego.
– No dobra – powiedział. – Spadamy stąd.
Kiedy wylądował z impetem na zimnym metalowym pomoście poziomu E, szybko przeszedł do wyjścia południowego tunelu i ruszył do drzwi magazynu, w którym siedziała Matka.
– Co się dzieje? – doleciał do niego głos Węża z drugiej strony pomostu. – Kłopoty, poruczniku?
Porucznik podszedł do skutego żołnierza. Francuscy naukowcy klęczeli po jego obu stronach i z rezygnacją wpatrywali się w pomost.
– Popełniłeś błąd – powiedział Schofield do Węża. – Za szybko zacząłeś zabijać własnych kolegów. Powinieneś był zaczekać, aż będziesz miał pewność, że stacja jest zabezpieczona. Teraz pędzi tu dwadzieścia angielskich poduszkowców i nie ma żadnych widoków na wsparcie. Będą na miejscu za dwadzieścia trzy minuty.
Twarz Węża pozostała obojętna, zimna.
– I wiesz co? Będziesz tu, kiedy się zjawią – dodał porucznik i odwrócił się, zamierzając odejść.
– Zostawisz mnie tutaj?
– Tak.
– Nie możesz. Potrzebujesz mnie. Schofield, już odchodząc, popatrzył na zegarek. Dwadzieścia dwie minuty do przybycia SAS.
– Miałeś swoją szansę i odrzuciłeś ją – powiedział. – Teraz pozostaje ci tylko modlitwa, by udało nam się przebić i dotrzeć do McMurdo. Bo jeśli nam się nie uda, cała stacja – i wszystko, co jest pod nią w lodzie – przepadnie na zawsze.
Doszedł do południowego tunelu, ale zanim do niego wszedł, zatrzymał się i jeszcze raz spojrzął na Węża.

– Przy okazji możesz spróbować swoich sił z Trevorem Barnabym – dodał.
Odwrócił się i wszedł do tunelu. Natychmiast skręcił w prawo i wszedł do magazynku, w którym zostawili Matkę. Znow siedziała oparta plecami o ścianę. Kiedy Schofield wszedł, podniosła na niego wzrok.

– Kłopoty? – spytała.

– Jak zwykle. Możesz się poruszać?

– Co się dzieje?

– Nasz ulubiony sojusznik właśnie przysyła swoje najlepsze oddziały, by przejąć stację.

– Co to ma znaczyć?

– Nadjeżdża SAS. Nie brzmie przyjaźnie.

– Ilu?

– Dwadzieścia poduszkowców.

– Kurwa!

– Właśnie... Możesz się ruszać? – zapytał ponownie Schofield, jednocześnie sprawdzając, czy da się zebrać wszystkie kroplówki, do których Newman była podłączona.

– Kiedy będą?

Porucznik popatrzył na zegarek.

– Za dwadzieścia minut.

– Dwadzieścia minut...

Schofield wziął do ręki dwie rurki z płynem.

– Strachu na Wróble...

– Momencik.

– Strachu na Wróble! Porucznik popatrzył na Matkę.

– Przestań – powiedziała łagodnie.

Schofield nadal na nią patrzył, nie odzywając się.

– Strachu na Wróble, idź stąd. Natychmiast. Nawet gdybyśmy mieli pełną dwunastkę mistrzów miecza, nigdy by nam się nie udało powstrzymać plutonu SAS. – Mianem „mistrz miecza” Matka określała żołnierza piechoty morskiej, co było odniesieniem do miecza na honorowej odznace, którą każdy marine nosi, zakładając paradny mundur.

– Matka...

– Strachu na Wróble, SAS nie jest regularnym oddziałem, takim jak my. To zabójcy, doskonale wyszkoleni zabójcy. Umieją błyskawicznie wnikać na teren wroga i zabijają wszystkich, którzy staną im na drodze. Nie biorą więźniów. Nie zadają pytań, tylko zabijają. Musisz ewakuować stację.

– Wiem.

– I nie możesz tego zrobić, taszcząc ze sobą jednonogą wiedźmę. Jeżeli ma ci się udać przebić blokadę, potrzebujesz ludzi, którzy mogą się poruszać. Szybko poruszać.

– Nie zostawię cię tutaj...

– Strach na Wróble! Musisz się dostać do McMurdo. Musisz ściągnąć posiłki.

– I co wtedy?

– Co wtedy? Wtedy wrócisz z pieprzonym batalionem mistrzów miecza, rozwalisz angielskich skurwieli, uratujesz mnie i miło zakończysz ten popierdolony dzień.

Schofield bez słowa wpatrywał się w Matkę. Odwzajemniała jego spojrzenie, patrzyła mu prosto w oczy.

– Idź – powiedziała stanowczo. – Idź już. Nic mi nie będzie. Porucznik nadal patrzył na nią w milczeniu.

Newman nonszalancko wzruszyła ramionami.

– No wiesz... jak już przedtem mówiłam, że gdyby pocałował mnie jakiś przystojniak, taki jak ty...

Schofield szybko pochylił się i pocałował ją w usta. Był to krótki pocałunek – niewinne cmoknięcie – ale oczy Matki zrobiły się wielkie jak spodki.

Porucznik wyprostował się. Newman wzięła głęboki wdech.

– Rany... facet...

– Znajdź sobie jakąś kryjówkę i siedź tu. Wróć. Obiecuję. Powiedziawszy to, Schofield wyszedł.

Silnik poduszkowca ożył z rykiem.

Siedzący na fotelu kierowcy Rebound wcisnął pedał do dechy. Igła obrotomierza skoczyła na 6000 obrotów na minutę.

Drugi poduszkowiec piechoty morskiej podpłynął nad ubitym śniegiem. Kiedy zatrzymał się obok pierwszej maszyny, jego silnik głośno zadudnił.

W radiu Rebounda odezwał się głos Bucka Rileya:

– Rebound, jeszcze piętnaście minut. Daj im dojechać do głównego budynku i wtedy bierz ich.

Schofield szedł szybko zewnętrznym tunelem poziomym B. Popatrzył na zegarek. Jeszcze piętnaście minut.

– Lis, słyszysz mnie? – Czekając na odpowiedź, zasłonił mikrofon dłonią. – Szybciej, ludzie! – wrzasnął.

Pozostali rezydenci stacji – Abby i trójka mężczyzn: Llewellyn, Harris i Robinson – wpadali i wypadali ze swoich pokojów.

Llewellyn i Robinson przebiegli obok porucznika. Byli ubrani w grube czarne wiatrówki. Biegli w kierunku szybu głównego.

Nagle w słuchawkach Schofielda rozległ się głos Gant:

– Strach na Wróble, tu Lis, słyszę cię. Nie uwierzysz, co jest tu na dole.

– Ty też nie uwierzysz, co się dzieje na górze. Przykro mi, ale będziesz musiała opowiedzieć mi to później. Mamy poważne kłopoty. Na stację jedzie pluton SAS, będą tu za czternaście minut.

– Jezu... Co zamierzasz?

– Spadamy. Musimy. Jest ich za dużo. Naszą jedyną szansą jest dostać się do McMurdo i sprowadzić kawalerię.

– Co mamy robić tu na dole?

– Zostać na miejscu. Skierujcie broń na wodę i strzelajcie do pierwszej głowy, która się z niej wychyli.

Mówiąc, Schofield cały czas się rozglądał. Nigdzie nie widział Kirsty.

– Posłuchaj, Lis, muszę iść.

– Bądź ostrożny, Strach na Wróble.

– Ty też. Strach na Wróble koniec. – Odwrócił się gwałtownie. – Gdzie jest dziewczynka?!

Nie otrzymał odpowiedzi. Abby Sinclair i naukowiec o nazwisku Harris byli zajęci ubieraniem się i upychaniem w torbach cenniejszych rzeczy. Po chwili Harris wypadł do tunelu z plikiem papierów w rękach.

Zaraz potem ze swojego pokoju wybiegła Abby.

– Gdzie jest Kirsty? – zapytał porucznik.

– Chyba poszła do swojego pokoju!

– Gdzie on jest?

– W głębi tunelu! Po lewej! – krzyknęła Abby i wskazała w głąb korytarza, za plecami Schofielda.

Pobiegł we wskazanym kierunku, cały czas rozglądając się za małą.

Dwanaście minut.

Otwierał każde mijane drzwi.

Pierwsze – sypialnia. Pusta.

Drugie zamknięte. Znajdowało się na nich trójkoliste logo, informujące o tym, że w środku są niebezpieczne substancje biologiczne. Laboratorium biotoksyn. Kirsty na pewno tam nie było.

Trzecie drzwi. Otworzył je energicznym ruchem i zamarł w bezruchu.

Tego pomieszczenia jeszcze nie widział, ale wyglądało na chłodnię. Jednak teraz nie przechowywano tu żywności. W tej chwili w chłodni mroziło się coś innego.

Trzy ciała.

Samuraj, Mitch Healy i Hollywood. Leżeli na plecach, jakby spali.

Po potyczce z Francuzami Schofield kazał zanieść swoich poległych ludzi do jakiejś chłodni, gdzie czekali na zabranie do domu i porządny pochówek.

Najwyraźniej zabrano ich tutaj.

Ale w chłodni było jeszcze czwarte ciało. Leżało tuż obok Hollywooda, przykryte brązowym jutowym workiem.

Porucznik zmarszczył czoło.

Jeszcze jedno ciało?

Nie mógł to być żaden z francuskich komandosów, bo wszystkich pozostawiono tam, gdzie zginęli...

Po chwili Schofield przypomniał sobie.

Bernard Olson.

Doktor Bernard Olson.

Naukowiec, którego kilka dni przed ich przybyciem na stację jakoby zabił James Renshaw. Musieli go tu położyć mieszkańcy Wilkes.

Porucznik popatrzył na zegarek.

Jedenaście minut.

Nagle przypomniał sobie jeszcze coś – coś, co Renshaw powiedział, gdy obudził się w jego pokoju. Kiedy geofizyk odpinał pasy, poprosił o coś dziwnego. Poprosił, żeby Schofield – gdyby miał szansę – obejrzał ciało Olsona, zwłaszcza jego oczy i język.

Porucznik nie miał pojęcia, jaki związek mogły mieć oczy i język zabitego Olsona z czymkolwiek, jednak Renshaw upierał się, że tylko w ten sposób da się udowodnić jego niewinność.

Dziesięć i pół minuty.

Nie ma czasu. Wynoś się stąd.

Ale przecież mały naukowiec uratował mu życie...

No dobrze, niech będzie, pomyślał.

Wbiegł do chłodni, opadł na kolana obok jutowego worka i zrzucił go z ciała.

Bernard Olson wpatrywał się w niego zimnymi, martwymi oczami. Był paskudny – gruby i łysy, miał nalaną, pomarszczoną twarz, a jego skóra miała barwę kości.

Nie wolno było zmarnować ani chwili. Porucznik najpierw sprawdził oczy.

Oczodoły wokół gałek były ciemnoczerwone, a same oczy podeszły krwią.

Potem zajął się ustami.

Były zamknięte. Spróbował je otworzyć, ale szczęka nie puszczała. Nie dała się otworzyć nawet na milimetr.

Przysunął się bliżej i rozsunął trupowi wargi. Może w ten sposób uda się obejrzieć język.

Wargi rozchyliły się.

– Blee... – jęknął Schofield i szybko przełknął ślinę, by powstrzymać odruch wymiotny.

Bernie Olson odgryzł sobie język.

Z jakiegoś powodu naukowiec tuż przed śmiercią mocno zacisnął zęby. Zrobił to z taką siłą, że przegryzł język na pół.

Dziesięć minut.

Starczy, czas iść.

Porucznik pobiegł do drzwi, a kiedy mijał zwłoki Mitcha Healy'ego, podniósł z podłogi hełm martwego żołnierza.

Wyszedł z chłodni w tym samym momencie, kiedy korytarzem nadbiegła Kirsty.

– Musiałam wziąć kurtkę – powiedziała przepraszającym tonem. – Poprzednia zmokła...

– Chodź. – Schofield wziął dziewczynkę za rękę i pociągnął ją za sobą.

Kiedy skręcali w tunel prowadzący do szybu głównego, ktoś za nimi krzyknął:

– Zaczekajcie na mnie! Porucznik odwrócił się szybko.

Renshaw. Przebierał z całych sił krótkimi nóżkami i biegł w ich kierunku. Miał na sobie grubą kurtkę, pod pachą ścisnął wielką księgę.

– Co pan wyprawia? – krzyknął Schofield.

– Musiałem to zabrać – powiedział geofizyk, wskazując na księgę pod pachą.

Minał Schofielda i pobiegł ku szybowi głównemu.

Schofield i Kirsty podążyli za nim.

– Co jest w tym tak ważnego? – wrzasnął porucznik.

– Moja niewinność! – odkrzyknął Renshaw.

Na zewnątrz śnieg padał poziomo.

Kiedy Schofield wyszedł głównym wejściem razem z Kirsty i Renshawem, śnieg z furją zaatakował jego twarz, odbijając się od lustrzanych okularów.

Osiem minut do przybycia SAS.

Dwa białe poduszki piechoty morskiej czekały tuż przy głównym wejściu. Przy maszynach stali Book i Rebound, pomagali wsiąść rezydentom stacji do pojazdu, którym miał kierować Rebound.

Plan porucznika był prosty.

Poduszki Rebounda posłużyły do transportu. Ponieważ było w nim sześć miejsc, zostanie użyty do przewiezienia ludzi ze stacji – Abby, Llewellyna, Harrisa, Robinsona i Kirsty – i oczywiście Rebounda.

Book i Schofield pojedą jako ochrona – osłaniając pojazd transportowy w drodze na wschód i ucieczce przed podążającymi do Stacji Lodowej Wilkes maszynami SAS.

Drugim poduszki miał kierować Book, trzecim – pomarańczowym francuskim – porucznik. Zdecydował, że pojedzie z nim James Renshaw.

Rebound zatrzasnął przesuwane drzwi, a Book wskoczył na brzeg poduszki powietrznej swojego pojazdu i zniknął w kabinie. Po sekundzie pojawił się ponownie

na zewnątrz – z wielką czarną walizą. Rzucił ją w kierunku Schofielda. Wylądowała na śniegu z głuchym tąpnięciem.

– Do zwalczania szkodników! – zawołał. Porucznik podszedł szybko do walizy.

– Masz! – rzucił krótko do Renshawa. – Załóż to.

Dał mu hełm, który zabrał, wychodząc z chłodni. Potem szybko podniósł walizę i ruszył w kierunku francuskiego poduszkowca.

Francuska maszyna stała tuż przy wejściu do stacji. W odróżnieniu od dwóch białych poduszkowców Korpusu Piechoty Morskiej była pomalowana na jaskrawo-pomarańczowo.

Siedem minut.

Schofield wskoczył na brzeg poduszki powietrznej i szarpnięciem otworzył drzwi. Zawołał do Renshawa, by podał mu walizę, i wrzucił ją do środka.

Przekręcił kluczyk zapłonu.

Silnik ożył z rykiem.

Wielkie, dwumetrowej średnicy śmigło z tyłu poduszkowca zaczęło się obracać. Przyspieszało coraz bardziej, aż w końcu – jak w starych dwupłatowcach – nagle zaskoczyło i zamieniło się w rozmazane, błyskawicznie wirujące koło.

Równocześnie włączyły się cztery mniejsze śmigła, umieszczone pod czarną gumową poduszką na dole pojazdu.

Poduszka napełniła się powietrzem, maszyna powoli uniosła się nad lodem.

Porucznik ustawił swój pojazd tak, by stał równoległe do białych. Wszystkie poduszkowce były skierowane tyłem do stacji.

Przez pancerną przednią szybę Schofield widział horyzont na południowym zachodzie. Jarzył się pomarańczowo.

Przykucnęła tam grupka ciemnych cieni. Niewielkie czarne pudełka z grubymi, zaokrąglonymi spodami, które zdawały się wyrzucać spod siebie strugi mgły.

Angielskie poduszkowce, zbliżające się do Stacji Lodowej Wilkes.

– No dobra, ludzie – powiedział Schofield do mikrofonu w hełmie. – Wynośmy się stąd.

Lód pod nimi przemykał z ogromną prędkością.

Trzy amerykańskie poduszkowce pędziły po płaskowyżu – jeden obok drugiego. Book i Schofield jechali na zewnątrz, maszyna transportowa Rebounda znajdowała się w środku.

Gnali na wschód, w kierunku stacji McMurdo. Trzy poduszkowce trzymały się linii brzegowej, dość blisko krawędzi klifu, wznoszącego się pionową ścianą wokół sporej zatoki. W linii prostej jej brzegi były oddalone od siebie niewiele ponad półtora kilometra, ale objechanie zatoki lądem wymagało pokonania prawie dwunastu kilometrów. Wielkie jak góry fale Oceanu Indyjskiego wałyły z głośnym hukiem

w podstawę pionowej ściany.

Schofield spojrzął za siebie. Brytyjskie poduszki zbliżały się do Stacji Lodowej Wilkes od zachodu i południa.

– Musieli wylądować w którejś z australijskich stacji – powiedział przez zamocowany w hełmie interkom. Prawdopodobnie w stacji Casey. Była najbliższa, oddalona od Wilkes o jakieś tysiąc sto kilometrów.

– Jebane kangury – odpowiedział mu w słuchawkach głos Riley’a.

Osiem kilometrów dalej, siedzący w cichym wnętrzu wyprodukowanego przez Amerykanów poduszki Bell Textron SR.N7-S generał brygady Trevor J. Barnaby patrzył pozornie obojętnie przez wzmocnioną przednią szybę.

Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, miał dziesięć pięć lat, ogoloną na łyso czaszkę i spiczastą, czarną kocią brodę. Patrzył na świat lodowatym, twardym spojrzeniem.

– Uciekasz, Strachu na Wróble – powiedział głośno. – No, no... spryciarz z ciebie.

– Kierują się na wschód, sir – powiedział siedzący obok Barnaby’ego młody kapral SAS, obsługujący radio. – Jadą wzdłuż brzegu.

– Posłać za nimi osiem maszyn – rozkazał Barnaby. – Zabić ich. Reszta kieruje się do stacji zgodnie z planem.

– Tak jest, sir.

Igła prędkościomierza w poduszki Schofielda przekroczyła kreskę wskazującą 130 kilometrów na godzinę. Śnieg walił w przednią szybę.

– Sir, zbliżają się! – wrzasnął w słuchawkach porucznik głós Rebounda.

Schofield szarpnął głową w prawo i również dostrzegł Anglików. Kilka brytyjskich poduszek wyłamało się z szyku i kierowało ku uciekającym amerykańskim maszynom.

– Pozostali jadą dalej na stację – powiedział głós Booka.

– Wiem – odparł porucznik. – Wiem.

Powiedziawszy to, obrócił się w fotelu. Geofizyk stał w tylnej części kabiny. W zbyt dużym dla niego hełmie Mitcha Healy’ego wyglądał dość dziwnie.

– Panie Renshaw... – zwrócił się do niego Schofield.

– Tak?

– Czas, by się pan do czegoś przydał. Proszę spróbować otworzyć leżącą na podłodze skrzynię.

Naukowiec natychmiast opadł na kolana i otworzył zatrzaśki leżącej przed nim czarnej skrzyni.

Porucznik prowadził dalej, co kilka sekund odwracał się jednak, by sprawdzić, jak

Renshaw sobie radzi.

– A niech to jasna cholera... – zaklął geofizyk, kiedy podniósł wieko i zobaczył, co jest w środku.

W tym momencie z zewnątrz doleciał jakiś dziwny dźwięk i Schofield gwałtownie odwrócił się do przodu. Znał ten dźwięk.

– O, nie... – jęknął.

Pierwszy pocisk raketowy wbił się w śnieg tuż przed pędzącym poduszkwowcem Schofielda.

Zrobił trzymetrowej średnicy krater, ale amerykańska maszyna przemknęła nad nim z rykiem, wpadając prosto w kulę dymu.

– Zbliżają się! – zawył głos Rebounda.

– Do lądu! – odrzyknął porucznik, który po wypadnięciu z chmury stwierdził, że jakieś sto metrów w lewo mają krawędź klifu. – Oddalić się od krawędzi!

Mówiąc, przez cały czas gorączkowo się rozglądał. Grupa brytyjskich poduszkwowców pędziła w ich stronę zwartym szykiem.

Gonił ich także kolejny pocisk raketowy.

Był biały, cylindryczny i ciął padający gęsto śnieg przed prowadzącą brytyjską maszyną, ciągnąc za sobą spiralę dymu. Pocisk przeciwczołgowy Milan.

Rebound także go dostrzegł.

– Yikes! – krzyknął.

Schofield wcisnął pedał gazu do końca.

Pocisk zbliżał się jednak błyskawicznie i szybko doganiał poduszkwowiec.

Zbyt szybko.

W ostatniej chwili porucznik gwałtownie szarpnął drążek kierowniczy i maszyna nagle została odepchnięta w lewo – ku krawędzi klifu.

Pocisk śmignął tuż przed pędzącym poduszkwowcem i Schofield odruchowo skrzyknął z powrotem w prawo. Rakieta huknęła w śnieg po ich lewej stronie i eksplodowała w ogromnym pióropuszu bieli.

Porucznik natychmiast ponownie skrzyknął w lewo i niemal równocześnie w śnieg po prawej uderzył kolejny pocisk.

– Zakolami! – wrzasnął Schofield do mikrofonu w hełmie. – Nie dać sobie wsiąść na ogon!

Nie zwalniając prędkości, z jaką gnały przez antarktyczny płaskowyż, wszystkie trzy amerykańskie maszyny zaczęły tańczyć wężykiem, próbując uniknąć trafienia przez grad walących z prawa i lewa brytyjskich pocisków raketowych. Powietrze wypełniały ogłuszające wybuchy, w górę raz za razem wystrzeliwały potężne fontanny śniegu i ziemi.

Schofield rozpaczliwie walczył z drążkiem kierowniczym. Poduszkwowiec

pokonywał lodową płaszczyznę niczym ciężarówka, która wpadła w poślizg, z wyciem zataczał się na boki i podskakiwał, szczęśliwie unikając spadających wokół niego niczym ulewa pocisków.

– Skrzynia! – wrzasnął porucznik do Renshawa. – Skrzynia!

– Robi się! – odpowiedział naukowiec i wyjął solidną, półtorametrowej długości rurę.

– Doskonale! – zawołał Schofield, równocześnie szarpiąc drążkiem, by umknąć przed kolejną wyjącą angielską rakieta. Poduszkowiec poszedł ostro w prawo i gwałtownie nim zabujało. Geofizyk stracił równowagę i padł plecami na ścianę kabiny.

– Zamocuj rurę na kolbouchwycie! – wrzasnął porucznik. Naukowiec znalazł w skrzyni uchwyt. Wyglądał jak strzelba bez lufy – sama rękojeść, język spustowy i krótka kolba do oparcia o ramię. Rurę bez trudu dało się na nim umocować – za pomocą jednego zatrzasku.

– W porządku, panie Renshaw! Właśnie złożył pan stingera. Teraz czas go użyć.

– Jak?

– Otwórz drzwi, połóż rurę na ramieniu, wyceluj ją w drani, a kiedy usłyszysz buczenie, pociągnij za spust. Reszta zrobi się sama.

– Nno... dobrze... – odparł z powątpiewaniem w głosie Renshaw.

Kilkoma szarpnięciami odsunął prawe drzwi poduszkowca. Wyjący arktyczny wichur natychmiast wypełniłabinę. Mały naukowiec, walcząc z jego naporem, z trudem przebił się w kierunku wyjścia.

Oparł rurę stingera na ramieniu i ustawił go tak, by móc patrzeć przez celownik. Widział przez noktowizor prowadzący brytyjski poduszkowiec, dokładnie w wycięciu szczerbinki. Angielska maszyna jarzyła się zielonkawo...

Nagle usłyszał głuchoe buczenie.

– Słyszę coś! – wrzasnął z podnieceniem.

– No to pociągnij za spust! Renshaw zrobił, co mu kazano.

Odrzut był tak silny, że geofizyk pofrunął do tyłu, jakby odbił się od gumowej ściany.

Płomień, który buchnął z tyłu rury, rozbił na drobne kawałki okna za plecami Renshawa.

Porucznik patrzył, jak pocisk leci spiralnym ruchem na prowadzący angielski poduszkowiec. Smuga dymu za rakieta zakreślała eleganckie łuki, znacząc przebyta przez nią drogę.

– Idźcie do diabła... – mruknął Schofield.

Rakieta z łomotem uderzyła w prowadzącego Anglika i poduszkowiec natychmiast wybuchł, rozpryskując się na tysiące kawałków.

Pozostałe brytyjskie maszyny, nie zważając na to, bezlitośnie kontynuowały pogoń. Jedna z maszyn lecących z tyłu przemknęła przez płonące resztki zniszczonego poduszkiowca.

– Dobry strzał, panie Renshaw! – pochwalił porucznik, choć doskonale wiedział, że naukowiec nie miał żadnej zasługi w tym, że strzał ze stingera był celny.

Już wcześniej przypuszczał – jak się okazało słusznie – że Anglicy ostrzelają ich milanami, są one jednak przeznaczone do walki z czołgami i pojazdami opancerzonymi, a nie poduszkiowcami, z łatwością osiagającymi ponad sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. Dlatego nie sprawdziły się w konfrontacji z poruszającymi się znacznie szybciej pojazdami Schofielda.

Natomiast pocisk raketowy ziemia-powietrze Hughes MIM-92 „Stinger” jest całkiem innym rodzajem broni. Został zaprojektowany do zestrzeliwania samolotów odrzutowych. Do zwalczania obiektów, poruszających się z prędkościami naddźwiękowymi. Mógł bez trudu trafić poduszkiowca – nawet lecący z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Stinger jest także prawdopodobnie najprostszą w obsłudze bronią do wystrzeliwania z ramienia, jaka kiedykolwiek istniała. Wystarczy skierować wyrzutnię na cel – a gdy rozlegnie się buczenie, pociągnąć za spust. Pocisk sam załatwia resztę.

Renshaw podnosił się nieporadnie. Kiedy już wstał, wyrzwał przez boczne drzwi i ujrzał dopalające się resztki brytyjskiego poduszkiowca, do którego strzelił ze stingera.

– Yikes... – powiedział cicho.

Siedem pozostałych angielskich poduszkiowców skracalo dystans.

– Book! – wrzasnął głos Rebounda. – Potrzebują pomocy!

– Trzymaj się! Idę! – odkrzyknął Book i szarpnął drążkiem swojego poduszkiowca.

Maszyna odbiła w prawo – objeżdżając z prawej i od tyłu transportowiec Rebounda – i znalazła się między nim a zbliżającymi się coraz bardziej Anglikami.

Book spojrzal w prawo i w tym samym momencie pociski trafiły w jego prawe okno. Na szybie pojawiły się zadrapania, ale nie popekała. Jak w każdym bojowym poduszkiowcu, była zrobiona z kuloodpornego lexanu.

Brytyjskie poduszkiowce były już bardzo blisko. Zostało im jeszcze jakieś dwadzieścia metrów. Śmigając nad lodem, zbliżały się do trzech amerykańskich poduszkiowców jak stado głodnych rekinów.

– Book! Pomóż!

Book trzymał się dokładnie za Reboundem.

Z prawej atakowało ich czterech Anglików.

Book odsunął lufą MP5 boczne okienko i zaczął strzelać. Obok najbliższego brytyjskiego poduszkiowca pojawiły się w lodzie dziury po pociskach.

Nagle Anglik gwałtownie odbił w lewo i staranował poduszkowiec Booka. Impet uderzenia wyrzucił Booka z fotela.

– Strach na Wróble! Gdzie jesteś?! – zawył Book.

Wspiął się z powrotem na fotel i popatrzył przez boczną szybę na pędzącego obok Anglika. Poduszkowiec wroga był tak blisko i że Book wyraźnie widział kierowcę – ubranego na czarno i w czarnej kominiarce będącej znakiem rozpoznawczym SAS. Z tyłu brytyjskiego pojazdu siedziało jeszcze dwóch ludzi – też ubranych na czarno. Jeden z nich gwałtownym szarpnięciem otworzył boczne drzwi.

Najwyraźniej zamierzali przeskoczyć...

Nagle brytyjska maszyna wypełniła się światłem. W jednej chwili wszystkie pancerne szyby popękały i wypadły z ram.

Book ze zdumieniem patrzył, jak pędzący tuż obok niego poduszkowiec eksploduje, a jego szczątki zostają w tyle. Spojrzał przez ramię i dostrzegł pomarańczowy poduszkowiec Schofielda. Unosiła się przed nim jeszcze smuga dymu ze stingera.

– Dzięki, Strach...

– Book! Uważaj z lewej! – wrzasnął głos Schofielda.

Uderzenie wyrzuciło Booka w powietrze i cały świat się przechylił, kiedy potężne uderzenie uniosło nad lodem jego poduszkowiec, który po chwili – WUMMM! – całą swoją wielką masą opadł do poziomu, nie tracąc nic z prędkości.

Book był kompletnie zdezorientowany. Zaczął się znowu wspinać na fotel kierowcy, kiedy jego maszyną wstrząsnęło kolejne uderzenie – tym razem z prawej strony.

– Strach na Wróble! – zawył.

– Mam kłopoty!

– Widzę cię, Book! Widzę! Idę! – Schofield wyglądał przez zaklejoną śniegiem szybę swojej maszyny.

Miał pojazd Booka tuż przed sobą. Po obu stronach osaczyły go czarne maszyny Brytyjczyków, które na zmianę taranowały go z całym impetem.

– Renshaw! Co z tobą?

– Zaraz... moment... – wymamrotał Renshaw zza pleców porucznika, gorączkowo próbując wcisnąć w rękojeść stingera nową rurę.

– Trzymaj się, Book!

Schofield mocniej wcisnął pedał gazu i jego LCAC przyspieszył. Powoli zbliżał się do trójki w przodzie – Booka i dwóch Anglików.

Po chwili pomarańczowy poduszkowiec wyprzedził walczącą trójkę z lewej strony i nagle płynnym ruchem znalazł się przed nią.

Porucznik popatrzył przez tylną szybę i choć pracujący na wysokich obrotach

wirnik rozmazywał widok, zobaczył to, co chciał. Odwrócił głowę do przodu i spojrzął na pędzący jakieś dwadzieścia metrów przed nim, nieco po lewej, transportowy poduszkowiec Rebounda.

– Rebound!

– Tak?

– Przygotuj się do przejścia Booka.

– Co?

– Przygotuj się!

– Co zamierzasz?

– Lasso. – Schofield wyjął MP5 i odwrócił się do geofizyka. – Panie Renshaw...

– Słucham?

– Trzymaj się pan mocno.

Nie czekając, aż geofizyk się czegoś złapie, wrzucił dźwignię biegów na pozycję neutralną i energicznie szarpnął drążkiem w prawo.

Niczym dwutonowy baletmistrz z gabinetu dziwów, poduszkowiec Schofielda zrobił idealnie w poziomie obrót o pełne sto osiemdziesiąt stopni – tuż przed poduszkowcem Booka i dwoma Anglikami.

Porucznik natychmiast wrzucił wsteczny bieg i włączył napęd.

Lecieli do tyłu z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Przed Bookiem i Anglikami.

Schofield wystawił lufę MP5 przez boczne okienko i wystrzelił długą serię.

Przednia szyba angielskiego poduszkowca, który znajdował się teraz po jego prawej ręce, eksplodowała. Trafiony serią prowadzący maszynę żołnierz zaczął podskakiwać, jakby dostał konwulsji.

Zaatakowany angielski poduszkowiec natychmiast odbił w bok i błyskawicznie pozostał z tyłu.

Ale Book w dalszym ciągu miał poważne kłopoty.

Anglik z lewej co prawda zniknął, jednak ten z prawej taranował go tym wścieklej.

Oba poduszkowce mknęły obok siebie po nieskończonej płaszczyźnie, rycząc silnikami.

Nagle boczne drzwi angielskiej maszyny odciągnięto i wysunęła się z nich gruba, czarna lufa.

– Jasna cholera... – jęknął Book.

Z lufy granatnika M-60 wydobyła się chmura dymu i po sekundzie boczne drzwi maszyny Amerykanina z gwałtownym trzaskiem wpadły do środka.

Book natychmiast dostrzegł zagrożenie.

Mały, czarny cylinder z niebieskimi cyframi na boku toczył się po podłodze kabiny. Przypominał zwykły granat, Book wiedział jednak, że ma do czynienia z czymś

znacznie niebezpieczniejszym.

Był to granat azotowy.

„Podpis” SAS. Najnowocześniejszy granat na świecie. Miał nawet specjalny mechanizm, uniemożliwiający podniesienie go z ziemi i odrzucenie. Standardowe opóźnienie pięć sekund.

Spadaj stąd! – rozkrzyczał się umysł Booka.

Zanurkował na lewo – jak najdalej od angielskiego poduszkowca – i sięgnął do drzwi. Natychmiast się otworzyły.

Pięć...

W twarz uderzył go lodowaty antarktyczny wiatr, a po oczach smagnał ostry jak igły śnieg, ale Book niewiele się tym przejął. Śnieg go nie zabije, natomiast granat azotowy na pewno pozbawi go życia.

Cztery... trzy...

Zanurkował w lodowaty wiatr i natychmiast zasunął drzwi. Leżał płasko na czarnym gumowym fartuchu, biegnącym wokół podstawy poduszkowca. Twarz miał przyciśniętą do dołu szyby z boku kabiny. Wyjący, szalejący wicher rozrywał mu bębunki.

Dwa... jeden...

Book modlił się, by wzmocnione lexanowe szyby wytrzymały.

Granat w środku eksplodował i tuż przed oczami leżącego o wewnętrzną stronę szyby plasnęła fala błękitnego, przezroczystego płynnego azotu. Book odruchowo szarpnął głowę do tyłu.

Zdumiony przyglądał się wnętrzu kabiny. Zmrożony płynny azot ochlapał każdy wystający element.

Na wewnętrznej stronie szyby potworzyły się gęste, błękitne dzioby. Book odetchnął z ulgą. Szyba, choć ledwo ledwo, wytrzymała.

Nagle jednak...

TRZRZRZASSSK!

Book schował głowę w momencie, gdy szyba – zamrożona od środka i kurcząca się gwałtownie – popękała w tysiące pajęczyn.

– Book! – usłyszał w tym momencie w słuchawkach. Odwrócił głowę. Równoległe do jego maszyny podlatywała maszyna Rebounda. Widział siedzącego za sterami kolegę.

– Wsiadaj!

Poduszkowiec Rebounda jeszcze bardziej się zbliżył. Odsunęły się boczne drzwi. Gumowe fartuchy obu maszyn zetknęły się na sekundę, po czym się rozłączyły.

– Skacz!

Book spróbował wstać.

– Pospiesz się! – ponaglał go głos kolegi.

Usiłował skoncentrować spojrzenie na czarnym gumowym fartuchu, okalającym spód poduszkowca Rebounda. Próbował nie widzieć pasm bieli, przemykającej pod pojazdami z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Nagle kątem oka dostrzegł nowego przybysza.

Za maszyną Rebounda zmaterializował się czarny poduszkowiec.

W słuchawkach Booka rozległ się wrzask:

– Weź go, Strach na Wróble!

Drzwi brytyjskiego poduszkowca otworzyły się i w otworze pojawiła się lufa wyrzutni pocisków Milan.

Book patrzył, jak wylatuje z niej znajoma chmura dymu, a za nią pocisk raketowy, który zaczyna zataczać łuk dokładnie w jego kierunku. Ciągnęła się za nim rysująca pętle smuga dymu i Book zrozumiał, że jest za późno...

– Book! Na Boga, skacz! Skacz – cholera! Book skoczył.

Kiedy leciał w powietrzu, kątem oka widział, jak brytyjska maszyna wybucha, trafiona pociskiem ze stingera. Ale rakietę, którą przed trafieniem udało się Anglikom wystrzelić, kierowała się prosto na niego.

Nagle jego dłonie uderzyły w czarną gumę i zapomniał o angielskiej rakiecie, całą uwagę koncentrując na tym, by za coś się złapać.

Gdy jego stopy miały już dotknąć pędzącego lodu, chwycił umieszczoną na gumowym fartuchu knagę i podniósł głowę – akurat w chwili, kiedy brytyjski pocisk wbił się w tył maszyny, którą przed chwilą zostawił, i rozwalił ją na kawałki.

– Masz go? – zapytał Schofield przez mikrofon.

W dalszym ciągu pędził przed maszyną Rebounda – tyłem do przodu.

– Mam – odpowiedział Rebound. – Jest w środku.

– To dobrze – odparł porucznik.

W tym momencie zaczęła się kanonada.

Schofield gwałtownie odwrócił głowę.

Był to ten sam brytyjski poduszkowiec, który zaatakował Booka, ale z jego drzwi wystawał teraz wielki karabin maszynowy, znany pod przydomkiem „Gimpy”. Był zamontowany na trójnogu, a z jego lufy, która wydawała z siebie ogłuszający, niesamowity ryk, strzelał metrowy ożór ognia.

Pojazd Rebounda obsypały iskry, pociski karabinu pozostawiały dziury, pęknięcia i wgniecenia.

Z tyłu poduszkowca zaczęła się wydobywać cienka strużka dymu i maszyna wyraźnie zwolniła.

– Strach na Wróble! – wrzasnął Rebound. – Mamy poważny problem!

– Idę!

– Jestem trafiony i zwalniam! Muszę zrzucić trochę ciężaru, inaczej nie utrzymam prędkości!

Porucznik błyskawicznie ocenił sytuację. Przez cały czas poruszali się tyłem. Poduszkowiec Rebounda mieli z prawej, angielski z lewej. Po chwili powiedział:

– Panie Renshaw...

– Tak?

– Bierz kierownicę.

– Co?!

– To jak jazda samochodem, tyle że łatwiejsza, bo za nic nie odpowiadasz.

Geofizyk usiadł na fotelu kierowcy i chwycił drążek.

– Teraz zamknij oczy – polecił Schofield.

– He...?

– Nie pytaj, tylko zrób to – powiedział spokojnie porucznik, po czym uniósł lufę MP5 i...

...wywalił przednią szybę własnego poduszkowca.

Kiedy wokół Renshawa eksplodował grad szkła, naukowiec zasłonił oczy. Gdy po chwili znów je odsłonił, wyraźnie zobaczył oba pędzące „za nimi” poduszkowce.

– W porządku – mruknął Schofield. – Ustaw nas przed czarnym. Geofizyk delikatnie pchnął drążek. Poduszkowiec łagodnie przesunął się w lewo i znalazł się na wprost Anglika, ostrzeliwującego Rebounda.

– Może być – uznał porucznik. – Tak trzymać.

Owinał pasek MP5 wokół szyi i odbezpieczył desert eagle’a.

– Doskonale, panie Renshaw. Teraz wdepnij hamulec. Naukowiec ze zdumieniem podniósł głowę.

– Że co?

Natychmiast jednak zrozumiał, o co chodzi Schofieldowi.

– O, nie... nie mówisz poważnie...

– Rób, co mówię, nie pytaj...

Renshaw pokręcił głową, wziął głęboki wdech i z całej siły wcisnął obydwojoma stopami hamulec.

Poduszkowiec natychmiast wytracił pęd i angielska maszyna uderzyła w nich z całą prędkością.

Geofizyk napiął mięśnie w oczekiwaniu zderzenia, mimo to, kiedy nastąpiło, zatrzęsło nim potężnie. Gdy uniósł głowę, przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom. Schofield wychodził przez dziurę po przedniej szybie na maskę.

Szczepione poduszkowce stanowiły niesamowity widok. Gnały z taką samą prędkością, jakby stanowiły jedność, choć tylko angielski pojazd poruszał się

w przewidziany przez konstruktorów sposób – drugi jechał tyłem naprzód.

Trzema płynnymi, niemal tanecznymi, krokami porucznik przemknął po pomarańczowej masce i wskoczył na czarny przód poduszkowca prześladowającego ich Anglika.

Jego stopy zadudniły o czarny metal. Zanim płatki pędzącego śniegu zdążyły mu oblepić plecy, wystrzelił serię w przednią szybę angielskiej maszyny. Szkło się rozprysnęło, a kierujący pojazdem żołnierz padł na podłogę w rozbryzgach krwi.

W środku było jednak jeszcze dwóch ludzi, którzy w każdej chwili mogli skierować na Schofielda ogień.

Porucznik skoczył na dach w tym samym momencie, gdy z kabiny poleciały ku niemu kule.

Sunął po dachu angielskiej maszyny stopami do przodu. Znajdujące się po jego lewej ręce drzwi były w dalszym ciągu otwarte, przekręcił się więc na brzuch, sięgnął rękami do środka i pociągnął za spust MP5. Walił na ślepo do niewidocznego przeciwnika.

Po chwili magazynek MP5 został opróżniony i Schofield zastygł w oczekiwaniu. Jeżeli któryś z dwóch komandosów SAS przeżył, musiał się za chwilę pojawić.

Nikt nie wyszedł z poduszkowca.

Zamilkł także ogłuszający odgłos strzałów zamontowanego na trójnogu karabinu maszynowego. Do uszu porucznika docierało jedynie wycie wiatru.

Zsunął się przez otwarte drzwi do środka angielskiego poduszkowca.

Żaden z komandosów SAS nie przeżył ataku. Cała trójka leżała na podłodze, zalana krwią.

Schofield podszedł do fotela kierowcy.

– Panie Renshaw, słyszysz mnie? – zapytał przez mikrofon.

Siedzący w pomarańczowym francuskim poduszkowcu geofizyk tak mocno ścisnął dźwęk sterowniczy, że pobieleły mu palce. Prowadzony przez niego pojazd w dalszym ciągu poruszał się z ogromną prędkością – i nadal tyłem.

– Tak, słyszę – powiedział Renshaw do mikrofonu wielkiego hełmu.

– Musisz go odwrócić – poinstruował go Schofield. – Chcę, żebyś pomógł Reboundowi. Musi wylądować paru swoich pasażerów, inaczej nie utrzyma prędkości. Chcę, żebyś wziął ich do siebie.

– Nie poradzę sobie! Ty musisz to zrobić.

– Panie Renshaw...

– W porządku. Zrobi się.

– Chcesz, żebym ci powiedział, co masz robić?

– Nie, nie trzeba. Poradzę sobie.

– To do roboty. Muszę lecieć dalej – oświadczył porucznik. Ledwie skończył

mówić, odbił w lewo i pomknął ku uszkodzonej maszynie Rebounda.

– No dobrze... – mruknął sam do siebie Renshaw i jeszcze mocniej ścisnął drążek.
– Poradzę sobie. Widziałem, jak to robił... to nie powinno być takie trudne. Lasso... –
Wrzucił dźwignię zmiany biegów na luz i poczuł, jak wielki pojazd zaczyna wytracać prędkość. – W porządku... no to siup!

Gwałtownie szarpnął drążkiem w prawo.

Poduszkowiec natychmiast obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni wokół pionowej osi. Renshaw wrzasnął triumfalnie: JUHHHHUUU!! – kiedy dziób pojazdu skierował się dokładnie naprzód. Geofizyk pociągnął drążek do poprzedniej pozycji i maszyna od razu się uspokoiła. Dobry Boże! – znowu poruszała się przodem do przodu!

Renshaw był zachwycony. Natychmiast wrzucił najwyższy bieg.

– Jasna cholera... udało się. Udało się!

– Moje gratulacje, panie Renshaw – rozległ się w słuchawkach Renshawa kpiący głos porucznika. – Widziałem dzieciaki na skuterach śnieżnych, które lepiej to robiły. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, bądź uprzejmy się zamknąć i bierz dupę w troki. Rebound potrzebuje twojej pomocy.

Poduszkowiec Schofielda podleciał do maszyny Rebounda. Oba pojazdy wyglądały paskudnie – kierowany przez Rebounda S9, był cały poznaczony pociskami, kierowany przez porucznika nie miał przedniej szyby. Trzy pozostałe brytyjskie poduszkowce krążyły wokół, przecinały im drogę, zajeżdżały ich od tyłu.

Schofield przybliżył się jeszcze bardziej do Rebounda i jego lewe otwarte drzwi znalazły się dokładnie naprzeciwko prawych, również otwartych, drzwi maszyny Rebounda.

– Dobra jest! – wrzasnął porucznik. – Dawaj dwóch pasażerów do mnie! Zaraz będzie tu Renshaw! Weźmie jeszcze dwoje!

– Dziesięć-cztery, Strach na Wróble – odpowiedział głos Rebounda.

Schofield wcisnął klawisz uruchamiający automatycznego pilota i wrócił do kabiny. Stał przy otwartych drzwiach i przyjrzał się dzielącej oba poduszkowce przestrzeni. Po drugiej stronie – oddalony o mniej więcej dwa i pół metra – stał Book. Była z nim Kirsty.

– W porządku! – wrzasnął porucznik do mikrofonu, kiedy Rebound się przybliżył.
– Dawaj ją!

Book wyszedł na otaczający poduszkowiec gumowy fartuch, mocno trzymając Kirsty. Kiedy w dziewczynkę uderzył lodowaty wiatr, zmieniła się w kupkę przerażonego nieszczęścia.

Schofield wyszedł na fartuch swojego poduszkowca i wyciągnął ręce.

– Chodź, skarbie! – krzyknął. – Poradzisz sobie! Kirsty z wahaniem postąpiła do

przodu.

Lód pod nimi przemykał błyskawicznie, tworząc rozmazane smugi.

– Wyciągnij ręce! Wyciągnij ręce! Skacz! – krzyczał porucznik. – Złapię cię!

Mała skoczyła – ale nieśmiało i niezbyt daleko. Schofield wychylił się do przodu, złapał ją za kurtkę i natychmiast wciągnął do środka pędzącego poduszkowca.

– Nic ci nie jest? – spytał, kiedy znaleźli się w kabinie. Kiedy Kirsty otworzyła usta, by odpowiedzieć, poduszkowcem wstrząsnęło od potężnego uderzenia. Małą i porucznika rzuciło na obramowanie otwartych drzwi. Dziewczynka przeraźliwie krzyknęła i wypadła na zewnątrz, ale Schofieldowi udało się w ostatniej chwili złapać jej dłoń.

Szybko odwrócił głowę, by sprawdzić, co było przyczyną uderzenia.

Taranował ich kolejny Anglik.

Porucznik wciągnął Kirsty z powrotem do kabiny i przygotował się na zamortyzowanie następnego uderzenia.

Jednak uderzenie nie nastąpiło.

Zamiast tego prawa strona kabiny implodowała.

Kirsty wrzasnęła i Schofield skoczył, by osłonić ją przed fruwającymi kawałkami metalu i plastiku. Jednocześnie próbował przebić wzrokiem dym, by ustalić, gdzie jest angielski poduszkowiec i co robi jego załoga.

Poduszkowca nie było jednak widać.

Wszystko zasłaniał kłębiący się dym.

Po chwili do uszu Schofielda doleciał odgłos lądujących na gumowym fartuchu stóp, a kiedy ujrzał dwie wynurzające się z dymu, przypominające duchy postacie z uniesioną do strzału bronią, poczuł, że w żołądku zawiązuje mu się supeł.

Dwaj komandosi SAS stanęli w kabinie. Porucznik leżał na podłodze, zasłaniając Kirsty, sam był jednak kompletnie odsłonięty.

– Strach na Wróble! Na dół! – krzyknął w jego słuchawkach głos Booka.

Schofield skulił się i w tym samym momencie rozległ się świst lecących tuż nad jego głową pocisków. Pierwszy komandos SAS padł na podłogę jak wór, zastrzelony przez Booka z pędzącego obok poduszkowca.

Drugi komandos SAS, zaskoczony, zmarł. Porucznik natychmiast wykorzystał okazję, skoczył na nogi jak kot, rzucił się na Anglika i obaj załomotali o deskę rozdzielczą.

Walka, która się wywiązała, skończyła się jeszcze szybciej, niż się zaczęła.

Człowiek z SAS błyskawicznie rozprawił się ze Schofieldem. Jedno uderzenie w zranione gardło wystarczyło, by porucznik stracił oddech, kolejne – w klatkę piersiową – sprawiło, że trzasnęło mu żebro. Kiedy Schofield zgiął się wpół, Anglik złapał go za kołnierz i wyrzucił przez dziurę po przedniej szybie pędzącego cały czas

z maksymalną prędkością poduszki.

Ciało porucznika huknęło o maskę. Poczł okropny ból, nie mógł oddychać. Zakasłał krwią i podniósł głowę...

Komandos SAS wyciągnął z kabury pistolet.

Na widok broni Schofield odzyskał oddech i umysł mu się rozjaśnił.

Pędzący poduszki.

Człowiek z bronią, szykujący się do strzału.

Choć wszystko go bolało, porucznik przetoczył się dalej na przód poduszki, w kierunku zaokrąglonego dziobu. Tuż przed nim czarny gumowy fartuch opadał pionowo. Śnieg przemykał z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Za chwilę zginiesz...

Złapał się za coś i spuścił nogi za dziób pojazdu. Jego stopy dotknęły pędzącego śniegu i odbiły się.

Komandos SAS w kabinie, wyraźnie rozbawiony wysiłkami Amerykanina, na sekundę wstrzymał ruch pistoletu, z którego zamierzał strzelić przeciwnikowi w głowę.

Schofield – z posiniaczoną twarzą i zakrwawionymi ustami, pochylony nad wzdętym od pędu powietrza gumowym fartuchem – popatrzył na Anglika i uśmiechnął się. Komandos SAS odpowiedział uśmiechem i unióś wyżej lufę pistoletu.

W tym momencie porucznik schował głowę pod fartuch poduszki. Pistolet wystrzelił, ale pocisk z wizgiem odbił się od twardej gumy.

Schofield wisiał teraz na samym przodzie poduszki, przyciskając ciało do wybrzuszzonego fartucha. Jego stopy wlokły się po śniegu, przemykającym w dole z niesamowitą prędkością.

Podniósł głowę. Anglik z SAS stał na przedniej masce, tuż nad nim, i patrzył na niego przez układ celowniczy pistoletu.

Shane'owi Schofieldowi pozostał już tylko jeden ruch. Puścił gumowy fartuch i zniknął pod poduszki.

Hałas, jaki wytwarzały wirniki, rozrywał bębni.

Hełm Schofielda załomotał o twarde śnieg, a porucznik wślizgnął się na plecach pod poduszki.

Pęd wichru i ogłuszający ryk czterech wirników nad nim sprawiały, że czuł się jak w kanale powietrznym. Wyraźnie widział każdy centymetr wydętego na zewnątrz gumowego fartucha, wirujące z ogromną prędkością cztery wirniki...

...i w tym momencie wyprysnął spod pędzącego poduszki. Ryk wirników natychmiast ucichł, a Schofield sunął na plecach po białej, gładkiej płaszczyźnie – za poduszki, którym jeszcze parę sekund temu jechał.

Nie miał ani chwili do stracenia.

Przekręcił się błyskawicznie na brzuch, wyciągając jednocześnie zza pasa maghooka, popatrzył na tył oddalającego się poduszkowca, wycelował i strzelił.

Pękata głowica maghooka pomknęła w powietrzu, błyskawicznie rozwijając linę, do której była przymocowana. Po chwili magnes załomotał o metalowąabinę poduszkowca, tuż nad gumowym fartuchem, przykleił się i Schofield został gwałtownie szarpnięty do przodu.

Pomknął za oddalającym się szybko pojazdem po lodowej płaszczyźnie, na brzuchu, niczym nieporadny narciarz wodny, który stracił równowagę.

Nagle śnieg wokół niego oszalał od eksplozji.

Porucznik okręcił się wokół własnej osi, by spojrzeć za siebie.

Tuż za nim był drugi brytyjski poduszkowiec!

Schofield przekręcił się z powrotem na plecy, puścił maghooka, wyciągnął desert eagle'a i strzelił kilka razy do ścigającego go pojazdu. Pistolet zadudnił i zrobił kilka dziur w gumowym fartuchu u dołu gnającego za porucznikiem poduszkowca.

Ale pojazd nie zwolnił nawet o jotę.

Był już prawie przy nim.

Gdyby kierowca ścigającej Schofielda maszyny najechał nad niego i lekko zwolnił – poduszkowiec by się opuszczył, a porucznik zostałby rozszarpany na kawałki przez znajdujące się pod spodem łopaty wirników.

Znajdujące się pod spodem łopaty wirników...

Schofield rozpaczliwie zastanawiał się, czego mógłby użyć do...

Hełm!

Wcisnął pistolet do kabury i szybkim ruchem zerwał z głowy hełm.

Miał czas tylko na jedną próbę i musiał rzucić idealnie. Hełm po rzucie powinien się odbić – na tyle wysoko, by wpaść w wirniki ścigającego go poduszkowca.

Porucznik rzucił hełm za siebie.

Hełm poleciał płaskim łukiem – zdawał się unosić w powietrzu przez wieczność, po czym spadł, dotykając śniegu górną częścią, i angielski poduszkowiec natychmiast z rykiem nad niego wjechał.

Schofield ocenił, że hełm musiał po odbiciu się trafić w łopaty przedniego wirnika, bo pojazd nagle gwałtownie zadrżał i fiknął kozła – pędząc sto dziesięć kilometrów na godzinę, obrócił się spodem do góry i załomotał o lód dachem kabiny. Przez jakieś pięćdziesiąt metrów zmiażdżony poduszkowiec sunął na dachu tuż za porucznikiem, a potem zatrzymał się. Po kilku sekundach zmalował w oddali.

Schofield znowu przekręcił się na brzuch. Jego wleczone za poduszkowcem ciało twardo odbijało się od zlodowaciałego podłoża. Wzniesione przez poduszkowca drobiny lodu próbowały rozbić szkła jego lustrzanych okularów.

Porucznik wduślił na obudowie maghooka czarny guzik – po wciśnięciu którego

linka zaczyna się zwijać, ale magnes trzymał dalej – i miotacz zaczął przyciągać go do tyłu pędzącego pojazdu. Wkrótce był już przy czarnym gumowym fartuchu. Wiatr wytwarzany przez tylny wirnik dał mu prosto w twarz, ale Schofield nie zwracał na to uwagi. Złapał się uchwyty na górnej części fartucha i wciągnął się na górę.

Pięć sekund później stanął w otwartych lewych drzwiach poduszkowca – akurat na czas, by zobaczyć, jak komandos SAS z całej siły uderza dziewczynkę w twarz, posyłając ją na podłogę.

– Hola! – krzyknął.

Anglik odwrócił się i wyszczerzył zęby jak widzący ofiarę wilk.

– Kirsty... – powiedział Schofield, nie odwracając wzroku od Anglika. – Zasłoń oczy, skarbie.

Mała zasłoniła oczy.

Komandos SAS przed długą chwilę patrzył na Schofielda. Mężczyźni stali bez ruchu w kabinie pędzącego poduszkowca i spoglądali na siebie jak dwaj rewolwerowcy na pustej uliczce miasteczka Dzikiego Zachodu.

W pewnym momencie Anglik błyskawicznym ruchem sięgnął po broń.

Schofield sięgnął po swoją.

Oba pistolety zostały wydobyte jednocześnie, ale tylko jeden wystrzelił.

Możesz otworzyć oczy – powiedział Schofield, zrobił trzy kroki do przodu, przeszedł nad ciałem martwego Anglika i pochylił się nad Kirsty.

Dziewczynka powoli otworzyła oczy.

Na jej lewym policzku zaczynał się tworzyć siniak.

– Wszystko w porządku? – spytał łagodnie porucznik.

– Nie... – wymamrotała Kirsty. Wyjęła z kieszeni inhalator i wzięła dwa głębokie, przerywane chlipnięciami wdechy.

– Ze mną też nie – mruknął Schofield, wyjął jej z ręki inhalator, przystawił go sobie do ust i też wziął kilka wdechów, po czym schował inhalator do kieszeni.

Wstał i chwycił dźwąg kierowniczy. Wyrzucił z desert eagle'a pusty magazynek i włożył świeży. Kirsty podeszła do niego.

– Kiedy... kiedy zniknąłeś pod poduszkowcem... myślałam, że... że nie żyjesz...

Schofield schował pistolet do kabury i popatrzył na małą. Uświadomił sobie, że patrzy na nią przez odbłaskowe okulary. Zdjął je i ukląkł przed dziewczynką.

– Hej... wszystko gra. Wszystko jest jak należy. Nie zginę przy tobie. Nie zginę – obiecał. – Nie mogę zginąć, jestem przecież głównym bohaterem tej historii.

Kirsty uśmiechnęła się niepewnie. Porucznik także się uśmiechnął.

Nieoczekiwanie zrobiła krok do przodu i objęła go. Schofield, zaskoczony, odwzajemnił gest.

Jeszcze trzymał dziewczynkę, gdy do jego uszu doleciał jakiś dziwny odgłos.

HMHHHHH Głośny, rytmiczny łomot.

BUMMM.

BUMMM.

BUMMM.

Brzmiało to jak...

...rozbijające się o plażę fale.

Po chwili zrozumiał, skąd pochodzi ten odgłos, i poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Byli tuż przy skraju klifu. Manewry, jakie wykonywali w trakcie ucieczki i walki, zbliżyły ich do wznoszących się ponad sto metrów nad zatoką pionowych, nagich lodowych ścian. Głośne dudnienie było powodowane przez fale, walące z ogromną siłą w podstawę klifu.

Schofield trzymał Kirsty w ramionach, ale nagle jego uwagę zwróciło coś, co znajdowało się za dziewczynką.

Z boku deski rozdzielczej poduszkowca, na ścianie, wisiała niewielka szafka. Jej drzwiczki były uchylone, dzięki czemu widać było, że w środku są dwa srebrne pojemniki. Miały cylindryczny kształt i mniej więcej po trzydzieści centymetrów długości. W połowie obu pojemników namalowany był szeroki, zielony pasek.

Schofield dostrzegł na jednym z nich napis:

TRITONAL 80/20

Tritonal 80/20? Po co Brytyjczycy przywieźli coś takiego do Wilkes?

Tritonal 80/20 to bardzo skoncentrowane wybuchowe świństwo – łatwopalny płynny wypełniacz, stosowany w bombach zapalających. Nie jest to materiał rozszczepialny, ale eksploduje z ogromną siłą, wytwarzając bardzo wysoką temperaturę. Kilogram tego materiału – a tyle było mniej więcej w każdym zbiorniku, na które porucznik patrzył – może zrównać z ziemią niewielki budynek.

Delikatnie puścił Kirsty, założył z powrotem okulary i podszedł do szafki na ścianie. Wyjął jeden z pojemników.

Kiedy wrócił do Kirsty, spytał:

– Wszystko już dobrze?

– Aha.

– To znakomicie – powiedział i wsunął pojemnik z tritonalem do jednej z długich kieszeni na udach. – Bo teraz muszę wracać do...

Nie spodziewał się tego, co się wydarzyło w następnej sekundzie. Impet uderzenia ściał go z nog. Poduszkowcem szarpnęło gwałtownie w lewo.

Schofield wyrzwał przez dziurę w prawej burcie – obok nich pędził jeden z dwóch pozostałych brytyjskich poduszkowców.

Znów ich staranował.

Tak mocno, że Schofield wyraźnie poczuł, jak ich maszyna ześlizguje się w lewo.

– Co to, do cholery, ma...

Spojrzał w lewo i natychmiast zrozumiał zamiar Anglików.

– O, nie... nie...

Brytyjska maszyna ponownie ich staranowała i poduszkowiec Schofielda i Kirsty ześlizgnął się jeszcze bardziej w lewo.

Przed nimi rozciągała się w nieskończoność śnieżna płaszczyna, jednak z lewej gwałtownie się urywała. Wyglądała jak odcięta.

Klif.

Z każdym uderzeniem brytyjski poduszkowiec spychał ich bliżej i bliżej krawędzi.

Anglicy najwyraźniej zamierzali zrzucić ich w przepaść.

Schofield zaczął się mocować z drążkiem sterowniczym, ale nie miało to sensu.

Nie było gdzie uciekać.

Nie mając miejsca na ruch, bez możliwości ucieczki, porucznik mógł jedynie czekać na akcję Anglika.

Znów spojrzał w przód – skraj klifu był nie dalej jak dziesięć metrów po lewej. Za krawędzią widział maleńkie, spienione grzbiety fal. Droga na dół była bardzo daleka...

Jezu...

Wstrząsnęło nimi kolejne uderzenie i poduszkowiec przesunął się dalej w lewo, jeszcze bliżej krawędzi klifu.

Zostało im najwyżej osiem metrów.

Jeszcze kilka uderzeń i będzie po wszystkim.

Schofield odruchowo sięgnął do mikrofonu w hełmie, ale dłoń trafiła w pustkę.

Przypomniawszy sobie, że wyrzucił hełm.

Jasna cholera...

Bez hełmu nie mógł się porozumieć z pozostałymi.

Kolejne uderzenie, tym razem znacznie mocniejsze.

Poduszkowiec znów przesunął się w lewo.

Pięć metrów od krawędzi.

Porucznik popatrzył w prawo, na śmigający obok czarny brytyjski poduszkowiec. Maszyna zwiększyła odległość, po czym znów zaczęła się gwałtownie zbliżać.

Pojazdy zderzyły się po raz kolejny i Schofield poczuł, że ponownie szarpie ich w lewo.

Jeszcze dwa metry.

Poduszkowce gnały wzdłuż krawędzi klifu, sto metrów nad spienionymi falami Oceanu Indyjskiego.

Schofield obserwował pędzącego obok Anglika.

Kiedy tamten znów zwiększył dzielącą ich przestrzeń – niczym bokser, który bierze zamach, by tym mocniej uderzyć – tuż za brytyjską maszyną zmaterializował się

inny poduszkowiec.

Porucznik zamrugął.

Pomarańczowa francuska maszyna.

Pomarańczowy poduszkowiec?

Jedyną jadącą w nim osobą był...

...Renshaw.

Jaskrawo-pomarańczowy pojazd zbliżył się do brytyjskiego poduszkowca. Teraz trzy maszyny pędziły wzdłuż klifu.

Brytyjczyk nagle znów zaatakował i fartuch poduszkowca Schofielda wysunął się za krawędź. Na dół spadły kawały oderwanego lodu, ale po chwili zamieniły się w mikroskopijne kropeczki bieli i zniknęły w kłębiącej się sto metrów w dół wodzie oceanu.

– Chodź! – Schofield gwałtownie złapał Kirsty za rękę.

– Co zamie...

– Wychodzimy.

Popchnął dziewczynkę w stronę wielkiej dziury w prawej burcie.

Brytyjska maszyna znów się oddaliła, przygotowując ostatni cios.

Porucznik przełknął ślinę. Będzie musiał to odpowiednio skoordynować...

Wyciągnął desert eagle'a.

Anglik pędził na nich z łoskotem.

Poduszkowce zderzyły się ze sobą i w tym samym momencie Schofield skoczył na fartuch atakującej maszyny, pociągając za sobą Kirsty.

Wylądowali na gumowej powłoce w chwili, gdy ich poduszkowiec stoczył się za krawędź klifu. Pusta maszyna zawirowała w powietrzu, po czym runęła – sto metrów pionowo w dół. Uderzyła w wodę z ogromnym impetem i rozpadła się na tysiące kawałków.

Porucznik i Kirsty nie zatrzymali się nawet na ułamek sekundy.

Skoczyli na dach, a kiedy sunęli po nim, Schofield skierował lufę pistoletu prosto w dół i strzelił trzy razy do środka pojazdu. Po chwili znaleźli się z drugiej strony poduszkowca – tuż przed nimi pędziła maszyna Renshawa.

Pomarańczowy pojazd zbliżył się w momencie, gdy skoczyli. Oboje bezpiecznie wylądowali na fartuchu poduszkowca Renshawa, który natychmiast odbił w bok od Anglika.

Porucznik popatrzył na brytyjską maszynę – na przedniej szybie widać było krwawy rozbryzg. W środku ktoś się poruszał, pełzył do przodu, by chwycić drążek.

Prawdopodobnie kierowca nie żył, a ten, kto mu towarzyszył, próbował rozpaczliwie...

Nie zdążył jednak.

Wypryskując za krawędź klifu, angielski poduszkowiec przypominał kaskaderski samochód w trakcie próby przeskoczenia przeszkody. Przez chwilę wznosił się, jak wyrzucony ze skośnej rampy, a potem zaczął zakreślać łuk w dół. Schofieldowi przez ułamek sekundy mignęła postać człowieka w środku, po czym maszyna spadła za krawędź i zniknęła.

Porucznik odwrócił się – tuż przed nimi odsunęły się drzwi i pojawiła się w nich uśmiechnięta gęba Renshawa.

– Umieję to prowadzić, nie?

Został już tylko jeden angielski poduszkowiec. Ponieważ miał przeciwko sobie dwa amerykańskie, trzymał się w bezpiecznej odległości.

Schofield zabrał Renshawowi hełm i założył go sobie na głowę. Wcisnął klawisz mikrofonu.

– Rebound, jesteś tam?

– Aha.

– Wszystko w porządku?

– Mniej więcej.

– Co z poduszkowcem?

– Trochę poobijany, ale ciągnie. Odzyskał pełną moc.

– Dobrze. Teraz posłuchaj: czy jeśli poradzimy sobie z ostatnim kołosem, uda ci się dolecieć do McMurdo?

– Jasne.

– To świetnie. – Schofield popatrzył na Kirsty i dodał: – Zbliź się, dostaniesz jeszcze jednego pasażera.

Kazał podlecieć Renshawowi do maszyny Rebounda – chciał przesadzić Kirsty do transportowca i posłać go do McMurdo, a sam zamierzał zająć się wraz z Renshawem ostatnim Anglikiem.

Pędzące maszyny zbliżyły się do siebie.

W obu otworzyły się drzwi.

W drzwiach maszyny Rebounda pojawił się Book. Porucznik stał z Kirsty naprzeciwko niego w drzwiach pomarańczowego francuskiego poduszkowca.

Ostatnia brytyjska maszyna unosiła się złowroźnie dwieście metrów za nimi.

– Gra orkiestra, zaczynajmy – rozległ się w słuchawkach Schofielda głos Booka.

– Gotowa? – spytał Schofield dziewczynkę.

– Chyba tak... Wyszli na fartuch.

Siedzący w kabinie maszyny transportowej Rebound przyglądał się uważnie angielskiemu poduszkowcowi.

Czarny pojazd sprawiał wrażenie, jakby ich obserwował i na coś czekał.

– Co ty kombinujesz, skurwielu? – powiedział głośno Rebound.

– W porządku, dawaj ją! – krzyknął Book.

Schofield i Kirsty przesunęli się do przodu, na skraj fartucha poduszki. Wiatr smagał ich bezlitośnie.

Stojący naprzeciwko Book wyciągnął ręce po dziewczynkę, którą porucznik trzymał od tyłu. Prawie już ją sobie przekazali...

Nagle w ich słuchawkach buchnął głos Rebounda.

– Kurwa mać! Wystrzelił!

Schofield i Book równocześnie odwrócili głowy.

Najpierw zobaczyli smugę dymu – wijącą się spiralnie cienką, białą, rozplywającą się linią.

Przed nią mknęła rakietka, wystrzelona z ostatniego brytyjskiego poduszki.

Był to pocisk Milan – leciał nisko nad lodem. Szybko skracał dystans i po chwili z ogromną siłą huknął w tył pomarańczowego poduszki porucznika i eksplodował.

Pojazd zadygotał, Schofield puścił Kirsty, stracił równowagę i poleciał do wnętrza kabiny. Kiedy padał na plecy, spojrzał w górę i ostatnim widokiem, jaki utrwalił się na jego siatkówce, była postać Booka – skaczącego do przodu i rozpaczliwie próbującego schwycić dziewczynkę, która spadała między pędzące poduszki.

Book i Kirsty lecieli w dół.

Wpadając między dwa poduszki, Book widział tylko czarny gumowy fartuch jednego z nich.

Złapał Kirsty za rękę i przyciągnął ją do siebie, po czym przekreślił się w powietrzu tak, by przy uderzeniu o śnieg wziąć cały impet na siebie.

Po sekundzie z potworną siłą huknął o pędzące podłoże.

– Book spadł! Book spadł! – zawył w słuchawkach Schofielda głos Rebounda. – Mała spadła razem z nim!

Poduszkowiec porucznika pędził po płaskowyżu.

Pocisk raketowy całkowicie zniszczył tylny wirnik oraz rozerwał na pół stery, i poduszkowiec – dziko zarzucając tyłem – gnał prosto ku krawędzi klifu.

Renshaw rozpaczliwie szarpał drążkiem, ale uszkodzenie sterów powodowało, że pojazd mógł skręcać jedynie w lewo. Kiedy jednak jeszcze raz pociągnął z całej siły, poduszkowiec powoli zaczął skręcać szerokim łukiem, zawracając w kierunku, z którego przybyli.

– Rebound! – wrzasnął Schofield do mikrofonu.

– Co?

– Spadaj stąd!

– Co?

– Zostaliśmy poważnie trafieni – powiedział Schofield. – Rozjebali nas, koniec z nami. Jedź! Jedź do McMurdo! Sprowadź pomoc! Jesteś jedyną szansą!

– Ale co z...

– Jedź!

– Tak jest, sir.

– Eee... poruczniku... – zaczął Renshaw.

Ale Schofield nie słuchał. Patrzył na poduszkowiec Rebounda, który popędził w przeciwnym kierunku, prosto w dmący śnieg.

Po chwili wyrzął przez okno i w oddali, na lodowej płaszczynie, dostrzegł małą czarną kupkę.

Book i Kirsty.

– Poruczniku...

Ostatni brytyjski poduszkowiec zbliżył się do Booka i Kirsty, zwolnił i zatrzymał się obok. Z pojazdu wysiedli czarno ubrani mężczyźni.

Schofield wpatrywał się w tę scenę bez słowa.

Renshaw wciąż walczył z drążkiem.

– Poruczniku! Trzymaj się! – zawołał.

Po kolejnym szarpnięciu drążek nagle trzasnął i pękł. Poduszkowiec gwałtownie okręcił się wokół własnej osi i po chwili pędzili tyłem do przodu.

– Co ty do jasnej cholery wyprawiasz?! – wrzasnął Schofield.

– Właśnie próbowałem tego uniknąć! – wykrzyczał Renshaw, wyciągając palec w kierunku tylnej szyby poduszkowca, która była teraz przednią.

Porucznik powiódł wzrokiem za palcem naukowca i jego oczy rozszerzyły się w przerażeniu.

Pędzili – tyłem – ku skrajowi klifu.

– Dlaczego ten jebany dzień nie może się skończyć? – stęknął Schofield.

– Zaraz się chyba skończy – odparł obojętnym tonem Renshaw. Porucznik wypchnął go z fotela kierowcy i sam na nim usiadł.

Nacisnął pedał hamulca. Nic. Żadnej reakcji. Poduszkowiec nadal sunął do krawędzi.

– Już próbowałem – powiedział Renshaw. – Nie ma hamulców! Poduszkowiec pędził do krawędzi klifu, tyłem naprzód, pozbawiony sterowania.

Schofield złapał złamany drążek.

Trzeba wyskoczyć...

Niestety było już na to za późno.

Krawędź klifu zbyt szybko ku nim pędziła.

Po sekundzie nie było już pod nimi gruntu i Schofield poczuł, jak żołądek skacze mu do gardła. Poduszkowiec wyprysnął poza krawędź i z ogromną prędkością

pofrunął w czyste, otwarte niebo.

SZÓSTE WTARGNIĘCIE

16 CZERWCA, GODZINA 16.35

Poduszkowiec spadał tyłem na dół.

Schofield odwrócił się gwałtownie, by wyrzeć przez rozbitą przednią szybę.

Krawędź klifu nad nimi błyskawicznie malała.

Renshaw hiperwentylował.

– Um...rze...my... teraz... naprawdę zgi...niemy... Poduszkowiec leciał pionowo w dół – ogon wskazywał w morze, dziób w niebo. Jeszcze sekunda i Schofield widział już tylko niebo.

Lecieli bardzo szybko.

Przez boczne szyby widać było, z jaką ogromną prędkością mijają lodową ścianę.

Schofield złapał maghooka i przysunął się do Renshawa tak blisko, że niemal stykali się nosami.

– Obejmij mnie w pasie i postaraj się nie puścić. Geofizyk przestał jęczeć i przez sekundę gapił się na porucznika nic nie rozumiejąc, potem jednak szybko zrobił, co mu kazano. Schofield podniósł maghooka nad głowę i strzelił przez dziurę po przedniej szybie.

Głowica maghooka poszybowała w górę wysokim łukiem. Kotwica otworzyła się w locie, ciągnąc za sobą skaczącą szaleńczo na boki linkę.

Wbiła się kilka metrów za krawędzią klifu i zaczęła zsuwać ku krawędzi, jednak po chwili pazury wbiły się w śnieg.

Poduszkowiec spadał dalej tyłem naprzód. Ale kiedy hak złapał jak należy, gwałtownie się zatrzymał, linka natychmiast się naprężyła...

...a Schofield i Renshaw wystrzelili ze spadającej maszyny.

Pojazd spadał dalej – i po kilku sekundach z głośnym hukiem trzasnął w zwieńczone białą falę pięćdziesiąt metrów niżej.

Porucznik i Renshaw zabujali się na lince i pomknęli ku lodowej ścianie. Poduszkowiec wystrzelił dość daleko w morze, więc zanim dotarli do ściany, musieli pokonać spory dystans i uderzyli naprawdę mocno.

Impet tak wstrząsnął geofizykiem, że puścił Schofielda i natychmiast opadł na dół, na szczęście w ostatniej chwili udało mu się złapać porucznika za nogę.

Przez całą długą minutę wisieli w połowie wysokości ściany, nie mając odwagi się poruszyć.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał Schofield.

– Aha – odparł sparalizowany przerażeniem Renshaw.

– W porządku, spróbuję podciągnąć nas w górę. – Porucznik zmienił chwyt, by móc nacisnąć mechanizm maghooka, zwijający linkę bez składania haka.

Popatrzył w górę na znajdujący się bardzo daleko skraj klifu. Musiało być do niego pięćdziesiąt metrów. Wisieli na całkowicie rozwiniętej linie.

Nagle zobaczył mężczyznę, stojącego na krawędzi klifu i patrzącego prosto na nich.

Mężczyzna miał na głowie czarną kominiarkę, a w dłoniach trzymał pistolet maszynowy.

– No i co? – spytał Renshaw z wysokości stóp Schofielda. – Na co czekasz? – Z miejsca, gdzie wisiał, nie mógł widzieć komandosa SAS.

– Nie podciągamy się – odparł spokojnie porucznik, wbijając wzrok w czarną postać na krawędzi klifu.

– Dlaczego? Co ty gadasz?

Komandos SAS patrzył Schofieldowi prosto w oczy.

Porucznik przełknął ślinę i popatrzył na fale, walące o skalną ścianę pięćdziesiąt metrów w dół. Kiedy ponownie spojrział w górę, zobaczył, że Anglik wyciąga z pochwy długi, błyszczący nóż i pochyla się nad linką maghooka.

– O, nie... – jęknął.

– Co „o, nie”? – zapytał Renshaw.

– Jesteś gotów na małą przejazdzkę?

– Nie.

– Oddychaj przez cały lot, a na samym dole weź głęboki wdech. – Tak kazali robić instruktorzy przy skokach do wody z helikoptera i porucznik uznał, że powinni zastosować tę samą technikę.

Popatrzył jeszcze raz na Anglika nad nimi.

– Cóż, skończmy te wygłupy – mruknął. – Prędeż mnie cholera weźmie, nim pozwolę ci przeciąć moją linkę. Gotów, Renshaw? Spadamy.

Nacisnął dwa razy guzik na obudowie maghooka.

Pazury wbitej w lód na krawędzi klifu kotwicy błyskawicznie zareagowały i złożyły się. Głowica wyslizgnęła się, śmignęła obok zaskoczonego Anglika i Schofield, Renshaw oraz maghook zaczęły spadać w dół lodowej ściany – ku przewalającym się z hukiem falom Oceanu Indyjskiego.

Libby Gant w milczeniu wpatrywała się w straszliwie okaleczone ciała, porzucane na skałach.

Pozostali członkowie ekipy – Montana, Santa Cruz i Sarah Hensleigh – niemal nie zwrócili uwagi na zwłoki. Byli zbyt zafascynowani wielkim, czarnym statkiem kosmicznym, tkwiącym w ścianie po przeciwnej stronie. Chodzili wokół niego i pod nim, przyglądali się czarnym skrzydłom i próbowali zajrzeć do kokpitu przez owiewkę z przydymianego tworzywa.

Kiedy Schofield poinformował Gant o pojawieniu się brytyjskich oddziałów i planie ucieczki, kazała ustawić dwa trójnogi dla MP5 i skierować karabiny na wodę. Jeżeli ludzie z SAS spróbują wtargnąć do grotu, zlikwidują ich jednego po drugim w takiej kolejności, w jakiej Anglicy będą wypływać na powierzchnię.

Od tej pory minęło pół godziny.

Nawet jeśli SAS dotarł już do stacji, posłanie ludzi na dół w dzwonie nurkowym zajmie im kolejną godzinę, jeszcze jedną potrwa wpływanie oddziału szturmowego podwodnym tunelem.

Zaczęło się czekanie.

Po ustawieniu trójnogów Montana i Sarah Hensleigh poszli zbadać statek. Santa Cruz został nieco dłużej na brzegu podlodowcowego jeziora, ale wkrótce i on poszedł obejrzyć wspaniały czarny pojazd kosmiczny.

Gant pozostała przy MP5.

Siedząc na zimnym, zlodowaciałym gruncie, wpatrywała się w poszarpane ciała za wodą. Zdumiewał ją rozmiar uszkodzeń. Brakowało głów i kończyn, kawały ciała były wygryzione. Wszystko wokół nasiąkło krwią.

Co mogło spowodować taką straszliwą rzeź?

Wzrok Gant powędrował do wody. Tuż nad jej lustrem zaczynały się okrągłe otwory – wielkie tunele trzymetrowej średnicy. Dokładnie takie same jak te, które widzieli po drodze.

Gant miała nieprzyjemne przeczucie co do tych tuneli, co do ciał, co do całej tej grotu. Niemal można by pomyśleć, że to coś w rodzaju...

– Niesamowite! – odezwała się w tym momencie Sarah Hensleigh, która podeszła po cichu do Libby. Zsunęła z twarzy długi kosmyk ciemnych włosów i widać było, że aż kipi z podniecenia z powodu odkrycia statku kosmicznego. – Nie ma żadnych oznakowań i jest cały czarny.

Gant nie bardzo przejmowała się Sarah Hensleigh. Statek też tak naprawdę niewiele ją obchodził.

Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiała – nad statkiem, grotą, okaleczonymi ciałami i buszującym na górze oddziałem SAS – tym bardziej była przekonana, że nie wyjdzie ze Stacji Lodowej Wilkes żywa.

Wejście SAS do Stacji Lodowej Wilkes odbyło się szybko i profesjonalnie.

Ubrani na czarno mężczyźni wpadli do środka z uniesioną bronią. Szli parami, ale gdy tylko znaleźli się w środku, natychmiast się rozproszyli. Otwierali każde drzwi, sprawdzali każde pomieszczenie.

– Poziom A czysty! – wrzasnął jakiś głos.

– Poziom B czysty! – zawtórował mu następny.

Trevor Barnaby wyszedł na biegnący wokół szybu głównego pomost na poziomie A i zlustrował opuszczoną stację niczym oglądający swe dobra świeżo koronowany król. Patrzył w dół lodowatym, obojętnym spojrzeniem. Jego twarz wykrzywił cierpki uśmiech.

Oddział SAS zszedł na pokład E, gdzie Anglicy znaleźli przykutych do pała Węza i obu francuskich naukowców. Pierwsi komandosi zatrzymali się, by ich pilnować, a następni zeszli po drabinkach i zniknęli w tunelach najniższego poziomu.

Czterech wbiegło do południowego tunelu. Dwóch z nich zajęło się drzwiami po lewej stronie, dwóch drzwiami po prawej.

Dwójka komandosów po prawej podeszła do pierwszych drzwi, otworzyła je kopniakiem i zajrzała do środka.

Magazynek. Podniszczone drewniane półki, na podłodze kilka butli do nurkowania.

Pomieszczenie było puste.

Poszli dalej korytarzem, z przygotowaną do strzału bronią. Jeden z nich zauważył „niemego kelnera” – migoczące w zimnym białym świetle drzwiczki z nierdzewnej stali.

Dowodzący pierwszą dwójką żołnierz cichym gwizdnięciem dał znak drugiej parze i wskazał dwoma palcami na windę. Komandosi natychmiast zrozumieli polecenie. Ustawili się po obu stronach windy, podczas gdy prowadzący i żołnierz z jego pary wycelowali broń w drzwiczki.

Na skinienie głowy dowodzącego żołnierze otworzyli je jednym szarpnięciem, a prowadzący puścił w otwór długą serię.

Ściany pustej windy zaczęły siec kule.

Kiedy ogień z broni komandosa SAS załomotał niecałe trzydzieści centymetrów nad jej głową, Matka mocno zacisnęła oczy.

Siedziała w kompletnej ciemności na dole wąskiego szybu „niemego kelnera”, zwinięta w ciasny kłębek pod kabiną windy.

Kabina zadygotała od uderzeń pocisków. Jej ściany zdawały się wybuchać i wszędzie pojawiły się poszarpane, pełne drzazg dziury. Na Matkę sypanął się deszcz pyłu i kawałków drewna, na szczęście miała mocno zaciśnięte powieki.

Gdy odgłosy strzałów załomotały głośnym echem w jej uszach, uderzyła ją pewna myśl.

Znów można strzelać wewnątrz stacji...

Stężenie łatwopalnego gazu musiało spaść do bezpiecznego poziomu.

Ogień z pistoletu maszynowego nagle ucichł, drzwi „niemego kelnera” zostały zatrzaśnięte, zapadła cisza i po raz pierwszy od trzech minut Matka nabrała powietrza.

Schofield i Renshaw dolecieli do dołu klifu i wpadli do oceanu.

Zimna woda uderzyła w nich jak kowadło, ale porucznik zbytnio się tym nie przejął. Adrenalina waliła mu do żył i jego ciało było rozgrzane. W lodowatej wodzie Antarktyki człowiek mógł przeżyć najwyżej osiem minut, jednak ponieważ Schofield miał ocieplany skafander i sporo adrenaliny we krwi, dawał sobie minimum trzydzieści.

Popłynął w górę, by złapać oddech, i kiedy nagle przebił powierzchnię, pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, była zwałająca się prosto na niego największa fala, jaką widział w życiu. Wodna góra spadła na niego – i rzuciła go na klif.

Uderzenie było tak silne, że wypchnęło Schofieldowi powietrze z płuc i nagle nie miał czym oddychać.

Fala zaraz jednak opadła i prąd ściągnął go w dół, między dwie fale. Poddał mu się i przez chwilę unosił się w wodzie, odzyskując oddech i orientację.

Grzywacze były gigantyczne. Miały co najmniej po dwanaście metrów. Dwadzieścia metrów w prawo o klif załomotała góra wody. Sto metrów od brzegu pływały góry lodowe – milczący strażnicy lodowego klifu. Niektóre były wysokie i szerokie jak nowojorskie drapacze chmur, inne płaskie i długie jak boiska piłkarskie.

Nagle tuż obok Schofielda spod wody wyskoczył Renshaw i zaczął łapać powietrze płytkami, spazmatycznymi haustami. Porucznik obawiał się, że naukowiec nie poradzi sobie w tak zimnej wodzie, zaraz jednak przypomniał sobie o jego neopreno skafandrze. Cholera, było mu prawdopodobnie cieplej niż jemu...

W tym momencie zobaczył, że leci na nich następna ściana wody.

– Na dół! – krzyknął, po czym wziął głęboki wdech i zanurkował. Świat w ułamku sekundy zrobił się upiornie cichy.

Schofield starał się zejść jak najgłębiej – geofizyk był tuż obok.

Kiedy fala załomotała z całą siłą w klif, nad ich głowami wybuchła kipiela piany.

Wynurzyli się.

Gdy znaleźli się na powierzchni, obok nich – podskakując na niespokojnej wodzie – przepłynęły drzwi poduszki.

– Musimy odpłynąć od klifu – powiedział porucznik. – Jeśli tu zostaniemy, fale rozwałą nas o ścianę.

– W którą stronę?

– Widzisz tamtą górę lodową? – Schofield wskazał unoszącą się na wodzie, jakieś dwieście metrów od nich, wielką górę lodową, która wyglądała od ich strony jak fortepian.

– Widzę.

– Płyniemy do niej.

– W porządku.

– No to na trzy. Raz... dwa... trzy!

Wzięli głęboki wdech i zanurkowali. Odbili się od klifu i popłynęli krytą żabką przez lodowatą arktyczną wodę. Nad ich głowami raz za razem wybuchały kłęby białej piany.

Dziesięć metrów. Dwadzieścia.

Renshawowi skończyło się powietrze w płucach, wynurzył się więc, zrobił wdech i znów się zanurzył. Schofield po chwili zrobił to samo. Kiedy ponownie się zanurzał, musiał mocno zacisnąć zęby. Pęknięte żebro pulsowało bólem.

Po przepłynięciu pięćdziesięciu metrów znów się wynurzyli. Pokonali już strefę kipieli, przeszli więc na kraul, walcząc z przewalającymi się szczytami dwunastometrowych fal.

W końcu dotarli do góry lodowej. Wznosiła się wysoko nad nimi – biała ściana, miejscami pionowa i gładka, miejscami pozakrzywiana i poślubiona. W dziewiczym lodzie widać było wyjścia wspaniale sklepionych tuneli.

Wielka góra obniżała się z jednej strony, schodząc płasko do oceanu i tworząc coś na kształt półki. Ruszyli w tamtym kierunku.

Kiedy dotarli na miejsce, okazało się, że półka znajduje się jakiś metr nad wodą.

– Odepchnij się od mojego ramienia – powiedział Schofield.

Renshaw oparł stopę na jego barku i odepchnął się.

Naukowiec sięgnął ręką, złapał za lodową krawędź i nieporadnie wdrapał się na półkę. Potem położył się na brzuchu i wyciągnął rękę do porucznika. Zaczął wywlekać go z wody, ale kiedy Schofield był już niemal na półce, mokre ręce geofizyka ześlizgnęły się z jego nadgarstka i porucznik ciężko zwałił się z powrotem.

Poszedł w dół jak kamień.

Wokół panowała cisza. Kompletna cisza. Jak w grobowcu.

Przypominający eksplozje huk walących o klif fal nie docierał tak głęboko.

Wielki biały brzuch góry lodowej wypełniał pole widzenia Schofielda. Lód ciągnął się w dół i ciągnął, znikając w mętnej głębinie.

Nagle porucznik usłyszał dziwny dźwięk i wyprostował się gwałtownie.

WMMMMMMMM...

Basowe, dudniące buczenie.

WMMMMMMMM...

Brzmiało to tak, jakby gdzieś otwierały się poruszane silnikiem drzwi.

I dochodziło z dość bliskiej odległości.

Gdzieś... z tyłu.

Odwrócił się błyskawicznie i od razu go zobaczył.

Był tak ogromny – tak monstrualny – że serce Schofielda się rozszalało.

Wisał w wodzie bez ruchu.

Cichy i wielki.

Unoszący się tuż przy lodowej ścianie porucznik wyglądał przy nim jak mała plamka.

Czarny, obły kadłub musiał mieć przynajmniej sto metrów długości. Schofield wyraźnie widział tępy nos i wystające po obu stronach kiosku stabilizatory. Tętno zaczęło głośno dudnić mu w uszach.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Miał przed sobą okręt podwodny.

W yprysnął na powierzchnię.

– Nic ci się nie stało? – spytał z półki Renshaw.

– Jeszcze nie wiem – odparł Schofield, po czym szybko nabrał powietrza i ponownie zanurkował.

Świat znów ucichł.

Porucznik zanurzył się nieco głębiej niż poprzednim razem i wbił wzrok w okręt podwodny. Był oddalony o jakieś trzydzieści metrów, ale Schofield widział go bardzo dokładnie. Ogromny, całkowicie zanurzony statek nie poruszał się – unosił się w wodzie niczym lewiatan.

Porucznik popatrzył wzdłuż kadłuba, próbując znaleźć coś, co pozwoliłoby mu zidentyfikować jednostkę.

Kiosk był dość wąski, z przodu znajdowały się cztery wyrzutnie torped. Jedna z nich właśnie się otwierała. WMMMMMMMM...

W tym momencie Schofield dostrzegł po lewej stronie dziobu oznakowanie – trzy pionowe paski: niebieski, biały i czerwony.

Spoglądał na francuską flagę.

Kiedy ponownie wypłynął na powierzchnię, Renshaw popatrzył na niego.

– Co ty tam robiłeś? – spytał.

Schofield zignorował to pytanie, wyjął z wody lewą rękę i popatrzył na zegarek.

Stoper wskazywał: 2:57:59 2:58:00

2:58:01

– Jezu drogi... – szepnął porucznik. – Jezusie...

W trakcie szaleńczej ucieczki poduszkowcami zupełnie zapomniał o czekającym u wybrzeża Antarktydy francuskim okręcie wojennym, który miał odpalić na Stację Lodową Wilkes rakiety. Okręcie, którego kryptonim brzmiał „Rekin”.

Uświadomił sobie, że popełnił błąd. „Rekin” wcale nie był fregatą ani niszczycielem.

Był okrętem podwodnym.

Właśnie tym, który przed chwilą oglądał.

– Szybko! Wyciągnij mnie! – polecił Renshawowi.

Naukowiec wyciągnął rękę w dół i Schofield chwycił ją mocno. Kiedy był

odpowiednio wysoko, złapał za krawędź półki i wskoczył na lód.

Renshaw spodziewał się, że porucznik – tak jak on sam przed chwilą – padnie na lód i zacznie łapać powietrze, Schofield jednak natychmiast skoczył na nogi.

Nie tylko wstał, ale zaczął biec po płaszczyźnie lodowej góry.

Renshaw rzucił się za nim w pogoń. Po drodze do znajdującej się w odległości jakichś trzydziestu metrów krawędzi porucznik przeskoczył spore lodowe wzniesienie. Biegł w kierunku niewielkiego spadku, za którym lód się urywał, opadając pionowo w dół. Do wody było w tym miejscu około dziesięciu metrów.

Biegąc, Schofield patrzył na stoper. Sekundy mijały, nieubłaganie odmierzając czas brakujący do trzech godzin. Do momentu odpalenia rakiet. 2:58:31 2:58:32 2:58:33

Porucznik myślał gorączkowo. Zamierzają zniszczyć stację. Zniszczą stację. Zabiją moich ludzi. Dziewczynkę... Trzeba ich zatrzymać.

Jak? Jak jeden człowiek może zatrzymać okręt podwodny? Nagle coś sobie przypomniał. Nie zwalniając biegu, zdjął z ramienia maghooka. Wcisnął przycisk oznaczony „M” i zapaliło się czerwone światelko, sygnalizując uruchomienie magnesu na głowicy.

Wyjął z kieszeni na udzie srebrny pojemnik z zielonym paskiem, zabrany z angielskiego poduszkiowca.

Pojemnik wypełniony tritonalem 80/20.

Biegąc, Schofield popatrzył na pojemnik. Zamykało go wieczko z nierdzewnej stali. Pociągnął za jego występ i rozległ się cichy syk. Wieczko otwarło się, a pod nim ukazał się klawisz UZBROIĆ/ROZBROIĆ i cyfrowa klawiatura do ustawiania czasu eksplozji.

Dwadzieścia sekund, pomyślał porucznik. Tyle powinno wystarczyć na ucieczkę.

Ustawił zapalnik na dwadzieścia sekund i przytrzymał stalowy pojemnik przed magnesem maghooka, który natychmiast przykleił się do niego.

Schofield nie zwalniał kroku, pokonując metr za metrem nierówną powierzchnię lodu.

Kiedy dotarł do krawędzi, odbił się z całej siły i wyprysnął w powietrze.

Poleciał dalekim łukiem i przez trzy długie sekundy zdawał się wisieć w powietrzu, a potem uderzył stopami o powierzchnię lodowatej wody.

Wokół buchnęła chmura bąbli i przez chwilę nic nie widział. Ale pęcherze powietrza bardzo szybko się rozproszyły i porucznik stwierdził, że unosi się tuż przed gargantuicznym dziobem francuskiego okrętu podwodnego.

Popatrzył na zegarek.

2:58:59

2:59:00

2:59:01

Została jeszcze minuta.

Luk działu torpedowego był szeroko otwarty. Schofield podpłynął bliżej. Kryjący torpedę okrągły otwór majaczył dziesięć metrów przed nim.

Lepiej będzie, jeśli się uda... – pomyślał, unosząc maghooka z przymocowanym z przodu tritonalowym granatem. Wcisnął klawisz, uzbrajający bombę.

Dwadzieścia sekund.

Wystrzelił.

Głowica maghooka pomknęła do przodu, pozostawiając za sobą cienką strużkę bąbelków powietrza. Cięła wodę, pędząc ku otwartej rurze wyrzutni torpedy...

...i z głośnym tąpnięciem uderzyła w kadłub tuż pod otworem. Magnes z przymocowanym do niego uzbrojonym granatem odbił się od powierzchni kadłuba i zaczął opadać w dół.

Schofield nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Nie trafił!

Cholera jasna!

Po chwili w jego głowie eksplodowała kolejna myśl.

Ludzie w środku okrętu musieli to usłyszeć. Musieli!

Błyskawicznym ruchem wcisnął czarny guzik na rączce maghooka, uruchamiający zwijarkę linki. Może uda mu się strzelić ponownie, zanim minie dwadzieścia sekund.

Muszę jeszcze raz strzelić.

Muszę zdążyć jeszcze raz strzelić!

Linka maghooka zaczęła się zwijać.

Nagle usłyszał kolejny dźwięk.

WMMMMMMMM.

Po lewej, z drugiej strony dziobu, otwierała się druga wyrzutnia!

Była znacznie mniejsza niż ta, do której próbował wstrzelić tritonalowy granat.

Mniejsze torpedy, pomyślał. Do zwalczania okrętów podwodnych.

Z otwartej wyrzutni z głośnym WISSMMMM wyprysnął biały podłużny kształt i pomknął prosto na niego.

Wystrzelili w niego torpedę!

Magnes maghooka wrócił na miejsce i porucznik szybko nacisnął klawisz na granacie, rozbrajając go. Do detonacji pozostały cztery sekundy. Biała torpeda przemknęła tuż obok. Strumień wody za nią był tak silny, że obrócił Schofielda.

Porucznik odetchnął z ulgą. Był tak blisko wyrzutni, że torpedzie nie udało się go dokładnie namierzyć.

Po dwóch sekundach biały cylinder wbił się w lód góry za plecami Schofielda i eksplodował.

Kiedy torpeda wybuchła, Renshaw stał jakieś dwadzieścia metrów dalej i patrzył znad krawędzi w wodę.

Kawał góry lodowej zamienił się w chmurę bieli i spadł do wody jak odcięty nożem.

– Yikes... – jęknął zdumiony naukowiec.

Kilkanaście metrów od niego nad powierzchnię wody wyprysnął Schofield, złapał haust powietrza i natychmiast ponownie się zanurzył.

Nie zwracając uwagi na dudniące wokół echa wybuchu torpedy i zsuwający się w głąb wody potężny kawał lodu, porucznik ponownie wycelował maghooka w kierunku wyrzutni torped.

2:59:37

2:59:38

2:59:39

Uzbroił tritonowy granat na dwadzieścia sekund – i strzelił.

Głowica maghooka mknęła przez wodę...

...na ułamek sekundy jakby zawisała w niej nieruchomo...

...i zniknęła we wnętrzu wyrzutni.

UDAŁO SIĘ!!!

Schofield nacisnął na rękojeści guzik oznakowany literą „M” i magnes puścił pojemnik z tritonalem.

Linka zwinęła się, pozostawiając bombę w wyrzutni.

Porucznik zaczął płynąć.

Najszybciej jak umiał.

W centrali bojowej francuskiego okrętu podwodnego panowała cisza, słychać było jedynie głos młodego marynarza, rozpoczynającego odliczanie.

– Vingt secondes de premier lancer – powiedział marynarz. Dwadzieścia sekund do pierwszego odpalenia. Dwadzieścia sekund do odpalenia likwidatora – uzbrojonej w głowicę jądrową torpedy klasy Neptun. – Dix-neuf... dix-huit... dix-sept...

Stojący na górze lodowej Renshaw ujrzał, jak Schofield przebija powierzchnię wody i, z maghookiem w jednej dłoni, płynie w jego stronę, machając jak szalony rękami i nogami.

Odliczanie we francuskim okręcie trwało dalej: – Dix... neuf... huit... sept...

Schofield płynął, mobilizując resztkę sił. Musiał oddalić się na tyle od francuskiego okrętu, by wybuch tritonu nie wessał go do centrum. Kiedy strzelał, był dziesięć metrów od wyrzutni, teraz dodał drugie dziesięć. Miał nadzieję, że dwadzieścia pięć metrów wystarczy.

– Co się dzieje?! – darł się Renshaw.

– Odsuń się od krawędzi! Szybko!

– Cinq... quatre... trois...

Francuski marynarz nie zdążył dojść do dwóch, bo w tym momencie – w strasliwym, mrozącym krew w żyłach ułamku sekundy – tritonalowa bomba eksplodowała w wyrzutni torped.

Z miejsca, w którym stał Renshaw, eksplozja wyglądała niesamowicie – tym bardziej że mały naukowiec zupełnie się jej nie spodziewał.

Wszystko odbyło się jednocześnie. Ciemny cień pod powierzchnią – francuski okręt podwodny – w jednej sekundzie zamienił się w ogromną białą chmurę. Z oceanu wystrzeliła wysoka na piętnaście i długa na ponad pięćdziesiąt metrów fontanna wody, która po chwili powoli zaczęła opadać.

Pod wodą z wielkiej dziury, zionącej w dziobie okrętu, wydobyła się chmura błękitnych bąbli, które niczym macki ośmiornicy wyciągnęły się ku Schofieldowi. Tak samo gwałtownie jak wyprysnęły do przodu, zawróciły i z ogromną prędkością zaczęły wracać, a porucznik poczuł, że ciągną go za sobą.

Implozja.

Nagle jednak potężny francuski okręt zapadł się w siebie jak aluminiowa puszka i ssanie osłabło. Porucznik poczuł, że woda go puszcza, i wypłynął na powierzchnię. Okręt podwodny przestał istnieć.

Kilka minut później Renshaw wyciągnął Schofielda z wody i wtaszczył go na lodową półkę.

Porucznik padł na lód – ciężko oddychał, był mokry i przemarznięty. Jego całe ciało było odrętwiałe ze zmęczenia i w tej chwili – pozbywszy się francuskiego okrętu podwodnego – chciał tylko jednego: spać.

Na Kapitolu znów zaczęła obradować konferencja NATO. Delegat USA, George Holmes, opadł na oparcie fotela i obserwował Pierre'a Dufresne, który właśnie wstawał, by zabrać głos.

– Drodzy delegaci, panie i panowie – zaczął Dufresne. – Republika Francuska chciałaby oświadczyć, że całkowicie i bezwarunkowo popiera Pakt Północnoatlantycki, wspólnotę narodów, która tak wspaniale służyła Zachodowi przez niemal pięćdziesiąt lat...

Jego przemówienie wlokło się jak flaki z olejem, Dufresne wychwalał pod niebiosa zasługi NATO oraz podkreślał absolutną lojalność Francji wobec Paktu. George Holmes kręcił z niedowierzaniem głową. Francuzi przez cały dzień prosili o przerwy i blokowali postęp rozmów, a potem nagle zaczęli pisać o lojalności wobec Paktu. Nie było w tym logiki.

Dufresne skończył wreszcie przemawiać i usiadł. Holmes zamierzał się właśnie odwrócić i coś powiedzieć do Phila Munro, kiedy wstał delegat brytyjski – Richard

Royce.

– Panie i panowie – powiedział z londyńskim akcentem, wyraźnie artykułując słowa. – Proszę o wyrozumiałość, gdyż delegacja brytyjska chce wystąpić o przerwę w obradach.

W tym samym momencie Alison Cameron wchodziła do atrium Biblioteki Kongresu, znajdującej się naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy.

Składająca się z trzech budynków Biblioteka Kongresu jest największą biblioteką na świecie. Kiedy ją zakładano, planowano, że będzie największym rezerwuarem wiedzy na naszej planecie – i tak też się stało.

Dlatego też Alison wcale nie była zaskoczona, gdy okazało się, że to, czego szuka – tajemniczy Raport geodezyjny CM. Waitzkin albo CM. Waitzkina – znajduje się właśnie tutaj.

Czekała w informacji, aż pracownica przyniesie zamówiony tekst. Biblioteka Kongresu ma system „zamkniętych półek”, co oznacza, że książki przynosi personel*. Nie wypożycza się też stąd książek do domu.

* [Obowiązuje on jedynie tutaj, generalną zasadą tych bibliotek jest dostęp czytelników do regałów.]

Ponieważ bibliotekarka długo nie wracała, Alison wyciągnęła z torby książkę, którą kupiła w drodze do biblioteki.

Popatrzyła na okładkę:

KRUCJATA LODOWA REFLEKSJE Z ROKU SPĘDZONEGO NA
ANTARKTYDZIE

Dr Brian Hensleigh Profesor geofizyki, Uniwersytet Harvarda

Zaczęła czytać wstęp.

Wynikało z niego, że Brian Hensleigh jest dziekanem wydziału geofizyki Uniwersytetu Harvarda. Zajmował się badaniem rdzeni lodowych, czyli wydobywanych z głębi antarktycznych lodowców szelfowych próbek lodu, i sprawdzaniem składu powietrza, zamkniętego w nich przed tysiącami lat.

Książka informowała, że badanie rdzeni lodowych można wykorzystać do zrozumienia procesu ocieplania się klimatu Ziemi oraz osłabiania warstwy ozonowej.

Tak czy owak, wyglądało na to, że cały rok 1994 Hensleigh przepracował w leżącej na końcu świata antarktycznej stacji badawczej, gdzie wydobywał rdzenie lodowe.

Współrzędne geograficzne stacji były następujące: 66,5 stopnia szerokości południowej oraz 115 stopni, 20 minut i 12 sekund długości wschodniej.

Wróciła bibliotekarka i Alison podniosła głowę.

– Nie ma tego tekstu – oświadczyła, kręcąc głową.
– Słucham...?
– Sprawdziłam trzy razy – powiedziała bibliotekarka. – Nie ma tej książki na półce. Nie ma Raportu geodezyjnego CM. Waitzkin albo CM. Waitzkina z 1978 roku.
Alison zmarszczyła czoło. Nie spodziewała się tego. Bibliotekarka – plakietka informowała, że ma na imię Cindy – bezradnie wzruszyła ramionami.
– Nie rozumiem tego. Po prostu... zniknęła.
Alison poczuła, że ogarnia ją nagła fala podniecenia, przyszła jej bowiem do głowy pewna myśl.
– Czy to oznacza, że ktoś tę książkę właśnie czyta? Cindy pokręciła głową.
– Nie. Według komputera została wypożyczona w listopadzie siedemdziesiątego dziewiątego roku.
– W listopadzie siedemdziesiątego dziewiątego...
– Dziwne, prawda? – Cindy wyglądała na dwadzieścia lat, prawdopodobnie była studentką. – Gdyby to panią interesowało, zapisałam nazwisko. Proszę – podała Alison kartkę papieru.
Była to fotokopia zamówienia bibliotecznego, takiego samego, jakie musiała wypełnić Alison. Wyglądało na to, że Biblioteka Kongresu przechowuje wszystkie zamówienia – być może na wypadek zaistnienia takiej właśnie sytuacji.
W prostokącie na nazwisko osoby składającej zamówienie było wpisane: O. Niemeyer.
– To się zdarza – powiedziała Cindy. – Pewnie temu Niemeyerowi książka tak się spodobała, że wziął ją sobie pod pachę i wyszedł. W tamtych czasach nie zabezpieczaliśmy jeszcze książek paskami magnetycznymi, więc mógł bez problemu ominąć strażników.
Alison nie słuchała jej jednak.
Stała jak zahipnotyzowana, patrząc na trzymaną w dłoni kopię zamówienia – dwudziestoletni dowód, który tkwił gdzieś w przepastnych głębiach szaf Biblioteki Kongresu i czekał właśnie na ten dzień.
Jej oczy błyszczały podnieceniem.
O. NIEMEYER.

Generał brygady Trevor Barnaby szedł platformą otaczającą basen na poziomie E Stacji Lodowej Wilkes. Był tu już od godziny i czuł się bardzo pewnie.

Dwadzieścia minut temu posłał na dół – w dzwonie nurkowym – uzbrojony po zęby oddział, miało jednak minąć około dziewięćdziesięciu minut, zanim jego ludzie dotrą do groty pod lodem. Lina, na której opuszczano dzwon, ciągle jeszcze się rozwijała i kolejne jej metry wpadały do wody.

Barnaby był ubrany w czarny, ocieplany skafander nurkowy. Zamierzał zejść pod wodę z drugą grupą – by osobiście sprawdzić, co znajduje się na dole.

– No proszę... – powiedział na widok Węża i dwóch francuskich naukowców, przypiętych do pala. – Co my tu mamy. Niech mnie kule biją, jeśli to nie jest sierżant Kapłan. – Wąż był zaskoczony, że Barnaby go zna. – Sierżant zbrojmistrz Scott Michael Kapłan – dodał generał. – Urodzony w Dallas w pięćdziesiątym trzecim roku, zaciągnął się do Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych w siedemdziesiątym pierwszym, w wieku osiemnastu lat. Specjalista z zakresu broni ręcznej i walki wręcz, snajper. Od dziewięćdziesiątego drugiego roku podejrzewany przez wywiad brytyjski o przynależność do amerykańskiej agencji wywiadowczej, znanej pod nazwą Intelligence Convergence Group. Jak do ciebie mówią? Wąż, tak? Powiedz mi, Wąż... czy to ci się wydaje normalne? Czy twój dowódca często przykuwa swoich ludzi do pali i zostawia ich na łaskę i niełaskę wroga?

Wąż nic nie odpowiedział.

– Trudno mi sobie wyobrazić, by Shane Schofield należał do dowódców, którzy w ten sposób traktują lojalnych członków swojego oddziału. A to oznacza, że musi istnieć jakiś powód, że tak z tobą postąpił, n'est-ce pas? – Barnaby uśmiechnął się. – Co to może być?

Wąż w dalszym ciągu się nie odzywał. Od czasu do czasu zerkał na zanurzającą się za plecami generała linę dzwonu nurkowego.

Barnaby zwrócił się do dwóch Francuzów:

– A kim są panowie?

– Jesteśmy francuskimi naukowcami ze stacji Dumont d'Urville – wyrzucił z siebie szybko Luc Champion. – Zostaliśmy wbrew naszej woli zatrzymani przez amerykańskich żołnierzy. Żądamy uwolnienia zgodnie z międzynarodowymi...

– Panie Nero – zimnym głosem powiedział Barnaby.

Zza pleców generała wyszedł wielki jak góra mężczyzna i stanął obok niego. Miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, szerokie bary i zimne oczy. Od kącika jego ust do końca podbródka biegła czerwona blizna.

– Panie Nero, gdyby pan był uprzejmy... – dodał Barnaby. Olbrzym podszedł do Championa, podniósł pistolet i strzelił naukowcowi w głowę.

Głowa Francuza eksplodowała. Jego krew i mózg chlapnęły Wężowi na twarz.

Henri Rae, drugi naukowiec, zaczął jęczeć.

– Pan też jest Francuzem? – spytał generał. Rae, cały czas jęcząc, kiwnął głową.

– Panie Nero – powiedział Barnaby.

Rae domyślił się, co nastąpi, zdążył jednak tylko wrzasnąć:

– No!

Nero podniósł pistolet i po chwili druga połowa twarzy Węża również była

zachlapana krwią.

W ciemnościach szybu windy towarowej Matka poderwała się na odgłos strzału. Cholera jasna, znowu musiałam stracić przytomność, pomyślała. Nie wolno ci zasnąć, powtórzyła sobie w myśli. Nie wolno ci zasnąć. Popatrzyła na torebkę z przezroczystym płynem, którą udało jej się ze sobą zabrać, połączoną rurką z wlewem dożylnym w swoim przedramieniu.

Torebka była pusta.

Od co najmniej dwudziestu minut.

Matka zaczęła dygotać. Było jej zimno i traciła siły. Zaczynały jej się kleić powieki.

Ugryzła się w język, by ból zmusił ją do otwarcia oczu.

Kilka razy ta metoda zadziałała, szybko jednak straciła skuteczność.

Skulona, zwinięta w supeł na dole szybu windy towarowej Matka ponownie straciła przytomność.

Trevor Barnaby zrobił krok do przodu i zmrużył oczy.

– Sierzancie Kapłan... Był pan niegrzecznym chłopcem, prawda?

Waż nie odpowiedział.

– Jesteś ICG? Renegatem? Zdradziłeś własnego dowódcę? Co zrobiłeś? Zbyt szybko się ujawniłeś, zacząłeś zabijać swoich przed upewnieniem się, że stacja jest zabezpieczona? Założę się, że Strach na Wróble nie był zachwycony, kiedy się o tym dowiedział. Czy właśnie dlatego przypiął cię do pala i zostawił dla mnie?

Waż przełknął ślinę.

Generał przyglądał mu się zimno.

– Ja bym tak zrobił – stwierdził po chwili.

W tym momencie podszedł do niego młody kapral.

– Sir...

– Tak, kapralu?

– Sir, zaczęto rozmieszczać ładunki.

– W jakiej odległości?

– Pięćset metrów. Łukiem, jak pan rozkazał.

– Znakomicie.

Zaraz po przybyciu Barnaby wydał rozkaz rozmieszczenia od strony lądu osiemnastu ładunków tritonalu w półkołu. Miały spełnić specjalne zadanie. Bardzo niezwykle zadanie.

– Kapralu, ile pańskim zdaniem to zajmie?

– Biorąc pod uwagę wiercenie, powiedziałbym, że jeszcze godzinę, sir.

– Świetnie – odparł generał. – Kiedy skończycie, proszę mi przynieść detonator.

– Tak jest, sir. Aha, i jeszcze jedno...

– Tak?

– Sir, właśnie przywieziono ludzi, którzy wypadli z amerykańskiego poduszkiowca.

Co mamy z nimi zrobić?

Barnaby wiedział już o żołnierzu i dziewczynce, którzy wypadli z jednego z uciekających poduszkiowców i zostali przejęci przez jego ludzi – poinformowano go o tym przez radio.

– Dziewczynkę wziąć do jej kwatery i zamknąć, żołnierza przyprowadzić do mnie – powiedział.

Libby Gant stała sama w ciemnym kącie groty. Promień jej latarki oświetlał niewielką dziurę w lodowej ścianie.

Szczelina znajdowała się bardzo nisko, niemal przy styku ściany i podłoża. Miała jakieś sześćdziesiąt centymetrów wysokości i niecałe dwa metry długości.

Gant opadła na kolana i dłonie i popatrzyła w otwór. Nie widziała nic poza ciemnością, wydawało jej się jednak, że za lodowym murem jest pusta przestrzeń.

– Hej!

Gant odwróciła się.

Pod statkiem kosmicznym, po drugiej stronie groty, stała Sarah Hensleigh i machała do niej.

– Hej! – wołała z podnieceniem. – Chodź i popatrz na to! Gant podeszła do wielkiego czarnego pojazdu. Był tam też Montana, a Santa Cruz pilnował jeziora.

– Co o tym sądzisz? – spytała Hensleigh i wskazała na coś, co znajdowało się pod spodem statku.

Kiedy Gant zobaczyła, co jej wskazywano, zmarszczyła czoło. Wyglądało to jak kalkulator albo pilot.

Dwanaście przycisków w trzech szeregach – po cztery klawisze na szereg, a na górze coś przypominającego podłużny ekran.

W tym „pilocie” było jednak coś dziwnego.

Na klawiszach brakowało symboli.

Jak cały statek, klawiatura była czarna – czarne klawisze na czarnym tle.

Po dokładniejszym przyjrzeniu się Gant zauważyła na jednym z klawiszy oznakowanie. Drugi przycisk w środkowej kolumnie był oznaczony czerwonym kółkiem.

Hensleigh parsknęła.

– To raczej nieprawdopodobne. Słyszałaś o tym, żeby Obcy używali pilotów?

– Nie znam żadnego Obcego – mruknęła Gant. – A ty znasz? Hensleigh zignorowała ją.

– Nie da się określić, co to może być – stwierdziła. – Może zapłon albo system sterowania bronią...

– Albo urządzenie samoniszczące – powiedziała Gant.

– Proponowałabym nacisnąć jakiś klawisz i sprawdzić – podsunęła Hensleigh.

– Który? – spytał Montana.

– Najlepiej ten z kółkiem.

Montana wyduł w zadumie wargi. Był wśród nich najstarszy rangą. Dowodził. Spojrzał na Gant. Pokręciła głową.

– Nie przyszliśmy sprawdzać, jak działa ten pojazd. Jesteśmy po to, aby zabezpieczyć go do czasu przybycia kawalerii.

Montana zerknął na Santa Cruza, który także podszedł popatrzeć.

– Wciśnij – powiedział Santa Cruz. – Jeżeli mam za to wyciągnąć kopyta, chętnie zobaczę, co jest w środku.

Montana popatrzył na Sarah Hensleigh. Skinęła głową.

– Też chciałabym to zobaczyć.

– W porządku. Naciśnij – zgodził się Montana.

Sarah Hensleigh wzięła głęboki wdech, a potem wyciągnęła rękę i wcisnęła klawisz z czerwonym kółeczkiem.

Z początku nic się nie wydarzyło.

Hensleigh zdjęła palec z klawiatury i popatrzyła na statek, jakby się spodziewała, że za chwilę wystartuje.

Po paru sekundach rozległ się łagodny, harmonijny dźwięk i ekranik na górze klawiatury pojaśniał.

Po kolejnej sekundzie pojawiły się na nim liczby.

– O, cholera... – jęknął Montana.

– Co to ma... – zaczęła Hensleigh. Na ekranie pojawił się napis:

24157817 _____

WPISZ KOD AUTORYZACJI

– Liczby? – mruknął Montana.

– Po angielsku? – zdziwiła się Sarah Hensleigh. – Co to jest? Gant jedynie pokręciła głową i odeszła od „statku kosmicznego”, śmiejąc się cicho pod nosem.

Porucznik i Renshaw leżeli na plecach na zimnym lodzie i wsłuchiwali się w rytmiczny odgłos fal, walących dwieście metrów dalej w lodowy klif.

Leżeli bez ruchu, uspokajając oddech.

Po kilku minutach Schofield poruszył się i zaczął macać przy swoim pasie, aż znalazł niewielkie czarne pudełko. Wcisnął umieszczony na nim klawisz.

PIP!

– Co robisz? – spytał geofizyk, nie podnosząc głowy.

– Włączam GPS – odparł Schofield, nadal leżąc na plecach. – System namierzania satelitarnego NAVSTAR. Ma go każdy żołnierz marines na wypadek awaryjnych sytuacji. Po to, żeby można nas było znaleźć na tratwie pośrodku oceanu. Albo na górze lodowej... – Porucznik westchnął. – Właśnie na czymś ekranie w jakimś samolocie zapaliło się czerwone światło...

– Czy to znaczy, że po nas przylecą?

– Zanim ktokolwiek tu przyleci, dawno zamarzniemy, ale przynajmniej będą wiedzieli, gdzie szukać naszych ciał.

– Wspaniale – jęknął Renshaw. – Jak miło wiedzieć, na co idą moje podatkowe dolary. Zbudowaliście satelitarny system nawigacyjny, żeby móc znaleźć moje ciało. Rany!

Schofield odwrócił się do niego.

– Zostawię przy naszych ciałach notatkę z informacją, co się stało w stacji. Przynajmniej dowiedzą się prawdy. O Francuzach, o Barnabym.

– Od razu czuję się lepiej.

Porucznik podniósł się na łokciu i popatrzył w kierunku klifów.

Gigantyczne fale Oceanu Indyjskiego waliły w lód, wybuchając ogromnymi rozbryzgami bieli.

Potem rozejrzał się po górze lodowej.

Była bardzo duża. Tak duża, że mimo silnie wzburzonego morza fale jej nie unosiły. Nad powierzchnią miała przynajmniej półtora kilometra długości, a pod wodą była z pewnością znacznie większa.

Na jednym jej końcu wznosił się wysoki, strzelisty, biały szpic. Reszta powierzchni była nierówna i poznaczona przypominającymi kraterami dziurami. Wyglądała jak zaśnieżona powierzchnia Księżyca.

Schofield wstał.

– Gdzie idziesz? – spytał Renshaw, nie podnosząc się. – Wybierasz się do domu?

– Powinniśmy się ruszać, by jak najdłużej zachować ciepło. Przy okazji możemy też sprawdzić, czy można jakoś dostać się z powrotem do brzegu.

Renshaw pokręcił głową, ale wstał i ruszył za nim po lodowej płaszczyźnie.

Szli niemal przez dwadzieścia minut, zanim się zorientowali, że wybrali zły kierunek.

Góra lodowa nagle się skończyła i przed sobą zobaczyli ocean, rozciągający się aż po zachodni horyzont. Najbliższa góra lodowa była oddalona o jakieś pięć kilometrów. Schofield miał nadzieję, że może uda im się wrócić na brzeg, przeprawiając się na kolejne góry lodowe, jednak z tej strony nie było takiej możliwości.

Ruszyli w kierunku, z którego przyszli.

Szli bardzo powoli. Wokół brwi i ust Renshawa zaczęły się tworzyć sople.

– Wiesz coś o górach lodowych? – spytał porucznik.

– Co nieco.

– Oświeć mnie.

– Niedawno czytałem w jakimś czasopiśmie, że ostatnio wśród palantów z nadmiarem pieniędzy modne jest „wspinanie się na góry lodowe” – powiedział mały naukowiec. – Wygląda na to, że to dość popularna rozrywka... Jedyny problem polega na tym, że góra prędzej czy później się roztopia.

– Miałem na myśli coś bardziej naukowego – skrzywił się Schofield. – Na przykład to, czy zbliżają się do brzegu.

– Nie. Na Antarktyce lód porusza się od bieguna na zewnątrz. Nigdy inaczej. Góry lodowe takie jak ta odrywają się od lodowców szelfowych – dlatego ich brzegi są tak strome. Podmyte przez wodę nawisy lodowe stają się w którymś momencie zbyt ciężkie i odrywają się, zamieniając – Renshaw pomachał wokół ręką – w góry lodowe.

– Aha... – mruknął Schofield, nie przerywając marszu.

– Niektóre bywają naprawdę spore. Popatrz na przykład na to maleństwo... Zobacz, jakie jest ogromne. Większość dużych gór lodowych pływa po oceanie dziesięć albo dwanaście lat, a potem się roztopia. Ale przy odpowiednich warunkach klimatycznych – no i jeśli góra ma na początku odpowiednie rozmiary – taki kawał lodu jak ten może pływać wokół Antarktydy trzydzieści lat.

– Wspaniale.

Doszli do miejsca, gdzie Renshaw wyciągnął Schofielda z wody po zniszczeniu przez niego francuskiego okrętu podwodnego.

– Cholera – zaklął naukowiec. – Czterdzieści minut spaceru i jesteśmy tam, skąd wystartowaliśmy.

Zaczęli wchodzić na niewielkie wzniesienie i wkrótce doszli do miejsca, gdzie francuska torpeda trafiła w górę.

Wielki kawał lodu, oderwany przez pocisk, pozostawił ogromne, półkoliste wgłębienie. Od miejsca, w którym stali, do znajdującej się dziesięć metrów niżej wody opadała pionowa ściana.

Schofield popatrzył na dół, na ochlapującą bok wielkiej góry lodowej wodę.

– Umrzemy tu, prawda? – zapytał Renshaw.

– Ja nie.

– Ty nie?

– To moja stacja i zamierzam ją odzyskać. Renshaw popatrzył na morze.

– A masz jakiś pomysł, jak to zrobić? Porucznik nie odpowiedział.

– Jak, na Boga, zamierzasz odzyskać swoją stację, kiedy tkwimy tu jak głupki?! Ale Schofield go nie słuchał.

Przykucnął i wpatrywał się w dół, w półkolistą dziurę, którą torpeda wyrwała w lodzie.

Geofizyk podszedł bliżej i stanął obok.

– Na co patrzysz?

– Na ratunek. Może.

Renshaw podążył za wzrokiem porucznika i natychmiast zauważył, o co chodzi.

Kilka metrów od górnej krawędzi pionowej ściany widać było wyraźnie prostokątne, zamrożone okno.

Schofield związał dwie kurtki i używając ich jako liny, polecił geofizykowi, by spuścił go do okna w klifie.

Po chwili wisiał nad wodą na wysokości prostokątnego otworu. Dokładnie mu się przyjrzał.

Był to zdecydowanie wytwór ludzkiej ręki.

Drewniana framuga dawno zwietrzała, popękała i wyblakła. Porucznik był ciekaw, jak długo okno – i to, czego było częścią – znajdowało się w lodzie.

Eksplozja torpedy musiała oderwać przynajmniej dziesięć metrów lodu, który się przed nim zebrał. Oznaczało to, że konstrukcja, której częścią było okno, musi znajdować się głęboko we wnętrzu góry.

Schofield zamachnął się nogą i rozbił szkło.

Za oknem ziała ciemność – było tam coś w rodzaju niedużej groty.

Porucznik wyjął z kieszeni latarkę, zabujał się na podtrzymującej go „linie” i wskoczył do wnętrza lodowej góry.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył w świetle latarki, był odwrócony do góry nogami napis. Brzmiał on:

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU 1969! WITAMY W LITTLE AMERICA IV!

Było to namalowane na czymś w rodzaju transparentu, wiszącego – do góry nogami – w grocie, do której Schofield wskoczył.

Tyle że nie była to wcale grota.

Było to jakieś pomieszczenie – nieduże, wyłożone drewnianą boazerią i całkowicie schowane w lodzie.

Na dodatek wszystko było obrócone o sto osiemdziesiąt stopni.

Dopiero po dłuższej chwili porucznik zorientował się, że stoi na suficie.

Spojrzał w prawo. Wydawało się, że od pomieszczenia, w którym się znajdował, odchodzą kolejne.

– Hej tam, na dole! – doleciał z zewnątrz głos Renshawa. Schofield wystawił głowę na zewnątrz.

– Co się dzieje? – zapytał geofizyk. – Jaja sobie zaraz odmrozę!

– Słyszałeś kiedyś o czymś, co się nazywa Little America Cztery?

– Oczywiście. To była jedna z naszych stacji badawczych w latach sześćdziesiątych. W sześćdziesiątym dziewiątym, kiedy Lodowiec Szelfowy Rossa urodził górę lodową o powierzchni dziewięciu tysięcy kilometrów kwadratowych, zniknęła razem z nią na morzu. Marynarka szukała stacji trzy miesiące, ale nic to nie dało.

– Chyba nie zgadniesz... – powiedział Schofield. – Właśnie ją znaleźliśmy.

Owinęty trzema grubymi wełnianymi kocami James Renshaw siedział na „podłodze” głównego pomieszczenia Little America IV. Energicznie zacierał ręce i chuchał na nie, podczas gdy Schofield – ciągle w mokrym mundurze – krzątał się po ciemnej, odwróconej do góry nogami stacji. Nie odwazyli się jeść niczego z porzucanych wokół trzydziestoletnich puszek.

– O ile pamiętam, Little America Cztery była trochę podobna do „Wilkes – powiedział geofizyk. – Była stacją mającą badać bogactwa naturalne i dlatego została wydrążona w lodowcu szelfowym. Zatrudnieni tam naukowcy mieli szukać znajdujących się w dnie morskim u wybrzeży Antarktydy złóż ropy naftowej. Robili odwierty i sprawdzali, czy próbki zawierają...

– Dlaczego wszystko jest odwrócone do góry nogami? – spytał z pomieszczenia obok Schofield.

– Proste. Kiedy rodziła się góra lodowa, lód przewrócił się do góry nogami.

– Góra lodowa fiknęła?

– To częste zjawisko. Poza tym logiczne. Kiedy góra lodowa odrywa się od lodowca, jej punkt ciężkości znajduje się dość wysoko, ponieważ lód znajdujący się pod wodą był wypłukiwany przez cieplejszą wodę oceanu. Jeśli więc góra lodowa w chwili odrywania się od lodowca nie jest wybalansowana, robi kozła.

Porucznik przebił się przez sterty porzucanych wokół śmieci. Obszedł wielką, przewróconą na bok zwijarkę liny i nagle ujrzał coś, co go zainteresowało.

– Jak długo marynarka szukała tej stacji?

– Mniej więcej trzy miesiące.

– To długo jak na szukanie zaginionej stacji? Renshaw wzruszył ramionami.

– Dłużej niż zwykle. Dlaczego pytasz?

Schofield wrócił z jakimś metalowym przedmiotem w rękach.

– Moim zdaniem wasi chłopcy robili tu coś, czego nie powinni – stwierdził.

Uniósł do góry kawał białego sznura. Wyglądał, jakby był pokryty białym proszkiem.

– Lont – wyjaśnił porucznik i owinął go sobie wokół pasa. Stosowany do odpalania materiałów wybuchowych na niewielkie odległości. Proszek, który jest na wierzchu, to siarczan magnezu – pali się bardzo szybko i wytwarza wysoką

temperaturę, dzięki czemu nasączony nim lont może przepalić nawet metal. Dobra rzecz, czasami używamy tego i dziś. Popatrz na to... – Schofield podniósł w górę zardzewiały zbiornik ciśnieniowy. – Gaz trujący VX. – Podniósł następny pojemnik. – A to sarin.

– Sarin? – powtórzył Renshaw. Nawet on wiedział, co to za środek – była to broń chemiczna. Pamiętał incydent z 1995 roku, kiedy grupa terrorystów zdetonowała w tokijskim metrze pojemnik z sarinem. Wybuchła panika, wiele osób zostało rannych. – Używano go już w latach sześćdziesiątych?

– O, tak...

– Myślisz, że ta stacja była laboratorium broni chemicznej?

– Tak sądzę.

– Ale dlaczego? Po co testować broń chemiczną na Antarktydzie?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, w zwykłych laboratoriach trzyma się większość gazów trujących w lodówkach, bo w wyższych temperaturach tracą toksyczne właściwości. Najlepiej więc prowadzić badania nad nimi tam, gdzie stale jest zimno.

– A drugi powód?

– Jest znacznie prościej – uśmiechnął się porucznik. – Nikt się nie przygląda. – Wrócił do pomieszczenia obok. – Niewiele rzeczy stąd nam się przyda, ale jest tu coś, z czego na pewno skorzystamy. Moim zdaniem pozwoli nam to wrócić do gry.

– Co to takiego?

– Zobacz! – odparł Schofield, pojawił się ponownie w drzwiach i wyciągnął zza siebie butlę tlenową.

Porucznik zabrał się do kalibrowania trzydziestoletniego sprzętu do nurkowania. Renshaw miał za zadanie oczyścić aparaty oddechowe – ustniki, zawory, przewody.

Główne ryzyko stanowiło sprężone powietrze. Po trzydziestu latach mogło okazać się toksyczne.

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Schofield przeprowadził próbę na sobie – wziął głęboki haust powietrza z butli i popatrzył na Renshawa. Nie padł trupem, więc ogłosił, że powietrze jest dobre.

Pracowali nad sprzętem przez dwadzieścia minut. Kiedy kończyli, geofizyk spytał:

– Udało ci się rzucić okiem na ciało Berniego Olsona? Porucznik popatrzył na małego naukowca, pochylonego nad dwoma ustnikami i obmywającego je morską wodą.

– Tak – powiedział cicho.

– I co widziałeś? Schofield milczał przez chwilę.

– Olson odgryzł sobie język – odparł w końcu.

– Hmm...

– Jego szczęka była bardzo mocno zaciśnięta, a oczy otoczone czerwonymi otoczkami i przekrwione.

Renshaw kiwnął głową.

– Co ci powiedziano na temat jego śmierci? – spytał.

– Sarah Hensleigh oświadczyła, że wbiłeś mu w szyję igłę strzykawki i wstrzyknąłeś przemysłowy środek do czyszczenia rur kanalizacyjnych.

Naukowiec ponownie kiwnął głową.

– Rozumiem... Mógłbyś na to rzucić okiem? – Wyjął z kieszeni kurtki przemoczoną książkę – tę, którą zabrał ze sobą podczas ewakuacji.

Podał ją Schofieldowi. Jej tytuł brzmiał: Biotoksykologia i choroby wywołane toksynami.

– Poruczniku, po zatruciu środkiem do czyszczenia rur serce natychmiast staje. Człowiek nie walczy. Nie rzuca się. Po prostu umiera. Przeczytaj rozdział drugi.

Schofield przerzucił mokre kartki i znalazł wskazany rozdział. Jego tytuł brzmiał: „Natychmiastowa śmierć fizjologiczna w wyniku zatrucia”.

Była tu wymieniona lista środków, określanych przez autora jako „powszechnie znane trucizny”. W środku tej listy wymieniono „przemysłowe płyny czyszczące, insektycydy”.

– Chodzi o to, że w wyniku zatrucia tego typu trucizną nie ma żadnych zewnętrznych objawów – powiedział Renshaw i uniósł w górę palec. – Co innego w przypadku wielu innych toksyn. Na przykład jadu węża morskiego.

– Jadu węża morskiego?

– Rozdział siódmy.

Schofield znalazł ten rozdział. Był zatytułowany „Toksyny naturalne – fauna morska – Poszukaj teraz podrozdziału o węzach.

Porucznik znalazł tytuł: „Węże morskie – objawy zatrucia jadem i leczenie”.

– Przeczytaj to – poprosił geofizyk. Schofield zaczął czytać.

– Na głos.

Porucznik spełnił prośbę Renshawa.

– „Jad węża morskiego (*Enhydrina schistosa*) jest trzykrotnie silniejszy od jadu najbardziej jadowitego węża lądowego – kobry królewskiej. Jedna kropla (0,03 ml) wystarczy do zabicia trzech ludzi. Objawami zatrucia jadem węża morskiego są bóle i sztywnienie mięśni, opuchlizna języka, paraliż, utrata widzenia, silne zapalenie okolic oczu i rozszerzenie źrenic, a przede wszystkim szczękościsk. Może on być tak silny, że znane są przypadki zatrucia jadem węży morskich, kiedy...”.

Schofield przerwał.

– Przeczytaj – powiedział mały naukowiec.

– ...ofiary odgryzały własny język. – Porucznik popatrzył na Renshawa.

Geofizyk przekrzywił głowę.

– Poruczniku, czy ja wyglądam na zabójcę?

– Może napelnieś strzykawkę jadem węża morskiego?

– W Stacji Lodowej Wilkes jad węży morskich trzymano w laboratorium biotoksyn, które zawsze było zamykane. Tylko kilka osób miało dostęp do tego laboratorium, a ja do nich nie należałem.

Schofield przypomniał sobie, że widział na poziomie B pomieszczenie oznakowane jako laboratorium biotoksyn – charakterystycznym znakiem z trzech okręgów na drzwiach wejściowych.

Przypomniał sobie coś jeszcze.

Sarah Hensleigh powiedziała mu: „Zanim to wszystko tu się zaczęło, pracowałam z Benem Austinem na pokładzie B w laboratorium biologicznym. Prowadził badania nad nowym antidotum przeciwko ukąszeniom *Enhydrina schistosa*”.

Odrzucił jednak tę myśl.

Nie. To niemożliwe.

Odwrócił się do Renshawa.

– Kto więc twoim zdaniem zabił Berniego Olsona?

– Ktoś, kto miał dostęp do laboratorium biotoksyn, to oczywiście. Ben Austin, Harry Cox albo Sarah Hensleigh.

Sarah Hensleigh...

– Dlaczego któreś z nich mogłoby chcieć zabić Olsona?

– Nie mam pojęcia.

– Nikt z tej trójki nie miał motywu, by zabić Olsona, prawda?

– Zgadza się.

– Ale ty miałaś. Olson kradł wyniki twoich badań.

– Co uczyniło ze mnie idealnego kandydata do wrobienia, czyż nie?

– Gdyby jednak ktoś naprawdę chciał cię wrobić, użyłby środka do czyszczenia rur. Po co kłopotać się jadem węża?

– Dobry argument – mruknął Renshaw. – Bardzo dobry. Jeśli jednak przeczytasz tę książkę, dowiesz się, że śmiertelność w wyniku zatrucia płynem do czyszczenia rur wynosi pięćdziesiąt dziewięć procent, a w przypadku zatrucia jadem węża morskiego – dziewięćdziesiąt osiem. Ten, kto zaatakował Olsona, chciał mieć pewność. Dlatego użył jadu. Nie chciał, by jego ofiarę odratowano.

Schofield z namysłem zmarszczył brwi.

– Opowiedz mi o Sarah Hensleigh – poprosił.

– Co?

– Jak wyglądały wasze kontakty? Lubieś ją? A ona, czy lubiła ciebie?

– Dlaczego jej nie lubieś?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Renshaw głęboko westchnął i odwrócił się. – Ponieważ wyszła za mojego najlepszego przyjaciela – był także moim szefem – choć wcale go nie kochała.

– Za kogo?

– Za Briana Hensleigha. Był szefem geofizyki na Harvardzie. Porucznik przypomniał sobie, co Kirsty opowiadała o ojcu. Że uczył ją wyższej matematyki. I że niedawno zginął.

– Zginął w wypadku samochodowym, tak?

– Zgadza się – potwierdził Renshaw. – Zabił go pijany kierowca, który wjechał na chodnik. – Geofizyk popatrzył na Schofielda. – Skąd o tym wiesz?

– Od Kirsty.

– Od Kirsty... – Renshaw kiwnął głową. – To dobry dzieciak, poruczniku. Powiedziała ci też, że jest moją córką chrzestną?

– Nie.

– Kiedy się urodziła, Brian poprosił mnie, żebym został ojcem chrzestnym... no wiesz, na wypadek, gdyby coś mu się stało. Jego matka, Mary-Anne, zmarła na raka, kiedy Kirsty miała siedem lat.

– Zaraz, zaraz... jej matka umarła, kiedy Kirsty miała siedem lat?

– Tak.

– Więc Sarah Hensleigh nie jest jej matką?

– Nie. Sarah była drugą żoną Briana. Jest macochą Kirsty. Nagle różne rzeczy stały się dla Schofielda jasne. To, że Kirsty ledwie się odzywała do Sarah. To, że w jej obecności zawsze zamykała się w sobie. Normalna reakcja dziecka na nielubianą macochę.

– Nie wiem, dlaczego Brian się z nią ożenił – powiedział Renshaw. – Fakt, czuł się samotny, a Sarah jest atrakcyjna i okazała mu sporo zainteresowania, ale jest też cholernie ambitna. Jezu, jaka ona jest ambitna. Widać to w jej oczach. Chciała mieć jego nazwisko i spotykać się z ludźmi, których znał. Wcale nie chciała jego, a już najmniej zależało jej na dziecku. – Geofizyk zaśmiał się smutno. – A któregoś dnia pijany kierowca wjechał na chodnik i Sarah za jednym zamachem straciła Briana i dostała dziecko, którego nigdy nie chciała mieć.

– Dlaczego ciebie nie lubiła? Renshaw znów się zaśmiał.

– Ponieważ powiedziałem Brianowi, żeby się z nią nie żenił. Schofield pokręcił głową. Wszystko wskazywało na to, że przed przybyciem marines na Stację Lodową Wilkes działo się tam znacznie więcej, niż można było dostrzec na pierwszy rzut oka.

– Wyczyścieś ustniki? – spytał geofizyka.

– Są gotowe.

– Nasza rozmowa nie jest jeszcze skończona – oświadczył porucznik, po czym

wstał i zaczął zakładać sobie na plecy sprzęt do nurkowania.

– Chwileczkę! – zawołał Renshaw. – Wracasz tam?! A jeżeli cię zabiją? Wtedy nikt mi nie uwierzy.

– A kto powiedział, że ja ci uwierzyłem?

– Uwierzyłeś. Wiem, że mi uwierzyłeś.

– W takim razie lepiej będzie, jeżeli popłyniesz ze mną i zadbasz o to, żebym nie zginął – powiedział Schofield, po czym podszedł do okna w lodzie i wyjrzał na zewnątrz.

Mały naukowiec zbladł.

– Dobrze, jak chcesz, może tylko trochę zwolnij. Zapomniałeś, że w okolicy krąży stado orek? Nie wspominając już o ogromnej focie, która je zabija...

Schofield nie słuchał. Wpatrywał się w dal. Na południowym zachodzie, na szczycie klifu, migąło zielone światło. Błysk-błysk. Błysk-błysk. Był to zielony promień radiolatarni na szczycie anteny Stacji Lodowej Wilkes.

– Panie Renshaw, wracam. Z panem albo bez pana, niezależnie od tego, co stanie mi na drodze. – Porucznik popatrzył na naukowca. – Czas odzyskać Stację Lodową Wilkes.

Mając na sobie zbyt obszerne, podwójne skafandry z lat sześćdziesiątych, płynęli w lodowatej ciszy, oddychając powietrzem z trzydziestoletnich akwalungów.

Obaj obwiązali się wokół pasa stalową liną – biegnącą do wielkiej nawijarki we wnętrzu Little America IV, stacji dryfującej w górze lodowej jakieś półtora kilometra na północny wschód od Stacji Lodowej Wilkes. Zastosowali ten środek ostrożności na wypadek, gdyby się zgubili albo rozdzielili i musieli wracać.

Schofield trzymał przed sobą harpun, znaleziony w Little America IV.

Kiedy wpłynęli pod lód, w las poszarpanych stalaktytów, woda wokół zrobiła się kryształowo przejrzysta.

Plan porucznika przewidywał, że – oczywiście jeżeli będzie to możliwe – wpłyną pod lodowiec szelfowy i wypłyną we wnętrzu Stacji Lodowej Wilkes. Ustalili kurs na podstawie zielonego światła radiolatarni na szczycie masztu radiowego stacji i Schofield uznał, że jeżeli uda im się utrzymać odpowiedni kierunek, płynąc pod lodem, dotrą do basenu na dole szybu głównego stacji.

Znajdowali się w świetle bieli. Przez niemal sto pięćdziesiąt metrów płynęli w dół wzdłuż wielkich lodowych formacji, przypominających odwrócone o sto osiemdziesiąt stopni spiczaste góry, Schofield uświadomił sobie, że zanim będą mogli wypłynąć, czeka ich zejście na sporą głębokość.

Płynęli w dół wzdłuż „zbocza” jednego z potężnych lodowych tworów. Przed oczami mieli jedynie litą ścianę lodu.

Wkrótce dotarli na dół – do szczytu odwróconej góry. Porucznik przepłynął pod

nim, ściana bieli zniknęła i...

...w tym momencie go dostrzegł.

Tuż przed nim wisiał na cienkiej linie dzwon nurkowy.

Wracał na górę.

Do Schofielda nagle dotarło, co to oznacza.

Brytyjczycy posłali na dół oddział, mający zbadać grootę.

Mógł jedynie mieć nadzieję, że jego ludzie byli przygotowani na tę wizytę.

Musieli się z Renshawem dostać do dzwonu. Porucznik nie zamierzał stracić takiej okazji – w ten sposób bezpiecznie dotrą do Stacji Lodowej Wilkes.

Odwrócił się, by dać znak geofizykowi. Jego towarzysz pozostał kawałek z tyłu, właśnie wpływał pod odwrócony szczyt. Schofield dał mu znak, by przyspieszył, i razem ruszyli w kierunku dzwonu nurkowego.

– Ilu ludzi jest na dole? – spytał Barnaby.

Buck Riley nie odpowiedział.

Kłęczał z rękami spiętymi kajdankami na plecach. Byli na poziomie E, tuż przy basenie. Z ust Booka sączyła się krew, jego lewe oko było na wpół zamknięte, opuchnięte i zaczerwienione. Kiedy wypadł z Kirsty z poduszki, został złapany i przywieziony do stacji, a potem zaprowadzono go na poziom E do Barnaby'ego.

– Panie Nero... – powiedział generał.

Olbrzym z SAS podszedł i uderzył Booka mocno w twarz. Amerykanin przewrócił się na bok.

– Ilu? – powtórzył pytanie Barnaby. Trzymał w rękach maghooka, którego odebrano Bookowi.

– Nikogo! – krzyknął Book. – Nikogo nie ma na dole. Nie zdążyliśmy tam nikogo posłać.

– Naprawdę? – Generał z namysłem popatrzył na maghooka, którego trzymał w rękach. – Panie Riley, trudno mi uwierzyć, by dowódca takiej klasy jak Strach na Wróble nie dostrzegł, że posłanie do groty na dole oddziału to pierwsza rzecz, jaką trzeba zrobić po przybyciu do stacji!

– Niech go więc pan sam zapyta!

– Powiedz mi prawdę, panie Riley, albo stracę cierpliwość i nakarmię tobą lwy.

– Na dole nikogo nie ma.

– W porządku. – Barnaby odwrócił się i popatrzył na Węża. – Panie Kapłan... czy pan Riley mówi prawdę?

Book również popatrzył na Węża – Panie Kapłan, jeżeli pan Riley mnie okłamuje, zabiję go – oświadczył Barnaby. – Jeżeli pan mnie okłamie, zabiję pana.

Book patrzył na Węża błagalnym wzrokiem.

– Kłamie – odparł Wąż. – Na dole są cztery osoby. Troje marines, jeden cywil.
– Ty skurwysynu... – wycharczał Book.
– Panie Nero – powiedział Barnaby, rzucając olbrzymowi odebranego Bookowi maghooka. – Zwiąż tego człowieka.

Schofield i Renshaw wynurzyli się równocześnie we wnętrzu dzwonu nurkowego. Wyszli z wody i stanęli na metalowym obramowaniu, biegnącym wokół niewielkiego koła wody w środku podstawy dzwonu.

Naukowiec wyjął ustnik spomiędzy zębów i zaczął łapczywie chwytać powietrze. Schofield rozejrzał się po pustym wnętrzu – szukał broni, czegokolwiek.

Na jednej ze ścian dostrzegł cyfrowy głębokościomierz. Cyferki zmieniały się co chwila: 110 metrów... 109 metrów... 108 metrów.

– Chodź tu! – zawołał do niego znajdujący się po drugiej stronie dzwonu Renshaw.

Schofield odwrócił się. Geofizyk stał przed niedużym monitorem, umieszczonym wysoko nad ich głowami. Włączył go.

– Zupełnie o nim zapomniałem – powiedział.

– Co to jest?

– Kolejna zabawka Carmine’a Yaegera. Wiesz, tego gościa, o którym ci opowiadałem... tego, który cały czas obserwował orki. Pamiętasz, jak mówiłem, że czasem obserwował je z wnętrza dzwonu? Ten monitor również pokazuje obraz z kamery nad basenem. Yaeger zamontował go, żeby móc obserwować powierzchnię z dzwonu pod wodą.

Schofield popatrzył na czarno-biały obraz.

Na ekranie znajdował się ten sam widok poziomu E, który oglądał wcześniej w pokoju Renshawa: obraz z umieszczonej na rozsuwanym moście poziomu C kamery, skierowanej pionowo w dół.

Nagle zamarł.

Na ekranie zobaczył ludzi.

Żołnierze SAS z bronią w ręku. Wąż w dalszym ciągu był przykuty do pala. Po pomocy powoli przechadzał się Trevor Barnaby.

Był tam ktoś jeszcze.

U stóp Trevora Barnaby’ego leżał Buck Riley ze związanymi nogami.

– W porządku, podnieś go – powiedział generał, kiedy Nero skończył wiązać Bookowi nogi linką maghooka.

Ktoś zdążył już ją rozwinąć i przerzucił korpus wyrzutni przez most na wysokości poziomu C, tworząc prymitywną podciągarkę.

Nero wziął maghooka i zablokował go między dwoma stopniami pionowej drabinki, łączącej poziomy D i E, po czym wcisnął czarny guzik, uruchamiający mechanizm zwijający linkę.

Book został podniesiony ponad pokład za kostki nóg. Ręce miał w dalszym ciągu skute za plecami. Zaczął bezradnie kołysać się nad wodą – głową w dół.

– Co oni do cholery wyprawiają? – wymamrotał Renshaw. Monitor ukazywał bujającego się nad wodą Booka, wiszącego na własnym maghooku.

Nagle dzwon nurkowy lekko zadrzał i Schofield przytrzymał się ściany, by nie stracić równowagi.

– A to co takiego? – spytał Renshaw. Porucznik nie musiał odpowiadać.

Wokół dzwonu poruszały się wielkie, ciemne kontury.

Stado orek.

Pływały do góry, do basenu na dole stacji.

Kiedy pierwsza płetwa grzbietowa przecięła powierzchnię wody, wśród dwudziestu, może nawet trzydziestu komandosów SAS, zebranych wokół basenu, przeszedł pomruk.

Book w dalszym ciągu wisiał głową do dołu. On też dostrzegł potężny, czarny kształt, sunący powoli pod nim. Szarpnął się gwałtownie, ale nic to nie dało – ręce miał skute, a nogi ciasno związane.

Zaczął mu się zsuwać z szyi łańcuszek z blaszkami identyfikacyjnymi. Kilka sekund prześlizgnął się przez podbródek, plusnął do wody i poszedł na dno.

Barnaby obserwował orki z brzegu.

– To powinno być bardzo interesujące... – stwierdził. Podeszedł do niego jeden z kaprali – ten sam, który składał poprzedni raport.

– Sir, ładunki tritonu porozmieszczane. – Podał generałowi niewielkie, czarne pudełko o rozmiarach kalkulatora. Z przodu znajdowały się oznakowane cyframi klawisze. – Detonator, sir.

Generał wziął czarne pudełko.

– Co z zewnętrznymi markerami?

– Pięciu ludzi jest na obrzeżu i sprawdza horyzont dalmierzami laserowymi, sir. Ostatnie dane wskazują, że w odległości osiemdziesięciu kilometrów nie ma żywej duszy.

– Świetnie. Znakomicie. – Barnaby skierował uwagę z powrotem na basen i bezradnie wiszącego nad nim amerykańskiego marine. – No to mamy nieco czasu na odpoczynek i rozrywkę.

– Jezu, czy to nie może się szybciej poruszać? – warknął Schofield, patrząc na głębościomierz. Cyferki zmieniały się w ślimaczym tempie. Do powierzchni

pozostało im pięćdziesiąt osiem metrów. Jeszcze przynajmniej siedem minut.

Popatrzył na Booka.

– Cholera! Jasna cholera!

– Panie Nero – powiedział Barnaby.

Nero nacisnął czarny guzik na maghooku, zwalniający blokadę linki. Book zaczął opadać do wody – głową w dół.

Woda pod nim burzyła się, wszędzie przemykały orki. Nagle jedna wyskoczyła wysoko w górę i z otworu na głowie wystrzeliła silny strumień wody.

Głowa Booka opuszczała się coraz niżej. Jakies pół metra nad powierzchnią linka szarpnęła – i związany marine przestał opadać do wody.

– Panie Riley! – krzyknął Barnaby z pomostu.

– Co?

– Rule, Britannia, panie Riley! *.

* [Rule, Britannia – dosłownie: „Rządź, Brytanio!”. Oda Jamesa Thomsona, obecnie hymn brytyjski.]

Nero ponownie nacisnął guzik i głowa oraz tułów Booka opadły pod wodę.

Tuż obok zanurzonego ciała natychmiast zaczęły śmigać ciemne kształty.

Oczy Booka rozszerzyło przerażenie.

Tyle ich było! Pływały wszędzie. Powoli poruszający się czarno-biały las. Groźny, przyczajony.

Nagle jedna z orek zawróciła w kierunku Amerykanina.

Book wisiał jak ćwiartka wołu na haku, sparaliżowany strachem.

Orka ruszyła do ataku.

Kiedy komandosi SAS zobaczyli, że potężna płetwa grzbietowa rusza prosto na zanurzonego w wodzie marine, zaczęli się hałaśliwie śmiać.

Schofield nie odrywał oczu od monitora.

– Dawaj, chłopie! Pokaż, że masz jakiegoś asa w rękawie.

Book potrząsnął skutymi na plecach rękami. Ale kajdanki trzymały mocno.

Orka zbliżała się szybko.

BARDZO SZYBKO.

Otworzyła paszczę, przewróciła się na bok i...

...minęła go, ocierając się o jego ciało.

Komandosi SAS wybuchnęli głośnym: BUUU!

Schofield odetchnął z ulgą, ale stojący za jego plecami Renshaw ciężko westchnął.

– To koniec...

– Jak to koniec? – Przypomnij sobie, co mówiłem przedtem. Przepływając pierwszy raz obok swojej ofiary, orka daje swoim towarzyszom do zrozumienia, że

zdobycz należy do niej. Potem cię zjada.

Book zawył bezgłośnie pod wodą.

Nie mógł uwolnić rąk.

Nie... mógł... uwolnić... rąk...

Orka ponownie nadpłynęła.

Ta sama.

Pędziła, tnąc wodę, tym razem jeszcze szybciej, jej wysoka płetwa grzbietowa cięła niespokojne fale.

Znów otworzyła paszczę, a im bliżej Booka był szereg białych zębów i różowy jęzor, tym większe ogarniało go przerażenie.

Tym razem orka nie przekreśliła się na bok.

Nie otarła się o niego.

Tym razem siedmiotonowy drapieżny delfin z całą siłą wpadł na skazańca i zanim Book zdążył się zorientować, szczęki potężnego zwierzęcia zacisnęły mu się na głowie.

Schofield wpatrywał się w monitor w milczeniu.

– Jezu drogi... – wyszeptał Renshaw.

Widok był przerażający.

Z wody wytrysnęła fontanna krwi. Orka wbiła zęby w Booka i jednym kęsem odgryzła mu pół tułowia. Potem zaczęła gwałtownie szarpać trupem, próbując zerwać ciało z linki – jak wielki rekin żarłacz, walczący o kawał mięsa, wywieszony na żyłce za burtą łodzi.

Schofield połknął zbierające mu się w gardle wymioty.

W grocie na dole Montana i Sarah Hensleigh wpatrywali się w ekranik nad klawiaturą. Gant poszła sobie – wróciła do dziury w ścianie, którą niedawno znalazła.

Sarah Hensleigh gapiała się na ekranik jak zahipnotyzowana.

24157817 _____

WPISZ KOD AUTORYZACJI

– To urządzenie pozwalające dostać się do środka – stwierdziła wreszcie.

Na ekraniku znajdowało się osiem cyfr: 24157817, należało je uzupełnić dalszymi znakami.

– Trzeba wypełnić szesnaście pustych miejsc – mruknął Montana. – Tylko czym?

– Chyba także cyframi... – odparła zamyślona Sarah Hensleigh. – To musi być kod numeryczny, wynikający z ośmiu cyfr, które już wpisano.

– Nawet jeśli odgadniemy te cyfry, to jak je wpisujemy? – spytał Montana.

Paleontolożka pochyliła się i nacisnęła pierwszy górny klawisz od lewej.

W pierwszym wolnym miejscu pojawiła się jedynka.

– Skąd wiedziałaś? – spytał Montana, marszcząc czoło. Hensleigh wzruszyła ramionami.

– Jeżeli to urządzenie ma instrukcję po angielsku, jest dziełem człowieka, więc być może ta klawiatura jest zorganizowana tak samo, jak w kalkulatorze albo telefonie. Kto wie... może ci, co to konstruowali, po prostu zapomnieli wprowadzić wszystkie cyfry?

Wcisnęła drugi górny klawisz.

W następnym wolnym miejscu pojawiła się dwójka. Sarah Hensleigh uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Szesnaście miejsc... dziesięć cyfr... – mruknęła pod nosem. – Cholera. Miliardy kombinacji.

– Myślisz, że uda ci się złamać kod? – spytał Montana.

– Nie wiem. To zależy od tego, co oznacza pierwszych osiem cyfr i czy uda mi się tego domyślić.

Montana pochylił się do przodu i czternaście razy nacisnął pierwszy klawisz. Puste miejsca szybko się wypełniły. Ekranik nagle zapiszczał i na dole pojawił się nowy komunikat.

24157817 12 111111111111

BŁĘDNY KOD AUTORYZACJI – ODMOWA WSTĘPU WPISZ KOD
AUTORYZACJI

Po chwili ekran powrócił do poprzedniego wyglądu – z ośmioma cyframi i szesnastoma pustymi miejscami. Hensleigh popatrzyła na Montanę.

– Skąd wiedziałeś...? Montana uśmiechnął się.

– Po wpisaniu błędnego kodu zawsze masz jeszcze drugą szansę. Jak w większości systemów wojskowych, wymagających wpisania kodu.

W drugim końcu groty Gant kuciała nisko przy ścianie z wąskim otworem. Skierowała do niego promień latarki.

Konieczniewie chciała dowiedzieć się czegoś więcej o tej grocie. Zarówno w samej grocie, jak i w zbudowanym przez człowieka „statku kosmicznym” było coś, co ją mocno zastanawiało.

Zajrzała do dziury. Za otworem widać było kolejną grootę. Okrągłą, o ścianach z lodu, z korytarzem odchodzącym w prawo.

Jej dno było o półtora metra niżej od dna tej, w której się znajdowali.

Gant położyła się na plecach i zaczęła przeciskać przez otwór w ścianie.

Wyciągnęła nogi, próbując sięgnąć dna nowo odkrytej groty.

Kiedy już na nim stała, lód pod nią ustąpił nagle i poleciała w dół.

BANG!

Odgłos upadku odbił się głośnym echem. Zabrzmiało to jak uderzenie młotem

parowym o stal.

Gant znieruchomiła.

STAL?

Powoli, bardzo powoli skierowała wzrok na grunt pod swoimi nogami.

Podłoże pokrywała cienka warstwa lodu, ale Gant wyraźnie zobaczyła, na czym stoi. Jej oczy rozszerzyło zdumienie.

Najpierw zobaczyła nity – maleńkie, okrągłe główki na ciemnoszarym tle.

Metal!

Gruby, wzmacniany metal.

Poświeciła wokół. Znajdowała się w cylindrycznym pomieszczeniu – tunelu o średnicy metra – z wysokim sufitem, wznoszącym się półkolem nad poziomą dziurą, przez którą weszła. Dziura znajdowała się mniej więcej w połowie wysokości „tunelu”. Mimo sporej grubości, lód nad nią prześwitywał jak grube szkło.

Gant poświeciła dalej, kierując światło w głąb „tunelu”.

Zobaczyła coś w rodzaju drzwi, zrobionych z grubej, szarej stali. Były osadzone w lodzie i całkowicie pokryte szronem oraz soplami lodu. Wyglądały jak kłapa luku na statku albo okręcie podwodnym – były masywne, dobrze dopasowane do grubej metalowej przegrody.

– Jezus, Maria... – westchnęła Gant.

Peter Cameron po raz trzeci dzwonił do waszyngtońskiej redakcji „Post”. Nadal siedział w salonie Andrew Trenta. Wreszcie Alison podniosła słuchawkę.

– Gdzie byłaś? – zapytał Cameron. – Wydzwaniam przez całe popołudnie.

– Nie uwierzysz, co znalazłam...

Opowiedziała mu, czego dowiedziała się we Wszechbibliotecznej Bazie Danych – że współrzędne geograficzne, które zdobył w SETI, zgadzają się ze współrzędnymi antarktycznej stacji naukowej – Stacji Lodowej Wilkes.

Kiedy mówiła, Cameron wyjął swoje notatki, zrobione w instytucie.

Potem Alison opowiedziała o naukowcach, którzy pracowali w stacji, oraz o opublikowanych przez nich artykułach i książkach. Opowiedziała także o Bibliotece Kongresu i Raporcie geodezyjnym CM. Waitzkin albo Waitzkina.

– Książkę wypożyczono w siedemdziesiątym dziewiątym roku O. Niemeyerowi – dodała na koniec.

Cameron zmarszczył czoło.

– Niemeyerowi? Otto Niemeyerowi? Czy on nie pracował za Nixona w Połączonym Komitecie Szefów Sztabów?

– Pracował. Za Cartera też.

Do salonu wszedł Andrew Trent.

- Ktoś powiedział: „Niemeyer”?
- Tak, ja. Otto Niemeyer. Znał go pan?
- Słyszałem o nim. Służył w Siłach Powietrznych. Był pułkownikiem.

W siedemdziesiątym dziewiątym wsiadł do samolotu i ...

- To on – powiedziała przez telefon Alison. – Hej, z kim rozmawiasz? – zapytała.
- Z Andrew Wilcoxem – odparł Cameron, patrząc na Trenta.
- Cześć, Andrew, miło mi pana poznać – powiedziała Alison. Mogli rozmawiać

we troje, bo Trent włączył aparat głośnomówiący. – Ma pan rację. W nocy trzydziestego listopada siedemdziesiątego dziewiątego Niemeyer wsiadł w Bazie Lotniczej Andrews do srebrnego boeinga siedem dwa siedem Sił Powietrznych i skierował się w nieznanym kierunku. Nikt go nigdy więcej nie widział.

- Nie ma żadnych dokumentów dotyczących kursu samolotu? – spytał Cameron.

– To utajnione informacje, skarbie – odparła Alison. – Ściśle tajne. Udało mi się jednak znaleźć kilka informacji na temat Niemeyera. Latał w Wietnamie na fantomach i w sześćdziesiątym piątym został zestrzelony nad deltą Mekongu. Przez rok był więźniem Wietkongu i miał złamane obie nogi. Uwolniony w sześćdziesiątym szóstym. Siedział potem za biurkiem w Pentagonie. Przez sześć lat, od sześćdziesiątego ósmego do siedemdziesiątego czwartego, kierował działem zaopatrzenia Sił Powietrznych. W siedemdziesiątym drugim, za Nixona, został członkiem Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, gdzie działał także za Cartera. Odegrał również ważną rolę przy wdrażaniu projektu stealtha w siedemdziesiątym siódmym. Należał do komisji selekcyjnej Sił Powietrznych, która wybrała B-2 Northropa-Boeinga. Jednak z oficjalnego protokołu posiedzenia wynika, że głosował na rzecz producenta, który przegrał – konsorcjum, w którego skład wchodziła General Aeronautics oraz niewielka firma elektroniczna z Kalifornii, Entertech Limited.

– No dobrze, ale dlaczego miałby kraść raport geodezyjny dotyczący jakiejś amerykańskiej stacji badawczej na Antarktydzie? – spytał Peter Cameron.

– W tym sęk – odparła Alison. – Moim zdaniem raport wcale nie dotyczy stacji, która jest tam teraz.

- Co takiego?

– Posłuchaj... kupiłam książkę gościa, który pracował na Antarktydzie, niejakiego Briana Hensleigha, i zajrzałam do niej. Wygląda na to, że Stacja Lodowa Wilkes powstała dopiero w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. A Niemeyer zniknął w siedemdziesiątym dziewiątym.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że Niemeyer szukał danych dotyczących stacji, która znajdowała się w tym samym miejscu dwanaście lat przedtem, zanim w ogóle pomyślano o budowie Wilkes. Peter, moim zdaniem istniały dwie stacje. Zbudowane w tym samym miejscu. Jedna

w siedemdziesiątym ósmym roku – i to właśnie jej dotyczył Raport geodezyjny CM. Waitzkin albo Waitzina – a druga w dziewięćdziesiątym pierwszym.

Peter Cameron pochylił się do przodu.

– Czy to ma znaczyć, że twoim zdaniem zbudowali drugą stację na pierwszej?

– Moim zdaniem budowniczości drugiej stacji – Wilkes – nie mieli zielonego pojęcia o istnieniu pierwszej. Brian Hensleigh nic o niej nie wspomina w swojej książce.

– Więc co to była za stacja? Prywatna własność Otto Niemeyera?

– Kto wie?

W tym momencie Andrew Trent dostrzegł notes, który Cameron trzymał w dłoni. Wyjął mu go z ręki i zaczął uważnie przeglądać.

– A co u ciebie? – spytała Alison. – Dowiedziałeś się czegoś interesującego?

– Chyba tak – odparł Cameron i zaczął mówić o tym, czego dowiedział się od Trenta: o wymordowaniu jego oddziału, o jego oficjalnej „śmierci” oraz Intelligence Convergence Group.

– Hej! – zawołał nagle Trent z drugiego końca pokoju i uniósł w górę notatkę Camerona, zrobioną w SETI.

Peter poprosił Alison, żeby chwilę poczekała, i zerknął do swojego notesu.

ZROZUMIAŁEM 134625

KONTAKT STRACONY – ZAKŁÓCENIA W JONOSFERZE ODDZIAŁ
SZTURMOWY STRACH NA WRÓBLE -66,5

ROZBŁYSK NA SŁOŃCU ZAKŁÓCIŁ RADIO 115 ST, 20 MIN, 12 SEK
DŁUG. WSCH.

W JAKI SPOSÓB SIĘ TAM – DRUGI ODDZIAŁ W DRODZE

Opowiedział Trentowi o wizycie w SETI i wyjaśnił, że notatka to transkrypt przekazu, przejętego przez radioteleskop SETI.

– A te współrzędne – Trent wskazał na słowa: SZEROKOŚĆ -66,5°, DŁUGOŚĆ – 115° 20' 12" – dotyczą stacji naukowej na Antarktydzie?

– Zgadza się.

Trent popatrzył na niego uważnie.

– Wie pan coś o Oddziałach Rozpoznania Korpusu Piechoty Morskiej, panie Cameron?

– Tylko to, co mi pan powiedział.

– To oddziały szturmowe.

– Aha. – Cameron spojrział na swoje zapiski. Miał w nich również notatkę o oddziałach szturmowych.

– Strach na Wróble... – mruknął do siebie Trent. Peter uniósł głowę znad notesu.

– Co to jest Strach na Wróble? Nazwa operacji?

– Nie! – odparł nieco zbyt gwałtownie Trent. – To człowiek. Porucznik Piechoty Morskiej. Mój przyjaciel.

Peter Cameron czekał, aż gospodarz powie coś więcej, ten jednak najwyraźniej nie zamierzał nic dodawać. Nagle spojrzął dziennikarzowi prosto w oczy.

– Skur...wy...syn... – wycodził. – Strach na Wróble jest tam na dole...

– Że co? – zapytała kilka minut później Alison. – Twierdzisz, że w tej stacji są marines?

– Tak podejrzewamy – odparł podniecony Peter.

– I jedzie do nich drugi oddział! – zawołał Trent, spojrzawszy jeszcze raz na notatki. – Cholera! – Odwrócił się do swojego gościa. – Niech pan zrobi małą przerwę, muszę zadzwonić.

Cameron powiedział żonie, że niedługo zadzwoni ponownie. Trent szybko wykręcił jakiś numer. Dziennikarz obserwował go w milczeniu.

– Witam, poproszę z działem kadr – powiedział Trent do słuchawki. Po chwili dodał: – Halo, witam, czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie mógłbym znaleźć porucznika Shane’a Schofielda? Tak, to ważna sprawa rodzinna. Dobrze, zaczekam. – Przerwa trwała przynajmniej minutę. Kiedy wreszcie ktoś podszedł do telefonu, Trent powiedział: – Witam. Słucham? Tak, oczywiście... jestem jego przyrodnim bratem, nazywam się Michael... o, nie... O mój Boże! Nie, dziękuję. Do usłyszenia. – Skończywszy rozmowę, z całej siły huknął słuchawką o widelki. – Jasna cholera!

– Co jest?

– Dział kadr Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych przekazał mi, że porucznik Shane M. Schofield zginął wczoraj rano o godzinie wpół do dziesiątej rano w wyniku wypadku, jaki miał miejsce na południowym Pacyfiku. Dzisiaj zamierzają zawiadomić o tym jego rodzinę.

– Nie żyje? – Cameron zmarszczył czoło.

– Tak twierdzą – odparł Trent – ale to wcale nie znaczy, że mówią prawdę. Drugi oddział...

– Co z nim?

– Do Stacji Lodowej Wilkes kieruje się właśnie drugi oddział, prawda?

– Tak wynika z przejętego komunikatu.

– A według działu kadr Korpusu Piechoty Morskiej Shane Schofield nie żyje, tak?

– Nno... tak.

Trent przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem podniósł głowę i popatrzył na Camerona.

– Shane coś znalazł i właśnie jadą go zabić – oświadczył.

Cameron zadzwonił ponownie do Alison.

– Prześlij mi tę listę – poprosił.

– W porządku, już się robi. Zaczekaj sekundę, pysiaczku – odparła Alison i w słuchawce rozległo się stukanie klawiszy. – Wysyłam – powiedziała po chwili.

Trent włączył stojący po drugiej stronie pokoju komputer. Przerzucił kilka ekranów i wszedł na stronę poczty elektronicznej.

Na dole ekranu zaczął migotać napis: MASZ NOWĄ WIADOMOŚĆ.

Trent kliknął ikonę OTWÓRZ.

Na ekranie natychmiast pojawiła się lista.

WSZECHBIBLIOTECZNA BAZA DANYCH WYSZUKIWANIE ZA POMOCĄ
HASŁA UŻYTE HASŁO: SZEROKOŚĆ – 66,5 ST.

DŁUGOŚĆ – 115 ST., 20 MIN., 12 SEK.

LICZBA ZNALEZIONYCH WPISÓW: 6

TYTUŁ_____	AUTOR_____	LOKALIZACJA
ROK		
PRACA DOKTORSKA 1998	LLEWELYN, D.K.	STANFORD, CT
PRACA DOKTORSKA 1991	AUSTIN, B.E.	STANFORD, CT
PRACA HABILITACYJNA 1997	HENSLEIGH, S.T.	USC, CA
BADANIE W RAMACH 1996	HENSLEIGH, S.T.	HARVARD, MA
STYPENDIUM GRANTA		
KRUCJATA LODOWA	HENSLEIGH, B.M.	HARVARD, MA 1995
REFLEKSJE Z ROKU SPĘDZONEGO NA ANTARKTYDZIE		
DOST.: WWB RAPORT 1978	WAITZKIN, CM.	BIBL. KONG.
GEODEZYJNY		

Była to lista, którą Alison zdobyła w Bibliotece Kongresu. W każdej z wymienionych w niej publikacji odwoływano się do współrzędnych geograficznych SZEROKOŚĆ – 66,5°/DŁUGOŚĆ – 115° 20' 12".

– Przeszła – poinformował żonę Peter Cameron.

– Co zamierzasz z nią zrobić? – spytała.

– Spróbujemy na podstawie nazwisk ustalić adresy e-mailowe naukowców na Antarktydzie – odparł Trent, stukając w klawiaturę komputera. – Będziemy wtedy mogli przesłać wiadomość Schofieldowi.

– Z pewnością większość naukowców akademickich ma adresy e-mailowe – powiedział Peter. – Mamy też nadzieję, że Stacja Lodowa Wilkes jest podłączona do telefonii satelitarnej...

– Mam pierwszy adres! – przerwał mu Trent. – Hensleigh, Sarah T. Adres e-mailowy ma na Uniwersytecie Kalifornii Południowej, ale jest też przekierowanie: sarahhensleigh@wilkes.edu.us. Mamy ją! – Zaczął pisać dalej i po minucie znów się odezwał: – Świetnie. Mają tam ogólny adres: allwilkes@wilkes.edu.us. Znakomicie. Możemy przesłać wiadomość każdemu w stacji, kto ma komputer.

– Niech pan wysyła – powiedział Cameron.

Trent zaczął pisać. Kiedy skończył, z całej siły huknął palcem w klawisz WYŚLIJ.

Libby Gant stała przed masywnymi stalowymi drzwiami, przegradzającymi lodowy tunel.

Pośrodku nich znajdowało się koło do otwierania i zamykania. Z pewną trudnością poruszyła nim – i obróciła trzy razy.

Zza drzwi rozległo się głośnie metaliczne szczęknięcie i stalowa płyta uchyliła się.

Gant pociągnęła drzwi do siebie i zaświeciła latarką w ciemną przestrzeń za nią.

– Jeju... – stęknęła zdumiona.

Patrzyła na coś, co przypominało hangar. Był tak ogromny, że światło latarki nie sięgało jego końca, ukazywało jednak wystarczająco dużo.

Ściany.

Wykonane bez wątpienia ludzką ręką.

Stalowe ściany z grubymi stalowymi dźwigarami, podtrzymującymi wysoki aluminiowy sufit. W półmroku widać było pokryte warstwą lodu wielkie, żółte ramiona robotów. Wzdłuż sufitu zainstalowano halogenowe reflektory. Niektóre dźwigary leżały na podłodze pod dziwnymi kątami, część miała poszarpane końce – w miejscach, gdzie pękły. Wszystko pokrywała warstwa lodu.

Pod nogami Gant zobaczyła kartkę papieru. Podniosła ją. Papier był zamrożony, jednak bez trudu dało się odczytać nagłówek. Brzmiał on:

ENTERTECH LTD.

Gant wróciła do tunelu, zawołała Montanę i Hensleigh.

Kilka minut później Montana przecisnął się przez otwór w lodzie i wszedł z Gant do wielkiego hangaru.

– Co to, do diabła? – zdumiał się.

Promienie ich latarek przecinały ciemność. Po chwili doszli do jakichś drzwi – również pokrytych lodem. Otworzyły się z głośnym skrzypieniem i Gant powoli weszła do środka.

Na podłodze leżało ciało.

Zwłoki męzczyzny.

Miał zamknięte oczy i był nagi. Jego skóra była niebiesko-fioletowa. Wyglądał, jakby spał.

W głębi stało biurko – coś na nim leżało. Zbliżywszy się do biurka, Gant stwierdziła, że jest to książka – oprawna w skórę gruba księga.

Oprócz niej na blacie niczego nie było. Można by pomyśleć, że księgę położono na biurku specjalnie, żeby pierwsza osoba, która wejdzie do tego pomieszczenia, natychmiast ją znalazła.

Gant wzięła księgę do rąk. Pokrywała ją warstwa szronu i była twarda, jakby kartki w środku zrobiono z kartonu, ale dała się otworzyć.

Najwyraźniej było to coś w rodzaju pamiętnika.

Gant przeczytała wpis na jednej z początkowych stron.

2 czerwca 1978

Wszystko idzie jak należy, ale jest tak zimno! Nie do wiary, że sprowadzili nas tutaj, żebyśmy skonstruowali myśliwiec szturmowy! Pogoda na zewnątrz jest okropna. Szaleje burza śnieżna. Na szczęście hangar znajduje się pod lodem, więc nie ma to znaczenia. Cała ironia w tym, że potrzebujemy zimna. W niskich temperaturach plutonowy rdzeń systemu dłużej utrzymuje swoje właściwości...

Gant przeskoczyła na stronę niedaleko końca.

15 lutego 1980

Nikt się nie zjawi, jestem tego pewien. Wczoraj zmarł Bill Holden i musieliśmy uciąć dłonie Pat Anderson, bo były odmrożone.

Mijają dwa miesiące od trzęsienia ziemi i straciłem nadzieję na ratunek. Ktoś powiedział, że stary Niemeyer miał się zjawić w grudniu, ale nie pokazał się.

Kiedy idę spać, zastanawiam się, czy ktoś poza nim wiedział, że tu jesteśmy.

Gant przerzuciła kilka kartek do tyłu, choć nie bardzo wiedziała, czego szuka. Znalazła najważniejszą informację mniej więcej w środku księgi.

20 grudnia 1979

Nie wiem, gdzie jestem. Wczoraj miało miejsce trzęsienie ziemi, najsilniejsze pieprzone trzęsienie ziemi, jakie świat widział. Wyglądało to tak, jakby ziemia wokół rozstała się i połknęła nas.

Kiedy to się stało, byłem w hangarze i pracowałem nad ptaszkiem. Najpierw ziemia zaczęła drzeć, potem spod podłogi wyprysnęła masa lodu, rozerwała hangar na pół i zaczęliśmy spadać. Lecieliśmy i lecieliśmy. Gdy wsysało nas w dół, potężne kawały lodowca szelfowego (mniej więcej wielkości dużych budynków) spadały na nas – widziałem, jak robią potężne wgniecenia w suficie hangaru. BUM! BUM! BUM! Trzęsienie ziemi musiało wyrwać pod stacją potężną dziurę i wpadliśmy w nią.

Spadanie nie chciało się skończyć. Lecieliśmy i lecieliśmy. Wszystko się trzęsło i lecieliśmy w dół. Jedno z ramion robotów spadło na Douga Myersa i zgniotło go na śmierć...

Gant przerwała czytanie, zdumiona.

Ten „hangar” był stacją lodową.

Stacją lodową, zbudowaną w celu skonstruowania jakiegoś samolotu, maszyny, której elementem – napędu? uzbrojenia? – był pluton. Najprawdopodobniej pierwotnie stacja znajdowała się tuż pod powierzchnią albo – jak Stacja Lodowa Wilkes – została wydrążona głęboko w lodzie i w wyniku trzęsienia ziemi zapadła się jeszcze głębiej.

Gant otworzyła księgę na ostatnim wpisie.

17 marca 1980

Zostałem ostatni. Wszyscy moi koledzy poumierali. Od trzęsienia ziemi minęły niemal trzy miesiące i nikt się nie zjawił. Lewą rękę mam odmrożoną i zaczęła się gangrena. Nie czuję stóp.

Nie wytrzymam dłużej. Rozbiorę się i położę na lodzie. To nie potrwa dłużej jak kilka minut. Jeżeli ktoś przeczyta moje zapiski, niech wie, że nazywam się Simon Wayne Daniels. Byłem specjalistą od elektroniki lotniczej w firmie Entertech Ltd. Moja żona Lily mieszka w Palmdale, choć nie wiem, czy kiedy będziesz to czytać, jeszcze tam będzie. Znajdź ją, bardzo proszę, i powiedz, że ją kochałem i jest mi przykro, że nie mogłem jej powiedzieć, dokąd wyjechałem.

Jest tak zimno...

Gant popatrzyła na nagie ciało na podłodze.

Simon Wayne Daniels.

Zrobiło jej się go żal. Umarł sam, uwięziony w zimnym, lodowym grobowcu.

Nagle w jej słuchawkach buchnął głos Santa Cruza, przerywając zamyślenie:

– Montana! Lis! Wychodzić! Natychmiast wychodzić! Widzę nurków wroga!

Powtarzam: nurkowie wroga przygotowują się do wypłynięcia!

Oddział nurków SAS wpływał w górę podwodnego tunelu, korzystając ze skuterów podwodnych. Komandosów było ośmiu i dzięki napędzanym podwójnymi śrubami skuterom poruszali się bardzo szybko. Byli ubrani całkowicie na czarno.

– Baza, tu Oddział Nurkowy. Zgłoś się – powiedział prowadzący do mikrofonu.

– Oddział Nurkowy, tu Baza – odparł głos Barnaby’ego. – Raportuj.

– Baza, dziewiętnasta pięćdziesiąt sześć. Czas nurkowania od opuszczenia dzwonu czterdzieści pięć minut. Mamy kontakt wzrokowy z powierzchnią. Wpływamy do groty.

– Oddział Nurkowy, bądźcie ostrożni. Mamy informację, że w grocie znajduje się czterech wrogich agentów. Powtarzam: w grocie czeka na was czterech wrogich agentów. Bądźcie czujni.

– Zrozumiałem, Baza. Działanie zgodne z sytuacją. Oddział Nurkowy koniec.

Gant i Montana natychmiast wrócili do głównej groty.

Podbiegli do Santa Cruza, stojącego przy zamocowanych na trójnogach MP5. Wskazał palcem na jeziorko.

W przezroczystej, zielonkawej wodzie widać było kilka złowrogich, czarnych cieni.

Wszyscy pozajmowali pozycje za głazami i przygotowywali broń. Montana kazał Sarah Hensleigh schować się za siebie.

– Nie bądźcie niecierpliwi – odezwał się w słuchawkach marines głos Montany. – Czekajcie, aż przebiją powierzchnię. Nie ma sensu strzelać w wodę.

– Zrozumiałam – odparła Gant, obserwując wznoszący się ku powierzchni pierwszy cień.

Nurek na skuterze podwodnym.

Podpływał coraz bliżej, ale tuż pod powierzchnią nieoczekiwanie się zatrzymał.

Gant zmarszczyła czoło.

Co on wyprawia?

Nagle z wody wynurzyła się ręka nurka i Gant natychmiast dostrzegła zagrożenie.

– Granat azotowy! Kryć się! – krzyknęła do mikrofonu. Nurek rzucił granat, który koziółkując, potoczył się po lodzie.

Gant i pozostali schowali się za głazami.

Granat eksplodował.

Zamrożony płynny azot rozprysnął się wokół. Lepka, błękitna ciecz chlapnęła na skały, za którymi ukryli się marines, oblała też ściany groty. Kilka kropel poleciało nawet na stojący na środku wielkiej groty czarny samolot.

Doskonały sposób odwrócenia uwagi.

Natychmiast po wybuchu granatu wyskoczył spod wody pierwszy komandos SAS z przyciśniętą do ramienia kolbą pistoletu maszynowego i pociągnął za spust.

Dzwon nurkowy był tuż pod powierzchnią wody. Powoli sunął ku górze.

„Zły dowódca, działający pod wpływem wściekłości albo rozczarowania, może doprowadzić do tego, że jego oddział zginie” – dudniły w głowie Shane’a Schofielda słowa Trevora Barnaby’ego. Ale tym razem porucznik zignorował je.

Kiedy zobaczył, jak generał nakarmił orki Buckiem Rileyem, ogarnęła go wściekłość. Miał ochotę wyrwać Barnaby’emu serce i podać mu je na...

Odwiązał linę, którą był przepasany, i ściągnął z siebie oba wielkie skafandry z lat sześćdziesiątych. Wziął do ręki MP5 i załadował go. Jeżeli nie uda mu się zabić Barnaby’ego, przynajmniej powystrzela ich tyłu, ilu się tylko da...

Kiedy przygotowywał broń do strzału, na jednej z półek dostrzegł niewielką

walizkę. Otworzył ją. W wyłożonych miękką gąbką przegródkach – niczym jajka w pudełku – leżały szeregiem granaty azotowe.

Anglicy musieli je zostawić, kiedy schodzili do groty, pomyślał.

Wziął jeden z granatów i schował go do kieszeni, a potem wyrzucił na zewnątrz. Wyglądało na to, że orki zniknęły. Przez chwilę Schofield zastanawiał się, dokąd popłynęły.

– Co robisz? – spytał Renshaw.

– Zobaczysz – odparł porucznik i podszedł do kręgu wody na dole dzwonu.

– Wychodzisz na zewnątrz? – spytał z niedowierzaniem geofizyk. – Zostawiasz mnie samego?

– Nic ci nie będzie. – Schofield rzucił Renshawowi swojego gle'a. – Jeśli po ciebie przyjdą, strzelaj.

Kiedy naukowiec złapał pistolet, porucznik odwrócił się, zszedł z metalowego obramowania i zniknął w wodzie.

Temperatura wody była bliska zera, ale Schofield nie zwracał na to uwagi.

Trzymając się obudowy, wspinał się na rurę, którą dochodziło powietrze, a potem wszedł na szczyt dzwonu.

Byli tuż pod powierzchnią.

Zaplanował sobie, że w chwili, gdy dzwon przebijie lustro wody, puści serię – celując w pierwszym rzędzie w Trevora J. Barnaby'ego.

Dzwon dalej się unosił, już prawie docierał do powierzchni.

Jeszcze kilka sekund, myślał porucznik, ściskając MP5.

Jeszcze kilka sekund...

Dzwon nurkowy przebił powierzchnię wody z głośnym pluskiem.

Na jego szczycie, trzymając się liny podnoszącej, z MP5 w dłoniach, stał ociekający wodą porucznik Shane Schofield.

Nie puścił serii.

Na pomoście poziomu E stało co najmniej dwudziestu komandosów SAS. Otaczali wodę kręgiem.

Każdy z nich celował w Shane'a Schofielda.

Z południowego tunelu wyszedł uśmiechnięty Barnaby. Kiedy porucznik go ujrzał, przeklął sam siebie, przeklął swoją złość i impulsywność, bo pojął, że kierując się emocjami, w złości, która opanowała go po śmierci Booka, popełnił największy błąd w życiu.

Rzucił MP5 na pomost i pistolet maszynowy zaklekotał. Dowódca oddziału SAS złapał dzwon nurkowy długim bosakiem i przyciągnął go do brzegu.

Umysł Schofielda odblokował się i porucznik znów myślał z pełną jasnością. Widok celujących w niego Brytyjczyków sprawił, że natychmiast wziął się w garść.

Miał nadzieję, że Renshaw dalej będzie siedzieć w środku.

Zeskoczył z dzwonu i z łoskotem wylądował na pomoście. Kiedy ludzie z SAS puścili dzwon i pozwolili mu odpłynąć na środek basenu, odetchnął z ulgą. Nie zauważyli siedzącego wewnątrz naukowca.

Dwóch wielkich komandosów złapało go natychmiast. Przycisnęli mu ręce do pleców i zapięli je ciasno kajdankami. Trzeci Brytyjczyk obszukał go dokładnie i zabrał mu z kieszeni granat azotowy. Odebrał mu także maghooka.

Trevor Barnaby podszedł bliżej.

– No proszę, Strachu na Wróble. Wreszcie się spotkaliśmy. Miło znów cię widzieć.

Schofield nie odpowiedział. Zauważył, że generał ma na sobie czarny ocieplany skafander mokry.

Chce posłać na dół kolejny oddział, pomyślał. I sam zamierza z nim zejść.

– Obserwowałeś nas z dzwonu, ale my też cię obserwowaliśmy – powiedział uśmiechając się Barnaby. Wskazał na zamontowane na brzegu basenu niewielkie urządzenie. Było skierowane na wodę i wyglądało jak kamera, – Nie można żadnej flanki zostawiać nieosłoniętej. Powinieneś o tym wiedzieć.

Schofield nadal milczał.

Generał zaczął chodzić po pomoście.

– Wiesz, kiedy mi powiedziano, że dowodisz amerykańskim oddziałem zabezpieczającym, miałem nadzieję, że się spotkamy. Ale gdy przybyłem, zwiąłeś. – Barnaby zatrzymał się. – Potem się dowiedziałem, że zleciałeś poduszkiem z klifu i straciłem nadzieję, że się zobaczymy.

Porucznik wciąż milczał.

– Cieszę się jednak, że się pomyliłem. – Generał pokręcił głową. – To wielka przyjemność znów cię ujrzeć. Szkoda tylko, że spotykamy się w takich okolicznościach.

– Dlaczego? – przerwał milczenie Schofield.

– Ponieważ to oznacza, że jeden z nas będzie musiał umrzeć.

– Współczuję pana rodzinie – mruknął porucznik.

– Aha! Walka do końca! Lubię to. Zawsze to w tobie lubiłem, Strachu na Wróble. Masz duszę wojownika. Może nie jesteś najlepszym na świecie strategiem, ale jest z ciebie kawał zdeterminowanego skurwysyna. Jeśli nie łapiesz czegoś od razu, przysiadasz fałdów i uczysz się. Nigdy się nie poddajesz. W dzisiejszych czasach to bardzo rzadka cecha.

Schofield nie odpowiedział.

– Spójrz prawdzie w oczy, Strachu na Wróble. Nie miałeś szans wygrania tej krucjaty. Od początku stałeś na przegranej pozycji. Nawet twoi własni ludzie nie byli

wobec ciebie lojalni.

Barnaby odwrócił się i skierował wzrok na przykutego ciągle do pala Węza.

Schofield też na niego popatrzył.

– Chętnie byś go zabił, prawda? – spytał generał. Porucznik nie odpowiedział.

Barnaby odwrócił się do niego i zmrużył oczy.

– Zabiłbyś go – tak czy nie? Schofield milczał.

Generał zdawał się przez chwilę nad czymś zastanawiać. Kiedy znów popatrzył na porucznika, miał błysk w oku.

– Wiesz co? Dam ci szansę. Sportową szansę.

– To znaczy?

– Ponieważ i tak was obu zabiję, pomyślałem, że dam wam wybór, który zostanie rzucony lwom na pożarcie, a który zginie, stojąc na własnych nogach.

Schofield zmarszczył czoło. Przez chwilę nie rozumiał, o co chodzi, potem jednak spojrział na basen. W jego kierunku sunęła płetwa grzbietowa jednej z orek. Zabójcy wrócili.

– Rozkuć go! – rzucił Barnaby do żołnierzy pilnujących Węza. – Panowie, idziemy do pomieszczenia wiertniczego.

Schofield, ze skutymi za plecami rękami, został poprowadzony południowym tunelem poziomym E. Kiedy mijali magazynek, zajrzał ukradkiem do środka.

Pomieszczenie było puste.

Matka zniknęła.

Barnaby nic jednak na jej temat nie powiedział...

Nie znaleźli jej.

Ludzie z SAS doprowadzili Schofielda długim, wąskim korytarzem do drzwi pomieszczenia wiertniczego i wepchnęli go do środka. Porucznik zatoczył się, a kiedy odzyskał równowagę, szybko rozejrzał się wokół.

Kilka sekund później wepchnięto do środka Węza. Był bez kajdanek.

W centralnym punkcie pomieszczenia znajdowało się urządzenie do wydobywania rdzeni lodowych. Wyglądało jak miniaturowa wieża wiertnicza – z ażurowej konstrukcji zwisała długa rura. Schofield podejrzewał, że właśnie nią pobiera się próbki.

Za urządzeniem wiertniczym coś leżało.

Zwłoki, rzucone na podłogę.

Było to skurczone, zakrwawione ciało Jeana Petarda, leżące tu od chwili, gdy został poszarpany przez grad szrapneli z własnego claymore'a kilka godzin temu...

– Panowie... – odezwał się od drzwi Barnaby. – Będziecie walczyć o przywilej lepszej śmierci. Wrócę za pięć minut. Oczekuję, że kiedy ponownie otworzę drzwi, jeden z was będzie martwy. Jeżeli obaj będziecie żyć, osobiście was zastrzelę. Jeżeli

będzie żył tylko jeden, jeszcze przez chwilę pooddycha i zginie w szlachetniejszy sposób. Jakież pytania?

– Co z moimi kajdankami? – spytał Schofield. Miał ręce skute za plecami, natomiast ręce Węża były wolne.

– A co ma z nimi być? – burknął generał. – Jeszcze jakieś pytania?

Dalszych pytań nie było.

– No to do roboty – powiedział Barnaby, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Schofield szybko odwrócił się do Węża.

– Słuchaj... musimy wymyślić jakiś sposób, żeby...

W tym momencie Wąż wpadł na niego z całym impetem.

Porucznik został wyrzucony do góry i z ogromną siłą huknął o ścianę. Zgiął się wpół i z trudem chwycił haust powietrza, a kiedy otworzył oczy, ujrzał pędzące w kierunku swojej twarzy wnętrze dłoni Węża. Uchylił się błyskawicznie i Wąż trzasnął ręką w ścianę.

Schofield próbował ocenić sytuację. Jego przeciwnik zaatakował go klasycznym ciosem – uderzeniem wnętrzem otwartej dłoni, którego celem było wbicie nosa do mózgu, co powoduje natychmiastową śmierć.

Wąż zamierzał go zabić.

W pięć minut.

Uniósł kolano i uderzył Węża w krocze, po czym odskoczył od ściany. Kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości od przeciwnika, natychmiast przełożył skute kajdankami ręce do przodu – pod stopami – by móc się bronić.

Wąż skoczył na niego, wymachując rękami i kopiąc. Porucznik parował uderzenia skutymi rękami. Po chwili rozdzielili się i zaczęli okrażać jak dwa wielkie koty.

Schofield gorączkowo myślał. Wąż będzie chciał go przewrócić. Dopóki uda mu się ustać na nogach, wszystko będzie w porządku – nawet mając skute ręce mógł parować wszystkie ciosy. Jeżeli się przewrócą, będzie po wszystkim. Wąż załatwi go w kilka sekund.

Musisz ustać...

Musisz ustać...

Przez chwilę okrażali się – przedzieleni urządzeniem do wykonywania odwiertów.

Nagle Wąż złapał z podłogi kawał żelastwa i zamachnął się na Schofielda.

Porucznik schylił się, ale zrobił to zbyt wolno i zainkasował potężne uderzenie w lewą część twarzy. Przed oczami pojawiły mu się gwiazdy i stracił równowagę.

Wąż natychmiast był przy nim. Skoczył jak futbolista i pchnął go ciałem, przyszpilając do ściany.

Schofield uderzył plecami w przełącznik prądu i nagle pionowa rura do pobierania

rdzeni zaczęła się szybko obracać. Maszyna wydawała przenikliwy, zgrzytliwy dźwięk, przypominający pracującą piłę tarczową.

Wąż rzucił Schofielda na podłogę.

Nie!

Porucznik huknął o lód, odtoczył się na bok...

...i zatrzymał się twarzą w twarz z leżącym na podłodze Petardem.

A raczej tym, co pozostało z jego twarzy po wybuchu claymore'a.

W ułamku sekundy Schofield dostrzegł coś przy kurtce martwego Francuza.

Kuszę.

Natychmiast sięgnął po nią skutymi rękami. Położył dłonie na rękojeści, zacisnął je i...

...w tym momencie Wąż wpadł na niego i obaj mężczyźni pomknęli ślizgiem po podłodze.

Zatrzymali się z łoskotem przy urządzeniu wiertniczym. Zgrzytliwy wizg obracającej się rury wiertniczej wżerał się w uszy.

Schofield leżał na plecach. Wąż klęczał nad nim, pochylony.

Po chwili porucznik uświadomił sobie, że nadal trzyma w dłoniach kuszę. Zamrugął ze zdumienia. Musiał ją jakimś cudem utrzymać w chwili, gdy jego przeciwnik na niego wpadł.

Nagle Wąż uderzył go ze straszliwą siłą w twarz.

Schofield usłyszał trzask łamanego własnego nosa i ujrzał fontannę krwi. Jego głowa huknęła o podłogę.

Świat zawirował mu przed oczami i na ułamek sekundy stracił przytomność. Kiedy się ocknął, poczuł dreszcz przerażenia – jeżeli straci przytomność, Wąż natychmiast go zabije – tu, gdzie leżą.

Otworzył oczy i zobaczył wirującą półtora metra wyżej końcówkę rury do pobierania próbek.

Była dokładnie nad jego głową.

Wyraźnie widział ostry, ząbkowany brzeg rury, przystosowany do przecinania setek metrów twardego lodu.

Wąż wyprostował się. Twarz miał ściągniętą wściekłością. Jego pięść pomknęła w kierunku twarzy Schofielda.

Porucznik próbował zasłonić się rękami, ale Wąż przyciskał je kolanami. Schofield nie miał szansy się obronić.

Cios dotarł do celu.

Świat rozmazał się i ściemniał. Schofield rozpaczliwie próbował zobaczyć cokolwiek za mgłą.

Wąż znów się zamachnął – następny cios z pewnością byłby ostatni.

W tym momencie porucznik kątem oka zobaczył coś po prawej stronie.

Włącznik, który uruchomił maszynę do wiercenia. W ramce na ścianie znajdowały się trzy przyciski.

Czarny, czerwony i zielony.

Schofield z zadziwiającą ostrością ujrzał litery na czarnym przycisku.

OPUSZCZANIE WIERTŁA.

Popatrzył na Węża i na wirującą tuż nad jego głową rurę.

Nie miał możliwości wycelowania z kuszy do przeciwnika, gdyby jednak zdołał nieco przekręcić dłoń, może uda mu się...

– Wiesz co, Wąż?

– Co?

– Nigdy cię nie lubiłem.

Schofield uniósł skute ręce, wycelował w wielki, czarny przycisk i wystrzelił.

Strzała pokonała dystans w ułamku sekundy...

...i trafiła w sam środek czarnego przycisku. Porucznik zdążył odrzucić głowę na bok, a wirująca z nieprawdopodobną prędkością rura spadła prosto na potylicę Węża.

Rozległ się paskudny odgłos miażdżonej kości i ciało Węża zostało gwałtownie pchnięte w dół – głową naprzód – przez ciężar wiertła, które po chwili – w dalszym ciągu wypełniając powietrze wyciem – wbiło się w jego głowę, wyciskając z niej gęstą, czerwonoszarą masę. Zaraz potem z trzaskiem wyszło z drugiej strony głowy i zanurzyło się w wywierconej przedtem dziurze w lodzie.

Oszołomiony walką Schofield dźwignął się na kolana. Odwrócił się od przyszpilonych do podłogi, zakrwawionych zwłok Węża i szybko schował kuszę do kieszeni na udzie. Potem rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając jakiegokolwiek broni, którą...

Jego wzrok padł na ciało Jeana Petarda.

Ciężko oddychając, podpełzł do Francuza i ukląkł obok. Zaczął przeszukiwać mu kieszenie.

Po kilku sekundach wyciągnął granat. Był oznakowany: M8A3-STN.

Schofield doskonale wiedział, co trzyma w rękach.

Granat błyskowy.

Dokładnie taki sam, jakich Francuzi użyli podczas porannej potyczki. Porucznik schował granat do kieszeni na piersi.

Nagle drzwi do pomieszczenia wiertniczego otworzyły się gwałtownie i Schofield natychmiast opadł na podłogę. Chciał sprawiać wrażenie bardzo zmęczonego i poważnie rannego.

Do środka wpadło dwóch komandosów SAS z gotową do strzału bronią. Za nimi wszedł Trevor Barnaby.

Na widok Węża, rozpląszonego twarzą do dołu pod maszyną do wiercenia – z wielką, czerwoną dziurą w czaszce, Barnaby powiedział:

– Oj, Strachu na Wróble... musiałeś mu to zrobić? Schofield ciężko oddychał. Nie odzywał się. Twarz miał spryskaną drobnymi czerwonymi plamkami.

Generał pokręcił głową. Wyglądał niemal na rozczarowanego, że to nie Wąż zabił Schofielda.

– Wyprowadzić go – rzucił do swoich żołnierzy. – Panie Nero...

– Tak, sir?

– Zwiąż go.

W grocie w głębinach lodu również trwała walka.

Natychmiast po pojawieniu się pierwszego komandosa SAS na płyciźnie za jego plecami pojawił się następny.

Pierwszy żołnierz wyskoczył na ląd i zaczął się ostrzeliwać. Jego towarzysz szedł za nim w wodzie po kolana, z uniesionym do strzału pistoletem maszynowym, ale nagle został szarpnięty do tyłu i pociągnięty do wody.

Pierwszy komandos – już na lądzie, nieświadom losu, jaki spotkał jego kolegę – odwrócił się w prawo i puścił serię na Montanę. Wtedy zza głazu wyskoczyła Gant i zaatakowała Brytyjczyka od lewej.

Kiedy się odwróciła, ujrzała wynurzających się na podwodnych skuterach kolejnych ludzi SAS.

Nagle jej uwagę zwrócił jakiś ruch z boku.

Z jednej z trzymetrowych dziur w ścianie coś wypadło i wślizgnęło się zgrabnie do wody.

Gant znieruchomiła.

Było to jakieś... zwierzę.

Było ogromne i wyglądało jak... jak... foka. Gigantyczna foka.

Z następnej dziury wyskoczyło kolejne zwierzę. Potem jeszcze jedno, i jeszcze jedno. Wypadały z dziur i zanurzały się w wodzie, osaczając oddział SAS ze wszystkich stron.

Gant stała i patrzyła na to z szeroko rozdziawionymi ustami.

Jeziorko całe kipiało. Po chwili pod wodę poszedł kolejny komandos SAS. a w miejscu, gdzie stał, została tylko krwawa plama. Zaraz potem zaatakowany został następny – kiedy monstrualna orka uderzyła w niego od tyłu, błyskawicznie zanurzył się pod wodę. Błyszczące czarne grzbiety wypływały co chwila na powierzchnię, po czym zanurzały się, zabierając ze sobą kolejnego nurka.

Kilku ludziom SAS udało się dotrzeć do lądu, ale ogromne foki wychodziły za nimi z wody. Jeden z nurków pełzył po lodzie na rękach i kolanach, próbując oddalić się

od zagrożenia, ale nagle tuż za jego plecami z wody wystrzeliła potężna, siedmiotonowa foka.

Monstrualny stwór wylądował na lodzie pół metra za Brytyjczykiem z taką siłą, że lód pod nim się zatrzęsł. W następnej sekundzie zwierzę skoczyło naprzód i zacisnęło szczęki na nogach ofiary. Trzasnęły kości, mężczyzna zawył.

Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, foka-gigant zaczęła go pożerać wielkimi, chlaszczącymi kęsami. Całą grootę wypełnił rozrywający uszy odgłos odrywania mięsa od kości.

Gant patrzyła na to wszystko w osłupieniu.

Komandos wrzeszczał, wielkie foki czekały.

Gant przyjrzała się uważnie zwierzętom. Były naprawdę ogromne. Przynajmniej tak duże jak orki. Miały potężne, okrągłe pyski, które kiedyś widziała w jakiejś książce.

Słonie morskie.

W stadzie były dwie mniejsze sztuki. Miały dziwne zęby – nietypowe, wydłużone dolne kły, tak długie, że wznosiły się daleko poza górną szczękę. Większe foki nie miały takich zębów.

Gant próbowała przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszała i czytała o słońiach morskich. Tak jak orki, słonie morskie żyją w dużych grupach z jednym samcem-przywódcą, który ma harem złożony z ośmiu albo dziewięciu samic, znacznie mniejszych od samca.

Kiedy Gant rozpoznała płęć największych osobników w grocie, poczuła na plecach dreszcz.

Były to samice.

Dwa mniejsze słonie morskie były ich dziećmi. Młodymi samcami.

Ciekawe, gdzie był przywódca stada. Musiał być największy, a biorąc pod uwagę rozmiary samic...

Przez głowę Gant przemknęły kolejne pytania.

Dlaczego zaatakowały? Wiedziała, że słonie morskie bywają agresywne, ale zdarzało się to tylko wtedy, gdy ktoś wtargnął na ich teren.

Dlaczego akurat teraz? Dlaczego kilka godzin wcześniej pozwoliły im przepłynąć, a z taką gwałtownością zaatakowały SAS?

Z jeziora doleciał ostatni przeraźliwy krzyk, a potem coś chlupnęło. Gant wyrzwała zza skały.

Zapadła cisza, lodowata cisza. Jedyne dźwiękiem było pluskanie wody o brzeg.

Wszyscy Brytyjczycy zginęli. Ogromne foki krążyły po grocie lub pochylały się nad swoimi łupami. Po chwili rozległ się przyprawiający o mdłości chrzęst i kiedy Gant się rozejrzała, stwierdziła, że słonie morskie zaczęły ucztę.

Potyczka została zakończona.

Schofield stał na pomoście poziomu E ze skutymi z przodu rękami. Jeden z ludzi SAS wiązał mu wokół kostek linkę odebranego Bookowi maghooka. Porucznik popatrzył w lewo i ujrzał przecinającą mroczną wodę basenu płetwę grzbietową orki.

– Oddział Nurkowy, zgłoś się – mówił do mikrofonu przenośnego radia radiooperator. – Powtarzam: Oddział Nurkowy, zgłoś się.

– Jest coś? – spytał Barnaby.

– Nie odpowiadają, sir. W ostatnim komunikacie przekazali, że właśnie zamierzają wypływać w grocie.

– Próbuj dalej – polecił mu generał, po czym odwrócił się do Amerykanina i stwierdził: – Twoi ludzie na dole musieli się ostro bić.

– Na pewno.

– No dobrze... Czy skazaniec ma jakieś specjalne ostatnie życzenie? Opaskę na oczy? Papierosa? Łyk brandy?

Schofield nie odpowiedział, bez słowa wpatrywał się we własne skute nadgarstki. Nagle jednak zobaczył coś, o czym zupełnie zapomniał. Podniósł głowę.

– Papierosa – powiedział szybko i przełknął ślinę. – Proszę o papierosa.

– Panie Nero, papierosa dla porucznika!

Olbrzymi komandos podszedł do Schofielda i poczęstował go papierosem. Porucznik wyjął jednego i wsadził sobie do ust, a Nero go przypalił. Schofield zaciągnął się mocno – mając nadzieję, że nikt nie widzi, jak zielenieje. Nigdy w życiu nie palił.

– W porządku – mruknął Barnaby. – Starczy tego. Panowie, podciągnąć go. Strachu na Wróble, poznanie ciebie było przyjemnością.

Schofield zabujał się głową w dół nad basenem. Błazki identyfikacyjne zwisały mu z szyi, pobłyskując srebrzyście w sztucznym świetle stacji. Woda pod nim była poplamiona czerwienią.

Krwią Booka.

Porucznik popatrzył na unoszący się na środku basenu dzwon nurkowy i w jednym z okienek dostrzegł wpatrujące się w niego przerażone oko Renshawa.

Wisząc metr nad obrzydliwą, czerwoną wodą, spokojnie podniósł papierosa do ust i ponownie się zaciągnął.

Żołnierze SAS musieli uważać to za fanfaronadę, nie widzieli jednak, co Schofield robi z rękami.

Barnaby zasalutował.

– Rule, Britannia, Strachu na Wróble.

– Jebać Brytanię – odparł Schofield.

– Panie Nero... opuszczać.

Stojący przy drabince Nero wcisnął guzik na obudowie maghooka. Karabinek był w dalszym ciągu zaklinowany między dwoma szczeblami drabinki, a jego linka przerzucona przez most na poziomie C – za pomocą tej samej prymitywnej wyciągarki spuszczone do wody Booka.

Po chwili linka maghooka zaczęła się rozwijać.

Schofield powoli opadał ku wodzie.

Ręce miał skute z przodu, w palcach prawej dłoni trzymał papierosa.

Najpierw w mroczną wodę zanurzyła się jego głowa. Potem ramiona, klatka piersiowa, brzuch, łokcie...

Kiedy miały się zanurzyć jego nadgarstki, Schofield błyskawicznie odwrócił papierosa i przytknął go do nasączonego magnezem lontu, który owinał wokół łańcuszka kajdanek.

Gdy stał na pomoście, przypomniał sobie o loncie. Tym, którego kawałek zawiązał sobie wokół nadgarstka w Little America IV. Komandos SAS, który odebrał mu broń, nie zauważył go.

Czubek papierosa dotknął lontu na ułamek sekundy przedtem, zanim nadgarstki Schofielda zanurzyły się pod wodę.

Lont natychmiast się zapalił białym płomieniem i przeciął łańcuszek kajdanek jak nóż masło. Po chwili porucznik miał wolne ręce.

W tym samym momencie z otaczającego go czerwonego mroku wychynęły potężne szczęki i ujrzał patrzące prosto na niego olbrzymie oko. Po sekundzie oko zniknęło.

Serce porucznika waliło opętańczo. Nic nie widział. Woda była nieprzenikniona – mroczna chmura czerwieni.

Nagle wokół rozległa się seria przedziwnych odgłosów.

KLIK-KLIK!

KLIK-KLIK!

Schofield zmarszczył czoło. Co to było? Orki?

Nagle zrozumiał.

Sonar.

Cholera jasna!

Orki używały do zlokalizowania go narządu działającego jak sonar. Wiadomo powszechnie, że walenie – kaszaloty, płetwale błękitne, orki – wytwarzają językiem głośny klikający odgłos, który rozchodzi się w wodzie, odbija od znajdujących się w niej przedmiotów i wraca do zwierzęcia, informując go o lokalizacji obiektu. Sonary okrętów podwodnych działają na tej samej zasadzie.

Schofield rozpaczliwie rozglądał się po nieprzeniknionej czerwieni wokół siebie

i próbował wypatrzeć orki. Nieoczekiwanie jedna z nich wypadła z mroku i ruszyła na niego.

Szarpnął się gwałtownie, ale orka minęła go, jedynie mocno się o niego ocierając.

Wtedy przypomniał sobie słowa Renshawa:

„Za pierwszym przepłynięciem orka daje do zrozumienia, że ofiara należy do niej. Potem cię zjada”.

Zgiął tułów i wynurzył się spod wody. Stojący na pomoście komandosi SAS wybuchnęli śmiechem. Zignorował ich, złapał haust powietrza i znów się zanurzył.

Nie miał wiele czasu. Orka, która właśnie dała innym do zrozumienia, że jest „jej” łupem, zaraz wróci.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

Sonar...

Cholera, mam to jeszcze? – zastanawiał się gorączkowo, oklepując kieszenie.

Miał.

Wyjął z kieszeni inhalator Kirsty, wcisnął wentyl aerozolu i z dyszy wyleciała wąska stróżka bąbelków.

Teraz jeszcze coś, co ściągnie inhalator na dół...

Potrzebuję ciężarka...

Miał go pod samym nosem.

Ściągnął z szyi stalowe plakietki identyfikacyjne i tak oplatał łańcuszek wokół inhalatora, by z jego dyszy przez cały czas wydobywało się lekarstwo.

Poczuł, że woda wokół niego się porusza. Nadpływała orka.

Puścił obciążony inhalator.

Pojemnik z aerozolem zaczął natychmiast opadać, zostawiając za sobą sznureczek pęcherzyków powietrza. Po chwili porucznik stracił go z oczu.

Niemal równocześnie z mroku wypadła orka i ruszyła na Schofielda z szeroko rozwartą paszczą.

Porucznik wpatrywał się bez ruchu w białą-czarną bestię i modlił się, by okazało się, że dobrze zapamiętał zasadę działania sonaru.

Orka zbliżała się błyskawicznie – całe pole widzenia porucznika wypełniały już tylko ostre zęby, różowy język i potężne szczęki. I wtedy...

Orka nagle gwałtownie skręciła i pomknęła w dół, w pościgu za inhalatorem.

Porucznik odetchnął z ulgą.

Jednak się nie pomylił. Choć powszechnie się uważa, że impuls sonaru odbija się od znajdującego się w wodzie przedmiotu, nie jest to prawda. Impuls sonaru odbija się od cieniutkiej warstwy powietrza pomiędzy wodą i zanurzonym w niej obiektem.

Kiedy więc Schofield zatopił inhalator – wyrzucający sznur pęcherzyków powietrza – stworzył dla orki nowy cel. Delfin-zabójca musiał uznać, że to jego ofiara

opada w głąb oceanu, i dlatego pognał za inhalatorem.

Nie było sensu dalej nad tym rozmyślać.

Porucznik sięgnął do kieszeni i wyjął granat oślepiający Jeana Petarda. Wyciągnął zawleczkę, policzył do trzech, po czym znów zgiął tułów i wynurzył się. Rzucił granat pionowo w górę, zanurkował i zacisnął mocno powieki.

Półtora metra nad wodą granat osiągnął najwyższy punkt toru lotu i na ułamek sekundy znieruchomiał w powietrzu.

A potem eksplodował.

Trevor Barnaby dostrzegł wylatujący spod wody granat, jednak zorientowanie się, co to jest, zajęło mu sekundę, a wtedy było już za późno. Kiedy razem ze swoimi ludźmi przyglądał się wyskakującemu na powierzchnię przedmiotowi, granat oślepiający eksplodował jak gigantyczny flesz i oślepił wszystkich. Gdy w oczach komandosów SAS wybuchły kaskady gwiazd i jasnych plam, cofnęli się od basenu.

Schofield znów zgiął się wpół, tym razem jednak trzymał w dłoniach kuszę Petarda. Załadowaną i gotową do strzału.

Błyskawicznie wycelował i strzelił.

Bełt przeciął powietrze i trafił w cel. Stalowe ostrze uderzyło w maghooka i wytrąciło go spomiędzy szczebli drabinki. Miotacz pomknął w kierunku wody. Ponieważ wychodząca z niego w górę linka biegła w kierunku kładki na poziomie C pod kątem 45 stopni, a porucznik unosił się na wodzie, uwolniony uchwyt zachował się jak wahadło, przemknął nad lustrem wody i wpadł prosto do czekającej na niego dłoni Schofielda.

Porucznik popatrzył na kładkę na poziomie C. Obie części przerzuconej przez nią linki miotacza opadały równolegle do siebie, pionowo w dół. Jeden koniec dochodził do maghooka w jego dłoni, drugi był przywiązany do jego stóp.

Zacisnął dłoń na miotaczu i wduśił czarny guzik. Mechanizm zwijający natychmiast się uruchomił i Schofield poczuł, że linka maghooka wyciąga go z zakrwawionej wody. Szybko zbliżał się do kładki.

Po kilku sekundach był już przy niej. Wciągnął się na jej brzeg w chwili, gdy pierwsi Brytyjczycy sięgnęli po pistolety maszynowe.

Nie patrzył na nich. Kiedy zaczęli strzelać, biegł.

Wbiegał po drabince prowadzącej na poziom B po dwa szczeble naraz.

Kiedy znalazł się na tym, co pozostało z pomostu, biegnącego wokół szybu głównego, przeładował kuszę i popędził w kierunku wschodniego tunelu i kwater mieszkalnych. Musiał znaleźć Kirsty i jakimś sposobem wydostać się ze stacji.

Nagle zza rogu przed nim wyskoczył komandos SAS. Schofield podniósł kuszę i wystrzelił. Bełt wbił się w czoło Anglika, nogi uciekły spod niego, a głowa odskoczyła gwałtownie do tyłu.

Porucznik podszedł do ciała i pochylił się nad nim.

Anglik miał MP5, glocka 17 i dwa niebieskie granaty azotowe. Schofield zabrał wszystko. Komandos SAS miał także lekki komplet słuchawek z mikrofonem. To również porucznik zabrał, założył sobie na głowę i pobiegł tunelem.

Kirsty.

Gdzie mogli ją trzymać? Podejrzał, że gdzieś na poziomie B – tam były kwatery mieszkalne.

Kiedy wszedł do zewnętrznego, kolistego tunelu na poziomie B, z naprzeciwka wyskoczyło dwóch ludzi SAS. Zanim zdążyli unieść pistolety maszynowe, Schofield wystrzelił z obu swoich broni naraz. Anglicy padli na podłogę. Nie zatrzymując się, porucznik przeszedł nad nimi i podążył dalej.

Szedł szybkim krokiem, rozglądając się w lewo i prawo.

Nagle otworzyły się drzwi po lewej stronie i pojawił się w nich kolejny Brytyjczyk – z uniesioną bronią. Udało mu się strzelić, w tej samej chwili jednak broń Schofielda ożyła i przeciwnik poleciał z powrotem tam, skąd wyszedł.

Schofield wszedł tam również i znalazł się w pomieszczeniu socjalnym.

Natychmiast dostrzegł Kirsty. Dwóch ludzi z SAS popychało dziewczynkę w kierunku drzwi.

Schofield podniósł obydwie pistolety – maszynowy i samopowtarzalny.

Kiedy Kirsty go ujrzała, pomyślała, że widzi ducha.

Wyglądał okropnie.

Był przemoczony do suchej nitki, miał złamany nos i posiniaczoną twarz.

Na widok Schofielda jeden z komandosów natychmiast wysunął dziewczynkę przed siebie i przystawił jej pistolet do głowy.

– Zabiję ją, koleś – syknął. – Przysięgam na pieprzonego Boga, że wysmaruję ściany tego pokoju jej mózgiem.

– Kirsty... – powiedział cicho porucznik, celując z pistoletu w czoło pierwszego Anglika i równocześnie kierując lufę MP5 w głowę drugiego.

– Tak? – odparła potulnie mała.

– Zamknij oczy, skarbie.

Dziewczynka zamknęła oczy i cały świat pociemniał. Rozległo się podwójne BUMM-BUMMH. Nie wiedziała, kto strzelił, ale nagle poleciała do tyłu – wciąż w rękach komandosa

– Chodź. Czas się stąd wydostać – łagodnie powiedział Schofield.

Szybko przeładował broń, wziął Kirsty za rękę i wyszli z pomieszczenia socjalnego.

Pobiegli kolistym zewnętrznym tunelem, kierując się ku wschodniemu przejściu. Kiedy wyszli zza zakrętu, porucznik zatrzymał się nagle.

Na ścianie po swojej lewej ręce dostrzegł zamocowaną na ścianie dużą, prostokątną, czarną skrzynkę. W poprzek drzwiczek biegł napis: SKRZYNKA BEZPIECZNIKOWA.

Skrzynka bezpiecznikowa... tu Francuzi musieli wyłączyć w czasie potyczki światło.

Schofieldowi przyszedł do głowy pewien pomysł.

Rozejrzał się wokół i po chwili zobaczył wejście do laboratorium biotoksyn. Tuż obok znajdowały się drzwi z napisem: MAGAZYNEK.

Otworzył je. W środku były szczotki, wiadra i półki pełne środków czyszczących. Schofield szybko wziął butelkę z amoniakiem, wyskoczył z magazynku i podbiegł do skrzynki bezpiecznikowej. Jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki. Popatrzył na płataninę przewodów, na szeregi bezpieczników i pokręteł.

Kirsty stała kawałek dalej w głębi wschodniego tunelu i patrzyła w kierunku szybu głównego.

– Szybciej... – szepnęła. – Nadchodzą...

Porucznik usłyszał w swoich świeżo zdobytych słuchawkach głosy:

– Hopkins, raportuj.

– Idziemy za dziewczyną...

– ...oddział zewnętrzny, natychmiast wracać do stacji. Mamy tu problem...

Szybko znalazł przewód, którego szukał. Odsunął izolację i odsłonił miedziany drut. Kolbą pistoletu zrobił dziurkę w plastikowej butelce z amoniakiem i ustawił ją tak, by cienki strumyczek płynu ściekał na przewód.

Krople amoniaku uderzały rytmicznie w miedź.

KAP-KAP. KAP-KAP.

Równocześnie – dokładnie w rytm spadania kropeł – światła w tunelu – nie: w całej stacji! – zaczęły zapalać się i gasnąć. Jasno. Ciemno. Jasno. Ciemno.

Schofield złapał Kirsty za rękę i pobiegli w kierunku szybu głównego. Wkrótce byli na biegnącym wokół szybu pomoście i wspięli się najbliższą drabinką na poziom A.

Poszli pomostem poziomu A w kierunku tunelu, prowadzącego do głównego wejścia. Świat wokół migotał, robiąc się na przemian to biały, to czarny. Ciemność, światło, ciemność, światło.

Gdyby udało im się dostać do brytyjskich poduszkowców, może mieliby szansę uciec do McMurdo.

Wszędzie odbijały się echem krzyki, a w migoczącym świetle po pomostach przemykały cienie komandosów SAS, gorączkowo szukających Schofielda.

Kilku z nich założyło gogle noktowizyjne, ale ich użycie nic im nie dało. Migotanie światła sprawiało, że kto miał założone gogle, był za każdym zapaleniem się światła

oślepiany – czyli co kilka sekund.

Gdy Kirsty i Schofield dochodzili do korytarza prowadzącego do wyjścia, na pomost wyskoczył nagle człowiek z SAS i zderzył się z porucznikiem, który o mało nie wyleciał przez poręcz w przepaść.

Brytyjczyk upadł na pomost, natychmiast jednak dźwignął się na kolana i uniósł broń. Porucznik wyrzucił nogę do przodu i potężnym kopniakiem w szczękę znokautował przeciwnika, który huknął o kratownicę pomostu.

Kiedy Schofield zamierzał przejść nad nim, zauważył, że Brytyjczyk ma przerzucony przez ramię czarny plecak. Pochylił się i otworzył go.

W środku były dwa srebrne pojemniki. Z zielonym paskiem.

Granaty z tritonalem 80/20.

Schofield zmarszczył czoło. Już wcześniej się zastanawiał, dlaczego Anglicy przywieźli ze sobą tritonale. Jest to niezwykle silny materiał wybuchowy, stosowany zazwyczaj do niszczenia obiektów inżynierskich. Po co Barnaby'emu tritonale?

Zdjął plecak z ramienia nieprzytomnego Anglika.

Z prowadzącego do głównego wejścia korytarza doleciały krzyki. Zadudniły odgłosy kroków, rozległy się trzaski odbezpieczanych MP5.

Komandosi SAS, którzy do tej pory pilnowali terenu na zewnątrz... oddział zewnętrzny...

Wracali do środka!

– Kirsty! Na ziemię! – zawołał Schofield, okręcił się w miejscu i podniósł oba pistolety.

W tej samej chwili w tunelu pojawił się pierwszy Brytyjczyk i po sekundzie padł na podłogę w gradzie kul i strumieniach krwi. Następni dwaj zaczęli się ostrzeliwać.

– Z powrotem! – wrzasnął porucznik do Kirsty. – Nie możemy iść tędy!

Kiedy zsunął się po drabince z Kirsty na ramionach i znaleźli się na poziomie B, tuż obok jego głowy od stalowego profilu odbiła się z wizgiem kula.

W słuchawkach zaczęły się przekrzykiwać kolejne głosy:

– ...gdzie on się, kurwa, podział...

– ...zabrał małą! Zabił Maurice'a, Hoddle'a i Hopkinsa...

– ...widziałem go na poziomie A...

W pewnej chwili rozległ się głos Barnaby'ego:

– Nero! Światła! Albo je zapal, albo zgaś! Znajdź tę jebaną skrzynkę z bezpiecznikami!

W całej stacji panował chaos. Nie było stałego światła, każdy kąt wypełniało upiorne migotanie.

Schofield dostrzegł po drugiej stronie pomostu cienie.

Nie możemy tam iść... – pomyślał.

Wyrzwał do szybu głównego i jego wzrok padł na kładkę na poziomie C.

Kładka na poziomie C...

Dokonał błyskawicznego przeglądu posiadanego sprzętu.

Jeden pistolet samopowtarzalny Glock. Jeden pistolet automatyczny MP5. Zbyt mało do wyeliminowania dwudziestu ludzi z SAS.

Miał jeszcze plecak, zabrany Anglikowi, który wracał z zewnątrz. Z dwoma ładunkami tritonalu. Miał także dwa granaty azotowe, zabrane pierwszemu komandosowi SAS, którego zabił po wyciągnięciu się z wody przy użyciu maghooka.

– No to pięknie – mruknął pod nosem, patrząc w dół na znajdujący się w dole składany most. – Czas to zakończyć...

Wyszli na kładkę, otoczeni upiornymi, migoczącymi światłami stacji.

Schofield klęknął na jedno kolano i przez kilka minut robił coś przy kładce.

Kiedy skończył, kucnął przy Kirsty i oboje znieruchomieli w oczekiwaniu.

Kilka minut później Brytyjczycy znaleźli skrzynkę z bezpiecznikami, migotanie się skończyło i ponownie zapłonęło jarzeniowe światło, które skąpało wszystko bielą.

Niebawem ludzie z SAS zauważyli Schofielda i Kirsty.

Cała reszta brytyjskiego oddziału – mniej więcej dwudziestu ludzi – zajęła pozycje na pomoście wokół porucznika. Schofield i Kirsty stali pośrodku szybu głównego, a Brytyjczycy otaczali ich kołem, stojąc na wąskim, kolistym pomoście.

Komandosi SAS unieśli broń...

...i w tym momencie porucznik podniósł w górę ładunek tritonalu.

„Dobra strategia jest jak magia. Spraw, by przeciwnik patrzył ci na jedną rękę, podczas gdy robisz coś drugą”.

– Wstrzymać ogień – rozległ się w słuchawkach Schofielda głos generała. – Wstrzymać ogień!

Barnaby wyszedł na pomost wokół poziomu E, piętnaście metrów poniżej mostu na poziomie C. Był sam. Wszyscy ludzie z jego plutonu stali na pomoście wokół szybu głównego poziomu C, otaczając porucznika.

Schofield popatrzył na basen w dole. Nie było widać orek. Doskonale.

– Uzbroiłem ładunek tritonalu i trzymam palcem przycisk! – zawołał. – Zapalnik jest ustawiony na dwie sekundy! Jeśli mnie zastrzelicie, puszcę przycisk i wszyscy zginiecie!

Stał z szeroko rozstawionymi nogami, a Kirsty klęczała pod nim, schowana między jego nogami. Schofield miał nadzieję, że ludzie z SAS nie widzą, jak bardzo drżą mu ręce. Miał też nadzieję, że nie zauważą, iż nie ma w butach sznurowadeł.

– A jeśli zastrzelisz dziewczynkę – powiedział do Brytyjczyka, który zaczął celować w Kirsty – to na pewno go puszcę.

Rzucił niespokojne spojrzenie w kierunku wnęki w ścianie. Jeżeli włączą silnik

i most zacznie się składać...

– Poruczniku! – krzyknął do Schofielda Barnaby. – To bardzo nieprzyjemna sytuacja. Zabiłeś sześciu naszych ludzi, więc ciebie też zabijemy.

– Chcę gwarancji bezpiecznego wyjścia.

– Nie dostaniesz jej.

– Wobec tego wszyscy się spalimy. Barnaby pokręcił głową.

– Poruczniku Schofield, to do ciebie niepodobne. Nie poświęciłbyś własnego życia... doskonale o tym wiem, ponieważ cię znam. Wiem też, że nigdy nie poświęciłbyś dziewczynki.

Schofield poczuł się kompletnie bezradny.

Barnaby miał rację. Nigdy by nie naraził Kirsty. Anglik przejrzał jego blef. Znów popatrzył w kierunku wnęki w ścianie. Wnęki, w której znajdowała się maszyna obsługująca kładkę.

Nero pochwycił jego spojrzenie.

Schofield zauważył, że potężny Brytyjczyk patrzy na niego, przenosi wzrok na wnękę, po czym znów mu się przygląda.

– Tu Nero – rozległ się po chwili w jego słuchawkach Szept Anglika. – Obiekt patrzy na panel sterowania kładką. Dość nerwowo.

„Spraw, by przeciwnik patrzył ci na jedną rękę...”. Głos Barnaby’ego:

– Kładka. Nie chce, żebyśmy rozsunęli kładkę. Panie Nero, rozsłoń kładkę.

– Tak jest, sir.

Schofield patrzył, jak Nero powoli podchodzi do wnęki i wyciąga rękę w kierunku przycisku, uruchamiającego mechanizm składania kładki. Przez cały czas go obserwował – chciał, żeby Brytyjczycy sądzili, iż martwi go, że kładka zostanie złożona...

– Watson – odezwał się głos Barnaby’ego.

– Tak jest, sir.

– Kiedy środek kładki się rozdzieli, zabij go. Zdejmij go strzałem w głowę.

– Tak jest, sir.

– Houghton... Ty zdejmiesz dziewczynę.

– Tak jest, sir.

Schofield poczuł, że zaczynają mu drżeć kolana. Będzie ciasno... wszystko odbędzie się naprawdę na styk... „...podczas gdy robisz coś drugą”.

– Gotowa? – spytał Kirsty.

– Aha...

We wnęce Nero wcisnął duży, prostokątny klawisz z napisem MOST.

Gdzieś z wnętrza ściany rozległ się głośny metaliczny dźwięk i kładka pod stopami Schofielda drgnęła, obie części rozdzieliły się i zaczęły składać.

Kiedy to nastąpiło, dwóch żołnierzy SAS wystrzeliło w kierunku Schofielda i Kirsty, ale „cele” zniknęły z pola widzenia i pociski przeszły powietrze nad ich głowami.

Schofield i Kirsty spadali.

Lecieli i lecieli, i po chwili z głośnym pluskiem wpadli do basenu na dole stacji.

Nastąpiło to tak szybko, że komandosi SAS na poziomie C nie połąpali się, co się właściwie dzieje.

Nie miało to i tak znaczenia, ponieważ w momencie, gdy Schofield i Kirsty wpadli do wody, eksplodowały oba granaty azotowe, które porucznik przywiązał do końców połówek kładki.

Schofield przywiązał granaty do kładki własnymi sznurowadłami.

Umocował po jednym granacie na każdym końcu połówek kładki, a sznurowadła przywiązał tak, że jeden koniec trzymał zawleczkę, drugi zaś przeciwległą połówkę kładki. Kiedy kładka zaczęła się rozsuwać, każda cofająca się połówka wyciągnęła zawleczkę ze znajdującego się na drugiej połowce granatu. Aby fortel się powiódł, trzeba było oczywiście, by komandosi SAS uruchomili mechanizm składający kładkę.

Do chwili eksplozji Brytyjczycy nie zauważyli granatów. Byli zbyt zajęci przyglądaniem się Schofieldowi – trzymającemu w górze ładunek tritonu, a potem spadającemu razem z Kirsty na dół.

„Spraw, by przeciwnik patrzył ci na jedną rękę, podczas gdy robisz coś drugą”.

Uderzając o powierzchnię lodowatej wody, Schofield niemal się uśmiechnął. Nauczył go tego Trevor Barnaby.

Kiedy granaty azotowe na moście eksplodowały, zmrożony płynny azot wystrzelił we wszystkie strony, opryskując każdego stojącego na pomoście Brytyjczyka.

Efekt był przerażający.

Granat tego rodzaju działa zupełnie inaczej niż wszystkie inne rodzaje broni chemicznej – aby zabić człowieka, zawarta w nim substancja wcale nie musi wnikać pod skórę.

Skuteczność działania granatu azotowego wynika ze szczególnych właściwości wody, jedynej występującej w przyrodzie substancji naturalnej, która w wyniku zamrożenia się rozszerza. W kontakcie z mającym bardzo niską temperaturę płynnym azotem ludzkie ciało błyskawicznie się schładza. Komórki krwi zostają zamrożone, a ponieważ w siedemdziesięciu procentach składają się z wody, błyskawicznie się rozszerzają. Efektem tego jest popękanie wszystkich naczyń krwionośnych, co w terminologii wojskowej określa się mianem „totalnego krwotoku”.

Eksplozja naczyń krwionośnych w ludzkim ciele to paskudny widok.

Stojący na poziomie C ludzie z SAS mieli odsłonięte twarze i to właśnie one były najbardziej narażone na działanie płynnego azotu. Naczynia krwionośne pod skórą –

żyły, tętnice, kapilary – zaczęły natychmiast pękać i wybuchać.

W ciągu sekundy twarze Brytyjczyków pokryły czarne rany, gałki oczne wypełniły się krwią i żołnierze oślepli. Ze wszystkich porów ich skóry trysnęła krew.

Komandosi SAS z wrzaskiem padli na kolana.

Nie pokrzyczeli długo. Po trzydziestu sekundach pozamarzały naczynia krwionośne w ich głowach i ich mózgi „się wykrwawiły”.

Wkrótce wszyscy byli martwi.

Stojący na poziomie E Trevor Barnaby w milczeniu wpatrywał się w to, co działo się nad nim.

Niemal wszyscy jego ludzie zostali zlikwidowani wybuchem dwóch granatów azotowych. Całe wnętrze szybu głównego zostało opryskane niebieską mazią. Poręcze zamarzały i pękały. Warstwą szronu pokryła się nawet lina, podtrzymująca dzwon nurkowy, i po chwili zaczęły pękać pojedyncze stalowe włókna. Niebieską mazią pokryły się także okienka dzwonu.

Barnaby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Schofield zabił mu dwudziestu ludzi jednym rzutem kamienia...

Co teraz? – zastanawiał się gorączkowo.

Myśl! Co jest obiektem? Statek kosmiczny. Trzeba uzyskać nad nim kontrolę. Jak uzyskać kontrolę nad statkiem kosmicznym? Moment...

Mam na dole ludzi.

Trzeba dostać się do groty.

Wzrok Barnaby’ego padł na dzwon nurkowy.

Oczywiście...

W tym momencie po drugiej stronie dzwonu Schofield i Kirsty przebili się przez cienką warstwę lodu, która utworzyła się na wodzie basenu, gdy spadł na nią płynny azot, i zaczęli płynąć do brzegu.

Barnaby zignorował ich. Złapał leżący obok na pomoście akwalung, wskoczył do wody i popłynął w kierunku dzwonu nurkowego.

Porucznik wyciągnął dziewczynkę na brzeg.

– Nic ci nie jest? – spytał.

– Znowu zmokłam...

– Ja też. – Schofield odwrócił się i zobaczył Trevora Barnaby’ego, płynącego w kierunku dzwonu.

Spojrzał w górę. Na pomoście poziomu C panowała cisza. Wszyscy komandosi SAS zginęli, został tylko generał. No i ludzie, których wysłał na dół, do groty.

– Znajdź sobie jakiś koc i rozgrzej się – powiedział Schofield do Kirsty. – I nie wchodź na górę, dopóki nie wrócę.

– Dokąd idziesz?

– Za nim – odparł porucznik, wskazując na Barnaby’ego.

Trevor Barnaby zanurkował i po chwili wynurzył się we wnętrzu dzwonu nurkowego. Przywitał go wylot lufy desert eagle’a Schofielda.

James Renshaw trzymał oburącz pistolet i kierował go w głowę przybysza. Tak mocno ścisnął rękojeść, że pobiełały mu kostki dłoni.

– Nawet nie próbuj się ruszać – powiedział.

Barnaby popatrzył na małego człowieczka. Geofizyk miał na sobie bardzo stary sprzęt nurkowy i był wyraźnie zdenerwowany. Generał popatrzył na pistolet w jego rękach i roześmiał się, a potem wyciągnął spod wody własną broń.

Renshaw pociągnął za spust.

KLIK!

– Co się dzieje? – zdziwił się naukowiec.

– Najpierw trzeba włożyć pocisk do komory – zaśmiał się Barnaby i podniósł pistolet.

Domyślając się, co zaraz nastąpi, Renshaw krzyknął, skoczył do wody i zniknął.

Generał podciągnął się i szybko podszedł do panelu sterowania. Napełnił wodą zbiorniki balastowe i dzwon zaczął się zanurzać.

Stojący na poziomie E Schofield natychmiast zauważył, co się dzieje.

Cholera, zaczyna schodzić na dół, pomyślał, zatrzymując się przy drabince.

Zamierzał wejść na poziom C i zatrzymać opadanie dzwonu.

W tym momencie gdzieś wysoko w górze rozległ się przeszywający uszy trzask.

TRZASSSK-PINNG!

Porucznik podniósł głowę i stwierdził, że lina, na której wisi dzwon – zamrożona przez płynny azot – kurczy się i za chwilę pęknie.

Po sekundzie lina rozerwała się.

Jedna trzecia dzwonu zanurzyła się.

Schofield rzucił się biegiem ku wodzie.

Pędził ile sił. Wiedział, że to ostatnie zanurzenie dzwonu i ostatnia szansa na dostanie się do podwodnego tunelu. Jeżeli Barnaby’emu uda się dotrzeć na dół, a marines na dole nie żyją, Brytyjczycy przejmą statek kosmiczny i bitwa zostanie przegrana. Nie po to dotarł tak daleko, żeby teraz wszystko stracić i...

Odbił się od skraju pomostu i pofrunął w powietrzu. Dzwon zanurzył się pod wodę.

Porucznik przebił powierzchnię i pomknął w dół.

Machał z całych sił ramionami, by dogonić opadający dzwon.

Pozbawiony zawieszenia dzwon opadał szybciej niż normalnie i Schofield musiał wyteńczyć wszystkie siły. Kiedy był już blisko, wyciągnął rękę i złapał za rurę, biegnącą na zewnątrz wokół dzwonu.

Barnaby wsunął pistolet do kabury i spojrzał na detonator.

Sprawdził godzinę. Była 8.37.

Ustawił czas na detonatorze. Dał sobie dwie godziny – uznał, że to mu wystarczy na dotarcie do grotu. W momencie eksplozji porozmieszczanych wokół Stacji Lodowej Wilkes ładunków tritonalu musiał znajdować się w grocie.

Wyjął z kieszeni przekaźnik GPS i wcisnął klawisz nadawania.

Kiedy wkładał przekaźnik z powrotem do kieszeni, uśmiechnął się. Choć stracił ludzi, jego plan – pierwotny plan – jeszcze nie został zniweczony.

Gdy osiemnaście ładunków tritonalu eksploduje, Stacja Lodowa Wilkes wypłynie na morze, tworząc nową górę lodową. Dzięki przekaźnikowi GPS w jego kieszeni brytyjskie siły ratunkowe – i tylko one – będą dokładnie wiedziały, gdzie szukać góry lodowej, stacji i jego oraz – co najważniejsze – statku kosmicznego.

Dzwon nurkowy zanurzał się coraz głębiej – bardzo szybko – z Shane'em Schofieldem, trzymającym się rury na szczycie.

Powoli, przekładając rękę za ręką, porucznik przesunął się ku dolnemu brzegowi dzwonu. Wielkie urządzenie podskakiwało i bujało się na boki, jednak Schofield nie puszczał.

Wreszcie dotarł do podstawy dzwonu i wszedł pod niego.

Kiedy wynurzył się we wnętrzu dzwonu, natychmiast dostrzegł Barnaby'ego i detonator w jego dłoni.

Generał odwrócił się błyskawicznie, ale Schofield już wyskakiwał z wody. Pięć porucznika wyprysnęła do przodu i huknęła w nadgarstek generała. Trzymająca pistolet dłoń odruchowo się otworzyła, broń wypadła i zaklekotała o metal podłogi.

Schofield postawił stopę na podłodze dzwonu w momencie, gdy Barnaby wpadł na niego z impetem. Spleceni ze sobą mężczyźni huknęli o wklęsłą ścianę. Porucznik próbował odrzucić Brytyjczyka kopniakiem, ale generał był zbyt dobry w walce wręcz. Udało mu się przycisnąć Schofielda do ściany i potężnie kopnąć. Kiedy but ze stalowym czubkiem dosięgnął policzka porucznika, Schofield zatoczył się do tyłu i walnął twarzą w zimne szkło jednego z okienek.

Kątem oka dostrzegł, że na szkle, tuż przed jego oczami, tworzy się cienkie pęknięcie.

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać, bo Barnaby znów go kopnął. A potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Schofield upadł na podłogę.

– Nigdy się nie poddajesz, co? – warknął Brytyjczyk, znów go kopiąc. – Nigdy się nie poddajesz...

– To moja stacja – odparł porucznik przez zaciśnięte zęby. Kolejne kopnięcie. Stalowy czubek buta Barnaby'ego trafił w żebro, które Schofield złamał podczas walki z komandosem SAS w poduszkiowcu. Porucznik ryknął z bólu.

– To już nie jest twoja stacja, Strachu na Wróble.

Barnaby znów zamierzał go kopnąć, tym razem jednak Schofieldowi udało się odsunąć na bok i noga generała zadudniła o stalową ścianę.

Porucznik okręcił się wokół własnej osi i znalazł się na krawędzi pomostu, otaczającego jezioro wody w środku dzwonu.

I wtedy nagle go zobaczył.

Harpun.

Harpun, który zabrał z Little America IV. Leżał na podłodze, tuż przed nim.

Stojąc niezbyt pewnie na nogach, sięgnął po niego, ale zanim go złapał, Barnaby skoczył na pomost obok i znów potężnie go kopnął.

Kopniak dotarł do celu i Schofield spadł w dół – razem z harpunem – do wody. Impet ciosu wyrzucił go poza dzwon.

Wyciągnął lewą rękę, by nie stracić z nim kontaktu – złapał za rurę na zewnątrz i został gwałtownie szarpnięty w dół.

Trzymając harpun, owinał jedną nogę wokół rury, za którą złapał. Mógł się jedynie domyślać, na jakiej są głębokości.

Trzydzieści metrów? Sześćdziesiąt?

Zajrzał do dzwonu przez okienko. Także wokół tej szybki biegła cienka biała kreska pęknięcia.

Jedno spojrzenie wystarczyło porucznikowi – płynny azot powodował kurczenie się szkła. Lada chwila pęknie.

Barnaby stał wewnątrz dzwonu na wąskim pomoście wokół jezioro wody w środku, patrzył na Schofielda, machał detonatorem i salutował, jakby już było po wszystkim.

Ale nie było jeszcze po wszystkim.

Porucznik obserwował Barnaby'ego przez okienko.

Po chwili uśmiech zniknął z twarzy generała.

Schofield uniósł harpun...

...i skierował ostrze strzały na spękaną szybkę.

Barnaby zbyt późno uświadomił sobie niebezpieczeństwo. Zrobił krok w kierunku porucznika i krzyknął: NIE! – ale Schofield już pociągnął za spust i strzała harpuna przebiła pękniętą szybkę.

Efekt był natychmiastowy.

Gdy strzała przebiła szkło, spowodowała dekompresję wnętrza dzwonu i naciskająca ze wszystkich stron woda wdarła się do środka.

Dzwon implodował.

Ciśnienie wody zgmiotło metal jak papierowy kubek i ściany dzwonu pomknęły ku centrum. Trevor Barnaby – generał brygady Trevor J. Barnaby z SAS Jej Królewskiej

Mości – został w ułamku sekundy zmiażdżony.

Shane Schofield unosił się w wodzie i patrzył, jak resztki dzwonu znikają w ciemności pod nim.

Barnaby nie żył. Wszyscy komandosi SAS zginęli.

Odzyskał stację.

Nagle ogarnęła go fala paniki. Znajdował się jakieś sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią wody. Nigdy nie uda mu się powstrzymać oddechu na tyle długo, by wypłynąć...

Boże, nie...

Nie...

W tym momencie przed jego twarzą pojawiła się czyjaś ręka i Schofield zmartwił z przerażenia, bo mógł to być tylko Barnaby, któremu jakimś cudem udało się uciec na sekundę przed...

Nie był to jednak Trevor Barnaby, ale James Renshaw.

Unosił się w wodzie tuż obok Schofielda w trzydziestoletnim stroju do nurkowania i podawał mu ustnik.

Kiedy Schofield stanął na pomoście poziomemu E, była dokładnie 21.00.

Do 21.40 przeszukał stację od góry do dołu, szukając ukrytych ludzi SAS. Nie było ani jednego. Krążąc po stacji, zbierał broń – MP5, kilka granatów azotowych. Renshaw oddał mu desert eagle'a.

Schofield chciał także odnaleźć Matkę, ale nigdzie jej nie było.

Zajrzał nawet do „niemego kelnera”, ale i tam jej nie było.

Zniknęła bez śladu.

Schofield usiadł na skraju basenu na poziomie E. Był wykończony. Od ponad dwudziestu czterech godzin nie spał i zaczynał już to odczuwać.

Obok niego leżał ociekający wodą akwalung Renshawa, zabrany z Little America IV. Wciąż była do niego przywiązana lina – biegnąca przez wodę, przechodząca pod lodowcem i wychodząca w ocean, do porzuconej stacji we wnętrzu pływającej półtora kilometra od brzegu góry lodowej. Spoglądając na antyczny sprzęt, porucznik pokręcił głową. Za jego plecami stał na pomoście jeden z brytyjskich skuterów podwodnych – smukły, supernowoczesny pojazd, całkowite przeciwieństwo prymitywnego aparatu z Little America IV.

Geofizyk poszedł do swojego pokoju na poziomie B, by przynieść bandażę, nożyczki i środki dezynfekujące do opatrzenia ran Schofielda.

Kirsty stała na pomoście za plecami porucznika i patrzyła na niego z troską. Schofield wziął głęboki wdech i zamknął oczy. Złapał się za nos i szarpnął nim. Złamana kość z trzaskiem powróciła na swoje miejsce.

Dziewczynka jęknęła.

– Nie bolało? – zapytała. Schofield skrzywił się i kiwnął głową.

– Bardzo bolało.

W wodzie coś głośno plusnęło i kiedy porucznik gwałtownie się odwrócił w kierunku dźwięku, ujrzał Wendy, która wyskoczyła z wody i z głośnym kłaśnięciem wylądowała na metalu pomostu. Foka, podskakując, podeszła do niego i Schofield poklepał ją po łbie. Wendy natychmiast przewróciła się na grzbiet, więc podrapał ją po brzuchu. Kirsty uśmiechnęła się promiennie.

Porucznik popatrzył na zegarek.

21.44.

Przypomniał sobie, co Abby Sinclair mówiła o dziurach w czapie zakłóceń magnetycznych nad stacją.

Mówiła, że jedna dziura przejdzie nad stacją o 19.30, a następna o 22.00.

Pierwsza już przeszła, ale do drugiej zostało tylko szesnaście minut. Będzie musiał spróbować nawiązać kontakt z McMurdo.

Westchnął i odwrócił się. Miał jeszcze przedtem to i owo do zrobienia.

Na pomoście leżał hełm marines, prawdopodobnie Węża. Schofield podniósł go i włożył na głowę.

Ustawił mikrofon na wysokości ust.

– Marines, tu Strach na Wróble. Montana. Lis. Santa Cruz. Czy ktoś mnie słyszy?

Przez chwilę nie było odpowiedzi, w końcu jednak słuchawki ożyły.

– Strach na Wróble? To ty? – odezwał się głos Gant. – Gdzie jesteś?

– W stacji.

– Co z SAS?

– Pozabijałem ich wszystkich. Odzyskałem moją stację. A co z wami? Widziałem, że Barnaby posłał na dół oddział.

– Dostaliśmy małe wsparcie i wyszliśmy z tego bez strat własnych. Wszyscy cali. Strach na Wróble – mamy sporo do pogadania.

Libby Gant wyrzała przez poziomą dziurę w lodowej ścianie.

Po krótkiej walce z brytyjskimi nurkami wszyscy się w niej schowali, choć nie po to, aby znaleźć się dalej od Anglików – wszyscy komandos nie żyli – ale od gigantycznych słoni morskich, które po orgii jedzenia trupów komandosów SAS rozlazły się po całej grocie. Teraz zwierzęta zebrały się wokół wielkiego czarnego samolotu – jak biwakowicze wokół ogniska.

– O czym? – zapytał Schofield.

– Przede wszystkim o tym, że ten statek kosmiczny to żaden statek kosmiczny.

– Opowiadaj.

Gant zrelacjonowała swoje odkrycia. Opowiedziała o samolocie i „kalkulatorze”, o hangarze, pamiętniku i trzęsieniu ziemi, które sprawiło, że lód połknął stację.

Stwierdziła, że wszystko to sprawia wrażenie supertajnego projektu wojskowego Sił Powietrznych USA, którego celem było skonstruowanie szczególnego rodzaju samolotu szturmowego. Powiedziała także o wzmiance dotyczącej plutonu, którą znalazła w pamiętniku.

Potem opowiedziała o gigantycznych słoniach morskich, o znalezionych w grocie ciałach oraz o tym, jak słonie zaatakowały komandosów SAS, kiedy wychodzili z wody. Trudno jej było wyrazić w słowach gwałtowność i brutalność ich ataku.

Schofield słuchał, nie odzywając się.

Kiedy Gant skończyła, opowiedział jej o słoniu morskim, którego widział na monitorze w pokoju Renshawa, i o jego przerośniętych dolnych zębach, wyrastających z dolnych szczęk jak odwrócone ciosy. Kiedy o tym mówił, przypomniała mu się zabita orka, która wypłynęła w basenie na dole stacji – jej brzuch został rozpruty dwoma równoległymi cięciami.

– Widzieliśmy dwa słonie z takimi zębami – oświadczyła Gant. – Ale były mniejsze. Młode samce. Ten, którego widziałeś, musiał być przywódcą stada. Wygląda na to, że tylko samce mają przerost dolnych zębów.

– Być może... – zgodził się Schofield.

W tym momencie uświadomił sobie, że być może zna wyjaśnienie, dlaczego tylko samce mają nienormalnie wielkie dolne zęby.

Jeżeli w tajemniczym pojeździe rzeczywiście znajdował się pluton, można było zakładać, że emituje szczątkowe, bierne promieniowanie – nie wynikające z wycieku, ale pasywne, naturalne, występujące w każdym urządzeniu jądrowym. Jeżeli słonie morskie uwiły sobie gniazdo gdzieś niedaleko statku, promieniowanie to mogło wyrzeć wpływ na osobniki męskie.

Schofield czytał kiedyś słynny Raport Rodrigueza, dotyczący promieniowania biernego w okolicy starego laboratorium broni jądrowej na pustyni Nowego Meksyku. W pobliskich miastach stwierdzono występowanie zaburzeń genetycznych, przy czym znacznie więcej anomalii występowało u mężczyzn. Najczęstszą mutacją były wydłużone palce i zęby. ZĘBY. Autorzy raportu uznali, że większa skłonność mężczyzn do aberracji genetycznych ma związek z testosteronem, hormonem męskim.

Może to samo wydarzyło się tutaj?

Nagle Schofieldowi przyszło do głowy jeszcze coś innego.

– Gant, kiedy oddział SAS zjawił się w grocie?

– Nie jestem pewna, ale chyba około ósmej.

– A wy kiedy się tam pojawiliście?

– Wypłynęliśmy z dzwonu nurkowego o czternastej dziesięć i godzinę płynęliśmy w górę tunelu. Powiedziałabym, że około trzeciej.

Ósma. Trzecia.

Ciekawe, o której godzinie schodzili pod wodę naukowcy ze stacji. Był tu jakiś system, choć Schofield nie umiał określić, o co dokładnie chodzi. Może pozwoli to jednak wyjaśnić...

Popatrzył na zegarek.

21.50.

Cholera, trzeba iść.

– Gant, posłuchaj mnie uważnie. Za dziesięć minut będzie dziura w burzy magnetycznej nad nami i muszę spróbować ją wykorzystać. Jeżeli jesteście na dole bezpieczni, zrób mi przysługę i rozejrzyj się po hangarze. Dowiedz się wszystkiego co tylko możliwe o tym samolocie, dobrze?

– Możesz na mnie liczyć.

Schofield rozłączył się. Ledwie to zrobił, z góry stacji doleciał do niego głos:

– Poruczniku!

Podniósł głowę. Wołał go Renshaw. Stał na poziomie B.

– Hej, poruczniku!

– Co jest?

– Chyba powinieneś na to rzucić okiem!

Schofield i Kirsty weszli do pokoju Renshawa przez prostokątną dziurę w drzwiach.

Geofizyk stał przy komputerze.

– Był cały dzień włączony, ale dopiero teraz na niego spojrzalem – wyjaśnił. – Poinformował mnie, że mam nową pocztę, i rzuciłem okiem na e-maile. Nowa wiadomość została odebrana o dziewiętnastej trzydzieści dwie i pochodzi od gościa z Nowego Jorku, który nazywa się Andrew Wilcox.

– Co to ma wspólnego ze mną? – spytał Schofield. Nie znał żadnego Wilcoxa.

– Cóż, poruczniku, e-mail jest zaadresowany na ciebie. Schofield zmarszczył czoło.

Renshaw skinął głową w kierunku ekranu. Była na nim jakaś lista, a nad nią wiadomość. Porucznik zaczął czytać.

STRACHU NA WRÓBLE – WITAM, JASTRZĄB. POSŁUCHAJ RADY: UWAŻAJ NA MIEJSCE, W KTÓRYM JESTEŚ.

WEDŁUG DZIAŁU KADR KPMUSA NIE ŻYJESZ. DRUGI ODDZIAŁ KIERUJE SIĘ NA MIEJSCE TWOJEGO POBYTU.

PODEJRZEWAM, ŻE TWOJA MISJA MA ZOSTAĆ ZLIKWIDOWANA PRZEZ ICG.

OBAWIAM SIĘ, ŻE DRUGI ODDZIAŁ BĘDZIE DZIAŁAŁ NIEZGODNIE Z TWOIM INTERESEM. MOŻE CIĘ CZEKAĆ TO SAMO, CO MNIE W PERU.

PAMIĘTAJĄC O TYM, PRZEJRZYJ PONIŻSZĄ LISTĘ ZNANYCH

AGENTÓW ICG. MOJA JEDNOSTKA W PERU ZOSTAŁA ZINFILTROWANA
NA DŁUGO PRZED OBJĘCIEM PRZEZE MNIE DOWÓDZTWA. TO SAMO
MOŻE BYĆ Z TWOJĄ.

TRANSMIT NO 767-9808-09001

REF. NO KOS-4622

TEMAT: ALFABETYCZNA LISTA OSÓB UPRAWNIONYCH DO
OTRZYMYWANIA ZABEZPIECZANYCH KOMUNIKATÓW.

NAZWISKO	LOKALIZACJA	DZIEDZINA/STOPIEŃ
----------	-------------	-------------------

ADAMS, WALTER K.	LAB. LVRMRE	FIZ. NUKL.
ATKINS, SAMANTHA E.	GSTETNR	PROG. KOMP.
BAILEY, KEITH H.	BRKLY	INŻ. AERO.
BARNES, SEAN M.	SEALS	KOM. POR.
BROOKES, ARLIN F.	RNGERS	KPT.
CARVER, ELIZABETH R.	CLMBIA	INFORM.
CHRISTIE, MARGARET V.	HRVRD	CHEM. PRZEM.
DAWSON, RICHARD K.	MCRSOFT	PROG. KOMP.
DELANEY, MARK M.	IBM	KOMP.
DOUGLAS, KENNETH A.	RACY	KOMP.
DOWD, ROGER F.	KPM USA	KAPR.
EDWARDS, STEPHEN R.	BOEING	INŻ. AERO.
FROST, KAREN S.	UN. PD. KAL.	INŻ. GEN.
FAULKNER, DAVID G.	LAB. ODRZ. NASA	INŻ. AERO.
GIANNI, ENRICO R.	LCKHEED	INŻ. AERO.
GRANGER, RAYMOND K.	RANGERS	ST. SIERŻ.
HARRIS, TERENCE X.	YALE	FIZ. NUKL.
JOHNSON, NORMA E.	ARIZ	BIOTOKS.
KAPŁAN, SCOTT M.	KPM USA	SIERŻ. ZBROJM.
KASCYNSKI, THERESA E.	3M	FOSF.
KEMPER, PAULENE J.	JHNS HPKS	DERMAT.
KOZŁOWSKI, CHARLES R.	KPM USA	ST. SIERŻ. SZT.
LAMB, MARK I.	ARMALTE	BALIST.
LAWSON, JANE R.	UN. TEX.	INSEKTCDY
LEE, MORGAN T.	KPM USA	SIERŻ.
MAKIN, DENISE E.	UN. CLRDO	ŚR. CHEM.
McDONALD, SIMON K.	LAB. LVMRE	FIZ. NUKL.
NORTON, PAUL G.	PRNCTN	ŁAŃC. AMINOKW.
OLIVER, JENNIFER F.	SLCN STRS	PRÓG. KOMP.
PARKES, SARAH T.	UN. PD. KAL.	PALEONT.
RIGGS, WAYLON J.	SEALS	KMDR.
REICHART, JOHN R.	KPM USA	SIERŻ.
SHORT, GREGORY J.	UN. ST. KAL.	TEOR. PŁYN.
TURNER, JENNIFER C.	UN. KAL/LA	INŻ. GENET.
WILLIAMS, VICTORIA D.	UN. WASZ.	GEOFIZ.
YATES, JOHN F.	SI. POW. USA	KPT.

PS. STRACHU NA WRÓBLE, JEŻELI DOTRZESZ Z POWROTEM DO

STANÓW, ZADZWOŃ DO PETERA CAMERONA W WASHINGTON POST.
BĘDZIE WIEDZIAŁ, GDZIE MNIE ZNALEŹĆ.

DOBREGO POLOWANIA JASTRZĄB

Schofield przez chwilę wpatrywał się jak zahipnotyzowany w e-mail.

„Jastrząb” był przydomkiem operacyjnym Andrew Trenta.

Andrew Trenta, który – jak mu powiedziano – zginął w 1997 roku w Peru w wyniku „wypadku”.

Andrew Trent żył...

Renshaw wydrukował e-mail i podał kartkę Schofieldowi. Porucznik przejrzał listę.

Jakimś sposobem Trentowi udało się dowiedzieć, że Schofield był na Antraktydzie. Odkrył także, że do Stacji Lodowej Wilkes wysłano drugi oddział. Najbardziej nieprzyjemne było jednak to, że Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych umieścił już porucznika na liście zabitych.

Przysłał mu więc e-mail, wraz z listą znanych agentów ICG – na wypadek, gdyby Schofield miał w swoim oddziale zdrajców.

Porucznik popatrzył na godzinę odebrania e-maila. 19.32. Musiał zostać przekazany przez satelitę podczas dziury w burzy magnetycznej, która zaczęła się o 19.30.

Schofield przejrzał listę. Od razu rzuciło mu się w oczy kilka nazwisk.

KAPŁAN, SCOTT M. KPMUSA SIERŻ. ZBROJM.

Waż... Tak jakby nie wiedział już, że Wąż był zdrajcą. Trochę dalej przeczytał:

KOZŁOWSKI, CHARLES R. KPMUSA ST. SIERŻ. SZT.

O Boże...

Chuck Kozłowski. Starszy sierżant sztabowy Korpusu Piechoty Morskiej, najwyższej rangi podoficer Korpusu, był członkiem ICG...

Po chwili zobaczył kolejne doskonale znane sobie nazwisko.

LEE, MORGAN T. KPMUSA SIERŻ.

– O, nie... – jęknął na głos.

– Co jest? – spytał Renshaw. – Co się stało?

Montana. Montana nazywał się Morgan Lee. Morgan T. Lee. Montana był ICG.

W hangarze w głębi lodu Gant i pozostali szukali informacji dotyczących czarnego samolotu.

Santa Cruz oglądał w niewielkim warsztacie plany konstrukcyjne. Sarah Hensleigh siedziała za jego plecami, z papierem i ołówkiem w dłoni.

– Ładna nazwa – powiedział Cruz, przerywając ciszę.

– Co?

– Nazwa samolotu. Piszą tu, że nazywa się „Sylwetka” – wyjaśnił Santa Cruz. Sarah skinęła głową.

– Jakież postępy z kodem? – spytał Santa Cruz.

– Chyba coś mam. Liczba, którą podano na ekranie – 24157817 – na początku składa się z liczb pierwszych: 2, 41, 5 i 7 – ale potem jest 817. Liczba ta dzieli się jednak przez 19 i 43, a to też liczby pierwsze. Może być także kompozycją dwóch liczb: 81 i 7 – albo nawet trzech. Problem w tym, że nie wiadomo, ile liczb składa się na liczbę wyjściową.

Santa Cruz uśmiechnął się.

– Niech pani nad tym myśli.

– Dzięki.

Do warsztatu wszedł Montana.

– Doktor Hensleigh...

– Tak?

– Lis powiedziała, żeby rzuciła pani okiem na coś, co znalazła w biurze.

Powiedziała, że to jakaś książka kodowa czy coś w tym stylu.

– Oczywiście – odparła Hensleigh i wyszła. Montana i Santa Cruz zostali sami.

– Ten samolot nie jest podobny do żadnego znanego – powiedział Santa Cruz. – Ma standardowy silnik turboodrzutowy z możliwością przyspieszenia do prędkości naddźwiękowych, a na spodzie osiem dysz odrzutowych do poziomego startu i lądowania. Ale najdziwniejsze jest to, że oba komplety silników są napędzane paliwem lotniczym.

– No to co? – zapytał Montana.

– No bo... po co w takim razie pluton? – mruknął Santa Cruz, odwracając się do niego.

Zanim Montana zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Santa Cruz znów pochylił się nad planami. Wyjął spod nich sporządzone ręcznie notatki.

– Wydaje mi się, że wiem, o co tu chodzi – oświadczył. – Mówiłem już o tym Gant. Z notatek, które znalazłem, wynika, że pracowano tu nad nowatorskim mechanizmem ukrywania „Sylwetki” przed radarem – czymś w rodzaju pola elektromagnetycznego, które otaczałoby samolot. Do wygenerowania odpowiedniej energii potrzebowali jednak od cholery mocy, około 2,71 gigawata. Jediną możliwością wytworzenia takiej ilości energii jest reakcja jądrowa... po to był im potrzebny pluton. – Zadowolony z siebie Santa Cruz pokiwał głową.

Nie zauważył, że Montana zachodzi go szybko od tyłu.

– Powiem ci coś: to jakaś mocno pojebana operacja. Statki kosmiczne, Francuzi, Anglicy, tajne bazy, rdzenie plutonowe, zdrajcy z ICG. Syf i malaria. Tyle że...

W tym momencie ostrze noża Montany wbiło się w jego ucho. Silnie pchnięty

metal natychmiast znalazł się w mózgu.

Oczy młodego szeregowca rozszerzyły się i po chwili Santa Cruz z łoskotem zwałił się twarzą na biurko. Nie żył już, zanim upadł.

Montana wyciągnął z rany zakrwawiony nóż i odwrócił się.

W drzwiach, z plikiem papierów w dłoniach, stała Libby Gant i przyglądała mu się z przerażeniem.

Schofield włączył mikrofon.

– Gant! Gant! Zgłoś się! Nie było odpowiedzi. Porucznik popatrzył na zegarek. 21.58.

Cholera! Dziura w zakłóceniach magnetycznych pojawi się za dwie minuty!

– Gant, nie wiem, czy mnie słyszysz, ale jeśli tak, uważaj. Montana to ICG! Powtarzam: Montana to ICG! Nie odwracaj się do niego plecami. Jeśli będziesz musiała, zneutralizuj go. Powtarzam: jeśli będziesz musiała, zneutralizuj go.

Powiedziawszy to, Schofield pognał schodami w kierunku pomieszczenia radiowego.

Gant biegła przez wielki hangar, Montana za nią. Gdy minęła lodową ścianę, lód przecięła seria pocisków.

Przebiegła przez otwór wjazdu, którym weszli do hangaru z głównej groty. Ściągnęła z ramienia MP5 i zaczęła na ślepo strzelać do tyłu. Zanurkowała w poziomy otwór i właśnie przetaczała się na drugą stronę, kiedy we włączniku stalowej przegrody pojawił się Montana i puścił kolejną serię.

O lodową ścianę załomotały pociski, ale tym razem seria uderzyła nie tylko w lód – przeszła także przez ciało Gant.

Dwa pociski utkwily w chroniącej jej tułów płycie pancernej, trzeci wyszarpał czerwoną dziurę w boku.

Gant stłumiła krzyk bólu, złapała się za bok i toczyła dalej, zaciskając zęby. Spomiędzy jej palców ciekła krew.

Kiedy wturlała się do głównej groty, natychmiast ujrzała kręcące się przy samolocie słonie morskie – jedno ze zwierząt uniosło łeb i popatrzyło w jej kierunku.

Samiec. Wielki samiec z przerażająco wielkimi ciosami. Musiał wrócić w ciągu ostatniej półgodziny.

Zwierzę szczerknęło i ruszyło w jej stronę. Fałdy tłuszczu pod skórą falowały przy każdym jego ruchu.

Rana w boku Gant paliła straszliwie.

Gant odpełzła od szczeliny w ścianie, jednym okiem obserwując słonia, a drugim szczelinę. Smuga krwi plamiła zamrożone podłoże, zdradzając kierunek jej ucieczki.

Montana wysunął się ze szczeliny – z wyciągniętym do przodu pistoletem maszynowym.

Gant nigdzie nie było widać.

Po chwili zauważył smugę krwi na lodzie – prowadziła za wielki głaz po prawej stronie.

Podążył krwawym śladem, szybko okrążył głaz i puścił serię. Pudło – Gant nie było za skałą. Jej MP5 leżał samotnie na zlodowaciałym podłożu.

Montana okręcił się wokół własnej osi.

Gdzie ona się podziała?

Kiedy ponownie obszedł głaz, zobaczył ją.

Siedziała na skalnym podłożu przed poziomą dziurą w ścianie i obydwoma rękami ścisnęła ranę w boku. Powrót na lewą stronę dziury kosztował ją wiele wysiłku – musiała użyć obu rąk, by znaleźć się tam, zanim polujący na nią marine wyskoczy z za skały. Zamierzała ponownie przejść przez dziurę, opuściły ją jednak siły.

Montana uśmiechnął się i podszedł bliżej. Stał przed Gant, plecami do groty.

– Kawał z ciebie skurwysyna, wiesz? – warknęła. Wzruszył ramionami.

– To nawet nie pieprzony statek kosmiczny Obcych, a mimo to zamierzacie nas wszystkich zabić – dodała, patrząc w głąb groty, za plecy Montany.

– Tu nie chodzi o samolot, Gant. Chodzi o to, co wiecie o ICG. Dlatego nie wolno wam pozwolić wrócić.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Rób swoje – powiedziała.

Montana podniósł broń, ale gdy zamierzał strzelić, od ścian groty odbił się mrozący krew w żyłach ryk.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył pędzącego na niego gigantycznego słonia morskiego. Z każdym jego potężnym susem trzęsły się skały.

Gant skorzystała z okazji i szybko wtoczyła się w poziomą dziurę za swoimi plecami. Spadła po drugiej stronie i znieruchomiała na znajdującej się półtora metra niżej podłodze tunelu jak kupka nieszczęścia.

Wielka foka pędziła z nieprawdopodobną prędkością, pokonała odległość od samolotu w sekundy.

Montana podniósł broń i strzelił.

Zwierzę było jednak zbyt wielkie i znajdowało się zbyt blisko.

Gant uniosła głowę i patrzyła na prześwitującą przez półprzezroczystą ścianę sylwetkę Montany.

Nagle jego ciało z impetem uderzyło w przezroczysty lód. Kiedy foka-gigant przyszpiliła Montanę do ściany, z jego ciała wytrysnęły na boki strumienie krwi, tworząc na lodzie groteskową gwiazdę.

Gant podniosła się z trudem i wyrzała do groty.

Słoń morski właśnie wyciągał zęby z brzucha Montany. Długie, śliskie od krwi ciosy wysunęły się ze skafandra Amerykanina i marine opadł na lód jak szmaciana lalka. Triumfujący słoń stał nad jego ciałem.

Nagle Montana jęknął.

Jeszcze żył!

Ledwo ledwo, ale żył.

Wielka foka pochyliła się nad nim i wyrwała mu z klatki piersiowej kawał mięsa.

Schofield wszedł do pomieszczenia radiowego na poziomie A punktualnie o dziesiątej. Tuż za nim weszli Renshaw i Kirsty. Porucznik usiadł za konsolą i wcisnął klawisz nadawania.

– Uwaga, McMurdo. Uwaga, McMurdo. Tu Strach na Wróble. Słyszysz mnie?

Nie było odpowiedzi. Schofield powtórzył przekaz. I tym razem nie było odpowiedzi. Nagle odezwał się jakiś głos:

– Strach na Wróble, tu Romeo, słyszę cię. Jak sytuacja? Romeo...

„Romeo” był operacyjnym przydomkiem kapitana Harleya Roacha, dowódcy Oddziału Rozpoznania Numer Pięć Piechoty Morskiej. Schofield kilka razy miał okazję się z nim spotkać. Romeo Roach był sześć lat starszy od niego, miał dobrą opinię jako żołnierz i legendarne powodzenie u kobiet – stąd przydomek.

Co ważniejsze, był marine. Porucznik uśmiechnął się. Miał na linii swojaka.

– Romeo, sytuacja jest następująca... – zaczął. – Panujemy nad obiektem docelowym. Powtarzam, panujemy nad obiektem docelowym. Ponieśliśmy ciężkie straty, ale obiekt jest nasz. – „Obiektem docelowym” była Stacja Lodowa Wilkes. – A co u ciebie, Romeo? Gdzie jesteś?

– Strach na Wróble, jesteśmy w poduszkiowcach, w szyku bojowym, jakieś dwa kilometry od punktu docelowego...

Schofield poderwał gwałtownie głowę. Dwa kilometry... pod samymi drzwiami...

– ... mamy rozkaz czekać na dalsze polecenia. Mamy wyraźne polecenie NIE wkraczać do stacji.

Porucznik nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Tuż pod stacją Wilkes byli marines – niemal w stacji! Dwa kilometry! Schofield bardzo chciał się dowiedzieć, jak...

– Romeo, jak długo tam jesteście?

– Strach na Wróble... ee... trzydzieści osiem minut. Trzydzieści osiem minut... To było wprost nie do wiary.

Od ponad pół godziny pod Wilkes siedział na dupach oddział rozpoznania Piechoty Morskiej!

Po chwili głos Romea odezwał się w słuchawkach porucznika. Tym razem kapitan

nie korzystał z radia, ale z systemu komunikacji w hełmach.

– Strach na Wróble, muszę porozmawiać z tobą sam na sam.

Schofield wyłączył radiostację i zaczął mówić do mikrofonu w hełmie. Kapitan Roach korzystał z pasma dostępnego tylko dla marines.

– Romeo, co ty, kurwa, wyprawiasz? – Porucznik nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Kiedy on walczył z Trevorem Barnabym, do Stacji Lodowej Wilkes przyjechał oddział marines i zadekował się dwa kilometry przed celem.

– Strach na Wróble, nie masz pojęcia, co tu się wyrabia. Piechota Morska. Zielone Berety. Cholera, jest tu nawet pluton rangersów i patroluje kilometrową zamkniętą strefę. Najwyższe Dowództwo i Połączony Komitet Szefów Sztabów przysłały wszystkie jednostki, jakie udało im się wytrzasnąć. Ale kiedy się tu zjawiliśmy, kazali nam czekać do przybycia oddziału SEAL. Strach na Wróble – mam jednoznaczne rozkazy: jeżeli którykolwiek z moich ludzi podejrze do stacji przed przybyciem SEAL, zostanie zastrzelony.

Schofielda zatkało.

Wszystko stało się jasne.

Był w takiej samej sytuacji jak Andrew Trent w Peru. Jako pierwszy dotarł do stacji. Coś w niej znalazł. A teraz przysyłali oddział SEAL – najbardziej bezlitosną, najbardziej śmiertoczną jednostkę armii Stanów Zjednoczonych.

Nagle przypomniała mu się linijka z e-maila Trenta:

WEDŁUG DZIAŁU KADR KPMUSA NIE ŻYJESZ. Kiedy dotarła do niego cała prawda, znieruchomiał. Przysyłali SEAL. Przysyłali SEAL, by go zabić.

SIÓDME WTARGNIĘCIE

16 CZERWCA, GODZINA 22.00

– Romeo, posłuchaj mnie – powiedział Schofield. – ICG umieściła w mojej jednostce swoich ludzi. Jeden z nich zaczął zabijać moich rannych. SEAL przybywa, żeby mnie zabić. Musisz coś zrobić.

Po jego kręgosłupie przebiegł zimny dreszcz, bo uświadomił sobie, że mówi do Romea dokładnie to samo, co Andrew Trent mówił do niego ze świątyni w Peru.

– Co chcesz, żebym zrobił? – zapytał Romeo.

– Powiedz im, że niczego tu nie ma. Powiedz, że w lodzie nie ma żadnego statku kosmicznego. Powiedz im, że to jedynie projekt badawczy Sił Powietrznych, który nie wiadomo dlaczego tu się znalazł.

– Hm... Strach na Wróble – nie mam żadnych informacji na temat tego, co u was może być. Nic nie wiem o zakopanych w lodzie statkach kosmicznych Obcych ani o żadnych projektach badawczych Sił Powietrznych.

– O to tu chodzi, Romeo. Posłuchaj mnie. Walczyłem o tę stację z francuskimi spadochroniarzami. Walczyłem o nią z Trevorem Barnabym i plutonem ludzi SAS. Po tym, co tu przeszedłem, nie chcę zginąć z rąk bandy popieprzonych rodaków... słyszysz mnie?!

– Zaczekaj sekundę, Strach na Wróble. Po drugiej stronie zapadła cisza.

Po minucie Romeo znów się odezwał:

– Strach na Wróble, rozmawiałem właśnie z kapitanem rangersów – nazywa się Brookes, Arlin Brookes – i ten facet powiedział, że każe strzelać do każdego mojego człowieka, który zbliży się do stacji przed przybyciem SEAL.

Schofield wyjął z kieszeni wydruk e-maila od Trenta i popatrzył na listę agentów ICG.

Natychmiast zobaczył nazwisko, które podał mu Romeo:

BROOKES, ARLIN F. RNGRS KPT.

Skurwysyn... To ten sam gość, na którego natknął się pod świątynią w Peru. Arlin F. Brokes, hujoza z ICG.

– W porządku, Strach na Wróble – powiedział Romeo. – Słuchaj. Może nie dam rady wejść do środka, ale powiem ci o czymś, co słyszałem pół godziny temu. Mniej więcej trzysta mil morskich od wybrzeża jest „Wasp”, na otwartych wodach. Kiedy się zjawiliśmy, porozumiał się ze mną z jego pokładu Jack Walsh. Pół godziny temu patrol harrierów korpusu zestrzelił jakieś dwieście pięćdziesiąt mil od brzegu angielski samolot-cysternę VC-10, który próbował lecieć w kierunku kontynentu.

Schofield milczał.

Wiedział, co Romeo chce mu zakomunikować.

Samoloty-cysterny latają tylko w jednym celu: by dotankować prowadzące

długodystansowe operacje samoloty atakujące.

Jeżeli brytyjski samolot-cysterna został zestrzelony 250 mil od brzegu, można było się niemal założyć, że gdzieś w pobliżu jest jeszcze jeden brytyjski samolot – bombowiec albo myśliwiec – mający przeprowadzić atak. Prawdopodobnie miał rozkaz...

O nie, pomyślał porucznik. Likwidator Barnaby'ego.

Tak jak likwidator Francuzów, brytyjski samolot miał prawdopodobnie rozkaz odpalić na Stację Lodową Wilkes pocisk, jeżeli Trevor Barnaby nie zgłosi się w określonym czasie.

– Wezwano Siły Powietrzne – mówił Romeo. – Przeszukują okolicę, używając AWACS-ów* i F-22. Szukają zamierzającego narozrabiać Anglika i mają rozkaz go zestrzelić.

* [AWACS – „latający radar”, specjalnie wyposażony samolot do prowadzenia obserwacji.]

Schofield opadł ciężko na krzesło.

Zmarszczył czoło i pomasaował twarz. Świat wokół niego zacieśniał się jak pułapka.

Był w potrzasku. Lada chwila zjawią się komandosi SEAL – niezależnie od tego, czy wiedzą, że w stacji nie ma nic ciekawego. Nawet gdyby udało mu się uciec przed nimi, pozostawało ryzyko, że Stacja Lodowa Wilkes zostanie zniszczona przez rakietę powietrze-ziemia, wystrzeloną z brytyjskiego myśliwca.

Istniała tylko jedna możliwość.

Gdyby wyszedł na zewnątrz i oddał się w ręce Romea przed przybyciem SEAL, mógłby przynajmniej przeżyć. Najważniejszą rzeczą, jakiej ten dzień nauczył Schofielda, było to, że jeśli żyjesz, zawsze jeszcze masz szansę.

Włączył mikrofon.

– Romeo, posłuchaj...

– Cholera, Strach na Wróble, już tu są.

– Kto?

– SEAL. Przylecieli. Właśnie przepuścili ich przez zewnętrzny kordon. Cztery poduszki. Jadą w kierunku stacji.

Armada stojących dwa kilometry od Stacji Lodowej Wilkes poduszkowców uformowała linię, ciągnącą się półkolem od strony lądu. Dzioby wszystkich maszyn były skierowane na stację.

Linię tę przerwały cztery granatowe poduszkowce marynarki i zaczęły sunąć w kierunku stacji. Bez pośpiechu przepływały między budynkami na zewnętrznym obrzeżu.

Poduszkowce SEAL.

W prowadzącym pojeździe dowódca włączył radio.

– Kontrola powietrzna, tu oddział SEAL, proszę o raport. Potwierdzam poprzednie instrukcje. Nie wejdziemy do stacji, dopóki nie potwierdzisz, że macie łobuza.

– Oddział SEAL, tu kontrola powietrzna – odparł głos przez radio. – Czekamy właśnie na raport od naszych ptaszków.

W tej samej chwili dokładnie 242 mile morskie od Stacji Lodowej Wilkes nad Oceanem Indyjskim pędziło sześć F-22 amerykańskich sił powietrznych.

F-22 to najnowocześniejszy myśliwiec na świecie, następca tronu po starym F-15 Eagle. Choć F-22 z wyglądu nieco go przypomina, ma jedną cechę, której eagle nigdy nie miał – jest niewidoczny dla radaru.

W prowadzącym F-22 dowódca eskadry słuchał komunikatu w słuchawkach. Kiedy głos po drugiej stronie skończył, powiedział:

– Dzięki, Wielki Ptaku. Widzę go.

Na skomputeryzowanym ekranie ujrzał podążającą na zachód małą plamkę. Napis na ekranie brzmiał:

CEL NAMIERZONY: 103 MM WNW TYP: E-2000

E-2000 to Eurofighter 2000, dwusilnikowy, bardzo zwrotny „kieszonkowy” myśliwiec, wynik połączonych wysiłków Brytyjczyków, Niemców, Hiszpanów i Włochów.

Plamka na ekranie dowódcy przesuwała się spokojnie. Wyglądało na to, że jest nieświadoma obecności sześciu amerykańskich myśliwców sto mil morskich za swoimi plecami.

– W porządku, chłopcy, cel namierzony – powiedział pilot F-22. – Powtarzam: cel namierzony. Czas na rock and rolla!

Shane Schofield nie miał pojęcia, co robić.

Nie mógł się poddać oddziałowi SEAL. Było niemal pewne, że to ludzie ICG. Jeżeli go dostaną, natychmiast go zabiją.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zejść do groty i tam się nie ukryć – przejmując samolot jako okup – ale ponieważ dzwon został zniszczony, nie miał jak dostać się na dół.

Wyprowadził Renshawa i Kirsty z pomieszczenia radiowego i zeszli drabinkami niżej.

– Co się dzieje? – spytał geofizyk.

– Mamy przesrane – odparł porucznik, gorączkowo próbując ocenić sytuację. Jediną szansą było schować się i zaczekać, aż SEAL i reszta sobie pójdzie.

I co wtedy? Wrócisz piechotą do domu?

Jeżeli żyjesz, masz jeszcze szansę.

Schofield zsunął się po drabince i popatrzył w dół na poziom E.

Nagle coś zauważył.

Wendy. Foka leżała na pomoście i najwyraźniej spała.

Wendy...

Coś mu się z nią kojarzyło...

Dowódca eskadry F-22 zaczął mówić:

– Wielki Ptaku, tu Prowadzący Niebieski. Utrzymujemy lot bez widoczności dla radaru. Przypuszczalny cel będzie w zasięgu strzału za... dwadzieścia minut.

Nagle przypomniał sobie. Odwrócił się gwałtownie do Kirsty.

– Jak długo Wendy może wstrzymać oddech? – zapytał. Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Większość samców płaskogłowa może wstrzymać oddech przez godzinę. Ale ponieważ jako dziewczynka Wendy jest znacznie mniejsza, nie może być pod wodą dłużej niż czterdzieści minut.

– Czterdzieści minut... – Schofield zaczął liczyć w myśli.

– O czym myślisz? – spytał Renshaw.

– Dostanie się do groty zajmuje jakieś dwie godziny, tak? Godzinę na dół, na głębokość tysiąca metrów w dzwonie, i mniej więcej godzinę w górę tunelem.

– Nno... tak.

– Kiedy Gant i pozostali zbliżali się do groty, Gant powiedziała dziwną rzecz. Że mieli gościa. Wendy. Gant powiedziała, że kiedy wpływali w górę tunelem, płynęła z nimi Wendy.

– Ho, ho.

– Ale to dziwne... nawet jeśli jest w stanie płynąć dwa razy szybciej od nas, na dopłynięcie do groty i tak nie starczyłoby jej powietrza.

Renshaw milczał.

– Gdyby nie zawróciła po dwudziestu minutach nurkowania, byłoby to w jej przypadku samobójstwo... – Schofield popatrzył na Kirsty, potem na Renshaw. – A to oznacza, że istnieje inna droga do groty. Skrót.

– Oddział SEAL, tu Prowadzący Niebieski. Zbliżamy się do celu. Przypuszczalny cel będzie w zasięgu strzału za piętnaście minut – powiedział głos dowódcy eskadry F-22 przez radio w poduszkiowcach oddziału SEAL.

Komandosi siedzieli sztywno na krzeselkach. Na ich twarzach nie było ani śladu emocji.

Na poziomie E Schofield rzucał na pomost wyciszone akwalungi. Kirsty zakładała ogrzewany elektrycznie skafander mokry. Był na nią znacznie za duży, więc musiała podwinąć rękawy i nogawki. Rebound – cały czas ubrany w swój neoprenowy skafander – podszedł do sprzętu LABA.

– Weźcie to – powiedział porucznik i podał im niebieskie kapsułki. Zawierały preparat antyazotowy N-67D – ten sam, który dostali Gant i reszta marines przed zejściem w głębinę. Kirsty i geofizyk szybko połknęli kapsułki.

Schofield zdjął kombinezon i ponownie założył opancerzenie i pas – na skafander do nurkowania. Kiedy przeszukiwał kieszenie munduru, znalazł granat azotowy i medalik Sarah Hensleigh. Włożył obie rzeczy do kieszeni skafandra i zaczął zakładać akwalung.

Aparat oddechowy składał się z trzech butli, każda z nich była napełniona mającą wystarczyć na cztery godziny nasyconą mieszanką helowo-tlenową: 98% helu, 2% tlenu. Były to butle pomocnicze, które porucznik kazał przygotować Gant przed jej zejściem na dół.

Założył sprzęt, a Renshaw pomógł się ubrać Kirsty.

Kiedy Schofield był już gotów do zejścia pod wodę, zaczął szukać na pomoście czegoś ciężkiego – naprawdę ciężkiego – potrzebowali dużego ciężaru, który by szybko ściągnął ich na dół.

Po chwili znalazł to, czego szukał.

Gdy poziom B się palił, na dół, na poziom E, spadł kawał pomostu, który biegł wokół szybu głównego. Oderwany fragment konstrukcji miał jakieś trzy metry długości i był zrobiony z masywnej stali. Trzymał się przy nim nawet jeszcze kawałek poręczy.

Kiedy Renshaw był gotów, we dwóch z porucznikiem zaciągnęli żelastwo do skraju pomostu. Gdy ciągnęli je, wleczona po stali stal przeraźliwie zgrzytała.

Foczka Kirsty podskakiwała wokół nich przez cały czas jak proszący o spacer pies.

– Czy Wendy płynie z nami? – spytała dziewczynka.

– Mam nadzieję – odparł Schofield. – Musi nam pokazać drogę. Usłyszawszy to, Kirsty podbiegła do ściany i zdjęła z haczyka uprząż. Przyniosła ją na skraj basenu, po czym zaczęła zapinać paski wokół tułowia Wendy.

– Co to? – spytał porucznik.

– Zobacz pan, że się przyda.

– W porządku, ale trzymaj się blisko nas – powiedział Schofield. Ułożyli z Renshawem fragment pomostu tak, że wystarczyło lekkie pchnięcie, by spadł. – Świetnie! Wszyscy do wody!

Cała trójka wskoczyła do basenu i podpłynęli na plecach pod element pomostu.

Wendy z zachwytem wskoczyła za nimi.

– Uwaga: łapcie za poręcz! – polecił Schofield przez komunikator do porozumiewania się pod wodą.

Kiedy chwycili za poręcz, wyglądali jak pływacy na Igrzyskach Olimpijskich, startujący do wyścigu stylem grzbietowym.

Schofield położył rękę na dłoni Kirsty, by w czasie opadania pod wodę nie puściła poręczy, a potem odwrócił się i zawołał:

– Panie Renshaw! Ciągnij!

Obaj mężczyźni pociągnęli metalową konstrukcję i po chwili ciężkie żelastwo z głośnym pluskiem wpadło do wody.

Balast tonął błyskawicznie.

Małeńkie postacie trzymały się z całej siły poręczy. Głowy miały skierowane w dół, ich stopy falowały w górze. Wendy, energicznie machając ogonem, podążała tuż obok.

Porucznik patrzył na przymocowany do nadgarstka głębokościomierz.

Trzy metry.

Sześć metrów.

Dziewięć metrów.

Zanurzali się szybko, przemykając przez wspaniałą, biały podwodny świat.

Schofield obserwował lodową ścianę po lewej stronie. Próbował znaleźć w niej jakąś dziurę – wejście do tunelu, którym można by na skróty dostać się do tunelu prowadzącego do podwodnej groty z samolotem.

Przekroczyli trzydzieści metrów. Bez kapsulek, które połknęli, azot we krwi już by ich zabił.

Sześćdziesiąt metrów.

Dziewięćdziesiąt metrów.

Niemal lecieli w dół. Robiło się coraz ciemniej, coraz trudniej było cokolwiek dostrzec.

Sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt.

Wszystko odbywało się tak szybko...

Sto osiemdziesiąt.

Dwieście...

Nagle Schofield zobaczył otwór.

– Puszczaj się! – wrzasnął.

Renshaw i Kirsty natychmiast wykonali polecenie i zwolnili chwyt. Zawisli w wodzie, a pomost pomknął dalej w dół i zniknął w mroku.

Porucznik podpłynął do lodowej ściany.

Znajdowała się w niej duża, okrągła dziura. Wyglądała jak coś w rodzaju tunelu –

opadającego w atramentową ciemność.

Do Schofielda podpłynęła Wendy, machnęła ogonem i zanurkowała w tunel. Kilka sekund później wypłynęła z niego.

Porucznik wahał się jednak.

Renshaw musiał dostrzec zwątpienie w jego oczach, bo spytał:

– Jaki mamy wybór?

– Masz rację. – Schofield wyjął latarkę i zapalił ją, a potem machnął nogami i wpłynął do tunelu.

Był wąski i prowadził zakosami w dół. Porucznik płynął, za nim Kirsty, Renshaw na końcu. Ponieważ płynęli w dół, posuwali się stosunkowo szybko – po prostu pozwalali, by ściągały ich ciężarki przy pasach.

Było cicho niczym w grobowcu...

Nagle zza pleców Schofielda wyprysnęła Wendy i pomknęła naprzód.

Porucznik popatrzył na głębokościomierz.

Dotarli do trzystu metrów.

Byli pod wodą od dwunastu minut.

– Wielki Ptaku, tu Prowadzący Niebieski. Cel w zasięgu strzału. Powtarzam: cel w zasięgu strzału. Przygotowuję się do odpalenia pocisków AMRAAM.

– Kiedy będziesz gotów, możesz strzelać, Prowadzący Niebieski.

– Dziękuję, Wielki Ptaku. W porządku, chłopcy. Cel namierzony. Komora uzbrojenia otwarta. Wygląda na to, że cel nie zdaje sobie sprawy z naszej obecności. Bardzo dobrze. Tu Prowadzący Niebieski, Lis Jeden... ognia!

Dowódca eskadry wcisnął guzik.

Z komory rakietowej F-22 wysunął się długi, smukły pocisk rakietowy AIM-120 AMRAAM i wyprysnął w kierunku celu.

Brytyjski myśliwiec zasygnalizował obecność rakiety.

Największym problemem samolotów typu stealth jest to, że choć sam samolot jest niewidzialny dla radaru, widoczne są zawieszane pod jego skrzydłami pociski. Z tego powodu wszystkie samoloty tego typu, takie jak F-22, myśliwiec F-117A czy bombowiec B-2A, przenoszą rakiety w swoim wnętrzu.

Niestety w chwili wystrzelenia pocisku radar go dostrzega. Kiedy pocisk AMRAAM został odpalony przez amerykańską maszynę, pilot brytyjskiego E-2000 natychmiast go zobaczył.

– Generale Barnaby! Generale Barnaby! – krzyknął do mikrofonu.

Nie otrzymał odpowiedzi.

Było to dziwne, bo generał brygady Trevor Barnaby wiedział, że okienko od 22.00 do 22.25 jest czasem przeznaczonym na kontakt radiowy – ponieważ jest ostatnią

z dwóch dziur w zakłóceniach elektromagnetycznych nad stacją, pozwalających na kontakt radiowy. O 19.30, podczas poprzedniej przerwy – zgłosił się zgodnie z opracowanym schematem.

Brytyjski pilot spróbował na drugiej częstotliwości. To też nic nie dało. Spróbował wywołać zastępcę Barnaby'ego – Nero.

I to nic nie dało.

– Generale Barnaby! Tu Łapacz. Zostałem zaatakowany! Powtarzam: zostałem zaatakowany! Jeżeli nie odpowie pan w ciągu trzydziestu sekund, będę musiał założyć, że pan nie żyje, i zgodnie z rozkazem nie pozostanie mi nic innego, jak otworzyć ogień na stację.

Pilot popatrzył na światełko kontrolki własnej rakiety. Migąło. Już przedtem wpisał współrzędne Stacji Lodowej Wilkes do komputera sterującego znajdującym się na pokładzie jego samolotu pociskiem raketowym AGM-88/HLN.

Oznakowanie kodowe zawierało pełną charakterystykę pocisku.

AGM oznaczało: powietrze-ziemia, H – wysoką prędkość, a L – daleki zasięg. N oznaczało „nuklearny”.

Pół minuty minęło, ale Barnaby w dalszym ciągu się nie zgłaszał.

– Generale Barnaby! Tu Łapacz! Wystrzeliwuję likwidatora... teraz! – Pilot wcisnął guzik i ułamek sekundy później zaopatrzony w głowicę atomową pocisk raketowy oderwał się od końcówki skrzydła jego samolotu.

Dwie sekundy później – brytyjski pilot sięgał właśnie do przycisku uruchamiającego dźwignię fotela katapultującego – amerykański pocisk AMRAAM uderzył w ogon E-2000 i zdmuchnął go z nieba.

Amerykańscy piloci dostrzegli pomarańczową eksplozję na nocnym horyzoncie i plamka na ich ekranach zniknęła.

Dwóch z nich krzyknęło z radości.

Dowódca eskadry uśmiechnął się.

– Oddział SEAL, tu Prowadzący Niebieski. Łobuz wyeliminowany. Powtarzam: łobuz wyeliminowany. Możecie swobodnie wkraczać do stacji. Możecie swobodnie wkraczać do stacji.

Głos dowódcy eskadry zadudnił w głośnikach poduszki SEAL:

– Możecie swobodnie wkraczać do stacji. Możecie swobodnie wkraczać do stacji.

– Dziękuję, Prowadzący Niebieski. Wszystkie oddziały, uwaga! Na czas obejmowania stacji SEAL przeląca się na zamknięty kanał komunikacyjny. – Prowadzący wyłączył radio i odwrócił się do swoich ludzi. – W porządku, chłopaki. Rozpierzdolmy paru frajerów.

Lecący nad Oceanem Indyjskim dowódca eskadry F-22 przyglądał się przez owiewkę szczałkom po E-2000. Cienkie pomarańczowe smugi opadały ku ziemi jak

tanie fajerwerki.

Napawając się tym widokiem, nie zauważył nowej, znacznie mniejszej plamki na ekranie radaru – kierującej się na południe, ku Antarktydzie. Zobaczył ją dopiero pół minuty później.

– A to co, do jasnej cholery? – zdumiał się.

– Jezu! – odezwał się w słuchawkach głos któregoś z jego ludzi. – Ten skurwysyn, zanim został trafiony, musiał odpalić rakietę!

Dowódca eskadry spróbował ponownie połączyć się z dowódcą SEAL, ale nie udało mu się to, bo na czas ataku na Stację Lodową Wilkes brytyjscy komandosi przełączyli się na kanał wewnętrzny.

Główne drzwi prowadzące do stacji eksplodowały i do środka wpadł oddział SEAL, natychmiast otwierając ogień.

Wejście było perfekcyjne, niemal podręcznikowe. Problem polegał na tym, że w stacji nikogo nie było.

Porucznik popatrzył na głębokościomierz: 448 metrów.

Popłynął dalej. Kilka minut później wynurzył się z wąskiej, krótkiej odnogi tunelu i znalazł się w szerszym tunelu, również wydrążonym w lodzie.

Choć widział to miejsce po raz pierwszy, natychmiast się domyślił, gdzie się znajdują.

Po przeciwnej stronie tunelu w lodowej ścianie zobaczył okrągłe otwory o trzymetrowej średnicy. Właśnie o nich mówiła Sarah Hensleigh, wspomniała o nich także Gant, kiedy jej grupa zbliżała się do grotty. Były to kryjówki słońi morskich. Znajdowali się w tunelu pod grotą z samolotem.

Schofield odetchnął z ulgą.

Wpłynęli do szerokiego tunelu i podążyli szybko w górę, obserwując z napięciem otaczające ich otwory.

Choć widok dziur przyprawiał o dreszcz, porucznik był prawie pewien, że słońie morskie ich nie zaatakują. Miał na ten temat pewną teorię. Jak na razie jedyną grupą, której udało się bezpiecznie dotrzeć do grotty, była grupa Gant – a wszyscy jej członkowie płynęli w wyciszonym sprzęcie LABA. Pozostałe trzy grupy – dwie złożone z naukowców Stacji Lodowej Wilkes oraz komandosi SAS – nie miały cichego sprzętu do oddychania. Ponieważ wszystkie trzy zostały zaatakowane, Schofield podejrzewał, że słońie morskie po prostu nie słyszały zbliżania się do grotty członków grupy Gant.

W tym momencie ujrzał spód powierzchni wody i zapomniał o słońiach morskich. Spojrzał na głębokościomierz: 454 metry.

Popatrzył na zegarek. Dostanie się tu zajęło im osiemnaście minut. Przyłączyli

naprawdę szybko.

Nagle w wodzie rozległ się cichy gwizd.

Schofield stęzał. Popatrzył na Kirsty, trzymającą Wendy na smyczy. Foczka także usłyszała ten dźwięk.

Na pierwszy gwizd odpowiedział drugi i porucznik poczuł, że serce ucieka mu w pięty.

Słonie morskie już wiedziały, że przybyli...

– Naprzód! – krzyknął do Renshawa i Kirsty. – Naprzód!

Obaj mężczyźni ruszyli ku powierzchni. Kirsty klepnęła Wendy w bok i foka pociągnęła ją za sobą.

Schofield spojrział na powierzchnię wody nad nimi. Była szklista i spokojna. Jak wypolerowana soczewka.

Gwizdy wokół nasiliły się i nagle dołączyło się do nich chrapliwe szczeknięcie. Porucznik obrócił się wokół własnej osi, rozejrzał się, po czym znów skierował wzrok ku górze.

Gładka soczewka rozprysnęła się nagle.

Ze wszystkich stron do wody wpadały słonie morskie. Wyskakiwały z rykiem z podwodnych bocznych tuneli i pędziły na grupkę ludzi. Ich piski, szczeknięcia i pogwizdywania rozrywały wodę.

Wendy co sił płynęła ku powierzchni, a za nią trzymająca się kurczowo smyczy Kirsty. Przypominało to szaleńczą jazdę kolejką górską w wesołym miasteczku, bo foczka robiła uniki, kluczyła i zakręcała, by uciec przed zębami atakujących ją ze wszystkich stron słoni morskich.

Nagle dostrzegła lukę między napastnikami i powierzchnią wody. Pomknęła w tamtym kierunku.

Słonie morskie kłapały na nią paszczami, ale Wendy była dla nich zbyt szybka. Dotarła do powierzchni i wystrzeliła ponad nią jak pocisk.

Kirsty uderzyła o lód na dnie groty. Natychmiast podniosła głowę, rozejrzała się i zobaczyła, że Wendy szybko oddala się od skraju wody. Skoczyła na równe nogi, i w tym momencie grunt za nią zadygotał.

Odwróciła się. Jeden ze słoni morskich wyrzucił swoje potężne cielsko z wody i podrzucał je do góry, próbując ją dogonić.

Zaczęła biec, ale potknęła się i upadła.

Zwierzę kontynuowało pościg. Dziewczynka leżała na lodzie bez jakiegokolwiek osłony...

...i nagle rozległ się grzmot.

Morda słonia morskiego eksplodowała krwistą fontanną i wielkie zwierzę zważyło się na dno groty.

Kiedy słoń morski rozpląszczył się na lodzie, Kirsty zobaczyła, że dziesięć metrów za nim unosi się w wodzie Schofield – z wyciągniętym do przodu pistoletem. Zabił słonia strzałem w potylicę! Dziewczynka o mało nie zemdlą z wrażenia.

Renshaw przebił powierzchnię po drugiej stronie jeziora, ale kiedy był już niemal przy brzegu, poczuł gwałtowny ból w prawej kostce i – WUMMM! – szarpnęło nim w dół.

Kiedy znalazł się pod wodą, spojrzął w dół i stwierdził, że jeden ze słońi morskich trzyma go za prawą stopę. Był mniejszy od pozostałych i miał charakterystyczne, długie dolne zęby, które widzieli poprzednio u znacznie większego osobnika.

Wolną nogą kopnął słonia w pysk. Zwierzę puściło stopę i Renshaw znów popłynął ku górze.

Wyskoczył nad wodę i tuż przed sobą ujrzał brzeg. Złapał za najbliższą skałę i wyciągnął się z wody – dokładnie w chwili, gdy w wodzie tuż za nim przemknął większy słoń morski, o centymetry mijając zębami jego stopę.

Schofield jak szalenciec płynął do brzegu, jednocześnie rozglądając się wokół. Na jednym brzegu była Kirsty, na drugim Renshaw. Po chwili ujrzał samolot – ogromny, czarny samolot, stojący pośrodku rozległej groty niczym milczący, drapieżny ptak.

Nagle z wody tuż przed nim wynurzyła się otwarta szeroko paszcza przywódcy stada słońi, zasłaniając samolot.

Wielkie zwierzę z impetem wpadło na Schofielda. Porucznik poczuł, jak uderzenie potężnego cielska wypycha mu z płuc całe powietrze. Natychmiast poszedł pod wodę.

Słoń morski uderzył go w klatkę piersiową długimi dolnymi ciosami. Wystarczyłoby to do zabicia człowieka, bo potężne kły przebiłyby klatkę piersiową, jednak Schofield miał na sobie opancerzenie i zębiska słonia utkwili w kevlarowym napierśniku.

Pchając go, zwierzę zanurzało się ze swoją zdobyczą coraz głębiej. Porucznik próbował się uwolnić, ale nic to nie dawało. Był nabity na ostre, długie ciosy.

Tkwiąc jak tarcza przed nosem słonia morskiego, zanurzał się coraz głębiej. Z pyska zwierzęcia wylatywały wielkie chmury pęcherzy powietrza.

Musiał coś zrobić. Sięgnął do kieszeni, szukając czegokolwiek, co mogłoby posłużyć do obrony.

Wyciągnął brytyjski granat azotowy i przyjrzał mu się.

A niech tam... – pomyślał.

Wyciągnął zawleczkę i wetknął granat w otwartą paszczę zwierzęcia.

Potem odepchnął się od ciosów potwora i słoń pomknął dalej w dół – sam. Kiedy jednak się zorientował, że stracił zdobycz, natychmiast zaczął zawracać.

W tym momencie granat wybuchł.

Łeb słonia eksplodował, a potem implodował. Ale po chwili wydarzyło się coś

jeszcze bardziej niesamowitego.

Z łba martwego zwierzęcia wystrzeliła fala lodu.

W pierwszej chwili porucznik nie bardzo wiedział, co się dzieje, szybko jednak zrozumiał. Płynny azot z granatu rozpręzał się w wodzie, zamrażając ją.

Ściana lodu skoczyła w kierunku Schofielda, ciągle się rozszerzając – jak żywa, oddychająca, rosnąca w wodzie formacja lodowa.

Porucznik patrzył na nią z przerażeniem. Jeżeli lód go otoczy, zginie w ułamku sekundy!

Wynoś się stąd!

Nagle poczuł, że coś trąca go w ramię i odwrócił głowę.

Wendy!

Złapał za smycz i foka pomknęła naprzód.

Ściana lodu próbowała go doścignąć, rozchodziła się w wodzie z ogromną prędkością.

Wendy mocno pracowała płetwami, jednak Schofield był cięższy od Kirsty i foka nie mogła płynąć tak szybko, jak przedtem.

Lód prawie już ich doganiał.

Z boku wyskoczył kolejny słoń morski w nadziei złowienia łatwego łupu, ale lód go natychmiast otoczył i połknął, zamrażając potężne zwierzę w żarłocznych trzewiach.

Wendy wytrwale płynęła w górę, ostrymi skrętami omijając próbujące atakować ją słonie.

Kiedy dostrzegła powierzchnię, pociągnęła mocniej.

Ściana za nimi zwolniła. Azot przestał się rozpręzać. Zaczęli oddalać się od lodu.

Foka wystrzeliła z wody, wyciągając na brzeg trzymającego się smyczy Schofielda. Uderzyli o lodowe podłoże z tępym łomotem i porucznik stwierdził, że leży na brzegu – na brzuchu. Przekręcił się na plecy...

...i ujrzał, że następny słoń morski wyskakuje z wody i zaczyna pędzić w jego kierunku.

Odtoczył się na bok. Cielsko słonia huknęło o lód tuż obok. Schofield skoczył na równe nogi i szybko się rozejrzał, szukając Renshawa i Kirsty.

– Poruczniku! Tutaj! Tutaj! – doleciał do niego krzyk. Odwrócił głowę i ujrzał Sarah Hensleigh, która machała do niego przez niewielką poziomą dziurę w ścianie, znajdującą się jakieś pięćdziesiąt metrów od niego.

Geofizyk, Kirsty i Wendy pędzili w kierunku otworu. Schofield ruszył za nimi. Po chwili do dziury wturlała się Kirsty, za nią Renshaw, a na końcu wskoczyła Wendy.

Nagle uszy porucznika rozerwał zniekształcony szumem i traskami krzyk.

– ...tam? Strach na Wróble, jesteś tam? Odpowiedz! – Był to głos Romea.

- Co jest, Romeo?
- Jezus! Gdzie się podziewałeś? Próbuję złapać cię od dziesięciu minut!
- Byłem zajęty. Co jest?
- Wynoś się ze stacji! Natychmiast opuść stację!
- Nie mogę, Romeo – wysapał Schofield, nie zwalniając biegu.
- Strach na Wróble, nie rozumiesz? Właśnie dostaliśmy wiadomość z Sił

Powietrznych. Szwadron F-22 zestrzelił dwieście pięćdziesiąt mil od brzegu brytyjski myśliwiec, ale łobuz zdążył odpalić rakietę. Strach na Wróble – ta rakietka leci prosto na Stację Lodową Wilkes! Satelitarny skanowanie emitowanego promieniowania wykazało, że ma głowicę jądrową!

Schofield poczuł, jak po kręgosłupie spływa mu sople lodu. Dobiegł do poziomej dziury, padł na lód nogami do przodu i prześlizgnął się na drugą stronę.

- Ile mam jeszcze czasu? – spytał Romea po wylądowaniu w tuneliku.
- Dwieście czterdzieści siedem mil morskich przy prędkości siedemset czterdzieści kilometrów na godzinę. Daje to trzydzieści siedem minut do detonacji. Ale było to dziewięć minut temu. Próbowałem się z tobą porozumieć, jednak nie odpowiadałeś. Masz dwadzieścia osiem minut do uderzenia w stację uzbrojonej głowicy atomowej. Dwadzieścia osiem minut.

– Cholera...

– Strach na Wróble, przykro mi, ale nie mogę dłużej tu siedzieć. Muszę zabrać swoich ludzi na bezpieczną odległość. Przykro mi... teraz musisz sobie radzić sam.

Schofield popatrzył na zegarek.

Była 22.32.

Dwadzieścia osiem minut. Pocisk z głowicą nuklearną uderzy w Stację Lodową Wilkes dokładnie o 23.00.

Popatrzył wokół. Otaczali go Sarah Hensleigh, Renshaw, Kirsty i Wendy. Była też Gant. Dopiero teraz ją zauważył – siedziała na podłodze tunelu. Zobaczył wielką plamę krwi na jej boku i podszedł do niej.

- Montana...? – spytał. Kiwnęła głową.
- Gdzie teraz jest?
- Nie żyje. Foki go załatwiły. Ale zdążył zabić Santa Cruza, a mnie postrzelił.
- Możesz się poruszać?
- Nie bardzo...

Obejrzał ranę. Był to postrzał w brzuch, tuż obok żołądka. Pocisk przeszedł obok zatrzasku płyty opancerzującej. Nie była to przyjemna rana – postrzał w jelita to powolny i bolesny sposób umierania.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, wyciągniemy cię stąd – powiedział.
- Zaczął przesuwac Gant i nagle coś wypadło z kieszonki przy jego kostce.

Srebrny medalion.

Ten, który Sarah Hensleigh dała mu przed nurkowaniem do grotu.

Medalion upadł tak, że jego druga strona znalazła się na wierzchu i Schofield mógł przeczytać wygrawerowany na niej napis:

Naszej Córce Sarah Therese Parkes Z okazji 25 urodzin. Wyciągnął z kieszeni wydruk e-maila od Andrew Trenta i natychmiast znalazł nazwisko z wygrawerowanej na medalionie dedykacji.

PARKES, SARAH T. UN. PD. KAL. PALEONT.

Popatrzył na Sarah Hensleigh.

– Jakie jest pani panięskie nazwisko, Sarah? – zapytał. KLIK-TRZASK.

Usłyszał repetowanie broni, zanim Hensleigh wyciągnęła pistolet zza pleców.

Sarah Hensleigh trzymała pistolet w wyprostowanej ręce i celowała w głowę Schofielda. Wolną ręką wyciągnęła zza pleców słuchawki i mikrofon, wyjęte z hełmu Santa Cruza, po czym poprawiła regulację w nadajniku przy pasie.

– Oddział SEAL, tu Hensleigh, zgłoś się – rzuciła do mikrofonu. Zmarszczyła czoło, bo nie usłyszała odpowiedzi. – Oddział SEAL, tu Hensleigh – powtórzyła. – Zgłoś się.

– Sarah, na górze nikogo nie ma – powiedział Schofield, obejmując Gant. – Wszyscy uciekli. Leci na nas pocisk raketowy z uzbrojoną głowicą atomową. SEAL się ewakuowali. My też musimy uciekać.

Nagle w słuchawkach Hensleigh odezwał się czyjś głos – porucznik także go usłyszał.

– Hensleigh, tu komandor SEAL, Riggs. Raportuj. Schofield popatrzył na zegarek. 22.35.

Zostało im dwadzieścia pięć minut.

Nie wiedział, że znajdujący się w stacji oddział SEAL przeszedł na porozumiewanie się na zamkniętym kanale, nie mógł więc też wiedzieć, iż nie mieli pojęcia o tym, że na Wilkes leci pocisk raketowy z głowicą atomową.

– Do dowódcy SEAL – powiedziała Hensleigh. – Mam dowódcę marines ze sobą, na dole w jaskini. Aresztowałam – Zaraz u ciebie będziemy, Hensleigh. Możesz go zastrzelić w razie potrzeby. Oddział SEAL koniec.

– Sarah, co ty wyprawiasz? – spytał Renshaw.

– Zamknij się! – warknęła Hensleigh, obracając rękę z pistoletem tak, że zimna stal dotknęła nosa geofizyka. – Przejdźcie tam! – rozkazała i machnęła na Kirsty i Renshaw, by przesunęli się w stronę Schofielda. Porucznik zauważył, że trzyma broń pewną ręką, najwyraźniej często się nią posługiwała.

– Skąd jesteś, Sarah? – spytał. – Z piechoty czy z marynarki? Popatrzyła na niego.

– Z piechoty.

– Z której sekcji?

– Przez jakiś czas byłam w CDC* w Atlancie, później pracowałam dla Wydziału Broni Chemicznej. A potem – nie uwierzysz, poruczniku – poczułam potrzebę zajęcia się pracą dydaktyczną.

* [CDC (Centers for Disease Control and Prevention) – zespół prowadzonych przez amerykańską państwową Służbę Zdrowia ośrodków, instytutów i biur, zajmujących się badaniem chorób i ich zapobieganiem. Jego główna siedziba mieści się w Atlancie.]

– Wstąpiłaś do ICG przed czy po rozpoczęciu nauczania na uniwersytecie?

– Przed. Na długo przedtem. To właśnie IGC posłało mnie na uniwersytet.

Poprosili mnie, żebym odeszła z wojska, dali dożywotnią rentę i posłali na uniwersytet.

– Dlaczego?

– Chcieli wiedzieć, co tam się dzieje. Szczególnie interesowało ich badanie rdzeni lodowych – chcieli poznać wyniki badań gazów, wydobywanych z lodu przez takich ludzi jak Brian Hensleigh. Gazów pochodzących z atmosfery toksycznych środowisk, które zniknęły przed milionami lat. Tlenku węgla, molekuł chloru. ICG interesowało się tym, bo mogło znaleźć zastosowanie dla tego typu wiedzy. Musiałam więc zająć się tą dziedziną i poznać Briana Hensleigha.

– Wyszłaś za niego za mąż tylko po to, by wydobyć z niego informacje? – spytał z niedowierzaniem Renshaw.

Siedząca w kącie Kirsty przysłuchiwała się tej rozmowie z ogromnym zainteresowaniem.

– Dostałam, czego chciałam – odparła Sarah Hensleigh. – Tak samo Brian.

– Zabiłaś go? – zapytał geofizyk. – Chodzi mi o ten wypadek.

– Nie. ICG nie miało z tym nic wspólnego. To był naprawdę wypadek. Los, przeznaczenie. Stało się.

– Zabiłaś Berniego Olsona? – spytał Schofield. Sarah Hensleigh przez chwilę milczała.

– Tak. Zabiłam go – odpowiedziała w końcu.

– Ty pieprzona dziwko... – jęknął naukowiec.

– Bernie Olson był kłamcą i złodziejem. Zamierzał opublikować wyniki twoich badań przed tobą, Renshaw. Mało mnie to interesowało, ale kiedy natknął się pięćset metrów pod lodem na metal, o tym także zamierzał napisać. Nie mogłam na to pozwolić. ICG musiało się dowiedzieć o wszystkim pierwsze.

– ICG musiało się dowiedzieć o wszystkim pierwsze... – powtórzył gorzko Schofield.

– Naszym zadaniem jest wiedzieć o wszystkim i przed wszystkimi.

– Więc go zabiłaś – mruknął porucznik. – Jadem węża morskiego. I zaaranżowałaś wszystko tak, by podejrzenie padło na Renshawa.

Sarah Hensleigh popatrzyła na geofizyka.

– Przykro mi, James, ale byłeś łatwym celem... Ciągłe spierałeś się z Berniem. Kiedy pokłóciliście się tego wieczoru, nie mogłam stracić takiej dobrej okazji.

Schofield popatrzył na zegarek.

– Sarah, posłuchaj... wiem, że mi nie wierzysz, ale musimy stąd uciekać. Pocisk z głowicą jądrową...

– Nie ma żadnego pocisku – odparła Hensleigh. – Gdyby był, nie byłoby tu SEAL.

Porucznik znów popatrzył na zegarek.

22.36.

Cholera. To było okropnie frustrujące... Tkwili w tej grocie na łasce i niełasce Sarah Hensleigh, a ona zamierzała czekać, aż bomba w nich trzaśnie i wszystkich pozabija.

Cyferki na zegarku Schofielda mignęły i pokazały 22.37.

Porucznik nie miał pojęcia o osiemnastu ładunkach tritonu 80/20, które Barnaby kazał porozmieszczać wokół Stacji Lodowej Wilkes, by zmienić ją w górę lodową.

Nie wiedział także, że generał dokładnie dwie godziny temu – o 20.37, kiedy był sam w dzwonie nurkowym – ustawił detonator na dwie godziny.

O 22.37 osiemnaście ładunków tritonu eksplodowało z niewyobrażalną siłą.

W powietrze wystrzeliły stumetrowe gejzery śniegu. W lodowcu szelfowym utworzyła się półkolistą przepaść i po lodowym płaskowyzu rozniósł się ogłuszający huk. Po chwili fragment lodowca, w którym mieściła się Stacja Lodowa Wilkes – i wszystko, co było pod nim – trzy kilometry sześciennego lodu – oderwało się od macierzystego lodowca i zaczęło spadać do morza.

Tunel przechylił się gwałtownie i na wszystkich posypały się kawały lodu. Huk osiemnastu ładunków tritonu odbijał się od lodowych ścian echem gigantycznego grzmotu.

Schofield początkowo myślał, że właśnie wybuchł angielski pocisk z głowicą jądrową. Uznał, że Romeo pomylił się w obliczeniach i bomba dotarła na miejsce pół godziny wcześniej. Zaraz jednak pojął, że musi to być coś innego. Gdyby wybuchła bomba atomowa, już by nie żyli.

Kiedy tunel się przechylił, Sarah Hensleigh straciła równowagę. Renshaw natychmiast to wykorzystał i rzucił się na nią. Oboje huknęli o lodową ścianę, ale Hensleigh bez trudu odepchnęła małego naukowca.

Schofield przez cały czas trzymał Gant w ramionach. Gdy zobaczył, co się dzieje, położył ją na lodzie i wyprostował się, jednak Sarah Hensleigh odwróciła się błyskawicznie i wycelowała prosto w jego czoło.

– Przykro mi, poruczniku. Trochę cię nawet polubiłam.

Mimo potwornego hałasu wokół odgłos wystrzału był ogłuszający.

Z klatki piersiowej Sarah Hensleigh trysnęła fontanna krwi, oczy wyszły jej na wierzch, kolana ugięły się pod nią i padła martwa na lód.

Kiedy Gant wsuwała desert eagle'a z powrotem do kabury porucznika, z lufy jeszcze leciał dym. Schofield nie miał możliwości wyciągnąć pistoletu, ale leżąc przy jego nogach Gant tak.

Kirsty obserwowała tę scenę z otwartymi ustami. Porucznik podszedł do niej szybko.

– Jezu... nic ci nie jest? – spytał zaniepokojony. – Twoja matka...

– Nie była moją matką – powiedziała cicho dziewczynka.

– Moglibyśmy porozmawiać o tym później? – zapytał Schofield. – Za dwadzieścia dwie minuty to miejsce wyparuje.

Kirsty kiwnęła głową.

– Panie Renshaw... – Porucznik rozejrzał się wokół. – Co się dzieje?

– Nie mam pojęcia.

W tym momencie cały tunel gwałtownie zadrżał i opadł o jakieś dwadzieścia pięć centymetrów.

– Wygląda na to, że od lodowca oderwał się kawał lodu – powiedział geofizyk. – Zmienił się w górę lodową.

– W górę lodową... – Schofield był oszołomiony. Nagle poderwał głowę i popatrzył na Renshawa. – Słonie morskie są jeszcze w grocie? – zapytał.

Mały naukowiec wyrzał przez dziurę.

– Nie. Uciekły.

– Tak podejrzewałem – mruknął porucznik. – Zabiłem ich przywódcę, więc pewnie go szukają.

Podszedł do Gant, wziął ją na ręce i zaniósł do dziury w ścianie.

– Jak się stąd wydostaniemy? – spytał Renshaw. Schofield wsunął Gant w dziurę i przepchnął ją na drugą stronę, a potem odwrócił się do geofizyka. Jego oczy błyszczały.

– Wyfruniemy.

Wielki czarny samolot stał dumnie na środku groty – ostry nos był zgięty ku dołowi i tak samo w dół opadały jego smukłe skrzydła. Ogromne kawały lodu odrywały się od wysokiego sklepienia i rozbijały o kadłub.

Pobiegli po drżącym lodzie i schowali się pod brzuchem samolotu.

Gant, którą Schofield ciągle trzymał na rękach, pokazała mu „kalkulator” z klawiaturą.

Ekranik nadal jarzył się zielono.

WPISZ KOD AUTORYZACJI

– Ktoś wie, co to za kod? – spytał Schofield.

– Hensleigh pracowała nad nim, ale wątpię, czy coś wymyśliła.

– Więc nadal nic nie wiemy.

– Nic – przyznała Gant.

– Wspaniale.

Do ekraniku podeszła Kirsty.

– O... to przecież ciąg Fibonacciego.

– Że co? – powiedzieli równocześnie Gant i Schofield. Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Dwa-cztery-jeden-pięć-siedem-osiem-jeden-siedem. Ciąg Fibonacciego.

– Co to jest?

– Pewnego rodzaju sekwencja cyfr. Każda kolejna liczba jest sumą dwóch poprzednich. – Popatrzyła po zaskoczonych twarzach wokół. – Tata mi to kiedyś pokazał. Czy ktoś ma kartkę i coś do pisania?

Gant miała pamiętnik, który znalazła, Renshaw pióro. Z początku kapnęło z niego tylko kilka kropel czerwonej wody, po chwili jednak zaczęło działać. Kirsty zaczęła pisać.

– Ten ciąg idzie tak: zero, jeden, jeden, dwa, trzy, pięć, osiem, trzynaście i tak dalej. Dodaje się dwie pierwsze liczby i uzyskuje się trzecią, potem drugą i trzecią i ma się czwartą. Jeżeli dacie mi chwilę... – Znowu zaczęła gorączkowo pisać.

Schofield popatrzył na zegarek.

22.40.

Jeszcze dwadzieścia minut.

– Poruczniku, którą zamierzasz stąd wylecieć? – spytał Renshaw.

– Tędy – odparł porucznik i wskazał na jezioro po drugiej stronie grotu.

– Słucham...? – zdumiał się geofizyk, ale Schofield nie odpowiedział. Był zbyt zaabsorbowany tym, co robiła Kirsty.

Po dwóch minutach miała pięć szeregów liczb. Ciekawe, ile to jeszcze potrwa, pomyślał z niepokojem. Popatrzył na cyferki.

0,1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55, 89, 144, 233, 377, 610, 987, 1597, 2584, 4181, 6765, 10 946, 17 711, 28 657, 46 368, 75 025, 121 393, 196 418, 317 811, 514 229, 832 040, 1 346 269, 2 178 309, 3 524 578, 5 702 887, 9 227 465, 14 930 352, 24 157 817

– Proszę bardzo – powiedziała Kirsty. – Oto wasza liczba.

– Jasna cholera... – mruknął Schofield. – No dobrze... A jakie są następne dwie?

Dziewczynka napisała jeszcze kilkanaście cyfr. 39 088 169,63 245 986

– To właśnie one – oświadczyła, pokazując porucznikowi kartkę.
Schofield popatrzył na wynik jej obliczeń. Szesnaście cyfr. Szesnaście pustych miejsc. Zaczął wciskać klawisze. Ekranik zapiszczał.

24157817 3908816963245986

KOD AUTORYZACJI PRZYJĘTY. OTWIERANIE SYLWETKI

Z czarnego samolotu doleciało ciche buczenie, opuściła się kłapa pod spodem i rozłożyły się schodki.

Schofield pocałował Kirsty w czoło.

– Nigdy nie sądziłem, że matematyka uratuje mi kiedyś życie. Chodź.

Zacząli wchodzić do czarnego samolotu.

Znaleźli się w czymś w rodzaju przedziału bombowego. Na dwóch trójkątnych stelażach zamocowano po trzy pociski rakietowe.

Schofield przeniósł Gant pod ścianę i ułożył ją na podłodze. Kiedy Kirsty i Renshaw weszli do samolotu, za nimi nieporadnie wgramoliła się Wendy. Gdy w końcu znalazła się bezpiecznie w środku, mały naukowiec wciągnął schodki.

Porucznik pochylił się nad Gant.

– Mów, czego się dowiedziałeś na temat tego samolotu. Gant z wyraźnym trudem uniosła się nieco i powiedziała:

– To „Sylwetka”... tak go nazwali. Zamontowali na nim jakieś urządzenie, które sprawia, że może być niewidoczny dla radaru, ale nie domyśliliśmy się, jak to urządzenie działa. Ma jakiś związek z plutonem...

Schofield wyprostował się i poszedł zajrzeć do kokpitu.

– Rany! – zawołał zdumiony.

Kokpit wyglądał bardzo futurystycznie, zwłaszcza jak na samolot skonstruowany w 1979 roku. Z przodu były dwa fotele – jeden na samym dziobie, po prawej stronie, drugi – dla strzelca, siedzącego przed ekranem radaru – nieco z tyłu, z lewej strony. Spadzistość kokpitu – spowodowana tym, że dziób opadał ostro w dół – sprawiała, że pilot siedział znacznie niżej niż strzelec za jego plecami.

Gdy porucznik siadał na fotelu pilota, za owiewką rozprysnął się wielki kawał lodu.

Schofield przez dłuższą chwilę przyglądał się konsolom przed sobą: cztery monitory komputerowe, standardowy drążek, sterowniki, kontrolki i zegary. Wyglądało to jak dziwaczne puzzle. Porucznik poczuł, że ogarnia go zwątpienie. Nigdy nie uda mu się zrozumieć, jak się tym lata. A już na pewno nie w osiemnaście minut.

Kiedy jednak przyjrzał się dokładniej konsolom, stwierdził, że wcale aż tak bardzo nie różni się od konsoli harriera, jakim latał w Bośni. W końcu samolot został skonstruowany przez człowieka, więc dlaczego miałby być całkiem inny?

Znalazł włącznik zapłonu i nacisnął go.
Nic się nie wydarzyło.
Ssanie, pomyślał. Musisz włączyć ssanie.
Zaczął szukać czerwonego przycisku. W końcu go znalazł i parę razy popompował. Potem ponownie włączył zapłon.
Nic się nie...
WARRRUMMM!
Obie turbiny bliźniaczych silników „Sylwetki” ożyły z rykiem i Schofield poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Odgłos budzących się silników samolotu był najpiękniejszym dźwiękiem, jaki słyszał w życiu.
Zwiększył obroty. Musiał szybko rozgrzać silniki.
Czas...
22.45.
Jeszcze piętnaście minut.
Zazwyczaj rozgrzewanie silników odrzutowych trwa ponad dwadzieścia minut, ale teraz Schofield dał sobie tylko dziesięć.
Jezu, to się odbędzie na styk...
Wokół samolotu zaczęły się zapadać całe fragmenty ścian grotu. Po pięciu minutach rozgrzewania silników porucznik popatrzył na włącznik pionowego wzlotu.
– Gant! Gdzie jest sterowanie wektorem dysz? – zapytał.
W nowoczesnych myśliwcach, które mogą pionowo startować i lądować, takich jak na przykład harrier, pionowe wznoszenie jest możliwe dzięki ustawieniu w pionie dysz, odprowadzających strumień spalin z silnika – są to „dysze o zmiennym wektorze”.
– Nie ma nic takiego! – odpowiedziała Gant z komory rakietowej. – Ale powinien mieć ustawione w pionie małe silniczki odrzutowe. Poszukaj klawisza, który je uruchamia!
Szukając go, Schofield natknął się na klawisz z napisem ZASŁONA. Co to znowu takie...
Nagle znalazł klawisz, którego szukał: SILN.PION.WZL.
Wcisnął go.
„Sylwetka” natychmiast zareagowała i jej przód oderwał się od podłoża, ale po paru sekundach zadrgała i zatrzymała się, a z tyłu doleciał głośny chrzęst.
– Ki diabeł? – zdziwił się Schofield.
Wyjrzał do tyłu i stwierdził, że podwójny ogon samolotu nadal tkwi w lodzie.
Znalazł klawisz z napisem DOPALACZ i wcisnął go.
Z podwójnych dysz na ogonie natychmiast wystrzeliły strumienie rozżarzonego powietrza i zaczęły roztapiać okowy „Sylwetki”.

Lód topił się bardzo szybko i wkrótce ogony samolotu zostały uwolnione.

Porucznik popatrzył na zegarek.

22.53.

Cała grotą ponownie zapadła się kawałek w dół.

Jeszcze nie puszczaj... potrzebuję jeszcze dwóch minut. Tylko dwóch minut...

Dalej rozgrzewał maszynę. Znowu popatrzył na zegarek. Cyferki przeskoczyły na 22.54, a potem na 22.55.

Czas minął. Pora uciekać.

Ponownie wcisnął klawisz oznakowany SILN.PION.WZL. i osiem silniczków odrzutowych na spodzie wielkiego czarnego samolotu odpaliło w jednej chwili, wystrzelivując długie, białe strumienie gazu.

Tym razem „Sylwetka” uniosła się w powietrze i zawisała pod sklepieniem wielkiej lodowej groty. Ściany wokół trzęsły się i pękały. Z góry leciały kawały lodu, waląc o kadłub samolotu.

Wokół panował totalny chaos.

22.56.

Schofield wyrztał przez przyciemnioną szybę „Sylwetki”. Grotą zaczynała się przechylać. Wyglądało to tak, jakby cała góra obsuwała się w dół, w kierunku oceanu...

Odpada od lodowca, pomyślał Schofield.

– Co robisz? – zawołał z komory raketowej geofizyk.

– Czekam, aż wszystko przewróci się do góry nogami! W tym momencie Gant jęknęła głośno.

– Renshaw! Pomóż jej! Opatrz ją! – krzyknął porucznik. – Kirsty! Chodź tutaj! Jesteś mi potrzebna!

Dziewczynka wspięła się na górę i usiadła w drugim fotelu.

– Co mam robić?

– Widzisz ten drążek? Ten z cynglem?

Kirsty popatrzyła na znajdujący się przed nią krótki drążek.

– Aha.

– Pociągnij za ten cyngiel. Kirsty pociągnęła.

Jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki z obu skrzydeł wystrzeliły kule jaskrawobiałego światła.

Oba pociski smugowe załomotały w lód przed „Sylwetką” i wybuchły. W górę wzbily się bliźniacze chmury bieli. Kiedy pył się rozproszył, Schofield zobaczył ziejącą w ścianie groty dużą dziurę.

– Niezły strzał – pochwalił małą.

Pociągnął za swój drążek i „Sylwetka” uniosła się wyżej, pod samo sklepienie

zapadającej się groty.

– Uwaga, zaraz zaczynamy – powiedział, a potem odwrócił się do siedzącej obok niego dziewczynki. – Kirsty, kiedy powiem, żebyś nacisnęła spust, naciśnij go i nie puszczaj.

– Dobrze.

Schofield wyrzwał na zewnątrz, popatrzył na pękające sklepienie i na jeziorko, przez które dostali się do groty. Woda z jeziorka rozchłapywała się na boki.

Grota zaczęła nagle spadać – prosto w dół – i znów gwałtownie się pochyliła. Lód, w którym zbudowano Stację Lodową Wilkes, oderwał się od lodowca szelfowego.

Kolejny kawałek kontynentu zamienił się w górę lodową.

Czekaj, powtarzał sobie w myśli porucznik. Czekaj...

Nagle grota ponownie się pochyliła.

Tym razem przechył był znacznie silniejszy. Grota zaczęła obracać się wokół „Sylwetki”.

Góra lodowa przekręcała się!

Po chwili grota została obrócona do góry nogami.

Z wielkiej dziury w „suficie” – dziury, która jeszcze przed chwilą była jeziorkiem – chlusnęła potężna masa wody.

Tunel nie prowadził już w głąb oceanu. Prowadził ku górze. Na powierzchnię.

Schofield tak manewrował samolotem, by uniknąć kaskady wody, buchającej z lodowego korytarza. Po dwudziestu sekundach woda przestała lecieć i porucznik pociągnął za dźwignię. „Sylwetka” natychmiast zareagowała i ustawiła się pionowo, celując swoim spiczastym nosem prosto w wielką dziurę w górze.

– Kirsty, teraz! – krzyknął Schofield.

Dziewczynka wbiła palce w spust.

Ze skrzydeł „Sylwetki” natychmiast wytrysnęły serie pocisków smugowych. Fala ółowiu zniknęła w dziurze w lodzie, rozbijając po drodze wszystkie występy, które narosły na ścianach tunelu.

Porucznik pchnął dźwignię przepustnicy i „Sylwetka” pomknęła w tunel. Ledwie w nim zniknęła, ogromna grota zawałiła się.

Zamontowane na skrzydłach pojazdu karabiny maszynowe pluły ogniem, likwidując każdą nierówność, która mogłaby uszkodzić lecący w górę lodowego tunelu czarny samolot.

Schofield z wyczuciem prowadził smukłą maszynę przez tunel, przelatując przez chmury bieli i przekręcał się w przewężeniach, modląc się, by pociski smugowe nie pozostawiły przed nimi żadnej przeszkody.

„Sylwetka” skakała na boki, niemal ocierając się o ściany tunelu. Wokół samolotu dudniły eksplozje. Grzechot zamontowanych na skrzydłach karabinów maszynowych

był ogłuszający.

Nagle zaczął się zawalać tunel za samolotem.

BUM! BUM! BUM!

Tuż za „Sylwetką” ze ścian odrywały się potężne bloki lodu. Samolot pędził w górę, odłupując ze ścian przed sobą kawały zmarzliny i równocześnie uciekając przed zapadającymi się za nim ścianami.

Z kabiny wyglądało to tak, jakby grali w jakąś grę komputerową, której głównym elementem jest szaleńcza jazda. Ściany tunelu śmigają do tyłu z niesamowitą prędkością, a od czasu do czasu – gdy samolot gwałtownie skręcał lub wykonywał przewrót, by ominąć bryłę lodu – wszystko obracało się do góry nogami.

Schofield obserwował bombardowane pociskami ściany tunelu w przodzie – poszerzane przez nie i wygładzane. Nagle – WOMMM! – ściany tunelu zniknęły w ułamku sekundy i rozpostarł się nad nimi jasny błękit.

„Sylwetka” wyprysnęła z góry lodowej i pomknęła w niebo.

Samolot wznosił się niemal pionowo w górę, a kiedy Schofield odwrócił się do tyłu, stwierdził, że fragment lodowca, w którym zbudowano Stację Lodową Wilkes, nie jest już częścią kontynentu. Zamienił się w górę lodową.

Nowa góra lodowa wyróciła się do góry nogami i teraz widać było niedawny spód – błyszczące wilgocią cienkie lodowe stalaktyty, wznoszące się jak iglice nad nowo powstałą górą. Widać było także poszarpane brzegi czarnej dziury, z której „Sylwetka” wyleciała spod lodu.

Nagle uwagę Schofielda ściągnął jakiś ruch – nad oceanem mknął biały, podłużny kształt, kierując się na górę lodową.

Pocisk raketowy.

Trzymając stery pędzącej z rykiem w niebo „Sylwetki”, Schofield obserwował w milczeniu, jak pocisk z głowicą atomową wbija się w lód i znika pod powierzchnią.

Po trzech sekundach głowica pocisku eksplodowała.

Rozpoczął się Armagedon.

Jaskrawobiały błysk atomowego wybuchu – dokładnie pod mknącą pionowo w górę „Sylwetką” – był oślepiający.

Kiedy boki góry lodowej, w której znajdowała się Stacja Lodowa Wilkes oraz grotta, popękały od fali uderzeniowej, masywne lodowe klify zostały w ułamku sekundy zmielone na proch.

Fala uderzeniowa pomknęła także pod wodę, tworząc gigantyczne, rozchodzące się od ładu fale, które potrzęsły znajdującymi się w pewnej odległości od klifu górami lodowymi, jakby to były dziecinne zabawki. Nie była to zbyt silna eksplozja jądrowa – trzy kilotony, o sile rażenia ograniczonej do promienia pół kilometra. Ale nie istnieje coś takiego jak „słaby” wybuch atomowy.

Jeszcze nie było jednak po wszystkim.

Po chwili zaczął się tworzyć wielki czarny grzyb, który z niesamowitą prędkością wystrzelił w górę i zaczął gonić samolot.

Schofield leciał pionowo, próbując uciec przed czarną chmurą. „Sylwetka” gnała z rykiem w niebo, silniki wyły. Chmura już miała ogarnąć samolot, ale w ostatniej chwili „Sylwetce” udało się wymknąć.

Porucznik ostro położył maszynę na skrzydło i skierował ją ku morzu.

„Sylwetka” pędziła na północ. Było ciemno – wokół panował półmrok.

Gargantuiczny atomowy grzyb przed chwilą zniknął za horyzontem, na południe od samolotu.

Schofield znalazł autopilota, włączył go i poszedł do komory rakietowej, by sprawdzić, co się dzieje z Gant.

– Co z nią? – spytał Renshawa. Gant leżała na podłodze. Była bardzo blada, miała zimną, lepką skórę i zamknięte oczy.

– Straciła dużo krwi – powiedział geofizyk. – Musimy ją szybko dowieźć do szpitala.

Gant otworzyła oczy.

– Wygraliśmy? – spytała.

Schofield i Renshaw popatrzyli na nią. Porucznik uśmiechnął się.

– Tak, Libby, wygraliśmy. Jak się czujesz?

– Okropnie. – Jej głowa opadła na dół i Gant zamknęła oczy. Schofield westchnął. Dokąd mogli ją zawieźć? Najlepszym wyjściem byłby okręt, ale jaki?

„Wasp”. Romeo mówił, że gdzieś niedaleko jest USS „Wasp”. Był to okręt Jacka Walsh. Okręt marine. Tam będzie bezpiecznie.

Schofield właśnie zamierzał wracać do kokpitu, kiedy dostrzegł wystający z kieszeni Gant notes.

Wziął go i pospieszył na swoje miejsce.

Kiedy usiadł, włączył radio.

– USS „Wasp”. USS „Wasp”. Tu Strach na Wróble. Powtarzam: tu Strach na Wróble. Słyszysz mnie?

Nie było odpowiedzi.

Po chwili spróbował ponownie. Znów nic. Popatrzył na notes, który trzymał w ręku. W środku były luźne, złożone we czworo kartki. Gant musiała znaleźć jakieś dokumenty i włożyć je do swojego notesu.

Rozłożył jedną z kartek. Tekst brzmiał następująco:

PARAMETRY PROJEKTOWE B-7A SYLWETKA

Podajemy najważniejsze cechy samolotu atakującego z całkowitą elektroniczną i konwencjonalną niewidzialnością, możliwością KSPL poprzez system pionowych

silników odrzutowych oraz odpalenie PGW średnich pocisków (200 mm) powietrze-powietrze i powietrze-ziemia – zgodnie z ofertą złożoną przez General Aeronautics i Entertech Ltd. w odpowiedzi na zaproszenie do składania ofert nr 456-771-7A z dnia 2 stycznia 1997 roku.

Schofield przetłumaczył sobie ten żargon. „KSPL” oznaczało „krótki start i pionowe lądowanie”, „PGW” – „poza granicą widoczności”, a więc wystrzelwane z samolotu pociski miały bardzo duży zasięg. „Elektroniczna niewidzialność” oznaczała, że samolot nie mógł być wyśledzony przez radar, ale co to takiego ta „konwencjonalna niewidzialność”?

Spojrzał na następną kartkę. Wyglądała jak wyjęta z oferty Entertech Ltd.

NOWA TECHNOLOGIA FIRMY ENTERTECH

W samolocie B-7A „Sylwetka” wykorzystane zostały doświadczenia firmy Entertech Ltd W zakresie elektronicznych metod przeciwdziałających. Niewidzialność dla radaru – czyli „stealth” – można osiągnąć na wiele sposobów: pokrywając samolot farbą pochłaniającą promieniowanie radarowe, minimalizując wykrywane przez radar przekroje albo konstruując kadłub o bardzo ostrych kątach – jak w przypadku myśliwca F-117A. Jednak konwencjonalna niewidzialność jest znacznie trudniejsza do osiągnięcia i jak na razie nie udało jej się uzyskać. Do dziś.

Firma Entertech Ltd stworzyła system wytwarzający wokół samolotu pole elektromagnetyczne, powodujące niewidzialność konwencjonalną. Pole elektromagnetyczne zakłóca molekularną strukturę otaczającego samolot powietrza, powodując sztuczną refrakcję światła, wynikiem czego jest nie tylko całkowita niewidzialność samolotu dla radaru, ale także...

Schofield popatrzył kawałek dalej i znalazł określenie, którego szukał.

Określamy to mianem zasłony...

Jezus Maria...

ZASŁONA.

System powodujący, że samolot stawał się niewidzialny nie tylko dla radaru, ale także dla ludzkiego oka. Każdy pilot wie, że nawet jeśli jest niewidoczny dla radaru przeciwnika, nie ucieknie przed wzrokiem człowieka. „Niewidzialny” bombowiec typu stealth za miliard dolarów można wyśledzić z odległości sześćdziesięciu kilometrów, patrząc przez okno samolotu obserwacyjnego AWACS.

Schofieldowi kręciło się w głowie. Urządzenie zakłócające strukturę powietrza wokół samolotu, tworzące sztuczną refrakcję i czyniące maszynę niewidzialną dla ludzkiego oka było rewolucyjną konstrukcją. Co dziwniejsze – prawdopodobnie działało.

Nie trzeba mu było wyjaśniać, czym jest refrakcja. Łatwo wyjaśnić to zjawisko na przykładzie akwarium. Powietrze jest rzadsze od wody, więc większa gęstość wody

powoduje, że po wejściu do niej promienia światła dochodzi do refrakcji, czyli załamania się światła pod innym kątem. Zniekształca to wielkość znajdujących się w środku ryb i ukazuje ich obraz w innym miejscu.

Tu jednak chodziło o refrakcję powietrza. O sztuczną zmianę gęstości powietrza za pomocą pola elektromagnetycznego.

Musiał się za tym kryć jakiś kruczek.

No właśnie...

Pluton.

Rewolucyjny system – zmieniający współczynnik załamania światła przez powietrze – wykorzystywał energię jądrową!

Schofield poszukał odpowiedniego ustępu. Jak należało się spodziewać po ofercie, której celem było zdobycie zamówienia rządowego, tekst był bardzo starannie sformułowany:

Jednak aby system zasłonowy „Sylwetki” działał, potrzebna jest duża ilość energii. Z badań przeprowadzonych przez Entertech Ltd. oraz General Aeronautics Inc. wynika, że rozerwanie molekularnej struktury otaczającego samolot powietrza atmosferycznego wymaga 2,71 gigawata energii elektromagnetycznej. Jedynym znanym źródłem takiej ilości energii jest kontrolowana reakcja łańcuchowa...

Porucznik cicho gwizdnął. General Aeronautics i Entertech zaoferowali Siłom Powietrznym USA samolot z reaktorem atomowym na pokładzie. Nic dziwnego, że konstruowano go na Antarktydzie.

Odłożył dokumentację i ponownie włączył radio.

– USS „Wasp”. USS „Wasp”. Tu Strach na Wróble. Powtarzam: tu Strach na Wróble. Odpo...

– Niezidentyfikowany samolot, używający kodu Strach na Wróble, tu myśliwiec Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, Prowadzący Niebieski. Zidentyfikuj się – powiedział nagle głos w głośniku radia porucznika.

Schofield popatrzył na ekran radaru. Byli jakieś 200 mil morskich od brzegów Antarktydy, bezpieczni nad oceanem. Na ekranie nic nie było widać.

A niech to cholera. Ktokolwiek to jest, leci samolotem stealth.

– Prowadzący Niebieski, tu porucznik Shane Schofield z Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych – odpowiedział. – Lecę nieoznakowanym prototypem myśliwca bombardującego Sił Powietrznych USA. Nie zamierzam was atakować.

Wyjrzał przez lewe okienko.

Na horyzoncie zobaczył sześć plamek.

– Niezidentyfikowany samolot, polecisz pod naszą eskortą do lotniskowca Marynarki Wojennej „Enterprise”, gdzie zostaniesz przesłuchany.

– Prowadzący Niebieski, nie życzę sobie eskorty...
– W takim razie otworzymy ogień. Schofield przygryzł wargę.
– Prowadzący Niebieski, zidentyfikuj się – rzucił do mikrofonu.
– Co?
– Prowadzący Niebieski, jak się nazywasz?
– Jestem kapitan John F. Yates, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych. Żądam, abyś poddał się oddziałowi eskortującemu!

YATES...

Schofield wyciągnął z kieszeni listę nazwisk. Kapitan również był na niej.

YATES, JOHN F. SIŁY POW. USA. KPT.

– Co to ma być? Zjazd ICG? – mruknął pod nosem.

W tym momencie sześć F-22 otoczyło „Sylwetkę”. Dwa z przodu, po jednym z boku, dwa z tyłu. Trzymały się w odległości jakichś stu metrów. Choć Schofield widział je gołym okiem, jego radar nic nie rejestrował.

Nagle z głośników doleciało przenikliwe buczenie.

Oznaczało to, że jeden z F-22 miał go na celowniku.

– Co pan zamierza, kapitanie Yates? – spytał Schofield.

– Muszę dostarczyć cię do lotniskowca „Enterprise” w celu przesłuchania.

– Nieprawda, zamierza mnie pan zestrzelić!

– Do widzenia, Strachu na Wróble... Cholera...

Zamierzali ich zestrzelić. Schofield zaczął się gorączkowo rozglądać.

ZASŁONA.

Co mi tam, i tak nie mamy nic do stracenia, pomyślał i wcisnął klawisz.

W tym samym momencie dwieście metrów za nim prowadzący F-22 wystrzelił pocisk rakietowy.

W to, co się stało potem, trudno było uwierzyć.

Kapitan John Yates – Prowadzący Niebieski – wyrzwał przez owiewkę swojego F-22. Tuż przed sobą, w matowo-pomarańczowym półmroku nad oceanem, widział czarny samolot i czerwone żarzenie się ujść jego tylnych dysz.

Potem zobaczył wylatującą spod skrzydła swojego samolotu białą smugę dymu, ciągnącą się za wystrzeloną rakieta, która podążyła prosto na przeciwnika.

Kiedy rakietka pędziła w kierunku namierzonego celu, czarny samolot otoczył nagle migoczący opar. Wyglądało to niesamowicie – jakby na samolot, niczym zasłone, opuszczono migoczącą, drobno pofalowaną warstwę gorącą, przypominającą drżące powietrze, unoszące się nad rozpalonym asfaltem.

W tym momencie czarny samolot zniknął.

Rakieta Yatesa oszalała.

Straciwszy pierwotny cel, natychmiast zaczęła szukać nowego.

Okazał się nim jeden z F-22, lecący przed „Sylwetką”. Rakieta uderzyła w jego dyszę wylotową i myśliwiec eksplodował jasno-pomarańczowo na mrocznym niebie.

W słuchawkach kapitana rozkrzyczały się głosy:

– ...po prostu zniknął...

– ...ta zasrana maszyna chyba się rozpuściła!

Yates sprawdził instrumenty. Czarnego samolotu nie było widać na radarze.

Przeszukał niebo wzrokiem. Nie widział go nigdzie... Nagle go ujrzał.

Przynajmniej tak mu się wydawało.

Na pomarańczowym horyzoncie zobaczył pas migoczącego powietrza. Wyglądało to tak, jakby w jednym miejscu horyzontu ustawiono pomarszczoną soczewkę, co powodowało, że jego kawałek nieustannie falował.

Yates nie wierzył własnym oczom.

Schofield tymczasem gorączkowo naciskał coraz to inne klawisze.

Rakieta minęła ich i słyszał przez radio głosy pilotów F-22. Nie widzieli go.

Nadszedł czas odwetu.

– Renshaw! Przynieś tu Gant! I Wendy! – zawołał.

Mały naukowiec zrobił, co mu kazano, i położył Gant w tylnej części kokpitu.

Wendy wskoczyła za nim.

– Zamknij drzwiczki kokpitu – polecił porucznik. Renshaw zamknął drzwiczki.

Byli teraz odcięci od komory raketowej.

Schofield nacisnął ostatni klawisz i na ekranie zaczęło migotać czerwone ostrzegawcze światelko, a potem pojawił się napis:

POCISKI UZBROJONE. NAMIERZANIE CELU.

Zaraz potem ekran znowu zaczął migotać.

5 CELÓW NAMIERZONYCH. GOTÓW DO ODPALENIA.

Porucznik nacisnął spust pod kciukiem.

Luk komory raketowej otworzył się i stelaże z raketami zaczęły się obracać.

Po chwili na zewnątrz wyleciało pięć raket, jedna po drugiej. Schofield patrzył, jak się oddalają i zaczynają szukać celu niczym posokowce.

Kiedy pierwszy F-22 eksplodował w kuli ognia, pozostali piloci zaczęli krzyżeć:

– ...pocisk zjawiał się znikąd!

– ...nigdzie go nie widzę...

– Drań stosuje jakąś zasłonę...

Dwóch pilotów włączyło dopalacze, ale nic to nie dało. Z migoczącego powietrza wyprysnęły kolejne pociski raketowe i natychmiast trafiły w swoje cele, zmiatając je z nieba. Jedyny ocalały F-22 zaczął uciekać. Nie odleciał jednak nawet dwóch kilometrów, kiedy dopędził go ostatni pocisk, który spadł ze stelaży w „Sylwetce”. Trafił prosto w silnik i posłał F-22 do piekła.

Schofield odetchnął z ulgą.

Skręcił na północ i znów włączył radio.

– USS „Wasp”, zgłoś się. USS „Wasp”, proszę, zgłoś się. Po kilku następnych próbach usłyszał odpowiedź:

– Niezidentyfikowany samolot, tu „Wasp”. Zidentyfikuj się. Schofield podał swoje nazwisko i numer służbowy.

Oficer po drugiej stronie linii sprawdził dane, po czym powiedział:

– Poruczniku Schofield, miło cię słyszeć. Pokład bojowy został oczyszczony. Masz pozwolenie na lądowanie. Podaję współrzędne...

„Sylwetka” leciała w noc.

USS „Wasp”, okręt Korpusu Piechoty Morskiej, znajdował się jakieś 80 mil morskich od Schofielda. Dotrą do niego za piętnaście minut.

Oświetlany zielonym luminescencyjnym światłem instrumentów porucznik wpatrywał się w pomarańczowy horyzont. Wyłączył zasłonę i pozwolił samolotowi przez jakiś czas lecieć na autopilocie.

Przez głowę przemykały mu wydarzenia z minionej doby.

Francuzi. Brytyjczycy. ICG. Jego ludzie, zabici podczas operacji, która z założenia miała się nie udać. Pojawiały się przed nim twarze zamordowanych marines.

Hollywood. Samuraj. Book. Matka. Żołnierze, którzy zginęli, by ich kraj mógł położyć chciwe łapsko na technologii pozaziemskiej, wcale nie pochodzącej spoza Ziemi.

Ogarnął go głęboki smutek.

Pochylił się do przodu i znowu zaczął naciskać klawisze. Ekran przed nim zamigotał i pojawił się na nim napis:

POCISK UZBROJONY. NAMIERZANIE CELU...

Szybko nacisnął kolejny klawisz.

NAMIERZANIE RĘCZNE.

Przestawiał współrzędne na ekranie, aż znalazł cel, którego szukał. Wcisnął umieszczony na drążku przycisk WYBIERZ, a potem pociągnął spust odpalania rakiet.

Szósty i ostatni pocisk, leżący na stelażu w przedziale raketowym, przekreślił się i wystrzelił w niebo.

Uss „Wasp” stał na środku Oceanu Indyjskiego.

Był to duży okręt. Jego kadłub miał 250 metrów – czyli długość ponad dwu boisk piłkarskich. Nad pokładem bojowym wznosiła się potężna, pięciopiętrowa nadbudówka – centrala operacyjna okrętu, nosząca przydomek „Wyspa”. Zazwyczaj pokład ten zapełniały helikoptery, harriery, uzbrojone łodzie i ludzie, ale dziś było inaczej.

Dziś był całkowicie pusty. Nic się na nim nie poruszało, nie było sprzętu, nie było ludzi.

Kiedy „Sylwetka” zwołała dokładnie nad nim, rakiety do pionowego lądowania wystrzeliły w dół cienkie strumienie gazu. Po chwili czarny myśliwiec miękko wylądował przy rufie.

Schofield wyjrzał na zewnątrz.

Pokład bojowy był pusty, tak jak się tego spodziewał.

– W porządku. Wszyscy wysiadać! – zawołał.

Renshaw i Kirsty wyszli pierwsi, tuż za nimi pokuśtykała Wendy.

Zanim porucznik wyszedł na zewnątrz, wyjął z plecaka na ramieniu długi, cienki srebrny pojemnik.

Ustawił detonator ładunku tritonu na dziesięć minut i położył go na fotelu pilota. Potem podniósł Gant i zaniósł ją najpierw do komory rakietowej, a potem wyniósł schodkami na zewnątrz.

Pokład w dalszym ciągu był pusty.

Schofield i pozostali rozbitkowie, którym udało się przeżyć, stanęli przed „Sylwetką”. Otulona antarktycznym półmrokiem wielka, czarna maszyna – z opuszczonym nisko spiczastym dziobem i smukłymi, również opadającymi w dół skrzydłami – wyglądała na pustym pokładzie jak drapieżny ptak.

Porucznik poprowadził swoją grupkę w kierunku „Wyspy”. Stanowili przedziwny widok: Schofield z Gant na rękach, Renshaw i Kirsty, a na końcu podskakująca foka, rozglądająca się wokół z zaciekawieniem.

Kiedy doszli do „Wyspy”, otworzyły się przed nimi drzwi i ze środka wydobyło się białe światło.

W jasnym prostokącie pojawiła się jakaś sylwetka. Kiedy Schofield podszedł bliżej, ujrzał osmaganą morskimi wiatrami twarz człowieka, którego tak dobrze znał.

Był to Jack Walsh.

Dowódca „Waspa”. Człowiek, który trzy lata wcześniej olał Biały Dom i wysłał w głąb Bośni oddział swoich ludzi, by wydostali z niewoli Shane’a Schofielda.

Walsh uśmiechnął się do porucznika. Jego błękitne oczy błyszcząły zimno.

– Wiele nosów krzywi się z twojego powodu, Strachu na Wróble – powiedział. – Sporo ludzi o tobie mówi.

Schofield zmarszczył czoło. Oczekiwał od Walsh’a cieplejszego przyjęcia.

– Dlaczego oczyścił pan pokład, sir?

– Nie... – zaczął Walsh, ale w tym momencie ktoś po chamsku przepchnął się obok niego i stanął przed porucznikiem.

Schofield nigdy przedtem nie widział tego człowieka. Miał starannie uczesane siwe włosy, siwe wąsy, potężną klatkę piersiową i nosił granatowy mundur marynarki. Liczba medali na jego piersi była imponująca. Wyglądał na ponad sześćdziesiąt lat.

– A więc to jest Strach na Wróble... – powiedział, lustrując porucznika od stóp do

głów. Schofield stał bez ruchu, cały czas trzymając Gant na rękach.

– Strachu na Wróble, to admirał Thomas Clayton, przedstawiciel marynarki w Połączonym Komitecie Szefów Sztabów – powiedział Walsh. – Cztery godziny temu przejął dowodzenie USS „Wasp”.

Porucznik jęknął w duchu.

Admirał z Połączonego Komitetu Szefów Sztabów... Jezu!

Jeżeli to, co słyszał o ICG, było prawdą, Połączony Komitet był głową tej organizacji, jej mózgiem. Miał przed sobą jednego z głównodowodzących ICG!

– Dość tego! – wrzasnął Clayton do kogoś stojącego za Walshem. – Wychodzić!

Z drzwi zaczął wypływać strumień ludzi – wszyscy mieli na sobie granatowe kombinezony – który ruszył w kierunku „Sylwetki”.

Admirał Clayton odwrócił się do Schofielda.

– Wygląda na to, że ta operacja nie będzie jednak całkowitym fiaskiem.

Słyszeliśmy komentarze pilotów w trakcie pańskiej walki z F-22. Zasłona, tak? Kto by pomyślał...

Porucznik popatrzył na pokład „Wasp”. Mężczyźni w granatowych kombinezonach dotarli do rufy i zaczęli obłazić „Sylwetkę” jak mrówki. Dwóch weszło schodkami do środka.

– Kapitanie Walsh – powiedział Schofield i wskazał na Gant. – Ta kobieta wymaga opieki lekarskiej.

Walsh skinął głową.

– Zanieśmy ją do lazaretu. Majtek!

Zjawił się majtek, wziął Gant od Schofielda i wniósł ją do środka. Porucznik odwrócił się do Kirsty i Renshawa.

– Idźcie z nią. I weźcie ze sobą Wendy.

Zrobili, jak kazał, i weszli do „Wyspy”, a Wendy wskoczyła do środka za nimi. Kiedy Schofield również zamierzał wejść w drzwi, od „Sylwetki” doleciał czyjś okrzyk.

– Admirale! – wołał jeden z ludzi w granatowych kombinezonach, stojący pod dziobem samolotu.

– Co jest? – Admirał ruszył w kierunku samolotu. Mężczyzna uniósł w górę ładunek tritonu 80/20, pozostawiony przez porucznika w kokpicie. Gdy Clayton go zobaczył, nie sprawiał wrażenia człowieka, który się szczególnie przejął. Odwrócił się do Schofielda i z odległości pięćdziesięciu metrów krzyknął:

– Próbował pan zniszczyć dowody, poruczniku?

Wziął od technika ładunek, otworzył hermetyczną pokrywkę i przerzucił przełącznik na ROZBROJONE, a potem uśmiechnął się do Schofielda.

– Strachu na Wróble, jeżeli chcesz mnie pokonać, musisz się lepiej starać.

Porucznik w milczeniu przyglądał się stojącemu przy „Sylwetce” admirałowi. Po chwili powiedział cicho:

- Przepraszam za pokład, sir.
- Słucham? – zdziwił się Jack Walsh.
- Powiedziałem, że przepraszam za pokład.

W tym momencie rozległ się wyjący, jęczący dźwięk. Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, co to takiego, wycie zamieniło się w ryk i z nieba, niczym zesłany przez samego Boga piorun, spadł szósty i ostatni pocisk raketowy „Sylwetki” i z prędkością niemal pięciuset kilometrów na godzinę uderzył w czarny samolot.

Wielki czarny myśliwiec rozprysnął się natychmiast na tysiące kawałków. Wszyscy, którzy byli w jego wnętrzu albo stali w pobliżu, zginęli. Po pierwszej eksplozji wybuchły zbiorniki paliwa, tworząc wielką kulę czerwonego ognia. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie i ogarnął Claytona. Palił się tak gwałtownie, że natychmiast zlazła mu skóra z twarzy.

Nie żył już, zanim upadł na pokład.

Shane Schofield stał na mostku płynącego ku wschodowi słońca „Wasp”. Napił się kawy z kubka z napisem KUBEK DOWÓDCY. Kawa była gorąca i mocna.

Na mostek przyszedł Jack Walsh i podał porucznikowi nowe lustrzane okulary. Schofield wziął je i założył na nos.

Minęły właśnie trzy godziny od chwili zniszczenia „Sylwetki” przez jej własny pocisk raketowy.

Gant zabrano do lazaretu, ale jej stan bardzo się pogorszył. Straciła dużo krwi i pół godziny temu zapadła w śpiączkę.

Renshaw i Kirsty spali smacznie w kabinie Walsh. Wendy bawiła się pod pokładem, w basenie służącym nurkom do przygotowań.

Schofield wziął prysznic i przebrał się w mundur polowy. Sanitariusz zajął się jego ranami i nastawił mu złamane żebro. Stwierdził, że po powrocie do domu potrzebna mu będzie dalsza opieka medyczna, ale na razie wystarczą środki przeciwbólowe. Kiedy skończył, Schofield poszedł do Gant, a potem na mostek, gdzie wezwał go Walsh.

Gdy się tam znalazł, przekazano mu, że „Wasp” dostał właśnie komunikat z McMurdo. Podobno dotarł tam mocno poobijany poduszkowiec piechoty morskiej. W środku było pięcioro ludzi – żołnierz korpusu i czworo cywili, naukowców. Twierdzili, że przybywają ze Stacji Lodowej Wilkes.

Porucznik pokręcił głową i uśmiechnął się. Reboundowi udało się dotrzeć do McMurdo!

Walsh zażądał od niego sprawozdania z minionych dwudziestu czterech godzin.

Schofield opowiedział o wszystkim – o Francuzach i Brytyjczykach, o ICG i „Sylwetce”. Opowiedział nawet o ostrzeżeniu, jakie otrzymał od nieżyjącego marine o nazwisku Trent.

Kiedy skończył, Walsh przez długą chwilę stał w milczeniu. Porucznik upił łyk kawy i popatrzył przez panoramiczne okna w kierunku rufy. W miejscu, gdzie rakietę trafiła „Sylwetkę”, w pokładzie zionęła wielka dziura. Sterczały z niej poszarpane kawały metalu i luźno zwisające przewody.

Walsh oczywiście przyjął przeprosiny porucznika. I tak nie darzył sympatią admirała, który przejął od niego dowództwo, a żaden dowódca okrętu tego nie lubi. Kiedy dowiedział się od Schofielda o jego przejściach z członkami ICG, przeszła mu resztką współczucia dla Clayтона.

Przyglądając się dziurze w pokładzie, porucznik znów zaczął myśleć o operacji, w której brał udział, i o ludziach, których stracił – zabitych w tej idiotycznej krucjacie.

– Kapitanie... – odezwał się nagle młody marynarz. Walsh i Schofield odwrócili się równocześnie. Marynarz siedział przy podświetlanym stole, znajdującym się w przylegającym do mostka pomieszczeniu komunikacyjnym. – Łapię coś bardzo dziwnego...

– Co? – spytał Walsh. Podeszli do stołu.

– Wygląda mi to na sygnał z przekaźnika GPS. Jest nadawany z wybrzeża Antarktydy. To kod piechoty morskiej.

Schofield popatrzył na podświetlony stół. Była na nim komputerowa mapa. Na wybrzeżu Antarktydy – a dokładnie biorąc, w niewielkim od niego oddaleniu – migał czerwony punkt. Obok niego migały cyferki: 05.

Porucznik zmarszczył czoło. Pamiętał, że kiedy tkwił z Renshawem na górze lodowej, uruchomił swój nadajnik GPS. Tyle że on sam – jako dowódca – miał numer 01. Waż miał 02, Book 03. Numery rosły wraz z obniżaniem się stopnia.

Próbował sobie przypomnieć, kim był 05.

– Jasna cholera... – wymamrotał po chwili. – To Matka!

„Wasp” płynął prosto na wschodzące słońce.

Kiedy Schofield przypomniał sobie, kto nadaje sygnał GPS, Jack Walsh przekazał tę wiadomość do McMurdo. Tamtejsi marines – nadal lojalni wobec oficjalnego dowództwa – wyruszyli wzdłuż brzegu łodzią patrolową, by przejąć Newman.

Następnego dnia, kiedy „Wasp” wpłynął na Pacyfik, porucznik dostał wiadomość z łodzi patrolowej. Znaleźli Matkę w pływającej niedaleko brzegu górze lodowej. Kiedy żołnierze – w kombinezonach chroniących przed działaniem promieniowania – popłynęli po nią, siedziała w czymś przypominającym starą stację badawczą, znajdującą się wewnątrz góry lodowej.

Dowódca łodzi patrolowej poinformował, że Newman jest bardzo mocno

wyziębiona i została napromieniowana, ale na razie podali jej tylko środki uspokajające.

W tym momencie po drugiej stronie linii rozległ się głos kobiety.

– To on? Strach na Wróble? Była to Matka.

Po kilku obscenicznych słowach powitania opowiedziała Schofieldowi, jak schowała się w szybie windy towarowej i straciła przytomność. Potem obudziły ją strzały żołnierzy SEAL, wpadających do Stacji Lodowej Wilkes. Kilka minut później usłyszała rozmowę porucznika z Romeem i dowiedziała się o lecącej w kierunku stacji rakiecie z głowicą jądrową.

Wypełzła wtedy z szybu windy – SEAL ciągle jeszcze byli w stacji – i ruszyła w kierunku basenu na poziomie E, po drodze zabierając z magazynka kilka torebek z wlewami dożylnymi. Kiedy dotarła na dół, zobaczyła leżący tam trzydziestoletni akwalung, którego używał Renshaw – z przywiązaną do niego stalową liną.

Lina prowadziła do znajdującej się półtora kilometra od brzegu Little America IV, zakopanej we wnętrzu góry lodowej. Dotarła tam, korzystając z ostatniego brytyjskiego skutera podwodnego.

Schofield był zdumiony. Pogratulował Matce i pożegnał się z nią, obiecując, że zobaczą się w Pearl. Kiedy odrywano Newman od słuchawki, darła się:

– Pamiętam, że mnie pocałowałeś! Ty gorący draniu! Porucznik roześmiał się.

Pięć dni później USS „Wasp” wpłynął do Pearl Harbor na Hawajach.

Kiedy wpływał, na nabrzeżu stał szereg kamer telewizyjnych. Dwa dni wcześniej lecący nad południowym Pacyfikiem samolot czarterowy zauważył „Wasp” i zniszczony pokład. Jeden z pilotów sfilmował dziurę w pokładzie, stacje telewizyjne podjęły temat i reporterzy koniecznie chcieli wiedzieć, co się stało z wielkim okrętem.

Schofield stał u szczytu trapu i patrzył, jak dwaj sanitariusze znoszą Gant na noszach. Nadal była w śpiączce. Zabierano ją do pobliskiego szpitala wojskowego.

Na pokład wyszli Renshaw i Kirsty i podeszli do porucznika.

– Cześć wam!

– Cześć... – odpowiedziała dziewczynka. Trzymała geofizyka za rękę.

Głosem Marlona Brando z Ojca chrzestnego Renshaw powiedział:

– Kto by pomyślał? Zostałem ojcem chrzestnym. Schofield roześmiał się.

Kirsty odwróciła się do niego.

– Gdzie jest...

W tym momencie z pobliskich drzwi wyskoczyła Wendy. Podpełzła do porucznika i zaczęła trącać nosem jego rękę. Była cała mokra.

– Trochę za bardzo spodobał jej się basen do przygotowań dla nurków – powiedział Renshaw.

– Widzę – odparł Schofield i podrapał foczkę za uszami. Wendy przeciągnęła się,

po czym padła na pokład i przewróciła się na plecy. Porucznik pokręcił głową, kucnął jednak i poklepał ją po brzuchu.

– Kapitan powiedział, że zanim znajdziemy jej dom, może mieszkać tutaj – oświadczyła Kirsty.

– To doskonale. Przynajmniej tyle możemy dla niej zrobić. – Schofield klepnął Wendy ostatni raz, foczka przewróciła się na łapy i pomknęła w kierunku ulubionego basenu.

Porucznik wstał i popatrzył na małego naukowca.

– Renshaw, mam do ciebie pytanie.

– Tak?

– O której godzinie zeszli pod wodę ludzie ze stacji?

– O której godzinie?

– Tak. Był dzień czy noc?

– Hm... chyba wieczór. Myślę, że mniej więcej o dziewiątej. Schofield pokiwał głową.

– Co ty znowu kombinujesz? – spytał Renshaw.

– Chyba wiem, dlaczego słonie morskie nas zaatakowały.

– Dlaczego?

– Pamiętasz, jak mówiłem, że jedyną niezaatakowaną przez nie grupą była grupa Gant?

– Pewnie.

– Najpierw myślałem, że stało się tak, bo używali cichego sprzętu do oddychania...

– Ale my też. A mimo to nas zaatakowały. Schofield uśmiechnął się.

– Właśnie. Tyle że myśmy nurkowali wieczorem.

– Wieczorem?

– Tak jak twoi ludzie i ludzie Barnaby'ego. Twoi o dwudziestej pierwszej, jego o dwudziestej. Oddział Gant schodził pod wodę o czternastej. Byli jedyną grupą nurkującą w dzień.

Renshaw wreszcie domyślił się, o co chodzi Schofieldowi.

– Sądziś, że słonie morskie podlegają rytmom dobowym?

– Myślę, że istnieje taka możliwość.

Geofizyk powoli skinął głową. Bardzo agresywne albo jadowite zwierzęta często podlegają dwunastogodzinnym cyklom pasywno-agresywnym – zwierzę jest pasywne w dzień, a agresywne w nocy.

– Dobrze, że to odkryłeś – mruknął Renshaw. – Muszę to zapamiętać... na wypadek, gdybym miał się kiedyś natknąć na stado napromieniowanych słoni morskich, broniących swojego terytorium.

Schofield uśmiechnął się. Po chwili wszyscy troje zeszli na dół. Na nabrzeżu

podszedł do nich sierżant piechoty morskiej w średnim wieku.

– Poruczniku Schofield – powiedział i zaszalutował. – Czeka na pana samochód.

– Sierżancie, jadę tylko do szpitala, sprawdzić, jaki jest stan mojej podwładnej.

Jeżeli ktokolwiek chce, żebym udał się gdzie indziej – nic z tego.

– Nie ma problemu – odparł sierżant z uśmiechem. – Mam rozkaz zawieźć pana porucznika, pana Renshawa i pannę Kirsty wszędzie, gdziekolwiek zechcecie się udać.

Porucznik popatrzył na swoich towarzyszy. Wzruszyli ramionami – czemu nie?

– Może być – odparł Schofield. – Prowadźcie, sierżancie. Sierżant zaprowadził ich do granatowego buicka z przyciemnianymi szybami. Otworzył drzwi i porucznik wsiadł.

Na tylnej kanapie już ktoś siedział.

Widząc broń w jego dłoni, Schofield zamarł.

Witaj, Strachu na Wróble – powiedział starszy sierżant sztabowy Charles „Chuck” Kozłowski. Renshaw i Kirsty weszli do samochodu za Schofieldem. Na widok broni Kozłowskiego Kirsty jęknęła.

Kozłowski był niski, gładko ogolony i miał gęste, czarne brwi. Był ubrany w dzienny mundur piechoty morskiej w kolorze khaki.

Sierżant usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

– Ogromnie mi przykro, Strachu na Wróble, ale ty i twoi przyjaciele jesteście zadrą, którą trzeba wygładzić – stwierdził najwyższy rangą podoficer piechoty morskiej.

– To znaczy? – spytał porucznik.

– Wiecie o ICG.

– Opowiedziałem o wszystkim tylko Jackowi Walshowi. Też go zabijecie?

– Może nie od razu, ale w odpowiednim czasie na pewno. Wy jednak stanowicie bezpośrednie zagrożenie. Nie chcemy, byście poszli do prasy, to chyba zrozumiałe? Bez wątpienia media prędzej czy później dowiedzą się o wydarzeniach w Stacji Lodowej Wilkes, ale nie w twojej wersji, tylko w wersji ICG.

– Jak pan może zabijać własnych ludzi? – spytał Schofield.

– Ciągle jeszcze nie rozumiesz, co? – wycedził Kozłowski.

– Nie rozumiem, jak pan może zabijać własnych ludzi i uważać, że robi przysługę swojemu krajowi.

– Strachu na Wróble! Boże, przecież miało cię tam nie być!

– Słucham...?

– Zastanów się. Jak to się stało, że dotarłeś do Stacji Lodowej Wilkes przed wszystkimi innymi?

Porucznik próbował przypomnieć sobie, jak to wszystko się zaczęło. Był w Sydney, na pokładzie „Shreveport”. Reszta floty wróciła do Pearl Harbor, a jego

okręt został w celu przeprowadzenia paru napraw. Wtedy przejęli wezwanie o pomoc.

– Zgadza się – potwierdził Kozłowski, jakby czytając mu w myślach. – Kiedy czekaliście w Sydney na zakończenie prac remontowych, „Shreveport” przejął SOS z Wilkes i jakiś przy głupi cywil posłał was na biegun.

Schofield przypomniał sobie głos podsekretarza obrony, dobywający się z głośników w centrali operacyjnej „Shreveport” i mówiący mu, że ma się udać do Wilkes i zabezpieczyć statek kosmiczny.

– Strachu na Wróble, celem Intelligence Convergence Group wcale nie jest zabijanie amerykańskich żołnierzy – oświadczył Kozłowski. – Istnieje po to, by chronić Amerykanów...

– Przed czym? Przed prawdą?

– Sześć godzin po twoim przybyciu na stację mogliśmy tam mieć oddział rangersów, składający się wyłącznie z ludzi ICG. Przejęliby stację – nawet gdyby już tam byli Francuzi – i nie zginąłby ani jeden amerykański żołnierz. – Kozłowski pokręcił głową. – Niestety musiałeś znaleźć się w pobliżu... Właśnie z tego powodu umieszczamy w takich jednostkach jak twoja ludzi ICG. W idealnym świecie ICG zawsze docierałaby na miejsce pierwsza, ponieważ jednak w naszej rzeczywistości nie da się tego osiągnąć, musimy dbać o to, by oddziały rozpoznania – takie jak twój – miały odpowiedni skład osobowy. Tylko w ten sposób można zagwarantować, że zdobyte w określonych miejscach informacje pozostaną na miejscu. Oczywiście dla dobra bezpieczeństwa narodowego.

– Zabijacie swoich rodaków – powtórzył z uporem Schofield.

– Strachu na Wróble... to wcale nie musiało się tak odbyć. Po prostu w nieodpowiednim czasie znalazłeś się w nieodpowiednim miejscu. Zjawiłeś się w Wilkes za wcześnie. Gdyby operacja odbyła się tak, jak miała się odbyć, nie musiałbym cię teraz zabijać.

Buick podjechał do budki strażnika, stojącej przy wyjeździe z portu. Szlaban był opuszczony. Kierowca odsunął szybę okna po swojej stronie i przez chwilę rozmawiał ze strażnikiem.

Nagle ktoś gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi przy Kozłowskim i pojawił się w nich uzbrojony żołnierz Żandarmerii Marynarki Wojennej, kierując pistolet prosto w głowę Kozłowskiego.

– Sir, proszę wysiąść – powiedział.

Twarz Kozłowskiego poczerwieniała.

– Synu, czy wiesz, z kim rozmawiasz? – spytał.

– Nie wie – doleciał głos z zewnątrz. – Ale ja tak – powiedział Jack Walsh, wychodząc z cienia.

Schofield, Kirsty i Renshaw wysiedli z samochodu kompletnie zdezorientowani.

Granatowy buick był otoczony przez oddział żandarmerii marynarki.

Porucznik odwrócił się do Walsh.

– Co się dzieje? Skąd pan wiedział? – zapytał.

Walsh wskazał podbródkiem jakiś punkt za plecami Schofielda.

– Wygląda na to, że masz anioła stróża – powiedział. Porucznik odwrócił się szybko i zaczął szukać w tłumie jakiejś znanej twarzy. Z początku nikt nie wydawał mu się znajomy.

Nagle rozpoznał kogoś. Tej twarzy nie spodziewał się zobaczyć.

Dziesięć metrów za kordonem żandarmów, z rękami w kieszeniach, stał Andrew Trent.

Kiedy zabrano Kozłowskiego i jego kierowcę, Schofield podszedł do Trenta.

Razem z nim stała para nieznanym mu ludzi. Trent przedstawił ich jako Peter'a i Alison Cameronów. Byli dziennikarzami z „Washington Post”.

Porucznik spytał, jak to się stało, że żandarmeria marynarki – wspierana przez Jacka Walsh – wiedziała, iż należy zatrzymać samochód Kozłowskiego.

Trent wyjaśnił, że dwa dni wcześniej zobaczył w telewizji amatorskie wideo zniszczonego pokładu „Wasp”. Bez trudu poznał, że to zniszczenia dokonane przez rakietę bojową, i kiedy usłyszał, że „Wasp” wraca do Pearl – „z ćwiczeń na Oceanie Indyjskim” – natychmiast wskoczył w samolot lecący na Hawaje.

Cameronowie przylecieli razem z nim. Gdyby okazało się, że na pokładzie „Wasp” jest Shane Schofield albo ktokolwiek, kto przeżył wydarzenia w Stacji Lodowej Wilkes, byłaby to sensacja, jaką udaje się odkryć tylko raz w życiu. Wielu dziennikarzy dowiedziało się o zniszczonym pokładzie „Wasp”, ale tylko Cameronowie wiedzieli, jaki to może mieć związek ze Stacją Lodową Wilkes.

Kiedy znaleźli się w porcie, Trent zauważył stojącego przy granatowym buicku Kozłowskiego, czekającego na zacumowanie „Wasp”, i od razu poczuł chłód na karku.

Co Kozłowski tu robił? Czyżby ICG znowu wygrało – jak w Peru – i Kozłowski przybył pogratulować zdrajcom? A może zjawiał się z innego powodu? Jeżeli Schofield przeżył, ICG na pewno będzie chciało go wyeliminować.

Tak więc Trent i para dziennikarzy czekali i przyglądali się rozwojowi wydarzeń. Kiedy zobaczyli, że Schofield schodzi z okrętu i odprowadzają go do buicka Kozłowskiego, zawiadomili jedyną osobę, która mogłaby – i zechciałaby – wykorzystać przeciwko niemu wyższość swojego stopnia wojskowego.

Jacka Walsh.

– Kto by pomyślał? – mruknął Jack Walsh. – Stoję sobie na mostku mojego zniszczonego okrętu, a tu przylatuje do mnie radiotelegrafista i mówi, że ma na zewnętrznej linii kogoś, kto twierdzi, że musi ze mną porozmawiać. Twierdzi, że to

nagły wypadek dotyczący porucznika Schofielda, a on nazywa się Andrew Trent. – Walsh uśmiechnął się. – Uznałem, że powinienem z nim pogadać.

Porucznik pokręcił ze zdumieniem głową.

– Dużo przeszedłeś – stwierdził Trent i objął Schofielda ramieniem.

– Sam wiesz najlepiej – mruknął porucznik. – Chętnie usłyszę kiedyś o Peru.

– Usłyszysz, Shane, usłyszysz. Najpierw jednak mam dla ciebie propozycję. Co powiesz na zdjęcie na pierwszej stronie „Washington Post”?

Schofield uśmiechnął się.

Dwa dni po zakotwiczeniu „Wasp” w Pearl – „Washington Post” opublikowała zaczynający się na pierwszej stronie artykuł, zawierający duże zdjęcie Shane’a Schofielda i Andrew Trenta, trzymających między sobą egzemplarz „Post” z poprzedniego dnia. Pod zdjęciem znajdowały się kopie wydanych przez Korpus Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych oficjalnych aktów zgonu. Dokument Schofielda miał trzy dni, Trenta – ponad rok. Tytuł artykułu brzmiał:

WEDŁUG ARMII AMERYKAŃSKIEJ CI DWAJ MĘŻCZYŹNI NIE ŻYJĄ

Artykuł opisujący wydarzenia w Stacji Lodowej Wilkes – zajmujący trzy strony – został napisany przez Petera i Alison Cameronów.

Artykuły z kolejnych dni mówiły o ICG oraz o infiltracji przez tę organizację elitarnych jednostek wojskowych, uniwersytetów i prywatnych firm. Przez następne sześć tygodni w całym kraju migały flesze reporterów, towarzyszących aresztowaniom „kretów” ICG z różnych formacji wojskowych, instytucji i firm.

Jednak w żadnym artykule prasowym i w żadnej audycji telewizyjnej nie wspomniano ani słowem o obecności w Stacji Lodowej Wilkes francuskich i brytyjskich oddziałów wojskowych.

W redakcjach brukowców krążyły plotki, że do Stacji Lodowej Wilkes przybyły oddziały z różnych krajów. Irak. Chiny. Nawet Brazylia.

Niektórzy twierdzili, że w „Washington Post” dokładnie wiedzą.

A kto tam naprawdę był? Jedno z konkurencyjnych pism zasugerowało, że sam prezydent złożył nieoczekiwaną wizytę Katharine Graham – redaktor naczelnej „Post” – i poprosił o niepublikowanie nazw krajów, których przedstawiciele pojawili się w Wilkes. Plotka ta nigdy nie została potwierdzona, jednak „Post” nigdy nie wspomniała ani o Francuzach, ani o Brytyjczykach.

W artykułach mówiono, że na Antarktydzie odbyła się potyczka, podkreślano jednak, że redakcja nie zna tożsamości przeciwnika albo przeciwników. W każdym pojawiającym się w „Post” artykule mówiono o konflikcie z „nieznanym wrogiem”.

Wątek Stacji Lodowej Wilkes nawracał przez sześć tygodni, po czym zapomniano o sprawie.

Kilka dni po przybyciu „Wasp” do portu zakończono w Waszyngtonie

konferencję NATO.

Wszystkie gazety i stacje telewizyjne ukazywały uśmiechniętych amerykańskich, brytyjskich i francuskich delegatów na schodach prowadzących do Kapitolu, ściskających, sobie ręce na tle splatających się na wietrze flag, uśmiechających się do kamer i oświadczających, że NATO przetrwa jeszcze kolejne dwadzieścia lat.

Cytowano wypowiedź delegata Francji, monsieur Pierre'a Dufresne, który stwierdził: „To najspójniejszy układ wojskowy na świecie”. Kiedy zapytano go, skąd bierze się trwałość i siła układu, odparł: „Wiąże nas prawdziwa przyjaźń”.

Libby Gant leżała z zamkniętymi oczami w prywatnej jedyńce szpitala marynarki w Pearl Harbor. Przez zasłony w oknie przesączało się łagodne światło. Gant przez cały czas była w śpiączce.

– Libby? Libby? – odezwał się kobiecy głos.

Gant powoli otworzyła oczy i ujrzała stojącą nad nią siostrę Denise.

– Hej... jesteś, śpiochu – powiedziała siostra.

Gant z trudem otwierała oczy. Kiedy w końcu jej się to udało, wyszeptała tylko:

– Hej...

– Masz gościa – oświadczyła Denise z chytrym uśmiechem.

– Co?

Siostra wskazała głową w lewo. Kiedy Gant spojrzała w tamtą stronę, zobaczyła Schofielda. Siedział w fotelu pod oknem, pogrążony w głębokim śnie.

Na czubku jego głowy tkwiły lustrzane okulary słoneczne. Jego oczy – i pionowe blizny w powiekach – były widoczne dla całego świata.

– Jest tu od chwili, gdy opatrzyli mu zebro – szepnęła Denise. – Nie chciał wyjść, póki się nie ockniesz. Dał tylko jeden wywiad dla „Washington Post” i powiedział, żeby przyszli znowu, kiedy się obudzisz.

Gant popatrzyła na śpiącego pod oknem Schofielda i uśmiechnęła się.

EPILOG

Wyspa Santa Ines, Chile 30 listopada

Była to niewielka wysepka, jedna spośród setek wysp leżących na południe od Cieśniny Magellana – na południowym krańcu Chile, południowym krańcu Ameryki Południowej, południowym krańcu świata.

Niecały tysiąc kilometrów od tej wyspy znajdują się Szetlandy Południowe. Jest to najbliższe Antarktyki miejsce na Ziemi.

Chłopiec nazywał się Jose i mieszkał w małej wiosce rybackiej na zachodnim brzegu wyspy. Wioska leżała nad zatoką, którą stare kobiety nazywały La Bahia de la Aguila Plata – Zatoka Srebrnego Orła.

Miejscowa legenda mówiła, że wiele lat temu do morza za zatoką spadł wielki srebrny ptak, ciągnąc za sobą ognisty ogon. Kobiety twierdziły, że obraził Boga swoją szybkością i pięknem, więc go zapalił i rzucił do morza.

Jose nie wierzył w podobne historyjki. Miał już dziesięć lat i jego zdaniem była to kolejna opowiastka o duchach, jakie stare kobiety wymyślają, by straszyć nimi małe dzieci.

Dzisiaj był dzień na nurkowanie, więc Jose zamierzał popływać w morzu i zebrać trochę ostryg – może uda mu się sprzedać je ojcu za niewielkie kieszonkowe.

Chłopiec zanurkował w morze i zaczął płynąć na dół. Było popołudnie, a o tej porze dnia prądy kierowały się od morza w kierunku wysepki. Jose miał nadzieję, że przyniosą ostrygi.

Dotarł szybko do dna i natychmiast znalazł pierwszą tego dnia ostrygę – znalazł jednak także coś innego.

Kawałek plastiku.

Wziął go do ręki i wrócił na powierzchnię. Kiedy się wynurzył, przyjrzał się dziwnemu przedmiotowi. Była to mała, prostokątna plakietka. Jej powierzchnia była zerodowana, ale Jose mógł przeczytać wygrawerowany na niej napis. Brzmiał on:

NIEMEYER.

Chłopiec przyjrzał się plakietce ze zmarszczonym czołem, po czym wyrzucił ją i wrócił do szukania ostryg.